

# CIEŃ

**CODY McFADYEN**

**Tytuł oryginału** Shadow Man

Przekład  
Krzysztof Bereza

**Wydawnictwo Amber**

Warszawa 2006. Wydanie I



*Moim rodzicom, którzy zachęcali mnie, bym wybrał drogę  
mniej uczęszczaną. Mojej córce w podziękowanie za dar ojcostwa.  
Mojej żonie za jej niezłomną wiarę we mnie, za to, że była dla mnie  
niekończącym się natchnieniem i za jej wieczną miłość.*

**CIEN**

Część I

**Sny i mrok**

# 1

Śni mi się jeden z tych snów. Są tylko trzy: dwa piękne, jeden pełen przemocy, ale po każdym z nich budzę się rozdygotana, z poczuciem przeraźliwej samotności.

Tej nocy śni mi się ten o moim mężu. To się dzieje jakoś tak. Mogłabym powiedzieć - on całuje mnie w szyję, i tylko tyle, po prostu. Ale byłoby to kłamstwem, w najbardziej podstawowym znaczeniu tego słowa. Należałoby raczej powiedzieć - to byłoby znacznie bliższe prawdy - że pragnęłam, by pocałował mnie w szyję, każdą moją cząstką, każdym płonącym skrawkiem siebie samej i kiedy on to zrobił, jego usta były ustami anioła zesłanego z niebios, które wysłuchały moich żarliwych modlitw.

Miałam wtedy siedemnaście lat, on także. W owym czasie nie istniało nic bezbarwnego, pozbawionego emocji ani nic mrocznego. Była tylko namiętność, było uczucie, światło, które płonęło tak intensywnie, że raniło mi duszę.

On pochylił się do przodu w ciemności kinowej sali i - o Boże! - wahał się tylko jedną chwilę, i - och Boże - zadrżałam ze strachu, jakbym stanęła na skraju przepaści, ale udawałam, że jestem spokojna, i on - o Boże, o Boże, o Boże! - pocałował mnie w szyję. To było niebo i wiedziałam już wtedy, że będę z nim na zawsze.

Był tym moim jedynym. Wiem, większość ludzi nigdy nie znajduje swojego jedynego lub swojej jedynej. Czytają o tym, marzą o tym lub uśmiechają się drwiąco, gdy o tym słyszą. Ale ja go znalazłam, znalazłam, mając siedemnaście lat i nigdy nie pozwoliłam mu odejść, nawet tego dnia, gdy umierał w moich ramionach, nawet wtedy, gdy śmierć wyrwała mi go, a ja krzyczałam przeraźliwie, nawet wtedy.

W te obecne dni imię Boga oznacza cierpienie: och Boże, och Boże, och Boże - tak bardzo mi go brakuje.

Budzę się ze zjawą tego pocałunku na mojej zarumienionej szyi siedemnastolatki i uświadamiam sobie, że nie mam już siedemnastu lat, a on przestał się starzeć w ogóle. Śmierć sprawiła, że już na zawsze pozostanie trzydziestopięcioletni. Dla mnie wciąż będzie miał siedemnaście lat, będzie pochylał się do przodu i zawsze muskał ustami moją szyję w tej jednej cudownej chwili.

Wyciągam rękę ku miejscu, w którym powinien spać i przeszywa mnie ból tak nagły i przejmujący, że drżąc, proszę o śmierć i kres tego cierpienia. Ale, oczywiście, oddycham nadal i wkrótce ból słabnie.

Brakuje mi wszystkiego, co wnosił w moje życie. Nie tylko tego, co było dobre i przyjemne. Brakuje mi jego wad, równie boleśnie, jak jego pięknych cech. Tęsknię za jego niecierpliwością, jego gniewem. Za protekcyjnym spojrzeniem, którym obrzucał mnie czasami, gdy wściekałam się o coś na niego. Brakuje mi tych chwil, gdy doprowadzał mnie do pasji, kiedy po raz nie wiadomo, który zapominał uzupełnić paliwo w samochodzie, tak, że bak był niemal pusty właśnie wtedy, gdy chciałam gdzieś pojechać.

Często myślę, że to nigdy nie przychodzi nam do głowy, gdy rozmyślamy, jakby to było, gdybyśmy stracili kogoś, kogo kochamy. Że zabrakłoby nam nie tylko kwiatów i pocałunków, ale wszystkiego, czegośmy doznawali i przeżywali razem. Brak jego niepowodzeń i drobnych skaz charakteru, równie rozpaczliwie, jak budzenia się w jego objęciach w środku nocy. Pragnę, żeby był tu teraz i żebym go mogła całować. Chcę, żeby tu był teraz i żebym go mogła zdradzać. Jedno i drugie byłoby wspaniałe, dopóki by tu był.

Ludzie pytają mnie czasami, gdy zdobędą się na odwagę, jak to jest, stracić kogoś, kogo się kocha. Odpowiadam, że jest ciężko i na tym poprzestaję.

Mogłabym powiedzieć, że jest to ukrzyżowanie serca. Mogłabym powiedzieć, że po tym przez wiele dni krzyczałam bez przerwy, nawet wtedy, gdy szłam przez miasto, nawet, kiedy miałam zamknięte usta i nie wydawałam żadnych dźwięków. Mogłabym powiedzieć, że ten sen śni mi się każdej nocy i że tracę mojego męża każdego poranka. Ale czemu miałabym psuć im dzień? Więc mówię, że to jest trudne. Zazwyczaj mam wrażenie, że taka odpowiedź im wystarcza.

To jest tylko jeden z tych snów. Budzę się z niego, drżąc na całym ciele; wyrzuca mnie z łóżka. Patrzą na pusty pokój, a potem odwracam się w stronę lustra. Nauczyłam się nienawidzić luster. Ktoś mógłby powiedzieć, że to jest normalne. Że my wszyscy wkładamy siebie pod mikroskop własnego odbicia i skupiamy wzrok na naszych skazach. Na twarzach pięknych kobiet pojawia się wyraz zatroskania i irytacji, gdy patrzą na drobne mankamenty swojej urody. Kilkunastoletnie dziewczyny o pięknych oczach i zgrabnych figurach zapłakują się z rozpacz, uznając, że ich włosy mają brzydki kolor, a ich nosy są stanowczo za długie. To jest cena, jaką się płaci, oceniając siebie oczami innych, jedno z przekleństw ludzkiej rasy. Owszem, zgadzam się z tym.

Ale większość ludzi nie dostrzega tego, co widzę ja, gdy spoglądam w lustro. Oto, co ja widzę, patrząc na siebie. Mam bliznę o wystrzępionych brzegach, mniej więcej centymetrowej szerokości, która zaczyna się na środku czoła, na linii włosów. Biegnie prosto w dół, potem skręca pod niemal kątem prostym w lewo. Nie mam lewej brwi, jej miejsce zajęła blizna. Przecina moją skroń, po czym zbiega luźną pętlą przez policzek, zmierza w stronę nosa, przechodzi tylko przez jego grzbiet, zawraca, przecina ukośną linią lewe nozdrze i po raz ostatni przemyka obok mojego podbródka poprzez szyję do obojczyka.

To wywiera wrażenie. Jeśli ktoś widzi tylko mój lewy profil, wszystko wygląda normalnie. Żeby uzyskać pełen obraz, trzeba patrzeć na mnie, stojąc na wprost.

Każdy ogląda się w lustrze przynajmniej raz na dzień, czasem widzi swoje odbicie jedynie w oczach innych osób. I wie, czego oczekiwać. Wie, co zobaczy, co zobaczą inni. Ja już nie widzę tego, czego mogłabym się spodziewać. Widzę odbicie obcej osoby, spoglądając spod maski, której nie mogę zdjąć.

Kiedy staję nago przed lustrem, tak jak teraz, widzę więcej. Mam coś, co można nazwać naszyjnikami. Tworzą go koliste blizny, każda średnicy cygara, biegnące od jednej strony obojczyka do drugiej. Takie same schodzą w dół przez moje piersi, mostek i brzuch, kończąc się nad włosami łonowymi.

Blizny mają szerokość cygara, ponieważ są śladami po żarzącym się cygarze.

Gdyby się o tym wszystkim zapomniało, wyglądam całkiem nieźle. Jestem nieduża, mam metr pięćdziesiąt wzrostu. Nie jestem na pewno chuda, ale mam dobrą figurę. Mój mąż mawiał, że jestem bujna. Powtarzał nieraz, że ożenił się ze mną, pomijając już zalety mojego umysłu i duszy, bo spodobały mu się moje „cycuszki wielkości ust” i mój „tyłeczek w kształcie serca”. Mam też długie, gęste, ciemne, kręcone włosy sięgające niemal tegoż tyłeczka. Te włosy kochał także.

Jest mi trudno przyglądać się sobie i nie zwracać uwagi na te blizny. Patrzyłam na nie już ze sto, a może z tysiąc razy i ciągle spoglądając w lustro, nie widzę niczego poza nimi.

Są to ślady po ranach zadanych mi przez człowieka, który zabił mojego męża i córkę. I którego potem ja zabiłam.

Gdy o tym myślę, otwiera się we mnie i szybko rozszerza nagła pustka. Coś ogromnego, ciemnego, pozbawionego jakiegokolwiek czucia. Jakbym się zapadała w zdrętwiałą zmrożoną galaretkę owocową.

To dla mnie nic szczególnego. Już do tego przywykłam.

Takie jest teraz po prostu moje życie.

Przysypiam jeszcze nie więcej niż dziesięć minut i wiem, że już nie zasnę.

Pamiętam, jak obudziłam się parę miesięcy temu w środku nocy, tak jak teraz. Gdy zdarzy ci się obudzić o tej porze - pomiędzy wpół do czwartej a szóstą nad ranem - czujesz się, jak jedyna osoba żyjąca na kuli ziemskiej. Przyśnił mi się wtedy, jak zawsze, jeden z tych snów i wiedziałam już, że nie mam chęci próbować zasnąć znowu. Włożyłam T-shirt, jakieś spodnie od dresu, moje sfatygowane tenisówki i wypadłam z domu. Biegłam, biegłam, wciąż biegłam w tę noc, aż moje ciało pokryło się potem, który przemoczył ubranie i wypełnił tenisówki, lecz biegłam nadal jeszcze przez pewien czas. Mój oddech stał się szybki, czułam, że chłodne poranne powietrze kłuje mi

płuca, ale mimo to nie przystanąłam nawet na chwilę. Biegłam coraz prędzej, pracując nogami i łokciami, biegłam tak szybko, jak mogłam, nie zważając na nic. Zatrzymałam się wreszcie przed jednym z tych ogólnie spożywczych sklepów, od których roi się na Valley, hamując z trudem gwałtowny przyływ kwasu żołądkowego. Kilka innych porannych upiórów spojrzało na mnie, by szybko odwrócić oczy w inną stronę. Wytrzymałam ich wzrok, otwarłam usta, uderzyłam całym ciałem w drzwi wejściowe i wpadłam do sklepu.

- Paczkę papierosów - powiedziałam do właściciela, wciąż jeszcze łapiąc oddech.

- Jakie sobie pani życzy? - zapytał uprzejmie. Był pięćdziesięcioletnim mężczyzną i wyglądał na Hindusa.

Pytanie mnie zaskoczyło. Nie paliłam już od lat. Spojrzałam na rząd paczek leżących na półce i spostrzegłam niegdyś moje ulubione marlboro.

- Marlboro. Czerwone.

Podał mi paczkę i wybił cenę na kasie. W tym momencie zdałam sobie sprawę, że jestem w dresie i nie mam przy sobie żadnych pieniędzy. Powinnam się spieszyć, ale ja poczułam złość.

- Zapomniałam wziąć torebkę - powiedziałam, wysuwając arogancko podbródek. Rzuciłam mu niejako wyzwanie, by nie dał mi papierosów lub mnie nie wyśmiał.

Patrzył na mnie przez chwilę. Sądzę, że pisarz mógłby to nazwać „brzemienną pauzą”. Potem jakby się odprężył.

- Biegła pani? - zapytał.

- Tak... uciekałam przed moim nieżyjącym mężem. To chyba lepsze niż się zabić, ha, ha!

Wyrzuciłam z siebie te słowa i własny głos zabrzmiał obco w moich uszach. Wydał mi się trochę za donośny, trochę zdławiony. Przypuszczam, że było w nim w tym momencie trochę szaleństwa. Ale on - choć bardzo pragnęłam, by tak się stało - nie obruszył się ani nie spojrzał na mnie z zakłopotaniem. Jego oczy nagle złagodniały. Nie było w nich litości, tylko zrozumienie.

- Moja żona umrzeć w Indiach. Na tydzień zanim my przyjeżdżać do Ameryka. Pani weźmie papierosy, zapłaci następnym razem.

Stałam przez chwilę, patrząc na niego. Potem porwałam Marlboro i wybiegłam stamtąd najszybciej, jak mogłam, zanim łzy zaczęły mi spływać po policzkach. Ściskając kurczowo w dłoni papierosy, biegłam z płaczem do domu.

To miejsce jest dla mnie nie po drodze, ale ilekroć zachce mi się palić, idę właśnie tam.

Teraz siadam i gdy znalazłszy na nocnym stoliku paczkę papierosów, zapalam jednego, uśmiecham się lekko, myśląc o tym sprzedawcy. Sądzę, że jakąś częścią siebie kocham tego zwykłego człowieka, tak jak pokochać można tylko kogoś obcego, kto okazuje ci dobroć tak doskonałą w chwili, gdy najbardziej jej potrzebujesz. To jest głębokie uczucie, ściśnięcie serca. I



wiem, że nawet gdybym nigdy nie poznała jego nazwiska, będę go pamiętała aż do dnia, w którym umrę.

Zaciągam się mocno, z przyjemnością i patrzę na papierosa, na jego wiśniowy koniuszek żarzący się w mroku mojej sypialni. Na tym właśnie, myślę, polega podstępność rzeczy przeklętych. Nie chodzi mi o uzależniającą moc nikotyny, chociaż jest ona wystarczająco zła. Ale o to, że papieros tak idealnie wpasowuje się w pewne sytuacje, że w pewnych momentach wydaje się niezbędny. O świcie przy dymiącej filiżance kawy. Albo w samotne noce w domu pełnym duchów. Wiem, że powinnam przestać palić, zanim nałóg znowu mną zawładnie, ale wiem też, że nie chcę przestać. Papierosy są teraz wszystkim, co mam - przypomnieniem dobroci i życzliwości, pociechą i źródłem siły, wszystkim jednocześnie.

Wydmuchuję dym i przyglądam się, jak jego kłęb wciągany w różnych miejscach pokoju przez drobne prądy powietrza unosi się, płynie, po czym znika. Jak życie, myślę. Życie to ulotny dym, po prostu i zwyczajnie oszukujemy się, że jest inaczej. To tylko jeden podmuch, po którym znikamy, pozostawiając po sobie jedynie ślad w postaci czyichś wspomnień.

Krztuszę się, bo nagle zaczynam się śmiać ubawiona tym skojarzeniem. Życie jest dymem, a ja mam na imię Smoky. Smoky Barrett. To jest naprawdę moje imię, bo moja mama uważała, że „brzmi ono spokojnie”<sup>\*</sup>.

Na myśl o tym zaczynam chichotać w ciemności pustego domu, a jednocześnie zdaję sobie sprawę, jak szaleńczo brzmi, gdy ktoś się śmieje samotnie. To daje mi do myślenia na następne trzy lub cztery godziny. Chodzi o moje szaleństwo. Życie nie kończy się dzisiaj, jutro mimo wszystko będzie następny dzień. Dzień, w którym podejmę decyzję, czy wrócę do pracy w FBI, czy przyjdę do domu, włożę pistolet w usta i rozerwę swój mózg na strzępy.

---

<sup>\*</sup> Smoky w języku angielskim oznacza dymny, zadymiony, dymiący (przyp. tłum.).

## 2

- Masz jeszcze wciąż te same sny?

Jest to jeden z powodów, dla których ufam mojemu psychoanalitykowi. Nie bawi się ze mną w gierki umysłowe, nie krąży wokół tego, co istotne ani nie próbuje się podkradać i atakować z flanki. Zmierza wprost do sedna sprawy. Uderza bezpośrednio. Chociaż bardzo na niego narzekam i przeciwstawiam się uparcie zabawom zmierzającym do uzdrowienia mnie, takie postępowanie budzi mój szacunek.

Nazywa się Peter Hillstead i wyglądem zupełnie nie przypomina typowego ucznia Freuda. Jest niezwykle przystojny, ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ciemne włosy i ciało, które wzbudziło mój podziw i zdumienie,

Największe wrażenie jednak robią jego jaskrawoniebieskie oczy - jeszcze nigdy dotąd nie widziałam takich u żadnego bruneta. Mimo że wygląda jak gwiazdor filmowy, nie potrafię sobie wyobrazić, by nasze wzajemne relacje mogły ulec jakiegóż zmianie. Kiedy jesteś z nim, nie myślisz o seksie. Myślisz o sobie. Należy do nielicznych ludzi, którzy, gdy mają z kimś do czynienia, interesują się nim naprawdę. Nie masz, co do tego żadnych wątpliwości, kiedy przy nim jesteś. Kiedy mówisz do niego, wiesz, że jego myśli nie błądzą wokół innych spraw. Całą swoją uwagę skupia na tobie. Sprawia, że czujesz, iż poza tobą w jego niewielkim gabinecie nic nie ma znaczenia, liczysz się wyłącznie ty. I właśnie to, gdy o mnie chodzi w każdym razie, uniemożliwia zadurzenie się w tym terapeutycie, choć niezły z niego kawał chłopca. Kiedy jesteś z nim, nie myślisz o nim jak o mężczyźnie, ale jak o czymś o wiele cenniejszym - lustrze własnej duszy.

- Te same trzy - odpowiadam.

- Który ci się śnił ostatniej nocy?

Czuję się skrupowana, zmieniam nieco pozycję. Wiem, że zauważył moje zmieszanie i zastanawiam się, co, jego zdaniem, to oznacza. Zawsze oddaję się kalkulacjom, nic na to nie poradzę.

- Ten, w którym Matt mnie całuje. Hillstead potakuje skinieniem głowy.

- Czy byłeś w stanie potem znowu zasnąć?

- Nie.

Patrząc na niego i nie dodając nic więcej, podczas gdy on cierpliwie czeka. To nie jest jeden z tych dni, kiedy staram się z nim współpracować.

Doktor spogląda na mnie, ściskając podbródek palcami. Wygląda na to, że zastanawia się nad czymś jak człowiek, który znalazł się na skrzyżowaniu dróg i wie, że którąkolwiek z nich

wyberze, nie będzie mógł nią już powrócić. Mija prawie minuta i dopiero wtedy przechyla się do tyłu i wzdycha, ściskając teraz grzbiet nosa.

- Smoky, czy wiedziałaś o tym, że wśród moich kolegów psychiatrów nie cieszę się najlepszą opinią?

Zaskakuje mnie zarówno to, co usłyszałam, jak i fakt, że powiedział mi o czymś takim.

- Och, nie. Nie wiedziałam.

Doktor się uśmiecha.

- To prawda, niektóre moje opinie na temat metod psychoanalizy są dosyć kontrowersyjne. Zwłaszcza to, że według mnie nauka nie radzi sobie z rozwiązywaniem problemów psychicznych.

Co, do diabła, powinnam teraz powiedzieć? Mój psychoanalityk oznajmia mi, że profesja, którą reprezentuje, nie dysponuje naukowymi rozwiązaniami problemów psychicznych. Nie może to napawać ufnością.

- Domyślam się, że to może nie być mile widziane - odpowiadam ostrożnie.

- Nie zrozum mnie źle. Nie twierdzę, że psychiatria nie zna żadnych rozwiązań tych problemów.

I to, jak sądzę, stanowi kolejny powód, dla którego darzę zaufaniem swojego lekarza. Jest niesłychanie bystry i przenikliwy, ma wręcz zdolność jasnowidzenia. Nie budzi to we mnie lęku, bo rozumiem doskonale - każdy obdarzony prawdziwym talentem przesłuchujący ma tę umiejętność. Potrafi przewidzieć, jak na jego słowa zareaguje druga osoba.

- Nie. Chcę powiedzieć tylko tyle: nauka jest nauką. Jest dokładna. Znajomość grawitacji podpowiada nam, że jeśli upuścimy cokolwiek, to coś zawsze spada. Dwa plus dwa zawsze daje cztery. Brak sprzeczności jest istotą wiedzy.

Myśląc o tym, kiwam potwierdzająco głową.

- A skoro tak, co czyni psychoanaliza? - Doktor Hillstead gestykuluje. - Jakie jest nasze podejście do problemów psychologicznych? To nie jest nauka. Przynajmniej jak dotąd nie. Nie osiągnęliśmy jeszcze stadium dwa plus dwa. Gdybyśmy tam dotarli, poradziłbym sobie z każdym przypadkiem, z którym zetknąłem się w tych ścianach. Wiedziałbym, że w razie depresji stosuję A, B, C i że to zawsze będzie skutkowało, zawsze się sprawdzi. Znalibyśmy prawa, które nie podlegają zmianom i to rzeczywiście byłaby nauka. - Uśmiecha się teraz, jest to cierpki uśmiech, być może nieco smutny. - Ale ja nie potrafię udzielić skutecznej pomocy wszystkim pacjentom. Nawet nie połowie. - Przez chwilę milczy, potem kręci głową. - Co ja robię? Co daje psychoanaliza? To nie jest wiedza. To jest zbiór metod i sposobów, których się próbuje, bo większość z nich sprawdziła się już przedtem kilkakrotnie, a skoro się sprawdziła więcej niż jeden raz, warto spróbować znowu. I tak to wygląda. U wielu moich rówieśników nie mam najlepszej reputacji.

Myślę o tym, co mi powiedział, podczas gdy on czeka.

- Sadzę, że wiem, dlaczego - mówię. - W niektórych komórkach Biura Federalnego przywiązuje się większą wagę do własnego wizerunku niż do osiągniętych rezultatów. Podobnie jest chyba z tymi psychoanalitykami, którzy ciebie nie lubią.

Obdarza mnie znowu znużonym uśmiechem.

- Masz rację, co do pragmatycznej istoty sprawy, jak zawsze, Smoky. W każdym razie jak zawsze, kiedy chodzi o sprawy, które nie dotyczą ciebie samej.

Krzywię się wewnętrznie, gdy to słyszę. To jedna z ulubionych technik doktora Hillsteda - prowadząc zwyczajną, wydawałoby się, rozmowę, wykorzystuje ją jako zasłonę dla obnazających twoje wnętrze pocisków, którymi bombarduje cię jakby mimochodem. Takich jak ten wystrzelony przed chwilą w moim kierunku. „Masz bystry, wnikliwy umysł, Smoky - powiedział - ale niestety nie posługujesz się nim do wyjaśniania własnych najważniejszych dla ciebie problemów”. Auu, prawda boli.

- Ale jednak jestem tutaj, niezależnie od tego, co ktokolwiek sobie o mnie myśli. I jestem uważany za jednego z najbardziej godnych zaufania specjalistów, gdy w grę wchodzi przypadki z udziałem agentów FBI. Jak sądzisz, czemu tak się dzieje?

Znowu spogląda na mnie i czeka. Wiem, że zmierza w ten sposób do czegoś. Doktor Hillstead nigdy nie mówi w sposób chaotyczny, trudny do zrozumienia, więc zastanawiam się nad tym pytaniem.

- Jeśli musiałabym zgadywać, powiedziałabym, że dzieje się tak, ponieważ jesteś dobry. Dobry w moim fachu liczy się zawsze bardziej niż ten, który wygląda na dobrego.

Znowu ten uśmiech.

- To prawda, mam efekty. Nie obnoszę się z tym dookoła ani nie poklepuję się dumnie po ramieniu każdego wieczoru, zanim pójdę spać. Ale to prawda.

Wypowiada te słowa tak zwyczajnie, bez krzty arogancji, tonem znakomitego specjalisty. Rozumiem to. Tu nie chodzi o skromność. W sytuacji taktycznej, jeśli pytasz kogoś, czy jest dobry w strzelaniu, oczekujesz, że powie ci prawdę. Jeśli jest do dupy, chcesz to wiedzieć i ten ktoś chce także, żebyś o tym wiedział i nie liczył na niego. Pocisk zabija kłamcę równie szybko jak człowieka uczciwego. Musimy znać prawdę o słabości i sile, kiedy guma ma się zetknąć z drogą. Przytakuję, więc skinieniem głowy, a on mówi dalej.

- To właśnie ma przede wszystkim znaczenie w każdej organizacji militarnej: czy możesz osiągnąć cel. Dziwi cię pewnie, że uważam FBI za organizację militarną?

- Nie. U nas zawsze jest wojna.

- Wiesz, co stanowi kluczowy problem każdej militarnej organizacji? Zawsze?

Ogarnia mnie nagle zmęczenie, zniecierpliwienie.

- Nie wiem.

Doktor Hillstead spogląda na mnie z wyrzutem, z dezaprobatą.

- Zastanów się nad tym, zanim odpowiesz, Smoky. Proszę, nie lekceważ tego, co mówię.

Skarcona, zaczynam myśleć.

- Wydaje mi się - odpowiadam w końcu powoli - że... personel.

Wyciąga palec w moją stronę.

- Bingo. A teraz, dlaczego?

Odpowiedź pojawia się w moim umyśle nagle, tak jak to bywało, gdy prowadziłam konkretne śledztwo, kiedy o nim rozmyślałam.

- Powodem jest to, co widzimy.

- No tak, to jest część tego. Ja to nazywam: Widzieć-Robić-Tracić. To, co widzicie, to, co robicie i to, co tracicie. To jest triumwirat. - Wylicza te punkty na palcach. - Pracując w organach ochrony porządku publicznego, widzicie najgorsze rzeczy, do jakich zdolna jest ludzka istota. Robicie rzeczy, do których robienia nie powinien być zmuszony żaden człowiek - począwszy od zajmowania się gnijącymi szczątkami aż po zabijanie innych ludzi. I tracicie - albo coś niematerialnego, nieuchwytnego jak swego rodzaju niewinność i optymizm, albo coś realnego, jak na przykład partner czy... rodzina.

Obrzuca mnie spojrzeniem, którego nie mogę rozszyfrować.

- Do tego prowadzę. Jestem tutaj z powodu tego problemu i to właśnie ten problem uniemożliwia mi wykonywanie mojej roboty w taki sposób, w jaki powinna być wykonywana.

Teraz jestem zaskoczona i zaintrygowana. Daję mu wzrokiem sygnał, by mówił dalej, a on wzdycha. To westchnienie zdaje się wyrażać jego własne „Widzę-Robię-Tracę” i myślę teraz o innych ludziach, którzy siadają naprzeciw niego po drugiej stronie tego biurka, na tym samym krześle. O innych nieszczęściach, których wysłuchuje w tym gabinecie i które zabiera ze sobą do domu, gdy stąd wychodzi.

Patrząc na niego, próbuję sobie wyobrazić doktora Hillsteada siedzącego w domu. Znam podstawowe fakty, zebrałam o nim dość pobieżnie trochę informacji. Nigdy nie był żonaty, mieszka w piętrowym domu o pięciu sypialniach w Pasadenie. Jeździ sedanem audi, lubi szybką jazdę - to jest wskazówka odnosząca się do jakiejś części jego osobowości. Ale wszystko to są zimne, nagie fakty. Nie mogą mi powiedzieć niczego o tym, co dzieje się, kiedy wchodzi do swojego domu przez wejściowe drzwi i zamyka je za sobą. Czy jest typem kawalera, który przyrządza sobie kolację w kuchence mikrofalowej? Czy też smaży befszytk, do którego sączy samotnie czerwone wino przy nieskazitelnie czystym stole, gdy w tle rozbrzmiewa muzyką Vivaldiego. Ejże, a może po przyjsciu do domu wkłada buty na wysokich obcasach i nic więcej, po czym bierze się do sprzątnia.

Przypada mi do gustu ta myśl, okruczeństwo skrywanego humoru. Będę odtąd próbowała nie rozstawać się ze śmiechem, o ile mi się uda. Zmuszam się do skupienia nad tym, co teraz do mnie mówi.

- W normalnym świecie ktoś, kto przeszedłby coś takiego, co ty przeszłaś, Smoky, na pewno by nie myślał o powrocie. Gdybyś była przeciętną osobą wykonującą jakiś zwyczajny zawód, trzymałabyś się już zawsze z dala od broni, zabójstw i zwłok. Tego się właśnie ode mnie oczekuje, bym zbierał zranione dusze i posyłał je z powrotem na wojnę. Brzmi to być może melodramatycznie, ale taka jest prawda.

Po tych słowach doktor Hillstead pochyła się do przodu i czuję, że docieramy do końca czegoś, do punktu, gdzie mnie prowadzi, chociaż jeszcze nie wiem, jaki to będzie punkt.

- Czy wiesz, dlaczego chcę się tym zajmować? Gdy wiem, że mogę kogoś wysłać z powrotem tam, gdzie został ciężko doświadczony? - Przerywa na chwilę. - Ponieważ dziewięćdziesiąt dziewięć procent moich pacjentów chce właśnie tego.

Doktor ścisła znowu grzbiet nosa i kręci głową.

- Wszyscy ci ludzie, mężczyźni i kobiety, z którymi się tu spotykam, pokieraszowani mentalnie i duchowo, chcą zostać wyleczeni, żeby móc wrócić do walki. I prawda wygląda tak, że bez względu na to, co wami powoduje, ten powrót w większości wypadków jest tym, czego potrzebujecie najbardziej. Czy wiesz, co się dzieje zazwyczaj z tymi, którzy się przed tym bronią? Czasami wszystko kończy się dobrze, ale w bardzo wielu przypadkach popadają w alkoholizm; zdarza się, że popełniają samobójstwo.

Mówiąc to, spogląda na mnie, a ja od razu reaguję paranoicznie, zastanawiając się, czy on rzeczywiście potrafi czytać w moich myślach. Nie mam pojęcia, do czego to ma prowadzić. Czuję się wytrącona z równowagi, trochę niepewnie i zdecydowanie nieprzyjemnie. Ten konglomerat uczuć wywołuje we mnie irytację. Moi przodkowie pochodzili z Irlandii, więc reaguję w sposób typowo irlandzki - wkurzam się i obciążam winą za to drugą osobę.

Hillstead wyciąga lewą rękę, podnosi z biurka grubą teczkę z dokumentami, której przedtem nie zauważyłam, kładzie ją przed sobą i otwiera. Przyglądam się temu spod zmrużonych powiek i ze zdziwieniem dostrzegam na naklejce swoje nazwisko.

- To są twoje akta osobowe, Smoky. Mam je od pewnego czasu i przeczytałem je wielokrotnie. - Przewraca kartki, wypunktowując na głos:

- Smoky Barrett, urodzona w 1968. Ukończone studia kryminologiczne. Przyjęta do FBI w roku 1990. Ukończyła z najlepszym wynikiem w swojej grupie Akademię FBI w Quantico. Przydzielona do pomocy w śledztwie dotyczącym Czarnego Anioła w Wirginii w roku 1991. Funkcje administracyjne. Ale nie ograniczałaś się do nich, prawda?

Kiwam głową, staram się to sobie przypomnieć. Oczywiście, że nie. Miałam dwadzieścia dwa lata, byłam zupełnie zielona. Bardzo przejęta tym, że jestem agentką, a jeszcze bardziej podekscytowana faktem, że biorę udział w ważnym śledztwie, chociaż mój udział sprowadzał się głównie do pracy za biurkiem. Podczas jednej z odpraw coś dotyczącego tej sprawy utkwiło mi w pamięci. To były pewne słowa, które padły w zeznaniu jednego ze świadków, coś mi się w nich jakoś nie zgadzało. Nie dawało mi to spokoju, myślałam o tym wciąż jeszcze, kładąc się spać. Obudziłam się o czwartej nad ranem w stanie silnego napięcia emocjonalnego i doznałam olśnienia. W latach następnych zdarzało mi się to wielokrotnie, aż do tego przywykłam. Rzecz w tym, że to, co wtedy tak nagle zrozumiałam, doprowadziło do rozwiązania sprawy. Chodziło o to, z której strony otwarto okno. Drobnutki szczegół, niewart z pozoru zapamiętania, stał się ziarenkiem grochu pod moim prześcieradłem, zadecydował o udowodnieniu winy mordercy. Uznałam to za szczęśliwy traf i zbagatelizowałam całą rzecz. Miałam rzeczywiście szczęście, a polegało ono na tym, że kierujący moją grupą agent specjalny Jones był jednym z tych nielicznych szefów, którzy nie usiłują przypisać sobie wszelkich sukcesów, ale umieją docenić osiągnięcia i walory innych. Nawet zielonego agenta kobietę. Byłam wciąż nowicjuszka, nadal najczęściej pracowałam za biurkiem, lecz od tego momentu zaczęłam szybko awansować. Pod czujnym okiem agenta specjalnego Jonesa przygotowywano mnie do pracy w CASMIRC (Child Abduction and Serial Murder Investigative Resources Center).

- Przydzielona do CASMIRC trzy lata później. To naprawdę szybki skok w górę, czyż nie?

- Zazwyczaj agenci przydzielani do CASMIRC mają za sobą dziesięcioletni staż w FBI.

Nie powiedziałam tego, by się chełpić, tak było rzeczywiście. Doktor Hillstead czyta dalej:

- Kilka następnych spraw rozwiązanych, nadzwyczaj pochlebne opinie. Awans na szefa oddziału CASMIRC w Los Angeles w roku 1996. I tu dopiero zaczęłaś błyszczeć naprawdę.

Wracam pamięcią do tamtego okresu. „Błyszczeć” to doskonałe określenie. W roku 1996 wszystko wydawało się doskonale układać, nie było żadnych ciemnych plam. Jesienią 1995 urodziłam szczęśliwie córeczkę. Otrzymałam wysokie stanowisko w Los Angeles, co było moim kolejnym zawodowym sukcesem. A przy tym Matt i ja czuliśmy się ze sobą doskonale jak zawsze. Rok 1996 - jeden z tych, kiedy każdego ranka budziłam się pełna radości życia, świeża i gotowa do nowych zadań. Wystarczyło wtedy sięgnąć ręką, by poczuć, że Matt jest przy mnie, tu gdzie powinien być.

Miałam wówczas wszystko, czego obecnie nie mam. Czuję, jak wzbiera we mnie gniew na doktora Hillsteda, że mi o tym przypomina. Że sprawia, iż terażniejszość w porównaniu z tamtym okresem staje się jeszcze bardziej ponura i pusta.

- Czy to ma jakiś sens? - pytam.

Doktor unosi dłoń uspokajającym gestem.

- Jeszcze tylko chwila. Biuro w Los Angeles miało mizerne wyniki. Dostałaś carte blanche na zmiany personalne i sprowadziłaś trójkę agentów z różnych miejsc Stanów. Uważano początkowo, że wybrałaś dość dziwnych ludzi, ale w końcu okazali się całkiem niezli, prawda?

To stanowczo za słabo powiedziane, myślę. Kiwam tylko głową, wciąż zła na niego.

- Tak naprawdę, twój zespół jest jednym z najlepszych w historii biura federalnego, czyż nie?

- Najlepszym.

Nie mogłam tego nie powiedzieć. Jestem dumna z mojego zespołu, nie potrafię zdobyć się na skromność, gdy chodzi o nich. Poza tym to jest szczerą prawdą.

- Słusznie. - Przerzuca kilka następnych kartek. - Mnóstwo rozwiązanych spraw. Kolejne wspaniałe oceny. Niektórzy odnotowują, że byłaś pierwszą kobietą pełniącą kiedykolwiek funkcję dyrektora w FBI.

Wszystko to jest prawdą. Wszystko to także coraz bardziej mnie irytuje, choć niezupełnie rozumiem, dlaczego. Wiem tylko, że narasta we mnie wściekłość i czuję, że jeszcze chwila, a dojdzie do eksplozji.

- Coś innego w twojej teczce przyciągnęło jeszcze moją uwagę. Adnotacje o twoich umiejętnościach strzeleckich. - Podnosi na mnie wzrok i odczuwam nieprzyjemne zaskoczenie. Coś budzi się we mnie i poznaję - to lęk. Zaciskam dłonie na poręczach fotela, podczas gdy on mówi dalej.

- Napisano tu, że być może zaliczasz się do światowej czołówki w strzelaniu z broni krótkiej. To prawda, Smoky?

Spoglądam na swojego terapeutę odrętwiała. Gniew gdzieś uleciał. Ja i pistolety. To, co powiedział, jest całkowicie zgodne z prawdą. Mogę podnieść pistolet i wystrzelić, tak jak inni ludzie podnoszą szklankę wody lub wsiadają na rower. Robi się to instynktownie. Nie jest to sprawa genów. Nie było tak, że mój ojciec pragnął mieć syna, więc uczył mnie posługiwania się bronią. Mój ojciec w ogóle nie znosił strzelania, jedynie nie zabraniał mi tego.

Miałam wtedy osiem lat. Ojciec miał przyjaciela, który walczył w Wietnamie, służył w zielonych beretach. To on miał bzika na punkcie broni. Mieszkał w blokach w podupadłej dzielnicy San Fernando Valley, co pasowało do niego. Był zniszczonym przez życie człowiekiem, ale do dzisiaj pamiętam jego oczy: bystre i pełne młodzieńczego blasku.

Na imię miał Dave. Jakoś mu się udało wyciągnąć mojego ojca na strzelnicę w cieszącej się nie najlepszą sławą San Bernardino County, a tata zabrał mnie ze sobą na tę wycieczkę, zapewne przeświadczony o tym, że będzie trwała krótko. Tata nakłaniany przez Dave'a wystrzelił kilka magazynków. Przyglądałam się temu z założonymi na uszy ochraniaczami zdecydowanie za



dużymi na moją małą głowę. Przyglądałam się im obu, gdy trzymali broń w dłoniach kompletnie zafascynowana tym widokiem.

- Mogę spróbować? - pisałam.

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł, kochanie - powiedział tato.

- Ooo, daj spokój, Rick. Wezmę dla niej mały pistolet, dwudziestkę-dwójkę. Pozwól jej, niech sobie puknie parę razy.

- Proszę, tatusiu.

Spojrzałam na ojca moim najbardziej rozczulającym wzrokiem, takim, jaki zawsze rozmiękczał jego serce. Popatrzył na mnie, widziałam na jego twarzy walkę ze sobą, potem westchnął.

- Okay, ale tylko kilka strzałów.

Dave przyniósł dwudziestkę-dwójkę, małego pistolecik o rozmiarach odpowiednich dla mojej dłoni, po czym wyciągnęli skądś taboret, żebym mogła wyżej stanąć. Dave załadował broń, stanął za mną i włożył mi ją w rękę, podczas gdy ojciec przyglądał się temu z lekkim niepokojem.

- Widzisz tam cel? - Skinęłam twierdząco. - Zdecyduj się, gdzie chcesz trafić, nie spiesz się. Kiedy naciśniesz spust, rób to powoli, nie szarp go, bo wtedy kula przeleci obok celu. Gotowa?

Przytaknęłam, ale tak naprawdę prawie nie słyszałam tego, co mówi. Trzymałam w ręku pistolet i coś odezwało się we mnie, zadźwięczało, jakby odpowiadając na jakiś zew. Przebiegłam wzrokiem wzdłuż strzelnicy do celu w kształcie ludzkiej sylwetki, wydało mi się, że jest blisko mnie i łatwy do trafienia. Wymierzyłam w jego kierunku, wstrzymałam oddech, nacisnęłam spust.

Zaskoczyło mnie, że ten mały pistolecik tak mocno szarpnął się w moich niedużych dłoniach.

- O cholera! - zapiał z zachwytu Dave.

Spojrzałam spod zmrużonych powiek na cel i zobaczyłam, że pośrodku głowy, dokładnie tam, gdzie chciałam trafić, pojawiła się dziurka.

- To może być tylko wrodzony talent, młoda damo - powiedział Dave.

- Spróbuj jeszcze parę razy.

„Kilka strzałów” zmieniło się w półtorej godziny strzelania. W tym czasie zaliczyłam ponad dziewięćdziesiąt procent celnych trafień i zanim zabawa dobiegła końca, wiedziałam już, że będę strzelała przez całe życie. I że będę w tym dobra.

W następnych latach mój tato umożliwiał mi treningi, chociaż osobiście nie znosił broni palnej, budziła w nim wręcz wstręt. Myślę, że uświadamiał sobie, że strzelanie stało się nieodłączną częścią mnie samej. Do tego stopnia zrosło się z moją osobowością, że nie miało sensu trzymanie mnie od tego z daleka.

Czy to prawda? Jestem przerażająco dobra. Nie lubię o tym mówić, nie chwale się publicznie, ale wiem o tym doskonale. Potrafię kulami gasić świece czy przestrzeliwać na wylot dwudziestopięć-centówki rzucone do góry. Kiedyś na strzelnicy na otwartym powietrzu położyłam na rękę piłeczkę pingpongową na grzbiecie tej dłoni, którą zawsze sięgam po broń. Leżała tak tylko przez chwilę, pociągnęłam rękę w dół, chwyciłam pistolet, poderwałam broń do góry i jednym strzałem rozerwałam piłeczkę na strzępy, zanim zdążyła upaść na ziemię. Głupawa sztuczka, ale sprawiła mi dużo satysfakcji.

Wszystko to przelatuje mi przez głowę, podczas gdy doktor Hillstead przygląda mi się z uwagą.

- To prawda - mówię.

Doktor zamyka teczkę, splata dłonie i wciąż na mnie patrzy.

- Jesteś wyjątkowym agentem. Z pewnością jednym z najlepszych agentów kobiet w historii Biura Federalnego. Tropisz przestępców najgorszych spośród najgorszych. Sześć miesięcy temu mężczyzna, którego ściagałaś, Joseph Sands, odnalazł ciebie i twoją rodzinę. Zabił Matta na twoich oczach, zgwałcił cię i torturował, zabił twoją córkę. Zdobyłaś się wtedy na nadludzki wysiłek, odwróciłaś sytuację i pozbawiłaś go życia.

Czuję się teraz całkowicie otepiała. Nie wiem, do czego to wszystko zmierza i przestaje mnie to obchodzić.

- Tak, więc ja, przedstawiciel profesji, w której dwa plus dwa nie zawsze daje cztery i w której upuszczone przedmioty nie zawsze spadają, staram ci się pomóc powrócić do tych wydarzeń.

Spojrzenie, które napotykam, jest tak pełne szczerego współczucia, że muszę odwrócić wzrok, bo mam wrażenie, że mnie nim pali.

- Próbuję to robić już od bardzo dawna, Smoky. I przychodzisz już dość długo. Pogłębiając odczucia związane ze sprawami i faktami - ty doświadczasz czegoś podobnego w swojej pracy, nazywasz to prawdopodobnie przecuciami. Co mówią mi moje przecucia o tym, w jakim punkcie jesteśmy? Sądzę, że próbujesz wybrać jedną z dwóch możliwości - wrócić do pracy albo się zabić.

Kieruję z powrotem wzrok na niego, mimowolnie zdradzając, że zostałam trafiona. Odretwienie znika natychmiast i zdaję sobie sprawę, że cały czas byłam przedmiotem jego gry. Gry prowadzonej z wielką finezją. Krążył dokoła, mówił niekiedy tak, że nie wiedziałam, o co mu chodzi, kłuł mnie, wyprowadzał z równowagi, a potem ruszył z nienacka do przodu, by zadać cios. Prosto w najczulsze miejsce, bez wahania. I osiągnął zamierzony skutek.

- Nie mogę ci pomóc, jeśli nie będziesz ze mną całkowicie szczerą, Smoky.

Znów ten pełen współczucia wzrok, zbyt szczerzy, uczciwy i przychylny dla mnie w tym momencie. Jego oczy są jak dwie ręce, które wyciąga, by chwycić w nie moją duszę i mocno nią potrząsnąć. Czuję, że pod powiekami wzbierają mi łzy, ale spojrzenie, które odwzajemniam, jest

pełne gniewu. On chce mnie złamać, tak jak ja złamałam już wielu przestępców, w licznych pokojach przesłuchań. No i dobrze, pieprzę to.

Doktor Hillstead wyczuwa chyba, o czym myślę. Uśmiecha się lekko.

- Okay, Smoky. Już wszystko dobrze. Jeszcze tylko jedna, ostatnia rzecz.

Otwiera szufladę biurka i wyjmuje plastikową torbę, w jakich przechowuje się dowody gromadzone w śledztwie. Początkowo się nie domyślam, co w niej jest, ale po chwili już wiem i zaczynam drżeć i pocić się jednocześnie. To mój pistolet. Ten, z którym nie rozstawałam się przez lata i z którego zastrzeliłam Josepha Sandsa.

Nie mogę oderwać od niego oczu. Znam go tak dobrze jak własną twarz. Glock, śmiertelny, czarny. Znam jego wagę, znam dotyk, pamiętam nawet jego zapach. Tkwi teraz wewnątrz torby i na jego widok ogarnia mnie paralizujący strach.

Doktor Hillstead otwiera torbę, wyciąga pistolet. Kładzie go na biurku pomiędzy nami. Spogląda na mnie znowu, lecz tym razem patrzy twardo, bez cienia współczucia. Przestał się ze mną cackać. Uświadamiam sobie, że tym strzałem, który wydał mi się najcelniejszy, nie trafił nawet blisko celu. Z niezrozumiałych dla mnie, a na pewno oczywistych dla niego powodów, teraz następuje dopiero coś, co ma mnie złamać, zmusić do ostatecznego otwarcia się. Moja własna broń.

- Ile razy sięgałaś po ten pistolet, Smoky? Tysiąc? Dziesięć tysięcy?

Oblizuję wargi, są suche i spierzchnięte. Nie odpowiadam. Nie mogę oderwać oczu od glocka.

- Sięgnij po niego teraz, a wystawię ci oficjalną opinię, że jesteś zdolna do służby czynnej, jeśli oczywiście tego chcesz.

Nie potrafię odpowiedzieć i nie potrafię przestać patrzeć na pistolet. Jakaś moja część wie, że jestem w gabinecie doktora Hillsteda i że on siedzi naprzeciw mnie, ale właściwie cały świat skurczył się przeraźliwie - istniejemy tylko ja i mój pistolet. Nie docierają tu żadne dźwięki, więc w mojej głowie panuje dziwna, spokojna cisza, słyszę tylko, jak ciężko i szybko wali moje serce.

Znowu zwilżam językiem wargi. Wyciągnij tylko rękę i sięgnij po niego, mówię sobie. „Robiłaś to tysiąc razy - powiedział. - Ten pistolet jest przedłużeniem twojej ręki i sięgnięcie po niego jest czymś tak naturalnym jak oddychanie i mruganie”.

Leży tu, a moje ręce zastygły, jakby zamarły sztywno na poręczach fotela.

- No, dalej. Weź go.

Głos doktora stał się twardy jak jego wzrok. Nie brzmi brutalnie, ale nieustępliwie. Udało mi się oderwać jedną rękę od poręczy i przesuwam ją do przodu całą siłą woli, jaką mogę z siebie wykrzesać. Nie chcę być posłuszną i jakaś część mnie, bardzo niewielka część, która zachowała zdolność analizy i opanowanie, nie może uwierzyć, że dzieje się coś takiego. To, co zamierzam zrobić, odruchowo staje się dla mnie czymś najtrudniejszym do wykonania.

Czuję, jak pot spływa mi po skroniach. Drzę na całym ciele, kontury obrazu, jaki mam przed oczyma, zacierają się. Mam trudności z oddychaniem i czuję, że narasta we mnie panika. Dławiące uczucie klaustrofobii, osaczenia. Ręka mi drży jak drzewo w czasie huraganu. Mięśnie na przemian kurczą się i rozkurczają jak worek pełen węży. Zbliżam dłoń do pistoletu i wreszcie zatrzymuję ją tuż nad nim. Teraz już nie drzę, lecz trzęsę się i cała spływam potem.

Zeskakuję z fotela, przewracam go i krzyczę. Krzyczę i biję się pięściami po głowie. Szlocham i wiem, że to on jest sprawcą tego wszystkiego. Rozłupał mnie, złamał, rozdarł, rozbebeszył. Fakt, że zrobił to, by mi pomóc, nie przynosi mi żadnej ulgi, bo w tym momencie wszystko jest we mnie bólem, bólem, bólem.

Odchodzę od biurka pod ścianę po lewej stronie i osuwam się przy niej na podłogę. Zdaję sobie sprawę, że teraz jęczę, zawodzę, lamentuję. To straszny dźwięk. Rani mnie, zadaje cierpienie. Tak było zawsze, słyszałam go już wiele razy. To jest głos wydawany przez kogoś, kto ocalał i uświadamia sobie, że wciąż żyje, gdy wszystko, co kochał, odeszło na zawsze.

Słyszałam go z ust matek, mężów, przyjaciół, gdy musieli identyfikować ciało w kostnicy lub właśnie ode mnie dowiadywali się o tragicznej śmierci swoich najbliższych i bliskich.

Dziwi mnie to, że nie czuję się w tym momencie zawstydzona, ale nie ma we mnie miejsca na wstyd. Cała jestem wypełniona bólem.

Doktor Hillstead przesuwa się w moją stronę. Nie zamierza mnie obejmować ani dotykać. Tak się nie zachowują terapeuci. Jednak czuję go przy sobie, jest przyczajoną plamą mającą przede mną i w tym momencie budzi we mnie doskonałą, bezgraniczną nienawiść.

- Mów do mnie, Smoky. Powiedz mi, co się dzieje.

Ten głos, tak pełen szczerzej życzliwości, wywołuje nową falę bólu. Odpowiadam, wydaję z siebie, nie przestając szlochać, zdławione, urywane okrzyki:

- Nie mogę tak żyć, nie potrafię żyć jak teraz, bez Matta, bez Alexy, bez miłości, martwa wewnątrz, straciłam wszystko, straciłam wszystko i...

Czuję, że moje usta układają się do wypowiedzenia „O”. Czuję to. Spoglądam na sufit, chwytam się za włosy i w następnej chwili tracę przytomność, lecz przedtem zdołałam jeszcze wyrwać sobie dwie ich pełne garście.

### 3

Wydaje się dziwne, że demon potrafi mówić takim głosem. Jest wysoki na prawie trzy metry, ma agatowe oczy i głowę z mnóstwem ust ze zgrzytającymi zębami, ust, które krzyczą. Pokrywające go łuski są czarne od czegoś, co zostało spalone. Ale kiedy mówi, ten głos ma nosowe brzmienie i kojarzy się nieodparcie z wymową mieszkańców Południa.

- Kocham pożerać dusze - oznajmia tonem swobodnej pogawędki. - Nie ma nic wspanialszego niż zawłaszczanie czegoś, co było przeznaczone Niebu.

Leżę naga, przywiązana do łóżka cienkimi, ale niedającym się zerwać srebrnymi łańcuszkami. Zupełnie jakbym była Śpiącą Królową, która przez przypadek trafiła do opowieści H. P. Lovecrafta i która po przebudzeniu poczuła na ustach raczej rozwidlony język niż łagodny pocałunek bohatera. Zakneblowana jedwabnym szalem, nie mogę w ogóle mówić.

Demon stoi w nogach łóżkach, więc kiedy się odzywa, spogląda na mnie z góry. Sprawia wrażenie odpreżonego i o coś zazdrosnego zarazem. Patrzy na mnie z dumą jak myśliwy na jelenia przytroczonego do maski samochodu. Wymachuje ząbkowanym nożem wojskowym. Nóż wydaje się bardzo mały w jego ogromnych szponiastych dłoniach.

- Ale lubię, żeby moje dusze były dobrze przyrządzone i pikantne. Twojej czegoś brakuje... może jeszcze odrobiny bólu i szczypty męki.

Jego oczy zieją pustką, czarna ślina, wyglądająca jak ropa, ścieka pomiędzy kłów, spływa mu po podbródku na olbrzymią, pokrytą łuskami pierś. Demon nie zdaje sobie z tego sprawy, co jest przerażające. Uśmiecha się pożądliwie, ukazując wszystkie spiczaste zęby, i grozi mi żartobliwie pazurem.

- Mam tutaj także kogoś innego, kochanie. Moja słodka, słodka Smoky.

Odsuwa się na bok, by odsłonić księcia - to jego pocałunek powinnam poczuć po przebudzeniu - mojego Matta. Człowieka, którego poznałam, mając siedemnaście lat. Człowieka, o którym wiem wszystko, co ludzka istota może wiedzieć o innej ludzkiej istocie. Jest nagi, przywiązany do krzesła. Był bity długo i straszliwie. Tak się bije, gdy chce się zadać komuś jak najwięcej bólu, ale nie chce spowodować śmierci bitego. Gdy się chce, żeby ofiara poczuła, że bicie nigdy nie będzie miało końca. Gdy chce się unicestwić w niej wszelką nadzieję, zachowując ją przy życiu. Jedno oko ma opuchnięte do tego stopnia, że nie widzi nim niczego, nos złamany, za zmasakrowanymi wargami nie ma zębów. Dolna szczęka jest zmiążdżoną bezkształtną masą.

Sands, znęcając się na Mattem, używał też noża. Widzę małe, głębokie rany na całej twarzy, tej twarzy, którą kochałam, całowałam i tuliłam. Wielkie cięte rany na piersiach i wokół pępka.

Wszędzie tyle krwi. Krew ścieka, płynie, bulgocze, gdy Matt oddycha. Demon rozsmarował ją na brzuchu Matta, by móc grać w kółko i krzyżyk. Widzę, że wygrał Os.

Napotykam spojrzenie Matta - patrzy na mnie jedynym otwartym okiem i dostrzegam tam absolutną rozpacz, co sprawia, że mój umysł wypełnia przeraźliwe wycie. Płynie z samych moich trzewi druzgocący duszę dźwięk, ucieleśnienie przerażenia. Ryk huraganu potężnego na tyle, iż może zniszczyć świat. Przepelnia mnie wściekłość tak intensywna i bezgraniczna, że niszczy wszelką świadomą myśl z gwałtownością eksplodującej bomby. Jest to wściekłość obłędna, całkowita ciemność jakiejś podziemnej pieczary. Zaćmienie duszy.

Wrzeszczę jak zwierzę przez knebel. To wrzask, od którego gardło powinno zacząć krwawić, a bębni w uszach pękać, i napieram na łańcuchy tak, że wrzynają mi się w skórę. Oczy wychodzą mi z orbit, próbują wyskoczyć z oczodołów. Gdybym była psem, toczyłabym pianę z pyska. Pragnę tylko jednego - zerwać te więzy i zadławić demona gołymi rękami. Nie chcę, żeby od razu skonał, pragnę wyrwać zeń wnętrzności. Rozerwać go na kawałki, by się stał nierozpoznawalny. Chcę porozbijać atomy, z których jest zbudowany i zmienić go w mgłę.

Ale łańcuszki są mocne, nie pękają. Nawet się nie rozluźniły. Demon przygląda mi się zafascynowany, jedna jego ręka spoczywa na czole Matta w parodii ojcowskiego gestu.

Demon wybucha śmiechem i kręci monstrualną głową, z jego niesamowicie licznych ust wydobywają się protestujące miauknięcia. Odzywa się znowu tym głosem, który nie pasuje w ogóle do jego postaci.

- Otóż to! Przyrządź i podlej sosem i przypiecz na wolnym ogniu. - Mruga do mnie. - Nic tak nie zdoła uwydatnić smaku bohaterskiej duszy jak odrobina rozpacz. - Przerywa, potem jego głos na chwilę nabiera powagi, nabrzmiwa czymś w rodzaju perwersyjnego żalu. - Nie miej o to do siebie pretensji, Smoky. Nawet bohater nie może zawsze wygrywać.

Przenoszę znowu wzrok na Matta i to, co widzę w jego oku, budzi we mnie pragnienie śmierci. W tym spojrzeniu nie ma lęku, bólu czy przerażenia - jest tylko miłość. Udało mi się, choć na moment wypchnąć demona ze świata tej sypialni, więc jesteśmy tu sami, on i ja, i patrzemy wzajemnie na siebie.

Jednym z darów, którym los obdarza długotrwałe małżeństwa, jest zdolność przekazywania wszystkiego - od lekkiego niezadowolenia po sens życia - jednym spojrzeniem. Jest to coś, co się zdobywa w procesie jednoczenia swojej duszy z duszą małżonka, jeżeli chce się takiego zjednoczenia. Matt popatrzył na mnie jednym, pięknym okiem i takim właśnie spojrzeniem przekazał mi trzy wyznania: „Przykro mi, kocham cię i... do widzenia”.

To było tak, jakbym patrzyła na zagładę świata. Dokonywała się nie w płomieniach i ogniu, lecz w zimnym, wilgotnym mroku. W ciemności, która zapadła na zawsze. Demon, jak się zdaje,

czuje to także. Znowu się śmieje i wykonuje ogromnym cielskim taniec pełen podskoków, machając ogonem i ociekając ropą, spływającą wszystkimi porami.

- Ach, amóre. Jakież to słodkie. To będą czereśnie na wierzchu mojego deseru lodowego, którym jesteś, Smoky - śmierć miłości.

Drzwi pokoju otwierają się, zamykają. Nie widzę, żeby ktokolwiek wchodził... ale na skraju mojego pola widzenia pojawia się teraz jakaś nieduża, niewyraźna postać. Jest w niej coś, co napędza mnie rozpaczą.

Matt przymyka oko, czuję znowu przyływ wściekłości, naprężam więzy.

Nóż leci w dół, słyszę chlupiący dźwięk cięcia i Matt krzyczy zmaltretowanymi ustami, ja krzyczę przez knebel. I królewicz z bajki umiera...

Budzę się z krzykiem.

Leżę na kozetce w gabinecie doktora Hillsteda. Klęczy przy mnie, nie dotyka mnie, tylko uspokaja słowami.

- Cicho, cicho, Smoky. Już dobrze, to był koszmar sen. Jesteś tutaj, jesteś bezpieczna.

Dygoczę, jestem zlana potem, czuję łzy zasychające na mojej twarzy.

- Wszystko w porządku? - pyta mnie doktor. - Wróciłaś?

Nie mogę na niego patrzeć. Siadam.

- Czemu to zrobiłeś? - szepczę.

Przestałam już udawać przed moim psychoanalitykiem, że jestem silna. Porozbijał mnie i trzyma moje wciąż jeszcze bijące serce w swoich rękach.

Nie odpowiada natychmiast. Wstaje, chwytając krzesło i stawia je przy kozetce. Siada. Chociaż wciąż nie mogę na niego patrzeć, czuję, że on przygląda mi się jak ptak uderzający skrzydłami o szybę okna niepewny, ale nieustępliwy.

- Zrobiłem to, ponieważ... musiałem. - Milknie na chwilę. - Smoky, pracuję z agentami FBI i agentami innych organów ochrony porządku publicznego już od dziesięciu lat. Jesteście ludźmi stworzonymi z bardzo mocnego tworzywa. Widziałem w tym gabinecie najlepsze składniki człowieczeństwa: poświęcenie, męstwo, honor, poczucie obowiązku. Zgoda, widziałem też drobne podłości, trochę deprawacji, zepsucia. Ale to były wyjątki, a nie reguła. U większości pacjentów napotkałem siłę. Niewiarygodną siłę. Siłę charakteru, duszy. - Przerzywa, wzrusza ramionami. - Panuje powszechny pogląd, że w naszym zawodzie nie powinno się mówić o duszy. Że tak naprawdę nie wierzymy w jej istnienie. Dobro? Zło? To są tylko bardzo szerokie pojęcia, a nie zdefiniowane zjawiska. - Spogląda na mnie ponurym wzrokiem. - Ale to nie są tylko pojęcia, prawda?

Nadal wpatruję się w swoje dłonie, milcząc.

- Ty i twoi rówieśnicy gromadzicie siłę i strzeżecie jej jak talizmanu. Zachowujecie się tak, jak gdyby ona miała pewne organiczne źródło. Jak w przypadku Samsona i jego włosów. Sądzicie, takie odnoszę wrażenie, że jeśli się naprawdę otworzycie tutaj, utracicie tę swoją siłę i nie odzyskacie jej już nigdy. - Milknij znowu, tym razem na dłużej. Ja czuję się pusta i beznadziejnie smutna. - Robię to już od jakiegoś czasu, Smoky, i wierz mi, jesteś jedną z najsilniejszych osób, jaką kiedykolwiek spotkałem. Mogę powiedzieć niemal na pewno, że nikt, żaden z tych ludzi, których dotąd leczyłem, nie byłby zdolny przetrzymać tego, co ty zniosłaś i znosisz nadal. Żaden.

Wreszcie udaje mi się zmusić siebie do spojrzenia na niego. Zastanawiam się, czy on nie żartuje sobie ze mnie. Silna? Nie, nie czuję się silna. Jestem słaba, nie mogę nawet wziąć do ręki mojego pistoletu. Patrzą, więc tylko na niego, on patrzy na mnie... i doznaję prawie szoku - rozpoznaję to nieruchome, bezlitosne spojrzenie. Przyglądałam się nieraz takim wzrokiem zalany krwią miejscom przestępstwa, poćwiartowanym zwłokom. Potrafię patrzeć na podobne okropności, nie odwracając oczu. Doktor Hillstead mierzy mnie tym samym spojrzeniem i uświadamiam sobie, że on ma taki dar wiwisekcji. Potrafi przyglądać się spokojnie i uporczywie okropnościom duszy. Ja jestem dla niego miejscem krwawego przestępstwa, a on na pewno się nie odwróci z niesmakiem, wstrętem lub odrazą.

- Ale też wiem, że jesteś u kresu wytrzymałości, Smoky. A to znaczy, że mam jedynie taki wybór: mogę się przyglądać, jak załamujesz się całkowicie i umierasz albo zmusić cię, byś się otwarła i pozwoliła mi sobie pomóc. Wybieram to drugie.

Wyczuwam prawdę w tych słowach, ich szczerość. Widziałam setki kłamiących przestępców. Potrafię wyczuć kłamstwo, nawet, kiedy śpię. On mówi prawdę. Chce mi rzeczywiście pomóc.

- Więc teraz następny ruch należy do ciebie. Możesz wstać i wyjść albo możemy ruszyć dalej. - Uśmiecha się do mnie znużonym uśmiechem. - Mogę ci pomóc, Smoky. Naprawdę mogę. Nie jestem w stanie cofnąć tego, co się stało. Nie mogę obiecać, że nie będziesz cierpieć przez resztę życia. Ale mogę ci pomóc z tym żyć, jeżeli mi na to pozwolisz.

Patrzą na mojego psychoanalityka i czuję, jak wewnątrz mnie toczy się walka. Ma rację, jestem kobiecym odpowiednikiem Samsona, a on jest moją Dalilą. Tyle tylko, że w tym wypadku, jak mówi, obcinanie włosów nie będzie bolesne. Prosi, żebym mu zaufała w taki sposób, w jaki nie ufam nikomu na świecie. Z wyjątkiem siebie samej.

I...? Słyszę pytanie, które zadaje gdzieś wewnątrz mnie cichy głos. Przymykam oczy w odpowiedzi, tak. I... Matta.

- Okay, doktorze Hillstead. Spróbuję.



Wiem, że mówię to we właściwym momencie, bo przestaję drżeć. Zastanawiam się, czy to, co on powiedział, było prawdą. To o mojej sile. Czy mam siłę, żeby żyć?

## 4

Stoję przed gmachem FBI w Los Angeles, na Wilshire. Spoglądam w górę na budynek i próbuję określić, jakie to we mnie budzi uczucia. Nie budzi żadnych.

Nie mam w nim teraz swojego miejsca, jak kiedyś. Czuję natomiast, patrząc na jego oblicze z betonu i stali, że on przygląda mi się uważnie, bada mnie, oszacowuje. Zastanawiam się, czy tak właśnie widzą go osoby postronne - jako coś imponującego, a może też trochę żarłocznego.

Dostrzegam swoje odbicie w szybie frontowych drzwi i wzdrygam się wewnątrz. Zamierzałam włożyć na siebie kostium, ale zrezygnowałam, uznając, że to świadczyłoby zbyt wyraźnie, jak bardzo chcę odnieść sukces. Dresy sugerowałyby, że niewiele mi na nim zależy. Jako świadectwo neutralności wybrałam dzinsy i bluzę z kołnierzykiem zapinanym na guziki, zwykłe buty na płaskim obcasie, a do tego oszczędny makijaż. Teraz to wszystko wydaje mi się nieodpowiednie i mam chęć uciekać stąd, uciekać, uciekać.

Emocje przetaczają się jak fale, wznoszą się i opadają. Lęk, niepokój, gniew, nadzieja.

Doktor Hillstead zakończył nasze spotkanie nakazem:

- Musisz spotkać się ze swoim zespołem. To nie była dla ciebie tylko praca, Smoky, ale coś, co określało twoje życie. Co stanowiło nieodłączną część tego, kim byłaś. Czym byłaś. Zgadzasz się ze mną?

- Tak, to prawda.

- A ludzie, z którymi pracujesz? Przecież niektórzy z nich są twoimi przyjaciółmi?

Wzruszyłam ramionami.

- Dwoje z nich to moi najlepsi przyjaciele. Próbowali skontaktować się ze mną, ale...

Spojrzał na mnie i unióś brwi, jakby pytał, znając odpowiedź.

- Ale nie widziałas się z nimi od czasu, gdy byłaś w szpitalu.

Przyszli, żeby mnie odwiedzić, gdy leżałam tam cała owinięta bandażami jak mumia. Dziwiłam się, że jeszcze żyję i bardzo pragnęłam umrzeć. Chcieli posiedzieć przy mnie, ale poprosiłam, żeby sobie poszli. Potem było mnóstwo telefonów, pozwoliłam, by wszystkie przeszły na pocztę głosową i na żaden nie odpowiadałam.

- Nie chciałam wtedy widzieć nikogo. A potem... - głos nagle mi zamarł w krtani.

- Potem, co?

Westchnęłam. Wykonałam gest w kierunku twarzy.

- Nie chciałam, żeby zobaczyli, jak wyglądam. Myślę, że gdybym dostrzegła w ich oczach litość, nie zniosłabym tego. To byłoby zbyt bolesne.

Rozmawialiśmy potem trochę szerzej na ten temat i doktor powiedział mi, że jeżeli chcę znowu sięgnąć po pistolet, muszę zrobić pierwszy krok w tym kierunku, a będzie on polegał na tym, że pójde się zobaczyć z moimi przyjaciółmi i stanę z nimi twarzą w twarz.

No i dlatego tutaj jestem.

Zaciskam zęby, apeluję do mojego irlandzkiego uporu i jednym pchnięciem otwieram drzwi. Zamykają się za mną cicho i powoli. Przez moment mam wrażenie, że jestem uwieczona między marmurową podłogą a wysokim sufitem. Czuję się odsłonięta niczym królik na otwartej przestrzeni.

Przechodzę obok metalowych detektorów i pokazuję swoją odznakę. Dyżurny strażnik jest czujny, ma twarde oczy, którymi lustruje mnie dokładnie, mruga przy tym prawie niedostrzegalnie na widok moich blizn.

- Idę powiedzieć „cześć” kolegom z CASMIRC i zastępcy dyrektora - informuję go, czując z jakiegoś powodu, że muszę mu coś powiedzieć, A on obdarza mnie uprzejmym, służbowym uśmiechem, który mówi mi, że tak naprawdę nic go to nie obchodzi.

Czuję się jeszcze bardziej głupio i ruszam w stronę korytarza z windami, przeklinając pod nosem samą siebie.

Wchodzę do windy. Jadę z kimś, kogo nie znam. Facetowi udaje się sprawić, że czuję się jeszcze bardziej speszona, bo widzę, jak niezręcznie stara się odwrócić wzrok od mojej twarzy. Usiłuję nie zwracać na to uwagi i kiedy winda dociera na moje piętro, wychodzę z niej szybciej, niż robiłam to zazwyczaj. Serce bije mi mocno.

Weź się w garść, Barret, warczę. Czego się spodziewasz, skoro wyglądasz jak dzwonnik z Notre Dame? Weź się w garść, do diabła!

Mówienie do siebie najczęściej przynosi właściwy skutek, tym razem jest tak samo. Czuję się już lepiej. Idę wzdłuż korytarza i oto stoję przed drzwiami czegoś, co było kiedyś moim biurem. Znowu budzi się we mnie lęk, wypiera nonszalancję, którą w sobie gromadziłam. Przechodziłam przez te drzwi, nie myśląc o tym w ogóle, więcej razy niż byłabym w stanie zliczyć, więcej razy niż sięgałam po pistolet. Ale odczuwam podobny lęk, nawet silniejszy. Za tymi drzwiami, uświadamiam sobie, jest życie, z którym się rozstałam. Są ludzie współtworzący to życie. Czy mnie zaakceptują? Czy też zobaczą załamana kobietę w masce potwora, przywitają mnie radośnie i wylewnie, by po chwili zająć się swoimi sprawami. Czy wychodząc pospiesznie, poczuje na plecach ich pełne litości spojrzenia?

Widzę ten scenariusz z przerażającą ostrością. Ogarnia mnie panika. Oglądam się za siebie nerwowo. Drzwi windy są wciąż jeszcze otwarte. Muszę tylko odwrócić się na pięcie i uciec. Uciekać i tylko uciekać.

Uciekać, uciekać, uciekać. Przepocić te tenisówki, kupić paczkę marlboro, wrócić do domu i palić, i trzaskać dziobem do siebie w ciemnościach. Płakać bez powodu, przypatrywać się moim

bliznom, rozmyślać o dobroci i życzliwości nieznajomych ludzi. To mi się podoba, kusi tak bardzo, że zaczynam drżeć. Chce mi się zapalić. Pragnę bezpieczeństwa, schronienia dla mej samotności i rozpacz. Chcę, by mnie pozostawiono samą, żebym mogła po prostu powoli tracić rozum i...

...i naraz słyszę Matta. Śmieje się.

To jest ten cichy śmiech, jaki zawsze kochałam, spokojny powiew dobroci i jasności. „Słuuusnie, dziecinko... zmykaj przed niebezpieczeństwem. Taka już jesteś, trudno”. To jeden z jego darów - umiejętność besztania, bez cienia drwiny.

- Może teraz taka jestem - mruczę.

Staram się, by to brzmiało wyzywająco, ale drżący podbródek i spocone dłonie nie pomagają mi tu wcale. Czuję, że on ciągle się uśmiecha, łagodny, zadowolony, ale nie ma go w pobliżu. Niech to szlag.

- Tak, tak, tak - szepczę do ducha, wyciągając jednocześnie rękę, by nacisnąć klamkę.

Odpycham go zdecydowanie w myślach i otwieram drzwi.

## 5

Przez chwilę patrzę w głąb biura i nie wchodzę do środka. Znowu odczuwam strach, od którego robi mi się niedobrze. Uświadamiam sobie, że to jest właśnie coś, czego najbardziej nienawidzę w moim zmienionym po tamtych wydarzeniach życiu. Ciągła niepewność. Jedną z cech, które zawsze w sobie lubiłam, była stanowczość. To było takie proste - decydować i działać. A teraz? Ciągłe to, „co, jeśli; co, jeśli; co, jeśli”. Nie ma żadnego „tak”, żadnego „zatrzymaj się, czekaj”. W kółko to, „co, jeżeli; co, jeżeli; co, jeżeli”... a poza tym wszystkim się boję.

Boję się przez cały czas. Budzę się ze strachem, krążę po domu przestraszona, idę spać z lękiem. To syndrom ofiary. Nienawidzę tego, nie mogę od tego uciec. Utraciłam owo naturalne poczucie nienaruszalności, pewność siebie, które kiedyś nosiłam w sobie. Wiem także, iż bez względu na to, w jakim stopniu odzyskam zdrowie, ta pewność nigdy nie wróci. Nigdy.

Weź się w garść, Barret, mówię.

Jest także coś innego, co zaobserwowałam teraz u siebie - nie umiem się skupić, skoncentrować, gdy myślę o czymś, zbaczam ciągle z tematu, zmierzając donikąd.

Ty sfariofany chróliku, Barnett, mamroczę.

Jeden głęboki oddech i przechodzę przez drzwi.

Nie jest to duże biuro. Tylko nas czworo. Biurka, komputer, mały pokój używany do narad, telefony. Tablice korkowe pokryte zdjęciami ofiar. Nie wygląda inaczej niż wtedy, gdy tu byłam sześć miesięcy temu, ale czuję się obco, jakbym wylądowała na Księżycu.

W następnej chwili ich dostrzegam. Callie i Alan odwrócenie do mnie plecami rozmawiają o czymś, wskazując coś na jednej z korkowych tablic. Jest też James; z typowym dla siebie chłodnym skupieniem wertuje materiały w rozłożonej na biurku teczce. To Alan, który się odwraca, dostrzega mnie pierwszy. Jego oczy rozszerzają się, rozdziawia usta, a ja zbieram się w sobie, by przyjąć jego pełne odrazy spojrzenie.

Alan wybucha głośnym śmiechem.

- Smoky!

Ten znajomy głos przepelnia autentyczną radość i już wiem, że jestem ocalona.

## 6

- Cholera, moje złotko, teraz nie będziesz się musiała przebierać na Halloween.

To Callie. To, co mówi, jest szokujące, nietaktowne, prostackie. Ale napełnia mnie zwyczajną radością. Gdyby powiedziała cokolwiek innego, prawdopodobnie wybuchłabym płaczem.

Callie jest wysoka, chuda, długonoga, rudowłosa. Wygląda jak supermodelka. Należy do tych prawdziwie pięknych ludzi - patrzeć na nią zbyt długo to jakby patrzeć w słońce. Zbliża się do czterdziestki. Ma dyplom z medycyny sądowej i dodatkowy z kryminologii. Niesłychanie zdolna i inteligentna, ale też pozbawiona zupełnie towarzyskiej oglady. U większości znajomych ma opinię przerażającej. Wielu ludzi, kierując się pierwszym wrażeniem, uważa, że jest nieczuła, może nawet okrutna. Trudno o bardziej fałszywą ocenę. Callie jest w najwyższym stopniu wierna swym zasadom, żadne tortury nie złamałyby jej charakteru ani nie zmieniły jej przekonań. Szczerą, zawsze prawdomówną, brutalną w ocenach odmawia udziału we wszelkich nieuczciwych grach politycznych, public relations i tak dalej. Każdego, kogo nazywa przyjacielem, zasłoniłaby bez wahania własnym ciałem przed kulą.

Jedną z najbardziej zachwycających cech Callie jest ta, którą najłatwiej utracić - prostota. Jediną jej twarzą jest ta, którą pokazuje światu. Nie ma wysokiego mniemania o własnej osobie i brakuje jej cierpliwości do tych, którzy je mają. Tu prawdopodobnie tkwi sedno tego, co dezorientuje ludzi gotowych osądzać ją surowo. Jeśli nie potrafisz znosić jej ostrych żartów, nie przejmuje się zupełnie ani twoim zakłopotaniem, ani niezadowoleniem. Masz do wyboru: uśmiechnąć się albo zniknąć, bo, jak ona lubi mówić, Jeśli nie umiesz się śmiać z samego siebie, dla mnie jesteś skreślony”.

To ona znalazła mnie po „wizycie” Josepha Sandsa. Byłam naga, cała we krwi i wymiocinach. Callie w wystrzałowej odzieży bez wahania wzięła mnie w ramiona i trzymała w nich do chwili przyjazdu wezwanej przez nią karetki. Jedną z ostatnich rzeczy, jakie pamiętam sprzed utraty przytomności, był widok jej pięknego, szytego na miarę kostiumu zniszczonego moimi łzami i krwią.

- Callie... - tonem nagany odzywa się Alan.

Zawsze spokojny i poważny Alan, czarnoskóry Amerykanin, nie jest zwyczajnie wysoki, jest ogromny - góra obdarzona nogami. Już niejednego podejrzanego na widok jego zagniewanej miny zmoczył się w pokoju przesłuchań. Dowcip polega na tym, że Alan należy do najsympatyczniejszych i najdelikatniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałam. Odznacza się

niesamowitą cierpliwością, której zawsze mu zazdrościłam. Umie ją świetnie wykorzystywać w naszej pracy. Nigdy go nie męczy studiowanie wszystkich dowodów, sprawdzanie najdrobniejszych detali, nic nie jest w stanie go znużyć, gdy jest na tropie mordercy. Jego umiejętności wyławiania pozornie nieistotnych, ale tak naprawdę bardzo ważnych szczegółów zawdzięczamy rozwiązanie niejednej trudnej sprawy. Alan jest najstarszy z nas, ma czterdzieści parę lat i wstępując do służby w FBI, wniósł dziesięcioletnie doświadczenie detektywa wydziału zabójstw policji w Los Angeles.

Słyszę nowy głos.

- Co ty tu robisz?

Jeżeli niezadowolenie byłoby instrumentem muzycznym, te trzy słowa byłyby całą symfonią. Zostały wypowiedziane bez żadnego wstępu, bez powitania, bez żadnego „przepraszam”. Szczerze, jak to, co powiedziała Callie, ale bez jej specyficznego humoru. Przez Jamesa. Za plecami nazywamy go Damien - to postać z Omenu, syn szatana. Jest z nas najmłodszy, ma dopiero dwadzieścia osiem lat i jest też jednym z najbardziej nieprzyjemnych, wręcz antypatycznych ludzi, z jakimi się zetknęłam w życiu. Drażni, działa na nerwy, doprowadza do pasji. Jeśli kiedykolwiek miałam chęć wkurzyć kogoś, to właśnie Jamesa. Jest niezwykle zdolny i inteligentny. Ukończył średnią szkołę w wieku piętnastu lat, otrzymał doskonałe oceny na egzaminie SAT, wszystkie liczące się college'e w kraju zapraszały go do studiowania u siebie. Wybrał uczelnię, która miała najlepszy program z zakresu kryminologii. Po czterech latach uzyskał tytuł doktora, po czym zatrudnił się w FBI, co było od początku jego celem.

Mając dwadzieścia lat, James stracił starszą siostrę. Padła ofiarą seryjnego mordercy, który uwielbiał lampy lutowicze i krzyk młodych kobiet. James w dniu jej pogrzebu postanowił zostać agentem FBI.

Jest jak zamknięta anonimowa księga. Wydaje się żyć tylko po to, by robić to, co robimy. Nigdy nie żartuje, nigdy się nie uśmiecha, nie robi niczego, co nie jest konieczne w naszej pracy. Nigdy nie mówi nic o swoim prywatnym życiu lub o czymkolwiek, co mogłoby dać jakieś pojęcie o jego pasjach, zainteresowaniach, niechęciach, sympatiach i antypatiach. Nie wiem zupełnie, jaki rodzaj muzyki lubi, jakie filmy ogląda i czy w ogóle jakieś ogląda.

Byłoby znacznym uproszczeniem myśleć o nim jak o kimś tylko skutecznym i kierującym się w działaniu wyłącznie zasadami logiki. Nie, jest w Jamesie jakaś wrogość, która uzewnętrznia się w nagłych wybuchach. Jego dezaprobata bywa zgryźliwa i zjadła, jego nieodpowiedzialność stała się już legendarna. Nie mogę powiedzieć, że gdy sprawia komuś przykrość, daje mu to satysfakcję, myślę, że kiedy to robi, w ogóle nie przejmuje się innymi. Sądzę, że James wiecznie gniewa się na świat, w którym mogą istnieć tacy ludzie jak potwór, który zabił jego siostrę. Od dawna jednak przestałam mu wybaczać różne odzywki i zachowania wobec mnie. Za bardzo działa mi na nerwy. Mimo wszystko jego zdolności, inteligencja i wspaniały umysł oślepiają otoczenie jak

lampa błyskowa. I ma, tak jak ja, pewną umiejętność, która nas łączy, dar tworzący między nami rodzaj niemal fizycznej więzi, co sprawia, że jest jakby moim złym bliźniakiem. Potrafi się wczuć w umysł zabójcy. Umie dotrzeć do jego niszy i mrocznych miejsc, wpatrywać się w te ciemności, zrozumieć zło. Ja też to potrafię. Nierzadko się zdarza, że w rezultacie pracujemy razem nad pewnymi aspektami śledztwa i ta współpraca nabiera wręcz intymnego charakteru. W takich razach jesteśmy jak olej i łożysko kulkowe, gładko i płynnie suniemy niepowstrzymanie do przodu. Natomiast samo przebywanie w pobliżu niego jest zawsze mniej więcej tak przyjemne, jakby ktoś szlifował mnie papierem ściernym niczym kantówkę.

- Mnie też miło cię widzieć - odpowiadam.

- Ejże, dupku - mruczy Alan, a w jego łagodnym, cichym głosie pobrzmiwa nutka groźby.

James krzyżuje ramiona na piersi i rzuca Alanowi prosto w oczy zimne spojrzenie. To cecha, którą, chcąc nie chcąc, w nim podziwiam. Choć ma tylko metr siedemdziesiąt wzrostu i może siedemdziesiąt pięć kilo wagi, nikt i nic nie jest w stanie go zastraszyć.

- To było tylko pytanie - odpowiada.

- Jasne, a może byś się napił czegoś i zatkał sobie swój cholerny dziób?

Kładę dłoń na ramieniu Alana.

- Już wszystko w porządku.

Mierzą się gniewnym wzrokiem jeszcze przez chwilę. To Alan pierwszy odwraca oczy z westchnieniem. James przygląda mi się dłużej niż powinien, potem powraca do dokumentów, które czytał.

Alan pochyla głowę w moją stronę.

- Przepraszam.

Uśmiecham się. Jak mogę mu wyjaśnić, że nawet to typowe w końcu dla Damiana zachowanie jest teraz dla mnie w jakimś sensie czymś, czego potrzebuję, co może ułatwić mi powrót do tego, co było. James wciąż jeszcze mnie wkurza i to poprawia moje samopoczucie.

Postanawiam zmienić temat.

- No a co tu macie nowego?

Przechodzę w głąb pokoju, lustrując spojrzeniem biurka i korkową tablicę. Podczas mojej nieobecności Callie kierowała wszystkim i teraz pierwsza odpowiada:

- Mieliliśmy tu spokój, nic specjalnego się nie działo, złotko. - Callie mówi do wszystkich „złotko”. Jak głosi legenda, ma wpisana do akt naganę za to, że zwróciła się do naczelnego dyrektora per złotko. To taka jej poza, którą się doskonale bawi. Niektórych ludzi to ogromnie irytuje, dla mnie jest w tym cała Callie. - Żadnych seryjnych zabójstw, dwa uprowadzenia. Rozpracowujemy niektóre starsze sprawy. - Uśmiecha się. - Jak się zdaje, wszystkie naprawdę czarne charaktery zrobiły sobie urlop, podobnie jak ty.



- A co z tymi uprowadzeniami?

Porwania dzieci to ciemna strona naszego działania. Przerazają one wszystkich przyzwoitych ludzi pracujących w organach ochrony porządku publicznego. W tych sprawach rzadko chodzi o pieniądze. Najczęściej o seks, cierpienia i śmierć.

- Jedno odzyskano żywe, jedno martwe.

Spoglądam na korkową tablicę, ale w rzeczywistości jej nie widzę.

- Przynajmniej oba odzyskane - mruczę. Zbyt często bywa inaczej. Każdy, kto sądzi, że brak wiadomości jest dobrą wiadomością, nie był nigdy ojcem lub matką porwanego dziecka. W tym wypadku brak wszelkich wiadomości to rak, który nie zabija, ale drąży i niszczy dusze. Miałam takie przypadki, kiedy zrozpaczeni rodzice przychodzili do mnie przez całe lata, wciąż nie tracąc nadziei, że uzyskają jakąś wiadomość o dziecku, a ja żadnych wiadomości nie miałam. Widziałam ich coraz bardziej wymizerowanych, zgorzkniałych, rozgoryczonych. Widziałam, jak nadzieja umiera w ich oczach i ich włosy siwieją. W tych przypadkach odnalezienie ciała byłoby błogosławieństwem. Pewność, że nie żyje, dałaby się porównać z raną najgłębszą, ale taką, która może zacząć się zablizniać. Niepewność - z raną, która nigdy się nie zagoi.

Odwracam się do Callie.

- A jak ci się podoba bycie szefem?

Na jej twarzy pojawia się specyficzny uśmiech pełen udawanej wyniosłości.

- Znasz mnie, złotko. Urodziłam się wprawdzie w królewskiej rodzinie, ale dopiero teraz mam koronę.

Alan chrząka znacząco, a potem zaczyna naprawdę rechotać.

- Nie zwracaj uwagi na tego prostaka, moja droga - mówi Callie z pogardą.

Wybucham śmiechem i to jest wreszcie dobry śmiech. Prawdziwy, który chwytą cię niespodziewanie, jak powinien. Ale wciąż się śmieję i z przerażeniem czuję, że oczy wypełniają mi się łzami.

- O cholera - mamrocę, ocierając twarz. - Przepraszam. - Spoglądam na nich i uśmiecham się słabo. - Naprawdę dobrze jest was widzieć. Nie wiecie nawet jak dobrze.

Alan, człowiek góra, podchodzi do mnie i bez ostrzeżenia otacza mnie przypominającymi konary drzewa ramionami. Sztywnieję tylko na moment, potem odwzajemniam uścisk, z czubkiem głowy na wysokości jego piersi.

- Och, wiemy, Smoky - mówi. - Wiemy.

Puszcza mnie, a Callie robi krok do przodu i odpycha go na bok.

- Wystarczy tych czułości - warczy. - Zabieram cię na lunch. I nawet nie próbuj mówić nie.

Czuję, że znowu zbiera mi się na płacz, więc tylko kiwam głową. Callie chwytą torebkę, łapie mnie za ramię i popycha do drzwi.

- Wracam za godzinę - oznajmia głośno.

Wychodzimy, a za drzwiami niczym już niepowstrzymywane łzy zaczynają mi spływać z oczu swobodną strugą. Callie przytula mnie na chwilę do boku.

- Wiedziałam, że nie chciałabyś się poryczeć w obecności Damiena, złotko.

Śmieję się przez łzy i kiwam głową. Przyjmuję od niej chusteczkę i pozwalam, by siła Callie wspierała mnie i wiodła w chwili tej słabości.

Siedzimy w barze kanapkowym na stacji metra, a ja przyglądam się zafascynowana, jak szczupła Callie pożera trzydziestocentymetrową kanapkę z klopsikiem. Zawsze zastanawiałam się, jak ona to robi. Potrafi zjeść więcej niż futbolista, a mimo to nigdy nie przybywa jej nawet pół kilograma. Uśmiecham się, myśląc, że być może zawdzięcza to joggingowi. Każdego ranka, przez siedem dni w tygodniu przebiega około ośmiu kilometrów. Teraz oblizuje głośno palce i cmoka z takim zapalem, że dwie starsze panie, skubiące kanapeczki przy stoliku obok, obrzucają nas pełnym dezaprobaty spojrzeniem. Nasycona Callie rozsiada się wygodniej i sący przez słomkę mountain dew.

Uderza mnie, że tuż przed chwilą odsłoniła się jej najistotniejsza cecha. Ona nie przygląda się z boku, jak życie płynie, ona je pochłania. Łyka je łapczywie bez przeżuwania i zawsze wraca, by wziąć więcej. Uśmiecham się do siebie, a Callie marszczy brwi i grozi mi palcem.

- Jeśli chcesz wiedzieć, zaprosiłam cię na lunch, bo chciałam ci powiedzieć, jak bardzo jestem na ciebie wkurzona, złotko. Nie odpowiadałaś na moje telefony, nie wysłałaś nawet jednego e-maila. To niedopuszczalne, Smoky. I nie ma tu dla mnie żadnego znaczenia fakt, że byłaś i może jesteś w fatalnym nastroju.

- Wiem, Callie. I przepraszam - mówię szczerze. - Naprawdę bardzo mi przykro.

Mierzy mnie przez moment uważnym, badawczym spojrzeniem. Widziałam, jak przyglądała się w ten sposób niektórym przestępcom i czuję, że zasłużyłam sobie na to. Na szczęście trwa to krótko. Callie obdarza mnie jednym z tych swoich promiennych uśmiechów, po czym macha ręką.

- Przeprosiny przyjęte. A teraz już poważne pytanie: jak się czujesz? To znaczy, jak się czujesz naprawdę. I nie oszukuj mnie.

Odwracam wzrok, patrzę na swoją kanapkę, potem na Callie.

- Do dziś? Źle, naprawdę fatalnie. Śnią mi się koszmary każdej nocy. Jestem w depresji i mój stan pogarsza się, a nie poprawia.

- Myślałaś o tym, żeby się zabić, mam rację?

Doznaję szoku podobnego do tego, jaki odczułam w gabinecie doktora Hillsteda, ale teraz jestem raczej zawstydzona. Callie i ja zawsze byłyśmy blisko ze sobą związane, choć o tym ani nie mówimy, ani tego nie okazujemy, naprawdę się kochamy. Ale to uczucie zawsze opierało się na sile każdej z nas. Nie było mowy o wyplakiwaniu się jednej przed drugą. Boję się, że zostanie zniszczone, gdy Callie będzie musiała litować się nade mną. Mimo to odpowiadam:

- Myślałam o tym, tak.

Kiwa głową i milczy, wpatrując się w coś, czego nie mogą zobaczyć. Doznają ukłucia déjà vu, patrzy tak, jak patrzył doktor Hillstead, zastanawiając się, jaką wybrać drogę.

- Nie ma w tym żadnej słabości, złotko. Słabością byłoby, gdybyś rzeczywiście pociągnęła za spust. Łzy, senne koszmary, stany depresji, myśli samobójcze, chęć ucieczki nie oznaczają słabości, świadczą tylko o tym, że zostałam głęboko zraniona. A zraniony może być każdy, nawet Superman.

Patrzę na nią i nie wiem, jak zareagować. Absolutnie się pogubiłam, nie potrafię znaleźć właściwego słowa. To, co powiedziała, zaskoczyło mnie, zupełnie do niej nie pasuje. A Callie uśmiecha się łagodnie.

- Widzisz, Smoky, musisz się z tym uporać, musisz to przezwyciężyć. Chodzi nie tylko o ciebie samą. O mnie też. - Upija łyk drinka. - Ty i ja jesteśmy takie same. Zawsze byliśmy. Zawsze byliśmy znakomite. Wszystko nam się udawało, wciąż odnosiłyśmy sukcesy. Jesteśmy dobre w tym, co robimy, do diabła. Do czegokolwiek się zabierzemy, umiemy zrobić to doskonale. - Kiwam głową twierdząco. Wciąż brakuje mi słów. - Chcę ci coś powiedzieć, Smoky. Coś filozoficznego. Zapisz to sobie w notatniku, bo nie należę do ludzi, którzy lubią się wywnętrzać. - Odstawia drinka. - Wielu ludzi lubi powielać ten sam wysłużony obraz: zaczynamy życie niewinni, patrzymy na świat jasnym, czystym spojrzeniem, a potem, niewiadomo, kiedy, stajemy się znużeni. Nic nie jest już tak dobre, jak było kiedyś, bla, bla, bla. Zawsze uważałam, że to kupa psich odchodów. Nie każde życie zaczyna się od niewinności, jak na przykład Normana Rockwella, zgadza się? Zapytaj jakiegokolwiek dziecko w Watts. Jestem pewna, że uczyliśmy się nie tylko tego, iż życie jest pełne gówna, ważniejsze jest, że uczyliśmy się także, że życie może boleśnie zranić. Czy to, co mówię, ma sens?

- Tak. - Kiwam głową, zahipnotyzowana.

- Większość ludzi odnosi ciężkie rany. Ty i ja miałyśmy dotąd szczęście. Wykonując pracę, stale miałyśmy do czynienia z ludźmi poważnie zranionymi, ale to nigdy nie dotyczyło nas. Spójrz na swoje życie: znalazłaś wielką miłość, miałaś piękne dziecko i byłaś świetną agentką FBI, która zawsze dokopywała draniom, ciągle pięłaś się w górę, byłaś coraz jaśniej świecącą gwiazdą. A ja? Mnie też poszło w życiu nie najgorzej. - Kręci głową. - Nie stałam się zbyt zarozumiała, jakoś mi się to udało, ale prawda jest taka, że zawsze mogłam przebierać w facetach. Miałam też tyle szczęścia, że jestem niebrzydka i nie-głupia. I jestem dobra w tym, co robię w FBI. Myślę, że naprawdę dobra.

- Jesteś - przyznaję.

- Ale widzisz, chodzi właśnie o to, złotko. Ty i ja nigdy przedtem nie przeżyłyśmy prawdziwej tragedii. Byłyśmy pod tym względem podobne. Aż tu nagle pociski przestały się od ciebie odbijać. - Kręci znowu głową. - Od momentu, gdy to się stało, przestałam być nieustraszona.

Bałam się, naprawdę się bałam. Pierwszy raz w życiu. I lęk od tej pory mnie nie opuszcza. Bo widzisz, ty jesteś ode mnie lepsza, Smoky. Zawsze byłaś lepsza, więc jeśli to mogło się przydarzyć tobie, może spotkać i mnie. - Opiera się wygodnie na krześle, kładzie ręce płasko na stoliku. - Przemówienie skończone.

Znam Callie już dość długo. Wiem, że kryje w sobie niezbadane głębie. Dla mnie tajemnica tych głębi, migających czasami, ale nigdy nieodslanianych, stanowiła zawsze część jej uroku, jej siły. Teraz zasłona rozsunała się na moment. To tak, jakby ktoś pozwolił ci zobaczyć siebie nagiego. To dowód najwyższego zaufania, jestem nim tak poruszona, że zaczynają mi drżeć kolana. Wyciągam rękę i chwytam mocno jej dłoń.

- Zrobię wszystko, co będę mogła, Callie. Jedynie tyle mogę ci obiecać, ale to ci obiecuję.

Odwzajemnia uścisk dłoni, potem cofa rękę. Szczelna zasłona została opuszczona.

- No, fajnie, pospiesz się z tym, dobrze? Lubię być arogancka i nietykalna i nie chcę cię obarczać odpowiedzialnością, że mi tego brak.

Uśmiecham się i spoglądam na moją przyjaciółkę. Doktor Hillstead powiedział mi już wcześniej, że jestem silna. Ale dla mnie to Callie była zawsze wzorem silnej osobowości, wyrażającym się w braku szacunku dla reguł i obyczajów. Kręcę głową.

- Przepraszam na chwilę - mówię. - Muszę skorzystać z toalety.

- Nie zapomnij zamknąć deski przed wyjściem - ostrzega z uśmiechem.

Wychodząc z toalety, dostrzegam coś, co każe mi się zatrzymać. Callie nie wie jeszcze, że wracam. Cała jej uwaga skupia się na czymś, co trzyma w ręku. Przesuwam się w bok, by mnie nie zauważyła, i patrzę. Callie wygląda na smutną. A jeszcze bardziej na osamotnioną.

Widywałam Callie pogardliwą, łagodną, rozgniewaną, mściwą, dowcipną - w najprzeróżniejszych nastrojach i sytuacjach. Nigdy nie widziałam jej smutnej, jak teraz. Wyczuwam, że ten smutek nie ma nic wspólnego ze mną.

Czymkolwiek jest to, co trzyma w dłoni, stanowi powód, dla którego twarz mojej przyjaciółki ma tak niezwykły u niej wyraz. Zadziwia mnie to. Jestem pewna, że chodzi tu o coś osobistego, jakąś tajemnicę. Callie na pewno nie chciałaby, żebym ją taką widziała. Może mieć tylko jedną twarz dla świata i sama wybiera, którą wersję chciałaby pokazać. Wracam, więc do toalety. Ku memu zaskoczeniu jest tu także jedna ze starszych pań, myje ręce i obserwuje moje odbicie w lustrze. Coś przychodzi mi do głowy.

- Proszę pani - mówię. - Czy mogłabym prosić panią o drobną przysługę?

- Słucham, o co chodzi, moja droga? - pyta bez zastanowienia.

- Tam w barze przy stoliku siedzi moja przyjaciółka.

- Ta, która ma tak fatalne maniery przy jedzeniu? Przełykam to.

- Tak, proszę pani.

- Cóż z nią, zatem? Waham się.

- Ona... Wydaje mi się, że przeżywa w tym momencie coś prywatnego, intymnego i ja...

- Nie chce jej pani zaskoczyć w tym stanie, o to chodzi?

To, że zrozumiała natychmiast i doskonale ocenia sytuację, sprawia, iż zastygam na chwilę. Spoglądam na nią. Stereotypy, myślę, tak zwykle bezużyteczne. Widziałam w niej spiętą, skłonną do zbyt łatwych potępień staruchę. Teraz dostrzegam pełne życzliwości oczy i wyrozumiałość dla śmieszności.

- Tak, proszę pani - mówię spokojnie. - Ona, no cóż, zachowywała się trochę prostacko.

Oczy kobiety łagodnieją, twarz rozjaśnia naprawdę piękny uśmiech.

- Wielu wielkich ludzi jadło palcami, moja droga. Możesz zdać się na mnie. Poczekaj pół minuty, a potem możesz wyjść.

- Dziękuję pani - mówię szczerze i wiem, że ona tę szczerłość czuje.

Znika za drzwiami, nie mówiąc już ani słowa. Czekam nieco dłużej niż trzydzieści sekund, zerkam od drzwi. Kobieta stoi przy naszym stoliku, grożąc Callie palcem. Ruszam natychmiast w ich stronę.

- Niektórzy ludzie lubią spokojnie zjeść lunch - mówi kobieta tonem nagany. Takim, który może wywołać raczej zawstydzenie niż gniew. Znam dobrze ten ton. Jest jak broń, jak dyscyplina sportowa. Moja mama osiągnęła światową klasę w tej konkurencji.

Callie spoglądała z gniewem na natręta. Widzę gromadzące się szybko chmury burzowe i postanawiam interweniować. Ta kobieta wyświadcza mi przysługę, lepiej nie dopuścić, by musiała tego żałować.

- Callie - mówię, kładąc ostrzegawczo dłoń na jej ramieniu. – Powinniśmy już iść. - Callie wpija groźny wzrok w nieszczęsną kobietę, która wygląda bezbrinnie jak psiak śpiący na grzbiecie w kałuży słońca. – Callie - powtarzam stanowczo.

Wreszcie mnie zauważa, kiwa głową, wstaje, wkłada ciemne okulary z teatralną wyniosłością, napełniając mnie podziwem. Dziewięć, dziewięć, dziesięć, myślę, prawie idealny rezultat. Zawody o tytuł królowej śniegu są w tym roku niezwykle emocjonujące i tłum wyje z zachwyty.

- Nie zamierzam się nią przejmować - mówi z pogardą. Chwyta torebkę i pochyla głowę w stronę kobiety. - Do widzenia - rzuca. Ale brzmi to jak: idź do diabła!

Ruszamy w stronę wyjścia. Oglądam się, kobieta obdarza mnie na pożegnanie swoim pięknym uśmiechem.

Po raz kolejny wzrusza mnie życzliwość nieznanym osobom.

Jazda powrotna jest zabawna, Callie powoli się uspokaja, ale trochę się w niej jeszcze gotuje. Kiwam głową i przytakuję jej we właściwych momentach, gdy ona mamrocze o „starych

nietoperzach”, „pomarszczonych babciach wyschniętych jak rodzynki” i „elitarnych mumiach”. Nie potrafię zapomnieć o smutku, który tak bardzo nie pasuje do mojej przyjaciółki.

Przyjeżdżamy na służbowy parking, stajemy tuż obok mojego samochodu. Czuję, że na dziś wystarczy. Pójdę się zobaczyć z zastępcą dyrektora, kiedy indziej.

- Dzięki, Callie. Powiedz Alanowi, że wkrótce wpadnę, choćby tylko żeby powiedzieć „cześć”.

Znowu grozi mi palcem.

- Powiem mu, złotko. Ale nie waż się już ignorować żadnych telefonów.

Nie straciłaś tamtej nocy wszystkich, którzy cię kochali, masz przyjaciół i poza pracą. Nie zapominaj o tym.

Odchodzi, zanim zdążam odpowiedzieć, dzięki czemu ostatnie słowo należy do niej. To typowe dla Callie.

Wsiadam do samochodu i przypominam sobie rozmyślania ostatniej nocy. Miałam rację. Dzisiaj był następny dzień, a ja nie zdecydowałam się wrócić do domu i rozwalić sobie mózgu jednym strzałem.

Jak mogłabym to zrobić? Nie mogę nawet wziąć do ręki mojego pistoletu.

## 8

Ta noc jest straszna, jak z listy największych hitów złych snów. Jest tu Joseph Sand w stroju demona. Matt uśmiecha się do mnie ustami pełnymi krwi. Obraz płynnie się zmienia. W barku na stacji metra Callie spogląda na mnie znad smutnego kawałka papieru, wyjmując pistolet i strzela starszej pani z barku kanapkowego w głowę. Potem znowu zaczyna siorbać głośno przez słomkę napój. Jej wargi są zbyt czerwone i zbyt pełne. Napotyka mój wzrok i mruga do mnie, wywracając jak trup jedno oko.

Budzę się rozdygotana i zdaję sobie sprawę, że dzwoni telefon. Wpół-przytomna patrzę na zegarek. Jest piąta rano. Kto mógłby dzwonić o tej porze? Nie miałam żadnych telefonów wczesnym rankiem od czasu, gdy opuściłam mój zespół.

Wciąż jeszcze czuję ten sen kotłujący się w głowie, ale odpycham te obrazy i odczekuję chwilę, by ochłonąć. Chwytam słuchawkę.

- Halo?

Po drugiej stronie cisza, potem głos Callie:

- Cześć, złotko. Przepraszam, że cię budzę, ale... mamy tu coś, co dotyczy ciebie.

- Co? Co się stało?

Callie milczy i wkurzam się, wciąż jeszcze lekko drżę.

- Cholera, Callie, powiedz coś.

- Czy pamiętasz Annie King? - pyta z westchnieniem.

Mój głos jest pełen niedowierzania.

- Czy ją pamiętam? Przecież jest jedną z moich najlepszych przyjaciółek. Odkąd się wyprowadziła do San Francisco, jakieś dziesięć lat temu, kontaktujemy się przez telefon mniej więcej, co pół roku. Jestem matką chrzestną jej córki. Więc tak, oczywiście, pamiętam ją. Dlaczego?

Callie milczy.

- Cholera - słyszę wreszcie jej szept. Mówi tak, jakby oberwała potężny cios w żołądek. - Nie wiedziałam, że była twoją przyjaciółką. Sądziłam, że to ktoś, kogo po prostu kiedyś znałaś.

Czuję jak wypełnia mnie strach i pewność. Wiem, co się stało, tak mi się zdaje, ale muszę usłyszeć to od Callie, zanim uwierzę.

- Mów.

Długie westchnienie kogoś, kto się poddaje, potem okrutne słowa:



- Ona nie żyje, Smoky. Została zamordowana w swoim mieszkaniu. Córka żyje, ale jest w stanie katatonii.

Z trudem utrzymuję słuchawkę w zdrtwiałych rękach.

- Gdzie jesteś, Callie?

Własny głos wydaje mi się bardzo słaby.

- U nas w biurze. Szykujemy się do wyjazdu na miejsce zbrodni, do San Francisco. Odlatujemy za półtorej godziny wycarterowanym odrzutowcem.

Mimo że wciąż jestem w szoku, wyczuwam w głosie Callie jakiś dziwny ton. Musi być jeszcze coś, o czym mi nie powiedziała.

- Callie, czemu się czaisz? Mów, o co chodzi. Waha się, wzdycha.

- Zabójca zostawił wiadomość. Dla ciebie, złotko.

Siedzę zupełnie otępiała. Czekam, aż znaczenie tych słów dotrze do mnie w pełni.

- Do zobaczenia w biurze - mówię. Rozłączam się, nie dając jej czasu na odpowiedź.

Siedzę na brzegu łóżka. Obejmuję głowę rękami i próbuję płakać, ale moje oczy pozostają suche. Jakimś sposobem ból jest przez to jeszcze większy.

Kiedy stawiam się w biurze, jest dopiero szósta. Wczesny ranek to najlepsza pora na jazdę samochodem w Los Angeles, jedyna pora, kiedy na jezdniach nie ma korków. Większość ludzi, którzy wtedy jeżdżą po mieście, nie robi nic dobrego albo wyrusza na ulice, by zrobić coś złego. Znam dobrze tę wczesną porę. Jeździłam we mgle i w szarym świetle brzasku wiele razy na miejsca, w których popełniono krwawe zbrodnie. Tak jak jadę teraz. Przez całą drogę myślę tylko o jednym - o Annie.

Annie i ja poznałyśmy się w średniej szkole, miałyśmy obie po piętnaście lat. Ona była cheerleaderką, ja byłam zuchwałą chłopczycą, która popalała trawkę i lubiła się wyszaleć. Jeśli wziąć pod uwagę hierarchię panującą w szkole, nasze drogi nie powinny się nigdy przeciąć. Los zdecydował inaczej. Ja przynajmniej uważałam, że to było zrządzenie losu.

Kiedyś miesiączka dopadła mnie w połowie lekcji matematyki, podniosłam rękę, chwyciłam torbę, wypadłam za drzwi i pobiegłam do toalety.

Zdenerwowana i zawstydzona pokonywałam korytarz z nadzieją, że nikogo tam nie będzie. Miałam okres dopiero od ośmiu miesięcy i cała sprawa była wciąż jeszcze straszliwie nieznośnym, zawstydzającym kłopotem, czymś potwornie żenującym.

Zajrzałam do środka i z ulgą stwierdziłam, że toaleta jest pusta. Wskoczyłam do jednej z kabin i zajęłam się swoją higieną. Nagle usłyszałam, że ktoś pociąga nosem i zamarłam z podpaską w rękę. Odgłos powtórzył się, ale tym razem przeszedł w ciche łkanie. Ktoś płakał dwie kabiny

dalej. Zawsze miałam miękkie serce, gdy chodzi o czyjeś cierpienie. W dzieciństwie zastanawiałam się nawet, czyby nie zostać weterynarzem. Kiedy natknęłam się na zranionego ptaka, psa, kota lub jakiegokolwiek inne stworzenie, kończyło się zawsze na przyniesieniu go do domu. W większości wypadków tym stworzeniom nie udawało się przeżyć, ale zdarzały się wyjątki. Te nieliczne zwycięstwa sprawiały, że dalej uprawiałam moją krucjatę. Początkowo rodzice uważali, że ta czułość jest urocza, z kolejnymi jednak wyprawami do weterynarza coraz bardziej się irytowali, tak czy siak nigdy nie zniechęcali mnie do tej misji w stylu Matki Teresy.

Kiedy podrosłam, przekonałam się, że moja troska rozciąga się także na ludzi. Jeśli ktoś obrywał, a ja nie mogłam wkroczyć do akcji, nie byłam w stanie się powstrzymać, żeby po wszystkim nie sprawdzić, co z nim jest. W plecaku miałam zawsze zestaw do pierwszej pomocy i rozdałam mnóstwo opatrunków, kiedy chodziłam do ósmej i dziewiątej klasy. Nie zdawałam sobie sprawy z tej „miękkiej części” mojego charakteru. Dziwna rzecz: potrafiłam się zawstydić miesięczką, a jednocześnie w ogóle się nie przejmowałam, gdy wołali za mną „siostrzyczka Smoky”. Nawet odrobinę. Co więcej, to właśnie ta cecha spowodowała, że wstąpiłam do FBI. Chciałam szukać źródeł bólu przestępców, którym sprawiało radość zadawanie go innym. Wiem także, że to, co zobaczyłam w następnych latach, zmieniło mnie trochę. Stałam się ostrożniejsza i nauczyłam się powściągać swoją opiekuńczość. Mój pierwszy zestaw pomocy zmienił się w agentkę FBI i jej zespół, a opatrunki zmieniły się w kajdanki i więzienne cele.

A zatem, kiedy zorientowałam się, że ktoś płacze w toalecie gdzieś blisko mnie, założyłam podpaszkę, wciągnęłam dżinsy i nie myśląc dłużej o swoim zażenowaniu, wypadłam z kabiny. Przystanęłam przed drzwiami, zza których dobiegało szlochanie.

- Hej! Haloo? Wszystko w porządku?

Łkanie ustało, choć nadal słyszałam pociąganie nosem.

- Odejdź stąd. Zostaw mnie w spokoju.

Stałam jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, co powinnam zrobić.

- Coś ci się stało? Zraniłaś się może?

- Nie! Zostaw mnie. Chcę być sama.

Zdałam sobie sprawę, że tu nie chodzi o fizyczne urazy, którymi należałoby się zająć i już miałam usłyszeć głos z kabiny, kiedy coś mnie powstrzymało. Los. Postąpiłam niepewnie naprzód.

- Hm... Słuchaj... mogę ci jakoś pomóc?

- Nikt mi nie może pomóc - odpowiedział żałośnie dziewczęcy głos. Potem zapadła cisza, przerwana przeraźliwym, przejmującym łkaniem.

Nikt nie potrafi tak płakać jak zraniona nastolatka. Nikt inny. To płacz całym sercem, niczym niepowstrzymany, istny koniec świata.

- Daj spokój, nie może być aż tak źle.

Usłyszałam chrobot i drzwi kabiny otwarły się z trzaskiem. Stała przede mną z opuchniętą twarzą bardzo ładna jasnowłosa dziewczyna. Poznałam ją od razu i pożałowałam, że nie odeszłam natychmiast. Annie King, cheerleaderka. Z gatunku snobek o doskonałej urodzie, które wykorzystują swoje piękne ciała, by rządzić w świecie szkoły średniej. Nic nie mogłam poradzić, ale tak właśnie myślałam o niej, zaszufładkowałam ją i osądziłam, chociaż nienawidziłam, gdy osądzano i szufładkowano mnie. Do tego była teraz wściekła.

- Co ty możesz wiedzieć - natarła na mnie z furją.

Gapiałam się na nią, przyłapaną na niezręczności i zbyt zaskoczona, by też się rozłościć. W następnej chwili jej twarz wykrzywiła się z żalu, a gniew zniknął z niej jeszcze szybciej, niż się tam pojawił. Policzki zalały się łzami.

- Pokazał wszystkim moje majtki. Jak on mógł zrobić coś takiego, po tym wszystkim, co mi mówił?

- Co? Że jak? Kto? Co z twoimi majtkami?

Czasami, nawet w szkole średniej, najłatwiej jest rozmawiać z kimś nieznanym. Tak, więc wdała się ze mną w rozmowę, gdy tak stałyśmy we dwie w tej toalecie. Zwierzała się.

Rozgrywający drużyny futbolowej David Rayborn umawiał się z nią prawie przez pół roku. Był przystojny, elegancki i wyglądało, że naprawdę mu na niej zależy. Długo naciskał na nią, żeby poszła na całość, a ona opierała się jego zalotom. Ale jego uczucia zdawały się jej tak szczerze, że w końcu mu uległa. Był delikatny i czuły, a kiedy już było po wszystkim, trzymając ją w ramionach, poprosił, żeby mu dała na pamiątkę tej chwili swoje majteczki. Dodał, że to będzie ich intymny sekret. Trochę nieprzyzwoita, ale też zarazem miła, romantyczna prośba. Gdy popatrzy się na to wstecz z perspektywy dorosłego, wydaje się to głupie, lecz gdy się miało piętnaście lat...

- No i dzisiaj schodzę z boiska po zajęciach, a tam są wszystkie chłopaki, cała drużyna. Wśród nich jest także David. Wszyscy oni gwizdzą przeciągle, pohukują i rechoczą złośliwie. A potem on to robi. - Jej twarz znowu się wykrzywiła, a ja się wzdrygnęłam, zdając sobie sprawę, co teraz nastąpi. - Podniósł do góry moje figi. Jak trofeum. A potem uśmiechnięty puścił do mnie oko i powiedział, że to świetne uzupełnienie jego kolekcji.

Piękna cheerleaderka wybucha ponownie płaczem, pogrążona całkowicie w rozpacz. Kolana się pod nią ugięły i oparła się o mnie. Zanosila się płaczem, jakby serce jej pękło i nigdy już nie miało być całe. Zawahałam się, ale zaraz objęłam ją ramionami i tuliłam tę obcą dziewczynę, szepcząc z ustami w jej włosach, że wszystko będzie okay.

Po paru minutach łkania ucichły, przeszły w pociąganie nosem, a potem ustało i to. Odsunęła się ode mnie i wytarła twarz. Patrzyła na mnie zawstydzona.

- Hej, mam pomysł - powiedziałam coś, co nagle przyszło mi do głowy.

- Dajmy sobie dziś spokój z resztą zajęć.

Spojrzała na mnie, mrużąc oczy.

- Mamy zwagarować? Skinęłam głową i się uśmiechnęłam.

- Właśnie, tylko jeden dzień. Zasłużyłyśmy sobie chyba na to, nie? Zawsze uważałam, że jej decyzja była równie spontaniczna jak moja propozycja. Nie знаła nawet mojego imienia. Odwzajemniła uśmiech.

- Okay.

Tak się poznałyśmy. Za moją namową zapaliła tego dnia pierwszego w życiu skręta. Mniej więcej po tygodniu przestała być cheerleaderka. Chciałabym móc powiedzieć, że odegrałyśmy się na Davidzie Raybornie, ale to się nigdy nie stało. Mimo że miał reputację dupka, dziewczęta nadal uganiały się za nim, a on zdobywał kolejne trofea. Wciąż był znakomitym rozgrywającym, gwiazdą futbolu, także później w college'u i nawet przez kilka sezonów był rezerwowym zawodnikiem w jednej z drużyn Zawodowej Ligi Futbolu Amerykańskiego. Ktoś mógłby powiedzieć, że był żywym dowodem na to, iż nie ma sprawiedliwości na świecie, ale ja prawie wybaczyłam mu wszystko, bo to dzięki niemu poznałyśmy się z Annie i zrodziła się nasza przyjaźń, która okazała się czymś pięknym i tak dla mnie cennym.

Połączyła nas przyjaźń niezwykle bliska, taka, jaką znają tylko żołnierze walczący ramię w ramię i nastolatki. Cały czas po szkole spędzałyśmy razem. Przekonała mnie, że powinnam przestać popalać trawkę, a ja posłuchałam tej rady, bo zaczynałam się coraz gorzej uczyć. Ona natomiast dzięki mnie znowu zaczęła się umawiać z chłopakami. Była przy mnie, kiedy Buster, pies, który towarzyszył mi od piątego roku życia, musiał zostać uszpiony. Ja byłam przy niej, kiedy umarła jej babcia. Razem uczyłyśmy się prowadzenia samochodu, wpadałyśmy w tarapaty i wydobywałyśmy się z nich, dorastając i stając się kobietami. Łączyła nas jedna z najbardziej intymnych relacji: przyjaźń w czasie dojrzewania do dorosłości. To doświadczenia i wspomnienia, które zachowujesz aż po grób.

Potem nastąpiło to, co zdarza się zawsze. Skończyłyśmy szkołę średnią. Ja byłam już wtedy z Mattem, a ona poznała pewnego faceta, z którym postanowiła się wybrać w podróż po kraju, zanim rozpocznie studia. Ja nie zwlekałam i poszłam prosto na uniwersytet UCLA. Zrobiłyśmy to, co robią wszystkie przyjaciółki - przysięgłyśmy sobie, że będziemy się kontaktować dwa razy w tygodniu, cokolwiek by się działo. A potem tak jak wszyscy wpadłyśmy w wir życia i nie widziałyśmy się przez cały rok.

Któregoś dnia wychodziłam z zajęć i... zobaczyłam ją. Wyglądała pięknie i poczułam, jak radość i tęsknota rozbrzmiewają we mnie, niczym akord wydobyty szarpnięciem strun gitary Gibsona.

- Jak ci leci w college'u, dziewczyno? - zapytała.

Jej oczy błyszczały radośnie.

Nie odpowiedziałam, tylko objęłam ją i długo trzymałam w uścisku.

Poszliśmy razem na lunch i opowiedziała mi o swoich przygodach. Przejechali przez pięćdziesiąt stanów prawie bez centa, mnóstwo przeżyli. Kochali się w najdziwniejszych miejscach i tak często, że seksu mogło im wystarczyć do końca życia.

Po tych zwierzeniach uśmiechnęła się tajemniczo i położyła rękę na stole.

- Zobacz - powiedziała.

Na widok pierścionka zaręczynowego wydałam stłumiony okrzyk zdziwienia, którego oczekiwała, a potem chichocząc, rozmawialiśmy o przyszłości i planach związanych z jej ślubem. Poczuliśmy się znowu jak nastolatki.

Byłam druhną na jej ślubie, a ona na moim. Ale przeniosła się z Robertem do San Francisco, a ja zostałam z Mattem w Los Angeles. Sprawy biegły swoim trybem. Zawsze jednak potrzebowałyśmy kontaktu i przynajmniej raz na pół roku udawało nam się pogadać. Każda taka rozmowa była powrotem do szczęśliwego okresu szkolnej przyjaźni.

Robert okazał się dziwadłem i w końcu od niej odszedł. Kilka lat później przeprowadziłam na własną rękę małe śledztwo dotyczące jego osoby, myślałam, że upewnię się w przekonaniu, iż wiedzie żywot nieszczęśliwego człowieka, jednak okazało się, że zginął w wypadku samochodowym. Do dziś dnia nie wiem, dlaczego Annie nigdy mi o tym nie powiedziała.

Kiedy zaczęłam pracę w FBI, a była to naprawdę pochłaniająca czas i nerwowa praca, okresy między naszymi kontaktami wydłużyły się do roku, potem do półtora. Zgodziłam się zostać chrzestną matką jej córeczki, ale ze wstydem muszę przyznać, że widziałam ją tylko raz, a ona mojej nie widziała nigdy. Życie biegło naprzód i jest to jedyna rzecz, której należy się po nim zawsze spodziewać.

Różnie to można osądzać. Mnie jest to obojętne. Wiem tylko, że niezależnie od tego, czy rozmawialiśmy raz na sześć miesięcy, czy raz na dwa lata, była to rozmowa, jakby życie zatrzymało się wiele lat temu.

Przed trzema laty zmarł jej ojciec i natychmiast pojechałam, żeby podtrzymać ją na duchu i zostałam z nią tydzień. Annie trochę się postarzała, była wycieńczona i przepelniona bólem. Pamiętam, że uderzyła mnie ironia losu - jej cierpienie i dojrzałość uczyniły ją piękniejszą niż była kiedykolwiek. W noc po pogrzebie, gdy już położyła dziecko spać, usiadłyśmy na podłodze jej sypialni. Annie potrzebowała się wyplakać na moim ramieniu, a ja jak przy pierwszym naszym spotkaniu szeptałam jej słowa pocieszenia z ustami w jej włosach.

Nie odezwała się po tym, jak Matt odszedł, ale nie zdziwiło mnie to. Annie miała swoje dziwactwo: nie znosiła czytać w prasie ani oglądać w TV wiadomości, a ja nie zdobyłam się na to, żeby zadzwonić i powiedzieć jej, co się stało. Dotąd nie wiem, dlaczego.

Myślałam o Annie, jadąc do biura. Zastanawiałam się także nad swoją reakcją na jej śmierć i byłam zdziwiona. Odczuwałam smutek, mogłabym się załamać, ale ta wiadomość nie wstrząsnęła mną, jak powinna.

Przyjechałam i po prostu zdałam sobie sprawę, że straciłam bezpowrotnie swoją młodość. Moja miłość, moja przyjaciółka, moja młodość. Wszystko odeszło. Może utrata Matta i Alexy wyczerpała moją zdolność do odczuwania rozpacz? Może, dlatego nie odczuwałam straty Annie tak silnie, jak myślałam, że czuć powinienam. Czy coś jeszcze zdoła mnie głęboko zranić?

- Co ty, do diabła, tutaj robisz, Smoky?

To agent specjalny Jones, mój dawny protektor, tyle, że obecnie jest to zastępca dyrektora Jones. Jestem zaskoczona, widząc go tutaj. Nie, dlatego, bynajmniej, bym uważała, że nie poświęca wiele serca swojej pracy lub, że niechętnie pojawia się na pierwszej linii, chodzi zwyczajnie o to, że nie widzę potrzeby, by się tu teraz kręcił, zważywszy, iż jego kalendarz był zawsze szczelnie wypełniony. Czemu ta sprawa miałaby być tak ważna i nagląca?

- Dzwoniła do mnie Callie, proszę pana. Powiedziała mi o Annie King i wspomniała, że zabójca zostawił wiadomość przeznaczoną właśnie dla ranie.

Jones kręci przecząco głową.

- O nie, nigdzie nie jedziesz. Mowy nie ma. Pomijając już fakt waszej przyjaźni, co oznacza, że nie powinnaś mieć nic wspólnego z tym śledztwem, twój stan nie poprawił się jeszcze na tyle, żebyś mogła wrócić do roboty.

Callie próbuje podsłuchiwać i Jones to dostrzega. Wskazuje mi, bym przeszła z nim w stronę samochodu i idąc obok mnie, zapala papierosa. Wszyscy stoją przed gmachem, przygotowując się do wyjazdu na prywatne lotnisko Van Nuysa. Jones zaciąga się głęboko, a ja patrzę na to tęsknym wzrokiem. Zapomniałam zabrać swoją paczkę.

- Mogę się poczęstować?

Zdziwiony unosi brwi.

- Myślałem, że rzuciłaś palenie.

- Tak, ale znowu palę.

Wzrusza ramionami i podaje mi pudełko. Biorę jednego papierosa, on podaje mi ogień. Zaciągam się długo i głęboko, z przyjemnością. Mniem, mniem...

- Posłuchaj, Smoky. Wiesz, jakie są reguły. Pracujesz w tej branży wystarczająco długo. Twój psychoanalityk zachowuje treść waszych rozmów w absolutnej tajemnicy. Ale raz na miesiąc przedstawia raport, w którym informuje nas w ogólnym zarysie, na jakim etapie kuracji jesteś w danym momencie.

Kiwam głową. Wiem, że tak jest i nie traktuję tego jako naruszenia swoich praw. Nikomu nie zależy na pogwałceniu mojej prywatności. Chodzi o to, czy można mi ufać jako agentowi FBI, dotyczy to zwłaszcza noszenia broni.

- Wczoraj otrzymałem kolejny raport. Doktor uważa, że wymagasz jeszcze dalszej terapii i nie powinnaś na razie wracać do pracy. Kropka. A ty pojawiaasz się nagle o szóstej rano i oświadczasz, że chcesz jechać na miejsce, gdzie zamordowano twoją przyjaciółkę. - Kręci głową z zaciętą miną. - Tak jak powiedziałem: mowy nie ma!

Zaciągam się papierosem i obracając go w palcach, patrzę na niego, badam go wzrokiem i zastanawiam się, co powiedzieć. Już wiem, dlaczego tu przyszedł. Ze względu na mnie. Ponieważ zabójca napisał ten list. I ponieważ to go martwi.

- Proszę posłuchać, proszę pana. Annie King była moją przyjaciółką. Jej córka wciąż żyje, ale nie ma już żadnej rodziny, jej ojciec nie żyje, a ja jestem jej matką chrzestną. Poleciałabym tam tak czy inaczej. Proszę Biuro tylko o jedno. Wyświadczyć mi tę przysługę i pozwólcie skorzystać z waszego samolotu.

Wciąga dym niewłaściwym przewodem i zaczyna się krztusić.

- Uch-uuf... Brawo, bardzo sprytnie, ale komu ty to mówisz, agentko Barrett? - Grozi mi palcem. - Znam cię lepiej niż ty sama, Smoky. Nie wciskaj mi kitu. Twoja przyjaciółka nie żyje, przy okazji przyjmij wyrazy współczucia, a ty chcesz jechać i włączyć się do śledztwa. Taka jest prawda. A ja na to nie mogę pozwolić. Po pierwsze, osobiste zaangażowanie wyklucza cię a priori, przykład podręcznikowy. Po drugie, masz obecnie prawdopodobnie skłonności samobójcze, więc nie mogę pozwolić, żebyś w tym stanie oglądała miejsce zbrodni.

Usta same mi się otwierają. Jestem wściekła i zawstydzona, to chyba wyraźnie słychać w moim głosie.

- Chryste Panie! Czy ja noszę na czole tabliczkę z napisem: „Myślę o tym, żeby się zabić”?  
Jego oczy łagodnieją.

- Nie, nie chodzi o tabliczkę, Po prostu wszyscy wiemy, co czuliśmy, gdyby ktoś z nas przeżył choćby połowę tego, co ty. - Rzuca papierosa na chodnik i mówi dalej, nie patrząc na mnie.  
- Ja też kiedyś myślałem o samobójstwie.

Tak jak wczoraj, podczas rozmowy z Callie, nagle mnie zatyka. On dostrzega moją reakcję i kiwa głową.

- Naprawdę. Jakies dwadzieścia pięć lat temu, kiedy służyłem w policji w Los Angeles, straciłem partnera. A straciłem, bo podjąłem błędną decyzję. Weszliśmy do budynku bez wsparcia i sobie nie poradziliśmy. Tamci mieli za dużą przewagę. Mój partner zapłacił życiem za mój błąd. Żona bardzo go kochała, był dobrym mężem i ojcem trojga dzieci. To była moja wina i przez wiele miesięcy myślałem o tym, by naprawić tę niesprawiedliwość losu. - Jones patrzy na mnie i w jego

oczach nie widzę wcale litości. - To nie jest tak, że masz wywieszkę na czole, Smoky. Większość z nas uważa, że będąc na twoim miejscu, moglibyśmy tylko palnąć sobie w łeb.

Cały agent specjalny Jones. Żadnych rozmówek towarzyskich, żadnego krążenia wokół sedna sprawy. To doskonale pasuje do jego osobowości, z nim zawsze wiesz, na czym stoisz. Zawsze.

Nie potrafię spojrzeć mu w oczy. Rzucam do połowy wypalonego papierosa, rozdeptuję go obcasem i starannie układam w myśli swoją następną kwestię.

- Proszę pana, jestem wdzięczna za to, co pan powiedział. I ma pan rację niemal całkowitą, we wszystkich punktach, poza jednym. - Spoglądam znowu na niego. Wiem, że będzie chciał patrzeć mi w oczy, gdy będę wypowiadała kolejne słowa, by łatwiej ocenić, na ile są zgodne z prawdą. - Myślałam o tym. Bardzo często. Ale wczoraj... Wczorajszy dzień był pierwszym, w którym zrozumiałam, że tego nie zrobię. Wie pan, skąd ta zmiana? - Wskazuję mój zespół, czekający na schodach. - Przyszłam tutaj i zobaczyłam kolegów, pierwszy raz od czasu, gdy to się stało. Przyszłam, spotkałam się z nimi, wszyscy nadal tutaj byli. Oni mnie akceptowali. No cóż, w przypadku Jamesa ława przysięgłych wciąż jeszcze obraduje, ale najważniejsze jest to, że nie litowali się nade mną i że nie poczułam się wśród nich jak ktoś, kto wypadł z gry. Mówię szczerze, nie myślę już o samobójstwie. Powrót do Biura mnie uleczył.

Jones słucha. Może go jeszcze nie przekonałam, ale widzę, że słucha mnie z uwagą.

- Niech mi pan wierzy, wiem, że nie mogę jeszcze objąć dowództwa CASMIRC, byłoby to dla mnie teraz zbyt trudne. Proszę tylko o jedno, niech mi pan pozwoli sprawdzić, na co mnie obecnie stać. Chcę pojechać tam, zapewnić opiekę Bonnie. Niech mi pan pozwoli przyjrzeć się tej sprawie, choć odrobinę. Callie będzie nadal wszystkim kierowała. Ja nie będę miała broni, obiecuję; jeśli się przekonam, że to przekracza moje możliwości i siły, wycofam się.

Jones wkłada ręce do kieszeni płaszcza i obrzuca mnie wściekłym spojrzeniem. Rozważa wszelkie możliwości, ocenia ryzyko, jego umysł pracuje intensywnie. W końcu odwraca wzrok, wzdychając. Mam już pewność, że go przekonałam.

- Wiem, że będę tego żałował, ale dobrze, zgoda. Umawiamy się. Jedziesz, zabierasz dziecko, oglądasz miejsce przestępstwa, próbujesz coś znaleźć, ale nie kierujesz tym dochodzeniem. I w momencie, kiedy poczujesz się, chociaż trochę nie tak, wyłączasz się, cholera, natychmiast. Mówię poważnie, Smoky. Nie zrozum mnie źle, chcę, żebyś wróciła do Biura. Jesteś mi potrzebna, ale musisz być na to naprawdę gotowa, a to nie oznacza, że potrzebuję cię natychmiast. Rozumiesz?

Kiwam głową gorliwie jak dziecko lub rekrut świeżo wcielony do wojska.

- Tak, proszę pana. Tak.



Najważniejsze, że jadę. Zwycięstwo. Jones unosi rękę i przywołuje Callie. Powtarza jej to, co przed chwilą powiedział mnie.

- Zrozumiano? - pyta surowo.

- Tak, proszę pana, zrozumiano.

Rzuca mi ostatnie spojrzenie.

- Samolot czeka. Zabierajcie się stąd.

Odchodzimy pośpiesznie, zanim szef zdąży zmienić decyzję.

- Bardzo bym chciała wiedzieć, jak ci się to udało, złotko - szepcze do mnie Callie. - Jeśli chodzi o mnie, to ty kierujesz śledztwem, chyba, że sama zdecydujesz inaczej.

Nie odpowiadam. Jestem pochłonięta myślą, czy nie popełniam strasznego błędu, wracając do zespołu.

## 9

- Od kiedy stać nas na prywatny odrzutowiec? - pytam. - Pamiętasz, jak ci mówiłam o dwóch wypadkach uprowadzenia dzieci? Potakuję ruchem głowy.

- Ojcem tej małej dziewczynki, którą odzyskaliśmy żywą, był Don Plummer. Facet ma małą firmę lotniczą. Sprzedaje samoloty, ma szkołę pilotażu i tego typu rzeczy. Zaproponował Biuru z wdzięczności odrzutowiec, oczywiście nie mogliśmy przyjąć tej propozycji. Ale on napisał do dyrektora i udało się sprawę załatwić tak, że możemy korzystać w razie potrzeby z samolotu za niewielką odpłatą. - Callie wzrusza ramionami i macha ręką. - No, więc jeśli potrzebujemy dotrzeć gdzieś szybko...

Leci z nami nowy członek zespołu. Chłopak, którego młodociany wygląd nie bardzo pasuje do agenta FBI. Wygląda, jakby brakowało mu kolczyka w jednym uchu i gumy do żucia w ustach. Mrużę oczy i dostrzegam dziurkę w płatku lewego ucha. O rany! Może nosi kolczyk, gdy nie jest na służbie. Przedstawiono mi go jako „pożyczkę”, bo wypożyczono faceta z wydziału przestępstw komputerowych. Siedzi trochę z dala od reszty. Sprawia wrażenie wymiętego i do połowy tylko rozbudzonego. Outsajder.

Rozglądam się dookoła.

- Gdzie jest Alan?

- Tu jestem - słyszę odpowiedź z przodu samolotu, przypominającą warknięcie. I Alan nie mówi ani słowa więcej.

Zdziwiona unoszę brwi i patrzę pytająco na Callie. Wzrusza ramionami.

- Coś go gryzie. Wyglądał na mocno wkurzonego, gdy wsiadał do samolotu. - Patrzy przez chwilę w kierunku Alana i kręci głową. - Lepiej teraz odpuść, złotko.

Patrzę w tamtą stronę i mam wielką chęć nawiązać rozmowę. Ale Callie ma rację. Poza tym chcę jak najszybciej zdobyć informacje o szczegółach morderstwa Annie.

- Wprowadźcie mnie - mówię. - Co mamy?

Wypowiadając te słowa, odwracam się do Jamesa. Nasze spojrzenia spotykają się i widzę w nich wrogość.

- Nie powinno cię tu być - oznajmia z dezaprobatą. Krzyżuję ręce na piersiach i wytrzymuję jego spojrzenie.

- No tak, ale jestem.

- To niezgodne z procedurą. Będiesz kulą u nogi dla zespołu przy tym dochodzeniu. - Kręci głową. - Prawdopodobnie nie masz jeszcze pozwolenia od psychologa, zgadza się?

Callie zachowuje milczenie i jestem jej za to wdzięczna. To jest pewien kluczowy moment, coś, co sama muszę rozwiązać.

- Agent specjalny Jones dał mi pozwolenie - rzucam gniewnie. - Boże, James. Annie King była moją przyjaciółką.

Wymierza we mnie palec oskarżycielskim gestem.

- To jeszcze jeden powód, dla którego nie powinno być cię tutaj. Jesteś za bardzo zaangażowana emocjonalnie w tę sprawę i spieszysz śledztwo.

Jakaś część mnie uświadamiam sobie, że ktoś postronny, słuchający tego dialogu mógłby być zdumiony i przerażony. Nie chciałby uwierzyć, że James powiedział mi coś takiego. Ja jestem przyzwyczajona do jego odzywek. To cały James. Taki właśnie jest i tak się zachowuje. To mi nawet w jakimś stopniu pomaga. Czuję, jak przepelnia mnie znany chłód, który zawsze pomagał mi dawać sobie radę z Jamesem, hamować go. Umacniam w sobie ten chłód i pozwalam, by pojawił się w moich oczach.

- Jestem tutaj i nie zniknę. Pogódź się z tym, przestań mnie denerwować i podaj mi wszystkie szczegóły.

Milczy i bada mnie wzrokiem. Rozsiada się wygodnie, kręci głową niezadowolony, ale już wiem, że się poddał.

- Wspaniale! Ale oświadczam oficjalnie, że uważam to za jaskrawe naruszenie obowiązujących w Biurze zasad.

- Zostało to starannie odnotowane - mój głos ocieka sarkazmem, który nie przenika przez warstwę jego obojętności.

- Niech będzie. - Teraz jego spojrzenie traci ostrość. Nie ma teczki z dokumentami, ale jego komputerowy umysł pozwala mu zapamiętywać dokładnie wszystkie fakty w najdrobniejszych szczegółach. - Jej ciało znaleziono wczoraj. Sądzi się, że została zabita trzy dni temu.

- Trzy dni?! - Podrywam się, słysząc to.

- Tak.

- Gdzie znaleziono ciało?

- Policja z San Francisco otrzymała e-mail. Zawierał załącznik z kilkoma fotografiami. Pojechali, żeby sprawdzić i znaleźli zwłoki i dziecko.

Serce zaczyna mi łomotać, czuję, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Odbija mi się kwaśno.

- Chcesz powiedzieć, że jej córka przebywała przez trzy dni z martwą matką?

Mówię to podniesionym głosem. Niemal krzyczę. James zachowuje chłodny spokój. Relacjonuje po prostu fakty.

- Gorzej. Morderca przywiązał ją do ciała matki. Twarzą w twarz. Była tak przytroczona przez cały ten czas.

Krew uderza mi do głowy, robi mi się słabo. Znow mi się wstrętne odbija. Czuję w ustach smak kwasu żołądkowego. Kładę sobie rękę na czole.

- Gdzie teraz jest Bonnie?

- W jednym z tamtejszych szpitali. Ma ochronę. Jest w stanie katatonii. Od momentu, gdy ją znaleziono, nie powiedziała ani słowa.

Po tych słowach zapada cisza. Przerwywają Callie.

- Wiemy więcej. Chcemy, żebyś się wszystkiego dowiedziała, zanim wylądujemy. To ułatwi sprawę.

Boję się tego, co nastąpi, tak jak się boję kłaść, co noc do łóżka, ale biorę się j w garść. Otrząsam się. Mam nadzieję, że nikt nie zauważył mojej słabości.

- No więc wal, nie oszczędzaj mnie.

- Są trzy sprawy i wymienię je po kolei. Pierwsza rzecz, powierzyła córkę tobie, Smoky. Zabójca odnalazł testament i pozostawił dokument przy zwłokach. Jesteś w nim wymieniona jako prawna opiekunka dziecka. Druga rzecz, twoja przyjaciółka prowadziła erotyczną stronę w Internecie, na której pokazywała swoje wdzięki. Trzecia rzecz, e-mail zabójcy do policji zawierał list adresowany do ciebie.

Otwieram szeroko usta. Czuję się jak ciężko pobita. Jak gdyby Callie zamiast mówić, złapała kij golfowy i grzmotnęła mnie nim z całej siły. Kręci mi się w głowie. Jestem w szoku, ale doznaję też egoistycznego uczucia, które mnie bardzo zawstydza, chociaż z drugiej strony może mi pomóc w tym momencie. Jest nim lęk, że nagle stracę rozum na oczach całego zespołu. Lęk przed tym, jak wypadnę wtedy w ich oczach. Chodzi mi zwłaszcza o Jamesa. Opanowując ten lęk, ułatwiam sobie odzyskanie kontroli nad sobą.

Zmagam się z szokiem i przygnębieniem, które próbują mnie zdominować, wreszcie udaje mi się przewyciężyć to na tyle, że mogę mówić normalnym głosem. Zaskakuje mnie, że brzmi on tak beznamiętnie i spokojnie.

- Pozwól, że zastanowię się nad tym punkt po punkcie. Co do pierwszej sprawy, załatwię ją sama. Przejdźmy do punktu dwa. Twierdzisz, że Annie była czymś w rodzaju internetowej prostytutki?

- No nie, proszę pani - odzywa się jakiś słaby głos. - Błędna interpretacja. To nie jest tak.

- Jak się nazywasz?

- Leo. Leo Carnes. Zostałem oddelegowany w sprawie e-maila do policji i z powodu tego, w jaki sposób pani przyjaciółka zarabiała na życie.

Mierzę go badawczym spojrzeniem. Wytrzymuje to z kamienną twarzą. Przystojny chłopiec, pewnie dwudziestoczero-, dwudziestopięcioletni. Ciemne włosy, spokojne oczy.

- A jak jest? Powiedziałeś, że błędnie zinterpretowałam wiadomość, więc wyjaśnij to nam.

Przesuwa się o parę miejsc bliżej; zaproszony do naszego grona nie przepuszcza okazji. Każdy chce należeć do grupy.

- To wymaga dłuższych wyjaśnień.

- Mamy czas. Proszę bardzo, słuchamy!

Kiwa głową, w jego oczach pojawia się błysk, poznaje ten symptom rozbudzonych emocji. Widać, że komputery to jego pasja.

- Żeby to zrozumieć, musicie sobie zdać sprawę z faktu, że pornografia w Internecie to zupełnie inna subkultura niż w świecie realnym.

Rozsiada się wygodnie, odpręża, przygotowuje się do wykładu na temat, który nie ma dla niego żadnych tajemnic. Znalazł się teraz w centrum uwagi, a ja jestem z tego zadowolona, bo mam czas, by uspokoić swoje nerwy i żołądek. Mogę przy tym pomyśleć o małej Bonnie, która przez trzy dni patrzyła na twarz martwej mamy.

- Mów dalej, czekamy.

- Począwszy od mniej więcej 1978 roku mamy do czynienia z BBS-ami (komputerowymi tablicami ogłoszeń). To były pierwsze pozarządowe dostępne dla wszystkich sieci komputerowe. Jeśli ktoś miał modem i komputer, mógł wysyłać wiadomości do wspólnych plików. Oczywiście do tego czasu z komputerów korzystali tylko naukowcy i maniacy komputerowi. Wspominam o tym, bo istotne dla nas jest to, że BBS-y stały się miejscem, gdzie można było przedstawić także fotki porno. Można je było pooglądać, sprzedawać je, wszystko. W tym momencie nie mówimy po prostu o Dzikim Zachodzie, mówimy o nie odkrytym kraju. Żadnego nadzoru, nada. To było ważne dla amatorów porno, ponieważ...

- Ponieważ był łatwy, choć raczej nie darmowy i pozwalał zachować prywatność?

Leo szczerzy zęby w uśmiechu i przytakuje.

- Otóż to, nie trzeba było się przekradać od zaplecza sex shopu i przynosić ukradkiem w papierowej torbie zakupionych gadżetów. Można było zamknąć się na klucz i wysyłać z serwera zdjęcia erotyczne, własne lub nie, bez obawy zdemaskowania. BBS-y stały się, więc potęgą, jedyną publiczną instytucją tego rodzaju w mieście. Były wszędzie, a porno było w każdym z nich. Jednak bardzo prędko zaczęły upadać, kiedy rozwinął się Internet. W błyskawicznym tempie rozpowszechniały się witryny stron internetowych, przeglądarki, adresy domen i wszystkie tego rodzaju rzeczy. BBS-y zawsze służyły głównie do nadawania, oglądać można było dopiero po zainstalowaniu odpowiedniego oprogramowania. Teraz mamy witryny internetowe, na których możesz obejrzeć wszystko, co chcesz, tak szybko, jak szybkie masz łącze. Co zatem dzieje się z

pornografią? - Leo się uśmiecha. - To, do czego w rzeczywistości doszło, przebiega dwutorowo. Mamy grupkę zdolnych biznesmenów - mówię o facetach, którzy mieli szmal i mogli zainwestować w otwieranie witryn dla dorosłych. Niektórzy z nich dorobili się wcześniej w przemyśle audiotekstowym...

- A cóż to takiego? - pytam.

- Przepraszam, seks przez telefon. Ci goście, którzy robili kasę na seks-telefonach, nagle odkryli możliwości Internetu. Prywatne kodowane strony na każde żądanie, materiały ułatwiające facetom trzepanie kapucyna, co wieczór. Włożyli mnóstwo forsy w zakupy tych podniecających materiałów. Fotki przeglądane przez dziesiątki tysięcy napaleńców na mnożących się witrynach. Żeby je oglądać, należało wyciągnąć natychmiast swoją kartę kredytową. I na tym etapie zabawa z obrazkami zmieniała się w pornografię.

Callie marszczy brwi.

- Co masz na myśli, mówiąc: zmieniała?

- Zaraz dojdę do tego. Widzicie, do tego momentu porno było w znacznym stopniu tworzone, że tak powiem, bezpośrednio przez ludzi działających w branży. Jeśli ktoś na przykład sprzedawał wideo, tkwił po uszy w tym przemyśle. Bywał na planie filmowym, oglądał seks uprawiany na jego oczach, znał tych ludzi, czasem sam występował przed kamerą. To były zawsze zamknięte małe grupy. Od kiedy natomiast pojawiły się erotyczne witryny w Internecie, goście, którzy się do tego wzięli, stali się innym typem przedsiębiorców. Pomiedzy nimi a twórcami porno rozpościerała się szczególna, bardzo szczelna warstwa izolująca. Mieli pieniądze, kupowali gotowe materiały, puszczały je w sieci i inkasowali opłaty za dostęp do nich. Widzicie, na czym polegała różnica? Ci faceci nie byli producentami pornografii. Byli szanowanymi biznesmenami. Mieli plany marketingowe, biura handlowe, personel i górę forsy. Nie przypominali w niczym prowadzącego ciemne interesy marginesu. Ci, którzy dorwali się pierwsi do tego przedsięwzięcia, zarabiają obecnie od osiemdziesięciu do stu milionów rocznie.

- No, no - wtrąca Callie.

Leo kiwa głową.

- Zgadza się. No, no. Może nam się to nie wydawać świetnym interesem, ale jeśli sięgniemy do historii pornografii, dostrzeżemy bez trudu zmiany wzorców. Mówiąc szczerze, większość ludzi, którzy tworzyli pornografię we wczesnych latach osiemdziesiątych, działała już w poprzednim dziesięcioleciu. Rozprawiamy wiele o narkotykach, seksie z przypadkowymi partnerami, rozwiązłości, powtarzamy w kółko te truizmy. A ci faceci z internetowego porno biznesu przeważnie nie mają nic wspólnego z zamienianiem się żonami lub niuchaniem koki podczas orgietek, z niczym takim. Mało, który był, chociaż raz na planie filmu porno. To przedsiębiorcy w

eleganckich garniturach, robiący miliony na najnowocześniejszych zdobyczach techniki, zmieniający to przedsięwzięcie w przyzwoity biznes, o ile przyzwoity jest tu właściwym słowem.

- Ale powiedziałeś, że to przebiega dwutorowo. Co jest tym drugim torem?

- W czasie, kiedy faceci z porno biznesu wykuwali swoje imperia, dokonywała się rewolucja obyczajowa w świecie dorosłych. To jest niższy poziom. Obok erotycznych witryn prezentujących zawodowe gwiazdy porno, zaczęły się pojawiać strony internetowe kobiet i par, które koncentrowały się na sobie i swoich eskapadach seksualnych w realnym życiu. To byli amatorzy niezamierzający czerpać zysków z seksu. Robili to dla zabawy, z ekshibicjonizmu.

Callie przewraca oczami.

- Nie mówisz do dzieci, złotko. Myślę, że większość z nas dobrze wie, co to jest amatorskie porno. Dziewczyna mieszkająca obok, wieczni playboye, bla, bla, bla.

- Jasne, przepraszam. Wpadłem w rolę wykładowcy. Związek z tą sprawą jest taki, że zapotrzebowanie na tego rodzaju obrazki stało się nie mniejsze niż na porno profesjonalne. Większość tych kobiet i par nie mogła podołać finansowo rosnącym kosztom swojego hobby. Utrzymywanie erotycznej strony odwiedzanej przez tak wielu ludzi stało się ogromnie kosztowne, więc i oni zaczęli pobierać opłaty za wejście na swoją stronę. Nieliczni spośród tych amatorów, którzy zaczęli to robić jako pierwsi, zarobili miliony, chociaż nie mieli nic wspólnego z przemysłem pornograficznym. Nie znali nikogo z branży filmów „tylko dla dorosłych”. Nie było ich w kolorowych magazynach i na kasetach wideo z filmami porno dostępnymi w księgarniach. Kierowała nimi wyłącznie chęć zabawy. Nie ma znaczenia, jak wy czy ja ocenimy takie postępowanie. Prawdą jest to, że pojawiła się nowa jakość. Mamusie i tatusiowie, członkowie komitetów rodzicielskich zaczęli prowadzić jakby podwójne życie. W tym sekretnym zgarniali forszę, pokazując siebie światu. - Leo odwraca się do mnie. – To miałem na myśli, mówiąc, że źle ocenia pani sytuację... Widziałem internetową seks-stronę pani przyjaciółki. Nie było na niej uprawiania seksu, tylko miękkie porno: onanizowała się, używała seksualnych zabawek i... podobne rzeczy. Brała opłaty za oglądanie tego i ja niekoniecznie to aprobuję, ale nie była prostytutką. - Przez chwilę szuka odpowiednich słów. - Nie wiem, czy to pani pomoże, jeśli pani o tym pomyśli w ten sposób, ale...

Patrzę na niego ze znużonym uśmiechem. Przymykam oczy.

- Muszę bardzo dużo zrozumieć i przemyśleć. Nie wiem jeszcze, jakie to budzi we mnie uczucia, ale tak, to pomaga.

Kręci mi się w głowie i ten stan nie mija. Myślę o Annie, o tym, że wybrała właśnie taki sposób zarabiania. Zastanawiam się nad sekretami ludzkiej natury. Annie była zawsze piękna i zawsze trochę rozhukana. Nie zdziwiłaby mnie żadna liczba jej erotycznych tajemnic, ale to wytrąca mnie z równowagi. Częściowo, dlatego, że nie potrafię się zdobyć na jednoznaczną ocenę.

Przed oczami staje mi nagle, nieproszony, pewien obraz. Matt i ja mieliśmy wtedy po dwadzieścia sześć lat. Seks, jaki uprawialiśmy w tym roku, mogłabym określić jako bardzo widowiskowy. Kochaliśmy się we wszystkich miejscach, wszystkich częściach naszego domu. Nie było takiej pozycji, której byśmy nie wypróbowali. Kolekcja mojej frywolnej bielizny rosła w niesamowitym tempie. Najwspanialsze było to, że wszystko robiliśmy bardzo spontanicznie. Nie myśleliśmy, jak dodać do naszych stosunków pikanterii, bo to było samo w sobie dostatecznie pikantne. Byliśmy pijani sobą, dokazywaliśmy wciąż tak samo napaleni.

Ja miałam zawsze większą inicjatywę. Matt przejawiał pod tym względem skłonności bardziej konwencjonalne. Ale jak mówią cicha woda brzegi rwie. Gdy prowadziłam go w ciemne regiony, podążał za mną bez wahania. Mógłby wyć na całe gardło do księżyca, będąc ze mną. Była to jedna z cech, którą tak bardzo w nim kochałam. Był wspaniałym, łagodnym, delikatnym człowiekiem. Potrafił jednak zmieniać biegi, kiedy tego oczekiwałam. Potrafił być brutalny, gniewny i trochę niebezpieczny. Był moim bożyszczem taki, jakim był, na co dzień, lecz kiedy potrzebowałam kawałka drania, Matt tę potrzebę zaspokajał.

Byliśmy nowoczesną parą. Zdarzało nam się razem oglądać nieprzyzwoite filmy. Byłam jedyną osobą, która mogła go wciągnąć na strony „tylko dla dorosłych” w Internecie. Logowaliśmy się, zawsze używając jego komputerowego loginu. Mimo że wtedy czułam się jak Big Brother, reagowałam jednak paranoicznie na myśl o możliwościach Big Brothera. Nie mogłam sobie pozwolić na splamienie wizerunku FBI. Tak, więc ten login Matta był używany przez nas do oglądania tych sprośnych filmików. Naśmiewałam się z niego, przezywając perwersyjnym dewiantem żyjącym w małżeńskim stadle.

Mieliśmy także aparat cyfrowy. Któregoś wieczoru tamtego roku, gdy Matt był w sklepie, pod wpływem jakiegoś impulsu rozebrałam się do naga i zrobiłam sobie kilka zdjęć od szyi w dół. Serce mi waliło jak młotem, chichotałam jak szalona. Przesłałam od razu te fotografie e-mailem do właścicieli jednej z witryn erotycznych, którzy zbierali takie zdjęcia. Zanim Matt wrócił, byłam już kompletnie ubrana i wyciszona.

Minął tydzień od tego dnia, a ja już całkiem zapomniałam o tym incydencie. Ugrzęzłam po uszy w pewnym dochodzeniu i o niczym innym nie myślałam. Teraz liczyła się tylko praca i życie z Mattem. Pewnego wieczoru wróciłam do domu wykończona i powlokłam się do sypialni. Zostałam tam Matta leżącego na łóżku z rękami splecionymi pod głową. Popatrzył na mnie dziwnie.

- Chciałabyś mi coś powiedzieć?

Przystanęłam zaskoczona, nie wiedząc, o co mu chodzi.

- Dlaczego pytasz? Nie wiem o niczym takim.

- Chodź.



Wstał z łóżka, przeszedł obok mnie w stronę gabinetu. Ruszyłam za nim zaskoczona. Usiadł przy biurku, na którym stał nasz komputer. Poruszył myszką, żeby usunąć wygaszacz ekranu.

To, co zobaczyłam, sprawiło, że poczułam jak twarz mi płonie. Na ekranie była otwarta witryna erotyczna, a na niej cały świat mógł zobaczyć mnie na golasa na fotkach, które wysłałam pod ten adres. Matt się odwrócił. Dostrzegłam uśmiezek na jego twarzy.

- Odpowiedzieli na twój e-mail. Najwyraźniej twoje zdjęcia bardzo im się spodobały.

Zaczęłam się jąkać, czułam, że twarz mi się zapali, gdy pomyślałam, że to mogłoby kogoś kręcić.

- Myślę, że nie powinnaś tego więcej robić, Smoky. Od szyi w dół czy inaczej nie jest to prawdopodobnie zbyt mądre. Właściwie uważam, że to bardzo głupie. Gdyby to ktoś odkrył, zostałabyś zwolniona ze służby w jednej sekundzie.

Spojrzałam na niego z ciągle jeszcze płonąca twarzą.

- Tak, tak. Masz rację. Nie będę tego na pewno robić, ale... Uniósł brwi w sposób, który zawsze uważałam za bardzo seksowny.

- Ale...?

- Ale teraz chodźmy się pieprzyć.

Zdarłam z siebie ubranie, on zrzucił swoje i skończyło się na wyciu do księżycyca.

Nie zamierzam wygłaszać zbyt łatwych krytycznych sądów na temat niegroźnych wypadków, jakie robią dorośli, niezależnie od upublicznianego stanowiska FBI. Myślę, że nie zrobię tego nigdy w życiu. Trudno mi się ekscytować tym, że ktoś pokazuje wszystkim swoje cycki. Ale widzę wielką różnicę między wejściem na stronę erotyczną a braniem opłaty za pokazywanie, jak wpycham sobie między nogi różne przedmioty. Zastanawiam się, czy Annie dostarczało to czegoś więcej niż tylko pieniędzy. Znając moją przyjaciółkę, sądzę jednak, że nie szło wyłącznie o kasę. Była zawsze kobiecym Ikarem latającym troszeczkę za blisko słońca.

Otrząsam się z tej zadumy. Czy nie staję się jedną z tych cierpiących na nerwicę osób, które nagle milkną w pół słowa, by zapatrzeć się gdzieś w przestrzeń? Widzę, że James obserwuje mnie uważnie. Z jakiegoś powodu jawi mi się jako jeden z tych wszystkich ludzi, którzy mogli dowiedzieć się o moich zdjęciach. Reaguję paranoicznie. Boże, powinnam była naprawdę skończyć ze sobą.

- Wygląda na to, że znasz się na rzeczy, Leo. Będziesz mi potrzebny w sprawach komputerowych, więc mam nadzieję, że jesteś w tym superdobry.

- Superhiper - mówi, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Przejdźmy teraz do tego listu.

Callie sięga do swojej torby, wyjmując z kartonowej teczki wydruk i wręcza mi go.

- Czytałeś to? - pyta Jamesa.

- Tak. - Waha się przez moment. - Jest... interesujący.

Kiwam głową, napotykam jego wzrok i czuję ten nasz wewnętrzny związek - olej i łożysko kulkowe, to nas łączy i on chce wiedzieć, co ja myślę, bez względu na to, co on sam mógłby powiedzieć na ten temat. Skupiam całą uwagę na słowach, które mam na kartce przed sobą. Chcę przeniknąć do umysłu zabójcy, a to, co napisał, daje wiele do myślenia. Dla nas jest to bezcenny dokument. Może nam dużo powiedzieć o tym potworze, jeśli potrafimy należycie odczytać jego przesłanie.

*Do agenta specjalnego Smoky J. Barrett*

*Chciałbym, żeby nikt poza tobą tego nie widział, ale wiem, jak mało FBI troszczy się o prywatność, gdy w grę wchodzi polowanie. Pootwierają wszystkie drzwi, pozwijają rolety, ciemne mroki zostaną rozproszone.*

*Pragnąłbym się usprawiedliwić najpierw za upływ czasu, przerwę między zabiciem twojej przyjaciółki a zawiadomieniem policji o jej śmierci. To było nieuniknione. Potrzebowałem czasu na uruchomienie pewnych spraw. Będę się starał być szczery z tobą, agentko Barrett, i zacznę już od teraz. Chociaż najważniejsze było to, że potrzebowałem czasu, lecz przyznam, że myśl o małej Bonnie przywiązanej twarzą do zwłok matki przez te trzy dni patrzącej w jej martwe oczy, czującej smród, który zaczynał się unosić z ciała, sprawiła mi osobliwą przyjemność.*

*Jak sądzisz, czy ona kiedykolwiek dojdzie do siebie po tym wszystkim? A może będzie ją to dręczyło do ostatniego dnia? Czy ten dzień nadejdzie wcześniej, niżby musiał, bo spróbuje własną ręką uwolnić się od koszmarów za pomocą brzytwy lub proszków nasennych? Nie wiadomo, czas to pokaże, ale myślenie o tym jest naprawdę frapujące.*

*Następne szczere wyznanie: Nie tknąłem dziecka. Cierpienie innych sprawia mi radość, jestem typowym seryjnym zabójcą. Nie jestem moralnie przeciwny seksualnym gwałtom na nieletnich, ale nie mają one dla mnie jakichś szczególnych ponęt. Dziewczynka pozostała niewinna, czysta przynajmniej w sensie fizycznym. Gwałt zadany jej psychice był znacznie bardziej ekscytujący.*

*Ponieważ śmierć nie jest dla mnie czymś niezwykłym i nie mogę się od niej odwracać, powiem ci coś o śmierci twojej przyjaciółki Annie King. Nie umarła szybko. Bardzo cierpiała, błagała o życie. I jedno, i drugie okazało się zabawne i podniecające.*

*Co po tym wyznaniu odnotujesz na swojej liście kontrolnej dotyczącej portretu psychologicznego mordercy? Pozwól, że ci pomogę.*

*Nie byłem ofiarą przemocy w rodzinie ani molestowania seksualnego jako dziecko. Nie moczyłem się w łóżku i nie dręczyłem małych zwierzątek. Jestem czymś daleko czystszy. Jestem*

*dziedzicem. Robię to, co robię, ponieważ wywodzę się z tego rodu. Jestem potomkiem PIERWSZEGO. To, do czego się urodziłem, jest ze wszech miar słuszne. Jesteś gotowa na to, co teraz powiem, agentko Barrett? Będiesz drwić ze mnie, ale to prawda: Jestem potomkiem Jacka the Rippera\* w prostej linii.*

*Proszę bardzo, zostało to powiedziane. Na pewno czytając to, kręcisz głową. Uznałaś mnie już za jeszcze jednego maniaka, nieszczęsną istotę, która słyszy głosy i otrzymuje rozkazy z góry.*

*Zmienimy, i to już wkrótce, to błędne przekonanie. Na razie ustalmy tyle: twoja przyjaciółka Annie King była dziwką. Współczesną kurwą z infostrady. Zasłużyła na to, by umierać, wrzeszcząc z bólu. Takie jak ona są rakiem na obliczu tego świata - ona nie była wyjątkiem.*

*Była pierwsza. Nie będzie ostatnia.*

*Kroczę śladami mojego przodka i tak jak on nigdy nie zostanę schwytany. Moje czyny, podobnie jak jego, przejdą do historii. Czy chcesz odegrać rolę inspektora Abberline'a wobec Jacka w moim wydaniu?*

*Mam nadzieję, że tak, szczerą nadzieję.*

*Zacznijmy grę w następujący sposób: bądź w swoim biurze dwudziestego. Otrzymasz w tym dniu paczkę. Nie obawiaj się. Nie będzie w niej bomby ani żadnej pułapki.*

*Jedź i spotkaj się z małą Bonnie. Być może teraz, kiedy jesteś jej nową mamusią, będziecie mogły się wzajemnie budzić, krzycząc w nocy. I pamiętaj, nie ma żadnych głosów, żadnych nakazów od Boga. Żeby wiedzieć, kim jestem, muszę słuchać tylko jednego - bicia własnego serca.*

*Z piekła Jack Junior*

Skończyłam czytać i przez moment siedzę w milczeniu.

- To dopiero list! - mówię.

- Po prostu kolejny świr - odpowiada Callie głosem pełnym pogardy. Zaciskam wargi.

- Nie sędzę. Wydaje mi się, że ten jest kimś więcej niż świrem. - Kręcę głową i spoglądam na Jamesa. - Pomówimy o tym później, muszę mieć czas na przemyślenie tego.

James kiwa głową.

- Jasne. Ja także. Chcę się też przyjrzeć miejscu zbrodni, zanim wyciągnę jakiegokolwiek konkretne wnioski.

\* Kuba Rozpruwacz - pseudonim nadany przez policję niezidentyfikowanemu seryjnemu mordercy prostytutek, który działał w Londynie w 1888 roku. Najbliższy jego wykrycia był inspektor Abberline (przyp. tłum.).

Znowu ta więź. Czuję to samo. Musimy się znaleźć na miejscu zdarzenia. Musimy wyczuć tam mordercę.

- Skoro o tym mówimy - dodaje - kto z policji z San Francisco zajmuje się tą sprawą?

- Twoja stara przyjaciółka Jennifer Chang - dobiega z przodu samolotu dudniący głos Alana.

- Rozmawiałem z nią tej nocy. Nie wie, że przylecisz z nami.

- Chang, to dobrze. Należy do najlepszych. - Poznałam detektyw Jennifer Chang podczas pewnego dochodzenia sześć miesięcy temu. W moim wieku, cholernie profesjonalna i obdarzona kąśliwym poczuciem humoru, które bardzo mi odpowiadało. - Na jakim są etapie? Zaczęli już badać miejsce zbrodni i zabezpieczać ślady?

- Tak - mówi Alan. Przechodzi wzdłuż samolotu i siada bliżej nas. - Ekipa techniczna w San Francisco zrobiła już wszystko pod nadzorem Chang. Rozmawiałem z nią o północy. Ciało było już przekazane koronerowi, porobili komplet zdjęć oraz zebrali dowody wewnątrz i na zewnątrz. Włókna, odciski, wszystko. Ta kobieta to poganiacz niewolników.

- I taką ją pamiętam. A co z komputerem?

- Posypali go tylko proszkiem, by zdjąć odciski, poza tym nic nie ruszali. - Wskazuje palcem Lea. - Nasz As powiedział, że sam się tym zajmie.

Patrzę na Lea i pochylam głowę.

- Masz już jakiś plan?

- To proste. Zbadam pobieżnie peceta i sprawdzę, czy nie ma tam jakichś zaporowych pułapek, które po uruchomieniu wyczyściłyby twarde dyski. Przejrzę najnowszą historię, a potem zabiorę go do biura, żeby się zabrać do prawdziwej pracy nad nim.

- W porządku. Chcę, żebyś dokładnie przeczesał jej komputer. Interesują mnie wszelkie skasowane pliki łącznie z e-mailami, zdjęciami, naprawdę wszystko, co mogłoby nam pomóc. On ją znalazł w Internecie. Komputer, jak widać, jest jego główną bronią strategiczną.

Leo zaciera ręce.

- Nie mogę się doczekać.

- Alan, ty zajmiesz się swoją zwykłą działką. Zbierz kopie wszystkiego, co zabezpieczyła policja, a także ich raporty, domysły, przewidywania i tak dalej.

- Nie ma problemu.

Odwracam się do Callie.

- Ty zajmiesz się technikami. Ci tutaj są dobrzy, ale ty jesteś lepsza. Staraj się być miła, ale jeśli uznasz, że musisz kogoś odsunąć... - Wzruszam wymownie ramionami.

Callie uśmiecha się do mnie.

- Fakt, moja specjalność.

- James, chcę, żebyś na razie zajął się koronerem. Przyciśnij go. Potrzebujemy jeszcze dziś wyników autopsji. Potem razem pójdziemy na miejsce zbrodni.

Czuję promieniującą z niego wrogość, ale nie mówi nic, potakuje głową. Przelatuję w myśli cały plan, by upewnić się, że niczego nie przeoczyłam. Nie przeoczyłam, dochodzę do wniosku.

- To już wszystko? - pyta Alan.

Spoglądam na niego zdziwiona gniewem, który słyszę w jego głosie. Wciąż nie mam pojęcia, skąd się ten gniew bierze.

- Chyba tak - odpowiadam. Alan wstaje.

- To dobrze - mówi.

Odchodzi znowu na przód samolotu, wszyscy patrzymy w ślad za nim, usiłując zgadnąć, o co mu chodzi.

- Ciekawe, co go tak zdołowało - zastanawia się Callie.

- Ale zgred - wtrąca Leo.

Mierzymy go wrogim spojrzeniem, Leo denerwuje się i spuszcza wzrok.

- Coś się stało? - pyta z niepokojem.

- Jak to się mówi, dziecinko - odpowiada Callie, mierząc palcem w jego pierś - tylko mnie wolno atakować mojego przyjaciela. Rozumiesz?

Patrzę jak twarz Lea tężeje.

- Jasne. Chcesz powiedzieć, że ja nie jestem waszym przyjacielem, zgadza się, Rudzielcu?

Callie przekrzywia głowę i widzę, że wrogość z niej ustępuje.

- Nie, złotko. Nie o to chodzi. To nie jest żadna klika i nie jesteśmy w szkole średniej, więc przestań robić z siebie głupka albo osaczonego biednego maniaka komputerowego. - Pochyliła się do przodu. - Chcę powiedzieć, że kocham tego człowieka. Uratował mi kiedyś życie... I nie czepiaj się go, tak jak ja to robię. Jeszcze na to za wcześnie. Zrozumiałeś mnie, skarbie?

Leo także się uspokaja, ale nie zamierza się jeszcze poddawać.

- Tak, okay. Ale nie nazywaj mnie dzieciakiem.

To rozbawia Callie.

- Mimo wszystko może się będzie do nas nadawał, Smoky. - Spogląda znowu na Lea. - Jeśli cenisz sobie swoje życie, nigdy więcej nie nazywaj mnie Rudzielcem, chłoptasiu z kolczykiem.

- Pójdę pogadać z Alanem - mówię. Trudno mi się przy nich skupić i nie bawią mnie te żarciki tak jak normalnie. Przechodzę do przodu, a oni nadal przekomarzają się przyjaźnie. Ta moja częśćka, która zachowała cechy dowódcy, podpowiada mi, że to, co robi Callie, jest dobre dla Lea i w efekcie dla całej naszej grupy. Akceptuje go na swój sposób, co mnie cieszy. Zdarza się, że gdy członkowie zespołu pracują długo w zamkniętym kręgu, horyzonty zawężają im się do stanu

ksenofobii. Nie jest to zdrowa sytuacja, więc dobrze, że u nas się na to nie zanosi. No, przynajmniej w przypadku Callie.

James wygląda przez okno, zamknięty w sobie, chłodny. Nie bierze udziału w przekomarzaniach tamtych dwojga. Cały James, nic nowego.

Docieram do rzędu, w którym siedzi Alan. Wpatruje się w swoje stopy. Promieniujące z niego napięcie sprawia, iż czuję ucisk w gardle.

- Pozwolisz, że siądę obok? - pytam. Zaprasza gestem, nie patrząc na mnie.

- Proszę bardzo.

Siadam i przyglądam mu się, podczas gdy on zaczyna wyglądać przez okno. Postanawiam zapytać go wprost.

- Co się z tobą dzieje?

Przechodzi mnie dreszcz na widok złości, czającej się w jego oczach.

- A co ma się dziać? Chcesz pokazać, że potrafisz rozmawiać z niepoczytalnym? O co ci chodzi?

Odbiera mi mowę. Drętwieję. Czekam, sądząc, że jego złość za chwilę minie, ale on nadal piorunuje mnie wzrokiem.

- Więc? - pyta.

- Wiesz, że nic takiego nie mam na myśli, Alan - mówię spokojnie. Wszyscy widzimy, że coś cię dręczy. Ja po prostu pytam.

Patrzy zagniewany, ale gniew przygasa. Wpatrując się w swoje dłonie, mówi:

- Elaine jest bardzo chora.

Otwieram usta z wrażenia i ogarnia mnie instynktowny niepokój. Elaine jest żoną Alana i znam ją tak samo długo jak jego. Jest piękną Latynoską zarówno z urody, jak i w duchowym sensie. Przyszła odwiedzić mnie do szpitala, była jedyną osobą, której się to udało. Prawdę mówiąc, nie dała mi wyboru. Wtargnęła bezceremonialnie, odsunęła na bok pielęgniarki, usiadła na brzegu mojego łóżka i wzięła mnie w ramiona, nie wypowiadając przy tym ani jednego słowa. Wtuliłam się w nią i płakałam tak długo, aż zabrakło mi łez. Zawsze myśląc o niej, ten moment będę pamiętała najmocniej ze wszystkiego. Świat rozmazany za moimi łzami, Elaine swobodna, głaskająca ciepłą, silną dłonią moje włosy i wypowiadająca proste słowa pociechy mieszanką angielskiego i hiszpańskiego. Czulałam, że jest przyjaciółką tego rzadkiego rodzaju, z którą przyjaźń nigdy nie ustanie.

- Co! Co ty mówisz?

Być może to efekt prawdziwego lęku w moim głosie, ale jego gniew mija. Dostrzegam teraz tylko ból.

- To rak okrężnicy, drugie stadium. Guz usunięto, ale zdążył pęknąć. Na skutek perforacji komórki rakowe przedostały się do organizmu, zanim przeprowadzono operację.

- I co to oznacza?

- To jest właśnie to najgorsze. Może z tego nic nie wyniknąć, być może komórki rakowe wydostały się na zewnątrz i nie ma się, o co martwić. A może są w niej, krążą, gotowe rozpanoszyć się w organizmie. Lekarze nie potrafią powiedzieć nic pewnego. - Oczy Alana ciemnieją z bólu. - Odkryliśmy to dopiero, gdy dostała silnych boleści. Wydawało nam się, że to może być zapalenie wyrostka robaczkowego. Wzięli ją od razu na salę operacyjną, a potem orzekli, że to nowotwór. Wiesz, co mi powiedział lekarz po operacji? Że to czwarte stadium i Elaine najprawdopodobniej umrze.

Patrzę na jego ręce - wyraźnie drżą.

- Nie mogłem jej tego powiedzieć. Odzyskiwała zdrowie, wiesz? Nie chciałem jej pozbawić nadziei, gdy powinna się skupić na rekonwalescencji. Przez cały tydzień obawiałem się, że nagle umrze. I za każdym razem, kiedy przy niej siedziałem, myślałem tylko o tym. Nie miałem pojęcia, jaki jest jej prawdziwy stan. - Uśmiecha się z przymusem. - Zrobiliśmy, więc badania kontrolne. Wtedy doktor mówi, że ma dla nas dobre wiadomości: to drugie stadium, a nie czwarte. To daje siedemdziesiąt do osiemdziesięciu procent szans, że przeżyje następne pięć lat. Doktor był cały w skowronkach, ale Elaine się rozpląkała. Bo wiesz, dopóki nie wyskoczył z tą „dobrą” wiadomością, nie miała pojęcia, że jest z nią aż tak źle. Przecież pozbyła się guza.

- Och, Alan.

- Teraz będzie miała chemioterapię. Może jakieś naświetlania. Wciąż jeszcze zasięgam informacji, żeby dokonać dobrego wyboru. - Znowu spogląda na swoje ogromne dłonie. - Myślałem, że już ją tracę, Smoky. Nawet teraz, gdy fakty mówią, że będzie dobrze, ja nie potrafię w to uwierzyć. Wiem jedynie, co czułbym, gdyby stało się najgorsze. Przez cały tydzień to czułem. I nadal nie mogę się od tego uwolnić. - Patrzy na mnie, znowu zaczyna się w nim kotłować. - Wiem, że mogłem ją stracić, a co ja robię? Lecę, żeby oglądać kolejne zwłoki. Elaine jest w domu, śpi. - Alan wpatruje się w okno. - Może już się obudziła, ale mnie nie ma przy niej. Jego stan mnie przeraża.

- Jezu, Alan, czemu nie weźmiesz urlopu? Powinieneś być z Elaine, nie tutaj. Możemy prowadzić tę sprawę bez ciebie.

Odwraca się do mnie i ból, który widzę w jego oczach, zapiera mi dech w piersiach, serce we mnie zamiera.

- Nie rozumiesz. Nie jestem wściekły, że jestem tutaj. Jestem wściekły, ponieważ nie ma żadnego powodu, bym tu nie był. Wszystko ma być dobrze... A jeśli nie? To, co robię, nie ma najmniejszego znaczenia, nie liczy się absolutnie. - Podnosi ręce, rozczapierza palce. Dwie

ogromne łapy. - Mogę zabić tymi rękami, mogę strzelać, mogę pieścić żonę i nawlec igłę. Są mocne i takie sprawne. Lecz nie mogę sięgnąć w głąb jej ciała i wyrwać tego pieprzonego raka. Nie potrafię jej pomóc, cholera. Jasna cholera, nie mogę tego znieść.

Jego ręce wędrują na kolana, a te bezradne oczy znowu zaczynają się w nie wpatrywać. Ja także patrzę na nie i próbuję znaleźć słowa, które mogłabym powiedzieć mojemu przyjacielowi. Odczuwam jego lęk i swój lęk. Myślę o Matcie.

- Rozumiem, czym jest bezradność, Alan.

- Wiem, Smoky. Ale, nie zrozum mnie źle, mimo wszystko nie daję mi to więcej nadziei. - Krzywi się. - Cholera! Przepraszam, źle to zabrzmiało. Zupełnie źle.

Kręcę głową.

- Nie przejmuj się tym. Tu nie chodzi o to, co mnie się przydarzyło, ważne jest to, co się dzieje z tobą i Elaine. Nie możesz mi powiedzieć, co naprawdę teraz czujesz, a jednocześnie dobierać ostrożnie słowa, jakbyś stąpał po skorupkach od jajek.

- Chyba masz rację. - Wydmuchuje powietrze, nadymając wargi. - Pieprzyć to, Smoky. Co ja mam robić?!

- Ja... - Myślę gorączkowo, co on ma robić. Szukam podpowiedzi w jego oczach. - Powinieneś kochać ją jak zawsze i robić, co tylko możesz. Powinieneś pozwolić przyjacielom pomóc sobie, gdy będziesz tego potrzebował. I to jest najważniejsze, Alan. Pamiętaj cały czas, że wszystko może się dobrze skończyć. Że talia w tym pokerze nie jest potasowana przeciwko tobie.

Uśmiechnął się krzywo.

- Optymistyczna wiara, że butelka jest jeszcze pełna do połowy. To jednak oznacza, że szanse są jednakowe - dobrze i źle.

- Właśnie tak! - wybucham gwałtownie. - Chodzi o Elaine. Jedynym właściwym sposobem patrzenia na to jest przekonanie, że cholerna butelka jest jeszcze pełna do połowy.

Nareszcie widzę w jego oczach tę dawną łagodność, którą tak w nim lubiłam.

- Dziękuję ci, Smoky. Mówię szczerze.

- Teraz już się nie dziwię twojemu zachowaniu.

- Niech to na razie zostanie między nami, dobrze?

- Przyrzekam. Jak się czujesz?

Krzywi się.

- Taak. Ja się czuję dobrze. Dziękuję. - Mruży oczy. - A ty? Jak ty się czujesz? Nie rozmawialiśmy ze sobą od czasu... - Wzrusza ramionami.

- Ale nie dlatego, że ty nie próbowałeś. Tak, czuję się bardzo dobrze.

- Cieszę się.



Patrzemy sobie w oczy i choć nic nie mówimy, rozumiemy się wzajemnie bardziej niż kiedykolwiek. Wstaję, ściskam jego ramię i wracam do reszty kolegów.

Najpierw Callie, teraz Alan. Problemy, cierpienie i tajemnice. Budzi się we mnie poczucie winy. Uświadamiam sobie, że byłam tak przytłoczona i zajęta własnym cierpieniem przez ostatnie sześć miesięcy, że nie pomyślałam ani razu, iż moi przyjaciele też mogą mieć poważne problemy, przeżywać lęki i nieszczęścia. Czuję się z tym podle.

- Wszystko gra, złotko? - pyta Callie, gdy siadam obok niej.

- Wszystko w porządku.

Patrzy na mnie tym swoim badawczym wzrokiem i nie przypuszczam, żeby mi rzeczywiście uwierzyła, ale na szczęście nie próbuje drażnić tematu.

- Więc złotko, kiedy każde z nas zajmie się już swoją działką, co ty w tym czasie będziesz robiła?

To pytanie przypomina mi, jaki jest cel naszego lotu, czuję, jak dreszcz przebiega mi po plecach.

- Najpierw porozmawiam z Jenny. Zaproszę ją na kawę. – Spoglądam na Jamesa. - Ona jest dobra i ma na świeżo obraz miejsca zbrodni. Chcę usłyszeć, jakie zebrała spostrzeżenia, jakich uczuć doświadczyła. – James kiwa głową. - A później muszę spotkać się z kimś, kto może pomóc nam wpaść na właściwy trop.

Nikt mnie nie pyta, kogo mam na myśli, i wiem, że wszyscy chętnie godzą się, bym to zrobiła. Ponieważ mówię o Bonnie.

Idziemy do Komendy Policji San Francisco, pytamy o Jennifer Chang i kierujemy się do jej biura. Kiedy stajemy w progu, dostrzegam z radością, jak jej oczy rozjaśniają się na mój widok. Rusza na powitanie, za nią idzie jej partner, mężczyzna, którego nie znam.

- Smoky! Nie powiedzieli mi, że przyjedziesz.

- To było coś jak bilet last minute.

Jennifer zatrzymuje się kilka kroków przede mną i obrzuca mnie wzrokiem od stóp do głów. W odróżnieniu od innych osób, nie próbuje ukrywać zainteresowania moimi bliźniami. Przygląda im się otwarcie.

- Wygląda nie najgorzej - oznajmia. - Ładnie się zagoiło. A jak te wewnątrz?

- Trochę jestem pokiereszowana, ale się goi.

- Okay, a więc przejmujecie sprawę, czy może się myłę? - Jenny przechodzi od razu do rzeczy. Muszę to zrećnie rozegrać, bo to faktycznie jest przejęcie sprawy, lecz nie chcę, by Jenny i inni funkcjonariusze poczuli się odsunięci.

- No tak, ale wyłącznie z powodu wiadomości zostawionej dla mnie. Znasz zasady, ten e-mail stanowi zagrożenie dla agenta federalnego. - Wzruszam ramionami. - Dlatego śledztwo stało się sprawą federalną. Ale to nie znaczy, że miejscowa policja nie może nadal wykonywać swojej roboty.

Przetrawia to, co jej powiedziałam.

- Okay, w porządku. Wy zawsze graliście ze mną uczciwie.

Wchodzimy do biura. Jest to niewielki pokój z dwoma biurkami. Mimo to jestem zaskoczona.

- Masz własny gabinet? To robi wrażenie, Jenny.

- Najwyższy odsetek rozwiązanych spraw przez trzy lata pod rząd. Kapitan zapytał mnie, co bym chciała dostać w nagrodę, a ja powiedziałam, że to. I przydzielił mi. - Jenny uśmiecha się szeroko. - Musiał stąd wysiudać dwóch weteranów. Nie przysporzyło mi to popularności... ale się tym nie przejmuję. - Wskazuje partnera. - Przepraszam, powinnam przedstawić cię wcześniej. To jest Charlie De Biasse, mój partner. Charlie, poznaj federalnych.

Jej partner skłania głowę. De Biasse to oczywiście włoskie nazwisko i Charlie wygląda na Włocha, choć może nie czystej krwi. Ma spokojną, pogodną twarz i niepasujące do niej oczy - bystre i czujne.

- Miło was poznać.

- Mnie również - odpowiadam w imieniu wszystkich.

- Więc - mówi Jenny - jaki jest plan działania?

Callie przedstawia jej w skrócie zadania zaplanowane przez nas. Jenny wyraża aprobatę skinieniem głowy.

- Brzmi sensownie. Przygotuję dla was wszystko, co zebraliśmy do tej pory. Charlie, możesz zadzwonić do Zespołu Techniki Kryminalistycznej i wydobyć, co się da?

- Dobrze.

- Kto ma klucze do mieszkania? - pytam.

Jenny podnosi kopertę z biurka i mi ją wręcza.

- Są w środku. Nie musicie zachowywać ostrożności. Wszystkie ślady i cały materiał dowodowy zostały już zabezpieczone. Adres jest na kopercie. Zgłóście się do sierżanta Bixby'ego, podrzuci was na miejsce.

Leo patrzy pytająco i kiwam głową, może ruszać do wyznaczonych mu zajęć.

- Mogłybyśmy pójść gdzieś razem? - Zwracam się do Jenny. - Chciałabym porozmawiać z tobą o twoich odczuciach na miejscu zbrodni.

- Oczywiście. Możemy iść na kawę. Charlie zajmie się tu wszystkim, prawda, Charlie?

- Taak.

- Byłoby świetnie. No to możemy iść.

- Czy wasza lekarka sądowa jest na poziomie? - pyta James.

Oczywiście, w ustach Jamesa brzmi to nie jak zwyczajne pytanie, lecz jak wyzwanie. Jenny marszczy brwi.

- Według Quantico tak, czemu pytasz? Ktoś ci mówił o niej coś innego?

James macha ręką lekceważąco.

- Proszę mi po prostu powiedzieć, jak mogę się z nią skontaktować detektywie. Daruj sobie ten sarkazm.

Brwi Jenny unoszą się i widzę, jak jej oczy ciemnieją, ale gniew, z jakim ja z kolei patrzę na Jamesa, uspokaja ją.

- Porozmawiaj z Charliem - mówi z napięciem w głosie, lecz to nie robi na Jamesie żadnego wrażenia. Odwraca się od niej bez słowa.

Dotykam palcami jej łokcia.

- Chodźmy już.

Jenny rzuca ostatnie spojrzenie na Jamesa, jakby chciała go zapamiętać. Ruszamy do wyjścia z komisariatu.

- On zawsze jest takim kutasem? - pyta Jenny, gdy schodzimy frontowymi schodami.

- O tak, świat został stworzony z jego powodu.

Idziemy tylko do następnej przecznicy i już jesteśmy w kafejce. San Francisco ma ich, jak się zdaje, tak wiele jak Seattle. Jest to mały rodzinny lokalik, w którym panuje swobodna atmosfera.

Zamawiam kawę mokka, Jenny gorącą herbatę. Zajmujemy stolik przy oknie i przez chwilę z przyjemnością siedzimy w milczeniu, popijając napoje. Mokka jest wyśmienita, tak, że mogę się nią rokoszować, mimo iż otacza mnie śmierć.

Obserwuję przez okno ulicę San Francisco, które zawsze mnie intrygowało. Jest Nowym Jorkiem Zachodniego Wybrzeża. Kosmopolityczne, z wyraźnymi wpływami europejskimi, ma własny urok i charakter. Z reguły potrafię rozpoznać mieszkańca San Francisco po sposobie ubierania się. Jest to jedno z nielicznych miejsc na Zachodnim Wybrzeżu, gdzie się widzi wełniane trencze i kapelusze, berety i skórzane rękawiczki. Swoisty styl.

Na zewnątrz dzień jest przyjemny. Można tu narzekać na chłody, ale dziś słońce się schowało, a mimo to temperatura waha się około dwudziestu stopni Celsjusza. Skwarny dzień jak na tutejsze warunki.

Jenny odstawia herbatę i w zamyśleniu przesuwa palec wokół brzegu filiżanki.

- Zdziwiłam się, gdy cię tu zobaczyłam. A jeszcze bardziej, gdy się dowiedziałam, że kierujesz zespołem.

Spoglądam na nią znad mojej filiżanki.

- Taka była umowa. Annie King była moją przyjaciółką, Jenny. Muszę się trzymać na uboczu. Przynajmniej oficjalnie. Poza tym nie jestem jeszcze gotowa, żeby kierować CASMIRC, jeszcze nie.

Jej wzrok nie zdradza żadnych uczuć, a już tym bardziej nie ma w nim żadnej oceny.

- Nie jesteś gotowa według siebie samej, czy Biuro też tak uważa?

- Ja tak uważam.

- Więc... nie obraż się, Smoky, ale jeśli to prawda, to jak ty w ogóle dostałaś zgodę na przyjazd? Nie sądzę, żeby mój szef pozwolił mi na coś takiego w podobnej sytuacji.

Wyjaśniam jej, jakie zmiany zaszły w mojej psychice, kiedy zdecydowałam się wrócić do zespołu.

- To teraz dla mnie najlepsza terapia. Myślę, że zastępca dyrektora widzi to w ten sam sposób.

Jenny milczy przez chwilę, po czym mówi:

- Smoky, ty i ja jesteśmy przyjaciółkami. Nie wymieniamy kart na Boże Narodzenie, nie odwiedzamy się w Święto Dziękczynienia. To nie tego typu kontakty, ale jesteśmy zaprzyjaźnione, prawda?

- Jasne.

- Więc jako przyjaciółka zapytam cię o coś: czy dasz radę prowadzić tę sprawę? Od początku do końca? To paskudna sprawa. Naprawdę straszna. Znasz mnie, wiesz, jak wiele w życiu widziałam, ale to z jej córką... - Wzdryga się mimo woli. - Będzie mi się to śniło po nocach. W dodatku to, co zrobiono Annie King, było makabryczne, a to była bliska ci osoba. Mogę zrozumieć to, co powiedziałaś. Że chcesz się znowu sprawdzić w pracy, ale czy jesteś pewna, że chcesz się zająć właśnie tym dochodzeniem?

- Nie wiem - odpowiadam uczciwie.

Taka jest prawda. Jestem w fatalnym stanie psychicznym, Jenny nie ma, co do tego wątpliwości i musi się jej wydawać bezsensowne moje zaangażowanie w to morderstwo, ale... Zbieram myśli.

- Posłuchaj, Jenny. Czy wiesz, co robiłam od czasu, gdy straciłam Matta i Alexę? Otóż: nic. Nie mam na myśli, że zachowałam spokój. Naprawdę nie robiłam nic. To tak, jakbym siedziała w jednym miejscu przez cały dzień i gapiała się na pustą ścianę. Gdy udało mi się zasnąć, dręczyły mnie koszmary, budziłam się i patrzyłam w sufit, dopóki znów nie zasnęłam. Och, albo czasami całymi godzinami siedziałam przed lustrem i wodziłam palcami po moich bliznach. - Łzy napływają mi do oczu i jestem zadowolona, że nie łzy słabości, lecz gniewu. - Wiesz, zapewniam cię, że takie życie jest jeszcze straszniejsze niż to, co przeżyję, zajmując się morderstwem Annie. Tak myślę. Brzmi to egoistycznie, ale taka jest prawda.

Wyczerpałam słowa, jakbym była zegarem, który trzeba nakręcić. Jenny pociąga łyk herbaty. Za oknem nadal kłębi się miasto, nieświadome niczego.

- Dla mnie to ma sens. No, więc, chcesz poznać moje pierwsze wrażenia z miejsca zbrodni?

Nic więcej nie mówi. Nie odtrąca mnie. Na swój sposób uznaje we mnie swoją partnerkę. Jej słowa odczytuję jako chęć zrozumienia i przejścia do sprawy. Jestem jej za to wdzięczna.

- Proszę.

- Otrzymałam wczoraj telefon.

- Był skierowany do ciebie osobiście?

- Tak. Poprosił mnie po nazwisku. Zmieniony głos powiedział, żebym sprawdziła swoją pocztę. Mogłam to zignorować, ale wspomniał ciebie.

- Co masz na myśli, mówiąc, że głos był zmieniony?

- Był stłumiony, jakby słuchawkę czymś owinięto.

- Jakieś zauważalne modulacje? Slang? Obcy akcent? Jenny spogląda na mnie trochę speszona.

- Chcesz mnie potraktować jak świadka, Smoky?

- Jesteś świadkiem. Dla mnie przynajmniej. Jesteś jedyną osobą, która rzeczywiście z nim rozmawiała. I byłaś na miejscu zbrodni, gdy niczego jeszcze nie ruszono. No, więc, tak.

- W porządku. - Widzę, jak zastanawia się przez chwilę nad moim pytaniem. - Powiedziałabym raczej, że nie. To znaczy, wprost przeciwnie. Nie było żadnej modulacji. Ten głos był zupełnie bezbarwny.

- Czy pamiętasz może, co dokładnie powiedział?

Wiem, że na to pytanie uzyskam odpowiedź twierdzącą. Jennifer ma niezwykłą pamięć. Wyróżnia się nią w sposób przerażający, jak ja zdolnościami strzeleckimi. Takie umiejętności budzą popłoch wśród adwokatów obrony.

- Tak. Powiedział: „Czy to detektyw Chang?” Odpowiedziałam: „Przy telefonie”. „Otrzymała pani e-maila”. I nie było w tym śmiechu ani melodramatycznego tonu. Powiedział po prostu: „Ktoś nie żyje. Smoky Barrett zna tę osobę. Pani dostała e-maila”. Rozłączył się.

- Nic więcej?

- Tylko tyle.

- Hm. Czy wiecie, skąd dzwonił?

- Z automatu w Los Angeles.

Nadstawiam uszu na dźwięk słowa Los Angeles. Zastanawiam się nad tym.

- Może właśnie, dlatego potrzebne mu były trzy dni. Więc albo lubi się przemieszczać, albo mieszka w Los Angeles.

- Albo to zwyczajny wygłup. Jeśli rzeczywiście mieszka w Los Angeles, to przypuszczałabym raczej, że pojawił się u Annie nieprzypadkowo.

Jej twarz staje się napięta, zdradza zmieszanie. Wiem, dlaczego.

- Co może znaczyć, że w gruncie rzeczy chodziło mu o mnie?

Już brałam pod uwagę taką możliwość, chociaż nie chciałam się z tym pogodzić. To by znaczyło, że Annie nie została zabita tylko przez swoje wyczyny w Internecie, ale też, dlatego, że była moją przyjaciółką.

- Tak może być. Ale to są tylko domysły. Tak czy inaczej, poszłam sprawdzić pocztę...

Przerywam jej.

- Skąd on wysłał e-maila?

Jenny patrzy na mnie z wahaniem.

- Wysłał go z jej komputera, Smoky. Posłużył się jej adresem.

Zalewa mnie fala gniewu. Wiem, że nie zrobił tego wyłącznie dla zatarcia śladów. Chciał mi pokazać, że to, co należało do Annie, należy teraz do niego. Odpycham tę myśl na bok.

- Mów dalej.

- W e-mailu było imię i nazwisko zamordowanej oraz jej adres, nic więcej. Ale dołączył cztery załączniki. Trzy to jej zdjęcia. Czwarty - list do ciebie. W tym momencie potraktowaliśmy sprawę poważnie. Można się nie przejąć fotografiami w tych czasach, ale ten list był jak zagrożenie bombowe - przeprowadzasz ewakuację na wszelki wypadek. Więc ściągnęliśmy kilku mundurowych i pojechaliśmy pod ten adres. - Jenny wypija łyk herbaty. - Drzwi nie były zamknięte na klucz, zastukaliśmy raz, drugi, trzeci, a ponieważ nikt nie odpowiadał, wyciągnęliśmy broń i wtargnęliśmy do środka. Annie King i jej córka były w sypialni na łóżku. Tam też stał jej komputer. - Jenny kręci głową, wspominając ten moment. - To była okropna scena, Smoky. Ty z pewnością widziałas więcej takich rzeczy niż ja, takiego okrutnego metodycznego zabijania, ale nie sądzę, żebyś to odczuła inaczej. On ją rozciął, usunął wnętrzności i spakował je do reklamówek. Poderżnął jej gardło. Ale najgorsze z tego wszystkiego było dziecko.

- Bonnie?

- Zgadza się. Była przywiązana twarzą w twarz do matki. Nic wymyślnego. Po prostu ułożył ją na brzuchu matki i owinął obie sznurem dookoła tak, że nie mogła się ruszyć. Leżała tak przez trzy dni, Smoky. Przywiązana do martwej matki. Wiesz, co się dzieje z ciałem w czasie trzech dni. Klimatyzacja była wyłączona, a skurwiel zostawił uchylone okno. Naleciało pełno much.

To, co Jenny opisuje, jest niewyobrażalne.

- Dziecko ma dziesięć lat. Zapach był już odrażający, a ona leżała przez cały czas z tymi muchami. Odwróciła głowę tak, że jej policzek był przytulony do twarzy matki. - Jenny krzywi się i doznaje cząstki tego przerażenia, które ona czuła w tamtym momencie. Jestem wdzięczna losowi, że to nie ja tam wtedy weszłam. - Leżała zupełnie cicho, kiedy weszliśmy do pokoju.

Nie powiedziała ani słowa także wtedy, gdy ją rozwiązywaliśmy. Była bezwładna i patrzyła szklanym wzrokiem. Nie odpowiadała na pytania. Była bardzo odwodniona. Wezwaliśmy natychmiast ambulans i odesłaliśmy ją z jednym z funkcjonariuszy. Pod względem fizycznym wszystko z nią jest w porządku. Przy jej drzwiach w szpitalu na wszelki wypadek czuwają nasi. Załatwiłam jej separatkę, nawiasem mówiąc.

- Dzięki. Jestem ci bardzo wdzięczna, bardzo.

Jenny ucisza mnie gestem, wypija kolejny łyk herbaty. Jestem zaskoczona, gdy widzę prawie niedostrzegalne drżenie jej ręki. Jest autentycznie wstrząśnięta tymi wspomnieniami, ona, tak zawsze twarda.

- Nie wypowiedziała ani słowa od tamtej pory. Czy myślisz, że kiedykolwiek dojdzie do siebie? Czy ktokolwiek byłby w stanie?

- Nie wiem. Zawsze mnie zdumiewa, jak wiele ludzie potrafią przetrzymać. Ale to jeszcze dziecko, naprawdę nie wiem.

Spogląda na mnie w zamyśleniu.

- Gdy tylko sanitariusze ją zabrali, wezwałam techników i pogoniłam ich do roboty. Może zrobiłam to trochę ostrzej, niż powinnam, ale byłam po prostu wkurwiona. To jeszcze za słabe określenie na to, co czułam.

- Rozumiem doskonale.

- W czasie, gdy technicy się uwijali, zadzwoniłam do Alana, by powiedzieć mu o liście, i to już wszystko. Nie mam już nic ponadto do powiedzenia. Dopiero zaczynamy dochodzenie, Smoky. Na razie zebraliśmy dowody i zabezpieczyliśmy ślady. Nie miałam czasu na to, żeby zmniejszyć tempo i przyrzeć się bliżej porządnie czemukolwiek.

- A jednak cofnijmy się trochę i spróbujmy spojrzeć na to z dystansu. Pozwól, że będę cię przepytawała jak świadka.

- Okay.

- Przeprowadzę to jako przesłuchanie kognitywne. PK.

Wspomnienia i relacje świadków są jednym z problemów, z jakimi się spotykamy. Ludzie wiedzą zbyt mało albo nie pamiętają tego, co widzieli z powodu urazów psychicznych i emocji. Mogą pamiętać rzeczy, które w ogóle nie miały miejsca, zwłaszcza, jeśli chodzi o szczegóły. Przesłuchanie kognitywne jest stosowane od wielu lat, ma swoją specyficzną metodologię i uważamy je za swojego rodzaju sztukę. Jestem w tym bardzo dobra. Callie jest jeszcze lepsza. Alan jest mistrzem.

Podstawowe założenie, które legło u podstaw PK, polega na tym, że kiedy świadek relacjonuje wydarzenie od początku do końca po kilka razy, z reguły nie przypomina sobie zbyt wielu szczegółów. Zamiast takiego przesłuchiwanie stosuje się trzy techniki.

Pierwszą jest kontekst. Zamiast zaczynać od początku zdarzenia, pyta się świadka o rzeczy wcześniejsze. Jak zaczął się dzień, jak przebiegał do chwili zdarzenia, o czym świadek myślał, jakie zmartwienia, radości, nawet banalne, przechodziły mu przez głowę. Zmusza się świadka do odtworzenia normalnego biegu jego życia przed niezwykłym wydarzeniem, które ma odtworzyć. To w teorii nazywamy umieszczaniem wspomnień w kontekście. Zanurzając go we wspomnieniach poprzedzających wydarzenie, sprawiamy, że jest mu łatwiej przypomnieć sobie przebieg zdarzeń z większą liczbą szczegółów.

Druga technika polega na zmienianiu kolejności wspomnień. Zaczynamy raczej od końca, a nie od początku zdarzenia i stopniowo się cofamy. Świadek jest zmuszony zacząć relację, potem zatrzymać się i ponownie sobie wszystko przypomnieć.



Ostatnią metodą dobrego PK jest zmiana perspektywy. „No, no - możesz wtrącić - ciekawe jak to mogło wyglądać dla osoby stojącej przy drzwiach?” To może być impulsem do odtworzenia ominiętych faktów.

Z osobą taką jak Jenny, doświadczonym detektywem obdarzonym wspaniałą pamięcią, przesłuchanie kognitywne może okazać się bardzo, bardzo efektywne.

- Jest późny wieczór - zaczynam. - Siedzisz w swoim biurze i... Co robisz?

Jenny patrzy w sufit, przewija film.

- Rozmawiam z Charliem. Mówimy o sprawie, nad którą pracujemy od pewnego czasu. Szesnastoletnia prostytutka pobita na śmierć i pozostawiona na jednej z uliczek w Tenderloin.

- Aha. I co mówisz o tej sprawie?

Smutnieje.

- To on mówi. O tym, że nikt nie przejmuje się martwą dziwką, nawet, jeśli ma tylko szesnaście lat. Jest wściekły i daje upust swoim uczuciom. Charlie nie potrafi pogodzić się ze śmiercią dzieci.

- A ty, co czujesz, słuchając go?

Jenny wzrusza ramionami, wzdycha.

- Mniej więcej to samo. Złość. Smutek. Nie wylewam tego z siebie w taki sposób jak on, ale go rozumiem. Pamiętam, że rozejrzałam się po biurze, kiedy on się ciskał, zobaczyłam kawałek fotografii wystającej z teczki sprawy. To było zdjęcie zrobione na miejscu znalezienia zwłok. Zobaczyłam jej nogę ód kolana w dół. Poczułam się zmęczona.

- Mów dalej.

- Charlie się odprężył. Przestał przeklinać, uśmiechnął się do mnie tym swoim głupawym uśmiechem i powiedział, że przeprasza. „Nie ma sprawy”, odparłam. - Jenny wzrusza ramionami. - Wysłuchiwał moich wściekłych monologów już nieraz. Taki jest los partnera.

- Co do niego wtedy czułaś?

- Był mi bliski. - Unosi rękę. - Nie, nie. To nie miało nic wspólnego z fizycznym pociąganiem. Tego między nami nigdy nie było. Tylko bliskość. Wiedziałam, że w każdych okolicznościach mogę na niego liczyć i vice versa. Byłam bardzo zadowolona, że mam dobrego partnera. Miałam mu to właśnie powiedzieć, kiedy zadzwonił telefon.

- Od tego maniaka?

- Tak. Pamiętam, że czułam się w jakiś sposób zdezorientowana, gdy zaczął mówić.

- Co masz na myśli?

- No więc, życie było takie normalne. Siedziałam z Charliem i ktoś mówi spokojnie: „telefon do ciebie”. „Dziękuję”, odpowiadam, jak już tysiące razy. I nagle wszystko przestało być

normalne. Zostałam wyrwana z normalności przez coś szatańskiego - pstryka palcami - właśnie tak, szatańskiego. Był to zgrzyt, wstrząs. - Gdy to mówi, jej oczy są pełne niepokoju.

To jest ten powód, dla którego zdecydowałam się użyć techniki kognitywnego przesłuchania Jenny. Największy problem dla pamięci świadka stwarza uraz psychiczny spowodowany udziałem w traumatycznych przeżyciach. Silne uczucia utrudniają przypominanie. Ludzie spoza naszego środowiska nie rozumieją, że my też doświadczamy takich urazów. Uduzione dzieci, porąbane matki, zgwałceni młodzi chłopcy, telefoniczne rozmowy z mordercami. Takie przeżycia są nabrzmiałe emocjami, mimo że dobrze tłumionymi. Są poskramiane, więc tym bardziej traumatyczne.

- Rozumiem - mówię. Dotarliśmy do „kontekstu Jenny”. Mój głos jest łagodny i cichy. - Idźmy, więc dalej. Zaczynij od momentu podejścia pod drzwi mieszkania Annie.

Patrzy spod zmrużonych powiek na coś, czego ja nie widzę.

- Białe drzwi. Pamiętam, że pomyślałam, iż to najbielsze drzwi, jakie widziałam. Było w nich coś nierealnego. W głębi odczuwałam sceptycyzm.

- Jak to?

Teraz jej oczy wydają się stare.

- Wiedziałałam, że to było kłamstwem. Ta cała biel. Nie można było mieć do niej zaufania. Cokolwiek było za tymi drzwiami, nie mogło być białe, zupełnie nie. Wiedziałałam, że to będzie ciemne, zgniłe, ohydne.

Przechodzi mnie zimny dreszcz. Odczuwam to, co ona opisuje. Przeżywam swoiste deja vu.

- Mów dalej, proszę.

- Stukamy i wołamy ją. Nic, jest cicho. - Jenny marszczy brwi. - Była jeszcze jedna nietypowa rzecz.

- Co?

- Nikt nie wyjrzał na korytarz, żeby zobaczyć, co się dzieje. A to było „policyjne stukanie” - głośne walenie. Ale nikt z sąsiadów nie wyjrzał. Myślę, że nie znali się bliżej.

Wzdycha.

- Tak czy inaczej, popatrzyliśmy po sobie i wszyscy wydobyliśmy broń. - Jenny przygryza wargi. - To przecucie czegoś złego było szalenie intensywne. Czułam piłkę strachu podskakującą w moim brzuchu. Wyczułam to samo u innych. Czułam zapach lęku, pot, drzenie, pulsowanie adrenaliny.

Słyszałam płytkie oddechy.

- Bałaś się?

Jenny milczy.

-Tak, bałam się. Obawiałam się tego, co tam znajdziemy. - Krzywi się. - Chcesz usłyszeć coś dziwnego? Zawsze się boję na moment przed wejściem na miejsce przestępstwa. Pracuję w wydziale zabójstw ponad dziesięć lat i wydaje mi się, że wszystko już widziałam. Ale za każdym razem odczuwam ten lęk.

- Co było dalej?

- Przekręciłam gałkę u drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Spojrzałam ponownie na pozostałych i szeroko otwarłam drzwi. Wszyscy trzymaliśmy broń w pogotowiu.

Zmieniam jej perspektywę.

- Jak myślisz, jaka była pierwsza rzecz odnotowana przez Charliego?

- Zapach. To musiał być zapach, poza tym było ciemno. Paliło się tylko w sypialni. - Jenny wzdyga się, a ja zdaję sobie sprawę, że jest tego nieświadoma. - Sypialnia była na wprost drzwi wejściowych. W mieszkaniu panowały egipskie ciemności, ale przez szpary w drzwiach sypialni sączyło się światło. - Przesuwa dłonią po włosach. - To mi przypomniało „potwora w szafie”. Coś, czego się bałam w dzieciństwie. Coś, co znajdowało się po drugiej stronie drzwi, drapało i chciało wyjść. Coś przerażającego.

- Powiedz mi o tym zapachu.

Znowu się krzywi.

- Krew i perfumy. Pachniało właśnie tak. Woń perfum była silniejsza, ale można było wyczuć też krew. Mocny miedziany zapach. Subtelny, ale jednocześnie irytujący, nieznośny. Niepokojący. Jak coś, co dostrzegasz kątem oka.

Wyczuwam to także.

- Co potem?

- Zrobiliśmy to, co zwykle. Dzwoniliśmy do sąsiadów, sprawdziliśmy kuchnię i salon. Posługiwaliśmy się latarkami, bo nie chcieliśmy niczego dotykać.

- To dobrze. - Kiwam głową pokrzepiająco.

- Potem zrobiliśmy to, czego nie można było odwlec. Poszliśmy w stronę świetlnego obramowania. - Jenny przerywa i spogląda na mnie. - Powiedziałam Charliemu, żeby włożył rękawiczki, zanim tam weszliśmy, Smoky.

Chce mi przekazać w ten sposób, iż wiedziała, że po drugiej stronie popełniono morderstwo. Że będzie miała do czynienia wyłącznie z dowodami, śladami, a nie z kimś, kto ocalał.

- Pamiętam, jak patrzyłam na klamkę - ciągnęła. - Nie chciałam jej nacisnąć, nie chciałam zaglądać do środka. Upewnić się, że to prawda, utracić resztę nadziei.

- Tak?

- W końcu to Charlie nacisnął klamkę. Mieliśmy kłopot z otwarciem drzwi, ponieważ wciśnięto pod nie ręcznik.

- Ręcznik?

- Namoczony perfumami. Włożył go tam, żeby odór rozkładu nie rozchodził się na zewnątrz. Nie chciał, by ktokolwiek ją znalazł, zanim on nie będzie gotowy.

Teraz ja miałabym chęć to powstrzymać. Chcę wyjść z tej kafejki, wskoczyć do odrzutowca i polecieć do domu. Byle jak najdalej stąd. To uczucie rozsadza mnie, niemal obezwładnia. Wreszcie je przewyciężam.

- A potem? - ponagliam Jenny.

Ona milczy, patrzy gdzieś w bok. Widzi zbyt wiele. Gdy zaczyna mówić, jej głos jest bezbarwny, pozbawiony emocji.

- To jako pierwsze nas uderzyło. Potem zobaczyliśmy wszystko, bo łóżko było przesunięte na wprost wejścia. - Kręci głową. - Pamiętam, jak myślałam o tych białych drzwiach wejściowych. To było cholernie gorzkie, zbyt mocne do wchłonięcia. Staliśmy tak chyba około minuty. Tylko patrząc. To Charlie zdał sobie pierwszy sprawę, że Bonnie żyje. - Jennifer milknie. Znow oddała się do tamtej sypialni. Czekam cierpliwie. - Pamiętam, że ona zamrugła. Jej policzek przytulony do twarzy matki. Wyglądała jak martwa. I naraz mrugnęła. Charlie zaczął przeklinać i - Jenny zagryza wargę - popłakał się. Ale to stąd nie wychodzi, okay?

- Bądź spokojna.

- To była pierwsza - i mam nadzieję, że jedyna wpadka. Stracił kontrolę nad sobą. Charlie niewiele myśląc, wpadł do środka i rozwiązał Bonnie. Nie czekał na fotografa i ekipę techniczną. Stratował całe miejsce przestępstwa. - Głos Jenny się nie zmienia, ale pojawia się w nim rozterka. - Kłął cały czas, nie mógł się powstrzymać. Przeklinał po włosku. To brzmiało niemal zabawnie, dziwne, co?

- Tak - odpowiadam łagodnie. Jenny jest cała w tamtej scenie i boję się ją stamtąd wyrwać.

- Bonnie była bezwładna i na nic nie reagowała jak gumowa lalka. Charlie rozwiązał ją i natychmiast wyniósł z mieszkania. Natychmiast, zanim zdążyłam pomyśleć i coś powiedzieć albo zrobić. Był zdesperowany, a ja go rozumiałam. - Jej twarz wykrzywia grymas. - Wysłałam mundurowych, żeby wezwali na miejsce techników, ambulans i lekarza sądowego i tak dalej, i tak dalej. Zostałam sama z twoją przyjaciółką w pokoju pełnym zapachu śmierci, perfum i krwi. Chciało mi się od tego rzygać. Patrzyłam na Annie King. - Jenny znowu się wzdryga. Zaciska i otwiera pięść. - Zauważyłaś to u zmarłych, jak są cisi i spokojni? Nic, co jest żywe, nie mogłoby udawać tego rodzaju spokoju. Cisi, spokojni i kompletna pustka. W takich momentach się wyłączam. Rozumiesz, jak to działa?

Kiwam głową. Dobrze wiem. Przewyciężasz pierwszy szok, a potem wyłączasz tę swoją cząstkę, która jest wrażliwością, tak żeby móc wykonywać swoją robotę, nie płacząc, nie rzygając,

inaczej natychmiast oszalejesz. Musimy być zdolni do spoglądania na okropności chłodnym okiem analityka. To nie jest zgodne z naturą.

- Gdy cofam się do tych chwil, to jakby w mojej głowie rozbrzmiewał obco mój własny głos, mechaniczny i monotony. - Jenny imituje ten głos, gdy mówi: - Biała kobieta, wiek około trzydziestu pięciu lat, naga, przywiązana do łóżka. Ślady ran ciętych od szyi do kolan, prawdopodobnie zadanych nożem. Liczne cięte długie, lecz płytkie rany mogą wskazywać, że była torturowana. W tułowiu - głos Jenny zadrżał - duże rozcięcie. Wygląda na to, że nie ma narządów wewnętrznych. Twarz ofiary wykrzywiona, jakby krzyczała w momencie śmierci. Kości ramion i nóg wydają się połamane. To mord z premedytacją, dokonywany powoli. Pozycja zwłok sugeruje, że został uprzednio zaplanowany. Nie jest to zbrodnia w afekcie.

- Powiedz mi jeszcze, co czułaś w stosunku do zabójcy, dokładnie w tym momencie, gdy zobaczyłaś jego dzieło?

Jenny milczy i milczy. Ja czekam, a ona patrzy przez okno. Wreszcie zwraca się do mnie.

- Jej agonia wywołała u niego orgazm, Smoky. To był najlepszy seks, jaki kiedykolwiek miał.

Szok. Zdania, które wypowiedziała, są przerażające. Ale są one właśnie tym, czego szukałam. I brzmią prawdziwie. Choć czuję się wypalona, zaczynam go wyczuwać, jakby dotarł do mnie po raz pierwszy jego zapach. Perfumy i krew, jak drzwi pogrążone w cieniu, obramowane światłem. Pachnie jak gardłowy śmiech zmieszany z krzykiem. Pachnie jak kłamstwa przebrane za prawdę i wydzielina rozpadu widoczna w kąciku oka.

On jest dokładny, wręcz precyzyjny. I rozkoszuje się tym, co zrobił.

- Dzięki, Jenny.

Czuję się pusta, zbrukana i wypełniona mrokiem. Nagle jednak wyczuwam, że coś ruszyło się głęboko we mnie. Smok. Bałam się, że on nigdy nie powróci, wyrwany ze mnie przez Josepha Sandsa. Jeszcze się całkiem nie obudził, na razie nie. Ale czuję już tego smoka, po raz pierwszy od wielu miesięcy.

Jenny otrząsa się lekko.

- Świetna robota. Rzeczywiście przeniosłaś mnie tam.

- Nie wymagało to szczególnego talentu. Jesteś świadkiem, o jakim się marzy. - W moim głosie nie ma krzty entuzjazmu. Czuję się ogromnie zmęczona.

Siedzimy w milczeniu. Głęboko poruszone, pogrążone w zadumie.

Moja mokka straciła smak, a Jenny zapomniała o swojej herbacie. Śmierć i okropności są tego powodem. Potrafią odebrać radość każdej chwili. Jest to jedna z tych rzeczy, z którymi musi się stale walczyć, gdy się pracuje w organach porządku publicznego. Poczucie winy tego, kto żyje.

Wydaje się świętokradztwem delektowanie się czymkolwiek, gdy rozmawiamy o kimś, kto konał, krzyżąc w męczarniach.

Wzdycham ciężko.

- Możesz mnie zabrać do Bonnie?

Płacimy i wychodzimy na ulicę. Przez całą drogę drzę na myśl, że za chwilę będę musiała spojrzeć w te nieruchome oczy. Czuję krew i perfumy, perfumy i krew. Pachną jak rozpacz.

Nienawidzę szpitali. Cieszę się, że istnieją, bo są potrzebne, ale mam tylko jedno dobre wspomnienie z pobytu w którymś z nich. Narodziny mojej córeczki.

Pozostałe wizyty mają miejsce zawsze, dlatego, że jestem ranna albo ktoś, kogo lubię, jest ranny czy umierający. Tym razem jest tak samo. Idziemy do szpitala, żeby odwiedzić dziewczynkę przez trzy dni uwiązaną do martwej matki. Dziewczynkę głęboko poranioną.

Mój pobyt w szpitalu stanowi surrealistyczne wspomnienie. To dla mnie czas napadów silnego bólu i ciągłego pragnienia śmierci. Okres, kiedy nie spałam wiele dni i nocy, dopóki nie straciłam przytomności z wyczerpania. Gapienie się w sufit w ciemnościach, w szumie monitorów i nasłuchiwanie klekotania butów pielęgniarek o posadzkę na korytarzu. Wsłuchiwanie się we wnętrze własnej duszy wydającej głuchy odgłos jak pusta morska muszla.

Czuję ten znajomy zapach i przenika mnie dreszcz.

- Jesteśmy na miejscu - mówi Jenny.

Policjant przed drzwiami jest czujny. Chce zobaczyć mój identyfikator, mimo że jestem tu z Jennifer. To mi się podoba.

- Byli jacyś inni odwiedzający? - pyta Jenny.

Policjant kręci przecząco głową.

- Nie. Cisza i spokój.

- Nie wpuszczaj nikogo, kiedy tu będziemy, Jim. Dosłownie: nikogo, rozumiesz?

- Jak pani sobie życzy, detektywie.

Siada z powrotem na krześle, rozkłada gazetę, a my wchodzimy do środka.

Kręci mi się w głowie, gdy drzwi zamykają się za nami i widzę nieruchomą postać Bonnie. Nie śpi, oczy ma otwarte, lecz zupełnie nieruchome. Nie zareagowała zupełnie na odgłos naszego wejścia. Jest bardzo mała, sprawia takie wrażenie nie tyle w porównaniu z dużym szpitalnym łóżkiem, co na skutek ogromu ciężaru, który musiała znieść. Tak bardzo przypomina wyglądem Annie. Te same jasne włosy i zadarty nos, te kobaltowobłękitne oczy. Za parę lat będzie wyglądała jak bliźniacza siostra dziewczyny, którą trzymałam w objęciach na podłodze szkolnej toalety wiele lat temu. Nieświadomie wstrzymałam oddech, idąc ku niej, wypuszczam powietrze z płuc.

Znajduje się pod minimalnym monitoringiem. Jenny zapewniła mnie, że nie było zgwałcenia ani fizycznych obrażeń. Jestem za to wdzięczna losowi, ale wiem, że odniosła znacznie gorsze rany. To ziejące, krwawiące rany w psychice i żaden chirurg nie jest w stanie ich pozszywać.

- Bonnie? - mówię cichym, wyważonym głosem. Gdzieś czytałam, jak się powinno rozmawiać z ludźmi w stanie katatonii. Nie reagują, ale słyszą, że się do nich mówi i to im pomaga. Bonnie jest w podobnym stanie. - Bonnie, jestem Smoky. Byłyśmy z twoją mamą najlepszymi przyjaciółkami. Jestem twoją chrzestną mamą.

Żadnej odpowiedzi, zero reakcji. Tylko te oczy wpatrzone w sufit. Być może nie widzą nic. Podchodzę do brzegu łóżka. Waham się przez moment, potem ujmuję w dłoń jej małą rączkę. Czuję jej delikatną skórę i znów kręci mi się w głowie. To ręka dziecka, ucieleśnienie tego, co chronimy, kochamy, hołubimy. Trzymałam rączkę mojej córki w ten sam sposób wiele razy i otwiera się we mnie pustka, gdy ręka Bonnie zajmuje to miejsce. Zaczynam mówić do niej, niepewna tego, co chcę powiedzieć, dopóki słowa nie wybiegną z moich ust. Jenny trzyma się z dala i nie przeszkadza. Prawie nie zdaję sobie sprawy z jej obecności. Wydaje mi się, że mój głos brzmi cicho i poważnie, jakbym odmawiała modlitwę.

- Kochanie, chcę, byś wiedziała, że jestem tutaj, żeby odnaleźć człowieka, który to zrobił tobie i twojej mamie. To moja praca. Chcę też, byś wiedziała, że ja wiem, jaki to koszmar. Jak bardzo jesteś zraniona wewnątrz. Może też, jak bardzo chciałabyś umrzeć. - Łza spływa mi po policzku.

- Straciłam męża i córkę przez złego człowieka sześć miesięcy temu. Poranił i mnie. Przez długi czas chciałam dokładnie tego samego, czego ty pragniesz teraz. Chciałam wpełznąć w głąb siebie samej i zniknąć. - Przerывam na chwilę, wciągam z wysiłkiem powietrze i mocniej ściskam jej dłoń.

- Zależy mi na tym, żebyś wiedziała, że wszystko rozumiem. Zostaniesz tu tak długo, jak to będzie konieczne. Ale kiedy już będziesz gotowa opuścić to miejsce, wiedz, że nie będziesz sama. Ja będę z tobą. Będę się tobą opiekowała. - Teraz już nie próbuję ukryć łez i wcale się tym nie przejmuję.

- Kochałam twoją mamę, dziecinko. Tak bardzo ją kochałam. Żałuję, że nie spotykałyśmy się częściej. Szkoda, że ciebie częściej nie widywałam. - Zdobywam się na uśmiech przez łzy. - Żałuję, że ty i Alexa się nie znałyście. Myślę, że byście się polubiły, jak ja z twoją mamą.

Kręci mi się w głowie, krew odpływa gdzieś niżej, a łzy leją się strumieniem. Czasem tak bywa ze smutkiem. Jak woda szuka jakiegokolwiek ujścia, wciska się w każdą szczelinę, aż w końcu tryska niepowstrzymanym potokiem. Obrazy Alexy i Annie wirują mi przed oczami, zmieniając mój mózg w stroboskop pulsujący dyskotekowym światłem. Mam tylko moment na uświadomienie sobie, co się ze mną dzieje. Tracę przytomność, pogrążając się w ciemnej otchłani.

To chyba drugi z moich snów. I ten sen jest piękny.



Jestem w szpitalu i zmagam się z porodem. Myślę całkiem poważnie, że zabiję Matta za jego udział w tym wszystkim. Jestem rozłupana na dwie połowy, pokryta lepkiem potem, pokwikuję jak świnia i co chwilę ryczę z bólu.

Ludzka istotka rozpycha się we mnie, próbując wydostać się na zewnątrz. Nie ma w tym nic romantycznego, odczuwam to, jakbym miała wydalić kulę do gry w kręgle. Zapominam o rzekomym pięknie macierzyństwa, chcę, żeby to coś wylazło ze mnie natychmiast. Kocham je i nienawidzę, kocham... i wszystko to wyrażają moje wrzaski i przekleństwa.

Głos doktora brzmi spokojnie i żałuję, że nie mam dość siły, by go trzasnąć w ten dumny łysy łeb.

- Okay, Smoky, dziecko już gaworzy. Jeszcze tylko parę pchnięć i wyjdzie całe. No dalej, przyj!

- Odwal się! - wrzeszczę, a potem prę resztką sił. Doktor Chalmers nawet na mnie nie spojrział. Odbiera porody od wielu, wielu lat.

- Świetnie ci idzie, kochanie - mówi Matt.

Trzymam go za rękę i pragnę zmiażdżyć mu kości na proszek.

- Skąd możesz wiedzieć? - warczę.

Głowa odskakuje mi do tyłu pod wpływem chyba najsilniejszego skurczu, ciskam przekleństwa jak nigdy dotąd. Bluzgam strasznymi słowami, które zawstydziłyby członka gangu motocyklowego. Czuję zapach krwi i pierdnieć, które mi się wymknęły, gdy parlałam. Naprawdę w tym całym porodzie nie ma nic pięknego i pragnę pozabijać ich wszystkich. W następnej chwili ból mnie rozrywa, a ucisk wzrasta, choć wydawało mi się, że to jest niemożliwe. Wydaje mi się, że głowa kręci się dookoła mojej szyi, klnę z jeszcze większym zapamiętaniem.

- Przyj teraz, Smoky - woła doktor Chalmers pomiędzy moich nóg, wciąż spokojny w tej wojennej zawierusze.

Odgłos tryśnięcia, wsysania, ból, gorąc i ucisk... i ona jest już na zewnątrz. Moja córeczka pojawiła się na świecie, a pierwsze dźwięki, jakie musiała usłyszeć, to były moje przekleństwa. Teraz zapada cisza, w której szcękają nożyczki, a potem słyszę coś, co wypycha ze mnie cały ból i gniew. Czas się zatrzymuje. Rozlega się krzyk mojego dziecka. Brzmi to tak, jakby była tak samo wkurzona jak ja przed chwilą. To jest najpiękniejszy dźwięk, jaki w życiu słyszałam, najwspanialsza muzyka, cud wykraczający poza moją wyobraźnię. Jestem poruszona do głębi, serce we mnie zamiera, wciąż słyszę ten dźwięk. Spoglądam na mojego męża i zaczynam wrzeszczeć ze szczęścia.

- Zdrowe dziecko, dziewczynka - komunikuje doktor Chalmers i prostuje się, gdy tymczasem pielęgniarki obmywają i owijają naszą Alexę.

Doktor spocił się, wygląda na zmęczonego i zadowolonego. Kocham tego człowieka, choć przed chwilą chciałam go trzepnąć w łysinę. Jest częścią tego wszystkiego i czuję ogromną wdzięczność, ale nie mogę znaleźć właściwych słów ani powstrzymać łez.

Alexa urodziła się tuż po północy, wśród krwi, bólu i przekleństw. Było to jednak coś, co zdarza się bardzo, bardzo rzadko - moment absolutu.

Umarła także po północy, zabrana z powrotem do łona ciemności, z którego nie można narodzić się ponownie.

Odzyskuję przytomność, łapiąc z trudem powietrze, drżąc i płacząc. Czuję wciąż zapach szpitala. Jenny stoi nade mną, wstrząśnięta.

- Smoky! W porządku?

Wargi mam jak z gumy. Na policzkach zastygła mi sól z wylanych łez. Czuję się zawstydzona. Rzucam szybkie spojrzenie w stronę drzwi... Jenny kręci głową.

- Nikogo poza nami tu nie było. Ale gdybyś się nie ocknęła jeszcze przez chwilę, gotowa byłam wezwać kogoś na pomoc.

Wciążam łapczywie powietrze. Oddycham szybko, głęboko.

- Dziękuję ci. - Siadam na podłodze, obejmuję głowę rękami. - Przepraszam, Jenny. Nie wiedziałam, że coś takiego może się stać.

Jenny nic nie mówi. Jej pozorna twardość została wystawiona na próbę. Twarz ma zatroskaną, ale nie okazuje litości.

- Tym się nie martw.

To jedyne słowa, jakie wypowiada. Oddech mi się uspokaja. I nagle widzę coś, co oddala cierpienie, jak w moim śnie. Bonnie odwróciła głowę i wyraźnie patrzy na mnie. Pojedyncza łza spływa jej po policzku. Wstaję, podchodzę do łóżka, ujmuję dłoń dziewczynki.

- Witaj, kochanie - szepczę.

Nie odzywa się, więc ja też milknę. Patrzymy tylko na siebie, pozwalając łzom spływać po twarzach. Po to w końcu są łzy. Toczą się, oczyszczając duszę.

Kierowcy w San Francisco jeżdżą jak nowojorczyki i nie biorą jeńców. O tej porze ruch jest średni, gdy jedziemy do komisariatu, Jenny przez cały czas prowadzi zażarte negocjacje z kierowcami innych pojazdów. Symfonia klaksonów i przekleństw wypełnia powietrze. Trzymam palec w jednym uchu, więc udaje mi się porozmawiać z Callie przez telefon komórkowy.

- Jak idzie ekipie technicznej?

- Oni są dobrzy, złotko. Przeczeszą dokładnie wszystko, ale z punktu widzenia medycyny sądowej zrobili już chyba najważniejsze.

- I pewnie nie znaleźli niczego?

- On był ostrożny i uważny.

- Tak. - Od razu czuję zmęczenie, odpycham je. - Sprawdziałaś, jak idzie pozostałym?

Damien się odezwał?

- Nie miałam na to czasu.

- Jesteśmy już prawie na komendzie. Ciągnij dalej to, co robiłaś. Ja ich popytam.

W głosie Callie słyszę wahanie.

- Co z dzieckiem, Smoky? Co z dzieckiem?

Chciałabym znać odpowiedź na to pytanie. Nie potrafię i w ogóle nie chcę teraz o tym mówić.

- Jest kiepsko.

Wyłączam telefon, zanim zdoła zadać następne pytanie i wlepiam wzrok w okno. San Francisco jest labiryntem stromych wzgórz, jednokierunkowych ulic, agresywnych kierowców i głośnych tramwajów. Ma ono pewną szczególną urodę, jedyną w swoim rodzaju. To mieszanina kultury i dekadencji, tutaj pędzi się szybko albo ku śmierci, albo po sukces. W tej chwili nie wzbudza mojego zachwyty jak dawniej, Jest dla mnie tylko kolejnym miejscem, jednym z miejsc, gdzie zdarzają się morderstwa. To charakterystyczne dla morderstw: mogą się zdarzyć zarówno na biegunie, jak i na równiku. Popołniają je mężczyźni i kobiety, młodociani i dorośli. Ofiarami padają i grzesznicy, i święci. Zbrodnia czai się wszędzie i ma liczne potomstwo. Kiedy o tym myślę, przepelnia mnie ciemność. Nie ma we mnie nic białego ani nawet szarego, tylko ta niczym nierozbarwiona ciemna jak smoła czerń.

Podjeżdżamy na komisariat i Jenny przemieszcza nas z ciągle ruchliwej ulicy na spokojny parking policyjny. W San Francisco trudno o miejsce do parkowania, a niech Bóg ma w opiece każdego na tyle głupiego, żeby zaparkować w niedozwolonym miejscu.

Wchodzimy bocznymi drzwiami do budynku. W biurze Jenny siedzą Alan i Charlie, obaj pochłonięci studiowaniem dokumentów.

- Cześć - mówi Alan. Patrzy na mnie badawczo, próbując ocenić sytuację. Udaję, że tego nie zauważam.

- Masz jakieś wieści od innych?

- Nikt jeszcze się nie odezwał.

- A ty coś znalazłeś?

Alan kręci głową.

- Jak dotąd nic. Chciałbym móc powiedzieć, że tutejsze gliny mają niezły bajzel, ale tak nie jest. Detektyw Chang trzyma wszystko twardą ręką.

- Pstryka palcami, uśmiecha się do Charliego. - O, przepraszam, jej wierny pomocnik oczywiście też.

- Idź do diabła - odpowiada Charlie, nie odrywając wzroku od raportu, który studiuje.

- Próbuj dalej. Zadzwoń do Jamesa i Lea. Alan unosi kciuk i powraca do swojej lektury.

Odzywa się mój telefon komórkowy.

- Barrett. Dzwoni James.

- Gdzie jest, do jasnej grypy, detektyw Chang? - pyta opryskliwym tonem.

- O co chodzi, James?

- Lekarka sądowa nie chce zacząć sekcji, dopóki ona się tam nie zjawi. Niech, więc ruszy tyłek i przyjeżdża tu jak najszybciej.

Rozłącza się, zanim zdążam coś powiedzieć. Ale dupek.

- James wzywa cię w trybie pilnym do kostnicy - informuję Jenny.

- Nie chcą zaczynać bez ciebie.

Jenny uśmiecha się z zadowoleniem.

- Mam nadzieję, że ten pacan się wkurzył.

- Bardzo.

Teraz twarz Jenny rozjaśnia szeroki uśmiech.

- Świetnie. Zaraz tam jadę.

Wychodzi z pokoju. Pora zadzwonić do Lea, naszego nowicjusza. Gd wybieram numer, myślę, jakiego rodzaju ozdobę wpina on w ucho po służbie? Leo długo nie odbiera, a gdy w końcu się odzywa, czuję, że coś się stało. W głosie ma przerażenie. Szczękają mu zęby.

- C... C... C... Carnes...

- Mówi Smoky, Leo.

- W... w... wideo...

- Leo, spokojnie, jakie wideo?

Gdy odzywa się ponownie, prawie szepcze. A to, co mówi, sprawia, że mój mózg wypełnia jakiś biały szum.

- W... w... wideo, o morderstwie. Straszne...

Alan patrzy z zaniepokojeniem. Słyszy, że coś się stało. Opanowuję się.

- Zostań na miejscu, Leo. Nigdzie nie wychodź. Jedziemy do ciebie, najszybciej jak się da.

## 13

Pamiętam tę okolicę; byłam tu już, gdy odwiedziłam Annie po śmierci jej ojca. Mieszkała w strzelistym budynku w stylu nowojorskich wieżowców, gdzie mieszkania to właściwie luksusowe apartamenty z dużymi jadalniami i wpuszczanymi w podłogę wannami. Zatrzymujemy się przed głównym wejściem.

- Ładny dom, dobra dzielnica - zauważa Alan, patrząc w górę przez przednią szybę samochodu.

- Jej ojcu nieźle się powodziło - mówię. - Zapisał jej wszystko.

Rozglądam się wokół po tej czystej, bezpiecznej okolicy. Choć żadnego rejonu San Francisco nie można, tak naprawdę, nazwać podmiejskim, z całą pewnością miasto to ma swoje lepsze dzielnice. Pozwalają one uciec od hałasu śródmieścia, a będąc w niektórych z nich, znajdujesz się tak wysoko, że możesz obserwować drugi brzeg zatoki. Są wśród nich dzielnice stare z zabudową w stylu wiktoriańskim; są też całkiem nowoczesne, jak ta.

Powraca znowu ta sama myśl: Nie ma takiego miejsca na ziemi, które gwarantowałyby, że nie zostanie na nim popełnione morderstwo. Nie ma.

To, że tutaj morderstwa zdarzają się rzadziej niż w dzielnicach nędzy, nie zmienia w najmniejszym stopniu faktu, że ofiara jest dokładnie tak samo martwa i tam, i tutaj. Alan dzwoni do Lea, gdy wysiadamy z auta.

- Jesteśmy przed domem, synu. Wytrzymaj jeszcze trochę. Za moment będziemy na górze.

Wchodzimy do holu. Mężczyzna w recepcji przygląda nam się dokładnie, gdy kierujemy się do windy, ale nie mówi nic.

Milczeliśmy z Alanem przez całą drogę i milczymy nadal. Przed nami najgorsza część roboty, dla każdego policjanta, który ją wykonuje. Dotykanie zbrodni. Czym innym jest zajmowanie się dowodami i śladami w laboratorium, próba wnikięcia w sposób myślenia mordercy, a zupełnie czymś innym oglądanie martwego ciała, wdychanie zapachu krwi. Jak powiedział kiedyś Alan: „Jest różnica pomiędzy myśleniem o gównie, a zjadaniem gówna”.

Charlie też się nie odzywa i ma ponurą twarz. Być może wspomina ostatnią noc, moment, gdy nacisnął klamkę i zobaczył Bonnie.

Dojeżdżamy na właściwe piętro, wysiadamy, idziemy korytarzem i skręcamy do mieszkania Annie. Leo czeka na zewnątrz. Siedzi na podłodze oparty plecami o ścianę z głową wtuloną w ramiona.

- Pozwól, że ja się nim zajmę - szepcze do mnie Alan.

Kiwam głową i patrzę jak podchodzi do Lea. Klęka przy nim i kładzie swoją niedźwiedzią łapę na ramieniu młodego człowieka. Wiem, że choć ta dłoń jest tak wielka, dotknięcie potrafi być delikatne.

- Jak się czujesz, chłopie?

Leo patrzy w górę ku niemu. Ma bladą twarz lśniąca tłustym potem. Nawet nie próbuje się uśmiechać.

- Przepraszam, Alan. Straciłem zupełnie głowę. Zobaczyłem to i porzygałem się, naprawdę nie mogłem wytrzymać - mówi apatycznie i coraz ciszej.

- Posłuchaj, synu. - Głos olbrzymiego mężczyzny jest cichy, ale zmusza do skupienia się na jego słowach.

Charlie i ja czekamy. Bardzo chcemy wejść do środka i jak najszybciej przystąpić do pracy, ale jednocześnie odczuwamy wielkie współczucie dla Lea. W naszym zawodzie to jest decydujący moment. Próba sił. Moment, w którym po raz pierwszy zagładasz w otchłań i przekonujesz się, że straszny potwór rzeczywiście istnieje i naprawdę krył się pod łóżkiem przez wszystkie poprzednie lata. Moment, w którym stajesz twarzą w twarz z prawdziwym złem. Albo się nadajesz do tego, albo nie. Decydująca chwila. Albo Leo weźmie się w garść, albo będzie zmuszony poszukać sobie innego zajęcia.

- Myślisz, że z tobą jest coś nie tak, ponieważ tak tobą wstrząsnęło to, co zobaczyłeś? - ciągnie Alan.

Leo kiwa głową zawstydzony.

- No cóż, mylisz się. Rzecz w tym, widzisz, że oglądałeś zbyt wiele filmów, czytałeś za dużo książek. To tam spotykałeś prawdziwych twardzieli. Wyrobiłeś sobie zupełnie fałszywe pojęcie o tym, jak powinien zachować się policjant, kiedy widzi martwego człowieka, okrucieństwo i tego rodzaju rzeczy. Myślisz, że powinieneś mieć na końcu języka jakieś zgrabne powiedzonko, hot doga w rękę, pozostać niewzruszony i chrzanić to wszystko, zgadza się?

- Chyba tak...

- A jeśli reagujesz inaczej niż ci twardziele, jesteś mięczakiem i powinieneś się tego wstydzić przed weteranami. Cholera, myślisz, że jeżeli puściłeś pawia, to nie nadajesz się do tego zawodu. - Alan obraca się do nas. - Ile miejsc zbrodni widziałeś, Charlie, zanim przestałeś haftować?

- Trzy. Nie, cztery.

Leo słysząc to, unosi głowę.

- A ty, Smoky?

- Więcej niż jedno, na pewno.

- Ja też jakieś cztery. Nawet Callie rzygała, choć ona się do tego nie przyzna, bo pochodzi z królewskiej rodziny i tak dalej. - Alan spogląda na Lea spod zmrużonych powiek. - Synu, nie ma na całym świecie niczego takiego, co mogłoby cię przygotować na udział w czymś takim po raz pierwszy. Niczego absolutnie. Nie ma znaczenia, ile filmów przedtem obejrzałeś, ile akt z prowadzonych śledztw miałaś w ręku. Prawdziwa śmierć to całkowicie inna sprawa.

Leo wlepia wzrok w Alana i rozpoznaje to spojrzenie. Jest w nim szacunek graniczący z uwielbieniem i czcią, jakimi student obdarza swojego mentora.

- Dzięki - mówi.

- Nie ma sprawy. - Obaj podnoszą się z podłogi.

- Jesteś gotów zdać mi relację, agencji Carnes?

Mój głos zabrzmiał surowo, ale myślę, że on tego potrzebuje.

- Taak, proszę pani.

Jego policzki już nie są upiornie blade, widać, że odzyskuje siły. Wygląda tak młodo. Dla mnie Leo Carnes jest dzieciakiem, który otarł się o zbrodnię i teraz wypadło mu szybko dorosnąć. Witaj w klubie!

- No to zaczynaj.

Zaczyna opowiadać, a jego głos jest spokojny.

- Przyjechałem tu i sprawdziłem wstępnie komputer, czy nie ma żadnych pułapek ani wirusów. Potem zrobiłem to, co zawsze. Sprawdziłem, który plik był ostatnio modyfikowany, okazało się, że to plik tekstowy o nazwie: „Czytajcie mnie federalni”.

- Rzeczywiście?

- Tak. Otworzyłem go. Zawierał tylko jedno zdanie: „Sprawdźcie kieszeń niebieskiego zakietu”. Rozejrzałem się, ale w sypialni nie było żadnego zakietu... potem wpadłem na to, żeby sprawdzić w szafie. W lewej kieszeni niebieskiego zakietu, który tam wisiał, znalazłem płytę CD.

- Więc postanowiłeś, że rzucisz na nią okiem. I słusznie. Zrobiłabym to samo.

Zachęcony Leo kontynuuje:

- Kiedy wypalisz CD-R, nadajesz mu nazwę. Gdy zobaczyłem tytuł na tej płycie, zaintrygował mnie, brzmiał, bowiem: Śmierć Annie.

Charlie się krzywi.

- Co za sukinsyn! Jenny będzie wściekła, że nie znaleźliśmy tego.

- Opowiadaj - mówię do Lea.

- Wrzuciłem płytę do komputera i ją otworzyłem. Na dysku był tylko jeden plik wideo o wysokiej rozdzielczości. Zajmował prawie cały obszar. - Leo znowu z trudem przetyka ślinę i blednie. - Kliknąłem i otworzył się Media Player, na którym zacząłem odtwarzać wideo. To było... - Leo kręci głową, stara się opanować. - Przepraszam, ten film nakręcił morderca. Nie jest to pełna



rejestracja tego, co się tu działo od początku do końca. Pojemność CD była niewystarczająca, jest to, więc prawdopodobnie montaż...

- Zapis zbrodni - kończę za niego, bo wiem Leo nie chce tego powiedzieć.

- Taak, to jest coś nie do opisania. Nie chciałem tego oglądać, chciałem włączyć „stop”, ale nie mogłem. Potem zacząłem wymiotować i zadzwoniłem do agenta Washingtona. Wyszedłem z mieszkania i czekałem na korytarzu na wasz przyjazd.

- Mam nadzieję, że nie puściłeś pawia w sypialni? - pyta Charlie.

- Doleciałem do kibla.

Alan klepie go po plecach swoją wielką łapą. Gdyby Leo miał sztuczne zęby, wyleciałyby mu na pewno z ust po tym przyjaznym klepnięciu.

- No widzisz, w tym właśnie cała rzecz, Leo, zachowałeś zdrowy rozsądek, gdy twój żołądek się poddał. Tak trzymaj.

Leo uśmiecha się z zażenowaniem.

- Zobaczmy to - mówię. - Leo, nie musisz na to patrzeć jeszcze raz, naprawdę.

Obrzuca mnie bardzo szczerym spojrzeniem. Jest w nim zaskakująca mieszanina dojrzałości i namysłu. Niemal odczytuję jego myśli. On wie, że Annie była moją przyjaciółką, a skoro ja jestem gotowa patrzeć na jej śmierć, każdy powinien być do tego zdolny. Jego oczy twardnieją i potrząsa głową.

- Dziękuję, ale komputer to moja działka i wykonam swoją pracę do końca.

Uznaję jego determinację w taki sposób, jak uznajemy podobne rzeczy. Zachowuję się tak, jakby nic się nie stało.

- W porządku, chodźmy do środka.

Leo otwiera drzwi do mieszkania Annie. Wszystko jest takie, jak zapamiętałam. Są tu trzy sypialnie, dwie łazienki, obszerny salon i wielka kuchnia. W każdym pomieszczeniu czuję obecność Annie. Żyje nadal w każdym z mebli, w wystroju, który wyraża osobowość mieszkańca. Ulubionym jej kolorem był błękit. Widzę go w zasłonach, w niebieskim wazonie, w szerokim pasie nieba na oprawionej fotografii. Mieszkanie jest szykowne, ma klasę, naturalną wysoką jakość, bez tandetnych złotych listków i złotych lamperii. Wszystko jest idealnie skomponowane, ale nie w ten irytujący sposób typu „dorównać Jonesom”. To studium powściągliwego, stonowanego piękna. I tyle w nim pogody.

Annie zawsze miała ten dar. Umiejętność upiększania otoczenia, bez większego wysiłku. Jej ubrania, nawet zegarek, który miała na rękę, wszystko było stylowe, gustowne, eleganckie, bez cienia ostentacji. Uważałam to za dowód jej wewnętrznego piękna. Nie wybierała rzeczy, by pokazać je innym. Wybierała je, bo pasowały do niej. To mieszkanie jest tego odzwierciedleniem. Jest pokryte upiornym pyłem duszy Annie.

Ale czuje się tu także obecność kogoś innego.

- Dziwny zapach - mówi Alan. - Co to jest?

- Perfumy i krew - szepczę.

- Komputer jest tam - mówi Leo i prowadzi nas do sypialni.

Tu harmonia pęka. W tym miejscu on dokonał swojego dzieła. Ktoś tu świadomie dążył do dysonansu. Destrukcja kontra piękno.

Dywan jest poplamiony krwią i mój nos wychwytuje silny odór rozkładu zmieszany z zapachem perfum Annie. Znów przeciwieństwo - woń śmierci walczy z zapachem życia. Niski stolik leży przewrócony, obok rozbita lampa, ściany są podrapane i cały pokój sprawia wrażenie naruszonego, skrzywdzonego. Morderca dokonał na nim gwałtu, brukając go swoją obecnością.

Leo siada przy komputerze. Ja myślę o Annie.

- Zaczynajmy - mówię do niego.

Leo blednie, przesuwa mysz i ustawia kursor na pliku, klika dwa razy i ustawia Media Playera na pełny ekran. Zaczyna się odtwarzanie filmu wideo.

Serce przestaje mi bić, gdy dostrzegam Annie. Jest naga i przykuta do łóżka. Żółć wzbiera mi z gardle, myślę o sobie i Josephie Sandsie. Odpycham to wspomnienie.

Zabójca jest ubrany na czarno. Twarz ukrywa pod kominiarką.

- To jest ten cholerny kostium ninja? - burczy Alan. Kręci głową z odrazą. - Chryste Panie! Dla niego to tylko pieprzony żart.

Mój talent myśliwski włącza się automatycznie. Morderca ma jakiś metr osiemdziesiąt. Jest w dobrej kondycji fizycznej, coś pośredniego między facetem muskularnym a żyłastym. Jest biały, widzę fragmenty skóry wokół jego oczu.

Czekam, aż usłyszę jego głos. Technika rozpoznawania głosu poszła bardzo do przodu, gdyby się odezwał, zwiększyłby nasze szanse. W następnej chwili znika z pola kamery. Słychać, że z czymś się szarpie. Kiedy pojawia się znowu, patrzy prosto w obiektyw. Zmarszczki wokół oczu świadczą, że śmieje się pod maską. Podnosi rękę i odlicza, odginając palce: „1... 2... 3... 4...” Pokój wypełnia muzyka. Zagłusza wszystkie inne dźwięki. Nie rozpoznaję, co to jest. Ale jako gatunek brzmi znajomo. To odmiana alternatywnego punku. Po chwili przypominam sobie. Robi mi się niedobrze.

- Cholera! - mówi Charlie. - Czy to Rolling Stonesi?

- Jasne. Gimmy Shelter - odpowiada Alan wściekłym głosem. - Po prostu beczka śmiechu dla tego chorego skurwiela. Postarał się o nastrojową muzykę.

Nateżenie dźwięku wzrasta, piosenka brzmi głośniejsz. Kiedy nabiera szybkości, morderca zaczyna tańczyć. Trzymając w ręku nóż, tańczy przed Annie i przed kamerą. Jest to szaleńczy, obłądny taniec, ale on nie gubi rytmu.

- Gwaaałt i mord - przyśpiewuje.

To jest powód, dla którego wybrał ten utwór. Te dwa słowa są jego przesłaniem. Powracają odczucia, których doznałam wcześniej tego dnia, kiedy dowiadujesz się, co on zrobił, jesteś zawsze w tyle za jego następnym krokiem. Przemykam powieki na moment, gdy dostrzegam, że Annie także zdaje sobie z tego sprawę. W jej oczach dostrzegam przerażenie i brak nadziei, już ją straciła.

Zabójca przestał tańczyć, choć jego ciało wciąż jeszcze drga w rytm muzyki, jak u kogoś, kto bezwiednie wystukuje nogą rytm melodii. Stoi przy łóżku, oczy utkwili w Annie. Wygląda, jakby był w transie. Annie się szamocze. Muzyka zagłusza wszystko, ale wiem, że krzyczy przez knebel. Morderca raz jeszcze spogląda w kierunku kamery. Potem pochyla się z nożem w rękę.

Reszta, tak jak powiedział Leo, jest montażem. Obrazów tortur, gwałtu, przerażenia Annie. Zabójca używa noża, jego ruchy są nadzwyczaj powolne. Widać, że rozcinanie ciała sprawia mu przyjemność. Lubi też wyraźnie długie cięcia. Penetruje nożem całe ciało. Odczuwam fizyczny wstrząs za każdym razem, gdy pojawia się nowy obraz. Jakby mnie ktoś porażał prądem. Obraz, wstrząs, Annie torturowana. Obraz, wstrząs, Annie gwałcona. Obraz, szok, on tnie, tnie, tnie. Jezu, Jezu, chyba nigdy nie przestanie ciąć. Jej oczy są pełne męki, w końcu stają się puste i utkwione nieruchomo gdzieś w przestrzeń. On tryumfuje. Wykonuje taniec w deszczu. W deszczu krwi. Patrzę, jak moja przyjaciółka umiera. Kona ta kobieta, którą obejmowałam, będąc dzieckiem, z którą dorastałam i którą kochałam. Czuję się jak wtedy, gdy leżałam na łóżku w swoim domu i patrzyłam na krzyczącego z bólu Matta. Jest to powolna, przerażająca śmierć, odarta z godności. Gdy on kończy swoje dzieło, Annie już od dawna nie żyje. Jest wypatroszona jak ryba.

Nie oplakiwałam Annie na wiadomość o jej śmierci. Uświadamiam sobie, że oplakuję ją dopiero teraz, płacząc przez cały czas.

Są to ciche łzy płynące dwoma strumieniami po moich policzkach. Splukuję nimi żal po utracie jedynej, poza Mattem, osoby, która wiedziała o mnie wszystko. Jestem teraz sama na świecie, odcięta od korzeni i to jest nie do zniesienia.

Annie, myślę, ty przecież w żadnym razie nie zasłużyłaś na coś takiego.

Nie wycieram łez, nie wstydzę się ich. Są tu czymś całkiem naturalnym.

Nagranie się kończy i wszyscy milczą.

- Puść to jeszcze raz - mówię.

Mówię tak, bo we mnie budzi się ten smok. Chcę, żeby obudził się pełen gniewu.

- Teraz, żeby wszystko było jasne - mówi Alan. - On nie tylko to nakręcił, potem usiadł i zrobił ten montaż.

Leo potakuje.

- Tak. Ale nie na tym komputerze, jego napęd jest za słaby i brak w nim programu do obróbki filmów. Prawdopodobnie przyniósł ze sobą wysokiej jakości laptopa.

Alan gwizdże przeciągle.

- To zimny facet, Smoky. Wynika z tego, że usiadł tu sobie i montował nagranie, gdy twoja przyjaciółka leżała obok martwa, a Bonnie patrzyła na to wszystko. Albo jeszcze gorzej.

Nikt nie powiedział słowa na temat moich łez. Czuję się pusta, ale nie jestem już oziębiała.

- Zimny, zorganizowany, profesjonalny, sprawny technicznie i z całą pewnością stanowi poważny problem.

- Co pani ma na myśli? - pyta Leo.

Odwracam się do niego.

- On przekroczył granice człowieczeństwa i nigdy nie zawróci z tej drogi. Bardzo mu się spodobało to, co zrobił. To go niezwykle podekscytowało. Jeżeli coś sprawia ci tak wielką przyjemność, nie poprzestaniesz na jednym razie, na pewno nie.

Leo jest moim spostrzeżeniem zaskoczony.

- Więc co teraz?

- Teraz wszyscy się stąd wynosimy i ściągamy Jamesa.

Słyszac chłód i opanowanie w swoim głosie, jestem zadowolona. Zaczęło się, więc. No i co ty na to?

Charlie i Leo są zdezorientowani. Alan zrozumiał, uśmiecha się, choć nie jest to uśmiech radosny.

- Ona i James potrzebują trochę swobody, to wszystko, chłopcy. My mamy dosyć swojej roboty. Chcesz, żebym w zastępstwie Jamesa zajął się lekarzem sądowym? - pyta mnie.

- Aha... - odpowiadam bezbarwnym tonem, nieobecna duchem. Prawie nie zauważyłam ich odejścia. Mój umysł stał się ogromną otwartą przestrzenią. Wzrok mam utkwiony gdzieś w dal.

Ponieważ zbliża się ciemny pociąg.

Słyszę go w oddali: puf, puf, puf, puf, puf, puf. To pociąg buchający dymem, złożony z kłów, pazurów, żaru i ciemności.

Wcześniej pojawił się, gdy prowadziłam moją pierwszą sprawę. Jest to coś, co trudno opisać. Pociąg życia porusza się po torach normalności i realnego świata. Jedzie nim większość ludzi od narodzin do śmierci. Jest wypełniony śmiechem i łzami, ciężkimi próbami i triumfami, jego pasażerowie nie są doskonali, ale starają się ze wszystkich sił.

Ciemny pociąg jest inny. Pędzi po torach wytyczonych przez rzeczy zgrzytające i wilgotne. Tym pociągiem jadą ludzie tacy jak Jack Junior. Jego napędem jest mord, brudny seks i krzyk. Jest to wielki czarny, wypijający krew wąż na kołach. Jeśli wyskoczysz z pociągu życia i pobiegiesz wzdłuż torów, możesz napotkać ciemny pociąg. Możesz biec obok, kiedy przejeżdża i rzucić okiem na wilgotną od łez zawartość jego krytych towarowych wagonów. Wskocz do niego, przejdź przez jego trupie wagony. przez dziwne szepty i stosy kości, aż dojdiesz do kierownika pociągu. Jest nim potwór, którego tropisz i który ma wiele postaci. Może być niski, łysy i mieć około czterdziestki. Może też być wysoki, jasnowłosy i młody. Czasami, choć raczej rzadko, może być kobietą. W ciemnym pociągu widzisz kierownika takim, jakim jest on naprawdę, to wszystko, co wystaje spod przykrywki fałszywych uśmiechów i trzyczęściowego garnituru. Wpatrujesz się w ciemność i jeśli wytrzymasz, nie odwracając wzroku, zrozumiesz.

Zabójcy, których tropię, nie mają wewnętrznej pogody ducha. Każda komórka ich ciała to ciągły krzyk bez końca. Jazgoczą z wybałuszonymi oczami, źli i poplamieni krwią. To stworzenia, które się masturbują, pożerając ludzkie ciała. Które jęczą w ekstazie, kiedy ocierają się o mózgi i kał. Ich dusze nie wędrują, one pełzają i się czołgają.

Ciemny pociąg, mówiąc po prostu, to szczególna przestrzeń, w której pracą mojego umysłu zdzieram maskę mordercy. W którą patrzę i się nie odwracam. To miejsce, z którego się nie wycofuję, nie usprawiedliwiam niczego, nie szukam wytłumaczeń ani przyczyn, wszystko jedynie rejestruję. Tak, jego oczy są pełne robaków; tak, on pije łzy mordowanych dzieci; tak, to jest tylko mord.

- To interesujące - oznajmił kiedyś doktor Hillstead podczas jednego z naszych spotkań, po tym jak opowiedziałam mu o ciemnym pociągu.

- Ciekawi mnie i niepokoi, Smoky, coś takiego, kiedy już wsiadasz do tego pociągu, mogłabyś już nigdy z niego nie wysiąść. Co powoduje, że jednak z niego wysiadasz? Co cię powstrzymuje przed zostaniem kierownikiem pociągu?

Musiałam się uśmiechnąć.

- Jeżeli to widzisz, naprawdę widzisz, wówczas nie grozi ci takie niebezpieczeństwo. Zdajesz sobie sprawę, że jesteś ulepiony z innej gliny. Nie ma krzty podobieństwa. Jeżeli rzeczywiście zedrzesz maskę kierownikowi pociągu, zdajesz sobie sprawę, że to ktoś z innego świata. Jest odchyleniem od normy, odrębnym gatunkiem.

Doktor przyjął wyjaśnienie i odwzajemnił uśmiech. Jego oczy mówiły jednak, że nie w pełni go przekonałam.

Nie powiedziałam mu natomiast, że problemem nie jest zagrożenie stania się kierownikiem pociągu. Problem polega na tym, żeby przestać widzieć owego kierownika; nie mieć go stale przed oczami w jego prawdziwej postaci, bez maski. Czasami wymagało to całych miesięcy. Miesiące koszmarów na jawie i zimnych potów o świcie. Dla Matta najgorsze w tym wszystkim było to, że napotykał we mnie przestrzeń wypełnioną milczeniem. Jak zamknięte pokoje, w których nie mógł przebywać wraz ze mną.

Taka jest cena, którą się płaci za jazdę ciemnym pociągiem. Jakaś twoja częśćka poznaje tak wielką samotność, z jaką nikt inny nigdy nawet się nie styka.

Stojąc teraz w miejscu, gdzie umierała Annie, czuję, jak ten pociąg sunie w moją stronę. Kiedy nadjeżdża, bez względu na to, czy tylko patrzę, jak mnie mija, czy przechodzę od jednego wagonu do drugiego, nikogo nie może być przy mnie. Staję się obca, chłodna i nieprzyjemna. Wyjątkiem może być jedynie bratnia dusza, ktoś, kto także potrafi dostrzec pociąg.

James potrafi. Mimo wszystkich swoich wad, niezależnie od tego jak okropnym bywa dupkiem, James posiada ten dar. Potrafi podróżować tym pociągiem i dotrzeć do jego kierownika.

Odchodząc od wszelkich metafor, można powiedzieć, że ciemny pociąg jest to obszar spotęgowanej, wyostrejzonej obserwacji możliwej dzięki doraźnemu współodczuwaniu i głębokiemu zrozumieniu zła.

I to jest coś bardzo nieprzyjemnego.

Rozglądam się po pokoju, pozwalając, by wsączał się we mnie. Czuję go, wyczuwam zapach tego człowieka. Muszę poznać jego smak, usłyszeć go. Nie wolno mi go odepchnąć, muszę go przyciągnąć do siebie jak najbliżej. Jak kochanka.

O czymś doktorowi Hillsteadowi nie powiedziałam i nie sądzę, żebym kiedykolwiek chciała powiedzieć. O tym, że ta swoista intymność jest nie tylko niepokojąca, ona wciąga mnie w jakiś sposób. Jest ekscytująca. On poluje na wszystko - ja tylko na niego. Ale w gruncie rzeczy pragnę krwi równie mocno jak on.

Był tutaj, więc ja także muszę tu być. Muszę go odnaleźć, wtulić się w jego ciemność, robactwo i krzyki.

Zawsze najpierw wyczuwam to samo i tak jest też tym razem.

Podniecenie, w które go wprawia naruszenie granic czyjejś prywatności. Ludzkie istoty wyznaczają sobie własne obszary odgródzone od innych. Porozumiewają się i respektują to prawo własności. W stosunkach międzyludzkich to sprawa podstawowa. Twój dom jest twoim domem. Gdy zamykasz za sobą drzwi, zanurzasz się w swojej prywatności, nie musisz już nosić maski,

którą pokazujesz światu. Inni ludzie wchodzą tu tylko wtedy, jeśli są zaproszeni. Respekują te zasady, bo oczekują tego samego od ciebie.

A pierwsza rzecz, jaką robią potwory, co je najpierw podnieca, jest przekroczenie tej granicy. Zaglądają do twoich okien. Chodzą za tobą przez cały dzień. Podglądają, co robisz. Potrafią wejść do twego domu, gdy ciebie tam nie ma i chodzą po twojej prywatnej przestrzeni, ocierają się o przedmioty będące twoją własnością, zaglądną do bielizniarki. Dokonują swojego rodzaju najazdu.

Niszczenie innych jest dla nich afrodyzjakiem.

Pamiętam przesłuchanie jednego z zatrzymanych potworów. Jego ofiarami były małe dziewczynki, pięcio-, sześćioletnie. Żadna nie była starsza. Widziałam ich wcześniejsze zdjęcia - kokardy i spineczki we włosach, promienne uśmiechy. Potem oglądałam zdjęcia ich zwłok - po gwałcie, torturach, mordzie. Małutkie ciała krzyczące w nieskończoność.

Byłam już ubrana do wyjścia i szłam do drzwi, gdy naraz przyszło mi do głowy to pytanie. Odwróciłam się do niego.

- Dlaczego one? Dlaczego tak małe dziewczynki?

Uśmiechnął się szeroko jak dynia w Halloween. Jego oczy przypominały dwie mroczne, puste studnie.

- Bo nic bardziej złego nie mogłem wymyślić, skarbie. To, co jest najgorsze - zwilżył wargi - jest najlepsze. - Przymknął te martwe oczy i kręcił głową przez chwilę, jakby w swojego rodzaju zadumie. - Małe panienki... Boże... największe zło było tak cholernie słodkie!

To wściekłość budzi i podsyca takie potrzeby i pragnienia. Nie krótkotrwałe rozdrażnienie czy złość, ale prawdziwa rozszarżona wściekłość na cały świat. Ciągły huczący w głowie płomień, który nigdy nie gaśnie. Czuję go tutaj. Morderca planował działać rozważnie, w końcu jednak ogarnięty tą gorączką musiał stracić kontrolę nad sobą. Ta wściekłość zazwyczaj bierze się z wyjątkowego sadyzmu, z jakim potwór zetknął się w dzieciństwie. Niejeden potwór zaznał jako dziecko bicia, maltretowania, stosunków analnych, gwałtów. Większość tych potworów miała za rodziców frankensteinów. Wynaturzeni, pokręceni, bez-duszni, stworzyli dzieci na swój obraz i podobieństwo. Zadręczyli ich dusze i posłali w świat, by to samo robili innym. Praktycznie biorąc, nie ma to żadnego znaczenia z punktu widzenia tego, co robię. Potwory są bez wyjątku nieuleczalne. Nie jest ważne, dlaczego pies gryzie. To, że atakuje i że jego zęby są ostre, przesądza o jego losie. Muszę żyć z całą tą wiedzą i wszystko to rozumiejąc. Ona staje się niechcianym towarzyszem, który nigdy nie opuszcza mojego boku. Potwory stają się moimi cieniami, mam wrażenie, że słyszę ich chichot za plecami.

- Jak to oddziałuje na ciebie na dłuższy dystans? - zapytał mnie kiedyś doktor Hillstead. - Czy pociąga to za sobą jakieś trwałe emocjonalne konsekwencje?

- No oczywiście. - Staralam się znaleźć odpowiednie słowa. - To nie jest depresja ani cynizm. Nie jest też tak, że jednocześnie nie mogę być szczęśliwa. To jest... - Pstrykam palcami. - To jest zmiana klimatu duszy. - Skrzywiłam się zaraz po wypowiedzeniu tych słów. - Jakaś głupia poetycka brednia.

- Przestań - upomina mnie doktor. - Nie widzę nic głupiego w tym, że ktoś szuka właściwych słów dla wyrażenia czegoś. Skończ swoją myśl.

- Wiesz, jak klimat kontynentów, które znajdują się w pobliżu oceanu, jest przezeń zdeterminowany? Przez jego bliskość. Mogą się oczywiście pojawiać jakieś drobne zmiany pogody, ale w zasadzie jest ona przewidywalna. - Spojrzałam na niego, skinął twierdząco głową. - Z tym jest podobnie. Stała bliskość czegoś ogromnego, ciemnego i straszego. Odczuwasz ją w każdej minucie, każdego dnia. Kształtuje klimat twojej duszy.

W jego oczach dostrzegam smutek.

- Jaki jest ten klimat?

- Jak gdzieś tam, gdzie bardzo często padają deszcze. Bywa tam mimo wszystko pięknie - ma się swoje słoneczne dni, ale aura jest zdominowana przez szarość i ciężkie chmury. Tam zawsze zanoszą się na deszcz.

Rozglądam się po sypialni Annie, słyszę w głowie jej krzyki. Pada teraz ten deszcz. Annie była słońcem, a on jest czarną chmurą. Jeszcze jedna poetycka bzdura, wzdycham.

- Księżyc - szepczę do siebie. Światło na tle czerni.

- Cześć.

Głos Jamesa wyrywa mnie z zadumy. James stoi w drzwiach i zagląda do środka. Widzę, jak jego oczy wędrują po pokoju, dostrzega plamy krwi, łóżko, przewrócony nocny stolik. Jego nozdrza się rozszerzają.

- Co to jest? - mruczy.

- Perfumy. Polał ręcznik perfumami i wcisnął pod drzwi, żeby zapach rozkładu nie mógł się wydostać na zewnątrz zbyt szybko.

- Zyskał na czasie.

- Tak.

James podnosi teczkę z dokumentami.

- Dostałem to od Alana. Raporty i zdjęcia z miejsca zbrodni.

- Dobrze, ale najpierw zobacz wideo.

Gdy zaczyna się projekcja, dzieje się to, co zawsze. Dzielimy się krótkimi, szybkimi uwagami, które brzmią jak serie z pistoletu maszynowego, Stajemy się zawodnikami biegnącymi w sztafecie, przekazujemy sobie pałeczkę to w tę, to w tamtą stronę.

- Popatrzmy - mówi James.



Więc siadamy i oglądamy to nagranie. Widać, jak Jack Junior hasa wokoło, usta Annie rozwierają się w krzyku, Annie umiera powolną śmiercią. Niewiele czuję tym razem, patrzę prawie obojętnym wzrokiem. Jestem chłodna, nieporuszona, lustruję dokładnie pociąg przymrużonymi oczami. W wyobraźni widzę Annie, która leży martwa na porośniętym trawą terenie, krople deszczu wpadają w jej otwarte usta i spływają po jej poszarzałych policzkach.

James nie okazuje żadnych emocji.

- Dlaczego zostawił to dla nas? - pyta. Wzruszam ramionami.

- Jeszcze do tego nie dotarłam. Zacznijmy od początku. Otwiera gwałtownym ruchem teczkę.

- Znaleźli ciało wczoraj około siódmej wieczór. Czas śmierci określono w przybliżeniu, ale na podstawie stopnia rozkładu zwłok, temperatury otoczenia i tak dalej lekarz sądowy ocenił, że zgon nastąpił trzy dni wcześniej, wieczorem około godziny dziewiątej lub dziesiątej.

Zastanawiam się nad tym, co powiedział.

- Myślę, że torturowanie i gwałcenie zajęło mu parę godzin. To by znaczyło, że przyszedł tu wczesnym wieczorem, one jeszcze nie spały, gdy się zjawił. Jak dostał się do środka?

James zagląda do teczki.

- Żadnych śladów włamania. Albo go wpuściła, albo znalazł sam jakiś sposób, żeby się tu dostać. - Wzrusza ramionami. - Pewny siebie skurwiel. Zrobił to wczesnym wieczorem, kiedy wszyscy są jeszcze na nogach, zajęci swoimi sprawami. Zuchwały drań.

- Ale jak tu wszedł? - Spoglądamy na siebie niepewnie. Deszczu, deszczu, przestań padać...

- Zacznijmy od salonu - proponuje James.

Znowu wymiana serii z broni maszynowej: ba ba bach, ba ba bach. Wychodzimy z sypialni do holu i idziemy do korytarza przy wejściu. James rozgląda się wokoło. Widzę, jak jego oczy nieruchomieją.

- Zaczekaj.

Wraca do sypialni Annie i przynosi stamtąd teczkę. Wręcza mi zdjęcie.

- Właśnie tak.

Trzymam w ręku plik fotografii, jedna ukazuje korytarz od strony drzwi wejściowych. Widzę, co chciał mi pokazać: trzy koperty leżące na dywanie. Kiwam głową.

- W najprostszy sposób, po prostu zapukał. Ona otworzyła drzwi, on wepchnął ją do środka. Upuściła listy, które trzymała w ręku. Wszystko stało się szybko.

- Jednak to był wczesny wieczór. Gdyby zaczęła krzyczeć, mogłaby zaalarmować sąsiadów, jak zdołał ją od tego powstrzymać? - Wrywam mu teczkę i przerzucam fotografie. Wskazuję zdjęcie stołu w jadalni. - Tu widać na nim otwarty podręcznik do matematyki. - Rzucamy okiem na stół. - Stoi bliżej niż trzy metry od drzwi. Bonnie siedziała w tym miejscu, gdy Annie je otworzyła.

Skinieniem głowy daje mi znać, że rozumie.

- Miał pod kontrolą dziecko, więc miał też pod kontrolą matkę. – James gwizdże przeciągle.

- No, no. Wynika z tego, że wpadł natychmiast do środka, bez żadnego wahania.

- To był natot, nie dał jej w ogóle czasu na nic. Wepchnął się do środka, zatrzasnął za sobą drzwi, pobiegł prosto do Bonnie, prawdopodobnie przytknął jej broń do gardła...

- ...i powiedział jej matce, że jeśli krzyknie, dziecko umrze.

- To by pasowało.

- Postępował bardzo zdecydowanie. Deszczu, deszczu, przestań padać... James zaciska usta w zamyśleniu.

- Następne pytanie brzmi: jak szybko przystąpił do działania?

Teraz to się naprawdę zaczyna. Już nie przyglądamy się ciemnemu pociągowi, ale wskakujemy do niego.

- Mamy całą serię pytań. - Wyliczam na palcach: - Jak prędko rozpoczął swoje dzieło? Czy zapowiedział jej, co zamierza zrobić? Co w międzyczasie robił z Bonnie? Czy ją związał i zmusił, żeby patrzyła na to, co się tu odbywało?

Oboje odwracamy głowy ku drzwiom wejściowym, myśląc intensywnie. Wyobraźnia podsuwa mi ten obraz. Wiem, że James widzi go także, w ten sam sposób, co ja.

W korytarzu jest cicho i on odczuwa podniecenie. Gdy czeka, aż Annie otworzy mu drzwi, serce łomocze mu w piersiach. Jedną ręką wysuwa do przodu, gotów ponownie zapukać, w drugiej trzyma... co? Nóż?

Tak.

Przygotował dla niej krótką historyjką i przeciwiczył ją w myślach wiele razy. Coś prostego, na przykład, że jest sąsiadem z niższego piętra i chciałby zapytać, czy... tu jakaś wiarygodna historyjka.

Annie otwiera drzwi szeroko. Jest wczesny wieczór, miasto nie śpi. Annie jest we własnym domu, wewnątrz strzeżonego budynku. Wszystkie światła w jej mieszkaniu są zapalone, nie ma powodów, by się czegoś obawiać.

On wpada do przedpokoju, zanim ona ma czas zareagować, jak huragan nie do powstrzymania. Pokonawszy jej opór, zamyka za sobą drzwi. Dopada Bonnie. Przyciągają do siebie i przykładają nóż do jej gardła.

- Piśnij tylko, a mała będzie martwa.

Annie tłumy instynktowny krzyk, który rozpycha jej gardło. Jest kompletnie zszokowana. Wszystko stało się zbyt szybko, by mogła w pełni ocenić zagrożenie. Wciąż jeszcze szuka jakiegoś racjonalnego wyjaśnienia. Może to jakieś reality show przy użyciu ukrytej kamery? Może jakiś przyjaciel zrobił jej psikusa... może... Najbardziej szalony pomysł byłby lepszy od prawdy. Bonnie

wpatruje się w nią oczami pełnymi przerażenia. Annie musiałyby zrozumieć, że to nie żaden żart. Nieznajomy trzymał nóż na szyi jej dziecka. To było rzeczywiste. To działo się naprawdę.

- Czego chcesz? - pada pierwsze pytanie. Ma nadzieję, że zdoła negocjować z tym nieznajomym. Może to włamywacz albo gwałcieł. O Boże, proszę, błagam, żeby to nie był pedofil.

Coś sobie przypominam.

- Miała małą ranę na szyi - mówię.

- Co?

- Bonnie. Miała małe nacięcie we wgłębieniu szyi. - Dotykam mojej. - Tutaj. Zobaczyłam ją w szpitalu.

James zastanawia się nad tym. Jego twarz ma ponury wyraz.

- Zrobił to nożem.

Oczywiście nie możemy mieć pewności, ale chyba ma rację.

Nieznajomy koniuszkiem noża nakłuwa wgłębienie na szyi Bonnie. Nic poważnego, tylko tyle, by pojawiła się pojedyncza kropla krwi; by dziecko krzyknęło. To wystarczyło, aby pokazać, że z nim nie ma żartów. Serce Annie zamiera, a potem zaczyna walić jak oszalałe.

- Rób, co ci każe - mówi nieznajomy - albo twoja córka umrze powolną śmiercią.

Wtedy wszystko jest rozstrzygnięte. Bonnie stała się skutecznym narzędziem nacisku, Annie należy już do niego.

- Zrobię, co tylko zechcesz, ale nie wyrządzaj jej krzywdy.

On czuje jej strach i to go podnieca. Erekcja wypycha mu spodnie.

- Myślę, że Bonnie była tutaj, gdy on gwałcił i torturował Annie. Myślę, że zmusił ją, by patrzyła na to wszystko.

James przekrzywia głowę.

- Czemu?

- Z paru powodów. Główny jest ten, że pozostawił Bonnie przy życiu. Dlaczego? Miał przez to dodatkową osobę do pilnowania. Sytuacja byłaby dla niego łatwiejsza, gdyby ją po prostu zabił. Ale to Annie była jego zdobyczą. On pławi się w torturach, lubi strach, cierpienie. Miał Bonnie tutaj, a Annie widziała, że ona tu jest i że wszystko widzi, świadomość tego mogła doprowadzić ją do obłądzenia, a to by mu się bardzo podobało.

James rozważa to, co powiedziałam.

- Zgadza się. Z jeszcze jednego powodu.

- Jakiego?

Spogląda mi prosto w oczy.

- Ty jesteś jego celem, to na ciebie zastawia wnyki, Smoky. Raniąc Bonnie, rani cię znacznie głębiej.

Patrzę na niego zaskoczona, zdumiona. Ma rację.

*Puf-puf, puf-puf, puf-puf, ciemny pociąg nabiera prędkości.*

- Rób, co każe albo zranię twoją mamę - mówi nieznajomy do Bonnie. Wykorzystuje ich wzajemną miłość jak oścień do poganiania bydła, kierując je obie w stronę sypialni.

- Prowadzi je do sypialni. - Idę przez hol, James podąża za mną, wchodzimy do pokoju. - On zamyka sypialnię. - Wyciągam rękę i zamykam drzwi. Wyobrażam sobie, jak Annie patrzy na nie, nie zdając sobie sprawy, że już nigdy nie zobaczy ich otwartych.

James wpatruje się w łóżko, jego umysł pracuje intensywnie. Wyobrażnia także.

- Musi nadal mieć je obie pod kontrolą - mówi. - Bonnie mógłby się nie obawiać, ale nie może sobie pozwolić na rozluźnienie się, zanim nie zrobi czegoś, by Annie mu się nie wymknęła.

- Annie na filmie jest przykuta kajdankami.

- Zgadza się. Więc zmusił ją, by się sama przykuła. Jeden przegub, więcej nic nie potrzebował.

- Weź to - mówi do Annie, wyjmując kajdanki z torby, po czym rzuca je w jej stronę.

Nie, to nie było tak. Przewijam obrazy do tyłu.

Morderca trzyma nóż przy gardle Bonnie. Patrzy na Annie. Nie odrywa od niej wzroku. Lustruje ją od stóp do głów i pożera oczami. Upewnia się, że ona to właściwie odczytuje.

- Rozbierz się - mówi. — Rozbierz się dla mnie.

Annie waha się, a on przesuwając ostrze po szyi dziewczynki.

- Rozbieraj się.

Annie płacząc, spełnia polecenie. Zostaje tylko w majteczkach i staniku. To jej ostatnia próba oporu.

- Zdejmuj wszystko - warczy nieznajomy. Ostrze znowu zbliża się do gardła Bonnie.

Annie posłusznie wykonuje rozkaz, teraz już szlocha gwałtownie... Nie, nie. Przewijam do tyłu.

Annie wykonuje polecenie i całą siłą woli powstrzymuje płacz. Chce w ten sposób jakoś podtrzymać na duchu Bonnie. Zdejmuje bieliznę, cały czas wpatrując się w oczy córki. Patrz mi w oczy, zaklina w myśli, tylko w moje oczy - nie na to, nie na niego.

Teraz on wyjmując kajdanki z torby, którą przyniósł ze sobą.

- Przypnij przegub do łóżka - poleca Annie. - Natychmiast.

Ona robi to, czego zażądał. Usłyszawszy szcęk zatrasku, natychmiast sięga do torby i wyjmując jeszcze cztery pary kajdanków. Spina nimi drobniutkie przeguby i kostki Bonnie. Dziewczynka drży przerażona. Nieznajomy knebluje małej usta, ignorując jej łkanie.

Dziecko patrzy na matkę błagalnym wzrokiem zdającym się mówić: „przerwij to „, „ nie pozwól na to „, co sprawia, że Annie wybucha płaczem.

Morderca nadal zachowuje ostrożność. Nie odpręża się jeszcze, nie pozwala sobie na żaden błąd. Podchodzi do Annie i przykuwa jej drugi nadgarstek do łóżka. To samo robi z kostkami u nóg. Jej także wpycha knebel w usta.

Nareszcie. Nareszcie może się odprężyć. Jego zdobycz jest zabezpieczona. Nie może uciec, na pewno nie ucieknie. Nie uciekła, myślę.

Teraz morderca rozkoszuje się chwilą.

Wiele czasu zabiera mu przygotowanie pokoju. Ustawienie łóżka, odpowiednie usytuowanie kamery wideo. Wszystko musi być rozmieszczone we właściwy sposób, symetria jest tu ważna, niezbędna. Nie wolno się spieszyć. Wypadnięcie z rytmu zuboży urodę czynu, a czyn jest wszystkim. Jest dla niego wodą i powietrzem.

- Łóżko - mówi James.

- Co? - Patrzę zaintrygowana na mebel, który wymienił.

James wstaje i podchodzi do listwy przypodłogowej. Łóżko Annie ma większe rozmiary niż typowe podwójne. Wykonane z gładkich, zaokrąglonych kawałków drewna, jest solidne i ciężkie.

- Jak on dał radę je przesunąć? - James przechodzi do wezglowia i ogląda dywan. - Są ślady ciągnięcia. A więc przesunął je do siebie. - Staje znowu w nogach łóżka. - Mógł chwycić je gdzieś tutaj i ciągnął, cofając się. Musiał zwiększyć siłę uchwytu. - James kłęka na podłodze. - Złapał je za spód i unosił. - Kładzie się na podłodze i wczołguje pod łóżko. Widzę, jak jego latarka zapala się, a po chwili gaśnie. Kiedy wynurza się stamtąd, dostrzegam uśmiech na jego twarzy. - Tam nie użyto proszku.

Patrzymy po sobie, oboje unosimy kciuki.

Ludzie myślą się, sądząc, że lateksowe rękawiczki zabezpieczają przed pozostawieniem odcisków palców. Owszem, w większości przypadków jest tak rzeczywiście. Ale nie zawsze. Ten rodzaj rękawiczek stworzono dla chirurgów, tak by mogli zachować sterylną ochronę podczas operowania, Rękawiczki te jednak muszą stanowić niejako drugą skórę chirurga, tak by mógł się posługiwać instrumentami z pełną precyzją i delikatnością. Są, więc bardzo obcisłe i cienkie, co powoduje, że dopasowują się do rozgałęzień linii papilarnych dłoni i koniuszków palców. Jeżeli ktoś, kto ma na ręku taką rękawiczkę, dotknie powierzchni, na której może się utworzyć ślad, pozostawi odcisk nadający się do zabezpieczenia. Prawdopodobieństwo jest niewielkie, ale to może się zdarzyć.

Łóżko Annie jest wykonane z drewna. Istnieje możliwość, że preparaty użyte przy jego wykończeniu pozostawiły osad, na którym mogły się zachować odciski palców, mimo iż morderca miał na nich lateksowe rękawiczki.

Szansa jest niewielka. Ale jest.

- Dobra robota - mówię.

- Dzięki.

Olej i łożysko kulkowe, myślę. Jediną sytuacją, kiedy James zachowuje się miło, jest nasze wspólne poszukiwanie zabójcy.

Scena jest przygotowana. Morderca już przesunął łóżko. Kamera została ustawiona... Jeszcze ostatnie spojrzenie, by mógł się upewnić, że zrobił wszystko doskonale. Jest doskonale. Cała jego uwaga skupia się na Annie, pochylony nad łóżkiem wpatruje się w nią.

Teraz po raz pierwszy Annie naprawdę to widzi. Jeszcze przed chwilą koncentrował się na czymś innym, przygotowywał swój teatr. Miała jeszcze jakąś nadzieję. Teraz, gdy on nie odrywa od niej wzroku, przewiercają spojrzeniem, dociera do niej prawda. Już nie ma wątpliwości, co ją czeka. Widzi jego oczy. Wydają się bez dna, są czarne i wypełnione nienasyconym głodem.

On dostrzega, że ona zrozumiała. To jak zawsze rozplómił go, rozpala. Już zabił, unicestwił nadzieję w innej ludzkiej istocie. Czuje się Bogiem. James i ja dotarliśmy do tego samego punktu w jednej porze. Jesteśmy tutaj. Widzimy jego, widzimy Annie i kątem oka również Bonnie. Wyczuwamy woń rozpacz. Ciemny pociąg przyspiesza jeszcze bardziej, a my stoimy obok siebie gotowi do drogi, ze skasowanymi biletami.

- A teraz obejrzymy ponownie wideo - mówi James.

Otwieram plik i montaż nagrania zaczyna się przesuwać przed naszymi oczami. Morderca tańczy, kroi ciało, gwałci.

Działa w uniesieniu, z furią krew rozpryskuje się wkoło i on czuje jej zapach i smak, może rozkoszować się jej plamą na ubraniu.

W pewnym momencie odwraca się, żeby spojrzeć na dziecko. Twarz Bonnie jest kredowobiała, jej ciałem targają wstrząsy. To wywołuje w nim niemal trudną do zniesienia, bliską orgazmowi, symfonię krańcowych, cudownych uniesień. Każdy jego mięsień dygocze z emocji. On nie jest wyłącznie zły. On gwałci dobro, gwałci je na śmierć. Muzyka i krew, bebecchy i krzyki, przerażenie. Świat drży, a on stanowi jego epicentrum, wspinając się coraz szybciej, zbliża się do szczytu i pozwala na to, by chwila ta nadeszła - ta chwila, gdy wszystko eksploduje w oślepiającym blasku, w którym wszelki rozsądek i wszystko, co ludzkie znika.

Przez jedną chwilę po tym głód i pragnienie gasną. Maleńką chwilę spełnienia i ulgi.

Nóż sunie w dół. Jest teraz krew i krew, deszcz krwi, a on wspina się, wspina się, staje na palcach na szczycie góry. Rozciąga swoje ciało najbardziej jak się da i wyciąga palec, nie żeby dotknąć twarzy Boga, nie żeby stać się Bogiem, ale by stać się niczym, całkowicie niczym. Odrzuca głowę do tyłu, gdy jego ciało wypręża się w orgazmie potężniejszym, niż może go znieść. A potem jest po wszystkim i gniew, który tkwi w nim zawsze, powraca. Coś iskrzy w moim umyśle.

- Zaczekaj - mówię. Naciskam „revind” playera i cofam film. Uruchamiam i znowu ten błysk zaniepokojenia. Marszczę brwi. - Coś jest nie tak, nie mogę się połapać, o co chodzi, ale mówię ci, coś się nie zgadza.

- Przejrzyjmy ujęcie po ujęciu - proponuje James.

Puszczamy film od początku, regulujemy szybkość i oglądamy w zwolnionym tempie.

- Gdzieś tutaj - szepczę, jakby moja myśl mogła się spłoszyć.

Oboje pochylamy się do przodu, patrzymy z uwagą. To już blisko końca nagrania. Morderca stoi obok łóżka Annie, widzę mignięcie, on nadal stoi przy łóżku Annie, ale coś się zmieniło.

James dostrzega to pierwszy.

- Gdzie się podział obraz?

Przewijamy raz jeszcze do tyłu ten fragment. Mężczyzna stoi przy łóżku, a na ścianie za nim widać obraz przedstawiający wazon ze słonecznikami.

Znowu mignięcie, on stoi wciąż w tym samym miejscu, ale obraz zniknął.

- Co do diabła?

Szukam miejsca, gdzie mógłby się znaleźć obraz. Dostrzegam go, stoi oparty o przewrócony stolik.

- Dlaczego zdjął go ze ściany? - pyta James. Kieruje to pytanie do siebie, nie do mnie.

Cofamy ponownie. On stoi, obraz jest, mignięcie - on stoi, obrazu nie ma. Wciąż od nowa. On stoi, obraz, mignięcie, nie ma obrazu, obraz - bez obrazu.

Rozwiązanie zagadki nie pojawia się w moim mózgu tak po prostu. Ono rozsadza mi czaszkę, otwieram usta, kręci mi się w głowie.

- Chryste Panie! - wołam. James patrzy na mnie zaskoczony.

- Co jest?

Przewijam film.

- Spójrz na to jeszcze raz. Patrz w punkt, gdzie jest górny brzeg ramy, a potem na sam punkt na ścianie, gdy obraz zniknie.

Kadr przesuwają się wolno na monitorze, nagle mignięcie... James marszczy brwi.

- Niczego nie... - przerywa, oczy mu się rozszerzają. - Czy to możliwe?! - W jego głosie słyszę niedowierzanie.

Puszczam jeszcze raz.

Nie ma już wątpliwości. Patrzymy na siebie zdumieni. Coś było nie tak.

Wiemy, dlaczego obraz zniknął. Usunięto go, bo stanowił punkt odniesienia. Zdradzał wzrost stojącej obok niego osoby. Mężczyzna stojący nad Annie w pierwszym ujęciu był o dobre pięć centymetrów wyższy od tego, który stał nad nią po mignięciu w montażu.

Dotarliśmy oto do maszynowni ciemnego pociągu i wypadliśmy z niego gwałtownie pod wpływem szoku doznanego po tym, co zobaczyliśmy: Nie jednego kierownika pociągu.

Dwóch!



- Macie rację - mówi Leo. - Patrzy na Jamesa i na mnie oszołomiony. Przed chwilą zbadał dokładnie cały film. -Te fragmenty są źle zmontowane.

Callie, Jenny i Charlie są tutaj także, skupieni wokół monitora. Opisaliśmy im kolejne wydarzenia i na koniec powiedzieliśmy o naszym odkryciu.

Jenny patrzy na mnie.

- No, no!

- Mielście już kiedyś podobną sprawę? - pyta Charlie. - Takie dwa potwory działające razem?

Kiwam głową.

- Jeden taki przypadek, ale różnił się od tego. To była para i mężczyzna w niej dominował. Dwaj mężczyźni robiący to razem... wydaje się to czymś niezwykłym. Chodzi o to, że te czynności były czymś bardzo osobistym. Powiedziałabym intymnym. Większość z nich nie chciałaby przeżywać wspólnie z kimś innym tego momentu.

Wszyscy w milczeniu zastanawiają się nad tą sprawą. Callie przerywa ciszę.

- Powinam poszukać tych odcisków, złotko.

- Ja powinam o tym pomyśleć - mówi Jenny.

- Ale nie zrobiłaś tego - przygryza jej James.

Jenny obrzuca go gniewnym spojrzeniem, ale James nie zwraca na to uwagi. Patrzy na Callie, która rozpakowuje oscyloskop na ultrafiolet i całe oprzyrządowanie. Oscyloskop wykorzystuje promienie ultrafioletowe do wykrywania odcisków palców. Emituje on silne światło w spektrum ultrafioletu. To światło odbija się równomiernie od płaskich i gładkich powierzchni. Kiedy natrafi na jakieś skazy, wypukłości - takie jak na przykład linie papilarne dłoni i skrzyte odcisków palców - odwzorowuje je tak, że wyróżniają się wyraźnie na jednostajnym tle powierzchni, do której przywarły. Można otrzymać doskonałe fotografie, dzięki dodatkowej kamerze wykorzystującej światło ultrafioletowe. To urządzenie jest wyposażone w zabezpieczenie, chroniące oczy przed promieniami UV, emiter tych promieni oraz podręczną kamerę. Oscyloskop nie zawsze się sprawdza przy prowadzeniu dochodzenia, ale ma tę zaletę, że użycie go nie narusza badanej powierzchni. Proszki i kleje pozostają na zdjętych śladach, a po zrobieniu zdjęć w promieniach UV wszelkie ślady pozostają nietknięte.

- Gotowe - oznajmia Callie. Wygląda jak postać z filmu science fiction.

- Wyłączcie światło.

Charlie naciska wyłącznik i widzimy, jak Callie kładzie się na plecach i wślizguje się pod łóżko. Widzimy błękitną poświatę, gdy włącza emiter i przesuwa go wzdłuż listwy przypodłogowej. Chwila przerwy, kilka kliknięć, potem jeszcze parę. Światło emitera gaśnie i Callie wypełza z powrotem. Charlie zapala światło. Callie szczyrzy zęby w uśmiechu.

- Trzy dobre odciski palców lewej dłoni, dwa prawej, całkiem wyraźne, kochani.

Po raz pierwszy, od chwili, gdy Callie zadzwoniła do mnie, by powiedzieć mi o śmierci Annie, czuję oprócz gniewu, smutku i wewnętrznego chłodu coś jeszcze. Czuję podniecenie.

- Mam cię - odwzajemniam jej uśmiech. Jenny kręci głową z niedowierzaniem.

- Jesteście naprawdę straszni.

Jedziemy po prostu ciemnym pociągiem, Jenny, myślę. A w nim mamy szansę dotrzeć do błędów kierownika.

- Jedno pytanie - odzywa się Alan. - Jak to się stało, że nikt nie przyszedł się poskarżyć na tę głośną muzykę? Nastawili ją na pełny regulator.

- Zaraz ci dam odpowiedź, złotko - mówi Callie. - Tylko przez chwilę bądźcie cicho i posłuchajcie.

Zaczynamy nasłuchiwać i do mnie dociera to natychmiast. Głuche dudniące niskie dźwięki zmieszane ze stłumionymi wysokimi tonami dochodzą z różnych miejsc na piętrach nad nami i pod nami.

Callie wzrusza ramionami.

- Mieszkają tu w większości młodzi ludzie, którzy nie żałują sobie decybeli.

Alan kiwa głową.

- To mamy wyjaśnione. Teraz punkt dwa. - Alan zatacza krąg ręką. - Oni musieli być mocno pobrudzeni krwią. Łazienka jest nieskazitelnie czysta, a to znaczy, że wymyli się tu na miejscu, a potem wyszorowali wszystko. - Odwraca się do Jenny. - Czy technicy sprawdzali przewody kanalizacyjne?

- Dowiem się. - Jej telefon komórkowy zaczyna dźwięczeć. Jenny podnosi go do ucha. - Chang. - Spogląda na mnie. - Naprawdę? Zaraz jej powiem.

- O co chodzi? - pytam.

- To mój kolega ze szpitala. Mówi, że Bonnie się odezwała. To było tylko jedno zdanie, ale on sądzi, że chciałabyś o tym wiedzieć.

- Co powiedziała?

- Powiedziała: „Chcę do Smoky”.

Jenny szybko dowiozła mnie do szpitala, nie zatrzymywała się ani razu. Przejeżdżała skrzyżowania na czerwonym świetle i z włączoną syreną. Przez całą drogę żadna z nas nie odezwała się słowem.

Stoję teraz przy łóżku Bonnie. Z dołu wpatrują się we mnie jej oczy. Znów uderza mnie jej ogromne podobieństwo do matki. To przedziwna sytuacja: dopiero, co patrzyłam, jak jej mama umiera, a teraz Bonnie spogląda na mnie jej oczami, jakby Annie ożyła, przybrawszy postać córki.

Uśmiecham się do niej.

- Powiedziano mi, że prosiłaś, bym była przy tobie, kochanie.

Kiwa głową, ale nic nie mówi. Zdaję sobie sprawę, że teraz nie wypowie już słowa. Nie patrzy tym szklanym, świadczącym o doznanym szoku wzrokiem, jak poprzednio, ale w jej oczach pojawiło się i zastygło na trwałe coś innego. Coś odległego, nieutulonego i ciężkiego.

- Bonnie, muszę spytać cię o dwie rzeczy, zgadzasz się?

Spogląda na mnie badawczo, z niepokojem. Ale kiwa głową.

- Tam było dwóch złych ludzi?

Strach. Jej wargi drżą, ale potwierdza.

- Dobrze, kochanie. Jeszcze tylko jedno pytanie i już więcej nie będziemy o tym mówić.

Czy widziałaś ich twarze?

Przymyka oczy. Przełyka ślinę. Kręci przecząco głową.

- Nie.

Wzdycham. Nie zdziwiło mnie to, ale jednak odczuwam zawód. Później o tym pomyślę. Ujmuję rączkę Bonnie w swoje dłonie.

- Przepraszam, kochanie. Prosiłaś, żebym do ciebie przyjechała. Nie musisz nic mówić, skoro nie możesz, ale daj mi jakoś znać, czego oczekujesz.

Bonnie wciąż spogląda w górę, jakby szukała czegoś w moich oczach. Jakiejś otuchy, gwarancji. Nie potrafię odczytać z wyrazu jej twarzy, czy ją znalazła, czy nie, ale w końcu ona potakuje głową.

Potem wyciąga ramię i bierze mnie za rękę. Czekam, lecz to już wszystko z jej strony. Zaczynam pojmować.

- Chcesz być ze mną?

Znowu kiwa głową.

Myśli jak burza przelatują mi przez głowę. Jestem przecież jeszcze niezdolna, by troszczyć się o samą siebie, a tym bardziej o to dziecko.

Prowadzę śledztwo, więc kto będzie nad nią czuwał? Myślę o tym, ale tak naprawdę to się nie liczy. Uśmiecham się i ściskam jej rękę.

- Mam tu coś bardzo ważnego do zrobienia, ale kiedy będę gotowa, by wrócić do San Francisco, przyjdę, by zabrać cię ze sobą.

Nadal patrzy mi w oczy. Wydaje się, że znalazła to, czego szukała. Ściska moją dłoń, potem puszczają, odwraca głowę na poduszce i przymyka powieki. Stoję jeszcze przez chwilę, patrząc w dół.

Kiedy wychodzę z tego pokoju, wiem, że coś w moim życiu ulega zmianie. Zastanawiam się, czy coś dobrego, czy złego. To jednak bez znaczenia. Jakie jest - dobre, złe czy obojętne - stanowi rzecz drugorzędną, bo tu chodzi o przetrwanie. Dla Bonnie i dla mnie sprawa ma taki właśnie wymiar.

Jedziemy z powrotem do komisariatu. Obie milczymy.

- A więc zdecydowałaś się, że ją weźmiesz? - przerywa w końcu ciszę Jenny.

- Nie ma nikogo oprócz mnie. Może ja także oprócz niej nie mam nikogo.

Jenny przetrawia moje słowa, uśmiech rozjaśnia jej twarz.

- To bardzo dobrze, Smoky. Naprawdę dobrze. Działamy w ramach określonego systemu adopcji, a ten system nie interesuje się dziećmi w jej wieku. Jest zbyt duża, by ją ktoś adoptował.

Odwracam się do niej, wyczuwam w jej słowach jakiś podtekst. Marszczę czoło, a ona posyła mi spojrzenie pełne napięcia. Wreszcie odpręża się i wzdycha z rezygnacją.

- Byłam sierotą. Moi rodzice zginęli, gdy miałam cztery lata i dorastałam w systemie. Nikt nie był wtedy zainteresowany adopcją chińskiego dziecka.

Jestem zaskoczona.

- Nie miałam o tym pojęcia.

Jenny wzrusza ramionami.

- To nie jest sprawa do rozgłaszania, no wiesz, w stylu: „cześć, jestem Jenny Chang i byłam sierotą”. Nie lubię o tym mówić. - Jej spojrzenie zdradza, że dotyczy to także tej chwili. - Ale powiem ci jedno: postępujesz dobrze, robisz coś bardzo czystego.

Wiem, że ona ma rację.

- Też tak czuję. Annie powierzyła ją mojej opiece, w każdym razie tak słyszałam. Nie widziałam jej testamentu. Czy to prawda, że on pozostawił go przy ciebie Annie?

- Tak. Jest w teczce sprawy.

- Czytałaś go?

- Owszem. - Jenny znów milknie. - Powierzyła wszystko tobie, Smoky. Bonnie jest prawdziwą spadkobierczynią, ale ciebie uczyniła powiernikiem i wykonawcą swojej ostatniej woli. Musiałyście się naprawdę przyjaźnić.

Czuję bolesne ukłucie wewnątrz.

- Była moją najlepszą przyjaciółką od czasów szkoły średniej.

Teraz Jenny milknie na dłużej. Kiedy w końcu się odzywa, wyrzuca z siebie tylko dwa słowa, ale jest w nich wszystko.

- Pieprzyć to.

„Pieprzę to, pieprzę ten świat i niesprawiedliwość, to, co zdarzyło się tobie i twojej córce, i wszystkim zabitym dzieciom. W ogóle pieprzę to wszystko, dopóki nie uda nam się tego pogrzebać, obrócić w proch, a ten proch nie ulegnie unicestwieniu”. To chce mi powiedzieć w tych dwóch słowach.

- Dzięki - odpowiadam z wdzięcznością.

- Chcesz pełną wersję czy skrót? Alan otwiera teczkę zawierającą raport z autopsji.

- Skrót proszę.

- To są najważniejsze ustalenia: zabójca, lub zabójcy, zgwałcił ją przed śmiercią i po śmierci. Kroił ją, albo kroili, ostrym narzędziem, zanim umarła; większość z zadanych obrażeń nie była śmiertelna. Tortury.

Ruchem głowy daję mu znak, by czytał dalej.

- Przyczyną śmierci było wykrwawienie się na skutek przecięcia żyły szyjnej. - Alan patrzy na kartkę dokumentu. - Gdy umarła i zabawiali się jej ciałem, rozcięli ją. Usunęli organy wewnętrzne, powkładali je w plastikowe torebki, które pozostawili obok zwłok. Wszystkie organy. Doliczono się wszystkich oprócz wątroby.

- Prawdopodobnie zabrali ją ze sobą - James przerywa ciszę, która zapada po tych słowach.

- Albo ją zjedli.

Staram się ukryć dreszcz, słysząc to. Jestem pewna, że on ma rację.

- Badanie ran wykazało, że mogły być zadane skalpelem. To by się zgadzało z opinią lekarza sądowego, że usunięcia organów dokonano bardzo wprawnie. Nie tylko od strony chirurgicznej, ten, kto to zrobił, wiedział, gdzie znajdują się poszczególne części i jak wydobyć je bez uszkodzenia. Jelito grube i cienkie na przykład, ale rozdzielili je na ich części składowe. Trzy w wypadku jelita cienkiego, cztery w wypadku grubego.

Zastanawiam się chwilę nad tą informacją.

- Czy on, przepraszam, czy oni spreparowali jakiś inny organ w ten sam sposób?

Alan sprawdza raport i zaprzecza ruchem głowy.

- Nie. - Spogląda na mnie. - Chcieli się najwyraźniej popisać, pokazać, co potrafią.

- To dobrze - mówię z zadowoleniem. Leo patrzy na mnie z niedowierzaniem.

- Dobrze? Jak to? - pyta. Alan odpowiada mu za mnie:

- To dobrze, ponieważ łapiemy takich facetów dzięki temu, że popełniają błędy. Jeśli się popisują, to znaczy, że sam akt mordu nie satysfakcjonuje ich w pełni. Chcą także wzbudzić w nas zainteresowanie. A to oznacza, że nie będą działali tak ostrożnie, jak by mogli lub powinni. Jest, więc większe prawdopodobieństwo, że popełnią błędy.

- Mówiąc prościej, dzieciaku - mówi Callie - wynika stąd, że będą nawet jeszcze większymi świrami, niż zazwyczaj bywają takie typy. A to zwiększa nasze szanse na to, że im się powinie noga.

- Jasne.

Leo jest poruszony i musi przetrwać to, co usłyszał. Rozumiem go. Gdy się słyszy o preparowaniu ludzkich organów przez dwóch psychopatów wyłącznie dla satysfakcji, trudno się z tym pogodzić i przejść nad tym ot tak do porządku dziennego. Leo zastanawia się prawdopodobnie, czy zdoła się z tym pogodzić.

- Po usunięciu organów wewnętrznych - kontynuuje Alan - pozostawili ciało otwarte i przywiązali Bonnie do zwłok. - Zamyka teczkę. - Nie znaleziono żadnych śladów spermy, ale w pochwie są ślady lateksu. Użyli prezerwatyw, żeby nie zostawić swojego DNA.

- Nie znaleziono niczego więcej, żadnych włosów ani odcisków palców. Ani na ciele, ani wewnątrz ciała. To tyle.

- Co z tego wszystkiego wynika?

James wzrusza ramionami.

- Jest jeszcze coś. Nie było żadnych przypadkowych ran. Nie wahali się. Kiedy przystąpili do rozcinańcia ciała, działali z premedytacją i dużą pewnością siebie. Jeden z nich może mieć doświadczenie medyczne zdobyte podczas wykonywania praktyki lekarskiej. Myślę, że to jest prawdopodobne.

- Albo mieli za sobą bogatą praktykę - mruczy Callie.

- Co jeszcze wiemy?

Alan wyciąga notes i długopis. To stanowi element naszego dawno ustalonego porządku. Alan jest już gotów, żeby zanotować każdą godną uwagi użyteczną myśl i refleksję.

- Wiemy, że są to dwaj mężczyźni, obaj biali - mówi Callie. - Jeden ma prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, drugi kilka centymetrów mniej. Obaj sprawni fizycznie.

Głos zabiera Alan:

- Są ostrożni. Znają zasady transferencji i podjęli odpowiednie środki, żeby uniknąć jej skutków. Nie ma żadnych włosów, naskórka, nie ma śladów spermy.

- Ale nie są tak sprytni, jak im się wydaje - zauważam. - Mamy odciski palców spod łóżka. I wykryliśmy, że jest ich dwóch.

- To jest problem, zgodzisz się? - mówi Alan ironicznym tonem. - Jeśli rzeczywiście rozumieją, co to jest transferencja, powinni wiedzieć, że zawsze są jakieś potknięcia.

Alan nawiązuje do zasady Locarda. Doktor Edmund Locard jest uważany za ojca nowoczesnej ekspertyzy w medycynie sądowej. Znamy na pamięć tę zasadę. Gdy dwa przedmioty stykają się ze sobą, zawsze następuje przepływ substancji z jednego do drugiego. Tej substancji może być niewiele lub dużo, może być trudna do wykrycia, lecz można mieć pewność, że takie przeniesienie nastąpi i obowiązkiem zespołu śledczego jest zebranie wszelkiego materiału, bez względu na to, ile go można znaleźć. Na tej podstawie musimy udowodnić transferencję.

Nasi zabójcy byli ostrożni. Świadczy o tym brak nasienia. Dowodzi to zachowywania kontroli nad sobą. Gdy pojawiły się masowo wydawane powieści kryminalne, programy telewizyjne o zbrodniach oraz HIV, gwałciciele zaczęli częściej używać prezerwatyw. Ale nadal są to rzadkie przypadki. Gwałt to seksualna przemoc. Gwałciciel ceni sobie intensywność doznań, jakich mu dostarcza akt płciowy tego typu. Prezerwatywa ogranicza te doznania, a w pewnym sensie i przemoc. Jack Junior i jego towarzysz użyli jednak prezerwatyw i potwierdzili w ten sposób opinię Alana o nich.

- Wiemy, że nie są doskonali - mówi James. - Ich pierwsza słabość: popisują się i usiłują z nas szydzić. To zwiększa ryzyko i stwarza możliwość, że w którymś momencie coś spieprzą.

- Słusznie. Co jeszcze?

- Przynajmniej jeden z nich jest dobry technicznie - odzywa się Leo. - To znaczy montaż komputerowy nie jest dziś jakąś nadzwyczajną sztuką. Ale sposób, w jaki ten jest zrobiony, wskazuje na osobę o sporej wiedzy. Przeciętny użytkownik komputera nie od razu by sobie z tym poradził.

- Zakładamy, że mieszkają w Los Angeles, zgadza się? - dodaje Callie.

Wzruszam ramionami.

- Tak zakładamy. Ale to tylko przypuszczenie, nie wiemy tego na pewno. Wiemy, kim mają być ich ofiary. Powiedział, że ma zamiar ścigać takie osoby jak Annie. - Odwracam się do Lea. - Jak on nazwał ją w tym liście?

- Współczesną kurwą z infostrady.

- No, a skoro mowa o „takich kobietach”, jaka liczba tu wchodzi w grę?

Leo się krzywi.

- Tysiące, jeśli weźmiemy pod uwagę całe Stany. Być może koło tysiąca, nawet, jeśli ograniczymy się tylko do Kalifornii. To zresztą nie jedyny problem. Każda dziewczyna mająca erotyczną witrynę internetową jest potencjalnie samodzielnym przedsiębiorcą. Niektóre działają pod patronatem pośredniczących firm, mnóstwo ma taki status jak pani przyjaciółka. Same projektują i prowadzą swoje witryny. To jednoosobowe przedsiębiorstwa, zatrudniające jednego pracownika. Nie figurują w żadnej izbie handlowej. Serwer prowadzi indeks takich stron, ale nie są w żadnym konsorcjum.

Zamyślam się nad tą niepomysłną informacją. Coś przychodzi mi do głowy.

- Masz rację, ale możemy podejść do tego w taki sposób: zamiast przyglądać się wszystkim działającym w branży, poszukajmy miejsc, w których zabójcy mogli znaleźć Annie. Powiedziałeś, że istnieją indeksy takich stron, prawda?

Leo potwierdza.



- To niemożliwe, żeby on bywał na każdej z nich. Poszukamy takich, na których się pojawia, potem ograniczymy się tylko do tych kobiet, które na nich figurują.

Leo tym razem nie zgadza się ze mną.

- To nie takie proste. Jeśli znaleźli ją za pomocą wyszukiwarki, jakie słowo do niej wpisali? Poza tym większość właścioelek takich jak Annie King zamieszcza w witrynie stronę z linkami do ich strony głównej. Na tych skromnych stronach możemy zobaczyć pojedyncze zdjęcie. Coś w rodzaju: „Spróbuj, jak smakuje towar, jeśli próbka ci odpowiada, odwiedź mój sklep”. Mogli znaleźć także jedną z takich stron.

- Nie mówiąc już o tym, że mogli ją znaleźć dzięki tobie, Smoky.

Callie wypowiada te słowa z wyraźną niechęcią. Daję jej znać wzrokiem, że się z nią zgadzam. Potem wzdycham z rezygnacją.

- A więc poszukiwania w sieci zaprowadzą nas do nikąd?

- Nie jest tak źle - odpowiada Leo. - Jedyne miejsce, gdzie warto szukać, to lista jej subskrybentów. Ludzi, którzy płacili za oglądanie tego, co oferowała tylko swoim gościom.

Zaczynam nadstawiać ucha. Alan przytakuje.

- Racja, racja - mówi. - Tak się łapie drani od pornografii dziecięcej.

Leo uśmiecha się do niego.

- Aha. Są liczne przepisy i nadzór, gdy chodzi o płacenie kartami kredytowymi w sieci. Prowadzone są dosyć dokładne rejestry. Co więcej, większość procesorów ma wbudowane narzędzia do kontroli adresów. Ten na zgłoszeniu musi się zgadzać z adresem właściciela karty kredytowej.

- Czy wiemy, jak wielu subskrybentów miała Annie?

- Jeszcze nie, ale nie będzie trudno dojść do tego. Będziemy musieli zdobyć nakaz sądowy. Większość z tych firm bardzo chętnie współpracuje z policją. Nie spodziewam się żadnych trudności.

- Chcę, żebyś się tym zajął, kiedy wrócimy do Los Angeles - zwracam się do Lea. - Alan pomoże ci w uzyskaniu nakazu. Postaraj się o listę i zacznij ją przeglądać. Chcę też, żebyś dokładnie sprawdził jej komputer. Szukaj czegokolwiek, co mogłoby stanowić dla nas jakiś trop. Może coś zapisała?

- Słusznie, zajmę się też jej skrzynką. Właściciel portalu, u którego miała wykupioną witrynę, może mieć zachowane jakieś ostatnie e-maile od niej, których nie ma już w jej komputerze.

- Dobrze.

- Jest jeszcze coś innego - mówi Jenny. - Zadali sobie wiele trudu, by ukryć przed nami udział drugiego faceta.

- Może liczyli na to, że to nas wprowadzi w błąd także później - odpowiadam. - Nie wiem, nie zastanawiałam się nad tym. - Kręcę głową. - Sprawa najważniejsza: mamy coś, od czego możemy zacząć, odciski palców. - Zwracam się do Callie. - Co z nimi zrobimy?

- Chcę je sprawdzić w AFIS, gdy już skończymy robotę tutaj i wrócimy do Los Angeles. W ciągu kilku minut zostaną porównane z milionami odcisków, więc to już tylko kwestia godzin.

Jej słowa wywołują ogólne poruszenie. Powód jest prosty. Automatyczny System Identyfikacji Odcisków stanowi wspaniałe narzędzie. Jeśli szczęście nam dopisze, znajdziemy naszego faceta bardzo szybko.

- Weź się do tego od razu.

- Do czego doszliście, ty i James? Czego jeszcze dowiedzieliście się o nich? - pyta Callie.

- Tak, tak, posłuchajmy - mruczy Alan.

Oboje patrzą na mnie wyczekująco.

Wiedziałam, że o to zapytają. Zawsze to robią. Jechałam ciemnym pociągiem i widziałam potwory, przynajmniej jednego z nich. Callie i Alan chcą wiedzieć, co zobaczyłam.

- To wszystko opiera się na odczuciach i domysłach - mówię.

Alan wykonuje lekceważący gest.

- Oczywiście, zawsze tak samo, kiepskie dementi. Po prostu powiedz nam wszystko.

Uśmiecham się do niego, odchylam głowę i wbijam wzrok w sufit. Przemykam oczy i zbieram w sobie siły. Wtulam się w to, łowią ten zapach.

- Na razie to amalgamat. Jeszcze nie oddzieliłam ich od siebie. Są... bystrzy, inteligentni. Bardzo inteligentni. Nie muszą tego udawać. Myślę, że przynajmniej jeden z nich ma wyższe wykształcenie. - Rzucam okiem na Jamesa. - Być może akademia medyczna? - James przytakuje. - Działają w sposób przemyślany. Planują akcje precyzyjnie. Musieli spędzić wiele godzin na studiowaniu zagadnień z zakresu medycyny sądowej, więc dopilnowali, by nie pozostały po nich żadne ślady. To dla nich bardzo istotna sprawa. Jack Ripper był jednym z najsłynniejszych seryjnych morderców wszechczasów. Dlaczego? Z prostego powodu - nigdy go nie złapano. On szedł pod wieloma względami idąc za jego przykładem, naśladują go. On szedł z policji, więc oni kpią sobie z nas. Jego ofiarami były prostytutki, więc oni polują na kobiety, które - według nich - są ich współczesną odmianą Będa i inne analogie.

- Ich problemem jest narcyzm - wtrąca James.

Przytakuję.

Charlie marszczy brwi.

- Co przez to rozumiecie?

- Spójrz na to w ten sposób: kiedy prowadzisz samochód, czy myślisz o tym?

- Nie, po prostu jadę.

- Właśnie. Ale dla Jacka Juniora i jego towarzysza to za mało. Oni się muszą jeszcze zachwycać tym, jak wspaniale prowadzą. Ten typ narcyzmu, kiedy się podziwia swoje dzieło, w czasie, gdy się je wykonuje... - Wzruszam ramionami. - Kiedy przyglądasz się temu, jak prowadzisz, nie skupiasz się w pełni na tym, co się dzieje na drodze.

- I stąd odciski palców pod łóżkiem - mówi James. - To poważna obsuwa. Nie mówimy o włosach albo nitkach. Mówimy o pięciu pięknych odciskach palców. Za wiele uwagi poświęcali podziwianiu swoich wyczynów, by działać bezbłędnie.

- Teraz kapuję - odpowiada Charlie.

- Wiecie, kiedy mówiłam, że oni tworzą zlepek, nie miałam w pełni racji. - Zaciskam usta, zastanawiam się. - Jack Junior, jak sądzę, jest w tym składzie indywidualnością. Jego rola jest zbyt ważna, by się nią dzielić. - Spoglądam na Jamesa. - Zgadzasz się?

- Tak.

- Kim w takim razie jest ten drugi facet? - pyta Alan.

- Tego jeszcze nie wiem. Może uczniem? - Kręcę głową. - Kimkolwiek jest Jack Junior, to on dominuje w tym układzie.

- Tak jak zawsze było w naszych „zespołach dwójkowych” - mówi Callie.

- Zgadza się. A więc wiemy, że oni są inteligentni, precyzyjni i narcystyczni. Ale jest coś, co czyni ich wyjątkowo niebezpiecznymi - ich pragnienie popełnienia przestępstwa. Stanowcze, odrażające działanie nie stwarza dla nich problemu. Dla nas to okoliczność niekorzystna, ponieważ oznacza, że działają w sposób prosty. Pukają, wpadają do środka, zamykają drzwi, opanowują sytuację. A, B, C, D. Coś takiego to nie żaden wrodzony talent. Możliwe, że jeden z nich, a może obaj mają za sobą służbę w wojsku lub w policji. W jakiejś organizacji, która nauczyła ich podporządkowywania sobie innych ludzi.

- Mają prawdziwe upodobanie do gwałtu i zbrodni.

- Czy to nie jest oczywiste? - pyta Jenny.

- Nie. Czasem zdarza się, że zabójca próbuje ukryć zwyczajne zabójstwo, stwarzając sugestię, iż to kolejne z seryjnych morderstw. Ale to, co zrobili Annie, jak to zrobili... było czymś realnym. Oni są autentyczni.

- Mamy tu do czynienia z dwoistą wiktymologią - mówi James.

Charlie wzdycha.

- Chcesz powiedzieć, że obierają nas za cel ataku tak samo jak kobiety, na które polują?

James przytakuje ruchem głowy.

- Jasne. W tym przypadku wybór ofiary był dobrze przemyślany. Annie King odpowiadała zabójcom z dwóch względów. Prowadziła internetową stronę tylko dla dorosłych i była przyjaciółką

osoby należącej do zespołu dochodzeniowego. Włożyli wiele wysiłku w to, żeby zwrócić na siebie twoją uwagę, Smoky.

- No i to im się udało. - Dokonuję w myślach szybkiego przeglądu sytuacji, przypominam sobie punkt po punkcie nasze ustalenia i sugestie. - Sadzę, że powiedzieliśmy sobie już wszystko. Nie zapominajcie o najważniejszej rzeczy, o jakiej wiemy na dziś o tych typach.

- O czym? - pyta Leo.

- O tym, że zamierzają zrobić to ponownie. I będą to robili dopóty, dopóki ich nie złapiemy.

Jenny podwozi mnie do szpitala, bym mogła sprawdzić, co się dzieje z Bonnie, podczas gdy pozostali członkowie zespołu będą wykonywać wyznaczone zadania.

Dochodzimy do drzwi jej pokoju, czuwający przy nich policjant trzyma w dłoni szarą kopertę.

- To przyniesiono dla pani, agentko Barrett.

Wyczuwam od razu, że coś jest nie tak. Dlaczego ktokolwiek miałby podrzucić coś dla mnie właśnie tutaj? Wyrrywam mu z ręki kopertę. Na szarym papierze wypisano wielkimi drukowanymi literami krótki adres Uwaga: Dla Agentki Specjalnej Barrett.

Jenny piorunuje wzrokiem policjanta.

- Chryste Panie! Jim! Rusz głową!

Ona już zrozumiała. Do Jima dociera to trochę wolniej. Wiem, w którym momencie zorientował się, o co chodzi, jego twarz blednie gwałtownie.

- O, cholera jasna!

Oddaję mu sprawiedliwość. Natychmiast zrywa się z krzesła, skacze do pokoju Bonnie i otwiera je z ręką na kolbie pistoletu. Wpadam tuż za nim do środka i czuję obezwładniającą ulgę, widząc, że Bonnie śpi i jest bezpieczna. Popycham policjanta z powrotem na korytarz. Gdy oboje jesteśmy już na zewnątrz, odzyskuje mowę.

- To był prawdopodobnie zabójca, tak?

- Tak, Jim - odpowiadam. - Prawdopodobnie to on.

Wypowiadam te słowa bez złości, brak mi na to w tym momencie energii. Mówię spokojnym, znużonym tonem. Jenny nie ma tego problemu. Dźga go palcem w pierś z taką siłą, że Jim krzywi się mimo woli z bólu.

- Spieprzyłeś sprawę! I cholernie mnie to wkurza, bo wiem, że jesteś dobrym gliną. Wiem i dlatego specjalnie prosiłam, żebyś to ty tutaj czuwał. Miałam pewność, że będziesz kimś więcej niż kukłą siedzącą pod drzwiami.

Jenny jest więcej niż wkurzona, jest wściekła. Jim, ze swojej strony, przyjmuje tę reprimendę bez najmniejszych oznak urazy, nie próbuje się w ogóle usprawiedliwić.

- Ma pani rację, detektywie Chang, nie mam nic na swoją obronę. Kopertę przyniosła pielęgniarka z recepcji. Zauważyłem nazwisko agentki Barrett, ale nie skojarzyłem tego tak, jak powinienem, nie dostrzegłem żadnego związku. Wróciłem do czytania gazety. - Ma minę

winowajcy i prawie mi go żal. Prawie. - Cholera. Poddałem się rutynie, moja czujność osłabła i to są skutki. Zachowałem się jak nowicjusz albo jeszcze gorzej. Cholera, jasna cholera!

Teraz, gdy on tak bardzo się kaja, Jenny też wydaje się nieco ułagodzona. Jej następne słowa brzmią bardziej pojednawczo.

- Jesteś dobrym policjantem, Jim. Znam cię. Będziesz pamiętał ten obciach do końca życia. I powinieneś go pamiętać, dzięki temu na pewno nie pozwolisz, żeby coś takiego zdarzyło ci się jeszcze raz. - Jenny wzdycha. - Poza tym swój podstawowy obowiązek wypełniłeś. Zapewniłeś dziecku bezpieczeństwo.

- Dziękuję, pani porucznik, ale nie czuję się przez to ani trochę lepiej.

- Kiedy ci doręczono tę kopertę?

Jim się zastanawia.

- Chyba... jakieś półtorej godziny temu... Tak, dyżurna pielęgniarka przyniosła ją tutaj i powiedziała, że wręczył jej to jakiś facet. Pomyślała, że ja mogę przekazać ją pani.

- Idź i dowiedz się szczegółów. Kto to przyniósł, jak wyglądał i tak dalej.

- Tak jest, proszę pani.

Jim się oddala, a ja patrzę na kopertę.

- Trzeba zajrzeć do środka - mówię.

Otwieram ją. W środku jest plik papierów spiętych razem. Na pierwszej stronie dostrzegam nagłówek: POZDROWIENIA, AGENTKO BARRETT. To mi na razie wystarcza. Spoglądam na Jenny.

- To od niego. Od nich.

- Niech to szlag!

Dłonie mam trochę spocone. Wiem, że muszę przeczytać wszystko, ale boję się kolejnych rewelacji tego mordercy. Wzdycham i wyciągam całą zawartość koperty. List znajduje się na samym wierzchu.

*Pozdrowienia, Agentko Barrett.*

*W tym momencie, jak sobie wyobrażam, jesteście na półmetku, ty i twój zespół. Czy dobrze się bawiliście, oglądając wideo? Myślę, że dobrałem naprawdę odpowiednią muzykę.*

*Jak się czuje mała Bonnie? Czy krzyczy i płacze, czy po prostu milczy? Zastanawiam się nad tym od czasu do czasu. Proszę, przekaż jej moje „cześć”.*

*Większość moich myśli zaprzęta oczywiście twoja osoba. Jak przebiega rekonwalescencja, agentko Barret? Wciąż jeszcze sypiasz nago? Ta paczka papierosów nadal leży na twoim nocnym*

*stoliku po lewej stronie łóżka? Byłem tam i muszę powiedzieć, że gadasz naprawdę głośno przez sen.*

- O, jasna cholera - szepcze Jenny. Podaję jej papiery.

- Potrzyмай to na chwilę.

Jenny bierze ode mnie plik papierów. Biegnę do najbliższego pojemnika na śmieci i zwracam wszystko, co miałam w żołądku. Chryste! Byli wewnątrz mojego domu! Przyglądali mi się, kiedy spałam! Wstrząsa mną dreszcz przerażenia. Potem przeszywa mnie dławiące uczucie naruszenia mojej prywatności, najbardziej intymnego obszaru. Potem budzi się we mnie gniew. Ale pod tymi emocjami wciąż skrywam strach. W głowie zapala mi się jedna myśl: to może się zdarzyć raz jeszcze! Nie mogę powstrzymać drżenia, walę pięścią w brzeg pojemnika. Wycieram usta grzbietem dłoni i powracam do Jenny.

- Dobrze się czujesz?

- Nie. Ale skończmy z tym.

Jenny oddaje mi list. Kartka drży w moich rękach, gdy czytam dalej:

*Mathew i Alexa, jaka szkoda. Ty, samotna w tym domu podobnym do statku widma, patrząca na swoje oszpecone ciało w lustrze. Jakie to smutne.*

*Moim zdaniem, z bliznami jesteś piękniejsza, choć wiem, że w to nie uwierzysz. Powiem ci coś, co ci pomoże, tylko ten jeden raz, agentko Barrett. Blizn nie należy się wstydzić. One są oznaką twardości, siły charakteru.*

*Być może będziesz próbowała zrozumieć, czym się kieruję, ofiarowując ci pomocną dłoń. Powód jest taki, że lubię uczciwą grę. I chcę, żeby ta gra była naprawdę fascynująca. Jest na świecie wielu stróżów prawa, którzy mogliby mnie umiejętnie ścigać, ty jesteś najlepsza wśród nich.*

*Kosztowało mnie mnóstwo starań i wysiłków upewnienie się, że wróciłaś do gry. Pozostała w tobie jeszcze tylko jedna rana do zaszycia. Myśliwemu potrzebna jest broń, agentko Barrett, a ty nie potrafisz tknąć swojej. Musimy to naprawić, aby wyrównać szanse w grze. Przejrzyj, proszę, parę załączonych informacji, w których znajdziesz najgłębszą przyczynę twoich trudności. Gdy je przeczytasz, może powstać w tobie kolejna blizna, ale nie zapominaj: blizna jest zawsze lepsza niż otwarta rana.*

*Z piekła*

*Jack Junior*

Biorę następną kartkę. Wystarcza mi tylko parę sekund, bym zrozumiała, co miał na myśli. Wokół mnie wszystko pogrąża się w głuchej ciszy. Widzę, że Jenny coś mówi, ale nie słyszę jej

słów. Jest mi zimno i robi się coraz zimniej. Szczękam zębami, trzęsę się i świat zaczyna odjeżdżać | gdzieś w bok. Serce mi wali coraz szybciej i szybciej. Nagle odzyskuję słuch. Dźwięki powracają jak uderzenie pioruna. Wciąż jest mi przeraźliwie zimno.

- Smoky! Jezu! Doktorze!

Słyszę ją, ale teraz nie mogę mówić. Nie potrafię powstrzymać szczękania zębów. Widzę, jak doktor podbiega do mnie. Dotyka dłonią mojej głowy, zagląda w oczy.

- To pełnoobjawowy szok - stwierdza. - Połóżmy ją płasko na podłodze. Niech jej pani podniesie wysoko stopy. Siostró!

Jenny pochyla się nade mną.

- Smoky! Odezwij się!

Bardzo bym chciała, Jenny. Ale jestem zamrożona, wszystko wokół jest zamrożone, słońce też. Wszystko i wszyscy są śmiercią, są martwi albo umierają.

Bo on miał rację. Przeczytałam ten dokument i przypomniałam sobie. To jest raport balistyczny. Fragment, który on zakreślił dla mnie, brzmi: „Badania balistyczne dowiodły ponad wszelką wątpliwość, że pocisk wydobyty z ciała Alexy Barrett został wystrzelony z broni agentki Smoky Barrett”.

Zastrzeliłam moją córkę.

Do moich uszy dociera jakiś zdumiewający odgłos, uświadamiam sobie, że to ja go wydaję. Jest to wrzask, który wybiega mi z gardła jako niski, buczący dźwięk, następnie wznosi się oktawą za oktawą, aż wreszcie staje się tak wysoki, że byłby w stanie spowodować pęknięcie szkła. I w tej postaci zawisa w powietrzu jak vibrato operowego śpiewaka. Wydaje się, że będzie rozbrzmiewał wiecznie.

Teraz wszystko pochłania czerń. Bogu dzięki.



Budzę się na szpitalnym łóżku, widzę Callie pochylającą się nade mną. Oprócz niej nie ma w pokoju nikogo. Patrzę w twarz Callie i od razu wiem, dlaczego tak jest.

- Wiedziałaś, prawda?

- Tak, skarbie - odpowiada. - Wiedziałam.

Odwracam twarz. Tak apatyczna, tak wycieńczona nie czułam się od czasu, gdy obudziłam się w szpitalu po tamtej nocy z Sandsem.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Nie wiem, czy w moim głosie jest gniew. Nie obchodzi mnie to.

- Doktor Hillstead prosił mnie, bym o tym z tobą nie rozmawiała. Uważał, że jeszcze na to za wcześnie. Uznałam, że ma rację i nadal tak uważam.

- Naprawdę? Myślisz, że tak cholernie dobrze mnie znasz?

Słyszę, jak brzmi mój głos. Jest w nim gniew, pałący, jadowity. Callie nawet się nie obrusza.

- Wiem tyle: Jesteś nadal żywa. Nie włożyłaś sobie lufy pistoletu w usta i nie pociągnęłaś za spust. Nie, wcale nie żałuję, że tak postąpiłam, złotko. To nie znaczy, że mnie to nie bolało, Smoky - dodaje szeptem. - Kochałam Alexę, dobrze o tym wiesz.

Patrzę na nią i mój gniew odpływa.

- Nie mam ci tego za złe. Może i miał rację.

- Czemu to mówisz, złotko?

Wzruszam ramionami. Jestem taka zmęczona, bardzo zmęczona.

- Ponieważ teraz wszystko sobie przypominam. Ale mimo to nie chcę umierać. - Kulę się w sobie, bo przenika mnie nagły ból. - I odczuwam to jako wielką zdradę, Callie. Jakby to, że chcę żyć, znaczyło, że nie kochałam ich dostatecznie.

Widzę, że mocno ją zabolęło to, co powiedziałam. Moja Callie, moja nieprzejmująca się niczym królowa, z którą mogłabym iść na koniec świata, wygląda teraz, jakbym trzasnęła ją w twarz lub zadała jej cios w serce.

- No cóż - mówi po dłuższej przerwie - to nie tak. To oznacza tylko tyle, że ty żyjesz, a oni żyć przestali.

Odnotowuję tę głęboką uwagę do późniejszego przemyślenia.

- Śmieszne, prawda? Zawsze potrafiłam trafić do wybranego celu. Przychodziło mi to łatwo, wprost naturalnie. Pamiętam, że mierzyłam w jego głowę, ale on okazał się piekielnie szybki. Poderwał Alexę z łóżka i zasłonił się nią. Strzeliłam w nią zamiast w niego. Patrzył mi prosto w

oczy, gdy to się stało. - Krzywię się. - Wiesz, wyglądał na zaskoczonego. Po tym wszystkim, co zrobił, miał na twarzy taki wyraz, jakby przez chwilę myślał, że posunął się za daleko. Wtedy go zastrzeliłam.

- Naprawdę pamiętasz tę scenę, Smoky? Marszczę brwi.

- O co ci chodzi?

Callie uśmiecha się smutno.

- Nie zastrzeliłaś go tak po prostu, złotko. Naszpikowałaś go kulami. Wpakowałaś w niego cztery magazynki i ładowałaś piąty do pistoletu, kiedy cię powstrzymałam.

Wracam pamięcią do tamtej nocy.

Zgwałcił mnie, pociął nożem. Matt już nie żył. Płynęłam na falach bólu, na przemian tracąc i odzyskując przytomność. Wszystko było takie surrealistyczne. Jakbym była pod wpływem narkotyku. Albo miała kaca, jakiego doznajemy po zbyt długiej popołudniowej drzemce.

Miałam uczucie, że sytuacja jest krytyczna, ale wszystko docierało do mnie jakby przez miękką gazę. Musiałabym brnąć przez gęstą ciecz, żeby do niego dotrzeć.

Sands pochylał się do przodu, przysuwając swoją twarz blisko mojej. Czułam na policzku jego oddech, był nienaturalnie gorący. Jakaś lepka plama schła na mojej piersi. Moim ciałem wstrząsały dreszcze.

- Rozwiążę ci teraz ręce i stopy, słodka Smoky - szepnął mi do ucha. - Chcę, żebyś dotknęła mojej twarzy, zanim umrzesz.

Oderwałam oczy od niego, zaczęły mi uciekać w głąb czaszki, odpływam. Odzyskuję świadomość i czuję jego dotyk na rękach, kiedy je rozwiązuje. Opadam znów na fali w dół, w ciemność. Wypływam, on manipuluje przy moich stopach. Falowanie - ze światła w ciemność, z ciemności do światła.

Znów odzyskuję przytomność, on wciąż jest przy mnie, przywiera do mojego boku. Jest nagi i czuję jego stwardniały członek. Lewą ręką ciągnie mnie za włosy, odginając mi głowę do tyłu. Prawą położył na moim brzuchu, trzyma w niej nóż. Znów ten oddech, kwaśny, gorący.

- Czas się rozstać, kochana Smoky - szepcze. - Wiem, że jesteś zmęczona, ale musisz zrobić jeszcze jedną rzecz, zanim zaśniesz. - Jego oddech staje się szybszy, nabrzmiały członek porusza się po moim boku, wbija w moje biodro. - Dotknij mojej twarzy.

Sands ma słuszość. Jestem zmęczona. Cholernie zmęczona. Chcę tylko zapaść się w ciemność. Niech stanie się to, co ma się stać. I niech się to wszystko wreszcie skończy. Czuję, jak moja dłoń sunie w górę, by spełnić jego ostatnie życzenie... I wtedy dociera do mnie ten krzyk.

- Mamusiu! - woła Alexa. W jej głosie jest śmiertelne przerażenie. Jej rozpaczliwy krzyk chłósze moją twarz.

- Callie, on powiedział nam, że Alexa nie żyje - szepczę w szpitalnym pokoju. - Powiedział, że najpierw zabił ją. Usłyszałam jej krzyk, skłamał, i wiedziałam. Wiedziała! Zamierzał pójść do niej, gdy skończy ze mną. - Jeszcze teraz zaciskam pięści, kiedy sobie to przypominam, znowu drzę z przerażenia i gniewu.

To, co robił, było bombą zdetonowaną wewnątrz mnie. Wybuchłam. Smok wypełził gdzieś ze środka moich wnętrzności i ryczał, ryczał, ryczał nieprzerwanie.

Trzasnęłam Sandsa w twarz ze wszystkich sił, poczułam, że jego nos chrupnął trafiony kantem mojej dłoni. Stęknął, a ja zerwałam się z łóżka i skoczyłam do nocnej szafki, w której przechowywałam pistolet. Sands był szybki jak dzikie zwierzę. Nie tracił ani chwili, sturlał się na podłogę i wypadł z sypialni. Usłyszałam jego stopy uderzające o twardą podłogę przedpokoju - biegł do Alexy.

Zaczęłam krzyczeć. Czułam się ogarnięta płomieniami. Wszystko we mnie było rozżarzone do białości. Zalewała mnie adrenalina. W tym całym koszmarze czas się zmienił. Przyspieszył swój bieg i pędził szybciej niż myśl.

Trzymałam w dłoni pistolet i mknęłam przez przedpokój, raczej długimi susami niż krokami. I byłam cholernie szybka, bo gdy on tylko skręcił ku drzwiom do jej pokoju, znalazłam się tuż przy nich i ją zobaczyłam. Leżała na łóżku z rozluźnionym kneblem zwisającym wokół szyi. Dobra dziewczynka - pamiętam, że tak pomyślałam.

- Mamusiu! - krzyknęła ponownie, miała szeroko rozwarte oczy, czerwone policzki, łzy spływały po nich strumieniami. Smok wychylił się z moich i trzewi, bez wahania uniosłam broń i wymierzyłam w jego głowę... Potem było już tylko przerażenie. Przerażenie, które będzie trwało wiecznie. Piekło na ziemi.

Krzyczę, więc, krzyczę, krzyczę, będę już wiecznie krzyczała, nigdy nie przestanę. Piekło na ziemi. Strzelam do Sandsa, jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze. Postanowiłam, że będę strzelać do niego, aż zabraknie mi amunicji, a potem...

- O Jezu, Callie - łzy napływają mi do oczu. - Jezu, Jezu, tak mi przykro... przepraszam.

Callie bierze mnie za rękę i uspokaja:

- Tym się nie przejmuj, Smoky. - Ścisła mi dłoń tak mocno, że to boli. - Mówię szczerze. Nie byłaś w tym momencie w pełni normalna.

Pamiętam, usłyszałam, jak Callie wpada na korytarz, zobaczyłam ją wchodzącą do pokoju z pistoletem w ręku. Pamiętam, jak ruszyła w moją stronę, zachowując przesadną ostrożność, jak mówiła mi, żebym puściła broń. Jak wrzasnęłam na nią, a ona szła w moim kierunku. Wiedziała, że chciała mi zabrać pistolet i wiedziała, że nie mogę jej na to pozwolić. Potrzebowałam go nadal, żeby przyłożyć go sobie do głowy. Zasługiwałam na śmierć, bo zabiłam swoje dziecko. Zrobiłam, więc coś, co wydawało mi się jedynym wyjściem. Wymierzyłam w Callie i nacisnęłam spust.

Szczęśliwym trafem nie zdążyłam załadować magazynka. Wspominając to dziś, przypominam sobie, że ona nawet nie zwolniła kroku, szła prosto na mnie, aż znalazła się na tyle blisko, żeby mi wyjąć z ręki pistolet i odrzucić go pod ścianę. Co było potem, w ogóle nie pamiętam.

- Mogłam cię zabić - szepczę.

- Nie. - Uśmiecha się znowu. Ten uśmiech jest smutny, ale jest w nim coś z szelmowskiej Callie. - Celowałaś mi w nogę.

- Callie - mówię tonem łagodnej nagany. - Ja pamiętam. Nie mierzyłam ci w nogę. Celowałam prosto w serce.

Callie pochyla się nade mną i patrzy mi w oczy.

- Smoky, ufałam ci bardziej niż komukolwiek na świecie. I to się nie zmieniło. Nie wiem, co jeszcze ci powiedzieć. Poza tym, że już nigdy więcej nie będziemy rozmawiały na ten temat.

Przymykam powieki.

- Kto jeszcze wie?

Callie milczy przez chwilę.

- Ja, nasz zespół, zastępca dyrektora Jones, doktor Hillstead - to już wszyscy. Jones podjął bardzo zdecydowane kroki, żeby nikt inny się nie dowiedział.

Tylko, że jak widać, nie udało mu się, myślę. Oni wiedzą.

- Byłaś przez jakiś czas nieprzytomna, nawiasem mówiąc, prawie przez dwie godziny.

Czuję, że chce mi jeszcze o czymś powiedzieć.

- Tak?

- No cóż... powinnaś o tym wiedzieć. Doktor Hillstead jest jedyną osobą, która wie, jak zareagowałaś dzisiaj na ten list. Oprócz Jenny i innych z naszego zespołu.

- Nie powiedzieliście nic Jonesowi? Callie kręci przecząco głową.

- Dlaczego?

Callie puszcza moją rękę. Wygląda na zażenowaną, co rzadko jej się zdarza. Zaczyna przechadzać się po pokoju.

- Obawiam się, my wszyscy się obawiamy, że jeśli on się dowie, to już będzie koniec. On zadecyduje, że już nie wrócisz do służby. Nigdy. Wiem, że tak czy inaczej sama możesz dokonać takiego wyboru. Ale chcieliśmy, żebyś miała szansę.

- Wszyscy się na to zgodzili?

Callie się waha.

- Z wyjątkiem Jamesa. Powiedział, że najpierw sam musi z tobą pomówić.

Wzdycham. W tej chwili James jest ostatnią osobą, z którą miałabym ochotę rozmawiać.

- Okay. Przyślij go tu. Jeszcze nie wiem, jak zadecyduję, Callie. Naprawdę nie wiem. Chcę zabrać Bonnie i wrócić do domu, spróbuję się nad tym zastanowić. Muszę odzyskać pełną kontrolę nad sobą, raz na zawsze. Albo będę skończona. Wy poradzicie sobie z AFIS i resztą spraw beze mnie. Muszę wracać do domu.

Callie wbija wzrok w podłogę.

- Rozumiem. Zajmę się wszystkim.

Rusza w kierunku drzwi, ale gdy do nich dochodzi, odwraca się do mnie.

- Powinnaś pomyśleć o jednym, złotko. Znasz się dobrze na broni, nie spotkałam nikogo, kto znałby się lepiej. Może i wymierzyłaś we mnie i nacisnęłaś spust, ale na pewno wiedziałaś, że nie masz już naboju. - Puszczaj mnie i wychodź.

- Może - szepczę do siebie. Jednak nie sądzę, żeby tak było. Myślę raczej, że nacisnęłam spust, ponieważ w tym momencie pragnęłam, by zginął cały świat.

Wchodzi James i zamyka za sobą drzwi. Siada na krześle stojącym przy moim łóżku. Milczy. Nie potrafię wyczytać niczego z jego twarzy. Nigdy nie potrafiłam.

- Callie powiedziała, że chciałeś porozmawiać ze mną, zanim się zdecydujesz, czy iść z donosem do zastępcy dyrektora Jonesa.

James nie odpowiada od razu. Siedzi i wpatruje się we mnie. Bardzo mnie to irytuje.

- No, więc?

Zaciska wargi.

- Niezależnie od tego, co sobie myślisz na mój temat, nie mam zastrzeżeń do tego, żebyś wróciła do czynnej służby i objęła swoją dotychczasową funkcję, Smoky. Naprawdę. Jesteś dobra w tej robocie, a to wszystko, czego oczekujemy - sprawność i kompetencja.

- A zatem?

- Dla mnie problem polega na tym, żebyś nie wróciła tylko połowicznie - wskazuje palcem szpitalne łóżko. - Stajesz się w ten sposób niebezpieczna, nie tylko dla siebie. Nie możemy na tobie polegać.

- Cholera, James. Wiesz, co? Udław się gównem i zdechnij.

Ignoruje moje słowa.

- Ale taka jest prawda. Pomyśl o tym. Kiedy byliśmy w mieszkaniu Annie King, zobaczyłem znowu dawną Smoky. Sprawną i kompetentną. Wszyscy inni tak samo. Callie i Alan zaczęli znowu zdawać się na twoje decyzje. Razem znaleźliśmy ślady i dowody, które inni przegapili. Ale, zrozum mnie, wystarczył jeden pieprzony list, byś się całkiem rozsypała.

- To trochę bardziej skomplikowane, James.

Wzrusza ramionami.

- Fakty pozostają faktami. I albo wracasz całkowicie gotowa, albo nie wracaj wcale. Jeżeli wrócisz w takim stanie jak teraz, będziesz dla nas ciężarem. Prowadzę do tego, z czym przyszedłem.

- Co?

- Że albo wracasz wyleczona i mocna, albo trzymaj się od nas z daleka. Jeśli zobaczę, że jesteś porąbana psychicznie, pójdę prosto do zastępcy dyrektora Jonesa, a nawet wyżej, dopóki ktoś mnie nie wysłucha i nie pośle cię na zieloną trawkę.

Ogarnia mnie niesamowita, szalona wściekłość.

- Jesteś bezczelnym kutasem, James.

Nie reaguje na moje epitety.

- Tak się rzeczy mają, Smoky. Ufam ci. Wiem, że jeśli dasz mi słowo, dotrzymasz go. I tego chcę. Powtarzam - wracaj wyleczona albo nie wracaj do nas w ogóle. Nie zmienię zdania. Nie ustąpię.

Patrzę na niego i niczego nie widzę w jego oczach: ani wyroku, ani współczucia. Zdaje sobie sprawę, że w gruncie rzeczy nie żąda zbyt wiele. To, co mówi, brzmi rozsądnie. Mimo to nienawidzę go.

- Daję ci moje słowo. A teraz spieprzaj stąd. Już!

James wstaje i wychodzi, nie obejrzawszy się ani razu za siebie.

Wyleciałyśmy wczesnym rankiem. Podróż przebiegała nam w zupełnym milczeniu. Bonnie przez cały czas trzymała mnie za rękę i patrzyła niewidzącym wzrokiem gdzieś w przestrzeń.

Przed odlotem Callie zapewniła mnie, że dwaj agenci będą czuwali przy moim domu, dopóki ich nie odwołam. Nie przypuszczam, żeby on mógł się pojawić raz jeszcze, po tym jak się przyznał do swojej wizyty, ale poczułam się szczęśliwa na myśl, że będę miała ochronę. Powiedziała też, że w AFIS nie znaleziono identycznych odcisków. A już myślałam, że to mój szczęśliwy dzień.

Kotłuje się we mnie pomieszanie uczucia krzywdy i konsternacji. Przytłaczają mnie nie emocje, ale rzeczywistość. Tą rzeczywistością jest Bonnie. Zerkam na nią i mój niepokój jeszcze wzrasta, gdy ona odwraca głowę i spogląda na mnie szczerym, normalnym wzrokiem. Trwa to tylko chwilę, po czym jej twarz znowu zastyga w bezruchu z oczami utkwionymi w jakimś odległym o tysiące metrów punkcie. Zaciskam pięść i przymykam oczy. Te małe wybuchające gwiazdy paniki skrzą się, pękają i strzelają ogniem.

Wizja macierzyństwa przeraża mnie, a przecież nie mam wątpliwości, że właśnie o to teraz chodzi. Jestem wszystkim, co ona ma i przed nami jeszcze długa, długa droga do przebycia. Kilometry szkolnych dni, bożonarodzeniowych poranków, przypomnień: zjedz wszystkie warzywa, ucz się jeździć samochodem, wracaj do domu o dziesiątej i wiele, wiele innych. Wszystkie te banały, duże i małe, a tak cudowne, które wiążą się z odpowiedzialnością za życie drugiej osoby.

Miałam kiedyś na to wypracowany system. Nie myślałam o tym wtedy jak o macierzyństwie. To były obowiązki rodzicielskie. Miałam Matta. Przed podjęciem każdej decyzji naradzaliśmy się wspólnie, spieraliśmy się o to, co jest najlepsze dla naszej córki, kochaliśmy ją oboje. Bycie rodzicem to stała niemal pewność, że coś zrobiło się nie tak, że właśnie coś się schrzaniło, więc jeżeli można się z kimś podzielić odpowiedzialnością, zdecydowanie poprawia to samopoczucie. Bonnie ma tylko mnie. Ma mnie ciągnącą towarowy pociąg pełen bagaży, podczas gdy ona ciągnie wagony pełne przerażenia i przyszłości... Jaka będzie ta przyszłość? Czy kiedykolwiek zacznie mówić? Czy zdoła się z kimś zaprzyjaźnić? Czy będzie miała chłopaka? Czy będzie jej pisane szczęście?

Panika we mnie narasta, gdy uświadamiam sobie, że nie wiem nic o tej dziewczynce. Nie wiem, czy jest dobrą uczennicą. Nie wiem, co lubi oglądać w telewizji, co jada na śniadanie... Niczego nie wiem.



Strach, jaki to we mnie budzi, nasila się coraz bardziej i myśli mi się płaczą. Chcę szarpnąć drzwi samolotu i wyskoczyć w przestrzeń, krzycząc, płacząc, zanosząc się śmiechem i... I znowu słyszę głos Matta, łagodny, cichy i kojący.

- Ciii, dziecinko. Odpręż się. Po kolei: najpierw to, co najważniejsze. A najważniejsze masz już za sobą.

- Co takiego? - pytam go w myślach płaczliwym tonem.

- Wzięłaś ją - odpowiada Matt z uśmiechem. - Jest twoja. Cokolwiek się wydarzy i jakkolwiek by to było trudne, podjęłaś się tego i nie możesz się wycofać. To pierwsza zasada. Zasada matki. Postąpiłaś zgodnie z nią. Reszta jakoś się ułoży.

Serce mi się ściska, gdy to słyszę, chce mi się krzyczeć, łapię gwałtownie powietrze.

Pierwsza zasada mamy.

Alexa miała swoje problemy, nie była idealnym dzieckiem. Potrzebowała, by dodawać jej otuchy, upewniać, że jest kochana. W takich razach mówiłam jej zawsze to samo. Tuliłam ją, dotykałam ustami jej włosów i szeptałam:

- Wiesz, jaka jest pierwsza zasada mamy?

Wiedziała, ale zawsze pytała tak samo:

- Jaka, mamusiu? Jaka?

- Że jesteś moja i to się nigdy nie zmieni. Bez względu na to, co się zdarzy i jak trudne to dla nas będzie. Choćby...

- ...wiatr przestał wiać, słońce przestało świecić, a gwiazdy przestały migotać na niebie - mówiła, dopełniając rytuału.

Tyle wystarczało, by się odprężyła i nabrała pewności, że ją kocham.

Ucisk w sercu mija.

Pierwsza zasada mamy. Mogłam zacząć od tego.

Wybuchające gwiazdy przestają eksplodować w moim wnętrzu.

Na razie.

Wysiadamy wszyscy z samolotu. Odchodzę bez słowa wraz z Bonnie.

Agenci z ochrony towarzyszą nam w drodze do domu, jadąc cały czas za nami. Jest chłodno i tylko trochę mgliście.

Panuje jeszcze niewielki ruch. Autostrada zapełnia się powoli, jak w mrowisku ospałych mrówek, czekających, aż słońce je ogrzeje.

W samochodzie jest cicho. Bonnie nic nie mówi, ja jestem całkowicie pochłonięta myśleniem o przyszłości i niepokojem.

Myślę bardzo dużo o Alexie. Do wczoraj nie zdawałam sobie sprawy, jak niewiele o niej myślałam po jej śmierci. Była jakimś mglistym wspomnieniem. Niewyraźna twarz mająca gdzieś daleko. Uświadamiam sobie, że stała się ciemną, zagadkową postacią z mojego snu o Sandzie. List od Jacka Juniora i wspomnienia sprawiły, że jej osoba znalazła się w centrum mojej uwagi, postać nabrała ostrości. Teraz widzę ją żywą, olśniewająco, boleśnie piękną. Wspomnienie o niej staje się symfonią, która rozbrzmiewa zbyt głośno, ale której nie mogę przestać słuchać.

Ta symfonia macierzyństwa mówi o miłości pełnej absolutnego oddania, gdy ten, kto kocha, nie myśli o sobie, kochając każdą cząsteczką swojej istoty. Mówi o uczuciu, które mogłoby zaćmić słońce swoim żarem i blaskiem. O nadziei i rozdzierającej radości.

Boże, kochałam ją taką miłością. Bardziej niż samą siebie, bardziej niż Matta. Wiem, czemu jej twarz zacierała się coraz bardziej, to, dlatego, że świat bez niej jest czymś nie do zniesienia.

Ale jestem tutaj i go znoszę. To sprawia, że coś pęka we mnie, coś, co się już nigdy nie zagoi. I jestem z tego zadowolona, bo chcę, żeby mnie to zawsze bolało.

Dwadzieścia minut później dojeżdżamy do domu. Agenci nie odzywają się, dają mi tylko znać ruchami głowy, że zostają tu i będą czuwać.

- Poczekaj sekundę, kochanie - mówię do Bonnie.

Podchodzę do ich samochodu. Szyba po stronie szofera opuszcza się i uśmiecham się na widok znajomej twarzy jednego z agentów. Dick Keenan. Był instruktorem w Quantico w czasie, gdy tam studiowałam. Kiedy zaczął się zbliżać do pięćdziesiątki, zdecydował że woli zakończyć służbę, patrolując ulice. Jest solidnym facetem, stara szkoła FBI, fryzura na jeża i tak dalej. Jest także strzelcem wyborowym i niezłym dowcipnisiem.

- Jak to się stało, Dick, że właśnie ciebie przydzielono do tej roboty? - pytam.

Uśmiecha się.

- Zastępca dyrektora Jones. Kiwam głową.

- Tak myślałam. Kim jest twój partner?

Drugi agent jest młody, młodszy ode mnie. Zupełny nowicjusz, wciąż jeszcze podekscytowany tym, że został agentem FBI. Z drugiej strony, cieszy go perspektywa siedzenia w samochodzie i nieróbstwa przez wiele dni.

- Hannibal Shantz - mówi, wyciągając do mnie rękę przez okno.

- Hannibal, ho, ho. - Uśmiecham się szeroko.

Młody wzrusza ramionami. Już wiem, że jest jednym z tych dobrodusznych chłopaków, którym nikt nie jest w stanie zaleźć za skórę. Nie można go nie polubić.

- Wprowadzono cię we wszystko, Dick? Wykonuje oszczędny ruch głową.

- Ty. Dziewczynka. I tak, wiem, dlaczego ona jest z tobą.

- Dobrze, pozwól, że ci coś wyjaśnię. Ona jest dla ciebie numerem jeden. Jeśli będziesz musiał wybierać, czy masz czuwać nade mną, czy nad nią, nie zastanawiaj się nawet chwili. Ochroniasz ją.

- Przyjąłem.

- Dzięki. Miło cię było poznać, Hannibal.

Odchodzę uspokojona. Bonnie czeka na mnie, drobniutka na tle ściany mojego domu. Jadąc tutaj, miałam czas, by zastanowić się nad tym, dlaczego mieszkam tu nadal. To przejaw mojego uporu, a może głupoty. Zdałam sobie sprawę, że jest to swojego rodzaju uzależnienie. Gdybym musiała ustąpić, jakaś częśćka mnie poznałaby natychmiast, że nie będę już sobą.

Tu szalał tygrys, prawda, ale jednak go nie opuściłam.

Znalazłyśmy się w kuchni i odruchowo wykonuję kolejny krok.

- Jesteś głodna, skarbie? - pytam Bonnie.

Powoli przytakuje głową. Ja także kiwam głową, zadowolona z nawiązanego kontaktu. Pierwsza zasada mamy: kochać. Druga zasada mamy: karmić swoje dziecko.

- Zobaczę, co jest do zjedzenia.

Nie odstępuję mnie, gdy otwieram lodówkę i przeglądam jej zawartość. Matka powinna uczyć dziecko polować. Z trudem opanowuję wybuch śmiechu. Sytuacja w lodówce nie wygląda zachęcająco. Jest tylko prawie pusty słoik masła orzechowego, trochę skwaśniałego mleka, któremu dawno skończyła się data ważności.

- Przepraszam, dziecinko. Musimy chyba zrobić małe zakupy.

Wzdycham, bo czuję się zmęczona. Ale to jest jedna z prawd dotyczących obowiązków rodzicielskich. Właściwie to prawo naturalne - jesteś za nią odpowiedzialna. I nie ma tu żadnego znaczenia twoje zmęczenie. Ty prowadzisz samochód i ty dysponujesz pieniędzmi.

Do diabła z tym. Uśmiecham się do Bonnie.

- Chodź, pojedziemy odpowiednio zaopatrzyć ten dom.

W odpowiedzi Bonnie obdarza mnie szczerym spojrzeniem i uśmiechem. Kiwa głową.

- Okay. - Chwytam torebkę i klucze. - Na koń!

Powiedziałam Keenanowi, żeby zostali przy domu. Potrafię sama zadbać o nasze bezpieczeństwo. Najważniejsze dla mnie jest to, by nikt na nas nie czekał w domu, gdy wrócimy.

Wędrujemy alejkami supermarketu Galpha. Współczesne polowanie.

- Idź przodem, kochanie - mówię. - Nie wiem, co lubisz, więc będziesz mi musiała pokazać, co byś chciała.

Pcham wózek i podążam za Bonnie, która sunie szybko, w milczeniu lustrując regały. Za każdym razem, gdy coś wskazuje, łapię to i chwilę trzymam przed oczami, żeby zapisać to sobie w podświadomości. Odtwarzam to sobie w postaci głosu, który powtarza mi: Makaron i ser. Spaghetti z sosem mięsnym, żadnych grzybów - nigdy pod groźbą śmierci. Cheetos - palące i pikantne. To moje przykazania dotyczące jedzenia. Klucze do Bonnie, ważne.

Czuję, jakby coś zardzewiałego i zakurzonego zaczęło się we mnie poruszać, jedno skrzypiące zębate koło po drugim. Miłość, chronienie kogoś słabszego, makaron i ser. Wszystko to wydaje się naturalne i dobre.

„Jak jazda na rowerze, maleńka”, słyszę szept Matta.

- Może - mruczę w odpowiedzi.

Jestem tak pochłonięta tymi myślami, że nie zauważam, iż Bonnie przystanęła i omal nie rozjeżdżam jej wózkiem.

- Przepraszam, zagapiłam się. Mamy już wszystko? Bonnie uśmiecha się i kiwa głową. Wszystko kupione.

- No to wracamy do domu i bierzmy się do jedzenia.

Problemem nie jest sama jazda na rowerze, ale to, że zmieniła się droga, po której rower jedzie. Miłość, chronienie kogoś, makaron i ser, jasne. Jest także milczące dziecko i nowa mama, którą także okaleczono, która mówi do siebie i jest trochę szalona.

Rozmawiam przez telefon z żoną Alana i jednocześnie obserwuję, jak Bonnie z zapalem pożera makaron z serem. Dzieci przejawiają prawdziwy pragmatyzm w jedzeniu, myślę.

„Wiem, że niebo się wali, ale, hej, zjeść trzeba, prawda?”

- Jestem ci naprawdę bardzo wdzięczna. Elaine. Alan powiedział mi, jaka jest sytuacja i nie prosiłabym, ale...

- Przestań, proszę, Smoky - przerywa mi. W jej głosie pobrzmiwa ton łagodnej nagany. Przypomina mi się Matt. - Musisz mieć czas, żeby rozgryźć wszystko, a ta mała musi mieć miejsce, w którym będzie przebywać, gdy ty będziesz poza domem. Dopóki nie załatwisz swoich spraw. - Nie odpowiadam, bo mam ściśnięte gardło. Ona, jak się zdaje, wyczuwa to, cała Elaine. - Dasz sobie na pewno ze wszystkim radę, Smoky. Z pewnością nie zrobisz niczego, co byłoby niedobre dla niej. - Milknie na chwilę. - Byłaś wspaniałą matką dla Alexy. Będziesz tak samo wspaniałą mamą dla Bonnie.

Jej słowa budzą we mnie smutek i wdzięczność zarazem. Udaje mi się jakoś odchrząknąć i wydobyć z siebie chropawę:

- Dzięki.

- Nie ma problemu. Zadzwoń do mnie, gdy będzie ci potrzebna moja pomoc.

Rozłącza się, nie czekając na moją odpowiedź. Elaine zawsze umiała doskonale wczuwać się w doznania innych osób. Obiecała, że weźmie Bonnie do siebie za każdym razem, gdy nie będę mogła się nią zajmować. Bez wahania, bez żadnych pytań.

„Nie jesteś sama, dziecinko”, szepcze Matt.

- Może - mruczę w odpowiedzi. - Może nie jestem.

Dzwonek telefonu przerywa moją konwersację z duchem. Podnoszę słuchawkę.

- Cześć, złotko - mówi Callie. - Dzwonię, żeby cię powiadomić, że zrobiliśmy mały krok naprzód w naszej sprawie.

Czuję nagły ucisk w sercu. Co usłyszę tym razem?

- Opowiadaj - mówię.

- W gabinecie doktora Hillsteda był podsłuch. Marszczę czoło.

- Że jak?

- Pamiętasz, co Jack Junior napisał w tym liście, złotko? Nie zastanawiałaś się, skąd mógł o tym wiedzieć?

Milczę zaskoczona i osłupiała. Nie, uświadamiam sobie, nie zastanawiałam się nad tym.

- Dobry Boże, Callie. Nigdy nie przyszło mi to do głowy. Chryste! - Nogi uginają się pode mną. - Jak to w ogóle możliwe?

- Nie przejmuj się. W tym natłoku okropności ja też o tym nie pomyślałam. Możesz podziękować Jamesowi, on pomyślał. - Callie milknie. - Mój Boże, czy ja naprawdę powiedziałam „podziękować” i „James” jednym tchem? - Słyszę, że udaje żartobliwie przerażenie.

- Więcej konkretów, Callie - mówię napiętym i niecierpliwym tonem. - Nie mam jakoś ochoty na żarty i jestem zbyt zmęczona, by przepraszać.

- Założył dwie pluskwy w gabinecie doktora, nie żaden cud techniki, ale działające skutecznie. - Wyjaśnia mi, że prawdopodobnie nie da się ustalić ich pochodzenia. - Obie były zdalnie włączane. Transmitowały głos do miniaturowego magnetofonu ulokowanego w szafie wnękowej. On musiał tylko znać termin twojego spotkania z doktorem Hillsteadem, złotko. Uruchamiał pluskwę, a później zabierał taśmę z nagraniem.

Poraża mnie uczucie podobne do wstrząsu elektrycznego, jakbym została obnażona publicznie. On tego słuchał? Słyszał, jak mówiłam o Matcie i Alexie? Dowiedział się, jak bardzo byłam słaba? Ogarnia mnie gniew tak silny, że wydaje mi się, iż za chwilę zemdleję albo zacznę wymiotować. Ale ten gniew szybko się wypala. Nie czuję się już obnażona i wściekła. Zalewa mnie fala przygnębienia, wyczerpania i samotności.

- Muszę kończyć, Callie - mamroczę.

- Nic ci nie jest, złotko?

- Dzięki, że z tym zadzwoniłaś, Callie, ale teraz naprawdę muszę kończyć.

Rozłączam się. Zdumiewająca jest ta nagła pustka we mnie. Na swój sposób niezwykła w swoim ogromie. Doskonała.

„Zawsze w końcu mamy jeszcze Paryż”, mruczę i czuję narastający gorzki śmiech.

Tymczasem Bonnie skończyła jeść i patrzy na mnie, strasznie mnie to peszy. Jezu, myślę, to przecież podstawowa rzecz, którą muszę zapamiętać: nie jestem sama. Bonnie jest tutaj i bacznie mnie obserwuje. Dni siedzenia w ciemności, patrzenia w próżnię i mówienia do siebie się skończyły. Komu jest potrzebna szalona matka.

Jesteśmy w sypialni, siedzimy na moim łóżku i patrzymy na siebie.

- Jak ci się tu podoba, skarbie? Może być?

Bonnie rozgląda się po pokoju, gładzi narzutę, a potem się uśmiecha. Odwzajemniam uśmiech. - Dobrze. Sądzę, że miałybyś ochotę spać tutaj, razem ze mną - ale jeśli nie chcesz, zrozumieć to.

Chwyta moją dłoń i potrząsa głową jak gałgankowa lalka. Zdecydowane, stanowcze „tak”.

- Super. Chcę z tobą pomówić o pewnych rzeczach, Bonnie. Zgadzasz się?

Skinienie głową.

Niektórzy ludzie uznaliby zapewne moje postępowanie za niewłaściwe. To, że tak szybko chcę poruszyć pewne tematy. Jestem innego zdania. W takich sprawach kieruję się intuicją, a coś podpowiada mi, że muszę być z tą małą szczerą. Tylko tyle.

- Pierwsza sprawa, czasem w nocy dręczą mnie koszmary, właściwie zdarza się to bardzo często. Czasami jestem nimi tak przerażona, że budzę się z krzykiem. Mam nadzieję, że gdy będziesz tu ze mną, to się nie przydarzy, ale wierz mi, nie potrafię tego kontrolować. Nie chcę, żebyś się wystraszyła, gdyby się to jednak zdarzyło.

Bonnie bada uważnie moją twarz. Widzę, że przenosi wzrok na fotografię stojącą na mojej nocnej szafce. Jest to oprawione w ramki zdjęcie. Ja, Matt i Alexa uśmiechamy się na nim, nie mając pojęcia, że śmierć krąży tak blisko. Bonnie wpatruje się w nie i unosi brwi.

Rozumiem to spojrzenie.

- Tak. Te nocne koszmary są o tym, co stało się z nimi.

Bonnie przymyka oczy. Podnosi dłoń i kładzie sobie na sercu. Potem otwiera oczy.

- Ty także, co? Okay, kochanie. A może się umówimy - żadna z nas się nie przestraszy, kiedy ta druga obudzi się z krzykiem?

Bonnie uśmiecha się na to. Uderza mnie surrealizm tej sceny. Nie rozmawiam z dziesięcioletnią dziewczynką o modzie, muzyce lub o jakimś spacerze po parku. Zawieram z nią pakt dotyczący nocnych lęków.

- Druga sprawa... wiesz, to jest dla mnie trudniejsze. Muszę podjąć decyzję, czy będę mogła nadal pracować w swoim zawodzie. A ten zawód to ściganie i chwywanie złych ludzi. Ludzi, którzy robią takie rzeczy, jak te, które zrobiono twojej mamie. Być może jestem teraz w zbyt żalnym stanie, by się tym zajmować. Rozumiesz to?

Kiwa głową z powagą. Och tak, ona to dobrze rozumie.

- Jeszcze się nie zdecydowałam. Jeśli nie wrócę, razem postanowimy, co dalej robić. Ale jeśli wrócę... no, wiesz... Nie będę mogła być z tobą przez cały czas. Będę musiała powierzać cię komuś, kto będzie nad tobą czuwał w czasie, gdy będę pracowała. Mogę ci obiecać: zanim to zrobię, upewnię się najpierw, czy ta osoba ci się spodoba. Czy uważasz, że będziemy mogły to tak urządzić?

Ostrożne skinienie głowy, bez entuzjazmu. Rozumiem, o co chodzi. „Tak, ale z zastrzeżeniem”.

- To już ostatnia sprawa, dziecinko. Myślę, że to jest najważniejsze, więc proszę, posłuchaj mnie uważnie, okay? - Biorę ją za rękę, chcę mieć pewność, że mówiąc to, o czym chcę ją zapewnić, będę mogła jej patrzeć prosto w oczy. - Jeśli będziesz chciała być ze mną, zostaniesz. Nie opuszczę cię nigdy. Przysięgam ci to.

W jej twarzy po raz pierwszy od czasu, gdy zobaczyłam ją w szpitalnym łóżku, pojawia się wzruszenie. Jednak jego miejsce bardzo szybko zajmuje smutek, łzy spływają jej po policzkach. Chwytam ją, więc w ramiona, przytulam do siebie mocno i kołyszę w milczeniu. Szepczę słowa pocieszenia z ustami w jej włosach i myślę o Annie i o Alexie. Pierwsza zasada mamy.

Wreszcie Bonnie się uspokaja. Nadal tuli się do mnie z głową wciśniętą w moje piersi. Przestaje pociągać nosem, odsuwa się nieco i wyciera twarz rękami. Unosi głowę i patrzy na mnie inaczej niż przedtem. Widzę, jak jej oczy błędzą po moich bliznach. Przenika mnie dreszcz, gdy jej dłoń dotyka mojej twarzy. Niezwykle delikatnym palcem wodzi po bliznach. Wpatruje się w te na czole, lekko jak piórkiem dotyka mojej kości policzkowej. Oczy wypełniają się jej łzami, przyciska dłoń do mojego policzka, a potem znów przysuwa się do mnie. Tym razem to ona tuli mnie.

To dziwne, nie chce mi się płakać, gdy ona to wszystko robi. Ogarnia mnie spokój. Nagła pociecha. Jakieś ciepło roztopia resztki zlodowacenia, które wypełniło mnie kilka godzin temu.

Odchylam się do tyłu, opierając dłonie na jej ramionach.

- Niezła z nas para, nie?

Bonnie odpowiada autentycznym szczerym śmiechem. Wiem, że to ulotna chwila, prawdziwy smutek wkrótce powróci i zaleje ją jak ogromna fala. Mimo to jej uśmiech sprawia mi radość.

- Pamiętasz o drugiej sprawie, o której ci mówiłam? Jest coś, co muszę zrobić dziś wieczorem. Chcesz pójść ze mną?

Bonnie kiwa głową. Uśmiecham się do niej raz jeszcze i głaskam pod brodą.

- No to fajnie, chodźmy.

Jadę na strzelnicę w San Fernando Valley. Oglądam ją chwilę zza szyby, żeby uspokoić nerwy, dopiero potem wysiadam z samochodu. Budynek z łuszczącym się tynkiem i oknami, których nikt nigdy nie mył, spełnia jednak dobrze swoją funkcję. Jak pistolet, myślę. Pistolet może być porysowany, wysłużony, bez połysku. Liczy się tylko jedno: czy można z niego wystrzelić pocisk. Przychodzą tu jedynie poważni ludzie. Mówiąc „poważni”, mam na myśli nie amatorów strzelania, lecz mężczyzn i kobiety, którzy całymi latami posługują się bronią, by zabijać albo żeby wymuszać bronią porządek prawny. Ludzi takich jak ja.

Uśmiecham się krzywo do Bonnie.

- Gotowa? - pytam. Kiwa głową.

- No to jazda.

Znam właściciela. To były żołnierz piechoty morskiej i snajper. Jego oczy z wierzchu ciepłe, w głębi są zimne. Spozstrzega mnie i wita grzmiącym głosem:

- Smoky! Nie było cię tak długo. Uśmiecham się i pokazuję swoje blizny. - Miałam pecha, Jazz.

Uśmiecha się na widok Bonnie, ale ona nie odwzajemnia się tym samym.

- A to, kto?

- To jest Bonnie.

Jazz zawsze potrafił rozgryzać ludzi. Wyczuwa, że z Bonnie jest coś nie tak i nie próbuje się jej narzucać. Wita ją po prostu skinieniem głowy i kieruje wzrok na mnie. Dłonie trzyma płasko rozpostarte na kontuarze.

- Co sobie życzysz na dziś wieczór?

- Tego glocka - wskazuję pistolet. - Jeden magazynek i ochraniacze na uszy dla nas obu.

- Jasne.

Jazz zdejmuje pistolet z gabloty i kładzie przy nim magazynek. Ściąga ze ściany ochraniacze. Zaczynają mi się pocić dłonie.

- Ja... mam do ciebie prośbę, Jazz. Zanieś mi go na stanowisko i załaduj - wyrzucam z siebie pośpiesznie.

Unosi brwi. Czuję, że ze wstydu oblewa mnie rumieniec. Ale dodaję spokojnie:



- Proszę cię, Jazz. To moja próba. Jeżeli pójdę tam i spanikuję przy ładowaniu, prawdopodobnie już nigdy nie będę strzelała. Nie chcę go dotykać przed tą próbą.

Widzę, jak jego oczy badają mnie, ciepłe i zimne zarazem. Ciepło zwycięża.

- Nie ma problemu, Smoky. Momencik.

- Dzięki. Wielkie dzięki. - Chwytam ochraniacze i klękam przy Bonnie.

- Musimy to założyć, kochanie. Kiedy się strzela z pistoletu, jest straszny huk. Mogłyby nam popękać bębunki.

Skinieniem głowy daje mi znać, że rozumie i wyciąga rękę. Zakłada ochraniacze, ja robię to samo.

- Chodźcie za mną - mówi Jazz.

Przechodzimy na teren strzelnicy. Od razu rozpoznaję znajomy zapach. Woń dymu, metalu i smaru, jedyna w swoim rodzaju. Oddycham z ulgą widząc, że w tej chwili strzelnica jest pusta.

Wyjaśniam Bonnie, że powinna oprzeć się plecami o ścianę i nie ruszać się z tego miejsca. Jazz załaduje broń i kładzie ją na małej drewnianej ladzie. Teraz jego oczy są zimne, ale po chwili łagodnieją. Odwraca się i idzie do części sklepowej. Wie, że chcę być tutaj sama.

Patrzę na Bonnie, stoi poważna i skupiona. Rozumie, że chcę zrobić coś dla mnie bardzo ważnego.

Podnoszę papierowy cel w kształcie ludzkiej sylwetki i przymocowuję go do podpórki stojaka. Naciskam przycisk i cel odpływa ode mnie coraz dalej i dalej. W końcu jest już nie większy niż karta do gry.

Serce łomocze mi w piersiach. Drzę i pocę się jednocześnie.

Spoglądam na glocka.

Lśniące, czarne narzędzie śmierci, o pięknym kształcie. Niektórzy ludzie są zdania, że nie powinno się produkować tej broni, inni uważają, iż jest ona czymś przepięknym. Dla mnie, odkąd pamiętam, stanowił część mnie samej. Dopóki mnie nie zdradził.

To glock 34. Ma lufę długości trzynastu i pół centymetra i z pełnym magazynkiem waży mniej niż kilogram. Strzela dziewięciomilimetrowymi pociskami, a w magazynku mieści siedemnaście naboí. Nacisk na niezmodyfikowany spust wynosi dwa kilogramy. Wszystkie jego dane techniczne znam jak własne wymiary. Zadaję sobie pytanie, czy się pogodzimy, czy nie. On i ja.

Wyciągam dłoń w jego stronę. Pocę się coraz obficiej. Czuję zawrót głowy. Zaciskam zęby, zmuszam rękę, by przesuwała się nadal w kierunku czekającej na mnie broni. Widzę oczy Alexy, jej szeroko rozwarte ze zdumienia usta, gdy moja kula uderza w jej pierś i ucisza ten niemy krzyk na zawsze. Obraz powraca i powraca jak film, który się zapętlił. Huk i śmierć, huk i śmierć, huk i koniec świata.

- Niech cię szlag trafi! niech cię szlag trafi! niech cię szlag! - Nie wiem, czy krzyczę to do Boga, Josepha Sandsa, do siebie czy do glocka. Chwytam broń jednym płynnym ruchem i wypalam. Czarna stal szarpie się w mojej dłoni, bach-bach-bach-bach-bach!

Potem słyszę trzask opróżnianego magazynka. Trzęsę się i zalewam łzami. Ale nadal trzymam glocka w ręku. I nie zemdlałam.

„Witaj po powrocie”, słyszę w duszy jego szept.

Drżącą ręką naciskam przycisk, który sprowadza do mnie cel. To, co widzę, gdy przyplywa, napełnia mnie radością bliską euforii podszytej smutkiem. Dziesięć strzałów w głowę, siedem prosto w serce. Trafiłam za każdym razem tam, gdzie chciałam. Tak jak zawsze.

Patrzę to na papierową figurę, to na glocka i delektuję się tą radością i tym smutkiem wciąż od nowa. Wiem już, że strzelanie nie będzie odtąd taką radością jak było kiedyś. Zbyt wiele śmierci nakłada się na to. Zbyt wiele smutku, którego nie uda mi się zapomnieć.

No, więc dobrze. Wiem już to, co chciałam wiedzieć. Pistolet jest mój. To czy go kocham, czy nie, jest nieistotne.

Wyjmuję magazynek, zabieram cel i odwracam się do Bonnie. Wybałusza oczy na cel i na mnie. Uśmiecha się. Mierzwię delikatnie jej włosy i wychodzimy ze strzelnicy. W głównym budynku Jazz siedzi na krześle z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Jego oczy są teraz samym ciepłem.

- Wiedziałem, Smoky. Masz to we krwi, malutka.

Zgadza się z nim.

Moja ręka i pistolet. Jesteśmy znowu poślubieni. Chociaż może to być niepewny związek, uświadamiam sobie, jak bardzo mi go brakowało. Stał nowi cząstkę mnie. Oczywiście pistolet nie wygląda jak nowy. Ma już swoje lata i blizny.

Tak płaci za to, że jestem jego oblubienicą.

## Część II

# **Sny i konsekwencje**

Bonnie budzi się z krzykiem w środku nocy. To nie jest krzyk dziecka. To wycie kogoś, kto został zamknięty w pomieszczeniu piekła. Pospiesznie zapalam lampę przy jej łóżku. Przeżona Bonnie ma wciąż zamknięte oczy. Ja, gdy zaczynam krzyczeć we śnie, zawsze się budzę. Ona krzyczy, lecz śpi dalej. Zamknięta we własnych snach wyraża krzykiem przerażenie, ale nie jest w stanie się zbudzić.

Chwytam ją za ramiona i mocno potrząsam. Krzyk zamiera i Bonnie otwiera oczy, milczy. Słyszę jeszcze te wibrujące dźwięki, a ona drży. Przyciągam ją bliżej bez słowa, głaszczę po głowie. Przywiera do mnie kurczowo, przestaje drzeć, zasypia.

Uwalniam się z jej objęć najdelikatniej, jak potrafię. Jej buzia jest teraz spokojna. Wpatrując się w nią, zasypiam. Po raz pierwszy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy śni mi się Alexa.

- Cześć, mamó - mówi do mnie, uśmiechając się.

- Co słyhać, pupciu kurczaka? - odpowiadam. Gdy pierwszy raz tak się do niej zwróciłam, zaczęła chichotać tak mocno, że aż rozboleła ją głowa i się rozplakała. Od tej pory często się tak do niej zwracałam.

Obrzuca mnie poważnym spojrzeniem, które pasuje i nie pasuje do niej zarazem. Nie pasuje, bo jest na nie za młoda, a pasuje, ponieważ wyraża się w nim cała Alexa. Łagodne oczy jej ojca patrzą na mnie z twarzy, na której odcisnęły się geny nas obojga, nieco chochlikowatej dzięki dołeczkom w policzkach stanowiącym wyłącznie jej własny znak szczególny. Matt żartował, że to może być sprawka listonosza, który też miał dołeczki, specjalna przesyłka dla mnie.

- Martwię się o ciebie, mamó.

- Czemu, skarbie?

Jej oczy stają się smutne. Zbyt smutne na jej wiek, zbyt smutne przy tych dołeczkach.

- Bo tak bardzo tęsknisz za mną. Zerkam na Bonnie.

- A co z nią, dziecinko? Nie masz nic przeciwko temu?

Budzę się, zanim Alexa zdąży odpowiedzieć. Oczy mam suche, ale serce wali mi jak oszalałe, oddycham z trudem. Po paru chwilach wszystko mija. Odwracam głowę. Bonnie ma zamknięte oczy i spokój na twarzy.

Znów patrząc na nią, zasypiam, ale teraz nic mi się nie śni.

Jest rano. Przeglądam się w lustrze, a Bonnie z uwagą mnie obserwuje. Włożyłam mój najlepszy czarny garnitur. Matt nazywał go kostiumem zabójcy. Wciąż jeszcze dobrze w nim wyglądam.

Przez całe miesiące nie zwracałam uwagi na swoje włosy. Jeśli myślałam o nich w ogóle, to tylko wtedy, gdy układałam je tak, by zasłaniały mi blizny. Kiedyś pozwalałam, by luźno opadały mi na plecy. Teraz ściągnęłam je ciasno z tyłu głowy. Bonnie pomogła mi je spiąć w koński ogon. Nie chcę już ukrywać blizn przed światem, przeciwnie, będę je podkreślać.

Dziwne, myślę, patrząc sobie w twarz. Prawdę mówiąc, nie jest tak źle. Oczywiście, są zniekształcenia mogące kogoś szokować, ale całość nie jest jak wyciągnięta z pokazu dziwołagów. Czemu nie zauważyłam tego wcześniej, dlaczego wydawałam się sobie o wiele brzydsza? Odgaduję, że powodem była wewnętrzna szpetota, od której nie mogłam się uwolnić.

Dzisiaj podobam się sobie. Wyglądam na twardą, silną, wyglądam onieśmielająco. To wszystko pasuje do sposobu, w jaki patrzę obecnie na świat. Odwracam się od lustra.

- Co o tym sądzisz? Jest dobrze? Mała kobietka uśmiecha się z aprobatą.

- Chodźmy, więc, kochanie. Zrobimy sobie dzisiaj parę wycieczek. Bonnie bierze mnie za rękę i wychodzimy z domu.

Pierwszym przystankiem jest gabinet doktora Hillsteada. Uprzedziłam go telefonicznie, że przyjdę - czeka na mnie. Wchodzimy do gabinetu i udaje mi się namówić Bonnie, by została z Ismelda, recepcjonistką doktora Hillsteada. Ismelda jest Latynoską i odnosi się do pacjentów w rozsądny sposób pozbawiony jakichkolwiek nonsensownych zachowań, a Bonnie zdaje się odpowiadać to połączenie ciepła i szorstkości. Rozumiem ją. My, poranieni, nienawidzimy litości. Chcemy tylko, by traktowano nas normalnie.

Otwieram drzwi i doktor Hillstead podchodzi, by mnie przywitać. Wygląda, jakby był załamany.

- Smoky. Chcę, byś wiedziała, że jest mi ogromnie przykro z powodu tego, co się stało. Nigdy bym nie przypuszczał, że możesz znaleźć się w takiej sytuacji.

Wzruszam ramionami.

- Tak, no cóż. On był w moim domu. Przyglądał mi się, gdy spałam. Sądzę, że ma mnie stale na oku.

Doktor wygląda na wstrząśniętego.

- On wtargnął do twojego domu?

- Tak.

Nie zamierzam prostować ani mojego, ani jego określenia „on” i wyjaśniać, że powinniśmy użyć słowa „oni”. Fakt, że tak naprawdę jest ich dwóch, powinien zostać tajemnicą śledztwa. To as w rękawie dla naszego zespołu.

Doktor Hillstead przesuwa nerwowo dłonią po włosach.

- To naprawdę straszne, Smoky. Mam do czynienia z relacjami z drugiej ręki o podobnych rzeczach. Po raz pierwszy coś takiego dotknęło realnie mojego pacjenta.

- Tak właśnie czasem bywa.

Być może ten spokój w moim głosie przykuwa jego uwagę. Po raz pierwszy od chwili, gdy weszłam do gabinetu, patrzy na mnie naprawdę. Dostrzega zmianę w moim zachowaniu i to - jak mi się zdaje - sprawia, że staje się przede wszystkim lekarzem.

- Czemu nie siadasz?

Sadowię się na jednym z wyściełanych skórą krzeseł, stojących na wprost jego biurka. On przygląda mi się w zadumie.

- Masz mi za złe, że zataiłem przed tobą raport balistyczny?

Kręcę przecząco głową.

- Nie. To znaczy miałam, ale rozumiem, co starał się pan osiągnąć i myślę, że dobrze pan zrobił.

- Uważałem, że dopóki nie uznam, że jesteś już w stanie się z tym uporać, nie powinienem o tym wspominać.

Uśmiecham się lekko do niego.

- Nie wiem, czy już jestem gotowa, by sobie z tym poradzić, czy nie. Ale myślę, że stanęłam na wysokości zadania.

- Tak, tak. Dostrzegam w tobie zmianę. Opowiedz mi o tym.

- Niewiele jest do opowiedzenia - wzruszam ramionami. - Spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba, ale może właśnie dzięki temu wszystko sobie przypomniałam - jak zastrzeliłam Alexę, jak próbowałam zabić Callie. To było tak, jakbym ten cały ból, którego doznałam przez ostatnie sześć miesięcy, odczuła na nowo, ale teraz skupiony w jednym momencie. Straciłam przytomność.

- Callie mi mówiła.

- Rzecz w tym, że kiedy się ocknęłam, wcale nie chciałam umierać. To stało się przyczyną mojego poczucia winy, ciąży mi to bardzo, ale nadal nie chcę umierać.

- To dobrze, Smoky - mówi doktor Hillstead spokojnie.

- To jeszcze nie wszystko. Miał pan rację, mówiąc o moim zespole. Oni są jakby moją rodziną. A mają porąbane życie. Mają cholerne problemy życiowe. Żona Alana jest chora na raka. Callie przeżywa jakiś trudny okres, coś, o czym nie chce nikomu mówić. I zdałam sobie sprawę, że

nie mogę przejść obok tego obojętnie. Ja ich kocham. Muszę pozostać w zespole ze względu na nich, bo mogą mnie potrzebować. Czy pan to rozumie?

- Rozumiem, Smoky. I przyznam, że na to liczyłem. Nie chciałem oczywiście, żeby twoi koledzy z zespołu mieli kłopoty i cierpieli. Ale ty żyłaś w próżni. Miałem nadzieję, że gdy z powrotem nawiądziesz z nimi kontakt, powróci coś, co pozwolić ci żyć.

- Co takiego?

- Poczucie obowiązku. To twoja siła napędowa. Masz wobec nich obowiązki. I także wobec ofiar morderców.

Jego odpowiedź zaskakuje mnie, bo trafia nią w dziesiątkę. Być może nigdy nie będę w pełni zdrowa psychicznie. Może już do końca życia będę się w nocy budziła z krzykiem. Ale dopóki jestem potrzebna moim przyjaciołom, dopóki potwory mordują, muszę być wśród nich. Nie mam wyboru.

- To się sprawdziło - mówię.

- Cieszę się - odpowiada doktor.

- W drodze powrotnej z San Francisco miałam mnóstwo czasu, żeby wszystko sobie przemyśleć. Wiedziałam, że czeka mnie najważniejsza próba. Gdyby mi się nie powiodło, byłabym skończona. Dziś złożyłabym swoją rezygnację ze służby.

- Jaka to próba?

Myślę, że on dobrze wie, chce tylko, żebyśmy sama to powiedziała.

- Pojechałam na strzelnicę. Musiałam sprawdzić, czy potrafię wziąć do ręki pistolet i nie zemdleć przy tym.

- I?

- Wzięłam glocka i wszystko było w porządku, jak dawniej.

Doktor składa dłonie, mierzy mnie wzrokiem.

- Jest coś jeszcze, prawda? Zmieniłaś się. Wyglądasz dziś zupełnie inaczej.

Spoglądam w oczy temu człowiekowi, który starał się mi pomagać przez te wszystkie miesiące. Uświadamiam sobie, że jego sztuka leczenia ludzi takich jak ja stanowi coś w rodzaju niezwykłego tańca, połączenie chaosu i precyzji. Jest w niej wiedza, kiedy należy się cofnąć, kiedy wykonać manewr mylący, a kiedy zaatakować ostro. A wszystko po to, żeby poskładać umysł z powrotem. Ja wolę tropić seryjnych morderców.

- Nie jestem już osobą zdruzgotaną, nieumiejącą się odnaleźć po doznanych nieszczęściach. Przestałam być ofiarą, doktorze Hillstead. Nie potrafię tego wyrazić prościej. I to nie wymaga dodatkowych wyjaśnień. - Odchylam się na krześle. - Pan w ogromnej mierze przyczynił się do tego i chcę panu za to podziękować. Gdyby nie pan, mogłabym już nie żyć.

Teraz on się uśmiecha i kręci przecząco głową.

- Nie, Smoky. Nie sądzę, by mogło się tak stać. Cieszę się, iż czujesz, że ci pomogłem, ale to w tobie była wrodzona twardość. Myślę, że nie zabiłabyś się nawet, gdybyś wcześniej przypomniała sobie, co się wtedy stało.

Może tak, a może nie, myślę.

- Więc co teraz? Chcesz mi powiedzieć, że już nie będziesz potrzebowała wizyt u mnie?

Pytanie jest szczere. Nie mam poczucia, że on już sam zdecydował, jaka powinna być moja odpowiedź.

- Nie, nie pomyślałam o tym. - Uśmiecham się. - To zabawne. Gdyby ktoś rok temu zapytał mnie, czy odwiedzam psychoanalityka, rzuciłabym z wyższością jakąś złośliwą uwagę na temat tych, którzy uważają, że to jest im potrzebne. Ale mam jeszcze kilka spraw, z którymi muszę sobie poradzić... Moja przyjaciółka umierając... - Spoglądam na niego. - Wie pan, że jej córka jest teraz ze mną?

Kiwa głową z ponurą miną.

- Callie opowiedziała mi o tym, co ona przeżyła. Cieszę się, że zabrałaś ją do siebie. Na pewno czuje się teraz bardzo samotna.

- Ona nie mówi. Porozumiewamy się za pomocą ruchów głowy i gestów. Ostatniej nocy krzyczała we śnie.

Doktor Hillstead się wzdyga. Każdy zdrowy psychicznie człowiek słucha z przykrością o cierpieniach dziecka.

- Wydaje mi się, że niestety minie wiele czasu, zanim wróci do zdrowia, Smoky. Może całymi latami się nie odzywać. Najlepsze, co możesz dla niej zrobić, to właśnie robisz - po prostu jesteś przy niej. Nie próbuj zagadywać jej o to, co się wydarzyło. Jeszcze na to za wcześnie. Wątpię, czy będzie gotowa przez najbliższych kilka miesięcy.

- Naprawdę? - pytam.

W moim głosie słychać smutek. Jego oczy są pełne kojącej dobroci.

- Tak. Posłuchaj, ona potrzebuje teraz jednego. Musi wiedzieć, że jest bezpieczna i że z nią jesteś. Życie będzie biegło naprzód. Jej ufność w to, co jest dla każdego dziecka najważniejsze, a więc że rodzice troszczą się o nie, że dom jest bezpiecznym miejscem, jej wiara w te podstawy została zdruzgotana. W bardzo szczególny, straszliwy sposób. Odbudowanie tej wiary będzie wymagało czasu. A ty musisz o tym pamiętać.

Przełykam ślinę, kiwam głową.

- Moim zdaniem nie należy się spieszyć. Obserwuj ją, bądź przy niej. Myślę, że wyczujesz, kiedy nadejdzie właściwa chwila, by zacząć z nią rozmawiać na ten temat... Wówczas mnie zawiadom. Bardzo chętnie polecę ci odpowiedniego terapeutę dla niej.

- Dzięki. Martwię się jeszcze jednym, co ze szkołą?



- Z tym też musisz poczekać. Sprawą pierwszorzędą jest jej zdrowie psychiczne. - Doktor się krzywi. - Trudno przewidzieć, co się może wydarzyć. Truizmem jest przypominanie, że dzieci są nadzwyczaj odporne. Może dojść do siebie w złożonych społecznych interakcjach, jakich dostarcza szkoła, a może wymagać indywidualnego toku nauki w domu. Ale uważam, że przynajmniej w tej chwili nie powinnaś się tym zamartwiać. Sprawa jest prosta, rób tak, żeby dziewczynka wracała do zdrowia. Jeśli będę się mógł na coś przydać, chętnie pomogę.

Odczuwam ulgę. Mam wytyczoną ścieżkę i nie musiałam samodzielnie podejmować decyzji.

- Naprawdę dziękuję, doktorze.

- A co z tobą? Jak to, że wzięłaś ją do siebie, wpłynęło na twoją psychikę?

- Czuję się winna i szczęśliwa. Winna, że jestem szczęśliwa. Szczęśliwa, że jestem winna.

- Czemu tyle sprzeczności? - pyta spokojnie. Nie sugeruje, że to coś złego. Mówi: „Powiedz, czemu?”

Przesuwam dłonią po włosach.

- Myślę, że „czemu nie” byłoby lepszym pytaniem, doktorze. Boję się. Brakuje mi Alexy. Martwię się, że mogę sobie nie dać rady. Niech pan wybiera.

Doktor pochyla się skupiony, ma już pewien pomysł i nie chce, by mu umknął.

- Spróbuj wydobyć istotę tego, Smoky. Wiem, że w grę wchodzi tu wiele czynników. Jest mnóstwo powodów do emocji, ale podziel je tak, żebyś miała jasność, o co ci chodzi.

I wtedy coś dociera do mnie.

- Czuję, że ona zarazem jest Alexą i nią nie jest - odpowiadam.

To jest tak dziecinnie proste. W postaci Bonnie podarowano mi Alexę. Mam znowu córkę. Ale ona nie jest Alexą, mam świadomość, że Alexa nie żyje. Nie każda prawda wydobyta na powierzchnię jest przyjemna. Czasami prawda niesie ból, staje się punktem, od którego zaczyna się trudna wspinaczka, ogromna męcząca praca. Ta prawda powoduje, że czuję się pusta. Jest jak dzwon próbujący wydobyć głos w bezwietrznej przestrzeni.

Wiem, że jeżeli się uporam z tą prawdą, sytuacja się zmieni. Lecz praca, która mnie czeka, jest naprawdę ogromna i wiem, iż będzie dla mnie bolesna.

- Tak - mówię znużonym głosem. Prostuję się na krześle, przewyciężam ból. - Okay. Nie mam teraz na to czasu.

Te słowa brzmią dosyć ostro, ale nie przejmuję się tym. Teraz muszę być twarda. Doktor Hillstead nie czuje się urażony.

- Rozumiem. Zadbaj tylko o to, żebyś kiedyś na to znalazła czas. Kiwam głową.

- A wracając do mojego poprzedniego pytania, jakie masz teraz plany?

- Teraz? - Mój głos znowu staje się chłodny, serce też. – Zamierzam wrócić do pracy. I zamierzam znaleźć człowieka, który zabił Annie.

Doktor Hillstead wpatruje się we mnie przez długą chwilę. To spojrzenie przypomina promienie lasera. Bada mnie i ocenia, myślę, że analizuje, czy zgodzić się z moją decyzją. Co postanawia, staje się oczywiste, gdy sięga do szuflady swojego biurka i wyciąga stamtąd mojego glocka. Pistolet znajduje się wciąż w plastikowej torbie, w jakiej przechowuje się dowody.

- Pomyślałem sobie, że może usłyszę właśnie coś w tym rodzaju, więc przygotowałem go dla ciebie. - Przekrzywia głowę. - To, dlatego w gruncie rzeczy przyszedł do mnie?

- Nie - mówię z uśmiechem. - Ale to był jeden z powodów. – Chwytam pistolet, wkładam go do torebki. Wstaję i ściskam dłoń doktora. - Chciałam także, by zobaczył pan, że wyglądam teraz lepiej.

Trzyma moją dłoń w swojej odrobinę dłużej niż powinien. A ja czuję promieniującą z niego łagodność.

- Jeśli będziesz chciała porozmawiać ze mną, będę do twojej dyspozycji o każdej porze.

I niespodzianka - łyzy. Myślałam, że już z tym skończyłam. Może zresztą te łyzy są czymś dobrym. Nie chciałabym nigdy stać się nieczuła na dobroć i życzliwość okazywaną mi zarówno przez obcych, jak i przez przyjaciół.

- To tutaj pracuję, kochanie. Bonnie nie wypuszcza mojej dłoni i patrzy na mnie pytająco. - Tak, wracam do pracy. Muszę o tym powiedzieć szefowi.

Bonnie ściska mi rękę, wydaje mi się, że aprobuje moją decyzję.

Najpierw udajemy się do biura CASMIRC. Zastajemy tam tylko Callie i Jamesa.

- Cześć. - Głos Callie brzmi dość niepewnie. James podnosi głowę bez słowa.

- Callie, muszę jechać na górę i zobaczyć się z zastępcą dyrektora Jonesem. Możesz popilnować Bonnie? To nie potrwa długo.

Callie próbuje coś wyczytać z mojej twarzy, potem przenosi wzrok na Bonnie i uśmiecha się do niej.

- I co ty na to, złotko? Zostaniesz ze mną?

Bonnie widzi, że Callie patrzy na nią z czułością, czekając cierpliwie. Puszczą moją dłoń, podchodzi do Callie i bierze ją za rękę.

- Wrócę za chwilę.

Wychodzę, mając pewność, że teraz oni oboje próbują zgadnąć, jak się potoczą sprawy. Niech się pomartwią, bardzo dobrze. Wkrótce się dowiedzą.

Jadę na najwyższe piętro do gabinetu zastępcy dyrektora Jonesa. Shirley, jego sekretarka wita mnie profesjonalnym uśmiechem.

- Cześć, Smoky.

- Cześć. On jest?

- Sprawdź. - Podnosi słuchawkę i włącza interkom. Oczywiście wie, że on jest. Miała na myśli, że musi sprawdzić, czy szef zechce mnie widzieć. Nie biorę tego do siebie. Przypuszczam, że Shirley potrafiłaby zmusić samego prezydenta Stanów Zjednoczonych, by czekał cierpliwie, aż pozwoli mu wejść. - Proszę pana? Przyszła agentka Barrett. Uhm, aha, tak. - Odkłada słuchawkę. - Proszę, wejdź.

Chwyta mnie za łokieć, gdy ruszam do drzwi szefa. Na jej twarzy pojawia się lekki, swawolny uśmiech.

- Witamy z powrotem na pokładzie. Och, nie rób takiej zdziwionej miny. Każdy, kto ma trochę oleju w głowie, może odgadnąć, z czym przychodzisz. Wyglądasz świetnie, Smoky. Naprawdę świetnie.

- Z takim przenikliwym umysłem powinnaś przejść do pracy w moim zespole, Shirley.

Wybucha śmiechem.

- O, nie. Wielkie dzięki. Zanudziłabym się tam. Ta praca jest o wiele bardziej niebezpieczna.

Odwzajemniam uśmiech i otwieram drzwi do gabinetu szefa. Zastępca dyrektora Jones siedzi za biurkiem, obrzuca mnie krytycznym spojrzeniem i widocznie zauważa coś, co mu pasuje, bo kiwa głową do własnych myśli.

- Siadaj, proszę. - Zajmuję miejsce na fotelu przed nim, a on odchyła się do tyłu. - Miałem telefon od doktora Hillsteda, jakieś dziesięć minut temu. Uznał, że możesz bez żadnych zastrzeżeń wrócić do czynnej służby. Przyszłaś do mnie w tej właśnie sprawie?

- Tak. Jestem gotowa wrócić do pracy. Ale pod jednym warunkiem: chcę prowadzić sprawę Annie.

Jones kręci głową.

- No, nie wiem, Smoky. Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł.

Wzruszam ramionami.

- Więc skoro tak, odchodzę, proszę pana. Podejmę prywatne śledztwo i będę ich tropiła choćby w ten sposób.

Zastępca dyrektora Jones wygląda, jakby chciał rozdziawić usta, ale opanowuje ten odruch. Widzę, że jest wkurzony. Mało: wkurzony. Mam przed sobą wulkan, bombę wodorową, która zaraz wybuchnie.

- Stawiasz mi ultimatum?

- Tak.

Patrzy na mnie wściekłym wzrokiem, nie wierząc własnym uszom. Ale nagle mój szef kręci głową i w kącikach jego ust dostrzegam cień uśmiechu.

- Twarda z ciebie zawodniczka, agentko Barrett. W porządku, wracasz. Sprawa jest twoja.

No i już po wszystkim. Audiencja skończona. Mogę wracać do pracy. Wstaję, żeby opuścić gabinet.

- Smoky! Odwracam się od drzwi.

- Dorwij tych skurwysynów.

Gdy wracam do naszego biura, Callie i James czekają w niepewności. Wiedzą, że coś się dzieje. Uświadamiam sobie, że to dla nich moment krytyczny, dla całego zespołu. Ich życie może się zmienić i to na zawsze. Powinnam ich powiadomić o swojej decyzji od razu, jak tu przyszłam, ale nie byłam pewna, to znaczy nie byłam stuprocentowo pewna, czy zastępca dyrektora Jones pozwoli mi poprowadzić sprawę Annie. Nie blefowałam, mówiąc, że w przeciwnym razie odejdę. Tak, całkiem serio, postanowiłam.

- Jadę podzucić Bonnie do Elaine. - Callie unosi brwi, James patrzy pytająco. - Dotrzymuję słowa. Wracam.

James nie zadaje żadnych pytań. Na twarzy Callie maluje się ulga i radość. Sprawia mi to przyjemność, ale jednocześnie jestem trochę smutna. Zastanawiam się, czy ona sądzi, że wszystko będzie takie samo, jak było kiedyś. Mam nadzieję, że nie. Sprawy będą się toczyć swoim torem i praca z moim zespołem będzie mi dawała satysfakcję, lecz jesteśmy obecnie bogatsi w doświadczenia. Twardsi. Jak niepokonana drużyna, która po raz pierwszy przegrywa mecz, przekonaliśmy się, że nie jesteśmy idealnie odporni na wszystko, że można nas zranić. Nawet zabić.

Ja także się zmieniłam. Czy oni to zauważyli? A jeżeli zauważyli, to czy są z tego zadowoleni? Powiedziałam prawdę doktorowi Hillsteadowi. Przestałam być osobą psychicznie zdruzgotaną, ale to nie znaczy, że jestem tą samą Smoky Barrett, jaką byłam kiedyś.

Tam na strzelnicy doznałam czegoś w rodzaju objawienia. To było tak, jakbym usłyszała głos Boga, w którego nie wierzę. Dotarło do mnie, że już nigdy nie pokocham żadnego mężczyzny. Matt był miłością mojego życia i on odszedł. Nikt inny go nie zastąpi. Nie jest to żaden fatalizm ani depresja, tylko głęboka pewność, która niesie spokój i ukojenie. Obdarzę miłością Bonnie, będę kochała mój zespół.

Poza tym będę miała jeszcze tę jedną miłość i ona zdeterminuje resztę mojego życia: tropienie potworów. Trzymając glocka w dłoniach w tamtym momencie, zdałam sobie z tego sprawę. Nie jestem już pognębianą ofiarą przemocy. Złamałam się w jedno z pistoletem. Na dobre i na złe, dopóki nas śmierć nie rozłączy.

Zanim wysiadziemy z samochodu, pytam Bonnie:

- Wszystko w porządku, kochanie? Bonnie kieruje na mnie to swoje zbyt dorosłe spojrzenie i potakuje.

- To dobrze. - Mierzwię lekko jej włosy. - Elaine jest moją bardzo, bardzo dobrą przyjaciółką. To żona Alana. Pamiętasz Alana? Poznałaś go w samolocie.

Skinienie głowy.

- Myślę, że ją polubisz. Ale jeśli nie zechcesz u niej być, powiedz mi po prostu. Wymyślimy coś innego.

Przekrzywia główkę, jakby chciała dociec, ile prawdy jest w moich słowach. Uśmiecha się.

- Wspaniale.

Spoglądam we wsteczne lusterko. Nadjeżdżają wszechobecni Keenan i Shantz. Parkują przed nami. Wiedzą, że zostawiam tutaj Bonnie, więc oni też muszą pozostać. To daje mi prawie pewność, że nic jej się nie stanie. Prawie.

- Chodźmy, dziecińko.

Wysiadamy z auta i ruszamy w stronę domu. Dzwonimy. Otwiera nam Alan. Wygląda lepiej niż w samolocie, ale wciąż sprawia wrażenie zmęczonego.

- Hej, Smoky. Hej, Bonnie.

Bonnie podnosi głowę, jakby chciała go lepiej poznać, patrząc mu prosto w oczy. Alan wytrzymuje to z cierpliwością łagodnego olbrzymia, aż do chwili, gdy Bonnie uśmiecha się do niego z aprobatą.

- Wchodźcie do środka. Elaine jest w kuchni.

Wchodzimy, w drzwiach kuchni pojawia się Elaine. Jej oczy na mój widok rozjaśnia blask, co sprawia, że ściska mi się serce. Taka jest właśnie Elaine. Promieniuje zyczliwością i dobrocią.

- Smoky - woła i już biegnie do mnie. Chwyta mnie w objęcia, a ja odwzajemniam serdeczny uścisk.

Odsuwa się na odległość ramion. Przyglądamy się sobie wzajemnie. Elaine, choć wyższa ode mnie, w porównaniu z Alanem, ze swoim metr sześćdziesiąt wzrostu, wygląda jak karzełek. Jest niewiarygodnie piękna. Nie tak uderzająco jak Callie. To piękno jest mieszaniną urody ciała i wyjątkowej osobowości. Należy do tych kobiet, na których wygląd decydujący wpływ wywiera ich dobroć i bogactwo wewnętrzne. Chce się pozostać jak najbliżej niej. Alan określił ją kiedyś jednym zdaniem: „ona jest urodzoną mamą”.

- Cześć, Elaine - mówię wesoło. - Jak się czujesz?

W jej oczach na moment pojawia się cień i natychmiast znika. Elaine całuje mnie w policzek.

- Teraz już znacznie lepiej, Smoky. Brakowało mi ciebie.

- Mnie też was brakowało, przyjaciele. Przypatruje mi się w skupieniu.

- Znacznie lepiej - oznajmia.

Wiem, że ma mnie na myśli. Odwraca się do Bonnie i pochyla się tak, że ich twarze znajdują się na jednym poziomie.

- Ty musisz być Bonnie, prawda?

Bonnie niepewnie wpatruje się w twarz Elaine. I ten moment jakby zastyga w czasie. Elaine bez ceregieli siada obok dziewczynki na podłodze, promieniuje miłością, którą rozacza w typowy dla siebie sposób, obywając się bez słów. Jest to podświadoma moc samej natury, moc, jaką obdarzonych jest niewielu ludzi. Coś, co potrafi rozbić mur wzniesiony wokół obolałego serca. Bonnie sztywnieje, potem zaczyna drżeć, trudne do określenia fale przebiegają przez jej twarz. Nie mogę się zorientować, co się dzieje, a kiedy to do mnie dociera, doznaję wstrząsu.

To tęsknota i cierpienie, głębokie, mroczne, przepelnione smutkiem.

Uczucia Elaine są potężne, żywiołowe i bezwzględne, nie można z nimi igrać, nie ma tu miejsca na żadne ustępstwa. Przecinają Bonnie, wdzierają się głęboko i odsłaniają ukryty przed światem ból. Wszystko w jednej chwili. Widzę, jak Bonnie przegrywa wewnętrzną walkę, a potoki łez zaczynają spływać po jej wykrzywionej buzi.

Elaine otwiera szeroko ramiona i Bonnie dosłownie rzuca się w nie. Elaine podnosi ją, przytula, głaszcząc po włosach i przemawia cicho w języku będącym mieszaniną angielskiego i hiszpańskiego, którą tak dobrze pamiętam.

Stoję osłupiała. Mam ściśnięte gardło i łzy w oczach. Udaje mi się je powstrzymać. Rzucam okiem na Alana. On też z nimi walczy. Powody naszego poruszenia są takie same. Nie tylko ból Bonnie, ale i dobroć Elaine. I to, że Bonnie natychmiast zrozumiała, iż ramiona Elaine są bezpieczną przystanią w każdej potrzebie. Bo Elaine jest urodzoną mamą.

Ta chwila wydaje się trwać wiecznie.

Wreszcie Bonnie odrywa się od Elaine, ociera twarz.

- Lepiej? - pyta Elaine.

Bonnie odpowiada tylko znużonym uśmiechem. Przed chwilą wyplakała część własnej duszy i to ją wyczerpało.

- Chce ci się spać, dziecinko?

Bonnie kiwa głową, mruga oczami. Widzę, że jest gotowa zasnąć na stojąco. Elaine bierze ją na rękę, Bonnie opiera głowę na jej ramieniu i zasypia.

To było coś magicznego. Elaine wyssała z niej cierpienie i Bonnie mogła spokojnie zasnąć. Ja także kiedyś usnęłam po jej wizycie w szpitalu, po raz pierwszy od wielu dni.

Doznaję niemiłego uczucia lęku, widząc, jak Bonnie zasypia ufnie w ramionach opiekunki. Nienawidzę się za ten egoizm, ale nie mogę powstrzymać myśli, że Bonnie przywiąże się zbyt mocno do tej cudownej kobiety i ją straci. Taka możliwość mnie przeraża.

Elaine patrzy na mnie, zmrużywszy oczy.

- Nigdzie się nie wybieram, Smoky. - Jak zawsze znakomicie wyczuwa emocje i stan ducha innych osób. Pali mnie wstyd. Ale ona tak się uśmiecha, że zażenowanie mija. - Myślę, że będzie nam razem bardzo dobrze. Wy możecie zabrać się do pracy.

- Dzięki - mamrocę przez wciąż jeszcze ściśnięte gardło.

- Jeśli chcesz mi podziękować, przyjdź dziś na kolację, Smoky. - Podchodzi do mnie i dotyka mojej twarzy, tej strony, gdzie mam blizny. - Wygląda nieźle - mówi, po czym dodaje stanowczym tonem: - Zdecydowanie lepiej.

Całuje Alana i odchodzi, zostawiając wszystko odmienione jedynie przez to, że jest taka, jaka jest.

Alan i ja wychodzimy przed dom i zatrzymujemy się na werandzie. Oboje poruszeni, oszołomieni i roztrzęsieni.

Alan przerywa milczenie, ale nie słowem. Podnosi do twarzy swoje ogromne dłonie. Jego łzy płyną tak cicho jak łzy Bonnie i ich widok jest nie mniej bolesny. Łagodny olbrzym drży. Wiem, że to jest wywołane lękiem i rozumiem go doskonale. Gdy się ma za żonę Elaine, to tak jakby się poślubiło słońce. Alan boi się, że je straci. Że na zawsze zapadnie dlań ciemność. Mogłabym go próbować pocieszać, mówić, że życie toczy się dalej, że bla... bla... bla...

Ale wiem, że jest inaczej. Więc zamiast tego kładę mu dłoń na ramieniu i pozwalam, żeby się wyplakał. Nie jestem Elaine, ale przy niej nie mógłby okazać, jak bardzo cierpi i martwi się o nią. A to właśnie widzę w tym momencie. Staram się pomóc najlepiej, jak potrafię. Wiem, że za mało, ale wolę to niż zostawienie go samego z bólem.

Ten nagły atak rozpaczki mija równie szybko, jak się zaczął. Oczy Alana są już suche, i wcale mnie to nie dziwi. Tacy już jesteśmy, myślę ze smutkiem.

Choćbyśmy nawet bardzo chcieli się złamać, w gruncie rzeczy można nas tylko zgiać.



Wszyscy sprawiają wrażenie znużonych, w oczach mają czujność i napięcie, włosy w nieładzie. Twarze ogolone, ale nie tak dokładnie, jak być powinny. Wszyscy z wyjątkiem Callie, oczywiście, która jest piękna jak zawsze i wygląda nienagannie.

- Jak tam Bonnie? - pyta.

- Trudno powiedzieć. Na razie chyba wszystko w porządku, ale... - wzruszam ramionami.

Nikt nic już nie mówi na ten temat. Może poczuje się lepiej, może nigdy nie wróci do siebie. Niczego nie da się przewidzieć. Głośny sygnał rozbrzmiewa nagle w pokoju.

- Co to jest, do licha? - pytam zaskoczona.

- To sygnał oznaczający nadejście e-maila, złotko. Poczta jest sprawdzana automatycznie, co pół godziny i zawiadamia mnie, gdy coś znajdzie się w skrzynce.

- To możliwe?

Mnie wydaje się to czymś cudacznym. Pozostali członkowie zespołu patrzą na mnie z wyrozumiałością. Nie nadażam za postępem. Callie podchodzi do laptopa, odbiera pocztę, marszczy brwi.

- Mam list od psychologa.

Atmosfera letargu panująca jeszcze przed chwilą w pokoju zmienia się natychmiast, jakbyśmy wszyscy otrzymali po wstrząsie elektrycznym. Stajemy wokół biurka. W skrzynce odbiorczej widzimy pasek z najnowszą wiadomością. Tytuł: Wiadomość z piekła, nadawca: wiesz kto. Callie klika dwukrotnie i wiadomość otwiera się na całym ekranie.

*Pozdrowienia, agentko Thorne i ty, agentko Barrett.*

*Jestem pewien, że czytacie to razem. Jesteście już w swoim biurze i, czuję to, przygotowujecie się do pościgu. Muszę przyznać, że ogarnia mnie podniecenie na myśl o wydarzeniach, które nastąpią w nadchodzących dniach. Gra rozpoczęta, polowanie trwa. I nie mógłbym marzyć o bardziej godnych przeciwnikach. Mam pewną szczególną sprawę do ciebie, agentko Thorne, ale zanim do niej dojdziemy, muszę zrobić małą dygresję. Mam nadzieję, że mi to wybaczysz. Zastanawiacie się teraz, czemu rzucam wam wyzwanie tak otwarcie. Może uruchomiliście już zespół specjalistów od sporządzania profilu psychologicznego, którzy badają motywę, jakimi się kierują i próbują doszukać się jakichś znaczeń i prawidłowości w moich działaniach.*

- Chciałbyś - mruczy Callie. I nie jest to uwaga pozbawiona sensu. Oni zdradzają nam teraz coś ważnego, cząstkę tego, co nimi powoduje. Rozmyślanie o tym, że poświęcamy czas i środki, by rozszyfrować ich psychikę, świadczy o nadmiernie rozwiniętej miłości własnej. A to stanowi istotny element ich charakterystyki.

*Jednakże wyjaśnienie nie jest skomplikowane. Ja zresztą także nie jestem człowiekiem o skomplikowanej osobowości. Motywy moich działań nie są tajemnicą, którą chciałbym pieczołowicie chronić, agentko Thorn i spółka. Nie są ukryte gdzieś w mrocznych głębinach. Lśnią chłodną prostotą skalpela. Sterylnego i jasno oświetlonego.*

*Rzucam wam wyzwanie, ponieważ uważam was za godnych mnie przeciwników. Polujecie na myśliwych i mam pewność, że przez wiele lat poklepywaliście się po plecach, składaliście sobie gratulacje. Doszliście do wielkiej biegłości w tropieniu i wsadzaniu za kratki tych, którzy mordują, więc według was zasłużyli na to.*

*Zasługujecie na kogoś takiego jak ja. Bo jeżeli ci wszyscy, których złowiliście, byli mrokiem, ja jestem zupełną ciemnością. To były szakale, podczas gdy ja jestem lwem. Uważacie się za świetnych i biegłych w swoim fachu? Więc wytropcie mnie, szanowni agenci. Schwytajcie lwa.*

*Pragnę mieć przeciwników na swoją miarę, agentko Barrett. Czytaj uważnie moje listy. Wczuwaj się w mój zapach. Wychwytuj z nich śmiercionośną woń. Będzie ci to potrzebne w nadchodzących dniach.*

*Ucz się żyć ze świadomością, że stanowisz nieustannie cel ataków. Nie wiesz, co mam na myśli, ale wkrótce się dowiesz. Ucz się tego, niech ci to wejdzie w krew, bo - przyrzekam ci to - dopóki pozostanę wolny i będę mógł ciąć i rozdzierać, ty będziesz w stanie ciągłego zagrożenia.*

Te słowa budzą we mnie mimowolny dreszcz.

*A teraz wróćmy do ciebie, agentko Thorne. Potraktujmy to jak sprawę osobistą, dobrze? Chociaż to agentkę Barrett wyzywam do walki twarzą w twarz, zdaję sobie sprawę, że każda rzucona jej rękawica jest w istocie rzucona wam wszystkim. A ponieważ upłynie jeszcze jeden dzień, zanim do waszych zlaknionych, niecierpliwych rąk dotrze moja przesyłka, wykorzystajmy ten czas sensownie.*

*Agentka Barrett straciła swoją najlepszą przyjaciółkę. Przekonajmy się, czy mi się uda wykorzystać ten czas tak, byśmy mieli gwarancję, że pozostali stracą coś równie cennego dla siebie.*

Po tej zapowiedzi w mojej głowie odzywa się sygnał alarmowy. Nie znam jeszcze mojej zwierzyny tak dokładnie jak innych morderców, których ściagałam. Jeszcze ich w pełni nie rozszyfrowałam. Ale jestem pewna jednego, czegoś, co sprawia, że to zdanie brzmi jak cytata z najgroźniejszego dreszczowca - wiem, że oni nie blefują.

*Zamieszczam link do strony, którą wybrałem dla ciebie, agentko Thorne. Odwiedź ją, a wszystko stanie się jasne. Przyjrzyj się jej uważnie. Myślę, że przemówi do ciebie ironia tej sytuacji.*

*Z piekła*

*Jack Junior*

Widzimy kolorowe hiperpołączenie wbudowane w list. Callie najeżdża na nie kursorem i rozwija się polecenie: kliknij tutaj.

- Co robimy? - pyta.

- Jedź dalej - decyduję.

Callie otwiera nowe okno i czekamy, aż strona się załaduje. Na białym tle ukazują się czerwone logo w kształcie róży, pod nim napis: PRAWDZIWA RUDOWŁOSA AMATORKA. Wyłania się reszta obrazu, w który wpatrujemy się z niedowierzaniem.

Alan marszczy czoło.

- Co, do cholery? Czy to...?

Fotografia na ekranie ukazuje wysoką, piękną rudowłosą kobietę najwyżej dwudziestoparoletnią, ubraną tylko w czerwone stringi. Dziewczyna patrzy z uwodzicielskim uśmiechem prosto w obiektyw aparatu, więc jej twarz widać bardzo wyraźnie.

Odwracam się do Callie. Jest biała jak ściana. Cała krew uciekła jej z twarzy. Oczy są rozszerzone z przerażenia.

- Co to jest, Callie?

Wszyscy patrzymy teraz na nią, bo młoda kobieta, która ukryła się pod czerwoną różą, jest tak podobna do Callie jak bliźniacza siostra.

- Callie!?

W głosie Alana brzmi wyraźny niepokój. Rusza ku niej, gdy ona cofa się od biurka i uderza plecami w ścianę, podnosi pięść do ust, drży na całym ciele. Alan wyciąga do niej rękę. I naraz Callie wybuchła. Jakby do pokoju w środku jasnego dnia wdarł się huragan. Strach znika z jej

rozszerzonych oczu, ustępując miejsca gniewowi tak wielkiemu, że ponownie wstrząsa mną dreszcz.

Callie zwraca się do Lea z wykrzywioną twarzą, wrzeszcząc, na co on aż odskakuje do tyłu. Jej usta nie przestają krzyczeć.

- Znajdź jej pieprzony adres! Natychmiast! Już, już, już!

Leo bez słowa siada przy komputerze. Callie pochyla się nad biurkiem, ściskając jego krawędź tak mocno, że jej palce bieleją. Powietrze wokół niej jest jakby naładowane elektrycznością; wydaje się, że za moment zacznie iskrzyć.

James jest jedyną osobą, która nie reaguje na jej gniew.

- Callie - pyta spokojnie - kto to jest? Oczy Callie miotają błyskawice.

- To moja córka.

Wydaje nagły okrzyk i szarpie biurko, które wraz z laptopem leci na podłogę.

Wszyscy zamieramy w miejscu. Nie przejmujemy się wybuchem Callie, ale usłyszana rewelacją.

- Martwy, martwy, martwy. Już jesteś martwy, sukinsynu! - Obraca się szybko w moją stronę. - Słyszysz, Smoky? - Jest w tym okrzyku męka.

A ja widzę siebie, mierzącą do niej z pistoletu kilka miesięcy temu, i usiłującą ją zabić mimo pustego magazynka. Tak, słyszę ją dobrze.

- Znajdź adres właściciela strony, Leo - mówię, nie odrywając wzroku od Callie. - Znajdź szybko.

Siedzę na miejscu pasażera w samochodzie Callie, modląc się, żebyśmy jakoś przeżyły tę jazdę do naszego celu w Ventura County. Callie prowadzi wóz autostradą numer 101 szaleńczo, jakby zamierzała pokonać barierę dźwięku. Mam nadzieję, że pozostali członkowie zespołu nadążają za nami. Leo wyszukał adres, pod którym jest zarejestrowana właścicielka internetowego królestwa Czerwonej Róży. Callie wypadła wtedy z pokoju, zanim ktokolwiek z nas zareagował. Mogłam tylko popędzić jej śladem. Patrzę teraz na nią i widzę kogoś przerażonego i zarazem groźnego.

- Rozmawiaj ze mną, Callie - mówię, łapiąc kurczowo uchwyt nad drzwiami.

- Zajrzyj do mojego portfela - słyszę w odpowiedzi. - Jest w torebce.

Otwieram portfel i wiem, co chciała mi pokazać. To mała czarno-biała fotografia. Ten rodzaj zdjęcia, jakie wykonuje się w szpitalu. Pokazuje noworodka ze zmrużonymi oczkami i głową wciąż jeszcze lekko jajowatą po zaciekłych trudach wydostania się na świat.

- Miałam piętnaście lat - mówi Callie, wykonując z piskiem opon skręt o sto osiemdziesiąt stopni. - Byłam głupia i naiwna. Spałam z Billym Hamiltonem, bo był tak czarujący i pachniał tak pięknie, że pozwoliłam, by mnie rozebrał. Czy to nie śmieszne, złotko? Tylko tyle o nim zapamiętałam. Pachniał naprawdę przyjemnie, słońcem i deszczem.

Nie odpowiadam.

- Billy zrobił mi dziecko i to był skandal, jaki się nigdy dotąd nie zdarzył w rodzinie Thorne'ów. Tata prawie się mnie wyrzekł. Mama poszła do kościoła i nie wychodziła stamtąd przez parę dni. Aborcja była wykluczona, bo byliśmy porządną katolicką rodziną, rozumiesz? - Callie mówi o tym wszystkim z goryczą i bólem. - Nasi rodzice spotkali się i zastanawiali, co z tym fantem zrobić. Oto jak załatwiono sprawę w ekskluzywnym Connecticut. Billy miał przed sobą przyszłość. Ja też mogłam mieć, chociaż, oczywiście, moja reputacja była nadszarpięta. - Callie ściska kurczowo kierownicę. - Zdecydowali, że ukończę rok szkolny i urodzę spokojnie dziecko, które zostanie oddane do adopcji. Naukę miałam kontynuować w domu pod pretekstem silnej alergii, uniemożliwiającej mi uczęszczanie do szkoły. A skoro tak postanowiono, tak się wszystko dokładnie potoczyło. Czas sprzyjał tym planom. Urodziłam pod koniec wakacji i mogłam jak gdyby nigdy nic rozpocząć nowy rok szkolny. I tak prawie czułam, jakby się to nigdy nie wydarzyło. - Kolejny skręt o sto osiemdziesiąt stopni, opony piszczą. - Nie wolno mi było spotykać się z chłopakami, a Billy'ego ostrzeżono, że ma milczeć pod groźbą śmierci. - Callie wzrusza ramionami. - Nie był złym chłopcem. Trzymał buzię na kłódkę i nigdy nie odnosił się do mnie źle.

Cała sprawa była jak wyjazd gdzieś daleko. - Kiwa głową w stronę fotografii, którą trzymam w ręku. - Ale chociaż byłam smarkata i naiwna, wiedziałam, że nie było słuszne udawanie, iż to tylko zły sen. Jedna z pielęgniarek zdobyła dla mnie to zdjęcie. Zmuszałam się, by oglądać je przynajmniej raz na miesiąc, aż wreszcie podjęłam decyzję.

Jej głos spoważniał. Mogę ją sobie wyobrazić, jak siedzi samotnie w swoim pokoju i składa milczącą przysięgę: Koniec z głupotą i naiwnością. Koniec z katolicyzmem i ze zdawaniem się na decyzje kogokolwiek, gdy chodzi o moje życie.

- Chryste, Callie - szepczę, bo nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

- Niestety, nie próbowałam jej odnaleźć, Smoky. Czułam, że to nie byłoby w porządku. Wiedziałam, że ma nową rodzinę i powinna żyć własnym życiem. - Callie śmieje się, jest to śmiech bolesny, dźwięczący jak uderzenie noża o metal. - Ale okazuje się, że to, co ludzie mówią, jest prawdą, złotko. Nigdy nie przestajesz być matką, nawet, jeśli wyrzekniesz się dziecka. Ona zajmuje się pornografią internetową i prawdopodobnie już nie żyje, bo to ja jestem jej matką. Życie potrafi być zaskakujące, prawda?

Jej dłonie na kierownicy drżą. Patrzę na małe zdjęcie. To temu przyglądała się, gdy byliśmy w barku kanapkowym. Callie bezpośrednia i prześmiewcza, znana z tego, że „co w głowie, to na języku”, tak pełna niezachwianej pewności siebie. Ile razy w roku wyjmowała je z portfela i odczuwała ten smutek, jaki widziałam na jej twarzy wtedy, gdy wróciłam z toalety?

Wyglądam przez okno. Pofalowane wzgórza śmigają za nim, od czasu do czasu mijamy oznakowanie drogi wyjazdowej. Dzień kapie od złota słonecznego światła, niebo jest bezchmurne, doskonale błękitne. To jest ten rodzaj jasności, która staje przed oczami, gdy się wymawia słowo Kalifornia.

Pieprzyć doskonałe niebo i blask słońca. Mam chęć krzyknąć właśnie teraz, ponieważ rzeczywistość zwała wszystkie pieczołowicie ustawione kręgle: Matt, Alexa, Annie, Elaine... wreszcie Callie.

Zamiast tego całą emocję wkładam w słowa:

- Posłuchaj, Callie. Może nic jej nie zrobili, chcieli cię tylko nastraszyć, wciągnąć do gry.

Callie nie odpowiada, jej oczy są pełne rozpacz i lęku. Dodaje gazu.

Dzięki wyścigowej jeździe Callie docieramy do Moorpark zaledwie w trzydzieści minut. To małe miasteczko w pobliżu Simi Valley i Thousand Oaks, zamieszkane przez wyższą i średnią klasę. Jesteśmy w centrum podmiejskiej dzielnicy. Zatrzymujemy się przed piętrowym domem pomalowanym na niebiesko. Wokół panuje niczym niezmacony spokój. Sąsiad po drugiej stronie drogi strzyże trawnik przed domem. Banalność tego jest surrealistyczna.

Callie wyskakuje z samochodu, z pistoletem gotowym do strzału. Czerwonowłosa maszyna śmierci napędzana rozpaczą i strachem.

- Do kurwy nędzy - mruczę pod nosem, usiłując ją dogonić. – To wszystko nie tak.

Spoglądam wzdłuż ulicy z nadzieją, że Alan lub James prują za nami, ale wokół panuje wciąż ten sam podmiejski spokój. Jestem tuż za Callie przy drzwiach. Sąsiad wyłączył kosiarkę i cofa się lekko z podnieceniem w oczach.

Callie bez wahania wali w drzwi.

- FBI - krzyczy. - Otwierać! Otwierać!

Cisza, a potem stuk obcasów zbliżających się do wejścia. Callie stoi z wytrzeszczonymi oczami, ściska pistolet ze wszystkich sił. Zza drzwi dobiega głos. Kobięcy.

- Kto tam?

- FBI, proszę otworzyć - mówi Callie z palcem znieruchomiałym na osłonie spustu. - Proszę otworzyć.

Wyobrażam sobie wahanie po drugiej stronie, wyczuwam je. Klamka się porusza, drzwi się otwierają i... Widzę przed sobą córkę Callie, żywą i wystraszoną widokiem broni w naszych rękach. W ramionach trzyma niemowlę.

Jesteśmy wewnątrz. Callie siedzi w salonie z twarzą ukrytą w dłoniach. Ja jestem w kuchni i rozmawiam przez komórkę z Alanem.

- Nic się tu nie stało - mówię. - On ostrzegł tylko Callie.

- Jesteśmy jakieś dziesięć minut za wami, chcesz, żebyśmy do was dołączyli?

Callie siedzi z córką w salonie. Adrenalina opadła, ale atmosfera jest napięta.

- Nieee... Myślę, że im mniej osób tu będzie, tym lepiej dla nich. Wracajcie do biura. Zadzwoń.

- Przyjąłem.

Alan się rozłącza. Biorę głęboki wdech i wchodzę w środek tego emocjonalnego cyklonu.

Córka Callie, Marilyn Gale, nerwowo chodzi po pokoju. Gładzi dziecko po plecach, bardziej by uspokoić siebie, a nie maleństwo.

Boże, wygląda jak skóra zdjęta z Callie. Sama jeszcze tego nie zauważyła. Jest odrobinę niższa, troszeczkę cięższa, rysy twarzy ma bardziej miękkie. Ale te charakterystyczne rude włosy... Twarz i figura tak samo jak u modelki, tylko oczy inne. Pamiątka po Billym Hamiltonie, myślę. Podobieństwo do Callie najbardziej uwypukla gniew. Marilyn jest wkurzona tym całym strachem, który przeżyła z powodu naszego najścia.

- Może wytłumaczcie mi wreszcie, co się dzieje? - pyta ostrym, piskliwym głosem. - Dlaczego dwie agentki FBI wałą w moje drzwi z pistoletami w rękach?

Callie nie odpowiada. Skrywa wciąż twarz w dłoniach. Jest chyba skrajnie wyczerpana. To ja muszę wziąć na siebie ciężar wyjaśnień.

- Zechce pani usiąść, pani Gale. Oczywiście wytłumaczę pani wszystko, ale przedtem wszystkie powinnyśmy się chyba trochę uspokoić.

Marilyn zatrzymuje się i rzuca mi wściekłe spojrzenie. Od razu widać, że geny kształtują też osobowość. W jej oczach jest stal, jaką widywałam wiele razy w ostrym spojrzeniu Callie.

- Dobrze, mogę usiąść. Ale proszę nie żądać ode mnie, żebym się uspokoiła.

Uśmiecham się do niej blado. Siada. Callie nie podnosi głowy.

- Smoky Barrett, agentka specjalna i...

- Barrett? - przerywa mi. - Jest pani tą agentką napadniętą pół roku temu, która straciła rodzinę?

Czuję ukłucie w sercu, ale odpowiadam:

- Tak, pani Gale.



To bardziej niż cokolwiek innego uśmierza jej obawy. Jest jeszcze zdenerwowana, ale jej gniew miesza się teraz ze współczuciem. Cyklon słabnie. Widać jeszcze tylko pojedyncze błyskawice na obrzeżach.

- Bardzo mi przykro - mówi.

Wpatruje się w moje blizny, przygląda im się spokojnie i uważnie, bez odrazy. Patrzy mi prosto w oczy i w jej wzroku dostrzegam coś, co mnie zaskakuje, nie litość, lecz szacunek.

Biorę głęboki wdech.

- Dowodzę sekcją oddziału FBI w Los Angeles zajmującą się brutalnymi seryjnymi morderstwami. Ścigamy człowieka, o którym wiemy, że zabił już jedną kobietę. Wysłał do agentki Thorne e-maila, z którego wynika, że pani może być jego kolejną ofiarą.

Marilyn blednie, przyciska mocniej dziecko.

- Co! Ja? Dlaczego?

Callie unosi głowę, twarz ma wymiętą, zmęczoną.

- On poluje na kobiety, które mają witryny erotyczne w Internecie. Przysłał nam list z linkiem do pani strony.

Strach na twarzy Marilyn ustępuje miejsca zdumieniu.

- Że jak? Ależ... ja nie mam żadnej strony w Internecie. A już na pewno nie zajmuję się pornografią, na miłość boską! Studiuję w college'u, obecnie jestem na urlopie macierzyńskim. To jest drugi dom moich rodziców, w którym teraz mieszkam.

Zapadła cisza. Callie wpatruje się w nią uważnie, widzi jej konsternację, zdaje sobie sprawę, że to nie jest udawane. Marilyn mówi prawdę. Callie przymyka oczy, na jej twarzy pojawia się wyraz ulgi i smutku. Rozumiem ją. Cieszy się, że jej córka nie zajmuje się pornografią, ale wie też, że jedynym powodem, dla którego córka przyciągnęła uwagę Jacka Juniora, jest ona sama. Obezwładniające uczucie ulgi połączone z bolesnym poczuciem winy. Jakże doskonale to znam.

- Jesteście pewni, że temu człowiekowi chodzi o mnie?

- Tak, jesteśmy pewni.

- Ale ja nie prowadzę witryny erotycznej.

- On ma, więc inny powód. - Callie waha się chwilę. - Czy pani została kiedyś adoptowana?

Marilyn marszczy czoło.

- Tak. Adoptowano mnie. Czemu pani...

Patrzy na Callie, teraz dopiero widzi ją naprawdę i jej głos zamiera. Otwiera szerzej oczy, otwiera usta. Studiuje twarz Callie, widać, jak dokonuje porównania wszystkich szczegółów i doznaje olśnienia.

- Pani... pani jest... Callie uśmiecha się gorzko.

- Tak.

Marilyn nieruchomieje zszokowana. Uczucia zaczynają przelatywać przez jej twarz jedno po drugim. Zaskoczenie, niedowierzanie, żal, gniew.

- Ja... ja nie wiem, co... - przyciska niemowlę do siebie. - Pójdę go położyć. Zaraz wrócę.  
Wybiega z salonu i pędzi na górę.

Callie odchyła się do tyłu, przymyka oczy. Wygląda tak, jakby miała zamiar spać tu przez milion lat.

- Wszystko poszło dobrze, złotko.

Ma znużoną twarz. Co mogę jej teraz powiedzieć?

- Ona żyje, Callie.

Tą prostą prawdą trafiam w sedno. Podobną uwagę usłyszałam od niej w szpitalu przy łóżku Bonnie.

- Promieniuje z ciebie optymizm, złotko.

Chociaż jest jeszcze zdenerwowana, brzmi to nieźle.

Stukają obcasy na schodach, wraca Marilyn. Prawdopodobnie wykorzystwała czas na górze, by uporządkować myśli i odzyskać panowanie nad sobą. Wydaje się powściągliwa, skupiona, może trochę zaintrygowana.

Jej opanowanie mnie nie dziwi, z taką matką.

- Może się panie czegoś napiją? Kawy? Wody?

- Ja poproszę kawę - odpowiadam.

- Ja napiję się chętnie wody - mówi Callie. - Nie potrzebuję w tej chwili żadnych podniet.

Wywołuje to cień uśmiechu na twarzy Marilyn.

- Jedną chwilkę.

Wychodzi do kuchni i wraca z tacą. Podaje mi kawę, wręcza Callie szklanekę z wodą, bierze filiżankę dla siebie i siada na kanapie z podwiniętymi nogami. Przygląda się Callie na spokojnie.

Teraz, gdy lody zostały przełamane, widzę jej bystre inteligentne spojrzenie, wewnętrzną siłę. Nie jest tak twarda jak matka, ma w sobie coś z Elaine. Mieszanina macierzyństwa i stali.

- Więc jesteś moją mamą - mówi, przechodząc od razu do rzeczy.

- Nie.

Marilyn marszczy brwi.

- Ale... wydawało mi się, że powiedziałaś, przepraszam, powiedziała pani...

Callie unosi dłoń.

- Twoją mamą jest ta, która cię wybrała i wychowała. Ja jestem tą, która cię urodziła.

Przykro mi tego słuchać, bo słyszę ból w jej głosie. Twarz Marilyn się rozpuściła.

- Świetnie, więc poznałam swoją matkę biologiczną.

- Winną postawionemu oskarżeniu.

- Ile pani ma lat?

- Trzydzieści osiem.

Marilyn kiwa głową i coś sobie oblicza.

- Więc miała pani piętnaście lat, kiedy się urodziłam? - Upija łyk kawy. - Była pani taka młoda.

Callie milczy. Marilyn przygląda się jej bez gniewu, z ciekawością. Zastanawiam się, czy Callie też to widzi.

- Chciałabym poznać tę historię.

Callie odwraca wzrok. Sączy wodę. Ja staram się być niewidzialna. Śmieszy mnie ta sytuacja. Wpadamy tu nagle z bronią gotową do strzałów i opowieścią o seryjnym mordercy, ale Marilyn przede wszystkim chce się dowiedzieć jak najwięcej o swojej matce.

Callie zaczyna mówić, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Opowiada historię o czarującym Hamiltonie i apodyktycznych Thornach. Marilyn popija kawę i słucha, nie przerywając. Gdy Callie kończy swoją historię, jej córka gwizdże przeciągle.

- No, no! To wszystko jest do dupy.

Uśmiecham się mimo woli. Z całą pewnością krew Callie. Istny wzór powściągliwości.

Callie nie mówi nic. Jest zrezygnowana, jakby oczekiwała ogłoszenia wyroku.

Marilyn wzrusza ramionami i macha ręką jak sędzia oddalający sprawę.

- To nie twoja wina. To znaczy to wszystko było do dupy, ale miałaś przecież tylko piętnaście lat. Nie obwiniam cię o to, co się stało - oznajmia nagle.

Callie wpatruje się w blat stolika. Marilyn przyciąga ją wzrokiem.

- Naprawdę nie mam do ciebie żalu. Posłuchaj, zostałam adoptowana przez wspaniałych ludzi. Kochamy się. Zapewnili mi dobre życie. To powinno coś znaczyć. Nie zrozumiem mnie źle, ale ja przeżyłam dwadzieścia trzy lata, czując się zdradzona i porzucona. - Wzrusza znowu ramionami.

- Nie wiem. Życie nie biegnie prostymi drogami. Nagle okazuje się, że właściwie to było trudniejsze dla ciebie niż dla mnie. Myślałam czasem o tobie - dodaje po chwili przerwy. - Rzeczywistość wygląda znacznie lepiej, niż sobie wyobrażałam.

- Co masz na myśli? - pyta Callie.

Marilyn uśmiecha się szeroko.

- No, wiesz, mogło się okazać, że moja matka jest luksusową dziwką albo, że mnie nienawidziła. Że nie żyje. Wierz mi. Twoja historia jest o wiele łatwiejsza do przełknięcia.

Słowa Marilyn wywierają na Callie magiczny wpływ. Jej skóra nabiera koloru, oczy odzyskują blask. Prostuje się na fotelu.

- Dziękuję, że to powiedziałaś. - Przerywa. Opuszcza znów oczy. - Przepraszam, tak mi przykro. - Mówi to z takim bólem, że mam po prostu chęć ją przytulić.

Oczy Marilyn się rozjaśniają. Mówi z przyganą:

- Przestań się oskarżać i zadreć. W pewnym sensie cię rozumiem.

- Jak to?

- Zauważyłaś chyba, że mam dziecko? Ale nie jestem panią Gale, tylko panną Gale...

Callie marszczy brwi.

- Chcesz powiedzieć, że...

Marilyn kiwa głową.

- Właśnie. Ja też miałam swojego Billy'ego Hamiltona. Teraz jest już dobrze. On odszedł, a ja mam Stevena. To całkiem uczciwy podział. Moi rodzice utrzymują mnie i zadbają o to, żebym ukończyła college. - Uśmiecha się. - Podoba mi się moje życie. - Pochyliła się do przodu i upewnia, czy Callie na nią patrzy. - Powinnas wiedzieć, że to, co zrobiłaś, nie zniszczyło mnie, rozumiesz?

Callie wzdycha. Bębni palcami w stół. Upija łyk wody. Myśli o tym, co usłyszała.

- Rozumiem, do diabła. - Teraz i ona się uśmiecha. - Dziwne uczucie, uzyskać tak łatwo przebaczenie. - Waha się przez chwilę, po czym sięga do torebki. - Chcesz coś zobaczyć? - pyta. Wyciąga fotografię noworodka, którą mi pokazywała i wręcza ją córce.

Marilyn przygląda się zdjęciu uważnie.

- To ja?

- W dniu, kiedy przyszedł na świat.

- No, no. Nie grzeszyłam urodą. - Przenosi wzrok z fotografii na Callie. - Nosisz to przy sobie przez te wszystkie lata?

- Zawsze.

Marilyn oddaje zdjęcie Callie. Jej oczy łagodnieją. Potem mówi coś w jej stylu:

- O rany, to zupełnie jak w Najważniejszym momencie w życiu przygotowanym na show w telewizji, nie?

Patrzemy po sobie, a potem jednocześnie wybuchamy śmiechem. Wszystko idzie dobrze, myślę.

Jesteśmy na górze w pokoju Marilyn i oglądamy w komputerze witrynę Czerwonej Róży.

- Chciałabym tak wyglądać - mówi Marilyn - ale wierzcie mi, to nie ja. - Uśmiecha się do Callie. - Nie mam takich dużych piersi. Za to mam rozstępy na brzuchu.

- Zwyczajny fotomontaż - odpowiada Callie. - Twoja twarz plus ciało jakiejś panny Topless. Zrobił to po to, by mnie nastraszyć i ostrzec.

Marilyn odwraca głowę od komputera.

- Czy grozi mi niebezpieczeństwo? Nam - Stevenowi i mnie?

Callie nie odpowiada od razu. Waży słowa.

- To możliwe, nie mogę mieć pewności. Wprawdzie nie odpowiadasz profilowi jego ofiar, ale...

- Seryjni mordercy są nieprzewidywalni.

- Właśnie.

Marilyn kiwa głową w zamyśleniu. Dziwi mnie, że nie wydaje się przestraszona.

- Chyba będę musiała przemyśleć zmianę kierunku studiów. Callie marszczy brwi.

- A co studiujesz?

- Kryminologię.

Callie otwiera szeroko usta. Ja także.

- Żartujesz?

- Wcale nie żartuję. Dziwne, co? - Marilyn uśmiecha się krzywo. - Czyżby zbieg okoliczności? - mówi półgłosem. - Nie sądzę.

Cień uśmiechu przebiega po twarzy Callie.

- Rzeczywiście, co za niezwykle dni.

- Wyjątkowo dziwne, mam - żartuje w odpowiedzi Marilyn, nawiązując do piosenki Johna Lennona. Obie wybuchają śmiechem.

- Nie chcę żadnego ryzyka - mówi z powagą Callie. - Załatwię wam ochronę, dopóki to się nie skończy.

Marilyn potakuje. Jest matką, nie zamierza odrzucać tej oferty.

- Myślisz, że to się wkrótce skończy?

Callie obdarza ją ponurym uśmiechem. Wiele, bardzo wiele obiecuje chyba w duszy Jackowi Juniorowi.

- Jesteśmy dobre, Marilyn. - Wskazuje na mnie. - Ona jest w ogóle najlepsza. Spośród wszystkich agentów i agentek.

Marilyn mi się przygląda. Ocenia moje blizny.

- Czy to prawda, agentko Barrett?

- Dopadniemy go - odpowiadam i postanawiam na tym poprzestać Chcę okazać pewność siebie, zachowując wątpliwości dla siebie. - Zazwyczaj ich dopadamy. Te typy prawie zawsze robią jakiś błąd. On też popełni i to nas doprowadzi do niego. Marilyn spogląda to na mnie, to na Callie.

- A co teraz? - pyta.

- Teraz - mówię - Callie zadzwoni do tutejszego komisariatu i załatwi całonocną ochronę twojego domu. Ja skontaktuję się z naszym zespołem i opowiem im, co się tu wydarzyło. Oni tam już wyskakują ze skóry.

Wykonujemy telefony. Alan ekspresyjnie wyraża swoją ulgę. Callie nie napotyka na żaden opór ze strony miejscowej policji.

- Funkcjonariusze już są w drodze - mówi.

- My też powinniśmy wracać, gdy tylko się zjawią - mówię z niechęcią.

Callie waha się, potem jednak potakuje.

- Jasne. - Odwraca się do Marilyn, przygryzając dolną wargę. - Marilyn... czy mogę... - Wybuchła śmiechem. - Jakże to wszystko jest dziwaczne, wręcz surrealistyczne, złotko. Ale powiedz, czy będziemy się mogły spotykać?

- Oczywiście - odpowiada Marilyn z promiennym uśmiechem. - Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim? - pyta Callie.

- Że powiesz mi, jak masz na imię. Nie mogę cię nazywać agentką Thorne.

Siedzimy w samochodzie. Callie nie zapala silnika. Obserwuje dom swojej córki. Nie potrafię rozszyfrować jej miny, a tym bardziej odgadnąć jej myśli.

Zadaję, więc banalne pytanie:

- Jak się z tym czujesz?

Callie odrywa wzrok od domu. Twarz ma zmęczoną i zamyśloną.

- Dobrze, złotko. Nie mówię tego po to, by cię uspokoić. Poszło lepiej, niż sobie kiedykolwiek wyobrażałam. I na co mogłam liczyć. Ale czegoś nie rozumiem.

- Czego?

- Co chcieli osiągnąć straszeniem mnie? Co miałam stracić? Napisał, że każde z nas coś utraci, a ja właśnie coś zyskałam. Czy sądzisz, że oni chcieli, by tak się to potoczyło?

Zastanawiam się nad jej słowami.

- Nie - mówię. - Jestem pewna, iż sądzili, że ona cię nie zaakceptuje i że to będzie dla ciebie ciosem, który cię na dobre wyłączy z gry.

Callie zaciska wargi.

- Nie wiem, zgadzam się, co do pierwszego, ale nie przypuszczam, by mnie tak nisko ocenili. Raczej liczyli na coś przeciwnego. Wyczuwam, o co im chodzi. Nie chcą przegrać, ale chcą, byśmy ich tropili. I żebyśmy dali z siebie wszystko w tej grze. - Patrzy na mnie wściekłym wzrokiem. – Wiesz, co? To im się naprawdę udało. Nie spoczne, dopóki ich nie dorwiemy. Tylko o to im chodziło w tej całej intrydze, rozumiesz? Dali mi do zrozumienia, że ona nigdy nie będzie bezpieczna, dopóki ich nie złapiemy.

Czuję, że ma rację. Callie ma wnikliwy umysł, skłonny do zdumiewających olśnień. Dlatego, między innymi, jest taka dobra. Mówię, więc coś, co wydaje mi się sensowne w tych okolicznościach:

- No to dorwijmy ich.

Powrót wydaje się trwać całą wieczność. Zanim wyruszyliśmy w drogę, zrobiło się już po drugiej, a w południowej Kalifornii godziny szczytu zaczynają się wcześniej. Docieramy wreszcie do biura, gdzie wszyscy witają nas z niecierpliwością.

- Nie pytajcie mnie o nic, kochani - mówi Callie, unosząc rękę. - Niczego wam teraz nie powiem.

Dzwoni jej telefon komórkowy, pozwalając uniknąć pytań. Callie ponownie opuszcza zasłonę skrywającą pewne jej tajemnice, co przyjmujemy z zadowoleniem, bo to oznacza, że jest taka jak dawniej, zawsze w dobrej formie. To, co ją spotkało, mogło się przydarzyć każdemu, ale widok bezradnej Callie działał wyjątkowo deprymująco. Zastanawiam się, czy nie jest to jeden z powodów, dla których znów zamyka się w sobie. Robi to ze względu na nas.

- Wertuję znowu akta sprawy Annie - przerywa milczenie Alan. - Coś mnie tu niepokoi, ale nie wiem dokładnie, co.

Kiwam głową, lecz nie potrafię się skupić na tym, co powiedział. Może jestem po prostu zmęczona. Patrzę na zegarek ze zdumieniem, że dzień się już kończy.

W naszej pracy limity godzin obowiązują tylko teoretycznie. Gra idzie tutaj o zbyt wysoką stawkę. Sytuacja jak na wojnie, kiedy świszczą kule, musisz się ostrzeliwać bez względu na to, która jest godzina. A jeśli masz okazję ruszyć do ataku na wroga, robisz to, nie patrząc, czy jest czwarta rano, czy po południu. I tak jak na froncie, potrafisz wykorzystać każdą chwilę ciszy i spokoju, by wypocząć, bo nie wiadomo, kiedy nadarzy się następna okazja.

Wygląda na to, że mamy właśnie ten moment. Podejmuję, więc decyzję jak dobry generał.

- Rozejdźmy się już do domów. Nie wiadomo, jakie obłądne rzeczy przytrafią nam się jutro. Spróbujmy trochę odpocząć.

James podchodzi do mnie.

- Ja przyjdę dopiero po południu - oznajmia spokojnie. - Jutro jest ten dzień.

Dopiero po chwili dociera do mnie, co ma na myśli.

- Och, przepraszam, James, zapomniałam. Proszę, przekaz swojej mamie ukłony ode mnie.

James wychodzi bez słowa.

- Ja też przez to wszystko zapomniałam, złotko - mruczy Callie. - Pewnie, dlatego, że to jedyny ludzki odruch u Damiena.

- O czym zapomniałyście? - pyta Leo.



- Jutro jest rocznica śmierci siostry Jamesa - wyjaśniam. - Została zamordowana. Każdego roku rodzina zbiera się na cmentarzu.

- O, kurwa - wyrzuca z siebie Leo z gwałtowną pasją. Twarz wykrzywia mu cierpki grymas. Wykonuje pojednawczy gest. - Przepraszam. Po prostu to całe gówno działa mi na nerwy.

- Witamy w klubie, złotko. - W głosie Callie nie słyszę żadnej uszczypliwości.

- Aha... Rozumiem. - Leo bierze głęboki wdech, wypuszcza powietrze. Przeczesuje palcami włosy. - Do zobaczenia jutro.

Po raz ostatni macha ręką na pożegnanie jakby bez przekonania i znika za drzwiami. Callie odprowadza go wzrokiem.

- Pierwsza sprawa jest zawsze trudna. A ta jest wyjątkowo wredna.

- Taak. Ale on się nada.

- Też tak myślę. Początkowo nie miałam, co do tego pewności. Teraz widać, że mały Leo robi postępy. A ty? Co będziesz robić dziś wieczorem?

- Będzie u nas na kolacji - mruczy Alan. Patrzy na mnie wyczekująco. - Elaine nalega.

- Nie wiem, czy...

- Powinnaś iść, Smoky. Dobrze by ci to zrobiło - oznajmia Callie. Spogląda na mnie znacząco. - I byłoby to także dobre dla Bonnie. - Podchodzi do biurka i chwyta torebkę. - Zresztą ja też mam taki zamiar.

- Będziesz na kolacji u Alana?

- Nie, głuptasie. To był telefon od mojej córki. Dziwne, prawda? W każdym razie będę jadła dziś wieczorem kolację z nią i z moim - dreszcz mnie przechodzi na tę myśl - wnukiem.

- To cudownie, Callie. - Uśmiecham się. - Albo może powinnam powiedzieć: babuniu?

- Nie próbuj, jeśli chcesz nadal nazywać się moją przyjaciółką, złotko - odpowiada wesoło.

Przed wyjściem mówi jeszcze: - Idź na kolację, zrób coś normalnego jak inni ludzie.

- No, więc jak? Przyjdiesz, czy chcesz, żebym oberwał po uszach od Elaine?

- Oj, na miłość boską! Przyjdę!

Alan obdarza mnie szerokim uśmiechem.

- Spotkamy się u nas.

Po chwili nie ma już ani jego, ani Callie. Zostaję sama i mogę spokojnie pomyśleć. Postanawiam iść za radą Callie. Szalę przeważyla jej uwaga na temat Bonnie. To na pewno byłoby lepsze dla niej niż powrót do mojego - jak on to określił? - „domu podobnego do statku widma”. Ale chcę jeszcze trochę posiedzieć w biurze. Sprawy toczą się z szaloną szybkością. Odczuwam tego psychiczne i fizyczne skutki. Jestem zarazem pobudzona i wyczerpana. Dokonuję podsumowania zdarzeń ostatnich dni.

Uwolniłam się od samobójczych myśli, obudziłam w sobie pragnienie życia. Los dał mi córkę, która może nigdy nie wróci do zdrowia. Wydobyłam z podświadomości fakt, że zabiłam Alexę. Dowiedziałam się, że bliska mi osoba ma raka, że Callie ma nie tylko córkę, ale i wnuka. Zdobyłam wiedzę na temat przemysłu pornograficznego znacznie większą niż kiedykolwiek bym chciała.

Tak, kule rzeczywiście świszczą. W tym momencie jednak nie słyhać strzałów, panuje zbawcza cisza. Czas wykorzystać ją jak przystało na dobrego żołnierza. Opuszczam biuro. Zjeżdżając windą, uświadamiam sobie, że ta cisza różni się od ciszy przeciętnych ludzi. Jest okazją do wypoczynku, prawda. Ale jest też pełna oczekiwania, ponieważ nigdy nie wiadomo, kiedy znowu rozlegną się strzały.

Czy Jack Junior i jego kompan robią w tej chwili to samo? Odpoczywają przed swoim kolejnym atakiem?

Gdy Alan otwiera drzwi, jeden rzut oka na niego uruchamia gdzieś we mnie dzwonek alarmowy. Wygląda na rozjuszonego. Walczy ze łzami i chęcią mordy.

- Ten skurwysyn - wyrzuca z siebie.

- Co? - pytam zaskoczona i przeciskam się obok niego do środka. - Czy coś się stało Elaine? Bonnie?

- Nikomu nic się nie stało, ale ten skurwiel...

Alan stoi, zaciskając pięści. Gdyby nie był moim przyjacielem, przeraziłabym się na jego widok. Podbiega do stołu, bierze szarą kopertę i po-daje mi. Widnieje na niej adres: Do Elaine Washington - Niech spoczywa w spokoju. Drętwieję.

- Zajrzyj do środka - warczy Alan.

Otwieram kopertę zeszywniałymi palcami. Jest w niej krótki list przypięty do pliku kartek. Patrzę na te strony i dociera do mnie prawda.

- Jasna cholera, Alan...

- Pieprzona historia jej choroby - mówi i zaczyna krążyć po pokoju. - Wszystko o tym guzie, notatki lekarza. - Wrywa mi papiery, przewraca kilka kartek. - Spójrz na ten fragment, który dla niej zakreślił!

„Pacjentka Washington znajduje się na pograniczu drugiego i trzeciego stadium choroby. Rokowania są pomyślne, ale muszę się upewnić, że pacjentka zdaje sobie sprawę, iż trzecie stadium wciąż jest możliwe, chociaż mało prawdopodobne”.

- Przeczytaj ten cholerny list.

Widzę znajome powitanie.

*Pozdrowienia, pani Washington!*

*Nie mógłbym nazwać się przyjacielem pani męża. Raczej już... jego partnerem. Sądzę, że będzie mi pani wdzięczna za ujawnienie prawdy o swoim stanie zdrowia. Czy wie pani, kochana, jakie są szanse przeżycia w trzecim stadium? Na wszelki wypadek cytuję: Metastasis, przerzut do węzłów limfatycznych wokół okrężnicy. Trzydzieści pięć do sześćdziesięciu procent szans na przeżycie następnych pięciu lat.*

*Mój Boże! Gdybym miał się zakładać, obawiam się, że obstawiłbym przeciwko pani.*

*Powodzenia. Będę miał na oku stan pani zdrowia!*

*Z piekła*

*Jack Junior*

- Alan, czy to wszystko prawda?

- Nie jest tak, jak przedstawił ten łajdak - warczy Alan. - Rozmawiałem z lekarzem i powiedział, że gdyby niepokoił się naprawdę, powiedziałby mi o tym. Cholera, napisał tę notatkę, żeby pamiętać, co ma nam powiedzieć o przebiegu choroby podczas następnej wizyty kontrolnej.

- Ale Elaine zobaczyła to bez dodatkowych wyjaśnień?

Cierpienie w jego oczach jest wystarczającą odpowiedzią.

Przykładałam sobie dłoń do czoła. Zapala się we mnie oślepiający gniew. Spośród ludzi, których mógł zranić, nie licząc Bonnie, uderzenie w Elaine wydaje mi się największym okrucieństwem i niesprawiedliwością. Przypominam sobie dzisiejszy ranek, gdy samą swoją obecnością przełamała barierę w Bonnie. Pamiętam jej wizytę u mnie w szpitalu... Pragnę zabić Jacka Juniora.

On wdziera się w nasze życie i narusza strefy naszej prywatności. Zakłada podsłuch w gabinecie doktora Hillsteda, żeby poznać moje najskrytsze tajemnice. Włamuje się do szpitala i wykrađa historię choroby Elaine. O czym on jeszcze wie?

- A jak ona to przyjęła? - pytam Alana.

On siada w głębokim fotelu. Wygląda na bezradnego.

- W pierwszej chwili była przerażona. Potem zaczęła płakać.

- Gdzie jest teraz?

- W sypialni, z Bonnie. - Z Alana jakby uszło powietrze. - Bonnie nie odstępuje jej na krok.

- Kryje twarz w dłoniach. - Niech to szlag, Smoky... dlaczego ona?

Wzdycham, podchodzę do niego i kładę mu dłoń na ramieniu.

- Ponieważ wiedzieli, że to tak bardzo cię zrani. Podrywa głowę do góry, oczy płoną mu gniewem.

- Nie daruję skurwielom.

- Wiem. Czuję to samo. Posłuchaj, chyba ci to nie pomoże, ale sądzę, że Elaine nie grozi bezpośrednio niebezpieczeństwo ze strony tych drani, W każdym razie nie teraz.

- Na jakiej podstawie tak uważasz?

Kręcę głową, myśląc o tym, co powiedziała Callie.

- To jest częścią ich gry, w którą nas wciągają. Chcą, żebyśmy ich tropili i dali przy tym z siebie wszystko dzięki osobistej motywacji.

Alan patrzy ponuro.

- To akurat im się udało.

- Rzeczywiście - potakuję.

Alan wzdycha ciężko i patrzy na mnie błagalnie.

- Możesz pójść na górę i porozmawiać z nią?

- Oczywiście.

Boję się tego, ale pójdę.

Pukam do drzwi sypialni, otwieram je, nie czekając na „proszę” i wsuwam głowę do środka. Elaine leży na boku, plecami do drzwi. Bonnie siedzi na łóżku i gładzi ją po włosach. Gdy odwraca się w moją stronę, widzę, że w jej oczach gotuje się złość. Kiwam głową ze zrozumieniem. Jej Elaine została zraniona. Bonnie nie może się z tym pogodzić.

Podchodzę do łóżka z drugiej strony. Siadam na brzeżku. Ożywa we mnie wspomnienie szpitala. Elaine ma otwarte oczy, patrzy gdzieś nieobecny wzrokiem. Twarz ma opuchniętą od płaczu.

- Cześć - mówię.

Podnosi na mnie wzrok, po czym znowu się oddala. Bonnie wciąż głaszcze jej włosy.

- Wiesz, co mnie najbardziej martwi, Smoky? - przerywa ciszę Elaine.

- No, nie.

- To, że nie mieliśmy dzieci. Próbowaliśmy, próbowaliśmy, próbowali, ale nigdy nam się nie udało. Teraz jestem już za stara i muszę walczyć z rakiem. A ten człowiek wdiera się w nasze życie. Naigrywa się z nas, ze mnie. Sprawia, że zaczynam się bać. - O to mu właśnie chodzi.

- Tak i bez trudu osiąga swój cel. - Chwila ciszy. - Byłabym dobrą mamą, prawda Smoky?

Cóż mogę powiedzieć w obliczu jej cierpienia. To Bonnie daje odpowiedź na jej pytanie. Klepie Elaine po ramieniu, upewnia się, że Elaine patrzy na nią i kiwa głową. Rozumiem, co Bonnie chce jej przekazać: Tak byłabyś cudowną mamą.

Oczy Elaine łagodnieją. Wyciąga rękę i dotyka twarzy Bonnie. - Dziękuję ci, kochanie. -  
Milczy, a potem zwraca się do mnie. - Dla-; czego on to robi?

Dlaczego on mi to zrobił? Czemu moja córka, mój mąż, moja żona - to są niemiłkące  
pytania każdej ofiary.

- Odpowiedź jest prosta, Elaine. Rani cię, bo mu to sprawia przyjemność. Prosta motywacja.  
W dodatku może przestraszyć Alana. Dzięki temu czuje się potężny, a to jest coś, co naprawdę lubi.  
Wiem, oczywiście, że nie jest to wystarczająca odpowiedź na to odwieczne pytanie: Dlaczego ja?

Jestem dobrą matką (córka, siostrą, dobrym ojcem, bratem, synem). Przykładam się do  
pracy, staram się jak mogę. Oczywiście, zdarza mi się kłamać, ale częściej mówię prawdę. Kocham  
ludzi, najlepiej jak potrafię. Postępuję częściej dobrze niż źle i jestem zadowolony, gdy wokół  
widzę więcej uśmiechów niż łez. Nie jestem bohaterem, nie zamierzam trafić do historii, ale żyję  
tutaj i przecież jakoś się liczę. Więc dlaczego ja?

Nie mogę żadnemu z tych ludzi powiedzieć tego, co myślę naprawdę. Dlatego że chodzisz i  
oddychasz i ponieważ zło istnieje. Kosmiczne kostki zostały rzucone i los padł na ciebie. Albo Bóg  
zapomniał tego dnia o tobie, albo z jego planu wynika, że musi cię doświadczyć, by umocnić twoją  
wiarę. Prawda jest taka, że co dzień gdzieś dzieją się złe rzeczy, a dziś po prostu przyszła kolej na  
ciebie.

Ktoś mógłby uznać to za pesymizm, a nawet przypisać mi cynizm. Ale mi takie podejście  
pozwała zachować równowagę psychiczną. Gdybym myślała inaczej, musiałabym uznać, że  
przewaga jest zawsze po stronie zła i złych ludzi. Wierzę, że to tylko polowanie. Zło poluje na  
dobro i dzisiaj dobro miało zły dzień. A to oznacza, że jest druga strona tej argumentacji. Jutro być  
może złu powinie się noga. Nazywam to nadzieją.

Te argumenty są w ogóle nieprzydatne, gdy ktoś cię pyta „dlaczego”, więc mówię tak jak  
Elaine coś, co jest łatwiejsze do przyjęcia. Czasem łagodzi to wewnętrzny bunt, czasami nie.  
Zazwyczaj nie pomaga, bo zranionemu człowiekowi w gruncie rzeczy nie zależy na żadnej  
odpowiedzi na to pytanie.

Elaine rozważa moje słowa, ale dostrzegam, że ogarnia ją gniew, jakiego nigdy dotąd u niej  
nie widziałam.

- Złap tego potwora, Smoky. Słyszysz? Przełykam ślinę.

- Tak.

- Dobrze. Wierzę, że go schwytasz. - Elaine siada na łóżku. - Mogę cię o coś prosić?

- O wszystko - odpowiadam. Mówię szczerze. Gdyby sobie teraz zażyczyła gwiazdki z  
nieba, zrobiłabym wszystko, żeby spełnić jej prośbę.

- Poproś Alana, by przyszedł do mnie. Siedzi tam i obwinia siebie. Powiedz mu, żeby  
przestał. Potrzebuję go.

Widzę ją silną jak zawsze. Uświadamiam sobie to, o czym wiem od dawna: Kocham moją przyjaciółkę.

- Powiem mu. - Zwracam się do Bonnie: - Chodźmy, Kochanie.

Bonnie kręci przecząco głową. Poklepuje Elaine po ramieniu, a potem obejmuje ją zaborczym gestem. Marszczę brwi.

- Kochanie, myślę, że musimy zostawić Elaine i Alana samych tego wieczoru.

Bonnie kręci znowu głową gwałtownie. Nie ma zamiaru ustąpić.

- Jeśli się zgodzisz, nie mam nic przeciwko temu, żeby została. Bonnie jest taka urocza.

Spoglądam osłupiała na Elaine.

- Jesteś tego pewna? Elaine głaszcze Bonnie.

- Jestem pewna.

- No cóż... dobrze. - Czuję, że oderwanie teraz Bonnie od niej graniczyłoby z cudem. - Wobec tego idę, Bonnie. Przyjdę zobaczyć się z tobą rano, Kochanie.

Ona kiwa głową. Już mam opuścić pokój, gdy słyszę za sobą drobne kroki. Bonnie chwytam mnie za ramię i klepie mnie natarczywie. Powtarza to z niepokojem na buzi. Wreszcie zrozumiałam. Oblewam się rumieńcem, łzy stają mi w oczach. Jestem z tobą, mówi jej gest. Zostaję tutaj, bo Elaine potrzebuje otuchy, ale jestem z tobą. Pragnie się upewnić, że to rozumiem. Tak, Elaine jest mamą, ale ja jestem z tobą.

Nic nie mówię, przytulam ją mocno, potem szybko wychodzę z pokoju.

Alan stoi przy oknie i wpatruje się w zapadający zmierzch.

- Już będzie z nią dobrze, Alan. Prosiła, abym ci powiedziała, że nie powinieneś się dłużej obwiniać i że bardzo jesteś jej teraz potrzebny. Bonnie zostaje u was na noc. Nie chce za nic opuścić Elaine.

Alan ożywia się po moich słowach.

- Naprawdę?

- Aha. Ona jest bardzo opiekuńcza. - Szturcham go w pierś. - Wiesz, że cię rozumiem i ci współczuję. Dobrze wiesz. Ale powinieneś ruszyć stąd swój tyłek i utulić żonę. - Uśmiecham się. - Bonnie jest na ciebie zła.

- Masz rację - mówi Alan po chwili. - Dzięki.

- Nie ma, za co. Aha, Alan? Jeśli chciałbyś jutro wziąć wolny dzień, nie ma sprawy.

Jego twarz mrocznieje.

- O nie, do diabła. Co to, to nie! Oni osiągnęli to, co chcieli, Smoky. Jedyne, czego teraz pragnę, to dopaść tych skurwieli i nie spocznę, dopóki nie będą schwytani albo martwi. - Śmieje się

w taki sposób, że przenika mnie dreszcz. - Myślę, że doczekają się czegoś więcej, niż się spodziewają.

- Masz, cholera, całkowitą rację.

Wracając do domu, czuję się diabelnie samotna. Keenan i Shantz są na swoim posterunku, czyli tam, gdzie jest Bonnie. Zrobiło się już ciemno, a pusta o tej porze szosa pogłębia jeszcze moje uczucie osamotnienia. W przeszłości to uczucie bywało czasami przyjemne. Teraz towarzyszą mi gniewne myśli i smutek. Zaciskając dłonie na kierownicy, wyobrażam sobie, że to szyja Jacka Juniora. Księżyc świeci jasno. To piękne światło, ale mi przypomina chwile, gdy w blasku księżyca widziałam krew. Czarną, błyszczącą, zastygłą.

Przez całą drogę zanurzam się w tym księżycowym świetle i widzę rozlaną krew. Wjeżdżam na podjazd i w tym momencie odzywa się moja komórka.

- Mówi James.

Prostuję się w fotelu. W jego głosie jest coś dziwnego, czego nigdy u niego nie słyszałam.

- James, co się dzieje? Teraz jego głos drży.

- Te... te cholerne skurwysyny!

Jack Junior, myślę.

- James, powiedz, co się stało. Słyszę jego ciężki oddech w telefonie.

- Przyjechałem do domu mojej mamy jakieś dwadzieścia minut temu. Gdy chciałem zapukać, zauważyłem kopertę przyklejoną do drzwi. Była zaadresowana do mnie, więc ją otworzyłem. - Bierze głęboki wdech. - Była tam notatka i... i...

- Co?

- Pierścionek. Pierścionek Rosy.

Rosa była siostrą Jamesa, tą, którą zamordowano. Na której grób miał pójść nazajutrz z matką. Mroczny domysł zaczyna się formować w mojej głowie, ale pytam:

- Co było w tej notatce?

- Tylko jedno zdanie: „Rosa już nie spoczywa w spokoju”.

Czuję w żołądku rosnący ciężar.

W głosie Jamesa jest rozpacz.

- Pierścionek, Smoky. Pochowaliśmy ją z nim, rozumiesz?

Wibracje stają się coraz głośniejsze, słyszę je wyraźnie. Nie odpowiadam.

- Zadzwoń na cmentarz. Połączyłem się z ochroną. Poszli tam i potwierdzili najgorsze.

- Co potwierdzili, James?

Właściwie już wiem, ale pytam, bo mam jeszcze nadzieję, że mogę się mylić. Wibracje stają się przeraźliwe.



James spazmatycznie wciąga powietrze do płuc.

- Nie ma jej tam, Smoky, znikła - mówi łamiącym się głosem. - Rosa... Ci zbrojeńcy rozkopali jej grób.

Opieram czoło na kierownicy. Wibracje ustały.

- Och, James.

- Czy wiesz, ile ona miała lat, kiedy ta kanalia ją zamordowała? Dwadzieścia. Miała dwadzieścia lat, była mądra, dobra i śliczna. A on zabijał ją przez trzy dni. Tak mi powiedziano. Trzy dni. Wiesz, kiedy moja matka przestała ją oplakiwać? - Teraz James krzyczy. - Nigdy!

Prostuję się. Wciąż jeszcze nie otwieram oczu. Wiem, co w jego głosie wydało mi się tak obce. To żal. Żal i bezradność.

- Nie wiem, co ci powiedzieć. Czy jesteś... czy chcesz, żebym przyjechała do ciebie? Co masz zamiar zrobić? - Moje słowa oddają to samo - bezradność.

James milczy, potem słyszę zmęczone westchnienie.

- Nie, dzięki. Mama leży na górze, płacze i rwie sobie włosy z rozpacz. Muszę iść do niej, muszę... Przerzywa. - Zrobili to, co zapowiedzieli.

Czuję w sobie pustkę.

- Taak - szepczę. Opowiadam mu o Elaine.

- A to sukinsyn! - krzyczy. Walczy, by odzyskać panowanie nad sobą.

- Pieprzony skurwysyn. - Milknie znowu. - Dam sobie radę. Nie przyjeżdżaj. Mam przecucie, że odbierzesz dziś w nocy jeszcze jeden telefon.

Czuję ucisk w żołądku. Napisał, że każdy z nas straci coś mu drogiego. Pozostał mu Leo.

- Chcę dorwać tę kanalię, Smoky. Muszę.

Na myśl, że usłyszę te słowa raz jeszcze, robi mi się niedobrze. Czuję gniew i rozpacz. Udaje mi się powiedzieć spokojnie:

- Wszyscy tego chcemy, James. Idź pomóż swojej mamie. Zadzwoń, gdybyś mnie potrzebował.

- Nie będę cię potrzebował - odpowiada zdecydowanie, mimo tego żalu i bezradności.

Rozłącza się, a ja wciąż siedzę w samochodzie na moim podjeździe zalanym zimnym światłem księżycy. Przez moment górę nad innymi odczuciami bierze we mnie egoistyczne doznanie poczucia klęski. Takiej, jaką znają tylko dowódcy kierujący innymi w walce na śmierć i życie. Jestem odpowiedzialna za tych ludzi. Wiem, że ich zawiodłam, ale zamiast martwić się o nich, pragnę jedynie zrzucić z siebie ciężar tej odpowiedzialności.

Zaciskam palce na kierownicy i przekręcam ją z całej siły.

- Jesteś odpowiedzialna - szepczę do siebie. - Musisz coś z tym zrobić. - I egoizm ustępuje miejsca rozżarzonej do białości nienawiści.

Więc robię to, co się sprawdzało wiele razy. Siedzę w samochodzie i krzyczę, walę pięściami w kierownicę, mając nad sobą ten przekłety księżyc. Moja własna metoda terapii.

Po wejściu do domu wybieram numer Lea. Dzwoni i dzwoni. - Cholera jasna, Leo, odbieraj - warczę. W końcu odbiera. Głos ma znużony, martwy, serce we mnie zamiera.

- Halo?

- Leo, gdzie jesteś?

- Jestem u weterynarza z moim psem, Smoky.

Przez moment odczuwam ulgę, jakby powiew normalności, budzący nadzieję, ale to szybko mija.

- Ktoś odciął mu wszystkie łapy. Muszę go uspić. - Stoję z rozdziawionymi ustami. Głos Lea się załamuje. Brzmi to jak czysty, ostry dźwięk szkła rozbijającego się o kamień. - Kto mógłby zrobić coś takiego, Smoky? Wróciłem do domu, a on był w salonie i próbował, próbował... - Krztusi się, szukając właściwych słów. - Próbował się czołgać do mnie. Wszędzie była krew, a on wydawał z siebie straszne krzyki... jak cierpiące dziecko. Patrzył na mnie takim wzrokiem, jakby myślał, że zrobił coś złego. Jakby mnie pytał: „Co złego zrobiłem, powiedz mi tylko, mogę się poprawić, rozumiesz? Jestem dobrym psem”.

Łzy ciekną mi po policzkach.

- Kto mógłby zrobić coś takiego?

Gdyby rzeczywiście zastanowił się nad tym, wiedziałby, kto. Lecz on ma na myśli nie pytanie, a raczej stwierdzenie, że nie powinien istnieć nikt, kto mógłby się na to zdobyć.

- Jack Junior i jego kompan, Leo. To oni. Słyszę okrzyk zdziwienia.

- Co?!!!

- Zrobili to sami albo zrobił to ktoś na ich polecenie. Ale to oni. Wyczuwam, że zaczyna odnajdywać związek z tym wszystkim.

- To co napisali w tym e-mailu...

- Tak. Tak myślę, Leo. Oni istnieją, a to, co zrobili twojemu psu, nic dla nich nie znaczy.

Długie, ciężkie milczenie. Wyobrażam sobie, co teraz myśli. Torturowano mojego psa przeze mnie. On zapłacił za to, czym się zajmuję. Obezwładniające i straszne poczucie winy. Leo odchrząkuje żałośnie.

- Kto jeszcze, Smoky?

Biorę oddech i mówię mu. O Elaine i Jamesie. Pomijam szczegóły dotyczące choroby Elaine. Kiedy kończę, Leo jest już spokojny. Czekam.

- Jakoś to przetrzymam.

Ta krótka deklaracja, daleka od prawdy, ma mi dać do zrozumienia, że on zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Raz jeszcze wypowiadam zdanie, które zaczynam nienawidzić.

- Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz mnie potrzebował.

- Dobrze.

Rozłączam się i stoję jeszcze przez chwilę w kuchni. Nie mogę się opędzić od obrazu tych patrzących błagalnie oczu, z niemym pytaniem: „Co ja złego zrobiłem?” A odpowiedź jest przerażająca, ponieważ ten pies nigdy nie pozna prawdy.

Nic. Nie zrobiłeś nic złego.

- Rzeczywiście idą na całość - mówi Callie.

- Tak. Chciałam, żebyś wiedziała. Bądź ostrożna.

- Ty także uważaj na siebie, złotko.

- Nie martw się o mnie.

Wyłączam telefon, siadam i kryję twarz w dłoniach. To był straszny dzień. Czuję się rozbita, smutna i pusta. I bardzo, bardzo samotna. Callie ma swoją odnalezioną córkę. Alan ma Elaine. A kogo mam ja?

Płaczę, choć czuję się przez to głupia i słaba. Płaczę, bo nie potrafię się opanować. Szlocham tak długo, że w końcu ogarnia mnie złość na samą siebie. Wycieram twarz.

- Przestań się już uzalać nad sobą - warczę. - Prawda jest taka, że to wszystko twoja wina. Nie powinnaś pozwolić im być przy sobie, kiedy zostałaś w to wplątana. Jeśli więc chcesz znaleźć winnego, zacznij od siebie.

Cieszy mnie narastający we mnie gniew. Osusza moje oczy. Jack Junior i jego koleś skrzywdzili ich. Wdarli się w ich prywatne życie. Ugodzili każdego z członków mojej rodziny i to bardzo celnie.

- Już jesteście martwi - krzyczę do pustych ścian. I zaraz się uśmiecham. Ciągle jeszcze pomyłona, po tylu miesiącach gadam do siebie.

To jest to, uświadamiam sobie. Nowa ja. I taka już pozostanę. Wciąż jeszcze mam w sobie smoka, którego potrafię zbudzić. Nadal posiadam zdolność do jazdy ciemnym pociągiem i do strzelania z mojego pistoletu. Ale przestałam być prostolinijna, pewna siebie, postrzegająca sprawy w jednoznaczny sposób i taka już nigdy nie będę. Odbijam się i podskakuję, wtedy jak w rozsypanej układance brakuje mi niektórych kawałków, a pozostałych nie mogę dopasować do siebie. W dodatku dostrzegam nową cechę, stałam się krucha. Martwi mnie to, lecz muszę się z tym pogodzić.

Idę po schodach do mojej sypialni, powoli, jakbym ciągnęła za sobą żelazne kajdany. Taka jestem zmęczona, tyle dziś było emocji.

Mijam nasze małe domowe biuro, które Matt urządził dla nas i coś mi każe się tam zatrzymać. Stoi tu mój komputer pokryty kurzem, nieużywany od miesiący.

Siadam przed nim, włączam. Nie wiem, czy nadal mam połączenie z Internetem, nie pamiętam, w jaki sposób opłacaliśmy rachunki, ale gdy klikam, przeglądarka otwiera się w trybie on-line. Odchylam się do tyłu i wpatruję w ikonę poczty. Zastanawiam się.

Otwieram skrzynkę, waham się, potem wciskam polecenie „Sprawdź pocztę”. Jedna po drugiej ignorowane przez długi czas wiadomości sypią się z serwera, aż do tej ostatniej, która przysłała przed godziną. Tej, której się spodziewałam. Czytam temat: Ile kosztuje ten piesek\*.

Nienawiść do nadawcy budzi moją energię. Otwieram list.

*Najdroższa Smoky,*

*Jestem pewien, iż przekonałaś się już, że jestem człowiekiem, który dotrzymuje swoich obietnic. Callie Thorne musiała spojrzeć w oczy swojej córce; żona Alana Washingtona zadaje sobie teraz pytanie, czy wkrótce umrze; biedny Leo rozpacza po stracie najlepszego przyjaciela; co się tyczy młodego Jamesa, to wiesz, patrzę właśnie na Rose, pisząc ten list. Jest w niezbyt dobrym stanie, ale byłabyś zdumiona skutecznością nowoczesnych środków konserwujących zwłoki. Oczu wprawdzie już nie ma, lecz jej włosy nadal wyglądają uroczo. Przekaż to koniecznie ode mnie Jamesowi, nie zapomnisz?*

*Myślę, że pragnienie zemsty jest czymś, co najskuteczniej ostrzy miecze, zgodzisz się ze mną? Przemyśl to sobie. Jeśli dotychczas tak nie uważałaś, teraz nie powinnaś już mieć wątpliwości. Jak bardzo wy wszyscy musicie być spragnieni mojej krwi. Być może niektórzy z was będą nawet o tym śnić. O mnie żebrzącym daremnie o łaskę, która nie będzie mi dana. W tych snach rozwalacie mój mózg, zamiast wtrącić mnie do celi.*

*Ten medal ma dwie strony i pragnę podwyższyć stawkę. Wyjaśniam, jeśli nie jest to jasne: nic, co jest wam drogie, nie jest bezpieczne. Ścigajcie mnie wytrwale i skutecznie, bo dopóki jestem tutaj i mogę się kryć w ostępach na obrzeżach cywilizacji, będę wam odbierał, odbierał i odbierał wszystko po kolei. To, co teraz straciliście, wyda wam się niczym w porównaniu z tym, co nastąpi. Każdego tygodnia, w którym wam się wymknę, odbiorę coś każdemu z was.*

\* W oryginale How Much is that Doggy in the Window - tytuł popularnej piosenki (przyp. tłum.).

*Odbiorę Callie Thorne długo niewidzianą córkę i wnuka. Zniszczę żonę Alana. Zabiję matkę Jamesa. Będę to robił tak długo, aż życie każdego członka twojej drużyny będzie takie jak twoje, Smoky. Aż utracą wszystko, co kochają, a ich domy staną się puste i pozostanie im tylko jedno: straszliwa świadomość, że powodem ich nieszczęść jest to, kim są i czym się zajmują. Mam nadzieję, że wierzysz, iż to, co mówię, jest prawdą. I mam nadzieję, że ten stale przystawiony do głowy pistolet stanie się dostatecznym bodźcem, by wprawić was w stan permanentnej gotowości. Pragnę, żebyście wszyscy byli maksymalnie skoncentrowani. Chcę, żebyście mieli oczy zabójcy.*

*Teraz bierzcie się do roboty i pokażcie, co potraficie, starajcie się ze wszystkich sił. Daję wam tydzień. Przez te siedem dni to, co kochacie, będzie bezpieczne. Potem zacznę pożerać wasze światy i wasze dusze zaczną umierać. Czy odczuwasz podniecenie? Ja je czuję. Życzę powodzenia.*

*Z piekła*

*Jack Junior*

*PS. Do agentki Thorne. Być może zastanawiasz się, czy rzeczywiście wyrządziłem ci jakąś krzywdę? Myślisz być może, że przez pomyłkę wyrządziłem ci raczej przysługę. Tak to może wyglądać z pozoru, ale pomyśl o tej sprawie głębiej. Może po prostu dałem ci to, co uważałaś za stracone na zawsze?*

Patrzę na ten list długo, siedząc w pustym domu. Smutek i gniew odeszły. Przepelnia mnie to, co oni chcieli we mnie wskrzesić.

Pewność.

Umrę, zanim ktokolwiek z mojej małej rodziny zostanie doprowadzony do takiego stanu jak ja. Będzie do siebie mówił i płakał w samotności.

Jest rano. Przed chwilą pokazałam mojemu zespołowi wydruk e-maila od Jacka Juniora. Przyglądam się im teraz, by ocenić morale swojego oddziału.

Wszyscy wyglądają na bardzo zmęczonych. Ale też wszyscy sprawiają wrażenie zdeterminowanych. Nikt nie ma chęci mówić o tym, co się zdarzyło wczoraj, chcą działać i schwytać Jacka. Oczekują ode mnie, że ich poprowadzę do zwycięstwa.

Śmieszna sprawa, myślę. Odpowiedzialność jest czymś, co tak łatwo się bierze na siebie, ale tak trudno to z siebie zdjąć. Dopiero tydzień temu pragnęłam swojej śmierci, teraz oni oczekują ode mnie wskazówek.

- Ustaliliśmy jedną rzecz na pewno - mówię.

- Co takiego? - pyta Alan.

- Jack Junior i jego kompan to są prawdziwe dupki.

Na moment zapada cisza, a potem wszyscy wybuchają śmiechem. Wszyscy z wyjątkiem Jamesa. Napięcie w pokoju trochę opada.

- Słuchajcie - mówię. - W pierwszej rundzie jeden zero dla nich, to musimy przyznać. Nie ma wątpliwości. Popelnili jednak ogromny błąd. Pragnęli pobudzić nas do działania i to im się udało. Nie mają pojęcia, w co się pakują. - Przerwywam, badam reakcję mojej grupy. - Wydaje im się, że są od nas lepsi. To nic nowego. Oni wszyscy tak myślą. A tymczasem my mamy odciski palców jednego z nich, wiemy też, że jest ich dwóch, co starają się ukryć. W ten sposób niwelujemy chwilową przewagę. Zgadza się? - Przytakują, kiwając głowami. - Okay, więc przejdźmy do rzeczy. Powtórz mi, Callie, co doktor Child powiedział o portrecie psychologicznym naszych klientów. Nie słuchałam zbyt uważnie.

- Powiedział, że przeczytał list i ma już zarys opinii, ale chce jeszcze poczekać, aż zobaczy, co się znajduje w paczce, która ma nadejść dwudziestego. - Callie wzrusza ramionami. - Upierał się przy tym bardzo stanowczo.

Poprzestaję na tych informacjach, mam zaufanie do doktora Childa i muszę się zdać na jego intuicję. Odwracam się do Alana i Lea.

- Co z nakazem sądowym na listę subskrybentów witryny Annie?

- Powinniśmy go mieć w ciągu najbliższej godziny - odpowiada Leo.

- Dobrze, dopilnuj już tego. - Strzelam palcami. - Czy mamy już kogoś z brygady bombowej policji Los Angeles?

Alan kiwa głową.

- Tak, przyjadą z wywąchiwaczem bomb.

„Wywąchiwacz bomb” to popularna nazwa urządzenia wykorzystującego spektrometrię jonową. Krótko mówiąc, wykrywa on ślady zjonizowanych cząsteczek, charakterystycznych dla materiałów wybuchowych.

Było wiele dyskusji, jak się przygotować na dwudziestego. Zastępca dyrektora Jones chciał ściągnąć do nas drużynę z brygady antyterrorystycznej SWAT na wypadek, gdyby Jack Junior albo ten drugi zdecydowali się przekazać przesyłkę osobiście. Sprzeciwiłam się temu pomysłowi, bo do tej pory nie działali w ten sposób. Pewnie będzie to zwyczajna przesyłka. Jones trochę się upierał, ale ostatecznie przyznał mi rację. A wtedy zwróciłam mu uwagę, że włączenie do akcji SWAT-u przyciągnęłoby uwagę mediów. Oboje natomiast zgodziliśmy się, co do tego, żeby ściągnąć speców od bomb. Byłoby nierozwagą, gdybyśmy tego nie zrobili.

- Wciąż mnie coś niepokoi w aktach sprawy Annie - mówi Alan. Spogląda na Jamesa. - Dobrze by było, gdyby ktoś jeszcze spojrział na to świeżym okiem. - Pomóż mu, James.

James kiwa głową. Nie powiedział dotąd ani słowa tego ranka.

- Jest jeszcze jedna sprawa wymagająca wyjaśnienia, złotko - mruczy Callie. - W jaki sposób oni zdobywają te wszystkie informacje? W gabinecie doktora Hillsteda znaleźliśmy pluskwę, ale historia choroby czy adopcja mojej córki?

- To nie jest takie trudne - odzywa się słabym głosem Leo. - Informacje nie są po prostu tak dobrze chronione, jak ludzie sobie wyobrażają. Historia choroby Elaine? - Wzrusza ramionami. - Białe fartuch, trochę pewności siebie i możesz dostać się niemal do każdego pomieszczenia w szpitalu. Dodać do tego dostateczną wiedzę o komputerze i możesz buszować po szpitalnych oprogramowaniach. Można też kupić informacje, posłużyć się hakerem. - Znowu wzrusza ramionami. - Bylibyście zdumieni, dowiadując się, jak łatwo tego dokonać. Dowiedziałem się o tym, pracując w wydziale przestępstw komputerowych. Dobry haker czy złodziej dokumentów tożsamości potrafi zdobyć dane osobowe wszelkiego rodzaju. To są rzeczy wprawiające laika w oszołomienie.

Leo spogląda na Callie.

- Daj mi tydzień, a dowiem się wszystkiego o tobie. Począwszy od zdolności kredytowej, a skończywszy na lekarstwach, jakie zażywasz. - Omiata nas wszystkich spojrzeniem. - Sprawy zaszły za daleko? To niepokojące, ale nie potrzeba do tego żadnej nadzwyczajnej wiedzy.

Przetrawiamy jego słowa.

- Dzięki, Leo. Czy każdy z was wie, nad czym będzie pracował? - Patrzę na mój zespół. - W porządku.



W tym momencie otwierają się drzwi. Odwracam się szybko, by zobaczyć, kto przyszedł i natychmiast serce zaczyna mi mocniej bić. W drzwiach stoi Marilyn Gale. Wygląda na zdenerwowaną. Za nią stoi policjant z paczką w ręku.

- To przyszło godzinę temu - oświadcza Marilyn. - Zaadresowane do pani, agentko Barrett, z dopiskiem: przez grzeczność. Domyślam się... - milknie, ale i tak wszyscy już wiemy. Któż inny mógłby przesłać coś dla mnie na adres Marilyn.

Wszyscy gromadzą się wokół mojego biurka i patrzą na paczkę, co pewien czas zerkając ciekawie na Marilyn. Callie widzi to i coraz bardziej się irytuje, bardziej niż powinna z powodu paczki.

- Na miłość boską - mówi. - Przestańcie się gapić. To jest moja córka, Marilyn Gale. Marilyn, to młodszy funkcjonariusze: James, Alan i Leo.

- Cześć - Marilyn uśmiecha się do nich szeroko.

- Przechwyciłeś to? - pytam sierżanta Oldfielda.

- Nie, proszę pani. - Sierżant jest zrównoważonym, solidnym policjantem. Zachowuje się spokojnie i swobodnie, nie czuje się zastraszone ani wobec mnie, ani obecnością w siedzibie FBI. - Do naszych zadań należy obserwacja domu i czuwanie nad nim. I nad panią Gale, gdyby wychodziła, oczywiście. To ona podeszła do nas z tą paczką. Miała pewne obawy i poprosiła, żebyśmy przyjechali z nią tutaj.

- Nie otwierałaś jej? - zwracam się do Marilyn.

Jej twarz poważnieje.

- Nie. Uważałam, że nie powinnam. Zaliczyłam dopiero pierwszy rok kryminologii. - W tym momencie Alan i Leo wymieniają znaczące spojrzenia. - Ale nawet bez tego wiadomo, że trzeba trzymać ręce z daleka od ewentualnych dowodów, wystarczy pooglądać trochę telewizję.

- Dobrze, Marilyn. - Teraz staram się dobierać słowa ostrożnie, ale muszą zostać wypowiedziane. - Nie chodzi tylko o dowody. A jeśli on na przykład wysłałby bombę?

Jej oczy się rozszerzają, blednie.

- Och! Ja... Jezu. Szczerze mówiąc, w ogóle nie przyszło mi to do głowy.

Mogłabym się założyć, że myśli o swoim dziecku. Callie kładzie dłoń na ramieniu córki. Dostrzegam gniew i niepokój w jej oczach.

- Teraz nie masz się już, czym martwić, złotko. Paczka została na dole prześwietlona przez ochronę, prawda?

- Tak.

- No i to właśnie sprawdzali.

Policzki Marilyn nabierają kolorów. Szybko przychodzi do siebie. Mamy tu coś nowego i fascynującego, ale być może nieprzyjemnego do oglądania.

- Callie, czy nie wybrałabyś się z Marilyn na lunch?

Callie łapie od razu, o co mi chodzi. Zamierzam to otworzyć, a w paczce może być coś, czego jej córka nie powinna widzieć.

- Dobry pomysł, chodźmy, złotko. - Bierze ją za ramię i popycha w stronę drzwi. - Nawiasem mówiąc, gdzie jest mały Steven?

- Zostawiłam go z moją mamą. Czy na pewno możesz teraz wyjść?

- W porządku - mówię do niej i uśmiecham się, chociaż nie mam do tego nastroju. - Dziękuję za przyniesienie przesyłki. Jeśli zdarzy się to ponownie, zawiadom nas. Nie dotykaj paczki.

Jej oczy są pełne obawy, potakuje. Callie wypycha ją z pokoju.

- Czy nie ma pani nic przeciwko temu, żebym jeszcze chwilę został? - pyta sierżant Oldfield. - Chciałbym zobaczyć, co jest w tej paczce. Mam nosa do przestępców.

- Oczywiście, pod warunkiem, że dodasz przejmowanie przesyłek do listy swoich obowiązków na przyszłość. To nie upomnienie, lecz polecenie.

Oldfield kiwa głową.

- Załatwione.

Otwieram szufladę, sięgam w głąb i wyjmuję parę lateksowych rękawiczek. Teraz skupiam się na paczce. To kolejna szara koperta o wymiarach trzydzieści pięć na dwadzieścia centymetrów. Na wierzchu dobrze mi już znane drukowane litery wypisane czarnym tuszem:

**UWAGA. DLA AGENTKI SMOKY BARRETT.**

Odwracam kopertę. Nie jest zaklejona, skrzydełko jest spięte tylko metalową zapinką. Odrywam wzrok od paczki. Wszyscy milczą, czekają. Równie dobrze każdy mógłby ją otworzyć.

List jest na wierzchu, sprawdzam całą zawartość koperty. Oczy zwięzają mi się na widok pliku fotografii. Na każdej z nich widnieje jakaś kobieta. Są nagie do pasa, w samych stringach, niektóre są przywiązane do krzesła, inne do łóżka. Wszystkie mają na głowach kominiarki. Wyczuwam pod palcami coś jeszcze, to płyta CD. Zaczynam od listu. Co tym razem wymyślili, myślę ponuro.

*Pozdrowienia, agentko Barrett!*

*Przysyłam ci to okreśną drogą, korzystając z uprzejmości pani Gale. Ale mam w tym pewien cel. Chcę ci przypomnieć coś, o czym mówiłem poprzednio: Żadna spośród osób, które są ci drogie, nie jest bezpieczna, jeśli zdecyduję się wyciągnąć rękę i... jej dotknąć.*

*To wszystko jest dla ciebie, agentko Barrett. Proszę, okaż cierpliwość, gdy będę cię prowadził dalej do istoty sprawy. Opieram się na filozoficznych podstawach i historii, którą musisz poznać, jeżeli chcesz zrozumieć dogłębnie to, co zawiera ta paczka.*

*Czy wiesz, jakie słowo jest najczęściej poszukiwane w Internecie? Seks. To już mamy ustalone, a czy wiesz, jakie jest inne słowo niemal tak samo często poszukiwane? Gwałt. Dla milionów ludzi, którzy mają dostęp do światowej sieci i dla wszystkich, którzy z niej żyją, najważniejsze słowa to seks i gwałt.*

*Co to oznacza? Można by na tej podstawie, biorąc pod uwagę badania demograficzne przeprowadzane na użytek internetowej sieci, stwierdzić, że miliony mężczyzn siedzą teraz w swoich domach i myślą o gwałcie. Wszyscy mają spocone dłonie i spodnie uniesione niczym namioty. To robi wrażenie, prawda?*

*Pozwól, że pokażę ci coś innego, co się z tym wiąże. W Internecie zaczął się rozprzestrzeniać nowy rodzaj witryn przeznaczonych dla mężczyzn dzielących się na ich forach swoją nienawiścią do kobiet. Weźmy na przykład stronę o jakże trafnej nazwie „zemstanaddziwka.com.” Odrąceni mężczyźni zamieszczają tam kompromitujące zdjęcia byłych kochanek i żon. Zdjęcia erotyczne. Kierują się jednym pragnieniem. Chcą te kobiety upokorzyć i postawić w kłopotliwej sytuacji. Inni są zapraszani do wyrażania swojej opinii na ich temat. Załączam próbkę tego w pierwszym załączniku. Rzuć na to okiem.*

Odnajduję ten załącznik. Na górze znajduje się zdjęcie uśmiechniętej ciemnowłosej dziewczyny. Może mieć dwadzieścia do dwudziestu pięciu lat. Jest naga, rozłożyła nogi przed obiektywem. Podpis brzmi: Moja głupia, niewierna kobieta. Cholerna zdzira. Poniżej lista komentarzy. Odczytuję kolejno.

**KALIFORNIJCZYK: CO ZA WSTRĘTNA KURWA! POWINIENEŚ SIĘ CIESZYĆ, ŻE KTO INNY DYMA TERAZ TĘ OKROPNĄ CIPE!**

**JAKE 28: POWINIENEŚ PODRZUCIĆ JĄ MNIE I MOJEJ BANDZIE. ZERŹNĘLIBYŚMY ZDZIRĘ OD TYŁU!**

**DANNY: ZABIŁBYM TOTO!**

**CHŁOPAK Z TENNESSEE: MIŁA LASKA. SZKODA, ŻE TAKA CIPA. TWRADZIEL: RÓB TO, CO JA. WSADŹ JEJ KUTASA W PIEPRZONĄ GEĘ, i ŻEBY SIĘ ZAMKNEŁA.**

Odkładam załącznik na bok. Wystarczy mi tego, co przeczytałam. Ta anonimowa ślepa nienawiść budzi we mnie mdłości. Leo gwizdże przeciągle.

- O rany! To niewiarygodne i groźne.

Wracam do listu.

*To dla ciebie coś nowego, prawda? Więc cóż jeszcze mamy w naszym kociolku czarownicy? Przyjrzyjmy się uważnie zawartości.*

*Mamy takie rozrywki, jak seks, gwałt, nienawiść do kobiet. Wymieszajmy to wszystko razem i co otrzymamy? Idealne warunki do spotkania umysłów, takich jak mój, agentko Barrett. Te umysły są w większości nic niewarte, a ich posiadacze niegodni spotkania ze mną, ale jeżeli tam dobrze pogrzebać, można znaleźć kilku, którzy są gotowi do wykonania skoku na drugą stronę. Brakuje im tylko odrobiny zachęty. Jakiegoś mentora, jeśli wolisz.*

Czuję, że żołądek podchodzi mi do gardła. Uświadamiam sobie, że wiem, do czego on zmierza.

*Sądzę, że to wystarczające podstawy do zrozumienia moich działań. Przejdźmy teraz do fotografii, dobrze? Prawdopodobnie już rzuciłaś na nie okiem. Przyjrzyj się im uważnie.*

Przyglądam się. Jest tam w sumie pięć kobiet. Staram się dojrzeć szczegóły.

- Jak sądzisz? - pytam Alana. - Czy łóżko i krzesło na każdym zdjęciu nie wyglądają podobnie?

Alan bierze odbitki i wpatruje się w nie.

- Tak - mówi. Mruży oczy, potem rozkłada fotografie na moim biurku, jedną obok drugiej. Wskazuje dywan. - Spójrz na to.

Widzę plamę.

- Teraz popatrz tu - wskazuje inne ze zdjęć. Taka sama plama.

- Jasny gwint - mówi Leo. - Różne kobiety, ten sam facet.

- Ale to nie jest Jack, prawda? - dodaje James, przerywając swoje milczenie. - Ten facet to nie Jack, więc może to ten drugi?

Zapada cisza. Wracam do listu.

*Jesteś bystra, agentko Barrett. Na pewno zauważyłaś, że wszystkie te dziewczyny sfotografowano w tym samym miejscu. Powód jest prosty. Wszystkie zabił ten sam człowiek.*

Wyrzucam z siebie przekleństwo. Właśnie to przeczuwałam. Te kobiety już nie żyją.

*Być może wydedukowaliście więcej i wiecie, że to nie ja je zabiłem. Jeśli tak, pierwszy biję wam brawo.*

*Odnalazłem tego zdolnego młodego człowieka, autora zdjęć na rozległym mrocznym obszarze, na tych dzikich równinach, które tworzą ogólnoswiatową sieć internetową. Wyczułem, czego on pragnie i czego nienawidzi. Już po krótkim czasie wykonał swój skok. Wyzbył się ostatnich głupich więzi łączących go ze światłem i znalazł się po stronie ciemności.*

*Oczywiście mogłaby to być mistyfikacja z mojej strony, czyż nie? Zerknij na płytę, którą załączam, a potem nie krępuj się, zadzwoń do agenta Jenkinsa z nowojorskiego biura FBI. Spytaj go o Ronnie'ego Barnes'a.*

*Przykro mi, jeśli obudziłem w tobie jakieś nadzieje na informacje od tegoż Barnes'a. Tak przecież potrzebujesz wskazówek, które by mogły naprowadzić cię na właściwy trop. Niestety, muszę cię rozczarować. Pan Barnes odszedł od nas. Obejrzyj film. Zrozumiesz.*

*Przechodzę do sedna całej sprawy, bo chcę już skończyć ten list. Istota rzeczy pozostaje ta sama. Szukaj mnie. Szukaj mnie dobrze i pamiętaj: Ronnie Barnes był tylko jednym spośród tych, którzy mają takie utajone pragnienia i tęsknoty. A ja ciągle szukam pokrewnych dusz.*

*Z piekła*

*Jack Junior*

- Jezu Chryste - wzdycha Alan z odrazą.

- Ciekawe - zastanawia się James - jak bardzo on przypomina wirusa komputerowego. To właśnie nam pokazał. Potrafi się samoodtwarzać w innych.

- Tak - dodaje Leo. - I stale podnosi stawkę, informując nas, że nie przestanie atakować, dopóki go nie dorwiemy.

Jestem zbyt zmęczona i zdołowana, by coś powiedzieć. Wręczam Leowi CD.

- Puść to.

Stajemy za jego plecami, gdy wsuwa płytę do komputera. Po raz kolejny ukazuje się nam ikona pliku wideo. Leo czeka.

- Dawaj - mówię.

Leo klika i mamy obraz i dźwięk. Do krzesła przywiązano dziewczynę, zupełnie naga. Jest brunetką o ładnej twarzy, dwudziesto- najwyżej dwudziestoparoletnią. Jest bardzo przerażona. Mężczyzna, który do niej podchodzi, jest również nagi. Uśmiecha się.

Przełykam ślinę z niesmakiem na widok jego pełnej erekcji. Podnieca go jej przerażenie. Zakładam, że to Ronnie Barnes.

- Facet wygląda na palanta - zauważa Oldfield.

Nieżyczliwa uwaga, ale muszę przyznać mu rację. Ronnie Barnes ma pryszczatą twarz, dopiero, co przestał być wyrostkiem. Chuda klatka piersiowa, okulary o grubych szklach. Typ, z jakiego szydzą powierzchowne kobiety. Taki będzie się onanizował, myśląc o nich, mimo całej nienawiści. Będzie pogardzał nimi za to, że są seksowne i sobą za to, że ich pożąda. Tak uważam nie, dlatego, że jest chudy i krostowaty, ale dlatego, że trzyma w ręku nóż i to go tak podnieca.

Spogląda na coś, co jest poza zasięgiem kamery.

- Chcesz, żebym to zrobił teraz? - pyta kogoś. Nie słyszę odpowiedzi. Barnes kiwa głową, zaciera ręce. - Spokojnie.

- Do kogo on mówi - zastanawia się Alan.

- Też chciałabym wiedzieć - odpowiadam.

Barnes pochyla się, zbiera w sobie. To, co następnie robi, wykonuje zdecydowanie i z taką brutalnością, że wszyscy wzdrygamy się zszokowani.

- Ty pierdolona cipo! - krzyczy.

Unosi nóż myśliwski i uderza z całej siły. Nóż znika po rękojeść w ciele kobiety. On gwałtownie wyszarpuje go z rany, podnosi nad głowę i ze wściekłą furią znowu uderza. Używa do tego całego ciała, siły wszystkich mięśni, na jego szyi pojawiają się pręgi z wysiłku. Jeszcze raz.

Nie robi tego metodycznie jak Jack Junior pastwiący się nad ciałem Annie. Jest to bezmyślne, całkowicie pozbawione kontroli działanie szaleńca.

Jeszcze raz.

- Ty cipo! - wydaje okrzyk Barnes. Potem już nie przestaje krzyczeć.

- Co za skurwysyn - woła Leo. Odwraca się, biegnie do kosza na śmieci i wymiotuje.

Nikt z nas nie ma mu tego za złe. Ledwo się to stało, jest już po wszystkim. Kobieta opada na plecy. Teraz trudno by ją było rozpoznać. Barnes klęczy odchylony do tyłu z wyciągniętymi przed siebie ramionami, umazany krwią i zalany potem. Nadmierna rozkosz wypompuwała go, jego erekcja minęła.

Znowu spogląda w miejsce poza zasięgiem kamery, na jego twarzy maluje się podziw.

- Czy mam to powiedzieć teraz?

Odwraca się wprost do kamery i się uśmiecha. W tym uśmiechu nie ma nic ludzkiego ani zdrowego.

- Ta jest dla ciebie, Smoky.

- O ludzie - jęczy Leo.

Milczę. Coś się we wyłączyło, zatrzasnęło. Patrzę, co będzie dalej. Barnes raz jeszcze kieruje wzrok na niewidoczną dla nas osobę.

- Dobrze było? Tak jak chciałeś? - Nagle wyraz jego twarzy się zmienia. Najpierw maluje się na niej zdziwienie, potem strach. - Co ty chcesz zrobić?

Gdy pada strzał i rozrywa mu mózg, mimo woli podskakuję i wywracam krzesło.

- Cholera! - krzyczy Alan, tak samo zaskoczony.

Opieram się o biurko, zaciśnięte na krawędzi ręce drżą. Wiem, co te raz zobaczymy. To musi nastąpić. Nie przepuściłby takiej okazji. I on nie zawodzi. Twarz w kominiarce pojawia się na wprost kamery. Skóra przy oczach zmarszczona przez uśmiech, którego się możemy tylko domyślać. Unosi kciuk w geście przeznaczonym specjalnie dla nas.

Film się skończył.

Wszyscy milczymy wstrząśnięci. Leo wyciera usta. Ręka sierżanta odruchowo powędrowała na kolbę pistoletu.

Mój mózg wydaje się teraz pustynią, po której szybują suche rośliny powyrywane przez wiatr. Pozbieranie się nabiera niemal dosłownego znaczenia.

- Wracajmy do roboty - mówię przez ściśnięte gardło.

Patrzą na mnie zdumieni, jakby uważali, że mi coś odbiło.

- Ruszcie się - warczę. - Musimy dać z siebie jeszcze więcej. On chce nas zdezorientować, drażni się z nami. Do diabła, weźcie się w garść i wracajcie do roboty. Ja zadzwonię do Jenkinsa. - Staram się mówić mocnym głosem, ale wewnątrz jestem wciąż rozdygotana.

Wreszcie moje słowa docierają do nich. Przychodzą do siebie, odzyskują zdolność ruchu.

Biorę telefon, dzwonię na centralę i proszę o połączenie z główną siedzibą nowojorskiego oddziału FBI. Działam jak automat, kręci mi się w głowie. Gdy zgłasza się ich centrala, łączę się z agentem Jenkinsem. Niespodzianka rzeczywiście, on też pracuje w CASMIRC, no, no.

Słyszę sygnał, a potem męski głos:

- Agent Specjalny Bob Jenkins, słucham.



- Cześć, Bob. Mówi Smoky Barrett z CASMIRC Los Angeles. - Sama się dziwię, że mój głos brzmi tak zwyczajnie. Jakbym rzucała zdawkowo: „Cześć, jak się masz, właśnie widziałam, jak wypatroszono kobietę, co u ciebie?”

- Witam, agentko Barnett. Wiem, kim jesteś. - Jego głos zdradza zaciekawienie. Ja też byłabym zaintrygowana, gdyby role się odwróciły. - O co chodzi?

Siadam w fotelu, biorę głęboki oddech. Czuję, że serce wyrównuje rytm.

- Chciałabym się dowiedzieć czegoś na temat Ronniego Barnes.

- Barnes, mówisz? - W głosie Jenkinsa słyszę zaskoczenie. - No, to stara sprawa, sprzed sześciu miesięcy, czy coś koło tego. Zabił i zmasakrował pięć kobiet. Mówię poważnie, strasznie zmasakrował. Dla nas to była prosta sprawa, prawdę mówiąc. Ktoś poczuł smród i doniósł o tym policji. Gliniarze wkroczyli do tego mieszkania. Znaleźli jedną z zabitych kobiet i samego Barnes z dziurą w głowie, którą sobie sam zrobił. Dochodzenie zamknięto.

- Mam złą wiadomość, Bob. To nieprawda, że zrobił ją sobie własnoręcznie.

W słuchawce cisza.

- Słucham...

Opowiadam mu pokrótce o Jacku Juniorze i paczce, którą mi przesłał. Streszczam, co było na CD, gdy kończę, po drugiej stronie znowu zapada cisza.

- Pracuję w tej branży, co najmniej tak długo jak ty, Smoky. Spotkałaś się kiedykolwiek z czymś takim?

- Och, nie.

- Ja też nie - wzdycha Jenkins. Odgaduję, co oznacza to westchnienie. Potwory istnieją, mordują i stają się coraz gorsze i gorsze. - Mogę w coś pomóc? - pyta.

- Możesz mi przesłać kopie akt sprawy Barnes? Wątpię, czy coś tam znajdziemy. Zabójca, którego szukam, jest bardzo, bardzo ostrożny, ale...

- Jasne. Coś jeszcze?

- Jeszcze jedno, czysta ciekawość. Kiedy zginął Barnes?

- Chwileczkę. - Słyszę, jak wystukuje coś na klawiaturze. - Popatrzmy... ciało znaleziono dwudziestego pierwszego listopada... stopień rozkładu i inne czynniki pozwalają przyjąć, że poniósł śmierć dziewiętnastego.

Czuję, że coś wysysa mi z płuc powietrze. Ręka, w której trzymam słuchawkę, drętwieje.

- Barrett? Jesteś jeszcze?

- Tak, dzięki za pomoc, Bob. Czekam na te dokumenty.

- Wyślę je jutro kurierem.

Rozłączamy się, a ja nie mogę oderwać oczu od telefonu.

Dziewiętnasty listopada! Nie mogę w to uwierzyć.

Kiedy Ronnie Barnes unicestwiał tę dziewczynę, Joseph Sands niszczył moje życie. Ta sama noc. Nie ten sam rok, dowolny dzień, ale dokładnie ta sama noc. Czy to mógłby być zbieg okoliczności? A może miało to jakieś ukryte głębiej znaczenie, którego wtedy nie potrafiłam zrozumieć?

Reszta dnia mija jak sen. Wraca Callie; Marilyn czuje się doskonale. Sierżant Oldfield przed odejściem zapewnia mnie, że nie dopuści, by Jackowi Juniorowi udało się zrobić z Marilyn coś takiego, co oglądaliśmy na filmie wideo. Wszystko jest już przygotowane do odbioru jutrzejszej przesyłki od Jacka Juniora. Powracamy do bieżących zajęć.

Ale ja nadal jestem roztrzęsiona. Ciągłe powracam myślą do zbieżności dat tych dwóch zdarzeń. Czuję, jakby czas się cofnął i zatrzymał w tamta listopadową noc.

Wtedy, gdy Ronnie Barnes uśmiechał się do kamery, ja krzyczałam wniebogłosy, a Matt umierał. Kiedy on wbijał nóż w ciało tej nieszczęsnej kobiety, Joseph Sands kroił nożem moją twarz.

Gdy się to działo, Jack Junior działał już na pełnych obrotach.

I wiedział o mnie.

To chyba najbardziej działa mi na nerwy. Od jak dawna już tkwię w kręgu jego zainteresowania? Czy zamierza iść śladem Josepha Sandsa?

Boję się. Muszę się do tego przyznać sama przed sobą. Jestem przerażona.

- Niech cię cholera! - krzyczę i walę ręką w kierownicę z taką siłą, że dłoń mi drętwieje. Nie mogę powstrzymać drżenia. - Teraz lepiej - warczę, choć jeszcze się cała trzęsę. - Tak trzymaj, Smoky.

Podsycam, więc w sobie ten gniew, jadąc w stronę domu Alana i Elaine. Jestem coraz bardziej wściekła na Jacka Juniora za to, że obudził we mnie na nowo ten strach. Ta wściekłość nie wystarcza jednak do pokonania mojego strachu, pozwala mi zaledwie przetrzymać najgorsze chwile.

Postanawiam skorzystać z wczorajszej propozycji przyjaciół, by zjeść z nimi kolację. Potrzebuję trochę normalności i Elaine mnie nie zawodzi. Wygląda już lepiej, przypomina bardziej tę Elaine, jaką była dawniej. Kilkakrotnie zmusza mnie do śmiechu, a co najważniejsze, wywołuje mnóstwo uśmiechów na buzi Bonnie. Widzę, jak Bonnie łączy się do niej. Wiem, jak się przy niej czuje.

Teraz Elaine przygotowuje Bonnie do powrotu ze mną do domu, a ja siedzę z Alanem w salonie i czekam. Rozkoszuję się kojącą ciszą.

- Wygląda na to, że czuje się dobrze - mówię. Alan potakuje.
- Czuję się o wiele lepiej, Bonnie bardzo jej pomogła.
- Cieszę się.

Bonnie wpada do salonu, zakłócając tę błogą chwilę spokoju. Za nią wchodzi Elaine.

- Jesteś gotowa, kochanie? - pytam.

Bonnie uśmiecha się i kiwa głową. Wstaję, ściskam Alana i całuję na pożegnanie Elaine w policzek.

- Czy Alan powiedział ci, że jutro zaczynamy pracę z samego rana?
- Tak.
- Mogę przywieźć Bonnie około siódmej?

- Po co pytasz? - Elaine kłęka. - Przytul mnie, dziecinko. Ściskają się, wymieniają uśmiechy, ruszamy do drzwi.

- Kochanie, idź już na górę i kładź się do łóżka - ponaglę Bonnie. - Ja za chwilę przyjdę do ciebie.

Kiwa głową i wchodzi po schodach do sypialni. Dzwoni mój telefon.

- Tu Leo.
- Co się dzieje?

- Alan i ja dostaliśmy nakaz umożliwiający wgląd w listę subskrybentów strony Annie. Nie miałem możliwości powiedzieć ci o tym wcześniej. Nawiązałem kontakt z tą firmą. Okazali się skłonni do współpracy.

- Więc masz tę listę?
- Studiuję ją od czterech godzin. I właśnie coś znalazłem, dlatego dzwonię.

- Powiedz - odpowiadam z nadzieją.

- Okazuje się, że twoja przyjaciółka miała niezwykle liczne grono sympatyków. Na liście jest prawie tysiąc osób. Pomyślałem, że warto spróbować przyjrzeć się im pod kątem możliwych związków ze scenariuszem Jacka Rippera. No, wiesz, login „piekło”, tego rodzaju rzeczy.

- No i?

- Znalazłem natychmiast. Frederick Abberline. Inspektor, który zdobył sławę, ścigając naszego Jacka z tamtych lat.

- Dopiero teraz mi to mówisz?!

- Nie byłem gotowy. Pomyśl, przecież to zbyt oczywiste. Nie zdradziliby swojego prawdziwego adresu. Mimo wszystko musiałem sprawdzić. To była skrytka pocztowa.

- Cholera...

- Ale to jednak jest jakiś trop - mówi Leo. - Badam sprawę dodatkowo pod innym kątem. Jeśli ktoś kiedykolwiek wniesie przy zapisie do portalu opłatę kartą kredytową, zostawia ślad w postaci adresu IP.

- Który jest czym?

- Wszystko, co jest w Internecie, czy to będą adresy kropkowe, czy dial-up, ma swój internetowy protokół komunikacyjny, czyli właśnie ten numer IP. Za każdym razem, gdy surfujesz w sieci, masz swoją tożsamość, jesteś swoim numerem IP.

- Rozumiem, że gdy opłacam subskrypcję, posługując się kartą kredytową, ten numer zostaje zalogowany?

- Tak.

- Dokąd ewentualnie może nas to zaprowadzić?

- To skomplikowana sprawa. Są dwa sposoby, w jakie IP można powiązać z danym połączeniem internetowym. Jeden jest dobry z naszego punktu widzenia, drugi jest gorszy. Adresem IP dysponują administratorzy sieci, którzy dają dostęp do Internetu. W większości przypadków za każdym razem, gdy się łączysz, zostaje ci nadany inny numer IP. Nie ma żadnej ciągłości.

- To jest ten sposób niezbyt dobry dla nas?

- Tak. Drugi rodzaj to stałe łącze. Administrator przydziela IP i masz go na zawsze. I to jest lepsze dla nas, ponieważ taki numer pozwala odnaleźć klienta.

- Hm... może się mylę, ale wydaje mi się, że nasz facet jest na to za mądry.

- Prawdopodobnie masz rację - odpowiada Leo. - A może nie. Zresztą to i tak nam się przyda, w najgorszym razie będziemy wiedzieć, kiedy IP były logowane. Lokalizacja jest możliwa i to całkiem dokładna.

- Świetnie, Leo. Dobra robota. Chcę, żebyś szedł dalej tym tropem, uparcie i zawzięcie.

- Masz to jak w banku.

Wierzę mu. Słyszałam podniecenie w jego głosie i wątpię, czy w ogóle będzie spał tej nocy. Wyczuł krew, środek odurzający o nieprzepartej mocy dla myśliwego. Idę na górę, gdzie czeka Bonnie, łóżko i sen.

Śni mi się sen, dziwny, niemający związku z dotychczasowymi moimi snami. Jest prawdziwym wspomnieniem.

„Dusza jak diament”.

Tak mi powiedział kiedyś Matt w przypiływie gniewu. Zajmowałam się pewną sprawą, która pochłaniała cały mój czas przez trzy albo cztery miesiące. Prawie nie widywałam Matta i Alexy. Początkowo znosił to ofiarnie, nie skarżąc się ani słowem. Pewnej nocy wróciwszy do domu, zastałam go siedzącego w ciemnościach.

- To nie może trwać dłużej - powiedział. Wyczułam jad w jego głosie.

Oślupiałam. Sądziłam, że wszystko układa się jak najlepiej. Ale to było typowe dla Matta. Zachowywał niewzruszony spokój, gdy coś mu dokuczało, aż do chwili, gdy wezbrała w nim złość, wtedy rozpętywał się prawdziwy huragan.

- O czym ty mówisz?

- O czym ja mówię? - Jego głos był napięty, drżący od gniewu. - Jezu, Smoky! Mówię, że ciebie tu nie ma. Jeden miesiąc, w porządku. Dwa miesiące, niedobrze, ale trudno, w porządku. Ponad trzy miesiące, o nie, do diabła! Mam tego dość! Nie ma cię nigdy w domu, a jeśli już jesteś, nie nawiązujesz żadnego kontaktu ze mną ani z Alexą. Jesteś opryskliwa, poirytowana - o tym właśnie mówię.

Nigdy nie radziłam sobie dobrze z bezpośrednim atakiem. Nie umiałam się zachować właściwie, gdy ktoś na mnie napadł. Na spokojnie przypisywałam to mojej irlandzkiej krwi, choć prawdę mówiąc, moja matka mogła być wzorem cierpliwości.

Nie, to jest moja własna cecha charakteru. Gdy jestem przyparta do muru, pojęcia dobra i zła przestają się dla mnie liczyć. Myślę tylko o jednym, jak wyplątać się z danej sytuacji. Będę wtedy walczyła nieczysto, tak jak to będzie konieczne, by to osiągnąć. Matt miał inną wadę: pozwalał, by gniew wzbierał w nim, a to nie pasowało do mojej wady. Ja przyparta do muru nie przebieram w środkach i nie myślę o konsekwencjach. Ta dysharmonia była między nami zawsze i wciąż jeszcze mi jej brak.

Matt wepchnął mnie swoimi argumentami w ślepy zaułek, z którego nie było ucieczki, więc, jak to miałam w zwyczaju, zadałam cios grubo poniżej pasa.

- Domyślałam się, że powinnam powiedzieć rodzicom tych dziewczynek, że nie mam czasu ścigać tego zbrojca, he? Coś ci powiem Matt, masz cholerną rację. Przejdę na tryb pracy od

dziewiątej do siedemnastej. Ale gdy zginie następna dziewczynka, ty pójdziesz oglądać jej pośmiertne zdjęcia, ty będziesz musiał rozmawiać z jej rodzicami i ty będziesz się starał pogodzić to z życiem rodzinnym.

Te słowa wypowiedziane na chłodno były okrutne i strasznie niesprawiedliwe. Ale okrutne jest to, co robię, myślałam pełna gniewu. W tym momencie nienawidziłam go za to, że mnie nie rozumiał. Jeśli siedzę w domu, pozwalam zabójcy krążyć po ulicach. Jeśli poświęcam się bez reszty ściganiu go, moja rodzina zostaje sama i gniewa się na mnie. To ciągła ekwilibrystyka, przymus godzenia pracy i domu.

Twarz Matta poczerwieniała gwałtownie.

- Chrzań się, Smoky - wymamrotał. Pokręcił głową. - Masz duszę jak diament. Taka właśnie jest.

- Co to, do diabła, miało znaczyć? - zapytałam zirytowana.

Obrzucił mnie gradowym spojrzeniem.

- To znaczy, że masz piękną duszę, Smoky. Piękną jak diament, ale niestety bywa ona także twarda i zimna jak ten klejnot.

Wypowiedział te słowa z taką wściekłością, że mój gniew wyparował. Okrucieństwo nie leżało w naturze Matta, to była moja specjalność. Gdy to ja musiałam się z nią zmierzyć, efekt był miażdżący. Poczułam coś dziwnego: lęk, że być może on miał rację. Pamiętam, jak stałam przed nim z otwartymi ustami, wstrząśnięta do głębi. Patrzył na mnie zaniepokojony, dostrzegłam cień wstydu na jego twarzy.

- Pieprzyć to - powiedział i ruszył po schodach, głośno tupiąc. Zostałam sama w ciemnym salonie, serce łomotało mi gwałtownie.

Pogodziliśmy się, oczywiście. Przeszliśmy jakoś przez to. Tym właśnie jest miłość. Dotarło to do najgłębszych zakamarków mojej duszy. Miłość nie polega na okazywaniu romantycznych uczuć czy namiętności.

Miłość, stan łaski. Doświadczasz jej, kiedy godzisz się z pełną prawdą o drugiej osobie, z tym, co okrutne i z tym, co boskie. A ona godzi się z jednym i z drugim w tobie, przekonujesz się, że nadal pragniesz dzielić z nią życie. Kochać, to znaczy wiedzieć o tym, co jest najgorsze w drugim człowieku i mimo to pragnąć go nadal całym sercem. Wiedzieć, że on czuje tak samo.

To jest poczucie bezpieczeństwa i mocy. Jeśli to zrozumiesz, bogactwo romantycznych uczuć i namiętności już nie oślepią. Staje się niezniszczalne, trwa wiecznie.

Wiecznie, to znaczy dopóki żyjesz.

Z tego snu nie budzę się z krzykiem. Po prostu otwieram oczy. Czuję łyzy na policzkach, pozwalam im wyschnąć tam, gdzie spłynęły. Wsłuchuję się we własny oddech, aż do chwili, w której znów zapadam w sen.

Wszyscy wyglądają na zmęczonych jak ja, Leo nawet gorzej. - Nie wychodziłeś stąd w ogóle, prawda? Spogląda na mnie zaczerwienionymi z niewyspania oczami i coś mruczy.

- Sam jesteś sobie winien. Więc słuchajcie - zwracam się teraz do wszystkich - Callie i Alan, pójdziecie ze mną na parking, Leo i James, nie przerywajcie swojej roboty.

- Chodźmy.

Specjalista od bomb pokazuje swoją odznakę.

- Reggie Gantz.

Wygląda na jakieś dwadzieścia kilka lat. Ma spokojne oczy o lekko znużonym wyrazie.

- Agentka specjalna Barrett. Pokaż, czym dysponujesz.

Prowadzi mnie do furgonetki brygady antybombowej i otwiera jej tył. Wyciąga laptopa i coś, co przypomina dużą kamerę filmową.

- To jest główne urządzenie. Przenośny cyfrowy aparat rentgenowski. Przekazuje obraz zawartości paczki na ekran laptopa. Ponieważ powiedziała pani, że paczka ma być dostarczona przez osoby trzecie, nie musimy się martwić, że bomba będzie uruchomiona. Nadawca na pewno nie chciałby, żeby wybuchła już w drodze.

- Chyba masz rację.

- Prześwietlimy przesyłkę promieniami Roentgena. Potem użyjemy wywąchwacza. Potrę paczkę kawałkiem bawełny, włożę ją do wywąchwacza, a on metodą spektrometryczną wykryje pierwiastki śladowe, jeśli tam jakieś będą. Gdy użyjemy obu przyrządów, będziemy mogli mieć całkowitą pewność, że bomba w paczce jest albo, że jej nie ma.

Kiwam głową z aprobatą.

- Nie wiemy, o której nadejdzie przesyłka, więc będziesz musiał się tutaj zaaklimatyzować i trochę poczekać.

Gantz salutuje i bez słowa powraca do furgonetki. Pan Lakoniczny.

Myślę o tym, jak potoczą się wypadki.

Pewnie przyjedzie kierowca, żeby dostarczyć paczkę. Zostanie zatrzymany na tak długo, jak będzie wymagało zdjęcie jego odcisków palców. Reggie sprawdzi paczkę i gdy stwierdzi, że jest bezpieczna, będziemy mogli wysłać ją do laboratorium kryminologicznego. Tam będą szukać



odcisków palców na opakowaniu i wszystkim, co będzie wewnątrz. Zbiorą wszelkie ślady mające wartość dowodową. Gdy je sfotografują, paczka wróci do nas.

Zawsze przywiązujemy wagę do przestrzegania procedury, co ma zarówno swoje plusy, jak i minusy. Czymś, co zabiera sprawcy kilka minut, my musimy się zajmować kilka godzin, a nawet dni. Jesteśmy wolniejsi, ale jednocześnie potrafimy znaleźć wszystko, co sprawca zostawi po sobie, także i to, co da się wypatrzeć jedynie za pomocą mikroskopu. Zdolność interpretacji nawet najdrobniejszego śladu, jaką osiągnęliśmy w dzisiejszych czasach, jest naprawdę przerażająca. Przestępca musiałby nosić skafander kosmiczny, by uzyskać pewność, że nie pozostawi po sobie niczego. A i tak wiedzielibyśmy, że użył takiego skafandra.

Nawet brak wszelkich śladów może wiele powiedzieć. Mówi, że przestępca dysponuje przynajmniej podstawową znajomością technik stosowanych w policji i w medycynie sądowej. Daje nam wyobrażenie o metodach i psychice zabójcy, o tym, czy jest inteligentny, opanowany i cierpliwy, czy raczej pobudliwy, chory umysłowo.

- Hej! - woła Alan i wskazuje palcem podjazd. - Myślę, że nadjeżdża.

Widzę, że w naszą stronę zbliża się samochód dostawczy firmy kurierskiej. Podjeżdża pod wejście do budynku i się zatrzymuje. Za kierownicą siedzi młody jasnowłosy mężczyzna z brzoskwiniowym meszkiem na brodzie i przygląda się nam wszystkim z zaniepokojeniem. Wcale mnie to nie dziwi. Prawdopodobnie, na co dzień nie oczekuje na niego grupa ludzi o twarzach pełnych powagi. Podchodzę do auta i daję mu znak, by opuścił szybę.

- FBI - mówię, podnosząc ku niemu swoją odznakę. - Ma pan przesyłkę na ten adres?

- Zgadza się. Jest w wozie, z tyłu. A o co chodzi?

- To materiał dowodowy, panie...?

- Że co? Aha, Jedediah. Patterson Jedediah.

- Proszę wysiąść z samochodu, panie Patterson. Ta paczka została wysłana przez ściganego przez nas mordercę.

Kierowca rozdziawia usta, zdumiony.

- O kurczę!

- Musimy zdjąć pańskie odciski palców. Zechce pan wysiąść?

- Moje odciski palców, dlaczego?

Zmuszam się do zachowania cierpliwości.

- Będziemy sprawdzać odciski palców na paczce. Musimy wyeliminować pańskie.

Coś zaczyna wreszcie do niego docierać.

- Jasne, rozumiem.

- Zechce pan wyjść z wozu - mówię zniecierpliwiona.

Widocznie Patterson wyczuwa to, bo otwiera drzwi i wysiada.

- Dziękuję. Proszę się udać za agentem Washingtonem, on pobierze pańskie odciski palców. Wskazuję dłonią Alana. Patterson mierzy go nieufnym spojrzeniem.

- Niech się pan nie obawia - mówię rozbawiona. - Wiem, jest olbrzymem, ale groźny bywa wyłącznie dla bandytów.

- Skoro pani tak mówi. - Patterson, nie odrywając oczu od człowieka góry, zwilża wargi. Potem oddala się za Alanem do budynku.

Teraz mogę się skupić na przesyłce. Reggie Gantz już stoi obok samochodu ze swoim sprzętem w rękach. Wygląda na znudzonego.

- Gotowa do zabawy? - pyta.

- Oczywiście.

Rusza na tył auta i otwiera drzwi. Mamy szczęście, w środku pozostały tylko trzy paczki. Reggie natychmiast odnajduje tę, o którą nam chodzi. Jest zaadresowana do mnie. Przyglądam się z ciekawością, jak włącza laptop i uruchamia aparat rentgenowski. Możemy obejrzeć zawartość paczki na ekranie.

- To jakby butelka z czymś... może i list... jest coś jeszcze, płaskie i okrągłe. To może być CD. To wszystko. Muszę włączyć wywąchiwacz. Chcę się upewnić, że zawartość butelki nie jest niebezpieczna.

- To możliwe?

- Nieee. Prawie wszystkie płynne materiały wybuchowe są niestabilne. Samochód wyleciałby prawdopodobnie w powietrze już w czasie jazdy tutaj. Ale my technicy pracujący z bombami niczego nie zakładamy z góry.

Jestem zadowolona, że Reggie jest tutaj i myślę, iż trzeba być szaleńcem, żeby pracować w tym zawodzie.

- Więc to sprawdź.

Gantz wyciąga kawałek bawełnianej tkaniny i pociera nią paczkę. Obserwuję, jak wkłada próbkę do wywąchiwacza i uruchamia urządzenie. Po paru minutach mówi:

- Według mnie wszystko jest w porządku. Można bezpiecznie otwierać.

- Dzięki, Reggie.

- Nie ma sprawy - ziewa znudzony.

Ściskam mu dłoń i odprowadzam wzrokiem do furgonetki, gdzie odnosi swój sprzęt.

Pozostałam sam na sam z przesyłką. Przyglądam się jej spokojnie. Jest niezbyt duża, tyle, by mogła pomieścić zawartość, coś wielkości słoika z galaretką, list, CD. Prawdopodobnie CD. Mam wielką chęć zajrzeć wreszcie do środka. Idę do budynku, mijam samochód dostawczy. Alan wraca z Jedem Pattersonem, który ma palce umazane czarnym tuszem. Przywołuję gestem Alana.

- Jest czysta - informuję go. - Zabieramy ją do laboratorium.

- Nie ma innego wyjścia - zgadza się Callie.

Jest to konieczne, ale wszystkich nas to irytuje.

Gdy wchodzimy do laboratorium kryminologicznego, twarz jego kierownika, Gene'a Sykesa przybiera wyraz rezygnacji.

- Hej, Smoky, ile mi dasz czasu tym razem? Uśmiecham się do niego.

- Daj spokój, Gene. To nie zajmie ci wiele czasu.

- Aha... powiedzmy, że ci wierzę. Ma być na wczoraj?

- Tak.

Sykes wzdycha.

- Powiedz, o co chodzi.

- Mam paczkę dostarczoną przez firmę kurierską z całą pewnością od naszego faceta. Została już sprawdzona przez technika, co oznacza, że zewnętrzna część pudełka jest wyczyszczona. Mamy też odciski palców kierowcy, który przywiózł przesyłkę.

- Czy wiesz, co jest w środku?

- Technik ją prześwietlił. Wyglądało, że jest w niej jakiś słoik, list i być może płyta CD.

Pewności nie ma, bo jeszcze jej nie otwarliśmy.

- Skąd wiesz, że ta paczka pochodzi od twojego typu?

- Bo nas uprzedził, że ją przyśle.

- Jakie to uprzejme z jego strony. - Gene przetrwał przez chwilę informacje. - Oglądałaś już miejsce jakiejś zbrodni popełnionej przez niego?

- Tak.

- Znaleźliście coś?

Mówię mu o odciskach palców znalezionych na łóżku Annie. Gene drapie się w głowę. Zaczyna dogłębnie analizować problem.

- Muszę mieć to naprawdę dokładnie sprawdzone, Gene, i zależy mi, by wyniki były jak najszybciej.

- Jasne. Będę badał warstwę po warstwie. Zdejmę opakowanie, wyjmę zawartość i zajmę się każdą rzeczą oddzielnie. Powiedziałaś, że on jest ostrożny, więc wątpię, żebyśmy znaleźli jakiegokolwiek dostrzegalne lub nadające się do zdjęcia odciski palców. Ale czasami oni nas zaskakują.

Są trzy rodzaje odcisków na miejscu przestępstwa: plastyczne, widzialne i ukryte. Najbardziej, oczywiście, lubimy plastyczne i widzialne. Odciski plastyczne powstają, kiedy palce sprawcy spoczną na miękkiej powierzchni, takiej jak wosk, kit lub mydło. Widzialne tworzą się, gdy sprawca dotknie czegoś takiego, jak na przykład krew, a potem dotyka innej powierzchni, pozostawiając odciski widoczne gołym okiem.

Najczęściej spotyka się ukryte albo niewidoczne. Te wymagają prawdziwych poszukiwań, a technika zdobywania ich czasami stanowi prawdziwą sztukę.

Gene jest artystą. Jeśli cokolwiek tam jest, on to znajdzie.

- Rozumie się samo przez się, Gene, że jeśli w środku jest CD, muszę obejrzeć, co tam jest, zanim poddasz płytę jakimś niszczyielskim zabiegom. Wiem, że zdobycie ukrytych śladów może wymagać użycia chemikaliów i podgrzewania, a ja muszę ją odtworzyć.

Obrzuca mnie urażonym, szyderczym spojrzeniem.

- O rany, Smoky... Myślisz, e, z kim masz właściwie do czynienia?

Uśmiecham się szeroko.

- Przepraszam. - Wręczam mu dwie plastikowe torby z materiałami dowodowymi, zawierające ostatnie przesyłki i wydruki korespondencji od Jacka Juniora. - Sprawdź także i to. Wszystko pochodzi od niego.

Gene marszczy brwi.

- Masz coś jeszcze? - pyta z wyraźnym sarkazmem.

- Będziesz mógł korzystać z mojej kompetentnej pomocy, złotko - dodaje Callie.

Gene miażdży ją wzrokiem.

- Musimy się spieszyć. Zawiadomił nas, że zamierza zabić znowu.

Jego twarz poważnieje.

- Dostaniecie to.

Wracam do biura, gdzie zastaję Alana rozmawiającego przez telefon. Szybko wyrzuca z siebie słowa, jest czymś podekscytowany. W jednej ręce trzyma teczkę z dokumentami sprawy Annie.

- Muszę to potwierdzić, Jenny. Chcę mieć stuprocentową pewność, dobrze? - Czeka, stukając niecierpliwie stopą o podłogę. - Jesteś pewna? W porządku, dzięki. - Odkłada słuchawkę i podchodzi do mnie. - Pamiętasz, jak ci mówiłem, że coś mnie w tych aktach niepokoi?

- Pamiętam.

- To było w spisie rzeczy zabranych z jej mieszkania. - Alan otwiera teczkę, odnajduje dokument i wskazuje palcem odpowiednie miejsce. - Spójrz, potwierdzenie opłaty za wykonaną usługę. Pięć dni przed zbrodnią wykonano w jej mieszkaniu dezynsekcję.

- No i...?

- W większości domów takich jak ten, w którym ona mieszkała, przeprowadza się dezynsekcję całego budynku, a nie poszczególnych mieszkań.

- Nie możemy być tego pewni. Ale mów dalej.

- Tak, ja także mógłbym nie zwrócić na to uwagi, zlekceważyć to. Wiesz, ja jednak widziałem to pokwitowanie, kiedy tam byliśmy i coś mi w nim nie dawało spokoju.

- Tak?

- To była adnotacja na potwierdzeniu. - Alan chwyta notatnik leżący na biurku i czyta: „Zrobiłem u drzwi pas DUK na gruz”. - Myślałem, co to może znaczyć, do diabła? A niżej facet się podpisał: „Jes Katteme”.

- Dziwne imię.

- To są anagramy, prawda? - wtrąca James.

Alan patrzy na niego zaskoczony.

- Właśnie, ale skąd ty... mniejsza o to. - Odwraca się do mnie, pokazuje mi notes. - Popatrz: „Zrobiłem u drzwi pas DUK na gruz”. Pozmieniaj porządek liter, a otrzymasz: „Umrzesz głupia brudna dziwko”.

Czuję nagły skurcz żołądka.

- Teraz: „Jes Katteme”. Poprzestawiaj litery i otrzymasz: „Jestem Katem”.

- Ostatnia zniewaga - mruczy James. - Mówi jej prosto w oczy, że wkrótce umrze i że to on ją zabije. A ona nigdy tego nie odczytała.

Powinno to wzbudzić we mnie gniew, ale go nie odczuwam. Staję się odporna na te gierki. Spoglądam na Jamesa.

- Naprawdę imponująca robota.

Alan wzrusza ramionami

- Zawsze miałem zamiłowanie do anagramów i czepiania się szczegółów.

- Tak, tak, jesteś zdumiewający - mówi James. - Pytanie tylko, co to oznacza i do czego może nam się przydać?

- Czemu sam nam tego nie powiesz, dupku - odcina się Alan.

Zniewaga nie robi żadnego wrażenia na Jamesie. Kiwa głową.

- Nie sądzę, żeby przyszedł się przechwalać. Myślę, że chciał rozpoznać teren. Upewnić się, że dobrze zna rozkład mieszkania.

- Albo sprawdzić zdobyte poprzednio dane - wtrącam. - Mógł być tam już wcześniej i chciał sprawdzić, czy nic się nie zmieniło.

- Przeprowadzić rekonesans - dodaje Alan. - To pasuje do tych facetów. Są sprytni, ostrożni. Planują starannie działania.

- Może to jest dla nich charakterystyczne - dodaję. Czuję, jak narasta we mnie podniecenie. - Gdybyśmy zdołali w jakiś sposób dowiedzieć się, kto ma być ich następną ofiarą, może udałoby nam się złapać tego, kto przeprowadza rozpoznanie. - Odwracam się do Lea. - Jak u ciebie?

Leo się krzywi.

- Obawiam się, że mam niedobre wiadomości. Ten numer IP nie dotyczy stałego łącza. Mogę dotrzeć do miejsca, gdzie się nim posłużono, ale to ślepa uliczka.

- Jak to?

- Facet korzystał z usług kawiarenki internetowej. Całkowicie anonimowo.

- Cholera. Może masz jeszcze cokolwiek?

- Niestety, nic.

- No cóż, niech wszyscy myślą nad tą sprawą. Intensywnie! Dzwoni telefon. Alan podnosi słuchawkę, przedstawia się i rozłącza.

- Laboratorium - informuje mnie. - Są już gotowi i czekają na ciebie.

Zjeżdżam windą cztery piętra w dół. Kiedy wchodzę do laboratorium, Gene gawędzi ze speszoną Callie.

- Uważaj - mówię. - Tak cię zagada, że cię uszy rozboła.

Gene odwraca się do mnie.

- Opowiadam agentce Thorne o ostatnich osiągnięciach w zakresie identyfikacji mitochondrialnego DNA.

- Ekscytujący temat - mówi Callie swoim najbardziej oschłym głosem.

Gene marszczy gniewnie brwi.

- Przestań, Callie. Dobrze cię znam, byłaś jedną z moich najlepszych studentek.

Callie śmieje się, mruga do mnie. Podnoszę filiżankę kawy do toastu.

- Zawsze wygłaszałam peany na twoją cześć, Gene. Pozostajmy w tym nastroju, co dla mnie masz?

Spogląda po raz ostatni z marsową miną na Callie, a ona pokazuje mu język.

- Żadnych bezpośrednich dowodów fizycznych, to znaczy odcisków palców, nici, włosów, nabłonka, niczego takiego. Jednak to, co mamy, jest bardzo interesujące. Mówi nam o zbrodniarzu coś, czego on sam nawet sobie nie uświadamia. Ożywiam się.

- Jak to?

- Dowiesz się w odpowiednim czasie, Smoky. Żeby rzecz zrozumieć, musisz najpierw przeczytać ten list. - Podaje mi go. - Proszę, czytaj.

Nie lubię, gdy ktoś robi takie tajemnice, ale Gene jest jednym z najlepszych specjalistów w dziedzinie medycyny sądowej w kraju. Może nawet na świecie. Callie kiwa głową.

- Naprawdę warto poczekać, złotko.

Rozkładam, więc list.

*Pozdrowienia, agentko Barrett!*

*Umieram z ciekawości, jak ci się podobała historyjka o Ronniem Barnesie. Obawiam się, że nie był najmądrzejszym chłopcem, ale przynajmniej pozwolił mi zademonstrować pewien fakt. Jestem pewien, że zastanawiasz się, jak wielu innych Ronnie'ch jeszcze ci przedstawię. Niestety, czuję, że sprawi mi o wiele większą przyjemność, jeśli pozwolę ci się dalej nad tym zastanawiać.*

*Nawiasem mówiąc, widziałem, jak szłaś na strzelnicę po powrocie z San Francisco. Muszę powiedzieć, że byłem tym bardzo przejęty i podekscytowany. Gracz zawsze odczuwa satysfakcję, gdy gra nabiera perfekcji.*

*Teraz mój przeciwnik jest w pełni uzbrojony i sprawny. Fakt ten sprawia, że krew szumi mi w żyłach. Czy czujesz to samo? Czy serce łomocze ci w piersiach, a zmysły się wyostrajają?*

- Cholera, on ciebie śledzi, złotko.

- Taak. Będziemy musieli coś z tym zrobić.

*Wyglądasz teraz inaczej, agentko Barrett. Bardziej niebezpiecznie. Przestałaś ukrywać blizny, których na początku tak się wstydzilaś. To wyjdzie ci na dobre. Mnie także, bo teraz już mogę zdjąć białe rękawiczki. Możemy zacząć wreszcie naprawdę interesującą grę.*

*W załączeniu przesyłam ci dwie rzeczy. Jedna z nich, zawartość słoika, wymaga pewnych wyjaśnień, by jej wymowa stała się w pełni zrozumiała.*

*Pomówmy o Annie Chapman. Znanej także jako Czarna Anna. Czy to nazwisko nie wydaje ci się znajome, agentko Barrett? Nie powinno być ci obce. To druga ofiara mojego przodka.*

*Biedna, biedna Annie Chapman. Wiesz, ona nie zawsze była brudną kurwą. Czekala, aż umrze jej mąż i dopiero wtedy zaczęła jak zdzira bezwstydnie rozkładać nogi dla pieniędzy. Coś najbardziej obrzydliwego. Gdy Jack Ripper zrobił z nią porządek, przeciął czyrak na skórze społeczeństwa.*

*Była drugą ofiarą, ale pierwszą, z której drogi Jack wziął coś na pamiątkę. Wyobraź sobie, że wyciął jej macicę, górną część pochwy i dwie trzecie pęcherza.*

*Oczywiście, wysunięto wiele teorii na ten temat. Wszystkie były fałszywe. Nikt nie miał wystarczającej wyobraźni, by ogarnąć zamysł mojego przodka. Zdradzę ten sekret teraz tobie, więc czytaj uważnie.*

*Jack wiedział, że linia jego rodu była i będzie linią wyjątkową. Wывodziła się od pradawnych potworów. Predatorów stojących ponad ludzkim bydłem. Za swój obowiązek uważał przekazanie mocy i wiedzy przyszłym pokoleniom, by kontynuowały naszą świętą misję.*

*Zgromadził, więc wiele pamiątek. Zabierał fragmenty ciała dziwek i zamykał szczelnie w słoikach, zabezpieczając przed rozkładem. Pozostawił swoją wolę, że mają być przekazywane z pokolenia na pokolenie jako przypomnienie dzieła, które on rozpoczął.*

*Powiedziałem ci, że udowodnię, iż jestem jego potomkiem w prostej linii. Zawsze dotrzymuję słowa. Przesyłam ci jedną z tych relikwii. Zakonserwowaną macicę Anny Chapman. Budzi grozę, czyż nie? Jest twoja, sprawdź ją. Gdy przeprowadzisz badania, będzie ci, jak sądzę, trudno zasnąć w nocy, bo będziesz już wiedziała, że potomek Człowieka Cienie jest wolny i przebywa gdzieś w pobliżu.*

- Czy to, co on pisze, jest prawdą, Gene? Czy w tym słoiku znajduje się ludzka macica?

Gene obdarza mnie tajemniczym uśmiechem.

- Pomówimy o tym za chwilę. Przeczytaj list do końca.

*Jest tylko jeden autentyczny Człowiek Cień, ale poznałaś wielu pretendentów do tego miana, prawda, agentko specjalna Barrett? Tych, którzy żyją w mroku i zabijają w mroku. Mój przodek urodził się w mroku. Jemu przypadło dziedzictwo ciemności.*

*On kochał ciemność, a ciemność... ciemność kochała jego. Był jej najprawdziwszym dzieckiem.*

*Ale zboczyłem z tematu.*

*Załączam następne CD dla ciebie. Kontynuuję misję mojego przodka. Usuвам z powierzchni ziemi kolejną dziwkę, przecinam kolejny czyrak.*

- Cholera - mówię.

*Baw się dobrze. Jestem naprawdę dumny z mojego dzieła. To na razie wszystko, agentko Barrett. Możesz być spokojna, skontaktuję się z tobą. Być może w bardziej bezpośredni sposób. Macie tydzień. Tik-tak, tik-tak, tik-tak.*

*Z piekła*

*Jack Junior*



Odkładam list, podnoszę wzrok na Gene'a.

- Wyrzuć to wreszcie z siebie.

Gene zaciera ręce.

- Kiedy przeczytałem cały liścik, zacząłem oczywiście od słoika. Wykonałem kilka podstawowych testów, dzięki którym to odkryłem.

- Co? Na litość boską.

Robi przerwę dla wzmocnienia efektu.

- W tym słoiku nie ma żadnej ludzkiej komórki, Smoky. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że to tkanki krwi.

Na moment odbiera mi mowę. Potem wybucham:

- Jasna cholera!

Gene szczyrzy zęby w uśmiechu.

- Tak, tak. Nasz chłopiec myśli, że ma coś pochodzącego od Jacka Rippera. Ale to nieprawda. Ma kawałek zakonserwowanego cielska krwi. Wierzy w różne rzeczy, ma cały system przekonań, lecz nie wie, że to wszystko jest kłamstwem. - Kręci mi się w głowie. - Kompletną bzdurą! Bzdurą wbił mu przez kogoś do głowy. Nie jest żadnym potomkiem Kuby Rozpruwacza. Jest...

- Tylko kolejnym, jednym z wielu morderców - kończy myśl Callie. - Nieźle, co? Nie ma fizycznych śladów pozwalających zidentyfikować naszych chłopców, ale jest na pewno precyzyjna i wyraźna ich charakterystyka.

- Wspaniała, wspaniała robota. Możesz oznakować to wszystko i opisać w raporcie?

- Oczywiście, zrobię to dziś wieczorem.

- No, no. - Odwracam się do Callie. - Musimy powiedzieć o tym całemu zespołowi.

Ruszamy do drzwi.

- Aha, agentko Barrett!

Odwracam się i widzę, że Gene trzyma coś w dłoni okrytej rękawiczką. Ależ ze mnie idiotka. Tak się podnieciłam, że zapomniałam o płycie. Moja euforia gaśnie.

Jesteśmy na powrót w biurze. - Mam dobrą i złą wiadomość.

- Najpierw dobrą - prosi Alan.

Relacjonuję im treść listu, a na koniec mówię, co Gene znalazł w słoiku. Alan i Leo są zdumieni. James patrzy gdzieś w dal. Słyszę niemal myśli wirujące w jego głowie.

- A więc - mówi - ktoś wpoił mu takie przekonanie. Albo ten ktoś także w to wierzył, albo chciał, by Jack Junior uwierzył w ten mit.

- Może to dzieło jego fantazji - odpowiada Leo. - Dlaczego zakładamy udział innej osoby?

- Ponieważ, gdyby w takim stopniu ulegał urojeniom, nie mógłby działać na takim poziomie organizacji i kompetencji, jakim się wykazał. Pomyśl o tym.

- Zgadzam się, złotko - przytakuje Callie. - Stworzyć taki system przekonań i potem zapomnieć, że się jest jego twórcą... nie sądzę, by to mogło funkcjonować na dłuższą metę. Musiałby być bardziej skłonny żyć złudzeniami.

Przetrawiam ich słowa.

- To wielki krok naprzód - mówię. - Następne ogniwo. Teraz już nie szukamy wyłącznie jego, ale też jego mentora. - Odwracam się do Callie. - Przekaż to doktorowi Childowi. Jeśli go nie będzie, zadzwoń do domu. Powiedz mu, że muszę się z nim zobaczyć jutro rano. To jest jeden z tych przypadków, gdy profil przestępcy może się rzeczywiście okazać bardzo pomocny.

- Rozumiem, złotko.

- Nasz chłopiec zaczyna robić błędy. Zdradził się także, że mnie śledzi.

- Co? - Alan patrzy na mnie przestraszony.

- Napisał to w liście. Byłam na strzelnicy po naszym powrocie z San Francisco. Napisał, że widział, jak tam szłam. Kiepski ruch z jego strony.

- Musisz być bardzo, bardzo ostrożna, złotko.

Uśmiecham się.

- Nie martw się, Callie. Zadzwonię w tej sprawie do mojego starego przyjaciela. To były funkcjonariusz służb specjalnych. Poproszę go, by pochodził za mną.

Callie kiwa głową.

- Jeśli nie spuści cię z oka, będzie mógł zobaczyć każdego faceta, który za tobą łązi.

- Tak. Mój przyjaciel jest profesjonalistą. Będzie też potrafił znaleźć każdą pluskwę czy inne tego typu urządzenie w moim samochodzie. Poproszę, by sprawdził również mój dom. Jeśli coś

znajdzie, pozostawię to na miejscu. My będziemy wiedzieli, że coś jest, ale facet się nie dowie, że my o tym wiemy.

- Zauważyłaś, że mówisz facet, a nie faceci? - pyta James.

Zaskoczył mnie. Jakoś nie zwróciłam na to uwagi.

- Myślę, że mówię tak, dlatego, ponieważ nabieram coraz silniejszego przekonania, iż tak naprawdę liczy się tylko „on”. Jack Junior. Inni nie mają istotnego znaczenia. To narzędzia w jego ręku. Czuję to. Popatrz na Ronniego Barnes. Jack posłużył się nim, a potem usunął świadka. Powiedział zresztą w swoim liście, że szuka innych zabójców i chce być ich przewodnikiem.

- Powstaje, więc pytanie, co z zabójcą numer dwa, który był w mieszkaniu Annie - mówi James. - Czy on jeszcze żyje? Czy zginął jak Barnes?

- Nie możemy mieć pewności, ale coś mi mówi, że on nadal żyje.

- Zgadza się - mówi Alan. - Pomyślcie, zaczął od Annie to, co planował od jakiegoś czasu. Nie będzie miał ochoty tracić współnika i szkolić teraz innego fachmana.

Patrzę na mój zespół.

- Zaczynamy ich doganiać.

- Wystarczy już tego samouwielbienia - odzywa się James. - Jaka jest ta zła wiadomość?

Pokazuję płytę.

- Przysłał też to. Znowu zabił.

W pokoju robi się cicho. Leo wstaje i wyciąga rękę po płytę.

- Miejmy to już za sobą.

- Zaczynaj - mówię, wręczając mu CD.

Jego laptop jest już włączony. Leo wkłada płytę do napędu. Czekamy.

Najpierw ukazuje się strona tytułowa, białe litery na czarnym tle: Ta śmierć jest sponsorowana przez <http://www.ciemnowlosazdzira.com>.

- Zapisz to - mówię do Leo.

Na ekranie pojawia się kobieta. Jest związana, usiłuje się uwolnić. Przywiązano ją do łóżka naga. Tak samo jak Annie. Oceniam jej wiek na mniej niż dwadzieścia pięć lat. Wygląda bardzo naturalnie, chodzi mi o to, że nie powiększyła sobie biustu, chyba żeby zwiększała go do miseczek rozmiar B, ale to raczej wątpliwe. Ma nieskazitelne młode ciało, niezeszcpeczone ciążą i porodem. Jej włosy są długie, gęste i ciemne, widać, że on woli brunetki. W oczach ma wszystko, co w tej chwili czuje: przerażenie, rozpacz, bezsilność.

W polu obiektywu kamery pojawia się Jack Junior ubrany w ten sam strój, w jakim zabijał Annie. Macha wesoło ręką w stronę kamery. I tym razem także mam wrażenie, że się uśmiecha. Uśmiech jest przeznaczony dla nas. Sprawia mu ogromną przyjemność fakt, że zbrodnia będzie

utrwalona i że będzie się dokonywać na naszych oczach, a on zachowa anonimowość. Odchodzi gdzieś, po chwili rozbrzmiewa muzyka. Jest bardzo głośna, ogłuszająca.

*I wish they all could be California girls...*

Jack zbliża się do kobiety i patrzy na nią, przekrzywiając głowę to w jedną stronę, to w drugą. Potem podnosi broń. Tym razem nie jest to nóż, lecz pałka. Zaczyna tańczyć i podskakiwać, wymachując nią. Dostosowuje ruchy do rytmu piosenki. Wykonuje kilka pozorowanych zamachów tylko po to, żeby przerazić bardziej swoją ofiarę. Oczy wychodzą jej z orbit, twarz purpurowieje, gdy usiłuje krzyknąć przez knebel.

Potem, tak jak w wypadku Annie, mamy do czynienia z montażem. Wszystko odbywa się ze skrajną brutalnością. Nie ma tam nic chłodnego, wyrafinowanego, gdy zamaskowany mężczyzna bierze rozmach, podnosi pałkę i opuszcza ją w dół, uderzając z siłą całego ciała. Nie chce połamać jej kości, on chce je roztrzaskać na drzazgi. Za każdym razem, gdy dziewczyna mdleje, przerywa bicie i uderza ją po twarzy, dopóki nie odzyska przytomności. Chce, żeby była cały czas z nim, by miała świadomość tego, co się z nią dzieje. Aby bez przerwy cierpiała.

Odkłada pałkę i wypycha się na nią okrakiem. Zaczyna ją gwałcić. Robi to brutalnie, celowo wykonuje gwałtowne ruchy, chce pokruszyć te roztrzaskane kości, pragnie, by stosunek sprawił jej ból tak wielki, jakiego nigdy jeszcze w życiu nie doznała. Wszystko w rytm tej ogłuszającej muzyki. Teraz także, kiedy ona mdleje, budzi ją.

To musi być tak, jakby budziła się wciąż od nowa i wracała do koszmaru, domyślam się.

Gwałt się kończy. Pojawia się skalpel. On pokazuje go półprzytomnej dziewczynie. Chwyta ją za gardło, zmusza, by patrzyła na narzędzie, by zrozumiała. Jej oczy podążają za ostrzem, zastygają na nim, gdy przesuwa się w dół jej brzucha. Widać, że ogarnia ją obłęd, gdy on zaczyna wiwisekcję.

Spoglądam na Lea. Jest zielony, oczy ma pełne zgrozy, ale panuje nad sobą. Zahartował się, stał się kimś, komu nie wypada zachować się inaczej.

Gdy kobieta jest już martwa i pozbawiona wnętrzości, Jack Junior wstaje. Patrzy na nią przez długą, długą chwilę. Ofiara wygląda, jakby ktoś zmusił ją do połknięcia bomby, a potem zdetonował ładunek. Jack Junior odwraca się w stronę kamery i unosi kciuk.

Na tym wideo się kończy.

- Myślisz, że jesteś taki zabawny - syczę rozwścieczona. – Uśmiechaj się dalej, skurwielu.

Brzmi to równie bezsilnie, jak bezsilnie czuję się w tym momencie.

W gruncie rzeczy wiem, że on się nigdy nie śmieje, bo nie ma w nim nic, co mogłoby zrodzić uśmiech.

Wszyscy milczą, przetwarzając w pamięci obrazy, które widzieli. Muszą je rozczłonkować. Uporać się z nimi.

- Sprawdź ten adres, Leo. Dowiemy się, co to za kobieta.

- Właśnie to robię - odpowiada spokojnie. - Jak... jak ktokolwiek mógł coś takiego zrobić? -

Naprawdę pyta mnie o to. Jego oczy błagają o odpowiedź. Zastanawiam się, a potem mówię, dobierając starannie słowa.

- Oni robią to, bo to uwielbiają. Całość należy do seksualnego spełnienia i potrzeba tego staje się silniejsza niż największy głód ćpuna. Stają się tacy z wielu różnych przyczyn, ale kwestią zasadniczą jest zamiłowanie do tego. Oni namiętnie kochają to robić. - Zwracam się do Jamesa: - Jakie jest to określenie, które dla nich wymyśliłeś?

- Seksualni mięsożercy.

- Właśnie.

Widzę, jak dreszcz przebiega po ciele Lea.

- Nie tak sobie wyobrażałem to wszystko.

- Wiem, możesz mi wierzyć. Są tacy, którzy uważają, że jest czymś ekscytującym ściganie seryjnych morderców, gwałcicieli dzieci lub wszelkich innych ludzkich potworów, lecz to nie ma wiele wspólnego z prawdą. Prawda jest taka, że to wyniszczające zajęcie. Budzisz się rano i nie myślisz wcale: o rany, nie mogę się doczekać, kiedy złapię tego typu. Budzisz się, patrzysz w lustro i czujesz się cholernie winny, że jeszcze go nie dorwałeś. Próbujesz nie myśleć o tym, iż może właśnie zabija kolejną ofiarę tylko, dlatego, że ty go dotąd nie złapałeś. - Odchylam się do tyłu, kręcę głową. - Nie, nie ma w tym żadnej ekscytacji, jest ciężar ponoszenia odpowiedzialności za ludzkie życie.

Leo słucha, siedzi nieruchomo przez chwilę, potem wraca do komputera. Nauczył się radzić sobie z okropnościami, jakie musi u nas oglądać. Po minucie ma już to, czego potrzebuję.

- Mam adres „ciemnowłosej dziry”. Mieszka na Woodland Hills.

- Masz jej nazwisko?

- Nie, przykro mi. Jest zastrzeżone. Prawdopodobnie wyłącznie do użytku właściciela portalu.

- Alan, zadzwoń na komisariat policji w tej dzielnicy. Powiedz im, żeby to sprawdzili. Jeśli się okaże, że ona tam jest, chcę, żeby zabezpieczyli miejsce zbrodni i zawiadomili nas. Nikt stamtąd nie wychodzi, nikogo nie wpuszczają

- Okay.

- To nie było oczywiste na tym nagraniu - mówi James. - Przynajmniej nie dla mnie.

- Co nie było oczywiste?

- Że było tam dwóch facetów, nie jeden.

Patrzę na niego zaskoczona, kiwam głową. Ma rację. Już samo to, że nie załapałam, o co mu chodzi, świadczy, że jego spostrzeżenie jest trafne. Jeśli Jack Junior miał pomocnika, tym razem nie dało się tego dostrzec na pierwszy rzut oka.

- Jednak byli tam obaj, czuję to - mówi James.

Znów spoglądam na niego i kiwam głową. Ciemny pociąg sunie naprzód puf, puf, tuk, tuk, a James i ja jesteśmy znowu w środku.

- Leo, chciałabym rzucić okiem na tę witrynę.

Callie wygląda na speszoną.

- Nie przypuszczałam, że będę surfować po stronach porno, Smoky. A to będzie już drugi raz.

- Coś, co zwykle robisz tylko w zaciszu domowym?

- Bardzo śmieszne.

To z mojej strony wisielczy humor i wypadł błado. Tamte obrazy są jeszcze żywe w każdym z nas.

- Mam - mówi Leo.

Przysuwamy krzesła bliżej, by móc razem obejrzeć stronę. Utrzymana jest w tonacji delikatnego brązu. Widzę zdjęcie kobiety, którą na naszych oczach okrutnie mordował Jack Junior. Ma na sobie tylko stringi. Jej tyłeczek jest skierowany w naszą stronę i wypięty w odwiecznej frywolnej pozie. Ogląda się przez ramię, uśmiecha niby wstydliwie, a jednocześnie wyciąga palec w geście „podejź bliżej, kotku”. Wygląda na profesjonalistkę w branży porno. Prezentuje się jednak ładnie, jest pełna życia i ciepła. Nie zasługuje na to, co ją spotkało.

Jestem ciemnowłosą zdziłą głosi napis biegnący u góry strony. Na prawo od jej zdjęcia widnieją dodatkowe, mniejsze fotografie. Nie ma miejsca na jakiegokolwiek aluzję, są wyraźne i jednoznaczne. Nie chodzi o podniecające pozy czy reklamy z roznegliżowanym kociakiem. Strategicznie dobrane fotografie prezentują seks oralny, analny, seks między kobietami, seks grupowy. Tekst napisany drobną czcionką pod zdjęciami potwierdza obraz: Kocham obciążać kutasa i łykać spermę. Nie mogę się doczekać gwałtu zbiorowego i pieprzenia w dupę. Absolutnie kocham gryźć cipy!

- Wszechstronna młoda kobieta - zauważa Callie.

Anonse graficzne informują nas, że lubi pokazywać się przed internetową kamerą i że organizuje seks party dla swoich fanów. Tylko dla subskrybentów, oczywiście.

Leo otwiera jeszcze dwie inne strony tej witryny, po których pojawia się ostateczny cel tej wędrówki: strona z zapisami na subskrypcję.

- I co teraz? - pytam. - Nie posłużę się moją kartą kredytową.

- To nie będzie potrzebne - odpowiada Leo. - Mam takie przecucie. Klikam na link: Subskrypcja. Na ekranie pojawia się okienko z prośbą o nazwę użytkownika i hasło.

- Założę się, że wykorzystał to samo hasło, jakim posłużył się w witrynie twojej przyjaciółki. Była tam nazwa „jackis” i hasło „zpiekła”. - Wpisuje oba słowa i wciska „enter”. Ukazuje się strona z napisem: Witam w obszarze, do którego dopuszczam tylko moich najgorętszych przyjaciół. - Voila - woła Leo.

- Dobrze się spisaleś.

Leo przewija stronę z indeksem ofert. Są w nim hasła: „fotografie osobiste”, „moje wideoklipy”, „moje zdjęcia na żywo”, „fotografie moich fanów”. Zwracam uwagę na hasło: „fotografie od uczestników seks party”.

- Zastanawiam się... - mówię w zadumie.

- O co chodzi, złotko? - pyta Callie.

- Ci uczestnicy... Myślę, że on być może nie potrafił zrezygnować z takiej okazji. Odbić z nią stosunek, wiedząc, że wkrótce będzie ją mordował. Coś, co mi do niego bardzo pasuje. Mogłoby to spotęgować w nim napięcie oczekiwania i poczucie posiadania władzy.

Jest to typowa cecha seryjnych morderców. Tropienie, obserwacja, planowanie zabójstwa dostarczają im niemal tak samo upajających przeżyć jak końcowy akt.

- Uważam, że to bardzo prawdopodobne - mówi James. – Moglibyśmy ściągnąć wszystkie te zdjęcia. Wypreparować z nich twarze widocznych tam mężczyzn i postarać się o ich identyfikację. - Wzrusza ramionami. - To może nic nie dać, ale chyba warto spróbować.

Każdy, kto dostrzega w pracy funkcjonariuszy organów porządku publicznego wyłącznie to, co emocjonujące, siłą rzeczy nie rozumie tego aspektu naszej służby. Chcielibyśmy działać błyskawicznie, ale musimy postępować metodycznie. Zarzucamy nasze sieci jak rybacy. Nie jedną, a wiele, wciąż na nowo. Poszukiwanie odcisków - jedna sieć. Nakaz umożliwiający zdobycie listy subskrybentów - druga. Rozpoznanie twarzy - jeszcze inna. Raz za razem, zarzucamy i wyciągamy. Przeważnie są puste. Nie jest najważniejsze, co udaje nam się złapać. Rekin czy płotka, cokolwiek wpada w sieć, może pomóc w ujęciu zabójcy. Jest to wyścig żółwi na trasie mierzonej w centymetrach.

- Zajmijcie się tym. Ty i Leo. Podchodzę do Alana.

- Powiadomiłeś policję?

- Tak. Spotkam się z nimi na miejscu.

- Co z doktorem Childem? Udało ci się z nim skontaktować?

- Udało się. Początkowo był bardzo nieuprzejmy, ale wystarczyło, że go wprowadziłem pokrótce w sprawę, a zainteresował się natychmiast. Chce, żeby mu przesłać kopię raportu dziś wieczorem. Z tobą może się spotkać jutro rano.

- Dobrze. Callie, zdobądź ten raport od Gene'a i dopilnuj, żeby dotarł jeszcze dziś do doktora Childa.

Callie idzie do telefonu, Alan rusza do wyjścia. Ja wracam do biurka i wygrzebuje z leżących na nim papierów swój notes z adresami i telefonami. Przerzucam szybko strony. Jest. Tommy Aguilera, były agent tajnych służb specjalnych, obecnie pracujący jako doradca prywatnej firmy ochroniarskiej. Poznaliśmy się, gdy prowadziłam śledztwo w sprawie syna pewnego senatora. Młodzieniec miał upodobanie do gwałtów i morderstw. Tommy musiał w końcu zastrzelić faceta, co wywołało polityczne trzęsienie ziemi. Tylko moje zeznanie uratowało go przed utratą pracy. Tommy poprosił mnie wtedy, bym dała mu znać, jeśli kiedykolwiek będę potrzebowała czegokolwiek. Położył nacisk na słowa „kiedykolwiek” i „czegokolwiek”.

Myślę o tym, wystukując numer. To bardzo, bardzo solidny gość. Zachowuje niezmiennie twarz pokerzysty. Mówi cichym głosem, ale nie ma w nim nieśmiałości. Może kojarzyć się bardziej z sykiem węża mającego pewność, że potrafi błyskawicznie uderzyć.

Odbiera dopiero po czterech sygnałach.

- Słucham? - Głos jest dokładnie taki, jaki zapamiętałam.

- Cześć, Tommy. Mówi Smoky Barrett.

Chwila ciszy, potem:

- Hej, Smoky? Jak się masz.

Wiem, że to ma być z jego strony grzeczność. Nie to, że nie interesuje go, jak ja się czuję, ale po prostu to nie jest facet, który ma w zwyczaju prowadzić towarzyskie pogaduszki.

- Potrzebuję twojej pomocy w pewnej sprawie.

- O co chodzi?

Wyjaśniam mu. Opowiadam o Jacku Juniorze, o tym, że był w moim domu i mnie śledzi.

- Bardzo możliwe, że namierza cię elektronicznie.

- To jedna sprawa, jeśli tak jest, chcę to wiedzieć na pewno, lecz zależy mi, by on nie zorientował się, że o tym wiem.

Tommy milczy. Po chwili mówi:

- Rozumiem, chcesz, żebym i ja cię śledził.

- Właśnie.

- Od kiedy?

- Chciałabym, żebyś najpierw sprawdził mój samochód i dom, czy nie ma w nim pluskwy lub urządzeń namierzających. Potem obserwacja. To daje szansę na schwytanie go. Może pod



jakimś względem okaże się głupcem. - Waham się. - Do diabła z tym, powinieneś to wiedzieć. Jest ich dwóch.

- Działają razem?

- Tak.

- Od kiedy mam zacząć? - pyta bez cienia wahania.

- Będę w domu wieczorem, około jedenastej. Mógłbyś przyjść do mnie trochę później?

- Nie. Będę wcześniej. Nie przejmuj się, jeśli ci coś wypadnie. Zaczekam.

- Dzięki, Tommy, będą ci naprawdę wdzięczna.

- To ja jestem twoim dłużnikiem, Smoky. Do zobaczenia wieczorem.

Odkładam słuchawkę w zadumie. Tommy jest z pewnością rozsądnym facetem. Widzę, że Callie kończy telefonować.

- No i jak? - pytam.

- Złapałam Gene'a, złotko. Już wysłała przez kuriera kopię raportu do doktora Childa.

- Jak dużo czasu zajmie ci skompletowanie wszystkiego do zbadania miejsca zbrodni, Callie?

Callie unosi brwi zaskoczona.

- To zależy od tego, czy Gene już coś ma, czy nie.

- Zobacz się z nim i przygotujcie wszystko. Jeśli się okaże, że popełniono tam zbrodnię, chcę, żebyś razem z Gene'em dokonała wstępnych czynności, zanim wpuścimy tam techników kryminalistycznych i tych z medycyny sądowej. Pierwszy raz mamy możliwość obejrzeć to w dziewiczym stanie.

- Już się robi, złotko - odpowiada Callie i wybiega z pokoju.

I właśnie w tym momencie doznaję tego. Jednego z tych moich nagłych olśnień. Nie dziwi mnie to. Znam takie sytuacje dobrze od wielu lat, myślą wybiegam wciąż o parę ruchów do przodu jak w szachach. Wszystkie zmysły napięte do ostateczności.

- James i Leo, słuchajcie - mówię podekscytowana. - Ciekawa jestem, co o tym myślicie. - Siadam, a oni skupiają na mnie całą uwagę. - W obu wypadkach, gdy wybierali ofiarę, zapisywali się w pamięci witryn jako odwiedzający je subskrybenci, prawda?

- Tak.

- I w obu wypadkach posłużyli się tą samą nazwą użytkownika i takim samym hasłem. Taki sam zestaw, więc...

Oczy Leo otwierają się szerzej.

- Słusznie! Więc jeśli wybrali już następną ofiarę, jest szansa, że na jej witrynie posłużyli się tym samym lub przynajmniej zbliżonym. Powinno to być coś wiążące się z historią Jacka Rippera.

Uśmiecham się.

- Otóż to. Nie przypuszczam, żeby było bardzo dużo portali, które przyjmują wpłaty za subskrypcję witryn tylko dla dorosłych.

- Rzeczywiście, nie jest ich tak wiele. Chyba mniej niż tuzin.

- Musimy się skontaktować z każdą z nich, James. Zrobicie to ty i Leo. Chcemy znaleźć w ich rejestrach ten lub podobny zestaw danych do logowania. Jeśli je powiążę z odpowiednią witryną, poznamy następny cel.

James patrzy na mnie z powściągliwym podziwem.

- Dobra jesteś. Naprawdę dobra.

- Dlatego właśnie jestem waszym szefem i płacę mi duże pieniądze.

Brak riposty z jego strony mogę uznać za komplement.

Rozmawiam przez telefon komórkowy z Alanem.

- Znaleźliśmy miejsce zbrodni, Smoky - oznajmia.

- Kto z policji kieruje dochodzeniem?

- Barry Franklin. Chce z tobą mówić.

- Dobra. Daj mi go.

Chwila przerwy, potem słyszę głos Barry'ego. Nie jest zadowolony.

- Smoky, co jest grane? Odmawiacie nam dostępu do miejsca przestępstwa?

- To nie tak, Barry. Zupełnie nie tak. Mamy po prostu pierwszą taką możliwość. Świeże miejsce zbrodni dokonanej przez tego typu. Wiesz, jak nam na tym zależy.

Barry milczy, tylko wzdycha.

- Jasne, czy przynajmniej ja mogę tam wejść? Wiesz, że niczego nie spieprzę.

- Oczywiście, że tak. Możesz dać mi z powrotem Alana?

- Proszę.

- Będzie mógł wejść bez problemu na miejsce zbrodni? - upewnia się Alan.

- Tak, zaraz wyjeżdżam z Callie i Gene'em. Spotkamy się z tobą na miejscu.

- Zdobyłem jej nazwisko, Smoky. Charlotte Ross.

- Dzięki. Rozłączam się.

Charlotte Ross. Kobieta o bogatym życiu seksualnym, jakby kiedyś powiedziano: rozwiązła. Osoba o bardzo wątpliwej moralności. Wiem jednak, że nie zasłużyła na taką karę: tortury, gwałt i śmierć. Wiem także, że w istocie rzeczy to nie rozwiązłość i niemoralność powodują, iż Jack i jego kompan robią to, co robią. Odczuwają rozkosz, słysząc krzyki przerażenia i patrząc na łyzy bezsilności swoich ofiar. One służą im tylko za usprawiedliwienie.

Godziny szczytu kończą się o ósmej wieczorem, więc dotarcie pod właściwy adres na Woodland Hills nie zajęło nam wiele czasu. Mieszkanie mieści się w jednopiętrowym budynku z własnościowymi lokalami. Nie najbardziej reprezentacyjnym, ale przyjemnym, dobrze pasującym do tej dzielnicy.

Parkuję auto. Wszyscy z niego wysiadamy i ruszamy w stronę frontowych drzwi, przy których czeka Alan.

- Gdzie jest Barry? - pytam.

Wskazuje palcem drzwi.

- Wciąż jeszcze siedzi w środku.

- Oglądałeś?

- Wiedziałem, że będziesz chciała zobaczyć to pierwsza. Wie. Po latach współpracy tworzy się tego rodzaju symbioza. Wsuwam głowę do środka i wołam Barry'ego. Wynurza się z pokoju i wychodzi na werandę.

- Bogu dzięki - mówi, sięgając do kieszeni płaszcza. - Jak diabli potrzebowałem pretekstu, by wyjść stamtąd i zapalić. - Wyciąga paczkę, zapala papierosa, zaciąga się i wydmuchuje dym z zadowoleniem. - Chcesz jednego?

- Nie, dzięki.

Ku swemu zdziwieniu nie czuję ochoty na palenie. Pragnienie nikotyny wyparowało ze mnie gdzieś pomiędzy dniem, gdy przypominałam sobie o Alexie, a dniem, kiedy znowu wzięłam do ręki mój pistolet.

Dopisało mi szczęście, że to Barry zajmuje się sprawą z ramienia policji. Znam go od prawie dziesięciu lat. Jest niski, krępy, lekko łysieje. Nosi okulary i ma jedną z najbrzydszych twarzy, jaką kiedykolwiek widziałam u mężczyzny. Mimo tych widocznych mankamentów urody Barry ciągle spotyka się z młodziutkimi kobietami. Ma w sobie to coś, co je przyciąga. Odnosi się wrażenie, że jest większy niż jego ciało i bije od niego ogromna pewność siebie. Dla wielu kobiet połączenie wewnętrznej siły i dobrego serca to mieszanka, której nie mogą się oprzeć. Barry jest przy tym wzorowym funkcjonariuszem wydziału zabójstw. Ogromnie, naprawdę ogromnie zdolnym detektywem. Gdyby trafił kiedyś do FBI, chciałabym go mieć w swoim zespole.

- Chcesz jak najszybciej zobaczyć miejsce zbrodni? - pyta.

- Powiedz mi najpierw to, co najważniejsze, zanim wejdem do środka.

Kiwa głową i zaczyna relacjonować. Nie sprawdza niczego w swoich notatkach. Nie potrzebuje, ma fotograficzną pamięć.

- Ofiarą jest Charlotte Ross, lat dwadzieścia cztery. Znalezione ją przywiązaną do łóżka, martwą. Ciało jest rozcięte od mostka do miednicy. Organy wewnętrzne zostały wycięte i ułożone obok ciała. Niezwykle ciężkie rany tłuczone ramion, łokci, kolan. Wygląda na to, że ktoś uderzał ją czymś.

- Uderzał. Walił ją pałką. Barry uniósł brwi.

- Skąd o tym wiesz?

- Morderca przysłał mi wideo, gdzie to wszystko jest zarejestrowane. To druga kobieta, o której wiemy, potraktowana w ten sam sposób.

- Nie mamy jeszcze oficjalnej daty zgonu, ale sądzę, że nastąpił, co najmniej trzy dni temu. Zwłoki strasznie cuchną.

- To by się zgadzało z jego sposobem działania.

Barry zaciąga się głęboko dymem i mierzy mnie badawczym spojrzeniem.

- O co tu chodzi, Smoky?

- O to samo, co zawsze. Psychol, który chce budzić przerażenie i uwielbia zadawać ból. - Trę oczy, jestem zmęczona. - Ten typ wybiera kobiety prowadzące witryny porno w Internecie. On... - Waham się. - To musi na razie pozostać między nami Barry, nie mam ochoty zdradzać niczego prasie.

- Możesz być spokojna.

- Przede wszystkim to nie „on”, lecz „oni”. Jest ich dwóch. Przypuszczamy, że jeden jest zdecydowanie ważniejszy, dominuje. Mają obsesję na moim punkcie i na punkcie mojego zespołu. Pierwszą ofiarą była moja przyjaciółka ze szkoły średniej. Najbliższa przyjaciółka. Wiedzieli, kim była dla mnie.

Na twarzy Barry'ego pojawia się niepokój, niemal przerażenie.

- Jasna cholera, Smoky!

- To, o czym powiedziałaś, wygląda na stały schemat ich działania. Moją przyjaciółkę zabili, podcinając jej gardło. Inaczej niż w tym wypadku. Ale precyzyjne usunięcie wewnętrznych narządów to ich znak firmowy. Ten, o którym sądzimy, że jest dominantem, uważa się za potomka Jacka Rippera.

Barry krzywi się z niesmakiem.

- Zupełna brednia - mówi.

- Racja. Mamy nawet na to dowód.

- Więc jak zamierzasz teraz działać?

- Najpierw chcę sama obejrzeć miejsce zbrodni. Następnie Gene i Callie dokonają wstępnej ekspertyzy kryminalistycznej pod kątem medycyny sądowej. Potem mogą wkroczyć wasi technicy i przeprowadzić dokładne badania. Zależy mi tylko, żeby zrobili to bardzo szybko i muszę mieć kopię protokołu z wynikami.

- Masz załatwione. - Barry wychodzi na ulicę, żeby nie zostawiać niedopałka w pobliżu domu. Wraca i wskazuje drzwi. - Jesteś gotowa?

- Tak. - Patrzę na Alana, Callie i Gene'a. - Alan, wracaj do domu, nie ma potrzeby, żebyś tu teraz tkwił.

Alan waha się przez chwilę, ale ostatecznie kiwa głową.

- Dzięki.

Odwraca się i odchodzi.

- Callie, zajmie mi to jakieś dwadzieścia, trzydzieści minut. Jak skończę, będziecie mogli wejść do środka.

- Nie ma problemu, złotko. Rób swoje.

Ruszam w stronę wejścia i zatrzymuję się na chwilę w drzwiach, nasłuchując moim wewnętrznym uchem. Jest: tuch, tuch, ruch, ruch, puf, puf. Czuję, jak ogarnia mnie chłód i jak to, co mnie otacza, rozrasta się w otwarte, bezwietrzne pole, na którym za chwilę pojawi się ciemny pociąg. Nie wolno mi go przegapić.

Wchodzę do środka. Mieszkanie nie jest zbyt eleganckie, takie zwyczajne i czyste. Ktoś się początkowo bardzo tu starał, ale potem zrezygnował ze swoich ambicji. Słaby powiew czegoś smutnego. Rozczarowanie nie zdominowało jeszcze jej życia, ale dzień, w którym miało to nastąpić, się zbliżał.

I ten dzień nadszedł, myślę.

Mieszkanie przesiąknięte jest zapachem śmierci. To zapach rozkładu. Nie wyczuwam nawet słabej woni perfum, tylko zapach mordu, surowy i prawdziwy. Jeśliby dusze miały jakiś zapach, tak pachniałaby dusza Jacka Juniora.

Na prawo od salonu widzę kuchnię. Za rozsuwanymi szklanymi drzwiami widać patio położone na tyłach domu. Panuje tam już chłodny mrok wieczoru. Podchodzę bliżej i sprawdzam zasuwkę. Jest standardowa, tania, nietknięta.

- Po prostu zastukaliście, jak wtedy, czyż nie? - mrużę. - Ty i twój kumpel. Czy ukrył się z boku, gdy ty stałaś na wprost, gotów rzucić się na nią z zaskoczenia?

Przychodzi mi do głowy, że oni nie wybrali wdarcia się do Annie o dziewiętnastej ze skłonności do brawury. Jest to pora, o której ludzie albo wracają do domów, albo dopiero, co wrócili i wciągają się w domowe zajęcia. Chcą zapomnieć o świecie na zewnątrz.

- Tu też tak żeście to rozegrali? Przyszliście po prostu spacerowym krokiem, wczesnym wieczorem, swobodni, uśmiechnięci i zapukaliście do drzwi? Któryś z was trzymał może nonszalancko ręce w kieszeni?

Coś właśnie w nich wyczuwam. Czuję to bardzo wyraźnie. Puf, puf, puf, puf, tuk, tuk. Ich arogancję.

*Jest wczesny wieczór i oni parkują samochód dokładnie na wprost domu tej dziwki. Czemu nie, w końcu nie ma w tym niczego nadzwyczajnego. Wsiadają z auta, rozglądają się wokół. Panuje spokój, choć nie ma martwej ciszy. Jest pusto, ale nie ma bezruchu. To zmierzch na przedmieściu, wyczuwa się życie tętniące za murami domów. Mrówki w swoich kopcach. Podchodzą do drzwi. Wiedzą, że ona jest w domu. Wiedzą o niej wszystko. Jeszcze rzut oka, by upewnić się, że nikt nie nadchodzi, i jeden z nich puka. Mija chwila i ona otwiera. Co potem? Rozglądam się po korytarzu. Nie widzę żadnej upuszczonej koperty, żadnych śladów walki. Ale znów czuję to samo - ich arogancję. Zrobili to w najprostszym z możliwych sposobów, weszli do środka, popchnęli ją i zamknęli drzwi. Wiedzieli, że ich nie zatrzyma. Większość z nas nie odepchnęłaby intruza w pierwszym odruchu. Zamiast tego szukamy powodów, próbujemy zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. I w tych chwilach wahania i zastanowienia napastnik przejmuje inicjatywę.*

*Być może jednak ona była szybka, otwarła usta do krzyku mimo, że drzwi już zostały zamknięte. Oni byli na to przygotowani. Czego użyli? Noża? Nie. Nie było dziecka, które mogłoby spełnić rolę zakładnika. Musieli jej zagrozić w jakiś sugestywny sposób. Pistolet? Tak. Nic nie potrafi tak skutecznie uciszyć człowieka jak mroczny tunel wylotu lufy przed oczami.*

- *Uciszyć się, bo zginiesz — nakazał jeden z nich. Mógł to powiedzieć spokojnym, rzeczowym tonem, co mogło zabrzmieć jeszcze bardziej przerażająco, bardzo wiarygodnie. Czują, że mówi to ktoś, kto potrafi zabić bez zmrużenia oka.*

Idę w stronę sypialni. Tu smród jest silniejszy. Poznaję to miejsce, widziałam je na filmie. Wystrój pokoju jest w kolorze różowym, delikatny i gustowny. Świadczy o młodości, niefrasobliwym, swobodnym szczęściu. Pośrodku tego pogodnego pokoju to, na co patrzeć jest najtrudniej. Ona. Martwa, w stanie rozkładu, wciąż przywiązana do łóżka. Umarła z otwartymi oczami. Nogi ma rozłożone. Pozostawili ją w takiej pozycji celowo, wiem. Przechwalają się: „Mieliśmy ją. Ona jest nikim, nic niewartą dziwką. Była nasza”.

Widzę torby ustawione obok łóżka. Podczas gdy ciało jest obrazem gwałtu, chaosu i zdeprawowania, torby stanowią jaskrawy kontrast z nim. Wydaje mi się, że są ułożone starannie w niemal prostej linii. Precyzja i dokładność - tym też się chwala przed nami. Popatrzcie, jacy jesteśmy sprawni, zdają się mówić. Może zresztą oni przemawiają językiem zrozumiałym tylko dla nich samych, posługując się piktogramami, których nie umiem rozszyfrować.

Wygląda to na dopracowany w każdym szczególe rytuał. Tak robiłby Jack Ripper, myślę, więc oni robią tak samo. Intryguje mnie także ich stopień koncentracji. Pochłonięci byli kobietą i tylko nią. Niczego w tym pokoju nie ruszyli ani nie uszkodzili. Ich chęć posiadania nie objęła jej otoczenia.

Wchodzę do sypialni i rozglądam się po ścianach. Mnóstwo książek z oślimi uszami. Są podniszczone, chaotycznie poukładane. Nie służyły do dekoracji, ona naprawdę je czytała. Patrząc na tytuły i serce mi się ściska. To smutne i tragikomiczne zarazem. Prawdziwe kryminały, wiele spośród nich opowiada o seryjnych mordercach.

- Helter Skelter, la, la - mruczę.

Odwracam się w stronę łóżka. Oczy mi się zwężają na widok jej ubrania leżącego na podłodze. Podchodzę bliżej i schylam się, badam je, nie dotykając niczego. Stanik jest rozdarty, podobnie jak majtki. Nie zdjęła ich sama. Zdarli je z niej siłą.

Prostuję się i spoglądam w dół na jej twarz zastygłą w wiecznym krzyku.

- Walczyłaś z nimi, Charlotte? - pytam cicho. - Kiedy kazali ci zdjąć bieliznę, czy wykrzyczałaś im, żeby ją sobie wsadzili w dupę?

*Charlotte stoi przy łóżku w samej bieliźnie, drżąc pod wpływem adrenaliny, której wydzielanie zwiększa nagły lęk. Jeden z nich wyciąga pistolet.*

- Zdejmuj to - woła. - Ściągaj wszystko, już!

*Ona patrzy to na niego, to na tego drugiego. W odróżnieniu od Annie widzi to, zanim ją przywiązali do łóżka. Te puste oczy. Już wie.*

- Pieprz się! - krzyczy, rzuca się na niego z pięściami, kopie.

- Na pomoc! Na pomoc!

Patrząc na jej ciało, widzę stłuczenia na twarzy, wokół oczu. Była bita po tym jak przywiązano ją do łóżka czy wcześniej? To w gruncie rzeczy nie ma znaczenia, czy moje przypuszczenia są zgodne z prawdą. Czuję się jednak lepiej, tak na to patrząc.

*Rozjusza go, że ta świnią podniosła na niego swoją brudną rękę. Na chwilę ogarnia go niepokój. Musi uciszyć ten krzyk. Uderzają z całej siły w brzuch. Cios zapiera jej dech. Charlotte zgina się w pół.*

- Przytrzymaj ręce z tyłu - mówi do tego drugiego, napięty, wściekły.

*Charlotte krztusi się i ciężko dyszy, gdy ten drugi chwytą ją za łokcie i wykręca je na plecy.*

- Musisz się nauczyć posłuszeństwa, dziwko - mówi ten z pistoletem i uderzają otwartą dłoń w twarz. Raz, drugi. Znowu. Jej głowa odskakuje na boki po każdym ciosie. On wyciąga ręką i zdiera z niej biustonosz z tak brutalną siłą, jaką mają tylko szaleńcy. Potem zrywa majtki z jej bioder. Kobieta zaczyna krzyczeć, ale on uderzają w splot słoneczny i zadaje jej parę jeszcze bardziej miazdzących ciosów w twarz. Charlotte jest naga, oghuszona, lzy ciekną jej po policzkach,

*dzwoni w uszach. Otacza ją czerwona mgielka. Próbuje utrzymać równowagę, lecz kolana uginają się pod nią. Teraz już będzie posłuszna. To go uspokaja.*

W tym momencie mógł ją zakneblować. Patrzę na jej ręce i stopy, ma założone kajdanki. Moją uwagę przyciąga lewa dłoń. Podchodzę i pochylam się w wezłowiwi łóżka. Charlotte miała na paznokciach tipsy, ale jeden z palca wskazującego zniknął. Sprawdzam pozostałe palce. Inne tipsy są na swoich miejscach. Przygryzam wargi z emocji. Coś przychodzi mi na myśl. Wychodzę na werandę.

- Masz latarkę? - pytam Barry'ego.

- Jasne - odpowiada i podaje mi małą lampkę.

Chwytam ją i wracam szybko do sypialni Charlotte. Klękam przy łóżku i oświetlam podłogę pod nim. Mam. Pojedynczy tips leży na dywanie na wysokości wezłowia. Mrużę oczy i dostrzegam coś na jego koniuszku, co wygląda jak krew. Wstaję i patrzę na Charlotte. Czuję niemal fizyczny ból zmieszany ze smutkiem. Powodem jest ten samotny paznokieć. Ostatni akt oporu, ostatnie „pieprzę cię” z za grobu.

Ktoś mógłby się upierać przy opinii, że to był przypadek, ale ja wolę interpretować to inaczej. Pamiętam o tych książkach, które Charlotte tak lubiła czytać, o jej fascynacji tym, co niewiadome i tajemnicze, pracą policyjnych techników, specjalistów z zakresu medycyny sądowej, światem zbrodni. Widzę też młodą dziewczynę, która nie poddawała się łatwo, a przecież wiedziała, że wkrótce umrze.

*- Przykuj tę zdziwę do łóżka - mówi ten z pistoletem. Drugi mężczyzna przewraca ją, chwyciwszy za przeguby.*

*- Ouuu! Kurewskie nasienie! — krzyczy. — Ta cipa drapie!*

*- Więc załóż jej kajdanki, do jasnej cholery.*

*Tamten uderza ją znowu w brzuch, przyciąga jeden przegub do ramy łóżka i zatrzaskuje kajdanki. Potem unieruchamia drugą rękę.*

Zrobiła to być może, kiedy on skuwał jej nogi. Może jeszcze później.

Koncentrowała się na tym, w czasie, gdy ją straszili, torturowali, gwałcili.

Widzę ten moment.

*Wszystko jest przerażeniem, bólem, czerwoną mgłą. Oni zamierzają ją zabić. Wie o tym. Czytała o takich rzeczach, ale z książek dowiedziała się także o wartości dowodowej DNA. I wie, co ma pod paznokciem. Naciska sztuczny paznokieć kciukiem, naciska z całej siły, mocno, jeszcze mocniej, modląc się, by oni tego nie zauważyli, aż w końcu... Odpryskuje bezboleśnie. Nie może słyszeć, jak spada na podłogę, ale jakaś cząstka w niej płacze, rozstając się z nim. On przetrwa, ona nie.*

*Przenosi wzrok na tego z pistoletem, który się teraz uśmiecha.*



*Dziewczyna zamyka oczy, zaczyna płakać i myśli o tym paznokciu. Wie, że już nigdy go nie przyklei.*

Wstaję i czuję, jakby przeleciał przeze mnie zimny wicher.

- Znalazłam go - szepczę do Charlotty. - Tam gdzie go dla mnie zostawiłaś.

- To chore, przerażające i żalosne - syczy Barry. - Chyba nigdy się nie oswoję z czymś takim.

Spoglądam na niego.

- To raczej dobrze, Barry.

Zaskoczyłam go. Na jego twarzy pojawia się blady uśmiech.

- No tak...

Callie i Gene szykują się do wejścia do środka. Powiedziałam im wszystkim o tipsie.

- Oni nie będą tam długo, więc nie czekaj i ściągnij już techników kryminalistycznych. Pogoń ich porządnie. Będę czekała na ich raport. Dopilnuję, żeby było coś za coś. Jestem pewna, że zbrodnie popełniają tutejsi faceci. Jeśli tylko dojdzie do zdjęcia ich, będziesz na pewno z nami.

Barry kręci głową.

- Doceniam to, co mówisz, Smoky, ale nie przejmuj się tym za bardzo. To jedna z takich spraw, w których nie liczy się, kto ich złapie, ale to, by w ogóle ich złapano.

- No to umówmy się, że będziemy w stałym kontakcie, jednak każde z nas będzie działać samodzielnie.

- To mi pasuje - odpowiada.

- Mówiąc dokładnie, chcesz, żebyśmy, co właściwie zrobili?

Gdy Gene zadaje mi to pytanie, na jego twarzy maluje się rozdrażnienie i podniecenie. Ekscytuje go, że po raz pierwszy od dłuższego czasu znalazł się na pierwszej linii frontu, ale irytuje fakt, że to nie jest jego front.

- Chcę mieć coś natychmiast, coś, co umożliwi mi złapanie tego typu. Technicy policyjni są dobrzy. Wykonają solidnie całą ciężką robotę, ale chcę, żebyście to wy zebrali śmietankę i sprawdzili wszystko, co mogłoby nam się przydać natychmiast.

- Chciesz, żebyśmy zabrali ten paznokieć? - pyta Callie. Zastygam na moment.

- Uzyskamy szybciej wyniki badań DNA?

- Oczywiście.

- To go bierzcie. Ale będziecie musieli poczekać na ekipę techniczną, żeby im dać na to pokwitowanie. Nie możemy robić niczego, co wprowadziłoby bałagan w materiale dowodowym i mogłoby utrudnić uzyskanie dla nich wyroku skazującego.

Gene spogląda na Callie.

- Weźmiesz aparat fotograficzny czy emiter promieni ultrafioletowych?

- Wolę aparat.

Callie będzie fotografowała miejsce zbrodni, zwłaszcza wszystko, czego będą chcieli dotknąć lub będą musieli przesunąć. Gene będzie się posługiwał ręcznym emiterem, miniaturową wersją urządzenia, jakiego Callie użyła w mieszkaniu Annie.

- Idziemy.

Wchodzą do środka, ja idę za nimi, ale moja osoba jest ignorowana przez nich, gdy zaczynają swój taniec, który przypomina mi zachowanie Jamesa i moje. Callie węszy w powietrzu.

- Jak sądzisz, złotko? Trzy dni od chwili śmierci?

- Tak bym to ocenił, w przybliżeniu.

Callie wykonuje kilka szerokich ujęć zwłok wraz ze spakowanymi w torebki narządami. Gene podchodzi do tych toreb i przesuwając pałeczkę emitera nad nimi i wokół nich.

- Żadnych odcisków palców, ale to pobieżne, a nie dokładne badanie.

Odwracają się oboje w stronę ciała. Callie robi kolejne zdjęcia. Gene pochyla się, by zbadać prawą rękę Charlotty.

- Widziałaś to miejsce, gdzie już nie ma sztucznego paznokcia? - pyta. W odpowiedzi Callie wykonuje serię zdjęć.

- Paznokciec jest na dywanie, pomiędzy łóżkiem a ścianą - mówię. Callie przykuca i robi kilka zdjęć tipsa.

- Jest na nim chyba trochę krwi i naskórka. - Wykonuje jeszcze parę zdjęć.

Gene klęka i wsuwa pałeczkę emitera pod łóżko.

- Jest tu mnóstwo kurzu. Nie chcę naprawdę ruszać niczego oprócz paznokcia. - Podaje emiter Callie i sięga do kieszeni, wyciąga z niej pincetę i małą torebkę foliową na dowody. Widzę, jak wysuwa rękę z pincetą, starając się nie dotknąć dywanu. Po chwili prostuje się, w rękę trzyma torebkę. - Tu może być DNA.

- Kiedy? - pytam.

Gene wzrusza ramionami.

- Za dwadzieścia cztery godziny. - Usiłuję zaprotestować, ale on przerywa mi gestem dłoni.

- To jest super tempo, Smoky. Prawdziwe cito. Dwadzieścia cztery godziny, kropka.

- No dobrze, dobrze - wzdycham.

Gene odbiera emiter od Callie i przesuwa pałeczkę nad zwłokami. Zaczyna od głowy, potem bada szyję, otwartą klatkę piersiową, brzuch, nogi. Prostuje się.

- Nie widzę żadnych śladów nasienia na ciele. Wszędzie, oczywiście, jest krew. Patrząc gołym okiem, nie można zdobyć żadnych przesłanek do sformułowania wniosków.

Callie wykonuje następne ujęcia.

- Moim zdaniem twoim najlepszym i najszybciej dostępnym tropem będzie DNA z paznokcia - mówi do mnie Gene. - A ponieważ niewątpliwie doszło tu do szamotaniny, powiem policjantom, żeby z największą skrupulatnością szukali wszelkich śladów, zwłaszcza na biustonoszu i majtkach.

- To wszystko?

- Na razie tak, złotko. Ale z tego tipsa da się wiele wyciągnąć, nie sądzisz?

- Tak, tak, mam nadzieję. - Spoglądam na zegarek. Jest już prawie jedenasta. - Callie, muszę iść spotkać się z moim ochroniarzem u siebie w domu. Gene, weź się zaraz do tego DNA.

- Będę się starał.

Patrzy na Charlotte, która zdaje się wciąż jeszcze krzyczeć.

- Jak ona się czuje? - pytam. Mam zmęczony głos, sama to słyszę.

- Doskonale, obudziła się po południu i trochę oglądałyśmy telewizję. Pomagała mi przy robieniu obiadu. Wszystko normalnie. Teraz już śpi.

- Elaine... - Waham się, czy to powiedzieć.

- Może zostać tutaj na noc, Smoky. Miałam ci to zaproponować. Zresztą wyglądasz na zmęczoną, nie ma też sensu jej budzić.

Jak zawsze wczuwa się w sytuację innych. Mam wyrzuty sumienia, lecz nie na tyle silne, by oponować.

- Dzięki. Jestem rzeczywiście wykończona. To nie wejdzie mi w zwyczaj, obiecuję. Rano zadzwonię i porozmawiam z nią.

- Prześpij się trochę, Smoky.

Czy zostawiłabym Alexę z Elaine w podobnej sytuacji, zastanawiam się, jadąc do swojego domu. Odpycham tę myśl od siebie.

Przyjeżdżam pod dom tuż po jedenastej. Boże, to był wyczerpujący dzień.

Tommy już czeka. Wcale mnie to nie dziwi. Punktualność nie jest u niego wyuczona, stanowi istotną cechę jego osobowości.

Zatrzymuję się. Tommy wysiada ze swojego auta, podchodzi. Pokazuje mi, żebym opuściła szybę.

- Wjedź do garażu - mówi. - Mogą cię obserwować. Gdy już tam będziesz, nie odzywaj się, dopóki nie sprawdzę, czy nie ma pluskiew.

- Okay.

Naciskam pilota drzwi garażu i wjeżdżam do środka. Po chwili wchodzi Tommy z plecakiem na ramieniu. Wyłączam silnik i wysiadam z samochodu. W milczeniu przyglądam się, jak Tommy szuka elektronicznym przyrządem urządzeń podsłuchowych. Ma drogi przyrząd, za pomocą którego może wykryć pluskwy działające na wszystkich częstotliwościach, do czterech gigaherców włącznie. Wykonuje tę czynność powoli, metodycznie, jest maksymalnie skoncentrowany. Zajmuje mu to prawie dziesięć minut. Uporawszy się z elektroniką, rozpoczyna równie ważne przeszukanie wzrokowe.

Przechyliłam się do tyłu, gdy on pracuje, przyglądam mu się trochę.

Nie widziałam go od lat. Wygląda niezwykle, jak wtedy. Tommy ma latynoskich przodków i po nich odziedziczył urodę Latynosa. Jest bardzo przystojny. Czarne falujące włosy, głębokie

ciemne oczy. Drobna skaza, mała szrama na lewej skroni, w jakiś sposób czyni go bardziej pociągającym.

Jego twarz... nie jest właściwie ładna, nie ma w niej również surowej urody ostrych męskich rysów, powiedziałabym, że jest czymś pośrednim i on dobrze się z tym prezentuje.

Gdy chodzi o charakter, Tommy stanowi pod wieloma względami męski odpowiednik Callie, nie ma jednak w sobie tego typu żywiołowej energii, co ona. Jest spokojniejszy i bardziej milczący. Gdy siedzi i słucha rozmówcy, nigdy się nie wierci, nie kręci młynka palcami, nie stuka obcasem o podłogę. Nie znaczy to, że jest sztywniakiem. Przeciwnie, wydaje się odprężony, swobodny. Rzecz w tym, że nie odczuwa potrzeby zbędnego ruchu. Cała jego dynamika koncentruje się w oczach. Są zawsze skupione, czujne. Widać w nich żywe zainteresowanie. Przypuszczam, że to efekt wielu lat pracy tajnego agenta służb specjalnych. Spokój i umiejętność obserwacji są nieodzowne w tej profesji.

Tommy nie jest rozmowny. Wiem, że nigdy nie był żonaty. Nie wiem, jak wiele miał przyjaciółek. Nie mam pojęcia, dlaczego rozstał się ze służbą. O ile wiem, chciano, by pozostał. Badanie jego przeszłości nic nie dało. Czuję się trochę nie w porządku, wściubiając nos w jego sprawę. Wiem o nim to, co potrzebuję wiedzieć. Jest dobry w swoim fachu, ma siostrę, którą kocha i matkę, którą utrzymuje. To są rzeczy zasadnicze, które wiele mi o nim mówią. Myślę jednak także o nieznanym obszarze jego osobowości. Nic na to nie poradzę. Nie potrafię się temu oprzeć.

Z zadumy wyrywa mnie jego głos.

- Nie mogę znaleźć żadnych podsłuchów. Zresztą to dość nieprawdopodobne, żeby były właśnie tu. Nie mogą zakładać, że spędzasz wiele czasu w garażu i prowadzisz tu jakieś rozmowy.

- Mieliby rację.

- To jest samochód, którym zawsze jeździsz?

- Tak.

Kładzie się na plecach. Patrzą jak wsuwa się coraz dalej pod mój samochód.

- Znalazłem. Bardzo nowoczesny, profesjonalny namierzacz GPS – mówi Tommy, wyczołgując się spod wozu. - Ten przyrząd i odpowiednie oprogramowanie pozwalają im zlokalizować cię i śledzić na laptopie. Myślę, że chcesz, żebym go tu na razie zostawił.

- Nie chcę, żeby się zorientowali, że wiem o tym. Kiedy ty będziesz mnie obserwował, może zauważysz kogoś z nich.

- Słusznie. Mówiłaś, że byli u ciebie w domu.

- Tak. Zmieniłam już zamki.

- Ale to znaczy, że mogli założyć ci podsłuch przedtem. Mogę poszukać pluskiew, zajmie mi to tylko kilka minut.

- Jeśli coś znajdziesz, powiesz mi tylko, gdzie jest, ale niech zostanie na miejscu.

Tommy podnosi plecak.

- Wpuść mnie do środka i wezmę się do roboty.

Tommy sprawdził najpierw mój telefon komórkowy. Teraz kontynuuje poszukiwania, a ja obdzwaniam kolejno kolegów z zespołu.

- Jak postępy w tropieniu podwójnych wpisów użytkownika, James?

- To potrwa całą noc. Wyszukujemy właścicieli portali.

- Róbcie dalej swoje.

Rozłącza się bez słowa odpowiedzi. Fiut jak zawsze. Callie i Gene są w laboratorium. Gene dwoi się i troi, żeby dotrzymać słowa w sprawie DNA.

- Dzwoni po znajomych i żąda, żeby mu wyświadczyli przysługę. Niektórych zrywa z łóżek. Nasz Gene bardzo się zaangażował w tę sprawę - słyszę od Callie.

- Masz mu to za złe?

- Nie, skądże. Mnie nie interesuje, jak ta kobieta zarabiała na życie. Mogła się w przyszłości zmienić, podjąć jakąś inną pracę. On pozbawił ją tej szansy.

- Wiem, Callie. I dlatego musimy go dorwać. Pracuj dalej i prześpij się trochę, jeśli ci się uda.

- Ty też, Smoky.

Do Alana dzwonię na końcu. Mówię mu, że Bonnie zostaje u nich na noc.

- Oczywiście, nie ma problemu. - Milknie. - Elaine zaczyna chemioterapię od następnego tygodnia.

Coś mnie ściska za gardło. Ostatnio zdarza mi się to tak często, że może wejść mi w nałóg.

- Wszystko będzie dobrze, Alanie.

- Butelka pełna do połowy, tak?

- Właśnie tak.

- Dobranoc.

Rozłącza się, a mnie pozostaje już tylko wpatrywanie się w milczący telefon.

Słyszę Tommy'ego kręcącego się po domu. Dom jest cichy i pusty. Brakuje mi Bonnie. Okoliczności, przez które znalazła się u mnie, były okropne i gdybym tylko mogła nie dopuścić do tego, zrobiłabym wszystko, by to się nie stało, oczywiście. Ale fakt pozostaje faktem, brakuje mi tego dziecka. Gdzieś we mnie dźwięczy jej nieobecność.

Uświadamiam sobie, że bardzo pragnę zakończyć szybko tę sprawę nie tylko z tych samych, co zwykle powodów. Chcę uwolnić ulice miasta od Jacka Juniora i jego szaleństwa, ale równie mocno pragnę zacząć stwarzać Bonnie prawdziwy dom. Myślę o przyszłości z nadzieją i tęsknotą. Takich uczuć nie doznałam od chwili, gdy zastrzeliłam Josepha Sandsa.

Tommy nadal krąży wokoło. Włączam telewizor w salonie, by czekając aż on skończy, wypełnić czymś czas.

Mam dwanaście lat i jest lato. Piękne lato. Mój ojciec jeszcze żyje, nie przychodzi mi w ogóle na myśl, że życie przestanie, zanim skończę dwadzieścia lat. Jesteśmy na Zuma Beach, siedzimy na rozprażonym piasku. Czuję jak z powierzchni mojej skóry wyparowują krople chłodnej wody oceanu. Na wargach pozostawiają smak soli. Jestem młodziutka, wokół nas rozciąga się plaża i mój ojciec mnie kocha.

To jest chwila doskonała.

Ojciec wpatruje się w niebo. Spoglądam na niego i widzę, że się uśmiecha, kręcąc głową.

- Co, tatusiu?

- Rozmyślałam o różnych odmianach słońca, kochanie. W każdym miejscu jest ono inne, wiedziałaś o tym?

- Naprawdę?

- Aha. Jest słońce pszenicznych pól Kansas. Jest słońce Bangor Maine, zawsze wyglądające zza szarych chmur. Jest słońce Florydy, coś w rodzaju lepkiego złota. - Odwraca się twarzą ku mnie. - Moim ulubionym było zawsze słońce Kalifornii. To słońce suchego, gorącego, bezchmurnego, absolutnie błękitnego nieba. Takie jest dzisiaj. Ono mówi, że wszystko się dopiero zaczyna i że wydarzy się coś fascynującego. - Podnosi znowu głowę ku niebu. Przymyka oczy i pozwala słońcu, które najbardziej kocha, ogrzewać swoją twarz, gdy jednocześnie morską bryza wichrzy mu włosy. Po raz pierwszy w życiu przychodzi mi do głowy, że mój ojciec jest piękny.

Nie zrozumiałam wszystkiego, co mi wtedy powiedział, ale to nie miało znaczenia. Rozumiałam jedno, ojciec zwierza mi się z czegoś, bo mnie kocha.

Gdy kiedykolwiek myślę o moim ojcu i próbuję przypomnieć sobie, co najlepiej go charakteryzowało, myślę o tym momencie na plaży.

Tata był zdumiewającym człowiekiem. Mama umarła, gdy miałam dziesięć lat. Choć on zachwiał się mocno po tym ciosie, nigdy nie upadł. Nigdy też nie zostawił mnie samej sobie w okresie, gdy był pogrążony w żałobie. Jedyną rzeczą, w którą nie musiałam wątpić w życiu, było to, że ojciec mocno mnie kocha.

Budzę się, czując czyjś dotyk, zaskoczona zrywam się z kanapy i wyciągam pistolet. Okazuje się, że to Tommy. Nie wygląda na przestraszonego. Stoi zwyczajnie, trzymając się pod boki.

Opuszczam broń.

- Przepraszam - mówi.

- Nie, to ja przepraszam, Tommy.

- Skończyłem przegląd. Znalazłem jedynie podsłuch telefoniczny. Pewnie, dlatego że mieszkasz samotnie. Jeśli nie rozmawiasz sama ze sobą, tylko to, co mówisz do telefonu, warto podsłuchiwać.

- A więc telefon i samochód?

- Tak. W związku z tym mam taką propozycję. Będę spał tutaj na twojej kanapie. Jutro, kiedy wyjdiesz z domu, pojedę za tobą.

- Chcesz tu zostać, Tommy? Na pewno?

- Ty jesteś moim zleceniodawcą, Smoky. Moja robota polega na ochranianiu ciebie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, zgadza się?

- Skłamałabym, gdybym powiedziała, że tego nie chcę. Dzięki.

- Żaden problem, przecież mam wobec ciebie dług wdzięczności.

Przez dłuższą chwilę nie spuszcza z niego wzroku.

- Wiesz, Tommy, tak naprawdę nie masz wobec mnie żadnego długu. Ja po prostu spełniłam wtedy swój obowiązek. Wątpię, czy ty uważasz, że którakolwiek z tych osób, które zdarzyło ci się ochraniać w czasie pracy w służbach specjalnych, jest ci coś winna.

Tommy mi się przygląda.

- Nie, ja tak nie uważam, ale oni tak to czuli, bo w grę wchodziło ich życie. Stałaś przy mnie w trudnych momentach, niezależnie od tego, co ty o tym myślisz, ja czuję się twoim dłużnikiem. Mogę tylko żałować, że mnie tu nie było, kiedy przyszedł Sands.

Uśmiecha się do niego.

- Ja jeszcze bardziej tego żałuję. Kiwa głową.

- Ale teraz tutaj jestem. Śpij dobrze, nie musisz się niczego obawiać.

- Jego oczy stają się nagle kamienne. Lodowate. Jak zamrażony granit.

- Każdy, kto chciałby się dostać do ciebie, musi się najpierw przebić przeze mnie.

Patrzę na Tommy'ego. Patrzę na niego tak naprawdę. Myślę o śnie, w którym widziałam ojca, o wszystkim, co się wydarzyło. Patrzę w jego głębokie ciemne oczy... Nagle budzi się we mnie pożądanie.

- O co chodzi? - pyta cichym głosem.

Nie odpowiadam. Zamiast tego unoszę głowę i całuję go w usta, co wstrząsa mną do głębi. Czuję, że on sztywnieje, odsuwa mnie od siebie.

- Zaraz, zaraz... powoli - mówi.

Opuszczam wzrok, nie potrafię spojrzeć mu w oczy.



- Jestem tak odpychająca, Tommy?

Długie milczenie. Czuję jego dłoń na moim podbródku, unosi go. Nie chcę widzieć jego twarzy i malującej się na niej odrazy.

- Spójrz na mnie - mówi.

Więc spoglądam. I unoszę brwi zdumiona. Nie ma śladu odrazy, tylko czułość zmieszana z gniewem.

- Nie chodzi o urodę, Smoky. Zawsze uważałem, że jesteś bardzo seksowna i nadal tak myślę. Potrzebujesz kogoś w tej chwili i ja to rozumiem. Ale nie wiem, czy zaprowadziłoby to nas dokądkolwiek.

Słucham uważnie, czuję, że to, co mówi jest uczciwe.

- A gdyby to nie było dla mnie tak ważne, czy myślałbyś gorzej o mnie? - pytam, ciekawa, co odpowie.

Kręci głową.

- Nie, lecz problem nie polega na tym.

- Więc, na czym? Rozkłada ręce.

- Na tym, czy ty pomyślałabyś gorzej o mnie, czy nie.

Po jego słowach milknę. Poprawiają moje samopoczucie. Przysuwam się do niego.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Tommy, ufam ci. Nie obchodzi mnie, dokąd to może nas zaprowadzić i czy w ogóle zaprowadzi gdziekolwiek. - Wyciągam rękę, dotykam jego twarzy. - Jestem samotna i zostałam bardzo poraniona, fakt, ale to nie, dlatego. Po prostu chcę, by mężczyzna pożałował mnie właśnie teraz. To wszystko. Czy to coś złego?

Nie potrafię wyczytać niczego z jego wpatrzonych we mnie oczu. Potem obejmuje dłońmi moją twarz, przyciąga bliżej. Przywiera ustami do moich warg. Są delikatne i twarde zarazem. Jego język wypełnia mi usta i moja odpowiedź jest natychmiastowa. Wygięta w łuk przywieram do niego mocno i wyczuwam jego męskość przez spodnie. Cofa się o krok. Jego oczy w półprzymknięte z rozkoszy są seksowne jak diabli.

- Może na gorze? - pyta.

Gdyby nie zapytał i próbował zaprowadzić mnie do łóżka, które dzieliłam tylko z Mattem, zaprotestowałabym. Czuję, że powinnam powiedzieć: „nie”. Jednak wyrывa mi się ciche:

- Tak, proszę.

Bierze mnie w ramiona i unosi jak piórko. Przytulam twarz do jego szyi i czuję zapach mężczyzny. Rośnie we mnie pożądanie. Brakowało mi tego. Chcę czuć skórę kogoś innego przy swojej skórze. Nie chcę być samotna.

Chcę się poczuć piękna.

Jesteśmy już w sypialni. Kładzie mnie delikatnie na łóżku. Potem zaczyna się rozbierać, a ja patrzę na niego, gdy to robi. O rany, warto popatrzeć, mówi moje ciało. Jest dobrze zbudowany, choć nie nadmiernie muskularny, ma raczej sylwetkę tancerza. Piersi ma owłosione, co wydaje mi się seksowne, ale nie za mocno, tyle ile trzeba. Gdy zdejmuje spodnie i zrzuca bokserki, na moment zamieram. Nie chodzi o jego członek - choć oczywiście trudno go nie dostrzec - zamieram, bo znowu widzę przed sobą nagiego mężczyznę. Czuję, jak wzbiera we mnie szczególna energia, coś w rodzaju bezkształtnej fali, która z grzmotem sunie ku jakiemuś nieznanemu brzegowi.

Podchodzi do łóżka, siada i przesuwając rękę, żeby rozpiąć mi bluzkę.

Nagle ogarniają mnie wątpliwości.

- Tommy, ja... blizny... są nie tylko na twarzy.

- Ciii... - szepcze. Jego palce rozpinają następne guziki. Ma silne ręce, zgrubiałe w niektórych miejscach, miękkie w innych. Czułe i szorstkie, jak on sam.

Sadza mnie, by ściągnąć koszulkę, zdejmując stanik. Kładzie mnie na plecach i patrzy na mnie. Mój lęk gaśnie, gdy dostrzegam wyraz jego twarzy. Nie ma tam miejsca na wstręt i litość, jest tylko zachwyt, z jakim mężczyzna patrzy czasem na ciebie, gdy stajesz przed nim naga. Jakby mówił: „To prawda? To wszystko dla mnie?”

Pochyla się nade mną i całuje. Czuję, jak jego piersi muskają moje. Sutki mi twardnieją, zaczynają pulsować nagłymi doznaniem. Całuje mój podbródek, potem jego wargi wędrują w dół. Są już na szyi, na piersi. Kiedy bierze jedną z moich sutek do ust, wyginam się w łuk i krzyczę. Jezu Chryste, myślę. Do tego cię doprowadziły miesiące bez seksu? Chwytam jego głowę i zaczynam paplać jakieś niezrozumiałe słowa, pożądanie narasta. On wciąż mnie całuje, pieści ustami sutki, co sprawia, że jęczę i niemal miauczę jak kotka. Jego ręce tymczasem rozpinają mi spodnie. Przykleka, zsuwa je razem z figami, a potem zastyga w bezruchu i patrzy na mój brzuch, trzymając spodnie ściśnięte w rękę.

Jego oczy są teraz mroczne, część twarzy pozostaje w cieniu, ale wyczuwam w nim prawdziwe, najczystsze pożądanie.

Nareszcie, myślę. Leżę naga przed bardzo przystojnym mężczyzną, a on pragnie mnie, całą, z tymi bliznami. Łzy napływają mi do oczu. Tommy wygląda na zaniepokojonego.

- Wszystko w porządku? - pyta.

Uśmiecham się do niego.

- O tak - odpowiadam, łzy płyną po policzkach - jestem szczęśliwa. Sprawileś, że znowu poczułam się kobietą.

- Jesteś seksowna, jak diabli, Smoky. - Wysuwa palec i głaszcze szramy na mojej twarzy. Przesuwa go w dół i wodzi po bliznach na piersiach i brzuchu. - Myślisz, że one cię szpecą? - Kręci głową. - Dla mnie są świadectwem charakteru, twojej siły. Mówią, że nie można cię pokonać w

walce o życie. - Jego ręka dotyka znowu mojej twarzy. - To nie są defekty na opakowaniu. To są dowody tego, co zawsze było tam w środku.

Wyciągam ku niemu ramiona.

- Chodź do mnie i pokaż mi, że tak czujesz. Pokazuj mi to przez całą noc.

I on to robi. Mijają godziny mroczne i boskie. Moje doznania stają się gęstym splotem trudnych do zniesienia emocji. Jestem nienasycona, wciąż pragnę od nowa, a on spełnia moje pragnienia, aż do końca, gdy świat najpierw kurczy się do rozmiarów kropki, a potem wybucha oślepiającą feerią, a ja krzyczę z rozkoszy na całe gardło.

„Szyby drżą”, mawiał Matt.

Najsłodszy jest w tym wszystkim brak poczucia winy. Wiem, że jeśli Matt to widzi, jest zadowolony. Że szepcze do mnie: „Dalej, Smoky. Jesteś wciąż wśród żywych”.

Zasypiam z pewnością, że tej nocy nie będzie mi się nic śniło. Sny jeszcze się nie skończyły, powrócą. Ale przeszłość i teraźniejszość uczą się współżyć ze sobą. Dotąd teraźniejszość nienawidziła przeszłości, a przeszłość była teraźniejszości wrogiem. Może wkrótce przeszłość oddali się ode mnie.

Zapadam w sen i nie jest on ucieczką, lecz zwykłą przyjemnością.

Rankiem budzę się obolała i zaspokojona. Jakbym ugasiła dręczące pragnienie. Tommy'ego nie ma przy mnie, ale gdy nadstawiam ucha, słyszę jego kroki na dole. Przeciagam się powoli, czując każdy mięsień, potem wyskakuję z łóżka.

Biorę prysznic, żałując, że muszę zmyć z siebie jego zapach, ale to mnie bardzo odświeża. Tak bywa ze świetnym seksem. Jest podobny do dobrego biegu maratońskiego. Prysznic zawsze sprawia większą przyjemność, gdy jesteś mocno spocony. Rozkoszuję się tym uczuciem przez chwilę, po czym ubieram się i schodzę na dół. Zastaję Tommy'ego w kuchni.

Wygląda tak samo jak wczoraj, zanim poszliśmy do łóżka, nie dostrzegam ani jednej zmarszczki na jego garniturze. Jest w pełni rozbudzony i żwawy. Przyrządził już kawę i wręcza mi kubek z parującym napojem.

- Dzięki, tego mi trzeba - mówię.

- Zamierzasz teraz gdzieś wyjechać?

- Za jakieś pół godziny. Muszę jeszcze wykonać telefon.

- Powiedz mi coś. - Przygląda mi się z miną sfinksa, uśmiech zaczyna igrać w kącikach jego ust.

- Co? - spoglądam na niego, unosząc jedną brew.

- Myślę o ostatniej nocy.

- Było wspaniale - mówię spokojnie.

- Taak. - Przekrzywia głowę. - Wiesz, nie pytałaś mnie w ogóle, czy mam kogoś, z kim byłbym związany.

- Sądziłam, że gdybyś miał, ta noc nie mogłaby się zdarzyć. Myliłam się?

- Nie.

Patrzę na parującą kawę.

- Posłuchaj, Tommy, chcę ci coś powiedzieć na temat tej nocy. Chodzi o to, co przedtem powiedziałeś, że nie jesteś pewien, czy to do czegoś będzie prowadziło. Chcę, żebyś wiedział, że odpowiedziałam ci wtedy z całą szczerością. Jeśli nic z tego nie wyniknie, naprawdę wszystko będzie w porządku. Ale jeżeli...

- Jeżeli wyniknie, to też będzie dobrze - odpowiada. - Czy to zamierzałaś powiedzieć?

- Aha.

- Cieszę się. Bo ja czuję tak samo. - Wyciąga rękę, wicherzy mi włosy. Pochylam się do niego. - Ja też mówię szczerze, Smoky. Jesteś wspaniałą dziewczyną. I zawsze tak uważałem.

- Dzięki. - Uśmiecham się do niego. - Więc jak to nazwiemy? Jednorazowy występ z perspektywami?

Opuszcza dłoń i wybucha śmiechem.

- Podoba mi się to. Powiedz mi, kiedy będziesz gotowa.

Kiwam głową i odchodzę. Czuję się świetnie, uspokojona i odprężona, ale co znacznie ważniejsze, mam pewność, że jakkolwiek sprawy między nami się potoczą ani ja, ani Tommy nie będziemy żałować tej nocy. Bogu dzięki.

Idę na górę, tuląc do siebie filizankę, jakby zawierała eliksir życia. Co zresztą po minionych godzinach nie odbiega daleko od prawdy. Dochodzi dopiero wpół do dziesiątej, ale przypuszczam, że ktoś taki jak Elaine musi być rannym ptaszkiem. Wybieram numer.

- Halo - słyszę jej głos.

- Cześć. Tu Smoky. Przepraszam za ostatnią noc. Jak się miewa mała?

- Wygląda na zadowoloną. Nadal nic nie mówi, ale ciągle się uśmiecha.

- A jak jej minęła noc?

Chwila ciszy.

- Krzyczała przez sen. Obudziłam ją i utuliłam. Potem już spała spokojnie.

- O Boże! Przepraszam, Elaine. - Czuję wyrzuty sumienia. W czasie, gdy ja krzyczałam z rozkoszy, Bonnie krzyczała dręczona koszmarami. - Nie wiesz naprawdę, jak bardzo jestem ci wdzięczna.

- Smoky, ona jest dzieckiem, które potwornie skrzywdzono i potrzebuje pomocy. Nie jest żadnym ciężarem w tym domu i nigdy nie będzie. - Elaine po prostu stwierdza fakt, słowa płyną z głębi serca. - Czy chcesz z nią porozmawiać?

Serce zaczyna mi bić mocniej. Uświadamiam sobie, jak bardzo tego chcę.

- Tak, proszę.

- Zaczekaj chwilę.

Po minucie Elaine się odzywa:

- Już jest, oddaję jej słuchawkę.

Słyszę jakieś dudniące dźwięki, a potem słaby odgłos oddechu Bonnie.

- Cześć, kochanie - mówię. - Wiem, że nie możesz mi odpowiedzieć, więc tylko posłuchaj. Naprawdę mi przykro, że nie zabrałam cię do domu wczoraj. Musiałam pracować do późna. Kiedy obudziłam się dziś rano i ciebie przy mnie nie było... - milknę na chwilę. Słyszę jej oddech. - Tęsknię za tobą, Bonnie.

Cisza. Znowu te dudniące dźwięki, potem głos Elaine:

- Poczekaj, Smoky - mówi jakby z pewnej odległości. - Chcesz coś powiedzieć do Smoky, kochanie? - Cisza. - Ja jej powiem.

Teraz zwraca się do mnie:

- Smoky, Bonnie uśmiechnęła się serdecznie, objęła się rękami i wskazała telefon.

Serce mi się ściska. Nie potrzebuję przekładu z tego języka.

- Powiedz jej, że ja robię to samo. Muszę już iść, ale przyjadę po nią przed wieczorem.

Zrobię wszystko, żeby nie było więcej przyjęć z nocowaniem, przynajmniej przez jakiś czas.

- Czekamy na ciebie.

Siedzę, wpatrując się w przestrzeń, staram się uporządkować całą gamę emocji, jakich doznaję. Tych oczywistych, wyraźnych i tych słabszych. Uczucia, jakie żywię wobec Bonnie: czułość, pragnienie opiekowania się nią, kielkująca we mnie miłość do niej są prawdziwe i silne. Są też jednak we mnie i inne, przemawiające jakby szeptem, przelatujące przeze mnie jak suche liście, przemykające cichutko gdzieś w tle. Jednym z nich jest irytacja, że nie mogę tak zwyczajnie cieszyć się moją nocą spędzoną z Tommym. To jest nieśmiałe, ale niepozbowione pewnej siły. Jak egoizm małego dziecka, które nie chce się nikim dzielić. Czy nie zasługuję na trochę beztroskich, szczęśliwych chwil, szepcze nadasane.

Jest także inne - poczucie winy. Spokojne, głębokie, łagodne jak olej, jak pełznący wąż. Niesie tylko jedno, lecz bardzo ważne pytanie: jak śmiesz być szczęśliwa, gdy ona szczęśliwa nie jest?

Rozpoznaję te uczucia, były moje już kiedyś, gdy byłam mamą Alexy. Bycie matką to nie jest gra na jednej strunie, sztuka w jednym akcie. To coś złożonego, obejmującego zarówno miłość, jak i gniew. Bezinteresowność i egoizm. To chwile, gdy oszałamia cię piękno twojego dziecka, ale też momenty, choćby najkrótsze, gdy pragniesz, żeby tego dziecka w ogóle nie było.

Odczuwam to wszystko, bo staję się mamą Bonnie. Z poczucia winy rodzi się nowy głos, w którym brzmi wyrzut i ból: jak śmiesz ją kochać? Czy już nie pamiętasz? Twoja miłość niesie ze sobą śmierć.

Ten głos nie działa na mnie przygnębiająco, budzi mój gniew. Śmiem, odpowiadam, ponieważ muszę, na tym polega tajemnica życia. Pozwala ci pokonać większość trudności. Być matką oznacza właśnie to.

Pragnę, żeby Bonnie była bezpieczna, żeby miała dom, i to jest prawdziwe uczucie.

Rzucam głosom wyrażającym tę mieszankę uczuć wyzwanie. Niech odpowiedzą. Milczą. No, więc dobrze!

Czas jechać do pracy.

Drzwi biura otwierają się gwałtownie i wchodzi Callie. Ma na twarzy przeciwsłoneczne okulary. W rękę ściska filiżankę z kawą.

- Na razie nic do mnie nie mów - warczy. - Nie jestem wystarczająco nasycona kofeiną.  
Węszę w powietrzu. Callie zawsze pije najlepszą kawę.

- Mhm - mówię. - Co to takiego, orzechy laskowe?

Odsuwa się dalej, ściskając mocno filiżankę. Unosi śmiesznie koniuszek wargi.

- To moje - powarkuje.

Biorę swoją torbę i wyciągam z niej paczkę małych pączków z czekoladą. Brwi Callie unoszą się w górę. Macham pączkami na wysokości jej nosa.

- Spójrz, Callie. Pyszne czekoladowe pączuszki. Mniem, mniem. Świeżutkie, wspaniałe.

Na jej twarzy toczy się walka.

- No, dobrze - mówi gniewnie. - Wygrałaś. - Chwyta kubek stojący na moim biurku i napełnia go do połowy kawą ze swojej filiżanki. - Dwa pączki proszę.

Wyciągam pączki i popycham w jej stronę, ona przesuwając do mnie kubek. Gdy są już blisko siebie, Callie porywa pączki, a ja kawę. Wymiana zakładników zakończona. Ona siedzi przy swoim biurku i pożera swoją zdobycz. Ja delectuję się pierwszym łykiem kawy.

Boska.

Callie popija pączki kawą i patrzy na mnie w zamyśleniu, przenikliwie, mimo że ma na oczach przeciwsłoneczne okulary.

- Co jest? - pytam.

- Ty mi powiedz - mruczy, odgryzając kolejny kęs pączka.

Boże, myślę. Czy ta stara prawda się sprawdza, że jeśli ktoś cię przeleciał, widać to po tobie.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Przygląda mi się przez swoje ciemne okulary i jej twarz rozjaśnia szeroki uśmiech kota z Cheshire.

- Jak sobie chcesz, złotko.

Postanawiam nie zwracać na nią uwagi.

Leo, Alan i James przychodzą prawie jednocześnie. Leo wygląda, jakby zderzył się z ciężarówką, James jak zawsze.

- Usiądźcie bliżej - zapraszam ich. - Zrobimy sobie naradę koordynacyjną. Leo i James, w jakim punkcie poszukiwań jesteście?

Leo przejeżdża dłonią po włosach.

- Mamy już wszystkie firmy i wszystkie współpracują z nami. - Spogląda na zegarek. - Pół godziny temu skończyłem rozmawiać z ostatnią. Najdalej za godzinę powinniśmy mieć komplet wyników.

- Dajcie mi natychmiast znać, kiedy będziecie mieli cokolwiek. Callie, na jakim etapie jest DNA?

- Gene zrobił wszystko, co było można, złotko. Obiecał wyniki pod koniec dnia. To znaczy, że jeśli tam coś jest, a ten, który to zostawił, znajduje się w naszych kartotekach, wieczorem dowiemy się, kim jest.

Wszyscy w milczeniu przetrawiamy szansę, że poznamy twarz jednego z potworów, zanim zapadnie zmrok.

- Czy nie byłoby to zabawne? - mruczy Alan.

- Mnie nie jest do śmiechu - burczę. - Kiedy doktor Child będzie gotów spotkać się ze mną?

- Powiedział, że o każdej porze po dziesiątej - odpowiada Callie.

- W porządku. Callie i Alan, skontaktujcie się z Barrym i dowiedźcie się o wyniki badań prowadzonych przez policyjnych ekspertów na miejscu zabójstwa Charlotte Ross.

- Jasne, złotko.

- Ja jadę zobaczyć się z doktorem Childem. - Na koniec lustruję swój zespół. - Teraz już depczemy im po piętach. Szybkość i rozmach decydują o powodzeniu. - Zerkam na zegarek i wstaję. - Do roboty!

Nadszedł czas, by zarzucić następną sieć.

Pukam do drzwi i wchodzę do gabinetu doktora Childa. Doktor siedzi za biurkiem i przegląda dokumenty zebrane w grubej teczce. Podnosi wzrok znad tej lektury, gdy wsuwam głowę do pokoju. Uśmiecha się na mój widok.

- Smoky, miło cię widzieć. Wchodź, wchodź, proszę. - Wskazuje mi krzesło. - Siadaj. Muszę jeszcze skończyć przeglądanie notatek. To fascynująca sprawa.

Siadam i przyglądam się, jak czyta leżące przed nim papiery. Doktor dobiega sześćdziesiątki. Jest siwy, z brodą, w okularach. Wygląda bardzo poważnie. Zawsze sprawia wrażenie zmęczonego, a jego oczy mają zawsze udręczony wyraz, nawet, gdy się śmieje. Penetruje psychikę seryjnych morderców od prawie trzydziestu lat. Zastanawiam się, czy na mnie za dwadzieścia lat praca też wywrze takie piętno. Jest jedynym człowiekiem, któremu ufam bardziej niż sobie i Jamesowi, gdy chodzi o umiejętność zgłębienia motywów kierujących potworami.

Doktor kiwa głową do swoich myśli, odchyła się do tyłu w fotelu.

- Współpracowaliśmy już ze sobą, Smoky, więc wiesz, że mam tendencje do ukrywania swoich emocji. Myślę, że teraz też wiele rzeczy zachowam dla siebie. Rozumiesz?

- Zupełnie mi to nie przeszkadza, doktorze.

Podpiera podbródek dłonią.



- To, co chcę ci przekazać, będzie się odnosiło do jednej osoby. Jack Junior jest ważniejszą i dominującą postacią. Zgadzasz się?

Potakuję.

- Dobrze. W grę wchodzi tutaj dwa warianty. Pierwszy jest możliwy, ale moim zdaniem mało prawdopodobny. Założenie, że wszystko to jest udawaniem i fałszem. To, iż się uważa za potomka Jacka Rippera, przy tym założeniu, może być tylko częścią jego gry. Ma jedynie skierować twoją uwagę na fałszywy trop. Ale w moim odczuciu ten wariant jest zbyt paranoidalny i jałowy. Drugi jest ogromnie prawdopodobny i bardzo, bardzo niezwykły. Mielibyśmy do czynienia z przypadkiem, gdy ktoś zostaje wychowany sprzecznie z naturą. Poddawany długofalowemu praniu mózgu. Ktoś mógł przez długi czas wpajać naszemu Jackowi wymyśloną, fałszywą tożsamość. Według mojej opinii musiałoby się to zacząć, gdy był dzieckiem, by mogło się okazać tak skuteczne. Dokonać tego mogło jedno z jego rodziców. Może oboje? Z podobnymi historiami spotykamy się u większości seryjnych morderców. Zazwyczaj padają oni ofiarą przemocy już w bardzo młodym wieku. Czasami są dręczeni fizycznie czy molestowani seksualnie, często jedno towarzyszy drugiemu. Budzi to w ofiarach wściekłość, lecz boją się ją okazywać swoim prześladowcom, którzy są od nich więksi i silniejsi, bywa, że są autorytetem i emocjonalnym oparciem. Ich dręczyciel to przeważnie ojciec albo matka. Dręczony kocha tę osobę i wydaje mu się, że zło spotyka go za karę, bo zrobił coś złego. Wściekłość jednak musi mieć jakieś ujście, a ponieważ ofiara boi się zwrócić przeciwko dręczycielowi, rozładowuje ją na jeden z trzech sposobów. Pierwszy: złość skierowana przeciwko sobie, co może się objawiać moczeniem nocnym. Drugi: gwałt przeciwko otoczeniu, na przykład wzniesienie drobnych pożarów. Trzeci wreszcie: potęgująca się wściekłość kieruje się przeciw żywym istotom, na przykład torturowanie i zabijanie zwierząt. Gdy taki ktoś dorośnie, zaczyna rozprawiać się z ludźmi. Mówię to w uproszczeniu. Ludzie nie są robotami i nie ma dwóch jednakowych umysłów. Nie wszyscy przyszli zabójcy moczą się w nocy, wzniesają pożary czy zabijają zwierzątka. Ale generalnie rzecz biorąc, wykryte przez nas tendencje pozwalają uznać takie uproszczenia za trafne - w mniejszym lub większym stopniu.

Doktor patrzy, jakby sprawdzał, czy słucham uważnie.

- Bywają wyjątki. Są rzadkie, ale stanowią argument dla tych, którzy uważają, że decydujące są wrodzone skłonności. Według tych badaczy zabójcy, którzy pochodzą z porządných domów, mają przyzwoitych rodziców. To po prostu złe nasiona. Nie ma konkretnych powodów, dla których czynią zło. - Doktor Child kręci głową. - Dlaczego jednak musi to być albo czarne, albo białe? Zawsze uważałem i wielu psychologów zgadza się ze mną, iż może być podwójna przyczyna: natura i wychowanie. Oczywiście w większości przypadków u źródeł zbrodni leży wychowanie. - Bębni palcami po leżącym na biurku raporcie. - Tu diagnoza nie jest czymś prostym.

On mówi, że nie był ani maltretowany w dzieciństwie, ani wykorzystywany seksualnie. Zapewnia, że nie wzniecał pożarów i nie torturował zwierząt, ale to nie musi być prawdą. Powiedzmy, że wypiera się tego. Lecz jeżeli mówi o sobie prawdę, mamy tu coś zupełnie nowego. Jest seryjnym zabójcą stworzonym od zera. Kimś, komu wpajano wystarczająco, co długo i intensywnie pewien system postrzegania świata, żeby w końcu przyjął go za pewnik. Jeżeli to odpowiada prawdzie, możemy mieć doczynienia z bardzo, bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Nie miałby urazów psychicznych z dzieciństwa, nie miałby obniżonego poczucia własnej wartości, które jest ich efektem. Byłby zdolny do działania w sposób niezwykle racjonalny, nie miałby żadnych trudności z przystosowaniem się do życia w społeczeństwie. Mógłby nawet dzięki swoim zdolnościom być odpowiednio wyszkolony w tym kierunku.

Jack Junior mógłby mordować w przekonaniu, że jest to jego przeznaczeniem. Że po to właśnie się urodził. Nie widziałby zła w swoim działaniu, ponieważ wmawiano mu coś wręcz przeciwnego od chwili, gdy zaczął rozumieć znaczenie słów.

Doktor Child znowu spogląda na mnie.

- On ma bzika na twoim punkcie, bo tę grę podpowiada mu chęć zrealizowania swojej fantazji w całej pełni. Powiedział sobie, że jak Jack Ripper powinien być tropiony, najlepiej przez wyśmienitego detektywa. Wybrał ciebie do tej roli. Znakomity wybór.

Pochyla się do przodu i wciąż bębni palcami po raporcie.

- Prawda o tym, co zawiera przysłany ci słoik, fakt, że jest to fragment ciała krowy, może być twoją najpotężniejszą bronią. To jest symbol wszystkiego, w co on wierzy. Gdyby musiał przyjąć do wiadomości, że jest to kłamstwo i zawsze nim było... doznałby strasznego wstrząsu. Cały świat, który sobie stworzył, runąłby w gruzy. Dotychczas był bardzo sprytny i doskonale zorganizowany, prawda spowodowałaby utratę równowagi wewnętrznej.

Jest oczywiście inna możliwość, której nie można wykluczyć. Uznałby, że jest celowo wprowadzany w błąd, by zrodził się w nim niepokój. Zrzuciłby całą winę za to, w jego mniemaniu, kłamstwo na ciebie. Odczuwałby prawdopodobnie przemożne pragnienie wyeliminowania osoby, która tak go zawiodła. Oba scenariusze zawierają użyteczne elementy, zgadzasz się?

Potakuję głową.

- Brzmi dobrze.

- Musisz też być świadoma, że każdy z tych scenariuszy kryje w sobie potencjalne niebezpieczeństwo. Jeśli odbiera się komuś raptownie coś, na czym budował całe swoje życie, może stracić chęć do życia. Zapewniani cię jednak, że nie chciałby umierać sam.

Rozumiem, co ma na myśli. Rozwścieczony, pozbawiony sensu życia i nadziei Jack Junior mógłby dokonać samobójczego zamachu bombowego. Doktor Child ostrzega w ten sposób, że powinniśmy być przygotowani na taką ewentualność.

- A sprawa Ronniego Barnes'a? - pytam.

Doktor przenosi wzrok na sufit.

- Tak. Jack twierdzi, że znalazł tego młodego człowieka w Internecie i „wychował” go sobie. Bardzo interesujące i niebezprecedensowe. Zabijanie zespołowe nie jest czymś tak rzadkim, jak mogłoby się wydawać. Charles Manson kierował najbardziej znaną grupą zabójców, ale nie był pierwszy ani ostatni.

- Słusznie - odpowiadam. - Przychodzi mi do głowy ze dwadzieścia takich spraw.

- Było ich więcej. Około piętnastu procent ofiar seryjnych morderstw to dzieło grup zabójców. A chociaż w tym wypadku współpraca zakończyła się w sposób zaskakujący, w zasadzie pasuje do znanego scenariusza. Te zespoły składają się zwykle z dwóch osób, czasem może być ich więcej. Zawsze jest ktoś dominujący, o szczególnej energii i specyficznej fantazji. Ta osoba inspiruje innych i ich ośmiela. Dopinguje do wcielania fantazji w życie. Z reguły wszyscy członkowie grup mają cechy psychopatyczne. A jednak z najwyższym prawdopodobieństwem można przyjąć, że bez tego guru pozostali mogliby nigdy nie wykonać decydującego kroku i nie popełnić morderstwa.

Doktor uśmiecha się, a ja w tym uśmiechu widzę przeblask znużonego cynizmu.

- Nie chcę przez to powiedzieć, że oni także są ofiarami. Nierzadko zdarza się, że uważają się za mimowolnych sprawców, ale dowody najczęściej świadczą o czymś zupełnie innym.

- Banda Rippera - rzucam.

- Doskonały przykład - odpowiada doktor. - I stosunkowo świeżej daty.

Miałam na myśli zabójców zwanych Chicago Rippers z lat osiemdziesiątych XX stulecia. Psychol Robin Gecht kierował grupą, w skład, której wchodziło oprócz niego trzech innych facetów o podobnych odchyleniach. Zanim zdołano ich schwycić, zgwałcili, pobili, torturowali i udusili, co najmniej siedemnaście kobiet. Banda Gechta odcinała swoim ofiarom jedną lub obie piersi, które później były używane przez nich do celów erotycznych lub... zjadane.

- Gecht nigdy nikogo nie zabił osobiście, prawda?

- Nigdy - odpowiada doktor. - Ale był motorem tego wszystkiego. Bardzo charyzmatyczna osobowość.

- On jest podobny - rozmyślam głośno - ale nie taki sam.

Doktor Child przechyla na bok głowę z zainteresowaniem.

- Wyjaśnij proszę, co masz na myśli.

- To tylko coś, co w nim wyczuwam. Jack Junior, oczywiście, dominuje w grupie. To on dyktuje warunki. W większości takich grup istnieją interpersonalne więzi pomiędzy ich uczestnikami, łączy ich coś, co sobie dają nawzajem. Mogą być skrzywieni psychicznie, ale są zespołem. Jack poświęcił Barnes'a tylko po to, żeby mnie zaskoczyć i nas zdezorientować. Myślę,

doktorze, że uczniowie stanowią dla niego jedynie wykalkulowany środek do celu. Nie sądzę, by potrzebował kogokolwiek do zrealizowania swoich fantazji.

Doktor Child składa dłonie, rozważając moje słowa. Wzdycha.

- No cóż, to by się zgadzało z jego podwójną wiktymologią.

- Ma pan na myśli, że my stanowimy dla niego innego rodzaju cel?

- Tak, to zapewne czyni go bardziej niebezpiecznym. Jest to człowiek, który wszystko planuje i rozgrywa na chłodno. Ten cały Barnes i każdy inny uczeń to tylko pionki w jego grze. Plastikowe figurki, które przesuwają na szachownicy. To nie najgorszy trop, ale i nie najlepszy. Słabsze zaangażowanie emocjonalne zmniejsza szansę na jakieś jego potknięcie.

Wspaniale, myślę.

- W jaki sposób on znajduje potencjalnych kompanów, pańskim zdaniem? - pytam.

- Internet, oczywiście, umożliwia mu kontakt z kandydatami, a zarazem zapewnia anonimowość - Doktor smutnieje na twarzy. - To jest ta wieczna ironia historii. Zmieniające świat wynalazki mogą dokonać wielkich przełomów, ale zarazem mogą być użyte w taki sposób, że powodują ogromne zniszczenia, mnóstwo zła. Internet obalił polityczne i informacyjne granice. E-maile docierały z Rosji, zanim jeszcze znikła żelazna kurtyna. Ludzie mieszkający w różnych częściach naszego globu mogą kontaktować się ze sobą w ciągu kilku sekund. Amerykanie i Eskimosi mogą się przekonać, że tak naprawdę nie różnią się zbyt od siebie. Ale Internet to także obszary, w których nie obowiązują żadne ograniczenia dla Jacków Juniorów tego świata. Zawdzięczamy mu łatwy dostęp do gwałtów, pedofilii, wykonywanych przed kamerami egzekucji lub krwawych scen z miejsc wypadków samochodowych. - Na chwilę doktor milknie, potem podejmuje swój wykład. - Wróćmy do twojego pytania. Z dowodów, których nam tak szczerze dostarczył zabójca, wynika, że werbuje swoich pomagierów, wędrując po tych mniej sympatycznych obszarach internetowych, gdzie ma możliwość obserwacji. Początkowo nie robi nic, spokojnie się przygląda. Szuka ludzi o określonych skłonnościach. Jak wszyscy dobrzy manipulatorzy odnajduje pewne kluczowe tematy, które pozwalają mu przedstawić siebie w jak najkorzystniejszym świetle, występować w roli autorytetu. Jednakże - doktor pochyla się przy tych słowach do przodu - musi spotykać kandydatów osobiście. Same e-maile i pogawędki w Internecie mu nie wystarczają. Są tego różne powody. Na ogół ludziom najłatwiej utrzymywać takie kontakty anonimowo, jedynie za pośrednictwem sieci, ale nasz Jack jest ryzykantem. Zanim jednak podejmie ryzyko, bada grunt. Chce się upewnić, że osoba, z którą rozmawiał, jest naprawdę tą, za kogo się podawała.

- A te inne powody? - pytam.

- Głównie chodzi tu o pewnego rodzaju symetrię. Ci, z którymi rozmawiał, mogą również dążyć do sprawdzenia jego. Ale, co najważniejsze, ja wykluczam prawdopodobieństwo tego, by

przystąpił do nakłaniania ich do zbrodni, zgodnie z ich fantazjami, bez uprzedniego osobistego kontaktu. Jeśli byłbym na jego miejscu, nie spieszyłbym się, działałbym powoli. Rozglądałbym się spokojnie i tworzyłbym listę potencjalnych kandydatów. Nawiązałbym kontakt w sieci. Następnym etapem byłyby spotkania bezpośrednie. Potem można już przystąpić do metody narzucenia innym swojej woli. Prawdopodobnie zaczyna się od rzeczy drobnych: popodglądajmy sobie studentki w klubie; sfluczmy porządnie jakąś prostytutkę; a teraz zabijmy kota i koniecznie patrzmy w jego oczy, gdy będzie zdychał. Krok po kroku, pomalutku nauczyciel niszczy całą moralność ucznia. Zasady, które chociaż kruche i lichutkie, oddziaływały na jego postępowanie i sprawiały, że czuł się istotą ludzką. Jeśli stanąłeś już jedną stopą w piekle, czemu nie miałbyś tam postawić i drugiej? Ostatecznie nie zapominajmy, że dla takich ludzi piekło wydaje się rajem.

- Jak długo mogą trwać te zabiegi? Skłonienie kogoś, by dobrowolnie przekroczył tę linię?

Doktor Child podnosi na mnie wzrok.

- Chodzi ci o to, ilu uczniów już zdołał pozyskać?

- Właśnie.

Doktor rozkłada ręce.

- To już jest niewiadomą. Zależy od wielu czynników. Na przykład, jak długo to robi? Z jakich grup internautów ich rekrutuje. Jeżeli wybierał ich spośród świeżo zwolnionych z więzienia gwałcicieli, nawiązywał z nimi kontakt, potem urabiał... tak, przeskok od gwałtu do morderstwa to tylko jeden sus, i to niewielki.

Patrzę w jego zmęczone oczy i muszę się zgodzić z tym, co powiedział. Ile lat to już trwa? Ilu w tym czasie zdołał przekonać do swej „wiary”? Nie wiemy.

- Jeszcze jedno mnie w nim niepokoi, doktorze. To się wiąże z tym, co pan powiedział o jego skłonności do podejmowania ryzyka. Nazwał go pan nawet ryzykantem. Ten cały proces pozyskiwania wyznawców jest dla niego niebezpieczny. Każdy z nich mógłby się przyczynić do jego zdemaskowania. - Kręcę głową. - Wygląda to na sprzeczność. Z jednej strony odznacza się dużym sprytem i jest bardzo ostrożny, z drugiej podejmuje ogromne ryzyko. Nie potrafię tego zrozumieć.

Doktor Child się uśmiecha.

- Nie wzięłaś pod uwagę najprostszego wyjaśnienia tej sprzeczności? Marszczę brwi.

- To znaczy, jakiej?

- Że on jest chory umysłowo.

Gapię się na niego zaskoczona.

- Naprawdę jest umysłowo chory?

- Spróbuję ci to pokrótce wyjaśnić. - Twarz doktora poważnieje. - I pamiętaj o prostej prawdzie. To jest brzytwa Ockhama w mojej profesji i służyła mi dobrze wiele razy. - Odchyła się

na oparcie fotela. - Przechodząc do szczegółów... Myślę, że są tu dwa czynniki. Jeden przejawia się w jego imaginacjach. To przedłużanie rodu, przekazywanie pochodni Rippera i tak dalej. Drugi czynnik wiąże się z jego własnymi pragnieniami.

- Pragnieniami?

- To motor napędowy wszystkich seryjnych morderców. Odczuwanie potrzeby zabijania. Jest silniejsze od wszelkiej rozważli i ostrożności. - Wzrusza ramionami. - Ten proces kontaktowania się z innymi ludźmi, manipulowania nimi, urabiania ich jest czymś irracjonalnym. Jeżeli pominąć liczne objawy anormalności, Jack nie postępuje irracjonalnie. Jeśli nie ma sensownej motywacji, której jeszcze nie odkryliśmy, to nie jego wizja świata dyktuje mu czyny. Robiąc to, co robi, zaspokaja jakieś swoje pragnienia, a to jest dla niego ważniejsze niż własne bezpieczeństwo.

- Czyli wychodzi na to, że jest szaleńcem.

- Tak jak powiedziałem. Zastanawiam się nad tym wszystkim.

- A dlaczego Ripper? Skąd ta obsesja na punkcie dziwek?

- Przypuszczalnie jedno jest przyczyną drugiego. Pierwotna musiała być obsesja dziwek, która stała się źródłem rojeń o Ripperze, a nie odwrotnie. Kimkolwiek był twórca tej trawestacji, no cóż - doktor wzrusza znowu ramionami - musiał mieć problemy z kobietami. Ich przyczyną mogło być molestowanie lub częste obserwowanie aktów przemocy.

Paradoksalne, lecz przyczyny i motywy leżące u podstaw tej współczesnej repliki Jacka Rippera muszą być podobne do przyczyn i motywów prawdziwego Kuby Rozpruwacza. Chodzi o nienawiść do kobiet na podłożu erotycznym. Stary schemat.

- Wracamy do tego, że jest szalony - kwituję. - Ten, który mu wpoił to wszystko, też był prawdziwym szaleńcem.

Odwracam wzrok, by się skupić. Przewidywalny i nieprzewidywalny. Jego postępowaniem kieruje szaleństwo i bystry rozum zarazem. Wspaniale. Mimo wszystko teraz wiemy już o nim trochę więcej.

- Dzięki, doktorze Child. Bardzo nam pan pomógł. Jak zawsze.

Smutne, znużone oczy wpatrują się we mnie.

- Na tym polega mój zawód, agentko Barrett. Dopilnuję, żebyś otrzymała jak najszybciej mój raport. I proszę, bądź ostrożna z tym człowiekiem. Mamy tu do czynienia z czymś nowym. Jeżeli to, co nowe może być interesujące z punktu widzenia... - Przerzywa. Patrzy mi teraz prosto w oczy. - W życiu realnym to, co nieznanne jest po prostu synonimem niebezpieczeństwa.

Czuję, jak po tych słowach smok porusza się we mnie.

- Powiem panu, jak ja to widzę z perspektywy mojego podwórka. Jak on to robi, doktorze, i dlaczego to robi - mogą to być rzeczy nowe. – Kręcę głową i uśmiecham się szeroko. - Tak czy inaczej morderstwo jest morderstwem.

- Przedstaw mi najnowsze fakty. Jestem w gabinecie zastępcy dyrektora Jonesa. Wezwał mnie do siebie, więc mam okazję opowiedzieć mu o postępach w dochodzeniu. Przerzywa mi, gdy dochodzę do Tommy'ego Aguilery.

- Chwileczkę... Aguilera? On jest obecnie cywilem, prawda?

- On jest dobry, proszę pana. Naprawdę dobry.

A w duchu powtarzam: nie masz nawet pojęcia, jak dobry.

- Wiem, że tak jest. Nie o to chodzi. - Jego twarz przybiera skwaszony wyraz, jakby ssał cytrynę. - Tym razem niech już tak zostanie, Smoky. Ale jeśli w przyszłości będziesz chciała wprowadzić do śledztwa ludzi z zewnątrz, chcę, żebyś to ze mną najpierw uzgodniła.

- Tak, proszę pana.

- Mów dalej.

Kończę na relacji z mojej wizyty u doktora Childa. Szef milczy, potem uderza dłońmi o biurko.

- Zrekapitulujmy: On zabił dwie kobiety. Po zabójstwach przysłał ci płyty z nagraniem zbrodni. Pozyskał partnera. Ma bzika na twoim punkcie do tego stopnia, że zakradł się do twojego domu, założył podsłuch w telefonie i lokalizator w samochodzie. Już dobrał się do członków twojego zespołu i grozi dalszymi atakami. Nawiązuje kontakty z potencjalnymi seryjnymi mordercami, niezależnie od partnera, z którym działa. Nie jest tym, za kogo się uważa. Czy wszystko się zgadza?

- Tak.

- Macie odciski palców, macie prawdopodobnie próbkę DNA. Znacie jego sposób przeprowadzania rekonesansów, a teraz zajmujecie się najważniejszym, jak na razie, tropem, szukacie witryn, na których się logował, jeśli to istotnie zrobił. To byłoby na tyle?

- To doskonałe podsumowanie, proszę pana. Chcę zaatakować jeszcze na dwa inne sposoby i potrzebuję na to pańskiej zgody.

- Jak?

- Chcę wykorzystać media.

Jego oczy stają się czujne i nieufne. Z reguły nie lubimy mediów. Współdziałamy z nimi, kiedy nie mamy już innego wyjścia lub, kiedy uznamy, że może to być dla nas korzystne. Uważam, że teraz właśnie mamy jeden z takich przypadków. Muszę tylko przekonać do tego szefa.

- Dlaczego? Po co?



- Z dwóch powodów. Pierwszy to sprawa bezpieczeństwa. Kwestią zasadniczą jest czas. Jesteśmy o krok od zdobycia jego fotografii, ale nie możemy przewidzieć, kiedy go schwytamy. Musimy przekazać ostrzeżenie, nadszedł czas.

Wyraża z niechęcią zgodę skinieniem głowy.

- Jaki jest drugi powód?

- Doktor Child powiedział, że jeśli facet dowie się, co miał w słoiku, szlag go trafi. Będzie to dla niego taki wstrząs, że może stracić kontrolę nad sobą. Musimy to zrobić, proszę pana. Dotychczas działał spokojnie, z zimną krwią. To dobra broń i chcę się nią posłużyć.

- Po czymś takim on może wybuchnąć, Smoky. Nie chodzi mi o te jego chore brednie, które wymyśla. Mówię o prawdziwym pocisku skierowanym prosto w ciebie.

- Tak, proszę pana. To możliwe. I wtedy moglibyśmy go złapać.

Obrzuca mnie spojrzeniem, którego nie potrafię rozszyfrować. Wstaje i podchodzi do okna. Zaczyna mówić odwrócony do mnie plecami.

- Jego obsesja na twoim punkcie. - Odwraca się do mnie. - Smoky, chcę, żebyś była bardzo ostrożna. Ja... - Waha się przez moment. - Nie chcę, żeby się powtórzyło to, co było z Josephem Sandsem. Nigdy więcej.

Odbiera mi mowę, ponieważ słyszę wyraźne wzruszenie w jego głosie.

- Znam cię od czasu, gdy zaczęłaś pracować w Biurze Federalnym, Smoky. Byłaś wtedy młoda, pełna entuzjazmu i całkiem zielona. Nie jest mi obojętne, co się z tobą dzieje. Rozumiesz?

Dostrzegam ból w jego oczach.

- Tak, sir. Oczywiście, będę ostrożna.

Ból znika, wepchnięty gdzieś w głąb niego. Odślonił się, bo chciał, żebym wiedziała, co czuje. Wiem, że to może być jeden, jedyny raz. Czuję wzruszenie i wdzięczność.

- A jaki jest ten drugi powód?

- Jeśli dowiemy się, kto może być jego następną ofiarą, chciałabym urządzić zasadzkę. I muszę to przygotować szybko.

- Gdy ten moment nastąpi, o ile w ogóle do tego dojdzie, powiedz mi o tym wcześniej.

- Tak, proszę pana.

Wracam do biura i widzę, jak Leo wymachuje kawałkiem papieru.

- Poszukiwania zakończone - oznajmia. - Znaleźli jeszcze jedną witrynę, na której logowano się tą samą nazwą użytkownika i hasłem.

Dziwne, myślę, że ich nie zmienił.

- Jakies szczegóły? - mówię.

Leo spogląda na kartkę.

- Kobieta nazywa się Leona Waters. Prowadzi własną witrynę o nazwie - Leo uśmiecha się z zażenowaniem - „Cassidy. Amatorka spermy”. Mieszka w dzielnicy Santa Monica.

- Masz dokładniejszy adres?

- Zapisalem go. Wręcza mi karteczkę.

- Co zamierzasz, złotko?

- Jest jakaś wiadomość od Barry'ego?

- Znaleźli kolejne potwierdzenie wykonania dezynsekcji - odzywa się dudniącym głosem Alan. - Takie same idiotyzmy jak poprzednim razem.

- To znaczy, że to na pewno ich robota.

- Na to wygląda.

- Coś jeszcze?

- Nie, technicy kryminalistyczni jeszcze pracują.

- Więc robimy tak: Callie i ja jedziemy zobaczyć się z panią Waters. Chcę sprawdzić wszystko, zebrać informacje, zbadać teren. Wtedy będziemy mogli opracować plan działania. Alan, ty pozostań w kontakcie z Barrym, a także z Gene'em. Chodzi mi o to badanie DNA. Jak tylko będzie coś nowego, dzwoń do mnie.

- Jasne.

- A co my mamy w tym czasie robić? - pyta James.

- Obejrzyjcie te świńskie fotografie - odpowiadam, wskazując na zdjęcia z sexparty - skorzystajcie z komputerowego programu do rozpoznawania twarzy. - Strzelam palcami. - Callie, czy utrzymujesz jeszcze kontakty z tym gościem z czwartego programu TV?

- Z Bradleyem? - Na jej twarzy pojawia się szelmowski uśmiech nieliczący zupełnie z jej królewskim pochodzeniem. -No cóż, nie spiamy już ze sobą, ale nadal ze sobą rozmawiamy.

- To dobrze. Potrzebujemy go. Zamierzam nadać sprawie rozgłos. Chcę go mieć tutaj migiem. Najlepiej, żeby relacja poszła w wiadomościach o osiemnastej.

Callie unosi brwi.

- Już?

Wyjaśniam jej, o co mi chodzi.

- Jack może się porządnie wnerwić - mówi po zastanowieniu. - A to byłoby dla nas dobre. Oczywiście, mógłby zdecydować się na zemstę na tobie.

- I tak mnie już gnębi. Dzięki temu przygotowujemy się na jego przyjęcie.

- Już dzwonię do Bradleya.

W biurze wrze teraz jak w ulu, ale nie muszę na razie brać w niczym udziału. Wykorzystuję ten czas, żeby sprawdzić pocztę. Wydałam dyspozycję, żeby każdy sprawdzał swoją, co pół godziny, a sama nie zaglądałam do komputera od paru godzin.

*Pozdrowienia, agentko Barrett!*

*Przypuszczam, że już zdążyłaś obejrzeć moje ostatnie dzieło. Mała Charlotte Ross. Ojej, ojej, co to była za dziwka! Rozkładała nogi dla każdego. Dla mężczyzn i kobiet. Dla klientów indywidualnych i dla całych grup. Interesujące, prawda? Byłem jedynym facetem, dla którego nie chciała ich rozłożyć dobrowolnie.*

*Ale, jak wiesz zapewne, nie miało to większego znaczenia.*

*Kolejna kurwa skasowana. A ty, ty nie zbliżyłaś się do mnie ani na krok. Jesteś już zniechęcona, agentko Barrett? Czujesz się może zdeklasowana?*

*Pozostanę w tym nastroju: proszę, nie krępuj się i zdejmij namierzacz z samochodu i pluskwę z telefonu.*

Jasna cholera, myślę i czytam dalej.

*Co ty sobie wyobrażałaś, myślisz, że, z kim masz do czynienia agentko Barrett? Starasz się bardzo i ja to doceniam, brawo, ale czy naprawdę przypuszczałaś, że mogłabyś mnie złapać w ten sposób? Wiedziałem, że zaczniesz ich szukać. Możesz odesłać już pana Aguilere, możesz go zatrzymać. Cokolwiek wybierzesz, nie zbliżysz się do mnie dzięki temu ani o centymetr.*

*Kroczę pewnie swoją drogą, podążam śladem mojego przodka, kontynuuję z powodzeniem jego świętą misję. Gromadzę moje własne pamiątki, by je przekazać następnym pokoleniom.*

*Gdy tak sobie gwarzymy, spoglądam na moją następną ofiarę. Seksowna kobietka. Ale to tylko powierzchowne piękno. Spójrz na siebie, agentko Barrett, jesteś oszpecona, to prawda, lecz masz to wewnętrzne piękno urodzonej tropicielki. Moja przyszła ofiara jest atrakcyjna zewnątrz. Ale wewnątrz?*

*Tylko zwykła dziwka.*

*Przygotowuję także parę innych niespodzianek dla ciebie. Będziemy w kontakcie. Tymczasem staraj się, staraj!*

*Wiem, że będziesz się bardzo starać.*

*Z piekła  
Jack Junior*

Jest bardzo z siebie zadowolony i drażni mnie to. No, dobra. Ja też mam dla ciebie niespodziankę, psycholu. Taką, która ci zetrze z gęby ten uśmieszek, którego nie widzę, ale który na pewno tam jest.

- Złapałam Bradleya, złotko - oznajmia Callie. Zamykam skrzynkę.

- I...?

- Wiesz, chyba się o mało nie posikał z wrażenia. Będzie tu w ciągu pół godziny - mówi Callie ze śmiechem.

- Świetnie. Zadzwoń do recepcji, żeby skierowali go do sali konferencyjnej na drugim piętrze.

Zgodnie z tym, co powiedział, Bradley Cummings pojawia się z kamerzystą dwadzieścia pięć minut później. Wygląda tak samo jak wtedy, gdy widziałam go ostatnim razem. Wysoki, wyrazista przystojna twarz, nienaganny garnitur. Callie, jak zawsze bez zahamowań, uraczyła mnie opowieściami o dzikich wyczynach seksualnych, jakich razem dokonywali.

- Dzięki, że przyszedłeś, Brad.

- Callie przedstawiła mi sprawę w skrócie przez telefon. Żaden szanujący się dziennikarz nie przepuściłby czegoś takiego. Jak to chcesz rozegrać?

- Podam ci wszystkie szczegóły poza kamerą. Potem, już przed kamerą, możesz do nich dobierać wszelkie pytania, jakie uznasz za stosowne, a ja udzielę ci na nie odpowiedzi.

- To brzmi obiecująco.

- Jeden warunek, Brad. Chcę, żeby materiał poszedł o osiemnastej.

- Możesz mi wierzyć, nie będzie z tym żadnych problemów.

- Dobrze. Jeszcze jedno: chcę gwarancji, że pewną konkretną część informacji będę przedstawiać sama. Zrozumiesz, o co chodzi, kiedy to zobaczysz. To istotne, naprawdę bardzo ważne, żebym powiedziała to ja, a nie nikt inny.

Tym razem Brad patrzy na mnie zaniepokojony.

- To jest uczciwa, porządna historia, Smoky?

- Jeśli pomyślałeś, że chcę cię po prostu wykorzystać, masz rację. Właśnie to chcę zrobić. Ale - unoszę palec - każdy szczegół będzie prawdziwy. Będziesz mógł mówić prawdę i podać prawdziwe informacje. W zamian zrobisz dwie rzeczy: ostrzeżesz inne potencjalne ofiary i pozwolisz mi wkurzyć naszego zabójcę. To dlatego ja to muszę powiedzieć. Ten facet jest jak ręczny granat. Brad, zrozum to. Ja zamierzam dziś wyciągnąć zawleczkę. Każdy, kto wyciąga zawleczkę, ryzykuje, że wyleci w powietrze.

Brad patrzy mi uważnie w oczy, sprawdzając, czy go nie okłamuję.

- Okay, wierzę ci. Zostaw wszystko mnie.

Przez następne dwadzieścia minut opowiadam mu w skrócie o tym, co działo się w ciągu ostatnich pięciu dni. Wykonuje swoją pracę dobrze, robi notatki, od czasu do czasu wtrąca jakieś pytanie. Gdy kończę, pada na krzesło.

- No, no! To rzeczywiście jest... coś. Domyślam się, że to, co chcesz sama powiedzieć, dotyczy zawartości słoika.

- Nie mylisz się. I to ja muszę zrobić, bo to cholernie go wkurzy i biada temu, kto ogłosi tę wiadomość.

- Pewnie wiesz, co robisz - mówi w zadumie. - No to zaczynajmy.

Brad jest znakomity przed kamerą. Jego pytania są ostre i podchwytliwe, ale nie ma w nich agresji. Dociera pewnie do sedna zagadnienia.

- Agentko specjalna Barrett. Oświadczyła pani, że ma pani istotną informację dotyczącą zawartości słoika, który przysłał pani zabójca. Czy może ją pani ujawnić?

- Tak, Brad. Otwarliśmy słoik i jego zawartość została zbadana w laboratorium. Stwierdzono, że fragment ciała znajdujący się w środku nie należał do człowieka. To ciało krowy.

- Czy to ma jakieś szczególne znaczenie?

Odwracam się tak, żeby patrzeć wprost do kamery.

- Oznacza to, że morderca nie jest tym, za kogo się uważa. Nie jest żadnym potomkiem Jacka Rippera, chociaż sam wierzy, że tak jest. Wątpię, by wiedział, co tak pieczołowicie przechowywał w słoiku. - Kręcę głową. - To naprawdę bardzo smutne. Żyje kłamstwem i nie ma o tym pojęcia.

- Dziękuję pani, agentko Barrett.

Brad opuszcza salę więcej niż szczęśliwy. Obiecuje, że wywiad pojawi się w wiadomościach o szóstej i o jedenastej. Z trudem panuje nad roznoszącym go podnieceniem.

- Wypadło nieźle, złotko - zauważa Callie. - Zapomniałam już, jaki z niego przystojniak. Może zdecyduję się do niego zadzwonić.

- Jeżeli zadzwonisz, tym razem chcę poznać wszystkie szczegóły.

- To nie żarty. - Callie milknie na chwilę. - On się rozjuszy, złotko. Jack Junior, o nim mówię. Zadałaś mu straszny cios.

Uśmiecham się do niej ponuro.

- Mam wielką nadzieję. A teraz ruszajmy na spotkanie z panią Waters.

Bierzemy samochód z agencji, bo chcę mieć pewność, że nikt nas nie namierza. Choć auta nas wszystkich zostały sprawdzone, jest zawsze możliwe, że Jack Junior zna je i potrafi rozpoznać.

W czasie jazdy do Leony Waters dzwonię do Tommy'ego i mówię mu o e-mailu.

- Któryś z nich musiał się kręcić koło domu ostatniej nocy albo dziś rano. To znaczy też, że mają dobre informacje o twoich znajomych, ludziach takich jak ja.

- To na razie, Tommy. Zadzwoń do ciebie później, jeśli nie masz nic przeciwko temu. W sprawie zdjęcia tej pluskwy i lokalizatora GPS.

- Nie musisz.

- A to, czemu?

- Bo nie spuszczę cię z oka, Smoky. Będę wszędzie za tobą jeździł, tak jak obiecałem wczoraj. Jesteś moim zleceniodawcą. Robota będzie zakończona, kiedy go złapiesz, a ja będę miał pewność, że nic ci nie grozi.

Chcę zaprotestować, ale prawda jest taka, że w głębi duszy liczyłam, że powie właśnie coś takiego.

- Będę cię miał na oku, Smoky.

Podróż trwa dłużej, niż powinna z powodu wypadku na autostradzie. Furgonetka wpadła na balustradę. Wypadek nie był groźny, ale zbiegowisko jak zawsze wielkie. Na miejsce docieramy dopiero przed drugą. Leona Waters mieszka w całkiem ładnym domu, w trochę mniej ładnej dzielnicy, będącej mieszaniną różnych poziomów. W większości zamieszкана przez klasę średnią, ma trochę ekskluzywnych domów, ale znaczna jej część podupada, jak wiele dzielnic Los Angeles. To jest zawsze ta sama historia w tym mieście. Ludzie przenoszą się coraz dalej i dalej, żeby uciec przed rakiem, ale w końcu on i tak ich dogania.

Parkujemy przed budynkiem i podchodzimy do głównego wejścia. Drzwi są zabezpieczone i mieszkańcy muszą okazywać kartę kodową. W recepcji siedzi ochroniarz. Stukam w szybę i czekam, aż podniesie wzrok. Przybiera swoją dobrze wystudiowaną minę znużonej irytacji, ale wyraz twarzy zmienia mu się natychmiast, gdy przykładam do szyby swój identyfikator FBI. Wylatuje z krzesła, jakby to była katapulta i biegnie, by nas wpuścić do środka.

Spostrzega moje blizny i zatrzymuje się, gapiąc się na nie bez skrępowania. Potem zerka na Callie. Jego oczy bezwiednie taksują jej figurę i trochę za długo zatrzymują się na piersiach.

- O co chodzi, pani władzo?

- Chcemy tylko z kimś porozmawiać, panie...

- Ricky - mówi, oblizując się. Prostuje się i od razu robi się wyższy. Wygląda na czterdzieści kilka lat. Ma postawę człowieka, który dbał o formę, ale w końcu sobie odpuścił. Jego twarz jest pomarszczona, zmęczona jak u faceta, który nie wydaje się zadowolony z życia.

- Nic ważnego, przeprowadzimy rozmowę z jedną z osób tutaj mieszkających.

- Czy mogę w czymś pomóc? Do kogo panie się udają?
- Obawiam się, że to poufna sprawa, Ricky. Rozumie pan?

Kiwa głową z ważną miną.

- O tak, oczywiście, rozumiem. Winda jest na prawo. Proszę mnie wezwać, gdyby panie czegoś potrzebowały. - Nie może się powstrzymać przed zerknięciem na piersi Callie.

- Jasne, damy panu znać. Dziękuję. - Nie licz na to, dodaję w duchu. Wsiadamy do windy.

- Co za obleśny typ - krzywi się Callie, gdy jedziemy na drugie piętro.

- Zaskakujesz mnie.

Wychodzimy z windy. Strzałki prowadzą nas do mieszkania numer 314. Pukam do drzwi. Kobieta, która w nich staje, patrzy na nas w milczeniu. Pierwsza odzywa się Callie:

- Masz siostrę, o której nie wiem, złotko?

Nie mam, lecz pytanie nie jest pozbawione sensu. Leona Waters i ja mogłybyśmy śmiało być spokrewnione. Ten sam wzrost, moja krągłość bioder, płaski biust. Takie same długie, czarne, gęste włosy. Rysy twarzy też mamy podobne. Przynajmniej kolorem oczu się różnimy. No i ona oczywiście nie ma blizn. Zdumiona jej wyglądem, zaczynam odczuwać mdlący niepokój. Staje się dla mnie jasne, czemu Jack Junior wybrał właśnie ją.

- Leona Waters? - pytam.

Obrzuca mnie i Callie szybkim spojrzeniem.

- Taak...

- FBI - pokazuję jej identyfikator. Marszczy brwi.

- Czyżbym wpadła w tarapaty?

- Nie, proszę pani. Kieruję grupą CASMIRC w Los Angeles. Ścigamy mężczyznę, który zgwałcił, torturował i zamordował, co najmniej dwie kobiety. Mamy podejrzenie, że upatrzył sobie panią na kolejną ofiarę - uderzam bez ogródek, chcąc wywołać u niej szok. Leona Waters rozdziawia usta ze zdumienia.

- To jakiś żart?

- Nie. Chciałabym, żeby tak było. Ale niestety nie jest. Pozwoli pani, że wejdziemy?

Po krótkim namyśle Leona odzyskuje nad sobą kontrolę. Odsuwa się, by nas przepuścić.

Wchodzimy do mieszkania. Zaskakuje mnie, z jakim wyszukany smakiem jest urządzone. Ma subtelny urok kobiecej ręki.

Gospodyni zaprasza nas na kanapę. Sama siada w fotelu pasującym do jej stroju kolorystycznie.

- Więc to na serio? Jest jakiś maniak, który chce mnie zabić?

- Bardzo niebezpieczny człowiek. W okrutny sposób pozbawił już życia dwie kobiety. Wybiera ofiary spośród właścicielek erotycznych serwisów internetowych. Torturuje je, gwałci i morduje. Bezczęści ich zwłoki. Uważa się za potomka Kuby Rozpruwacza.

Mówię to wszystko szybko, z pasją, niemal wściekłym tonem, żeby usunąć wszelkie wątpliwości i wahania z jej strony. Wydaje mi się, że osiągam zamierzony cel. Jej różowa cera blednie.

- Czemu sądzicie, że wybrał mnie?

- Działa według pewnego schematu. Zostaje subskrybentem wybranej witryny. Obrał nazwę użytkownika i hasło, które wiążą się w jakiś sposób z historią Jacka Rippera. Znaleźliśmy taką kombinację wśród logujących się do pani witryny. - Teraz wskazuję na siebie. - On z całej duszy nienawidzi mnie, pani Waters. Ma na moim punkcie obsesję. Czy dostrzegła pani podobieństwo między nami? Leona waha się, przygląda mi się uważnie.

- Tak, oczywiście. Czy to on... czy on pani to zrobił? - Patrzy wymownie na moje blizny.

- Nie, ktoś inny.

- Nie chcę być niegrzeczna, ale to nie wzbudza do pani zaufania.

Uśmiecham się do niej lekko. Nie chcę, by myślała, że mnie uraziła.

- Pewnie. Ale mężczyzna, który to zrobił, zaskoczył mnie. Nie byłam na ten napad przygotowana. Tym razem właśnie chcemy tego uniknąć. Ten nie będzie wiedział, że czekamy tu na niego.

Widzę po zmianie w jej twarzy, że zaczyna pojmować sytuację.

- Rozumiem, macie zamiar zrobić tu zasadzkę na niego, prawda?

- Tak.

- A ja mam być przynętą?

- Niezupełnie. Pani już jest przynętą, bo on myśli, że panią tu zastanie. Tymczasem my nie mamy zamiaru pani narażać na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Czekaliby tu agentka lub przebrany agent. Potrzebujemy tylko, żeby udostępniła nam pani mieszkanie i zniknęła na jakiś czas.

Coś, czego na razie nie potrafię odczytać, pojawia się w jej oczach. Leona wstaje, przechadza się po pokoju, kiedy staje przed nami, jej twarz ma stanowczy wyraz.

- Czy wie pani, ile mam lat? - pyta.

- Hm... nie.

- Dwadzieścia dziewięć. - Wskazuje rękami na siebie. - Nie wyglądam najgorzej, jak na swoje lata, co?

- Z pewnością.



- Wysłałam za męża, kiedy miałam osiemnaście lat, za pierwszego mężczyznę, z którym poszłam do łóżka - mówi niespodziewanie. - Myślałam, że jest miłością mojego życia. Po prostu najwspanialszym facetem pod słońcem. Zrobiłabym dla niego wszystko i przez jakiś czas robiłam. Ale mój książę z bajki się zmienił. Przez całe siedem lat mnie bił. Nigdy nie zostawiał śladów, nie łamał mi kości, był na to za cwany. Wiedział jednak, jak sprawić ból. A przy tym ciągle mnie poniżał i upokarzał. - Leona patrzy mi prosto w oczy. - Wie pani, czym jest seks z takim mężczyzną? Za każdym razem jest się gwałconą. Nie ma znaczenia, czy się jest żoną, czy nie, on cię gwałci. - Leona kręci głową do swoich wspomnień, odwraca wzrok. - To trwało długich siedem lat, zanim pomyślałam, że mam dość. Przez pierwsze sześć lat nawet mi do głowy nie przyszło, żeby go porzucić. Wmówił mi, że to ja jestem winna, że tak mnie traktuje i że ma do tego pełne prawo.

- Co spowodowało w pani zmianę? - pyta z zainteresowaniem Callie. Dobrze wiemy, jak rozgrywać takie sytuacje. Cokolwiek ona pragnie powiedzieć, musi być wysłuchana. Jeśli chcemy od niej czegoś, musimy słuchać. Leona wzrusza ramionami. Jej oczy nabierają twardości krzemienia.

- W końcu miara się przebrała. Wiedziałam, że znęca się nade mną z dużym sprytem, rozmawiałam o tym z policjantami. Powiedzieli, że trudno mi będzie to udowodnić. - Uśmiecha się. - Zamontowałam ukrytą kamerę i kiedy zabrał się do mnie, wszystko zarejestrowałam. Jak zadaje mi ból, wyzywa, upokarza. Po raz ostatni wtedy pozwoliłam, by się nade mną znęcał. Przekazałam taśmę policji i wniosłam oskarżenie. Jego adwokat próbował przedstawić nagranie jako prowokację policyjną, ale sędzia był innego zdania. Mężulek trafił za kraty, a ja sprzedałam wszystko i przenieśliśmy się do Los Angeles. - Zakreśla ręką wokół. - To należy do mnie. Wiem, co sobie myślicie o moim sposobie zarabiania. Nie obchodzi mnie to. Jestem wolna od tyrana i mam to wszystko na własność. - Siada przed nami. - Przyrzekłam sobie, że już nigdy żaden facet mnie nie skrzywdzi. Nigdy. Więc jeśli chcecie się tu zasadić na tego psychola, będę współpracowała, tak jak potrafię. Ale nie opuszczę swojego domu.

Rozsiada się wygodniej, składa ręce na piersiach. Obraz pełnej determinacji. Przyglądam się Leonie Waters. Wytrzymuje mój wzrok z kamienną twarzą i wcale mi się nie podoba jej oferta współpracy, lecz wiem, że ona się nie ugnie. Rozkładam ręce w geście kapitulacji.

- Dobrze, pani Waters. Jeżeli uda mi się przekonać mojego szefa, żeby wyraził na to zgodę, zrobimy tak, jak pani sobie życzy.

- Mów mi Leono, agentko Barrett. Więc - pochyła się ku nam zawzięta i podekscytowana zarazem - jak zamierzacie to rozegrać?

Jestem trochę spięta. Jak dotąd Leony nie odwiedził żaden pracownik firmy dezynsekcyjnej, co oznacza, że nie dokonali jeszcze rekonesansu. To może nastąpić w każdej chwili. Dziś, jutro. Czuję, że stanie się to już niedługo.

Smok miota się w moim wnętrzu, wężąc krew.

Dzwoniłam już do zastępcy dyrektora Jonesa, powiedziałam mu, czego potrzebuję. Najpierw wyrzucił z siebie stek przekleństw, potem się zgodził na wszystko.

Siedzimy z Callie w salonie Leony, tym razem stoją przed nami filiżanki z kawą. Czekamy niecierpliwie na dwóch agentów Biura Federalnego i dwóch policjantów z brygady antyterrorystycznej. Powinni tu przychodzić pojedynczo, w pewnych odstępach czasu. Nie możemy wzbudzić podejrzeń zabójców, gdyby przypadkiem któryś obserwował teren.

Leona jest w swoim gabinecie. Powiedziała, że musi odpowiedzieć na parę e-maili.

- Wiesz - mówi Callie - zupełnie nie podoba mi się to, co robi Leona, ale ona sama jest w porządku. To silna kobieta.

Uśmiecham się krzywo.

- Tak. Wolałabym, żeby nie upierała się przy zostaniu tutaj, lecz muszę jej ustąpić. Jest naprawdę odważna i twarda.

Callie syczy w zamyśleniu kawę.

- Jak sądzisz? Jakie mamy szanse?

- Nie wiem, Callie. Po tym jak ją zobaczyłam, nabrałam pewności, że jesteśmy na dobrym tropie. Ona figuruje na jego liście. Zresztą wystarczy na nią spojrzeć. - Krzywię się z obrzydzeniem. - Prawdopodobnie wybrał ją, żeby delektować się złudzeniem, że to mnie gwałci i zabija.

- To wprost niesamowite, złotko. Mogłaby zagrać rolę twojego sobowtóra. Odzywa się moja komórka.

- Tak? - mówię.

- To ja - słyszę baryton Alana. - Chciałem ci tylko przekazać najnowszą informację. Gene mówi, że badania DNA potrważą dłużej, niż się spodziewał. Będzie coś miał dopiero przed dwudziestą drugą.

- Mamy tutaj obiecujący trop. - Opowiadam mu krótko o Leonie Waters i naszym planie.

- To dobra wiadomość - mówi Alan. - Może wreszcie dorwiemy skurwieli.

- Trzymaj za nas kciuki. Będę was informowała na bieżąco o przebiegu akcji.

Rozłączam się i patrzę na zegarek.

- Cholera. Czas pędzi jak szalony. - Odwracam się do Callie. - Już prawie szósta.

- Pora na wieczorne wiadomości - odpowiada.
- Czas, żeby porządnie wkurzyć psychola.

Brad, przystojny i poważny, prezentuje swoją sensacyjną wiadomość. - Wielu z was pamięta zapewne agentkę Smoky Barrett i incydent, który miał miejsce w ubiegłym roku. Tropiony przez nią seryjny zabójca niejaki Joseph Sands, tego tragicznego wieczoru pozbawił ją rodziny. Jej samej udało się ująć zabójcy, ale straciła męża i córeczkę, morderca oszpecił przy tym jej twarz. Mimo przeżycia tak strasznej tragedii powróciła do zawodu. Obecnie agentka Barrett ściga innego mężczyznę, znanego jako Jack Junior. Twierdzi on, że w prostej linii wywodzi się z rodu Jacka Rippera...

Brad przedstawia podstawowe fakty, zrećnie unikając jakichkolwiek ozdobników. Najwyraźniej ich nie potrzebuje. Nagie fakty są dostatecznie przerażające. Moja twarz pojawia się pod koniec jego wystąpienia, gdy ogłaszam rewelacje na temat zawartości słoika. Patrzę na siebie beznamietnym wzrokiem. Zaczynam przyzwyczajając się do moich szram, ale wątpię, czy widzowie reagują w ten sam sposób.

- FBI ostrzega inne kobiety tej profesji, by przedsięwzięły wszelkie środki ostrożności. - Brad recytuje listę tych środków, które naszym zdaniem mogą być skuteczne. Patrzy w stronę kamery z dramatyczną miną. - Bądźcie czujne i ostrożne, nie dajcie się zaskoczyć. Wasze życie jest zagrożone!

Ten fragment wiadomości dobiega końca.

- Wykonał dobrą robotę - ocenia Callie. - Ty również, złotko.

- Próbujecie go wnerwić, prawda? - rozlega się głos za nami.

Byliśmy tak pochłonięte oglądaniem wiadomości, że nie zauważyliśmy wejścia Leony.

- Tak - mówię. - Próbuję.

Patrzy na mnie z podziwem.

- Jesteś kimś wyjątkowym, agentko Barrett. Gdybym ja przeszła przez to, co ty... - Kręci głową.

- Nie czuję się kimś wyjątkowym, Leono. Ty przeszłaś przez koszmar, choć inny, i przetrwałaś.

Pukanie do drzwi przerywa tę towarzyską wymianę zdań.

- Zostań tu - szepczę, wyciągając broń. Podchodzę do drzwi.

- Taak? - pytam.

- Agentka specjalna Barrett? Agenci Decker i McCullough oraz dwaj policjanci z brygady antyterrorystycznej...

Spoglądam przez dziurkę od klucza. Poznaje agenta Deckera.

- Chwileczkę - mówię. Otwieram drzwi i zapraszam ich do środka.

Zgodnie z moją instrukcją są po cywilnemu. Spostrzegam z pewnym rozbawieniem, że ubrali się jak czworaczki. Wszyscy w dżinsach i wełnianych bluzach. Mimo pełnej swobody wyboru zachowali pewną jednolitość. Jednak na pierwszy rzut oka nikt nie rozpoznałby w nich funkcjonariuszy organów porządku publicznego.

- Czy poinformowano was, co to za akcja? - pytam, gdy cała czwórka znalazła się w salonie.

- Tak, proszę pani - odpowiadają chórem.

- Okay. Urządzamy tu zasadzkę. Nasi przestępcy zabili już dwukrotnie. Są bystrzy i precyzyjni, bez zahamowań. Znamy z poprzednich zbrodni ich sposób postępowania. Któryś z nich dokonuje zwiadu, podając się za pracownika firmy dezynsekcyjnej. Przypuszczam, że i tym razem postąpią podobnie. Uważajcie na nich, panowie. Jeśli oni wyciągają noże, to na pewno nie dla postrachu - użyją ich. Jeśli któryś się tu pokaże, chcę go mieć żywego, by mógł nas doprowadzić do drugiego przestępcy. - Wskazuję gestem dłoni Leone. - To jest pani Waters, według naszych ustaleń to ona ma być następną ofiarą.

Widzę, jak na nią patrzą. Jeden z funkcjonariuszy wyraźnie zdradza seksualne zainteresowanie. Jestem zażenowana i wściekła. Staję przed nim, wbijam mocno palec w jego pierś, tak żeby pozostał mu siniak.

- Oczekuję od was profesjonalizmu. Powinniście wiedzieć, że zaproponowałam pani Waters, by się przeniosła gdzieś na czas naszej akcji. Nie przyjęła tej propozycji i postanowiła dobrowolnie z nami współpracować. Jeżeli tej kobiecie coś się stanie, bo ty będziesz myślał rozporkiem, nogi z dupy powyrywam, zrozumiano?

Dostrzegam w oczach funkcjonariusza szczerą skruchę. Uznaję, że przynajmniej ona dobrze o nim świadczy.

- Jaki jest plan? - pyta agent Decker, przypominając o tym, co jest w tej chwili najważniejsze.

Tłumię swój gniew.

- Spróbujmy to rozegrać w prosty sposób. Jeden czuwa na dachu. Drugi przy windzie. Dwaj zostają ze mną i agentką Thorne. Ten na dachu poinformuje nas o każdym, kto wejdzie do budynku. Ten przy windzie sprawdzi, czy wcisnął to piętro. Dwaj w mieszkaniu zwiną naszego gościa. Macie sprzęt, który będzie nam potrzebny? - pytam Deckera.

- Tak, proszę pani. Słuchawki z mikrofonami i broń. Do karabinu snajperskiego włącznie.

- W porządku. Podkreślam: to bardzo ważne, żebyście nie zwracali na siebie ich uwagi. Mamy dowody na to, że co najmniej jeden przestępca mnie śledzi. Jeśli któryś z nich zacznie coś podejrzewać, zwięją nam. - Przesuwam wzrokiem po ich twarzach. - Są pytania?

Zgodny chór odpowiada: „Nie!”

- Wobec tego na stanowiska! Bądźcie czujni i nastawcie się na długie czekanie.

To właśnie, myślę, jest tak charakterystyczne dla mojego zawodu. Sprawia on, że moim życiem kierują czynniki zewnętrzne, zmuszając mnie do ciągłego podążania tropami, które pojawiają się zniemacka i nie wiem, dokąd mnie zaprowadzą. To ironia losu. Nienawidzę być do czegokolwiek zmuszana, ale wybrałam fach, w którym jest to podstawową regułą. Kiedy ścigasz zabójcę, nie ma mowy o żadnym harmonogramie pracy, o stałych godzinach. Rozkład zajęć jest prosty, bo im dłużej on pozostaje na wolności, tym większa jest liczba ofiar. Dopóki go nie złapiesz. To specyficzna gra. Raz on rozdaje karty, raz ja.

Dlatego jestem tutaj. Siedzę w mieszkaniu kobiety, która prezentuje w sieci swoje erotyczne przygody, żeby zarobić na życie. I jestem gotowa czekać cierpliwie jak pająk przy sieci, aż Jack Junior lub jego partner pojawią się tutaj.

Patrę na Callie. Siedzi na kanapie z nogami opartymi na niskim stoliku i ogląda z Leona talk-show w telewizji. Obie chrupią popcorn. To jedna z cech Callie, którą w niej kocham i podziwiam. Potrafi się zupełnie rozluźnić i odprężyć, a w następnej sekundzie błyskawicznie przystąpić do działania. Jest to talent, jakiego nigdy nie miałam.

Sprawdzam godzinę. Jest wpół do dziesiątej. Kontaktuję się z policjantem czuwającym na dachu, wiem już, że ma na imię Bob.

- Dzieje się coś, Bob?

- Na razie nic, proszę pani - trzeszczy mi w uchu jego głos.

Staram się podsłuchać rozmowę między Callie i Leona.

- Pozwól, że cię o coś zapytam, złotko. Co będzie, jeśli uznasz, że chcesz mieć znowu przy sobie mężczyznę?

- O co ci chodzi?

- Chodzi mi o to, czy potrafisz zmienić swój obecny styl życia? Leona to rozważa.

- No, nie wiem. Wielu ludzi często zmienia partnerów, nie łączy się w związki monogamiczne. Jeśli o mnie chodzi, szanse są małe, ale takie rzeczy się zdarzają. Myślę, że musiałyby być inna kolejność. Najpierw bym podjęła decyzję o zmianie moich obyczajów i dopiero wtedy, być może, zaczęłabym za kimś się rozglądać. Przyrzekłam sobie, że nigdy nie dokonam żadnych gruntownych zmian w moim życiu dla jakiegokolwiek faceta. Nigdy więcej.

- Niebanalne podejście do problemu, nie sądzisz?

- Raczej niespotykane, przy tym stylu życia, jaki wybrałam.

Nie słucham dłużej. Callie zawsze szalenie interesuje się motywami postępowania innych ludzi. Jest pod tym względem nienasycona.

Tak się układa nasza praca. I to nie tylko tutaj. Każdy z nas pracuje oprócz tego w biurze. Wszyscy wspólnie dźwigamy to brzemie i ponosimy odpowiedzialność za przebieg śledztwa. Wszyscy też będziemy się czuć winni, jeśli morderca zabije znowu, zanim go złapiemy.

W mojej słuchawce zaczyna trzeszczeć głos Boba.

Znużenie i nuda pryskają natychmiast.

- Mężczyzna, około metr osiemdziesiąt wzrostu, ciemnowłoso, wchodzi do budynku. Ma na sobie jakiś uniform. Nie mogę stąd rozpoznać, jaki.

- Odebrałem - potwierdza Dylan, czuwający przy windzie.

Spoglądam wymownie na Callie, Deckera i McCullougha. Kiwnięciem głowy sygnalizują, że usłyszeli. Mija parę chwil.

- Mężczyzna odpowiadający opisowi wysiadł właśnie z windy, idzie w kierunku tego mieszkania - melduje Dylan. - Potwierdzam: uniform, powtarzam: ma na sobie uniform z napisami firmy deratyzacyjnej.

- Odebrałam - potwierdzam. Serce mi wali, smok wierci się z podniecenia. - Zostań na swoim stanowisku, by zablokować ewentualną ucieczkę, Dylan.

- Odebrałem.

- Bob, dam ci znać, gdyby wyslizgnał nam się z rąk. Bądź gotowy na rozkaz oddania strzału do niego.

- Odebrałem, jestem gotowy do strzału. Patrzę na Leone.

- To on.

Kiwa szybko głową. Wygląda na podnieconą i napiętą, lecz nie sprawia wrażenia przestraszonej.

Słyszę pukanie do drzwi. Daję znak Leonie. Podchodzi do drzwi, patrzy przez wizjer, kręci głową. Nie zna tego człowieka. Znowu daję jej znak.

- Kto tam? - pyta.

- Firma deratyzacyjna ABC. Przepraszam, że niepokoję o tak późnej porze, ale wezwał nas właściciel domu, to nagły przypadek. Coś ze szczurami. Muszę wejść i sprawdzić pani mieszkanie. To potrwa tylko kilka minut.

- Hm, no dobrze. Proszę zaczekać.

Leona ponownie spogląda na mnie. Gestem ręki kieruję ją do sypialni. Wyciągam pistolet. Callie, Decker i McCullough robią to samo. Unoszę lewą dłoń i zaczynam odliczać na palcach. Na trzy, otwieram gwałtownie drzwi na całą szerokość.

- FBI! - krzyczę. - Stać!



Mój pistolet znajduje się w odległości pół metra od jego twarzy. Patrzę z bliska w te oczy i widzę pustkę, jaką sobie wyobrażałam. Upuszcza podkładkę do pisania, którą opierał na piersi, i unosi obie ręce nad głowę.

- Nie strzelaj - mówi. Wygląda na zaskoczonego, a nawet wystraszone go, tak jak powinien, mając pistolet przystawiony do twarzy. Odczuwam jednak jakiś niepokój, bo w jego oczach nie ma strachu. Widzę, że patrzy uważnie i ocenia sytuację, myśli gorączkowo.

- Nie ruszaj się. Załóż ręce na kark i klękaj! Wbija we mnie wzrok, oblizuje się.

- Jak sobie życzysz... Smoky.

Tylko przez ułamek sekundy myślę, że użył mojego imienia. Mam teraz przed sobą okrutny wichur, najpierw odsuwa się na bok, potem robi krok w moją stronę. Jego ręce wirują, jedną odpycha mój pistolet, drugą wali mnie w twarz. Lecę do tyłu, przed oczami mam gwiazdy... i ułamek sekundy już mija.

Padam na podłogę i próbuję się podnieść. Udaje mi się nie wypuścić pistoletu.

On wciąż jest w ruchu, demonstruje niesłychanie skuteczną sztukę walki, potężną i niszczycielską. Uchyła się i zbliża do przeciwnika, a wszystkie jego uderzenia pięściami i kopniaki są krótkie i brutalne. Nie wygląda to zbyt efektownie, ale przynosi pożądane efekty. Widzę, jak agent Decker inkasuje cios łokciem w szczękę. Z absurdalnym zafascynowaniem śledzę lot jego dwóch zębów, które wystrzeliły mu z ust jak dwa pociski, a potem słyszę zimny jak lód głos Callie:

- Rusz się tylko, a zabiję, skurwielu.

Wicher zamiera, ponieważ lufa pistoletu Callie wbija się w czoło napastnika. Nasz gość rozgląda się szybko dookoła. Jego oczy płoną wściekłym blaskiem. Chwilę potem zostaje rzucony na ziemię przez agenta McCullougha oraz Dylana, który nadbiegł od strony windy, by przyłączyć się do zabawy.

Zdaję sobie sprawę, że krwawię i kręci mi się w głowie, i to bardzo.

- Jak się czujesz, złotko? Wszystko w porządku? Wstaję, chwiejąc się na nogach.

- W porządku...

I lecę w dół. Nie tracę przytomności, ale ląduję nagle na tyłku. Przytrzymywany mocno przestępca miota się i wrzeszczy do mnie:

- Ty durna dziwko! Beznadziejna dziopo! Myślisz, że coś ci to da? Nic. Ja jeszcze...

- Jezu Chryste! - krzyczę. - Zamknij się albo ci strzelę w dupsko. Dylan, McCullough, dokonajcie formalnego aresztowania i zatkajcie mu gębę.

Dylan uśmiecha się do mnie, zakładając facetowi kajdanki i wyprowadza go na korytarz, żeby go przeszukać i odczytać mu jego prawa.

- Powiedz prawdę, jak się czujesz, złotko? - pyta Callie z troską w głosie.

Obracam głową na wszystkie strony, by sprawdzić, czy nic mi nie jest.

- Już dobrze. Przyszłam do siebie. Wszystko chyba mam na swoim miejscu. Jak wygląda moja twarz?

- Nieźle cię urządził, skarbie. Wyglądasz jak ta cizia, która mówi: „Ja nie używam kolagenu. Po prostu walę twarzą w ścianę”.

Coś mi się przypomina. Zrywam się na równe nogi przestraszona.

- Decker!

- Okay. Nic mi nie jest, szefowo.

Patrzę, jak podnosi się z podłogi. Musi oprzeć się o ścianę, żeby wstać. Przyciska do ust zakrwawioną chusteczkę.

- Spokojnie, powoli, musisz jechać do lekarza.

- Muszę jechać do dentysty - stęka. - Skurwysyn wybił mi dwa zęby.

- Callie...

Callie wyciąga komórkę.

- Już po nich dzwonię, złotko.

Drzwi do sypialni Leony się uchylają. Widzę wąską szparkę.

- Mogę już wyjść? Jest bezpiecznie? - pyta Leona lekko drżącym głosem.

Omiotam spojrzeniem jej salon, patrzę na Deckera i jego krwawiące usta, na rozbity mały stolik. I dopiero teraz to do mnie dociera. Adrenalina nie skacze mi, lecz wręcz wybucha.

- Mamy go! - Krzyczę.

Callie i Decker podskakują zaskoczeni i wlepiają we mnie oczy. Callie śmieje się radośnie. Deckerowi to nie wychodzi.

- Możesz wyjść, Leono. Wszystko poszło po prostu wspaniale.

Wyłamuję sobie palce nerwowo. Bolą mnie wargi.

Smok rzuca się we mnie, ryczy, zgrzyta zębami.

„Nakarm mnie - syczy - pozwól mi zmiażdżyć mu kości”.

Oblizuję wargi i czuję słony smak krwi. To musi go na razie zadowolić.

Wchodzimy z Callie do gmachu FBI. Pozostawiłyśmy policjanta w mieszkaniu Leony. Naszego aresztanta odwieziono na komisariat Wilshire.

Przyjechałam tu na spotkanie z Alanem. Chcę z nim dopracować szczegóły przesłuchania. Ściągam windę i w tym samym momencie dzwoni moja komórka.

- Smoky! - słyszę.

I już we mnie rozbrzmiewa sygnał alarmowy. To Elaine; jest przerażona.

- Co się stało?

- Trzej mężczyźni skradają się pod naszym domem. Są od tyłu. Wyglądają na bardzo młodych.

Dreszcz przerażenia przebiega mi po plecach. Przypominam sobie Ronniego Barnes'a. Czy zachodzi tu jakiś związek? Czy Jack Junior sformował sobie małą armię psycholi? A może stałam się już paranoiczką?

Paranoja, gdy chodzi o Jacka Juniora? Na pewno nie.

Przypominam sobie, jak zapewniałam Alana, że Elaine nie grozi żadne fizyczne niebezpieczeństwo. Ogarniają mnie mdłości na myśl o tym, jakie mogą być konsekwencje tej fałszywej oceny sytuacji.

Rezygnuję z windy i pędzę po schodach na górę. Callie biegnie za mną.

- Elaine, co z agentami przed domem?

Milczenie. Chyba sprawdza.

- Samochód stoi, ale ich nie widzę.

- Masz jakąś broń w domu? Pistolet? - wołam zdyszana.

- Tak, w szafie na górze.

- Idź po niego, zamknijcie się w łazience. Wezwę Alana i za piętnaście minut będziemy.

- Boję się, Smoky.

Wciąż przeskakując po dwa stopnie, przymykam oczy.

- Elaine, weź pistolet, dzwoń na policję, zaraz będziemy.

Rozłączam się. Nienawidzę w tym momencie samej siebie, ale muszę tak robić, by zmusić ją do działania. Wpadamy do biura. Wyraz mojej twarzy powoduje, że wszyscy wpatrują się we mnie pytająco.

- Alan, Elaina ma gości! Wy dwaj zostajecie tutaj - wyciągam palec do Lea i Jamesa. - James porozum się z policją w sprawie aresztowanego faceta, którego dla nas trzymają. Callie i Alan, ruszamy. Biegiem!

Przeżony Alan już wypadł za drzwi. Z pewnością ma wiele pytań, ale panuje nad sobą, gdy pędzimy po schodach na parking.

- Ilu? - pyta.

- Trzech. Skradają się od tyłu. Powiedziała Elainie, żeby wezwała policję, wzięła pistolet i zamknęła się z Bonnie w łazience.

- Gdzie, do cholery, podzieli się agenci, którzy mieli pilnować Bonnie!

- Nie mam pojęcia.

Przelatujemy przez recepcję i główne drzwi jak wichur. Elaina i Bonnie, Elaina i Bonnie. Ta mantra rozlega się w mojej głowie wciąż od nowa. Powinnam odczuwać lęk, ale pędzimy do samochodu i nie mam czasu na głębsze odczucia czy myśli. Callie nie powiedziała dotąd ani słowa. Biegnie za mną, nie zadając żadnych pytań.

I nagle dzieje się coś nieoczekiwanego.

- Giń, kurewska cipo!

Jesteśmy na parkingu. Młody chłopak, który to krzyknął, biegnie prosto na mnie z nożem w rękę. Wykrzywiona twarz o maniackalnym wyrazie, głodne oczy. Czas zastyga, on jest już prawie przy mnie. Dwa metry, oceniam. Biegnie ze wzniesionym nożem, to znaczy, że uderzy za jakieś pół sekundy. To spostrzeżenie nie może się rozwinąć do końca, odruchowo wyciągam pistolet i strzelam. Wszystko dzieje się zbyt szybko, bym mogła kontrolować myślą, co robię. To instynkt samozachowawczy, naprawdę błyskawiczny atak. Przestrzeliwuję mu głowę na wylot.

Głowa eksploduje. Czas zaczyna znowu biec z normalną prędkością. Odskakuję na bok, gdy facet pada do przodu i z głuchym stukiem wali się na ziemię, wzbijając obłoczek szarego kurzu. Nóż wylatuje mu z ręki.

- Jasna cholera! - krzyczy Alan.

Widzę, że ani on, ani Callie jeszcze nie wyciągnęli broni. Nie mam im tego za złe. Mnie i mojego stalowego druha łączy szczególna więź. Mój umysł nadal pracuje z tą samą oszałamiającą prędkością.

- Callie, ty prowadzisz samochód. Naprzód! Zza zakrętu nadbiega Tommy. Nie zatrzymuję się.

- Z nami w porządku! - krzyczę. - Ale dranie są w domu Alana!

Tommy nie zadaje żadnych pytań, zawraca pędem i wskakuje do swojego wozu. To szkoła służb specjalnych, myślę. Natychmiastowe działanie, zero wahań.

My też dopadamy auta i wskakujemy do środka. Callie uruchamia silnik i wciska gaz do dechy.

- Co to było, do diabła?! - mówi Alan.

- Duchowy braciszek Ronniego Barnes'a, złotko - odpowiada za mnie Callie z płonącymi wściekłością oczami, gdy prowadzony przez nią samochód wypada jak rakieta z parkingu.

Alan nie komentuje tego. Widzę po jego twarzy, że zaczyna rozumieć, co się dzieje. Blednie, przymyka oczy.

- O, nie... - szepcze.

Nic nie mówię. Nie ma potrzeby. W jego głowie tłucze się teraz ta sama mantra, co w mojej: Elaina i Bonnie, Elaina i Bonnie, Elaina i Bonnie. Pewna jestem, że tak jak u mnie ta mantra zmienia się w modlitwę.

Alan dzwoni do Elainy. - Dziecinko? Już jedziemy. Wezwałaś policję? Cooo? Cholera. Nie ruszaj się stamtąd, kochanie. - Zakrywa dłonią mikrofon. - Są w domu! Elaina słyszy, jak łążą po pokojach. - Słuchaj, dziecinko. Nie mów już nic do mnie. Nie chcę, żeby cię usłyszeli - mówi znowu do telefonu. - Ale nie rozłączaj się, odłóż telefon i wymierz pistolet w drzwi. Gdy ktoś będzie chciał wejść, a nie usłyszysz, że to ja, Smoky lub Callie, strzelaj.

Elaina i Bonnie, Elaina i Bonnie, Elaina i Bonnie.

Jesteśmy na ulicy, gdzie mieszka Alan. Callie z piskiem opon zatrzymuje się na podjeździe i wyskakujemy z samochodu. Alan odłożył telefon. Wszyscy trzymamy pistolety gotowe do strzału. Rozglądam się, podbiegam do wozu Keenana. Ogarnia mnie fala wściekłości i bólu. Obaj policjanci są martwi. W czołach mają dziury od kul.

Teraz zemsta, myślę. Żałoba później.

Ruszam wzdłuż podjazdu ku frontowej ścianie domu. Wskazuję na drzwi z wyłamaną ościeżnicą.

- Wchodzimy po cichu - szepczę. - Jeśli się tylko uda, bierzemy ich żywcem. Słyszysz, co mówię, Alan?

Patrzy na mnie zimnym wzrokiem, w którym czai się mord. Potem z niechęcią kiwa głową.

Wchodzimy przez drzwi frontowe, szukamy śladów intruzów. Nasze pistolety i nasze oczy omiatają pomieszczenie. Na razie nic. Sztywniejemy, gdy nad sobą słyszemy jakiś ruch. Wskazuję na sufit. Wchodzimy na górę. Serce wali mi jak młotem. Słyszę ciężki oddech Alana i widzę grube krople potu na jego czole, chociaż w domu jest raczej chłodno. Docieramy już prawie do szczytu schodów i w tym momencie rozlega się krzyk Elainy:

- Alan! - Jej głos pełen przerażenia.

Słyszę strzały: bach, bach, bach.

- FBI! - krzyczę i wbiegamy na podest, już nie dbając o zachowanie ciszy. - Odrzućcie broń i na kolana, dranie!

Bach, bach, bach - znowu dudnią strzały i teraz widzę, skąd docierają. Czarnowłosego młody człowiek wygląda, jakby się trząsł w gorączce, gdy przeszywają go kule z pistoletu Elaine, która strzela jak w amoku aż do ostatniego naboju w magazynku.

Dwaj inni mężczyźni odwracają twarze w naszą stronę. Zauważam natychmiast, że jeden ma pistolet, a drugi trzyma w ręku nóż. W pierwszej chwili wyglądają na zaskoczonych, potem spostrzegają mnie i twarze wykrzywia im nienawiść.

- To ona! - woła ten z pistoletem. - Ta kurwa, Smoky!

Podnosi pistolet do strzału, ten z nożem rzuca się na mnie. Znowu wszystko rozgrywa się w ułamkach sekund.

Alan i Callie strzelają do tego z pistoletem. Z pewnego rodzaju chłodną satysfakcją dostrzegam, że w jego głowie i na koszuli pojawiają się dziury od kul, tryskające krwią. Widzę, jak jego broń wypala, gdy on osuwa się i pada do tyłu. Napastnik z nożem dopada mnie i powtarza się to samo, co stało się na parkingu. Tylko, że tym razem celuję w rękę uzbrojoną w nóż, muszę go mieć żywego. Patrzę, jak jego dwa palce znikają nagle, a oczy rozszerzają się gwałtownie i uciekają gdzieś w głąb. Szok poraża go jak uderzenie młota. Pada na kolana, układając usta w kształt litery O. Wymiotuje, upada twarzą na podłogę, traci przytomność, ale wciąż drży.

- Elaina! – krzyczy Alan.

- Nic nam się nie stało, nic nam się nie stało! - woła histerycznie Elaina.

Biegnę za Alanem do łazienki.

Ogarnia mnie obezwładniające uczucie ulgi na widok całych i zdrowych Bonnie i Elaine, które ukryły się w wannie. Uginają się pode mną kolana. Elaina trzęsie się, wciąż trzymając w obu rękach pistolet, z dzikim wyrazem w oczach. Bonnie siedzi w kącie wanny, obejmując nogi ramionami, z głową opartą na kolanach i kołysze się w przód i w tył. Zderzam się z Alanem, on spieszy się do Elaine, ja do Bonnie.

- Już dobrze, już dobrze, kochanie - szepczę gorączkowo. Chwytam jej głowę w obie dłonie, szukając jakichś śladów obrażeń.

Alan w ten sam sposób sprawdza Elaine. Bonnie zaczyna płakać i zarzuca mi ręce na szyję, a Elaina oplata ramionami Alana. „Dzięki Bogu, dzięki Bogu”, powtarzamy oboje i dźwięki tych słów odbijają się echem od ścian łazienki. Chwila chaosu, odprężenia i ulgi.

- Callie! - wołam w stronę korytarza. - Są całe. Nikomu nic się nie stało. - Nie słyszę odpowiedzi. - Callie!

Ten obraz uderza mnie jak piorun. Jego pistolet, który wypalił w momencie...

- Och nie, nie... - powtarzam.

Wpuszczam Bonnie z ramion, wyciągam pistolet i wymykam się z łazienki.

Widzę ją.

Jestem zamknięta w naczyniu wypełnionym ciszą. Znieruchomiała pod wpływem szoku.

Callie leży na szczycie schodów, na dywanie, z głową odchyloną na bok. Oczy ma zamknięte. Czerwona plama rośnie na jej piersi.

- Alan 911- szepczę. A potem zaczynam krzyczeć: - 911! 911! Skurwysyńskie 911!

Siedzę w samochodzie Tommy'ego, pędzimy do szpitala. Drzę, trzęsę się na całym ciele, nie mogę się opanować. Nie potrafię myśleć w normalny sposób. Kolejne fale strachu przepływają przeze mnie, czuję potężne eksplozje adrenaliny.

Alan został z Elaina i Bonnie. Ma się zająć naszym jedynym napastnikiem, który ocalał w tej akcji. Nie powiedział do mnie ani słowa, ale nie musiał. Wszystko, co czuł, wyrażały jego oczy.

Z odurzenia wyrywa mnie głos Tommy'ego. Coś do mnie mówi.

- Widziałem tę ranę, Smoky. Znam się na ranach. Nie mogę ci powiedzieć, czy wyjdzie z tego, czy nie. Mogę tylko stwierdzić, że nie jest to postrzał śmiertelny na sto procent. - Odwraca do mnie głowę. - Słyszysz mnie?

- Tak, cholera jasna! Słyszę! - Nie mówię tego, krzyczę. Nie wiem, dlaczego. Przecież nie jestem na niego zła.

- Dobrze, wykrzycz się, Smoky. Rób wszystko, co może ci pomóc - odpowiada ze stoickim spokojem. Z jakiegoś powodu budzi to we mnie szaloną wściekłość.

- Pan Zimny, Spokojny i Opanowany, tak? - Nie mogę się powstrzymać. Przepelnia mnie jad, gorzki i palący. Kipi we mnie i musi się wylać na zewnątrz. - Myślisz, że to, iż jesteś pieprzonym robotem, czyni cię kimś wyjątkowym?

Milczenie.

- Nie możesz być tak szalenie wyjątkowy! Wykopali cię ze służb specjalnych, może nie? Pieprzony niewypał! - Tommy nawet nie mrugnie okiem. Zaczynam jeszcze głośniejsze wrzeszczeć na niego. - Do diabła, nienawidzę cię. Słyszysz! Nic dla mnie nie znaczysz! Moja przyjaciółka umiera, a ty zachowujesz się tak, jakby nic się nie stało, więc ty też dla mnie jesteś niczym i nienawidzę cię i...

Głos mi się załamuje i przechodzi w jęk. Nie ma już w nim jadu. Wraca mój stary znajomy, ból. Opuszczam pośpiesznie szybę i zaczynam wymiotować na jezdnię. Czuję ostry ból w głowie.

Padam na fotel, wyczerpana tą orgią emocji. Tommy wyciąga rękę i otwiera schowek na desce rozdzielczej.

- Tu są chusteczki. Chwytam kilka i wycieram twarz. Jedziemy dalej.

- Przepraszam - mamrocę po jakichś dwóch kilometrach. Tommy spogląda na mnie, uśmiecha się łagodnie.

- Tym się w ogóle nie martw, nic nie słyszałem.



Zaczynam płakać. Tommy kładzie dłoń na moim kolanie i zostawia ją przez jakiś czas. Nie zwalniając, pędzimy do szpitala.

W kaplicy szpitalnej panuje idealna cisza. Nie ma tu nikogo oprócz mnie. Callie zabrano na salę operacyjną. Wszyscy inni siedzą w poczekalni. Leo, James, Alan, Elaina, Bonnie. Zastępca dyrektora Jones jest w drodze.

Klęczę i się modłę.

Nigdy nie wierzyłam w Boga tak, jak wierzy większość ludzi. W kogoś, kto jest gdzieś w górze, wszechmocny, władający wszechświatem.

Wierzę, że jest jakaś siła, która nie interesuje się zbytnio nami, ale od czasu do czasu lubi się nami zająć. Przyjrzyć się, co porabiają te mrówki.

Klęczę na kamiennej posadzce ze złożonymi rękami, bo być może trafiłam na jedną z takich chwil.

Mam na sobie krew i kawałeczki mózgu. Jestem unurzana w przemocy, lecz ze schyloną głową modłę się bez przerwy pełnym rozpaczny szeptem:

- W porządku, odebrałeś mi Matta i córkę, odebrałeś najlepszą przyjaciółkę. Zostałam pokrojona i okropnie oszpecona, miewam koszmarnie sny, z których budzę się z krzykiem. Przez sześć miesięcy żyłam w ciągłym bólu i pragnęłam umrzeć. Bonnie jest niema, bo złożył jej wizytę psychopata jak z niesamowitego horroru. A Elaina - och, Elaina, która jest jedną z najszlachetniejszych osób, jakie znam, kobietą, którą naprawdę kocham - ma raka. - Przerzywam, żeby drżącą ręką otrzeć łzę z oka. - Zniosłam to wszystko, jakoś mi się udało. Zabrało mi to trochę czasu, ale sobie poradziłam. - Łza, której nie zauważyłam, spływa mi po policzku. Zaciskam dłoń aż do bólu. - Ale to... Nie. Za nic. To już zbyt wiele. Nie Callie. Więc zawrzyjmy umowę. Jesteś gotów? - Słyszę tę rozpacz i błagalną nutę w swym głosie. - Zachowaj ją przy życiu, błagam i wtedy rób wszystko ze mną, co tylko chcesz. Wszystko. Okalecz jeszcze bardziej. Niech zachoruję na raka. Spal mój dom. Niech mnie z hukiem wywalą z FBI. Niech zwariuję. Albo mnie zabij. Lecz zachowaj ją przy życiu, proszę.

Głos mi się łamie, to nie tylko głos. Pęka coś wewnątrz mnie. Ból jest tak wielki, że lecę twarzą w dół i muszę wyciągnąć przed siebie ręce, żeby nie upaść. Jestem na czworakach i widzę, jak moje łzy padają na posadzkę kaplicy.

- Chcesz, żebyśmy się czołgała? - szepczę. - Chcesz, żeby ktoś, żeby dziesięciu jakichś typów zgwałciło mnie i pokroiło znowu? Dobrze. Tylko spraw, żeby przeżyła.

Żadnej odpowiedzi, nawet jej śladu. Nie przejmuję się tym, bo niczego takiego nie oczekiwałam. Potrzebowałam po prostu wyrzucić z siebie to wszystko. Można to nazwać moją

rozmową z Bogiem, błaganiem Allaha lub tylko wyartykułowaniem swojego pragnienia. Musiałam błagać wszechświat, by Callie żyła. Musiałam pokazać, że gotowa jestem zrezygnować ze wszystkiego, żeby ocalić moją przyjaciółkę.

Na wypadek, gdyby to miało jakieś znaczenie.

Opuszczam kaplicę i wracam do poczekalni. Dałam sobie trochę czasu, aby odzyskać kontrolę nad sobą, ale wciąż czuję się strasznie, oszołomiona i zszokowana. Wiem, że muszę tu być teraz ze względu na moich przyjaciół. To moja rola. Tak powinien postępować przywódca.

- Coś już wiadomo? - pytam.

Jestem z siebie dumna. Udaje mi się to powiedzieć spokojnie.

- Jeszcze nic - odpowiada Alan posepnym tonem.

Przyglądam się wszystkim. James wygląda ponuro. Leo spaceruje tam i z powrotem. Alan sprawia wrażenie tak bezradnego jak nigdy. Tylko Elaine i Bonnie są spokojne, co budzi moje zdumienie. To przecież im dopiero, co groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Nigdy nie wiadomo, skąd się bierze nagle siła, dopóki nie nadejdzie czas próby.

Do moich nozdrzy dociera sterylny zapach szpitala, słyszę tak charakterystyczne dla tego miejsca delikatne, świszczące dźwięki i buczenia. Poza tym tak tu cicho jak w bibliotece. Ale tutaj ludzie krwawią i umierają.

Robię parę kroków i siadam obok Bonnie.

- Jak się czujesz, kochanie?

Bonnie kiwa głową, a potem kręci nią przecząco. Po chwili już rozumiem. Tak, czuję się dobrze; nie, nie musisz się o mnie martwić, to chce mi przekazać.

- Dobrze - szepczę.

Drzwi poczekalni otwierają się nagle na roścież i wchodzi Jones, zastępca dyrektora. Jest wzburzony.

- Gdzie ona jest? Co z nią? Co się z nią stało?

Podchodzę do niego. Tą moją częścią, która jest już mniej oszołomiona i otepiała, rejestruję stukot moich butów na szpitalnej terakocie.

- Jest na sali operacyjnej, proszę pana. Patrzy na mnie w milczeniu. Potem pyta:

- W jakim jest stanie?

- Pocisk ugodził w górną część klatki piersiowej. Kaliber 9 milimetrów. Nie ma rany wylotowej. Straciła mnóstwo krwi, zabrano ją od razu na salę operacyjną. To wszystko, co wiemy.

Krótko, zwięźle, rzeczowo, myślę. Spycham w głąb siebie drobne bąbelki hysterii i chęć wybuchnięcia płaczem.

Szef spogląda na mnie, twarz mu czerwienieje. W oczach ma wściekłość tak wielką, że kulę się w sobie. Zawsze uważałam go za człowieka bardzo opanowanego. To ostudza kipiące we mnie szaleństwo.

- Jak długo ją operują? - warczy.

- Dwie godziny.

Odwraca się, robi kilka kroków, zawraca z wycelowanym we mnie palcem.

- Słuchaj, Smoky. Słuchaj uważnie. Dwaj moi agenci nie żyją. Trzeci jest ciężko ranny. Nikt z was, powtarzam, nikt od tego momentu nie będzie się poruszał gdziekolwiek sam. Jeśli to oznacza, że niektórzy z was muszą kłaść się razem do łóżka, to tak ma być, dopóki ta sprawa się nie skończy. Nie chodźcie do ubikacji w pojedynkę ani nawet na stronę, żeby wytrzeć nos. Macie się nawzajem pilnować. Zrozumiałas?

- Tak, proszę pana.

- Żadnych więcej ofiar. Słyszysz, co mówię, Smoky? Żadnych!

Rozumiem jego wściekłość, przyjmuję jego wybuch bez słowa protestu.

Poddaję się tej burzy. Zachowałam się identycznie, gdy wrzeszczałam na Tommy'ego w samochodzie. Jones w ten sposób odreagowuje Josepha Sandsa. To z troski o mnie i o nas wszystkich.

Burza mija, szef się uspokaja, podnosi rękę do czoła, jakby chciał zetrzeć z twarzy zły sen. Domyślam się, że toczy krótką wewnętrzną walkę, jaką ja sama dopiero, co stoczyłam.

Jest przecież dowódcą. Czas wrócić do tej roli.

- Czekaając, dokonajmy podsumowania. - Zwraca się do mnie. – Podaj mi najnowsze dane.

Mówię mu o aresztowaniu jednego człowieka z duetu Jacka Juniora. O telefonie od Elaine. O facecie, którego zastrzeliłam na parkingu. O tym, co się wydarzyło w domu Alana.

- Gdzie jest ten facet postrzelony w rękę?

- Jest tutaj - odpowiadam. - Jego też operują. Próbują uratować mu palce.

- Pieprzyć go! - warczy zastępca dyrektora.

Kątem oka dostrzegam, jak Bonnie kiwa głową na znak, że w zupełności się z nim zgadza. Przeraza mnie to.

- A pozostali? - pyta Jones. - Wszyscy nie żyją?

- Tak.

- Kto ich zabił?

Musi to w którymś momencie być wyjaśnione i rozliczone. Każdy nabój.

- Ja zabiłam faceta na parkingu. Elaine zastrzeliła jednego z tych, którzy wdarli się do ich domu. Alan i Callie zabili drugiego, uzbrojonego w pistolet.

Zastępca dyrektora Jones patrzy na Elaine, jego oczy łagodnieją.

- Przykro mi - mówi.

Przykro mi, że pani, osoba cywilna, musiała zabić człowieka - to chce jej powiedzieć.

Elaina dobrze go rozumie.

- Dziękuję panu.

- I mamy podstawy przypuszczać, że wszyscy oni są uczniami Jacka Juniora?

- Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

- A co z tym podejrzanym, którego ujęliście w domu Ross? Czy to na pewno jeden z nich?

- Nie ma stuprocentowej pewności, dopóki nie znajdą się dowody lub sam się nie przyzna.

Ale... Tak... wszystko na to wskazuje.

Szef kiwa głową z aprobatą.

- To dobrze. Naprawdę dobrze. Jest postęp. - Milczy chwilę, rozważa wszystko ponownie, przygląda się nam kolejno. - Słuchajcie - mówi, teraz już łagodniejszym tonem. - Będziemy tu czekać razem na wiadomość o stanie Callie. Mam nadzieję, że wyjdzie z tego. Kiedy się dowiemy, niezależnie od tego, czy to będzie dobra wiadomość, czy zła, wracamy do roboty. Najpierw musi się w nas zagotować, potem możemy się smucić.

Nie pada ani jedno słowo sprzeciwu. Jasne jest, że wszyscy z determinacją podjęli już ponure postanowienie. Jones też to chyba widzi, bo kiwa głową.

- W porządku, skoro się zgadzamy.

W porządku, myślę. Bąbelki hysterii znowu zaczynają wibrować we mnie. Czuję się niepewnie i siadam z powrotem.

Rozlega się sygnał czyjejś komórki. Wszyscy sprawdzają swoje telefony, aparat podnosi do ucha Tommy. Prawie o nim zapomniałam. Jest kimś z zewnątrz, nie należy do zespołu. Czekać tu razem z nami, siedzi na osobności.

- Aguilera... - Marszczy brwi. - Kto mówi?

Widzę, jak twarz mu się zmienia, staje się przerażająco spokojna. Nie jest to znak odprężenia. Nie, on chce zabić tego po drugiej stronie. Kieruje wzrok na mnie.

- Proszę zaczekać.

Podchodzi do mnie, zasłaniając dłonią mikrofon.

- To on.

Zrywam się ze szpitalnego krzesła, inni tak samo. Bąbelki rozlewają się w białą mgłę szoku.

- Co! Jack Junior? - Wydaje mi się, że to jakiś okrutny żart. Sama słyszę w swoim głosie ton niedowierzania.

- Tak, chce z tobą mówić.

Tysiące różnych myśli przelatują mi przez głowę. To całkowite odejście od przyjętego przez niego postępowania. Coś zupełnie bez sensu.

- Są jakieś szanse, żeby go namierzyć? - pytam Tommy'ego, którego uważam za eksperta od elektronicznej inwigilacji.

- Jeśli nie jesteśmy na to przygotowani w tym momencie, to nie ma żadnych.

Przez chwilę czuję się zagubiona, nie wiem, co począć. Zastępca dyrektora Jones wzdycha.

- Pogadaj z nim, Smoky. To jedyne, co możesz zrobić.

Wyciągam rękę po telefon. Biorę głęboki oddech, żeby się uspokoić. Jestem gotowa, przykładam komórkę do ucha.

- Mówi Barrett.

- Agentka specjalna Smoky Barrett? Jak się miewasz?

Posłużył się jakimś urządzeniem elektronicznym deformującym głos. Jest tak zmieniony, że mam wrażenie, iż rozmawiam z robotem.

- Czego chcesz?

- Pomyślałem sobie, że ten jeden jedyny raz powinniśmy sobie porozmawiać. Nie bezpośrednio, to prawda, ale chociaż przez telefon. E-maile i listy są takie beznamienne, bezosobowe, nie sądzisz?

- Sądzę, że to, co zrobiłeś, nie było bezosobowe. Poza tym jesteś parszywym kłamcą.

Słyszę jego chichot. Deformator dźwięku sprawia, że ten śmiech brzmi obrzydliwie.

- Masz na myśli moich młodych gości, co? No cóż... To prawda. Ale nieważne, że to było kłamstwem. Po prostu trochę zacząłem się nudzić. Pod wieloma względami te moje gierki z tobą i twoimi ludźmi sprawiają mi tyle samo satysfakcji, co moja robota z dziwkami.

Chcę go zranić, zadać mu ból. Zrobić coś, żeby zmienił ten tryumfujący arogancki ton.

- Hej, Jack? Widziałeś może mój mały występ w telewizji?

Długie milczenie. Czuję coś w rodzaju pokrętej satysfakcji, słysząc, że jego głos stracił barwę.

- Tak, Smoky. Tak. Oglądałem twoje łgarstwa.

Wybucham szyderczym, głośnym śmiechem.

- Łgarstwa? Po co, do diabła, miałabym kłamać? Ty po prostu nie chcesz sam się do tego przyznać, palancie! Że to nie jest żaden spadek, żadna macica Anny Chapman i żadna święta misja! Jesteś kłamcą, Jack. Całe twoje życie jest nędznym kłamstwem. Boże, ty nawet nie potrafisz postępować jak Ripper! On zabijał prostytutki, Jack, nie policjantów. Ty sam nie wiesz, co cię bardziej kręci. Ripper przynajmniej wybierał ofiary określonego typu i pozostał temu wierny do końca. Co się dzieje? Nie potrafisz spojrzeć prawdzie w oczy? Nie możesz uwierzyć, że jesteś przeraźliwie żalony?

Słyszę jego głośny, wściekły oddech. Nawet on jest zdeformowany, brzmi surrealistycznie.

- Jesteś tam jeszcze, Jack?

Znowu długa chwila milczenia.

- Niezły chwyt, Smoky - odzywa się wreszcie. - Wielkie brawa i moje uznanie. Czemu miałabyś kłamać? Powód jest prosty, to wojna psychologiczna. Chcesz mnie rozbroić wewnątrz.

- Przerzywa i prawie czuję przez słuchawkę narastającą w nim wściekłość. - Nigdy nie powiedziałem, że jestem Ripperem, głupia suko. Mówiłem, że jestem jego potomkiem. Ale nastąpiła ewolucja, osiągnąłem wyższy szczebel. Ja idę dalej niż on. Dlaczego poluję na ciebie i twoją bandę idiotów tak zazarcie jak na kurwy? Bo ja jestem najlepszy. Z tego samego powodu bawię się, wykreowując moich małych pomocników. Bo to potrafię robić świetnie.

Przez krótką chwilę jestem bliska tego, by mu utrzyć nosa i powiedzieć o schwytaniu jego kumpla, ale udaje mi się opanować ten odruch.

- Wcale nie, ty jesteś żalną sierotą, Jack. Osiągnąłeś wyższy stopień? Nie rozśmieszaj mnie. Prawdziwego Rippera nigdy nie schwytano, a ja cię dorwę, możesz być tego pewny.

Kolejna pauza. Gdy się odzywa, nie słyszę już gniewu w jego głosie. Uspokoił się, odzyskał kontrolę nad emocjami.

- Skoro mowa o dziwkach, jak się czuje mała Bonnie?

Staram się ze wszystkich sił opanować. Chcę, żeby rozmawiał ze mną. Postanawiam zmienić taktykę. Mówię teraz ciszej, rzeczowym tonem.

- Jack? A może przestaniemy udawać? Ty i ja dobrze wiemy, o kogo ci naprawdę chodzi. Kogo chcesz zabić.

Milczy.

- A któż to miałby być, agentko specjalna Barrett?

- Ja. Chodzi ci o mnie.

Zastępca dyrektora Jones przesuwa dłonią po gardle.

- Nie! Jasna cholera, Smoky! Ignoruję go całkowicie.

- Mam rację?

Śmieje się w odpowiedzi..

- Smoky, Smoky, Smoky - powtarza moje imię protekcyjnym tonem. - Mnie chodzi o was wszystkich, moja miła. Nikomu nie odpuszczę. Ani tym dziwkom, ani tobie, ani nikomu, kogo kochasz. A propos, jak się czuje nasza droga Callie? Czy jeszcze żyje?

- Pieprz się, skurwielu - wybucham gwałtownie.

- Macie jeden dzień - mówi, nie zwracając uwagi na mój gniew. Lekceważy to po prostu. - Potem zginie następna dziwka. Och... ty i twoja drużyna możecie się spodziewać, że zabawa będzie trwała dalej.

Czuję, że rozmowa dobiega końca.

- Poczekaj.

- Nie, nie zaczekam. Nie mogłem się oprzeć tej przyjemności, ten jeden raz tylko, ale to jest dla nas ryzykowny sposób kontaktowania się. To znaczy dla mnie. Nie licz na to, że coś takiego może się powtórzyć. Kiedy usłyszysz mój głos następnym razem, będziesz mnie miała przed oczami, ja będę mówił, ale ty będziesz strasznie krzyczała. - Przerywa. - Jeszcze jedno, jeśli agentka Thorne umrze, zastanów się, czy nie warto by dokonać kremacji. W przeciwnym razie będzie mnie kusilo, by ją odkopać i... zabawić się z nią. Dokładnie tak, jak to zrobiłem ze słodką Rosą.

Rozłącza się. Wciąż brzmią mi w uszach jego ostatnie słowa i żołądek podchodzi mi do gardła.

- Co się z tobą dzieje, do cholery? - pyta James.

Gniew, który słyszę w jego głosie, wprawia mnie w osłupienie. Patrzę na niego zaszokowana. James cały się trzęsie. Przez jego ciało przebiegają falami dreszcze.

- O czym ty mówisz? - pytam, nie mogąc uwierzyć własnym uszom i oczom.

- Musiałaś drwić sobie z niego, psiakrew?! Nie mogłaś się powstrzymać? - Jego głos przepelniony jest jadem. - On nas prześladuje, a ty musisz wkurzać go jeszcze bardziej, jeszcze go podbechtujesz. Zawsze to samo. Wmawiasz nam, że jesteśmy niewzycięzeni i to samo mówisz tym draniom, a to są wszystko pieprzone bzdury.

Mówi coraz szybciej. Słowa płyną z jego ust niepowstrzymanym potokiem. Mogę tylko stać i gapić się na niego.

- O czym ja mówię? Już nie pamiętasz? Zapomniałaś, jak się pokazywałaś w telewizji, gdy próbowaliśmy złapać Josepha Sandsa. Jak opowiadałaś, jaki z niego żaloszny zwiędły kutas, jak prowokowałaś go, licząc na to, że połknie przynętę? - Przerywa, oczy mu błyszczą. - No i tak - warczy - połknął, prawda? Kupił to, wykończył twoją rodzinę i o mało nie zabił ciebie; a teraz ten psychol napalił się jak diabli, żeby zrobić to samo z nami wszystkimi. A ty zwyczajnie pytaj, o co mi chodzi. Niczego się nie chcesz nauczyć! Keenan i Shantz nie żyją, jeszcze ci mało? Czy Callie też musi umrzeć, żeby cokolwiek do ciebie dotarło? - Pochyla się ku mnie. - Na przykład, że gdy ty odstawiasz twardzielkę, giną inni ludzie? - Znowu przerywa. Doznaję uczucia, jakbym była gumą naciąganą z całej siły, dopóki nie pęknie. Jakby cisza drżała przed nagłym grzmotem. James mówi w tej ciszy. - Czy to, że twój mąż i Alexa ponieśli śmierć, nie było dla ciebie wystarczającą lekcją?

Otwieram usta, słysząc to i nagle budzi się we mnie chęć, by go uderzyć. Nie tak zwyczajnie, lekko, ale grzmotnąć go z całej siły w twarz. Tak żeby wybić mu zęby i rozkrwawić nos. Pragnę tego tak mocno, że prawie czuję smak jego krwi, jak czułam w moich ustach. Nie robię tego jednak z dwóch powodów. Pierwszym jest ten, że już dostrzegam w jego oczach błysk wstydu. Drugi powód to Bonnie. Stoi przy Jamesie i z całej siły ciągnie go za rękę.

- Co-co to znaczy? - pyta James.



Wydaje się równie oszołomiony jak ja. Bonnie zmusza go, by uklęknął obok niej. Patrząc, jak on opada na kolana, a sama trzęsę się i drzę na całym ciele.

Bonnie uderza go za mnie, płaską dłonią w policzek. I chociaż ma tylko dziesięć lat i do tego jest bardzo drobna jak na swój wiek, odgłos uderzenia rozlega się w szpitalnej poczekalni jak trzask bicia.

Oczy Jamesa otwierają się szeroko, usta rozchylają w zdumieniu, chwieje się i łąduje w pozycji siedzącej na podłodze.

Szczęka mi opada. Bonnie obrzuca mnie krótkim spojrzeniem, w sposób zdecydowany kiwa głową, po czym spokojnie siada znów obok Elaine.

Wszyscy milczą. Wyczuwam w nich konsternację. James powoli podnosi się z podłogi, pociera policzek dłonią. W oczach ma wciąż jeszcze zawstydzenie i zdumienie.

Chcę coś powiedzieć, ale wydarza się znowu coś innego. Do poczekalni wpada córka Callie, a zaraz po niej pojawia się spocony i wyraźnie zmęczony chirurg. Przez moment nie wiem, na kim skupić uwagę, ale Marilyn rozwiązuje ten problem, rusza w stronę lekarza.

- Wszystko po kolei - mówi lekarz ciężkim, znużonym głosem. - Agentka Thorne żyje.

- Bogu dzięki - krzyczy Elaine.

Zalewa mnie cudowne uczucie ulgi. Mam chęć paść w podzięce na kolana, ale nie robię tego. Chirurg podnosi rękę, prosząc o ciszę.

- Kula przeszła tuż obok serca. Pozostała w całości, ale zatoczyła jakby łuk, zatrzymała się w górnej części lewego ramienia pacjentki. Obawiam się, że przedtem otarła się o kręgosłup

Mam wrażenie, że na dźwięk słowa „kręgosłup” temperatura w poczekalni spada o dziesięć stopni.

- Sam rdzeń kręgowy nie został przerwany, ale jest stłuczony i wystąpiły tam obrzęki. Mieliśmy również do czynienia ze sporym krwawieniem wewnętrznym.

- Jaka jest konkluzja, doktorze? - pyta zastępca dyrektora Jones.

- Konkluzja jest taka, że pacjentka straciła bardzo dużo krwi, doznała rozlicznych urazów. Jej stan jest nadal krytyczny. Wydaje się stabilny, ale jeszcze za wcześnie na optymizm. Czekają nas, być może, ciężkie chwile. - Chirurg milknie, sprawia wrażenie, jakby szukał lepszego sposobu na wyrażenie tego, co zamierza powiedzieć. - Ona może umrzeć. To mało prawdopodobne, ale musimy być na to przygotowani.

Marilyn zadaje inne pytanie. Pytanie, które przeraża wszystkich.

- A te obrzęki rdzenia kręgowego?

- Moim zdaniem najbardziej realna jest najlepsza wersja, że odzyska w pełni zdrowie. Obrzęki powinny ustąpić, nie powinno dojść do żadnych trwałych skutków postrzału, trwałego

paraliżu czy innych uszkodzeń. Ale... - doktor wzdycha - nie możemy być tego pewni w stu procentach. Najgorsze, permanentny paraliż, zawsze może wystąpić.

Marilyn zakrywa usta dłonią. Jej oczy to same białka.

- Dziękuję, doktorze - mówię, przerywając ciszę, która zaległa w sali.

Chirurg ze zmęczeniem kiwa głową i wychodzi.

- Och nie, o Jezu... - jęczy Marilyn. - Nie teraz, dopiero, co ją poznałam, ja...

Łzy zaczynają spływać jej po twarzy. Podchodzę do niej, obejmuję ją mocno, a ona zaczyna szlochać na dobre. Moje oczy są suche. Jestem zbyt pochłonięta tym, żeby zginać się, zginać, ale się nie złamać.

Jesteśmy z powrotem w biurze, przygnębieni, wyczerpani psychicznie, w uszczuplonym składzie. Elaina i Bonnie są w moim domu, ponieważ dom Alana jako miejsce przestępstwa został oddany w ręce ekip dochodzeniowych. Marilyn przesiaduje w szpitalu i czeka na wiadomości o stanie Callie. Była trochę zaskoczona i chyba dotknięta tym, że odchodzimy.

- Złapcie go - tylko tyle powiedziała na pożegnanie.

James stoi przy oknie i wygląda na ulicę. Unika mojego wzroku. Mam ochotę wpełznąć do mysiej dziurki, zwinąć się w kłębek i przespać cały rok, ale to niemożliwe.

- Wiesz, jak to jest ze stresem, James - mówię w zadumie. Milczy nadal. Czekam cierpliwie.

- Jak? - pyta w końcu, nie odrywając wzroku od widoku za oknem.

- Stres powoduje drobne, cienkie rysy. Początkowo są małe, potem rozszerzają się, stają się wielkie, w końcu wszystko pęka na kawałki. Tego właśnie chcesz, James? Żebym pękła, rozprysła się na kawałeczki i została unicestwiona?

Odwraca szybko głowę.

- Co? Nie... ja... - Wygląda, jakby się miał udusić. - Mnie tylko chodzi o Callie... - Zaciska pięści, rozwiera je, bierze głęboki wdech. Uspokaja się. Teraz patrzy mi prosto w oczy. - Nie boję się o siebie, Smoky. Boję się o Callie, rozumiesz to?

- Oczywiście, że rozumiem - odpowiadam łagodnie. - Ja też się bałam o moją rodzinę. Każdego dnia. Miałam koszmarne sny, w których działy się z nimi straszne rzeczy, jakie w końcu się wydarzyły. - Wzruszam ramionami. - Ale Matt wiedział, jak to jest ze mną naprawdę. Powiedział mi kiedyś, że robię to, co kocham robić. I wiesz, miał rację. Nienawidzę ścigania tych drani, ale uwielbiam ich dopadać.

James mi się przygląda. Wiem, że rozumie.

- I bardzo często zastanawiałam się, czy tak jest, zanim ty to powiedziałeś. Dręczyło mnie stale pytanie, czy dlatego Sands zniszczył moją rodzinę, że go sprowokowałam? Przez długi czas sądziłam, że odpowiedź brzmi „tak”. Później zdałam sobie jednak sprawę, że to nonsens. Polował na nas, bo ja go ścigałam. Bo robię to, co robię. A on był mordercą niezależnie od tego, czy plotłabym te bzdury o nim, czy nie. Rozumiesz? Nie odpowiada.

- Rzecz w tym, James, że nie ma znaczenia, co ja powiem lub, czego nie powiem Jackowi Juniorowi. On będzie na nas polował. I kropka. Jesteśmy na jego liście. Wiesz, jakiego typu ofiar szuka? - Zataczam ręką krąg po pokoju. - Przyjrzyj się nam, wszyscy do niego należymy.

James patrzy i odchrząkuje. Inni milczą i przyglądają się nam w napięciu. Jest tak, jakbyśmy wszyscy znajdowali się na gorącej blasze, czekając, aż pękniemy z trzaskiem, zaskwierczymy i zapłonimy. Znakomita maszyna, jaką jest mój zespół, zgrzyta w trybach, może eksplodować. Prawdziwym powodem tej gorączki jest Jack Junior. Boję się, że zaczniemy spowodowany przez niego gniew kierować przeciwko sobie. Zawsze myślałam o sobie, że jestem osią, wokół której kręca się szprychy koła. Jeśli ja jestem osią, Callie jest napędem. Tym, co sprawia, że koło się porusza, toczy naprzód bez względu na to, jak trudny jest teren, po którym przyszło mu jechać.

Jej kpiny i żarty, jej przekorne, nigdy niesłabnące poczucie humoru chronią nas przed szaleństwem. Jej nieobecność stwarza pustkę wokół nas i jesteśmy bliscy tego, by tę pustkę zapełnić, skacząc sobie wzajemnie do gardła.

- Wiecie, jakie były pierwsze słowa wypowiedziane przez Callie do mnie? - mówię bez żadnych wstępów. - Powiedziała: „Dzięki Bogu! Nie jesteś mimo wszystko karlicą!” - Śmieję się na to wspomnienie. - Powiedziała mi, że od kogoś usłyszała, że mam metr czterdzieści wzrostu i że w ogóle nie mogła sobie wyobrazić kogoś takiego. Wydawało jej się, że będę przypominać krasnalą.

Alan śmieje się cichym, smutnym śmiechem.

- A wiecie, co powiedziała, gdy mnie zobaczyła po raz pierwszy? Powiedziała: „O Boże! Ależ ogromny czarnuch!”

- Tak nie powiedziała! - krzyczę.

- A właśnie, że tak, możesz mi wierzyć.

Milkniemy wszyscy, bo dzwoni komórka Alana i obserwujemy, jak z kimś rozmawia.

- Tak. Naprawdę? Nie żartujesz? Dzięki, Gene.

Rozłącza się, kieruje wzrok na mnie.

- Odciski palców gościa, którego mamy w areszcie, odpowiadają odciskom zdjętym pod łóżkiem w mieszkaniu Annie. Mamy też próbkę DNA do porównania.

- Jak ją zdobyliśmy? - przerywam.

- Rozciął sobie wargę w trakcie szamotaniny z wami. Barry dał mu chusteczkę, żeby wytarł sobie twarz.

Uśmiecham się ponuro.

- Sprytnie.

Alan pochyła się do przodu i patrzy na mnie.

- To jeden z nich, Smoky. Na pewno, na sto procent. Może nie damy rady tego udowodnić, ale już wkrótce będziemy go mieli. Co chcesz teraz zrobić?

Wszystkie oczy kierują się na mnie, czytam w nich to samo pytanie: Co chcesz teraz zrobić? Odpowiedź jest prosta. Zabijemy go i pożremy, podszeptuje smok. W pewnym sensie, myślę.

- Jedno z nas przeprowadzi najważniejsze w całym swoim życiu przesłuchanie i wyrwie z niego wszystko, Alan.

Stoję z Alanem i z Barrym w pokoju obserwacyjnym. Przyglądamy się przez wenecką szybę siedzącemu przy stole Robertowi Streetowi. Ręce i nogi ma skute kajdankami. Wygląda bardzo zwyczajnie, co w pewnym stopniu mnie zdumiewa. Ma ciemne włosy i twarz o kanciastych rysach. Tylko jego oczy płoną gniewem, gdyby nie to, sprawiałby wrażenie człowieka idealnie rozluźnionego. Podnosi głowę i patrzy w naszą stronę.

- Niezły twardziel - mówi Alan. - Czy go zidentyfikowano?

- Niewiele mamy - odpowiada Barry. - Nazywa się Robert Street. Trzydzieści osiem lat, nigdy nie był żonaty, teraz też jest samotny, nie ma dzieci. Pracuje w Yalley jako instruktor sztuk walki. - Ruchem głowy wskazuje na moje opuchnięte wargi. - Ale o tym już się przekonałaś.

- Macie jego adres? - pytam.

- Tak. Ma mieszkanie w Burbank. Zdjęliśmy odciski palców pasujące do znalezionych w mieszkaniu twojej przyjaciółki, dzięki temu zdobędziemy nakaz rewizji. Mam kogoś, kto to zrobi.

- Kto będzie go przesłuchiwał? - pyta Alan. - Powiedziałaś, że jedno z nas, więc kto to będzie? Ja czy ty?

- Ty, oczywiście. Nie ma, co do tego żadnych wątpliwości.

Alan jest w tym najlepszy, a mężczyzna siedzący w tamtym pokoju jest kimś, kto może dostarczyć nam klucz do znalezienia prawdziwego Jacka Juniora. Umożliwić zakończenie całej sprawy.

Alan patrzy na mnie i kiwa głową, a potem odwraca się i zaczyna przyglądać się przez szybę Robertowi Streetowi. Wpatruje się w niego dłuższy czas. Barry i ja czekamy cierpliwie, wiemy, że dla Alana teraz nie istniejemy, że całą uwagę koncentruje na wydzielonej strefie za szklaną przegrodą i obserwuje Streeta, jak łowca osaczoną zwierzynę.

Przygotowuje się do rozłupania go, jakby Street był twardym orzechem.

Musimy go złamać z kilku powodów. Prawdę mówiąc, jeszcze go nie przyparliśmy do muru. Dobry adwokat upierałby się, że te odciski Street zostawił pod łóżkiem, dokonując kontroli pomieszczenia w ramach dezynsekcji, która, chociaż sama w sobie była nielegalna, nie spowodowała przecież niczyjej śmierci. Mamy jego DNA, ale szczegółowe badania nie zostały jeszcze przeprowadzone. Co będzie, jeśli pod paznokciem Charlotte Ross znajduje się naskórek Jacka, a nie Streeta?

Ale co najważniejsze, chcemy, żeby nas doprowadził do Jacka Juniora.

Alan spogląda na Barry'ego.

- Możesz mnie tam wpuścić?

Wychodzą i po chwili widzę, jak Alan wkracza do pokoju przesłuchań. Robert Street podnosi głowę i przekrzywia ją, badawczo wpatrując się w Alana. Uśmiecha się.

- No, no - sztydzi. - Domyślam się, że ty jesteś tym niedobrym gliniarzem.

Alan podchodzi powoli, uosobienie spokoju, człowiek, który ma mnóstwo czasu do dyspozycji. Przesuwa krzesło tak, żeby usiąść dokładnie na wprost Streeta. Poprawia krawat i się uśmiecha. Przyglądając się temu, wiem, że każdy jego gest jest dokładnie wykalkulowany. Nie tylko same ruchy, ale i ich tempo. To, jak blisko podejrzanego się znajdzie. Ton głosu, gdy zacznie mówić. Wszystko składa się na tę swoistą grę, która ma doprowadzić do jednego celu.

- Panie Street, nazywam się Alan Washington.

- Wiem, kim pan jest. Jak się miewa pańska żona?

Alan uśmiecha się, kręci głowę i wymierza palec w jego stronę.

- Spryciarz - mówi. - Próbujesz mnie z miejsca wyprowadzić z równowagi.

Street ziewa, udając szalenie znudzonego.

- Gdzie jest ta cipa Barrett? - pyta od niechcenia.

- Będzie w pobliżu - odpowiada Alan uprzejmie. - Zdrowo jej przyłożyłeś w tym mieszkaniu.

Na twarzy Streeta pojawia się obrzydliwy uśmiešek.

- Miło to słyszeć.

Alan wzrusza ramionami.

- Hej, zostanie to między nami? Ja też czasem muszę ją trzepnąć.

Oczy Streeta zwiężają się raptownie.

- Czyżby? - mówi z niedowierzaniem.

- Co zrobić, nie mogę się powstrzymać. Pochodzę ze starej szkoły. Tak mnie wychowano: baba ma znać swoje miejsce. - Szczerzy zęby w uśmiechu. - I ma być zawsze pode mną, a nie nade mną, jeśli wiesz, co mam na myśli. - Chichocze. - Cholera! Muszę też żonkę sprać od czasu do czasu. Po prostu, żeby jej przypomnieć, co powinna odczuwać wobec mnie.

Alan skupia teraz na sobie całą uwagę przesłuchiwanego. Potwór patrzy na niego zafascynowany. Pragnienie walczy w nim z powątpiewaniem. Pragnie, żeby to, co mówi Alan, było szczerą prawdą i ta potrzeba jest silniejsza niż nieufność.

Lata gumowych pałek i „dobrych i złych gliniarzy” dawno minęły. Dziś istnieje specjalna, oparta na systematycznie gromadzonej wiedzy, technika przesłuchań sprawdzona i bardzo skuteczna.

Jest to swojego rodzaju taniec oparty na znajomości psychologii, wymagający opanowania pewnej sztuki i niezwykle wnikliwej obserwacji. Pierwszy krok jest zawsze taki sam: należy

nawiązać kontakt osobisty z przesłuchiwanym. Gdyby Street lubił łowić okonie, Alan stałby się natychmiast entuzjastą sportowego wędkarstwa. Gdyby miał bzika na punkcie broni, Alan rozruszałby go, demonstrując swoją wiedzę na jej temat. Ale Street lubi dręczyć kobiety, zadawać im ból, więc Alan też od tego nie stroni. I to się sprawdza. Widziałam, jak to skutecznie działa nawet na zatwardziały recydywistów. Ba, nawet na przesłuchiwanym policjantów, którzy przecież znają tę technikę. Taka jest przemożna, nieodparta siła ludzkiej natury.

- A co mogłoby sobie pomyśleć o tym FBI? - pyta Street. Alan pochyla się do przodu z groźną miną.

- Ona wie, że ma trzymać buzię na kłódkę. Street kiwa głową. Jest wyraźnie pod wrażeniem.

- Tak czy siak - mówi Alan - trzepnąłeś Smoky całkiem niezłe. Paru innych koleśków także.

Podobno pokazałeś jakąś niesamowitą sztukę walki.

Uczysz się tego, prawda?

- Zgadza się.

- Jaki styl?

- Wing Chun. To odmiana kung fu.

- Serio? Bruce Lee, nie? - Alan się uśmiecha. - Ja mam czarny pas karate.

Street mierzy Alana od stóp do głów, ocenia jego warunki.

- Jesteś dobry? Traktujesz to poważnie? Czy tylko tak na pokaz?

- Mam sparingi dwa razy w tygodniu, od dziesięciu lat codziennie ćwiczę chwyt.

Patrzę na Barry'ego.

- Alan nie odróżniłby ciosu karate od boksinerskiego haka.

Street kiwa głową. On o tym nie wie. Alan wzbudził w nim szczerzy respekt i okazał się bratnią duszą.

- To dobrze, trzeba utrzymywać formę. Taki wielki facet jak ty może być cholernie groźny.

Alan rozkłada ręce w geście Jasne, staram się”.

- Bywam niezły - mówi. - A ty? Kiedy wzięłeś się do kung fu?

Street milczy przez chwilę, widząc, że się zastanawia. Nieświadomie robi coś, czego oczekuje Alan.

- Nie pamiętam już dokładnie... Miałem pięć albo sześć lat. Mieszkaliśmy wówczas w San Francisco.

Alan gwizdże cicho.

- Spory kawał czasu. Ile lat potrzeba, tak przeciętnie biorąc, żeby facet, który zaczyna od zera, opanował dobrze sztukę walki kung fu?

Street się namyśla.



- Trudno powiedzieć. To zależy, jaki jest ten gość. Ale generalnie rzecz biorąc, cztery do pięciu lat.

Alan zadaje mu niewinne pytania, by zdobyć „podstawowe wzorce”. Stosuje technikę nazywaną przesłuchiowaniem neurolingwistycznym, w trakcie, którego zadaje się podejrzanemu dwa rodzaje pytań. Pierwszy zmusza go do przypomnienia sobie czegoś z przeszłości, drugi ma charakter czysto poznawczy. Alan poznaje język ciała Streeta, ruchy wykonywane przy odpowiedziach na pytania obu typów. Różnica uwidoczni się przede wszystkim w oczach, Street reaguje w klasyczny sposób. Kiedy Alan zadaje mu pytanie, odwołujące się do jego pamięci - ile lat miał, gdy zaczynał uprawiać kung fu - Street patrzy w prawo, jakby tam szukał odpowiedzi. Kiedy zaś zadaje pytanie, na które odpowiedź wymaga oceny na bieżąco - ile lat trwa zdobycie sprawności w sztuce walki? - oczy Streeta wędrują w dół i na lewo. Alan zdobywa wiedzę, że jeśli zada pytanie odwołujące się do pamięci, a jego oczy wykonają ten sam manewr, będzie wiadomo, iż najprawdopodobniej kłamie, bo raczej tworzy, niż coś sobie przypomina.

- Cztery do pięciu lat. Nie tak źle. - Alan ukradkiem przesuwając dłoń za oparcie krzesła. To sygnał dla mnie, czas na przerwę. W odpowiedzi stukam w szybę. Alan się krzywi.

- Przepraszam, zaraz wracam.

Street się nie odzywa. Alan wychodzi z pokoju. Po chwili dołącza do nas.

- On może udawać spokój - mówi - ale niewiele wie o języku ciała i technice przesłuchań. Załatwię go bez pudła.

- Nie bądź zbyt pewny siebie. Chcemy, żeby doprowadził nas do Jacka Juniora. Nie wiesz, jak bardzo lojalny wobec niego może się okazać.

- To nie ma znaczenia - Alan kręci głową. Odwraca się do Barry'ego. - Masz tę teczkę?

- Jest tutaj.

Barry wręcza mu typową teczkę na dokumenty, pełną papierów. Są tam tylko puste kartki i trochę wydruków niemających nic wspólnego z Robertem Streetem. Na teźce jest jednak wypisane dużymi, drukowanymi literami jego nazwisko.

To nasz rekwizyt. Alan za chwilę zmieni ton i tempo przesłuchania. Teraz zamieni się ono w konfrontację. W Stanach Zjednoczonych teźki z dokumentami utożsamiane są z ważnymi informacjami. To, że ta jest tak pełna, ma zasugerować podejrzanemu, że zgromadziliśmy przeciwko niemu wiele dowodów.

Za chwilę Alan wejdzie do pokoju przesłuchań i wypowie coś, co nazywamy „oświadczeniem konfrontacyjnym”. Jest to kluczowy moment w przesłuchaniu tego typu i czasem przybiera dramatyczną formę.

Alan obserwuje Streeta przez jakiś czas, potem idzie do pokoju przesłuchań. Udaje, że przegląda jeszcze dokumenty zebrane w teźce, czyta jakieś fragmenty. Zamyka teczkę i trzyma

tak, aby Street mógł zobaczyć swoje nazwisko wypisane na wierzchu. Tym razem nie siada. Przyjmuje charakterystyczną postawę: rozstawia szeroko nogi i ramiona. Wszystko w jego postaci świadczy o tym, że to on tu dominuje, ma pełnię władzy i jest absolutnie pewny siebie. Efekt zimnej kalkulacji.

- Sprawa wygląda tak, panie Street. Wiemy, że jesteś zamieszany w morderstwa Annie King i Charlotty Ross. W żadnym razie się tego nie wyprzesz. To twoje odciski palców znaleziono w mieszkaniu Annie King, porównujemy teraz krew z mieszkania Charlotty Ross z twoją na zgodność

DNA i założę się, że próbki będą pasowały jak ulał. Znamy również twój sposób przeprowadzania rekonesansu przed dokonaniem zabójstw. Mamy pokwitowania, które zostawiałeś, udając pracownika firmy dezynsekcyjnej. Nasi grafolodzy są znakomitymi ekspertami i potwierdzą z pewnością, że były pisane twoją ręką. Mamy cię, człowieku. Chcę teraz usłyszeć, czy powiesz mi coś więcej o tym?

Street spogląda na Alana, który stoi nad nim, emanując siłą, wypisz wymaluj samiec alfa. Jego oczy rozszerzają się, widać, jak szybko oddycha, potem mruży oczy, śmieje się i wrusza ramionami.

- Może bym i powiedział, gdybym miał pojęcie, o czym ty w ogóle mówisz.

Uśmiecha się szerzej jak Kot z Cheshire. Myśli, że wciąż ma w ręku kartę atutową. Że nie wiemy, iż jest ich dwóch.

Alan zachowuje spokój. Wpatruje się w niego i nagle gwałtownym ruchem wykonuje półobrót, podnosi stół i odsuwa go pod przeciwległą ścianę. Następnie stawia swoje krzesło na wprost Streeta. Siada tuż przy nim.

Wygląda naprawdę groźnie.

- Co robisz? - pyta Street.

Słyszę w jego głosie nową nutę nerwowości. Na czole zbierają mu się krople potu. Alan udaje zaskoczonego.

- Chcę się po prostu upewnić, że za chwilę dowiem się o wszystkim, panie Street.

Raz jeszcze przegląda swoją bezwartościową teczkę i marszczy brwi. Spektakl trwa. Odkłada teczkę na podłogę obok swojego krzesła, które przysuwa jeszcze bliżej do przesłuchiwanego, naruszając jego osobistą przestrzeń. Widzę, jak wsuwa jedno kolano między nogi Streeta, budząc w nim odruchowy lęk o własną męskość. Morderca przełyka ślinę. Krople potu zaczynają ściekać po skroniach. Nie zdaje sobie jednak sprawy z tych objawów zdenerwowania. Wie tylko, że Alan siedzi zbyt blisko niego i że to strasznie niewygodne.

- Widzisz, to jeszcze nie jest koniec.

Street głośno przełyka ślinę.

- Co?

Alan kiwa głową.

- To nie koniec.

Pochyla się bardziej i wpycha kolano odrobinę głębiej.

- Wiemy, że nie działałeś sam.

Street wytrzeszcza oczy, gwałtownie łapie powietrze, beka. Nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Coo?

- Masz współnika. Dowiedzieliśmy się tego z wideo nakręconego przy zabijaniu Annie King. Jesteście różnego wzrostu. I wiemy, że to on jest prawdziwym Jackiem Juniorem.

Street wygląda jak ryba na haku, na przemian otwiera i zamyka usta. Nie spuszcza wzroku z Alana. Znowu beka. Opuszcza ręce, żeby osłonić krocze. Wszystko to robi odruchowo. Alan pochyla się bardziej.

- Wiesz, kim on jest, Robercie?

- Nie! - Oczy w dół i w lewo. Kłamie.

- No cóż, Robercie... Ja myślę, że wiesz, kto to jest i gdzie go znajdziemy. Mam rację, Robercie?

Alan celowo powtarza jego imię, by zaakcentować podtekst oskarżenia i stworzyć wrażenie, że Street nie może się już nigdzie ukryć. Tak jakby wołać za kimś „hej, ty!” wciąż od nowa.

Street gapi się na Alana. Ocieka potem.

- Nie.

- Tego to już nie mogę zrozumieć, czemu właściwie miałbyś go osłaniać? - Alan zbliża się jeszcze bardziej. Pociera podbródek w zadumie. - A może... - Strzela palcami. - Wiesz, kiedy dwaj faceci biorą się razem do seryjnych morderstw, bywa, że pieprzą się ze sobą. W zasadzie ten, który dominuje, pieprzy tego drugiego. Czy właśnie tak jest z wami? Dlatego go osłaniasz? Bo lubisz dawać mu dupy?

Oczy Streeta rozbłyskują nagłym gniewem. Trzęsie się z wściekłości.

- Nie jestem żadną cholerną ciotą!

Alan przysuwa twarz do przesłuchiwanego, tak, że prawie dotyka nosem jego nosa. Street drży. Raz jeszcze mu się odbija.

- Więc to nieprawda, co nam powiedziała ta mała dziewczynka, Bonnie? Pamiętasz ją, Robercie? Otóż powiedziała, że jeden z was połykał tak łapczywie fiuta tego drugiego, jakby to były zawody w pożeraniu kiełbasek.

Street jest bliski ataku apopleksji.

- Kłamie, kłamie jak bura suka, ta mała dziwka!

- Mamy cię - mówi Barry.

Alan nie popuszcza.

- Czy aby na pewno? Powiedziała, że jeden z was ssał przysłowiową piłeczkę golfową przez ogrodowego węża. Podała wiele dodatkowych szczegółów. Takich, których dziewczynka w jej wieku nie może skądinąd znać.

- Ona łże! Na pewno wie dużo o obciąganiu kutasa, bo jej matka była dziwką. Nawet nie dotknęliśmy jeden dru...

Przerywa, zdawszy sobie sprawę, co się stało.

- No więc byłeś tam - mówi Alan.

Twarz Streeta robi się purpurowa. Po policzkach ściekają łzy, ale chyba nie zauważa tego.

- Pieprzę to! Tak! Byłem tam! Pomogłem mu zabić tę cipę! I co z tego? Nigdy go nie złapiecie! Wymknijcie się wam zawsze! Bo jest dla was za mądry!

- Mamy przyznanie do winy - mówię.

Barry potakuje.

- Przed chwilą wykupił sobie bilet w jedną stronę do stacji Komora Gazowa.

Alan lekko się cofa, ale jego kolano pozostaje tam, gdzie było, stwarzając nadal zagrożenie. Street wyłożył się na naszych oczach.

- Słuchaj, Robercie, nasi chłopcy są teraz w drodze do twojego mieszkania. Robercie, załóż się, że znajdą tam coś, co pomoże nam dotrzeć do twojego kumpla, powiedz, nie mylę się?

Oczy Streeta wędrują w prawo. Przypominanie. Potem wybucha.

- Nie! Tam nic nie ma! Pieprz się! I przestań powtarzać w kółko moje cholerne imię!

- Widziałas to? - szepcze Barry podniecony.

Widziałam i w momencie, gdy to zobaczyłam, przeszedł mnie dreszcz. Kiedy Street powiedział „nie”, jego oczy pobiegły w dół. W dół i na lewo. Kłamał. W jego mieszkaniu jest coś, co nie powinno wpaść w nasze ręce.

Jesteśmy w mieszkaniu Streeta. Barry i ja przyglądaliśmy się, jak Alan kontynuuje przesłuchanie mordercy, jak łamie go do końca kawałek po kawałku. Street nie zdradził mu, kim jest Jack Junior, bo po prostu tego nie wiedział, ale wyśpiewał całą resztę. Jak Jack nawiązał z nim znajomość, jak wybierali swoje ofiary i inne fakty. Wreszcie podpisał przyznanie się do winy. Zupełnie załamany, zmienił się w mokrą od potu, pochlipującą kupkę nieszczęścia, zanim jeszcze Alan opuścił pokój przesłuchań. Zniszczył go zupełnie.

Smok w pełni to aprobował.

Rozmyślenia przerwał mi sygnał mojego telefonu.

- Tu Gene. Smoky, sądziłem, że będziesz chciała się dowiedzieć, że DNA Streeta jest identyczne z tym znalezionym na paznokciu Charlotty Ross.

- Dzięki, Gene, za dobrą wiadomość. - Nie słyszę go. - Gene, jesteś tam?

- Czy Callie wyjdzie cało z tego wszystkiego?

- Sądzę, że tak. Musimy czekać i mieć nadzieję.

Gene wzdycha.

- No to cię nie zatrzymuję. Na razie.

- Całkiem tu schludnie - zauważa Alan.

Rozglądam się dookoła. Alan ma rację. Mieszkanie Streeta jest nie tylko schludne, jest wręcz nieskazitelnie czyste, jak u osoby z zaburzeniami obsesyjno-kompulsywnymi. Jest przy tym pozbawione zupełnie jakiegokolwiek indywidualnego wyrazu. Na ścianach nie ma żadnych fotografii, zdjęć rodziny czy przyjaciół. Żadnych obrazów ani grafik. Kanapa jest funkcjonalna, podobnie mały stolik do kawy. W kącie stoi nieduży telewizor.

- Spartanin - szepczę.

Wchodzimy do sypialni. Tak samo idealnie czysta. Pościel naprężona i po wojskowemu zaścielona w kant. Na małym biurku przy ścianie stoi komputer.

I naraz to spostrzegam. Jedyne przedmiot niepasujący do otoczenia. Mały medalion ustawiony starannie obok podręcznika college'u. Schylam się, by go lepiej obejrzeć. To złoty kobiecy medalion na łańcuszku. Otwieram go. W środku jest miniaturowa fotografia uderzająco pięknej starszej kobiety. Czyjaś matka, myślę.

- Ładna - mówi Alan za moimi plecami.

Kiwam głową. Odkładam medalion, otwieram książkę. To podręcznik do nauki angielskiego. Na pierwszej stronie widnieje napis: Ta książka należy do Renee Parker. Może nie

wydawać się czymś zbyt cennym, ale tak naprawdę jest magiczna - ha, ha! - To mój latający dywan, więc nie dotykajcie jej, głupki.

Notatka jest podpisana i opatrzona datą.

- To jest... co? Dwadzieścia pięć lat temu?

Kiwam głową. Serce zaczyna mi bić szybciej. To jest to. To nasz klucz. Pozwoli nam odsłonić jego twarz.

Dotykam książki, przesuвам palcami po napisie. Być może naprawdę okaże się magiczna.

Stoję i słucham tego, co mówi Alan. Jest podekscytowany. Mam takie uczucie, jakby wszystko poruszało się coraz szybciej i szybciej, a rozgrzane do białości cząsteczki zaczynały wrzeć powoli, ale nieubłaganie.

- Dostaliśmy informację z VICAP o sprawie Renee Parker. Coś niewiarygodnego. Strzał w dziesiątkę.

VICAP to Program Badania Najcięższych Przestępstw stworzony przez pewnego oficera wydziału dochodzeniowo-śledczego policji Los Angeles w roku 1957. Zaczął spełniać swoją funkcję i stał się rzeczywiście znakomitym narzędziem, pomocnym w pracy organów porządku publicznego, dopiero w roku 1985, kiedy wprowadzono go do Narodowego Centrum Analiz Najcięższych Przestępstw przy Akademii FBI. Pomysł przeszedł wszelkie oczekiwania. Mamy teraz ogólnokrajowe centrum danych, którego zadaniem jest gromadzenie, segregowanie i analizowanie materiałów dotyczących najpoważniejszych przestępstw, przy czym szczególną uwagę poświęca się tu zabójstwom. Wszelkie informacje dotyczące dochodzeń zamkniętych, zarówno tych, w których doszło do znalezienia sprawców, jak i tych, w których ich nie schwytano, mogą być dostarczone każdemu funkcjonariuszowi organów porządku publicznego wszystkich szczebli. W sumie ten olbrzymi magazyn danych pozwala dotrzeć do informacji na temat ciężkich przestępstw popełnionych we wszystkich stanach.

Alan ma na myśli dokumenty, które trzyma w ręku.

- To stara sprawa sprzed dwudziestu pięciu lat. Striptizerka z San Francisco. Znaleziono ją uduszoną na jednej z uliczek. I, zwróć uwagę, niektóre jej narządy wewnętrzne były wycięte.

Zapominam natychmiast o zmęczeniu. Czuję się jak napompowana kofeina.

- To musi być on. Na pewno.

- Taak. I jest coś więcej. Wytypowano wtedy podejrzanego, ale nie było dostatecznych dowodów, żeby go przymknąć.

Zrywam się z miejsca.

- Leo, zostajesz tutaj, to będzie nasz punkt kontaktowy i koordynacyjny.

Powierzam ci funkcję łącznika i koordynatora. James, Alan, jedziemy do San Francisco.

- Nie musisz mi dwa razy powtarzać - odpowiada Alan.

Wszyscy troje ruszamy do wyjścia. Łapiemy drugi oddech. Sprawia to adrenalina, podniecenie i drobna dawka wściekłości.

Wychodzimy z budynku. Dostrzegam Tommy'ego, który siedzi w samochodzie, zastygły w bezruchu i czujny.

- Zaczekajcie chwilę - mówię do Alana i Jamesa. Podchodzę do samochodu. Tommy opuszcza szybę.

- Co się dzieje? - pyta.

Mówię mu o rewelacjach z VICAP-u.

- Sam rozumiesz, że jedziemy do San Francisco.

- A co ja mam teraz robić?

Uśmiecham się, wyciągam rękę i dotykam jego policzka.

- Prześpij się trochę.

- Niezły pomysł - odpowiada. Pan Lakoniczny, jak zawsze. Już mam odejść, gdy woła: - Smoky... - Więc się zatrzymuję. - Bądź ostrożna.

Widzę prawdziwą troskę i niepokój w jego oczach. Zasuwa szybę i odjeżdża.

Z jakiegoś powodu staje mi przed oczami Sally Field odbierająca Oscara.

- On mnie lubi, naprawdę, naprawdę mu się podobam – podśpiewuję falsetem.

Przezabawna radość życia.



To jest nowy sen. Przeszłość i przyszłość połączyły się, zlały w jedno. Śpię w mojej sypialni i naraz słyszę jakiś hałas. Ktoś coś rżnie piłą, która pogrąża się w tym czymś coraz głębiej. Wstaję, serce bije mi szybko, chwytam leżący na nocnym stoliku pistolet.

Podchodzę cicho do drzwi z bronią w rękę, ręce mi drżą na myśl, że ktoś się czai w moim domu.

Dźwięki dobiegają z salonu. Teraz odgłosom, które do mnie dotarły wcześniej, towarzyszy czyjś chichot.

Wchodzę do salonu, wiem, że on tu jest. Nie widzę jego twarzy, bo zasłaniają ją bandaże owinięte wokół głowy. Ale widzę wargi ogromne, rozdęte, czerwone. I oczy, bezbarwne i martwe jak kawałki spalonej skóry.

- Widzisz to? - szepcze, jakby syczał wąż.

Nie mogę dostrzec tego, co chce mi pokazać. Zasłania to oparcie łóżka. Czuję, że wcale nie mam zamiaru tego oglądać. Ale muszę. Idę naprzód krok po kroku, krok po kroku.

- Widzisz? - szepcze on.

I teraz już widzę.

Ona leży na łóżku. Jej ciało jest rozcięte od mostka do krocza, wewnętrzne organy są odsłonięte. We włosach ma pełno cmentarnej ziemi. Jednym pokrytym warstwą piachu palcem celuje we mnie.

- To twoja wina - mówi chrapliwym głosem.

Chryste, to Alexa! Ale zaraz zmienia się w Charlotte Ross, która z kolei staje się Annie.

- Czemu pozwoliłaś mu zabić mnie? - pyta Annie, mierzając we mnie palcem w oskarżycielskim geście. - Czemu?

Mężczyzna z obandażowaną głową chichocze.

- Widzisz? - syczy. - Te ich brudne paluchy wskazują ciebie, winną już na zawsze.

- Czemu? - pyta postać leżąca na łóżku.

- Widzisz... - znowu szepcze on.

Budzę się gwałtownie. W kabinie odrzutowca jest cicho, światła są przyćmione. James i Alan drzemią.

Wyglądam w ciemność przez okienko dla pasażerów i drzę. Brudne palce. Nie ma sensu doszukiwać się tu jakiejś symboliki.

Zawsze ich czuję, wskazujących na mnie zza grobu. Tych, których nie udało mi się ocalić.

Zadzwoiłam do Jenny Chang w czasie lotu i czeka na nas na lotnisku.

- Koniec z naszą przyjaźnią - mówi i puka palcem w zegarek, by podkreślić, o której musiała się zerwać.

- Przepraszam, Jenny, ale wszystko się tak popieprzyło. Mówię jej o Callie. Zaciska usta w prostą gniewną linię.

- Nie macie o niej świeżych wiadomości?

- Nie - odpowiada James.

- Chryste... - odwraca oczy. Podnoszę swoją aktówkę.

- Ale mamy rewelację z VICAP-u. Budzi się w niej natychmiast detektyw.

- Co takiego? - pyta zaciękawiona.

Wyjaśniam jej z grubsza, o co chodzi.

- Dwadzieścia pięć lat temu. Ja zaczęłam pracować w policji, gdy miałam dwadzieścia dwa. To było wcześniej. Kto wtedy prowadził tę sprawę?

- Detektyw Rawlings - mówi Alan. Jenny nieruchomieje. Unosi brwi.

- Jesteś tego pewien?

- Tak, jestem pewien. Czemu pytasz? Jenny kręci głową.

- Być może sprawy rzeczywiście zaczynają wyglądać dla nas coraz lepiej. Rawlings to pierwszej klasy nieudacznik. Z tego, co wiem, zawsze był taki. Pije nałogowo i liczy dni, które zostały mu do emerytury.

- A dlaczego to ma być dla nas dobre? - pytam.

- Bo jeśli to on, jest więcej niż prawdopodobne, że coś spartolił, coś przegapił. Czego wy, koledzy, byście nie przegapili.

W biurze Wydziału Policji San Francisco Jenny bębni ołówkiem w biurko, czekając, aż po drugiej stronie linii zostanie podniesiona słuchawka.

- Rawlings? Mówi Jenny Chang. Tak, wiem, która godzina. - Marszczy brwi. - To nie moja wina, że jesteś zalany.

Patrzę na nią błagalnie. Chcę, żeby ten facet tu przyjechał, a nie rzucił słuchawkę. Jenny przymyka oczy, najwyraźniej liczy do dziesięciu.

- Posłuchaj, Don. Bardzo cię przepraszam, mnie też teraz zerwano z łóżka. Dlatego jestem nie w sosie. Mamy tu kierowniczkę CASMIRC z Los Angeles, chodzi jej o twoją starą sprawę. To sprawa - zerka do notesu - Renee Parker. - Wyraz zdziwienia pojawia się na jej twarzy. - Oczywiście. Okay. Na razie.

Odkłada słuchawkę. Widać, że zastanawia się nad czymś.

- No i co? - pytam.

- Gdy tylko wymieniłam to nazwisko, natychmiast otrzeźwiał i powiedział, że zaraz tutaj będzie.

- Myślę, że ta sprawa coś dla niego znaczy.

Po dwudziestu kilku minutach Don Rawlings pojawia się w drzwiach. Przyglądam mu się i widzę, że Jenny miała sto procent racji. Ma około metra siedemdziesiąt wzrostu, wielki brzuch, kaprawe oczy i zaczerwienioną twarz alkoholika. Wygląda na przedwcześnie podstarzałego.

Wstaję i ściskam mu rękę.

- Dziękuję, że pan przyszedł, panie Rawlings. Agentka specjalna Smoky Barrett. CASMIRC Los Angeles. To James Giron i Alan Washington, z mojego zespołu.

Patrzy na mnie spod zmrużonych powiek.

- Znam panią. To pani zniszczono dom. - Krzywi się. - Koszmarny sen każdego gliniarza.

Zauważam, że trzyma w ręku plastikową teczkę.

- Co pan ma? - pytam.

Rzuca teczkę na biurko i rozsiada się na krześle.

- To kopie dokumentów sprawy Renee Parker. Przechowywałem je przez te wszystkie lata. Przeglądałem je sobie czasami o świcie, gdy nie mogłem spać.

Twarcz Rawlingsa zmienia się, gdy wspomina Renee Parker. Jego oczy stają się bystrzejsze i czujne, usta wykrzywają się w smutny grymas. Ta sprawa musiała mieć dla niego ogromne znaczenie.

- Niech mi pan o tym opowie, detektywie.

Jego oczy gasną, patrzy teraz jakby w odległą przestrzeń.

- Musimy cofnąć się trochę w czasie, agentko Barrett. Detektyw Chang zdążyła chyba pani już powiedzieć, że jestem przegrany alkohikiem. I miała rację. Ale ja nie zawsze byłem taki. Lata temu byłem, jak ona dziś, najlepszym policjantem w wydziale zabójstw. Pierwszorzędnym detektywem. - Patrzy na Jenny i się uśmiecha. - Nie miałaś o tym pojęcia, prawda?

Jenny zaciska wargi.

- Nie, nie miałam.

- Taak. Nie zrozumcie mnie źle. Kiedy zaczynałem służbę w policji, byłem młody i byłem, prawdę mówiąc, strasznym fiutem. Rasistą i homofonem o wybujałym temperamencie. Niejeden raz użyłem pięści w sytuacjach, gdy to wcale nie było konieczne. Ulica potrafi nas nauczyć tego, jaki naprawdę jest świat. Rasizm wyparował ze mnie, gdy czarny glina uratował mi życie. Bandzior zaszedł mnie od tyłu. Gliniarz zasłonił mnie sobą i wystrzelił. Zabił drania na miejscu. Od tej pory byliśmy przyjaciółmi przez wiele lat, dopóki nie zginął podczas wykonywania obowiązków.

Smutne oczy stają się jeszcze bardziej puste.

- Przestałem być homofobem po roku służby w wydziale zabójstw. Jeśli, na co dzień obcuje się ze śmiercią, zaczynasz patrzeć na rzeczywistość z innej perspektywy. Był pewien młody człowiek, który nie krył się z tym, że jest homoseksualistą, wręcz przeciwnie. Pracował w pobliżu komisariatu i szybko wzbudził we mnie gwałtowną nienawiść. Żartował sobie ze mnie, drażnił mnie i robił wszystko, żeby mi uprzykrzyć życie. - Widzę, jak słaby uśmiech rozjaśnia twarz Rawlingsa, ale zaraz znika, zgaszony chmurą smutku. -Boże, on doprowadzał mnie do szaleństwa. Aż pewnego dnia kilku jakichś facetów zatłukło go tylko, dlatego, że był pedziem. I wyobraź sobie, wziąłem tę sprawę. - Uśmiecha się sardonicznie. - Jak to będzie policzone, jeśli chodzi o moją karmę? Prowadząc śledztwo, zobaczyłem coś, co na zawsze uleczyło mnie z nienawiści do gejów. Widziałem, jak jego matka rwała sobie włosy z głowy, jak krzyczała z rozpacz i prawie umierała tuż przy mnie. Potem poszedłem na pogrzeb, szukając zabójców. Wiecie, co zobaczyłem? Około dwustu ludzi. Możecie w to uwierzyć? Nie sądzę, żebym ja znał kiedykolwiek dwieście osób i to takich, które chciałyby przyjść na mój pogrzeb, na pewno nie. - Kręci głową jakby z niedowierzaniem. - To nie byli tylko homoseksualiści. Było mnóstwo ludzi, którzy mu coś zawdzięczali. Okazało się, że był znanym wolontariuszem w hospicjach, ośrodkach odwykowych, w różnego rodzaju poradniach kryzysowych. Ten młody człowiek był świętym. A jedynym powodem, dla którego już nie żył, było to, że był gejem. - Zaciska pięść. - To jest zło. Nie mogłem mieć już z tym nic wspólnego. Nigdy więcej.

Rawlings macha ręką.

- Rozgadałem się. Więc... taak. Taki był początek. Byłem nowy w wydziale zabójstw i stałem się nowym człowiekiem. Już nigdy nie użyłem do nikogo takich słów jak „pedał” czy „czarnuch”. Zmieniłem się, pracowałem z oddaniem, życie było proste i piękne. Teraz zrobimy skok w czasie o pięć lat. Miałem już za sobą najlepszy okres w moim życiu, skończył się jakieś trzy lata wcześniej, i już jakbym zjeżdżał po równi pochyłej, było coraz gorzej, zacząłem pić, wściekać się na żonę, coraz gorzej ją traktowałem. Często myślałem o tym, żeby się zastrzelić. Wszystko z powodu tych cholernych pozabijanych dzieci. - Widzę udrękę w jego oczach, ten rodzaj udręki, który aż za dobrze znam. Studiuję to samo spojrzenie w lustrze. - Ktoś zabijał dzieci. Półtoraroczne, roczne albo jeszcze młodsze. Porywał je, dusił i porzucał na ulicach. Zabił sześcioro maluchów i nie było żadnych podejrzanych, a mnie to wykańczało. - Spogląda na mnie badawczo. - Zna pani to uczucie? Założę się, że tak, skoro robi pani to, co robi.

Potwierdzam skinieniem głowy.

- Niech pani sobie wyobrazi, że jest sześcioro martwych dzieci, których śmierci pani nie zapobiegła. I nie tylko nie złapała pani mordercy, ale nawet nie ma pani śladu podejrzanego. Załamane się zupełnie.

Jeszcze zaledwie rok temu spojrzalabym na Dona Rawlingsa i musialabym powsciagac szyderczy usmieszek. Uznalabym, ze jest zwyczajnym slabeuszem. Facetem, ktory tłumaczył zdarzeniem z przeszłości swój obecny stan, starając się usprawiedliwić swoją słabość charakteru. Nie jestem skłonna do wybaczenia, że się poddał. Ale nie czuję, by zasługiwał na szyderstwo. Czasami obciążenie psychiczne w naszej pracy jest zbyt wielkie. Żał mi go, ale nie mam poczucia wyższości wobec niego.

- Mogę to sobie wyobrazić - mówię, patrząc mu w oczy. Myślę, że wyczuwa, iż mówię szczerze i podejmuje swoją opowieść.

- Zszedłem na psy i mało mnie to obchodziło. Robiłem, co mogłem, żeby nie myśleć o tych dzieciach, wymazać je z pamięci. Alkohol, seks, próbowałem wszystkiego. Ale wciąż widywałem je w snach. I wtedy poznałem Renee Parker.

Szczerzy prawdziwy uśmiech rozjaśnia twarz Rawlingsa, tak musiał się uśmiechać w młodości.

- Zetknąłem się z nią po raz pierwszy, kiedy zabito jej chłopaka. Był drobnym dilerem, który wkurzył jakiegoś bandziora. Ona była striptizerką i dopiero zaczynała się szprycować. Banalna historia, takie osoby skreślamy szybko. Ale w Renee było coś szczególnego, wyjątkowego, coś wewnątrz niej, co dawało się wyczuć. - Don podnosi wzrok. - Wiem, co pani myśli. Gliniarz i striptizerka, jasna sprawa. Ale to nie było tak. Fakt, miała wspaniałe ciało, lecz nie myślałem o niej w ten sposób. Zobaczyłem ją i pomyślałem sobie, że może to jest moja szansa, żeby zrobić coś dobrego. Coś, co będzie rekompensatą za te dzieci. Opowiedziała mi swoją historię, jakich tysiące. Wyjechała do Los Angeles, bo chciała zostać aktorką, a wylądowała jako tancerka topless w naszym mieście, żeby jakoś związać koniec z końcem. Spotkała jakąś kanalię. Powiedział jej: „Spróbuj, mała, jak to smakuje. Nie uzależnisz się”. Nic oryginalnego. Ale w niej samej było coś nadzwyczajnego. Ten jakiś szczególny rodzaj rozpacz. Jakby zawisła na brzegu przepaści i próbowała się utrzymać.

Zaprowadziłem ją do ośrodka rehabilitacyjnego na odwyk. Zaraz po służbie szedłem ją odwiedzić. Podtrzymałem jej głowę, kiedy wymiotowała. Rozmawiałem z nią. Pocieszałem, kiedy się załamywała. Czasami rozmawialiśmy przez cały wieczór. I wie pani, co? Ona była moim pierwszym przyjacielem kobietą. - Patrzy na mnie. - Wie pani, o co mi chodzi? Myślę o stereotypie męskiego szowinizmu. Kobieta jest po to, żeby się z nią ożenić albo ją pieprzyć. Rozumie pani?

- Znałam swojego czasu kilku takich szowinistów - mówię.

- No, i ja taki byłem kiedyś, a jednak ta dwudziestoletnia dziewczyna została moim przyjacielem. Nie myślałem o tym, żeby ją pieprzyć, nie chciałem się z nią żenić. Chciałem tylko, żeby wszystko jej się dobrze ułożyło. Nic więcej. - Zagryza wargę. - Widzi pani, byłem dobrym detektywem. Nigdy nie brałem łapówek. Przeważnie udawało mi się złapać przestępcę, którego

tropiłem. Nigdy nie uderzyłem żadnej kobiety. Miałem swoje zasady - to dobre, to złe. Lecz nigdy dotąd nie uważałem się za przyzwoitego człowieka. Rozumie pani różnicę?

- Oczywiście.

- Ale wobec Renee postępowalem jak człowiek przyzwoity. W sposób bezinteresowny. - Rawlings przeczesuje włosy dłonią. - Przewyciężyła nałóg i wyszła z odwyku. Naprawdę zerwała z prochami. Była jedną z tych nielicznych, którym się to udało. Pożyczyłem jej trochę forsy i wynajęła sobie mieszkanie. Zaczęła pracować. Po paru miesiącach zapisała się nawet do szkoły wieczorowej. Brała wymarzone lekcje sztuki aktorskiej. Powiedziała, że jeśli nie uda jej się zostać aktorką, zatrudni się jako kelnerka, ale nie chciała zrezygnować ze swoich marzeń, zanim nie spróbuje. Spotykaliśmy się od czasu do czasu. Zabierałem ją do kina. Zawsze po przyjacielsku. Nigdy nie chciałem niczego więcej. Po raz pierwszy w życiu ważniejsze dla mnie było, żeby mieć przyjaciela niż dupę. A co najważniejsze, te zabite dzieci przestały mnie nawiedzać i dręczyć. Rzuciłem picie, pogodziłem się z żoną.

Milknie, a ja już wiem, co się zbliża, słyszę to jak widmowy pociąg. Znam koniec tej opowieści. Renee Parker uratowana przed sobą samą ginie zamordowana w ohydny sposób. Nie wiedział tylko, czym była ta śmierć dla jej bliskich.

Dla Dona Rawlingsa był to moment, gdy los się odwrócił od niego, a on zaczął się staczać. Moment, gdy powróciły koszmary z zabitymi dziećmi i nigdy się już nie zdołał od nich uwolnić.

- Obudził mnie telefon o czwartej nad ranem. Nie wiedziałem, kto dzwoni, zanim tam nie przyszedłem. - Jego oczy wyglądają jak blade upiory we mgle, jęczące żałośnie, zagubione i skazane na wieczną tułaczkę.

- Wyglądała jak spalona. Ekspert z sądówki powiedział, że na jej ciele było prawie pięćset oparzeń od przypiekania papierosem. Pięćset! Żadne nie było śmiertelne. - Ręka Rawlingsa spoczywająca na biurku drży. - Torturował ją i zgwałcił, ale najohydniejsze było to, co zrobił potem. Rozciął jej brzuch, wyciął niektóre wewnętrzne narządy i rzucił je obok ciała. Zwyczajnie na beton, żeby zgniły razem z nią. Trudno mi sobie przypomnieć, co czułem, kiedy ją tam zobaczyłem. Może po prostu nie chcę sobie tego przypomnieć. Pamiętam jednak, że jeden z mundurowych spojrzął na nią i zawołał: „O, znam ją. To striptizerka, pracowała kiedyś w Tenderloin. Wielkie cycki”. Spojrzął na Renee, przypomniał sobie jej cycki i zaszufladkował ją. Nie widział w niej człowieka, inteligentnej dziewczyny, która potrafiła odmienić własne życie, tylko striptizerkę. - Przesuwa palec po wybrzuszeniu na blacie biurka. - Musieli mnie odciągać od niego. To zresztą nieważne. Może pani w to uwierzyć? Ten dupek po paru latach przyszedł, wyciągnął teczkę jej sprawy i w rubryce „zawód” wymazał korektorem „kelnerka” i wpisał „striptizerka, być może prostytutka”. Nawet wysłał taką poprawkę do VICAP-u. Jestem zaskoczona i oburzona, sadzę, że Rawlings czyta to z mojej twarzy.

- Wierzy pani. - Wzdycha. - Więc na wszelki wypadek nie mówiłem nikomu, co nas łączyło i dzięki temu nie odebrano mi tej sprawy. Chciałem koniecznie dorwać zabójcę. Ale on był dobry. Żadnych odcisków palców, żadnych pozostawionych śladów, nic. Wtedy jeszcze nie badano DNA, więc... - wzrusza ramionami - zacząłem sprawdzać to, co nigdy nie zawodzi, gdy brakuje dowodów materialnych.

- Kogo znała, kto się kręcił koło niej? - wtrącam.

- Zgadza się. Chodziła do szkoły wieczorowej. Okazało się, że poznała tam pewnego faceta. Spotykała się z nim przez tydzień lub dwa. Przystojny chłopak, nazywał się Peter Conolly. Natychmiast wyczułem, że jest z nim coś nie w porządku. Podczas przesłuchania pozwalał sobie na kpiny ze mnie. Kierując się przeczuciem, pokazałem jego zdjęcie w lokalu, w którym pracowała jako striptizerka. Rzeczywiście, ludzie pamiętali, że przychodził w tym samym czasie, gdy ona tam tańczyła. To jeszcze nie wszystko. Wyszło na jaw, że Peter miał problemy z narkotykami. Bywał w ośrodku odwykowym. Czy macie pojęcie? Był też w tym samym czasie, gdy ona tam przebywała. Na wiadomość o tym moje anteny poszły w górę. Gdy jeszcze odkryłem, że zapisał się do szkoły aktorskiej w tydzień po tym, jak ona tam wstąpiła, wiedziałem, że to mój facet.

Milknie i już nie podejmuje swojej opowieści.

- Domyślam się, co było dalej, Don - mówię łagodnie. – Żadnych dowodów, mam rację? Nie mogłeś oficjalnie powiązać go ze zbrodnią.

Oczywiście, bywał w lokalu ze striptizem, w ośrodku odwykowym oraz w szkole aktorskiej. Ale wszystko dawało się wyjaśnić w prosty sposób, by móc twierdzić, że jest niewinny. Rawlings kiwa głową, zrezygnowany i przybity.

- Zgadza się. To wystarczyło, żeby uzyskać nakaz przeszukania w jego mieszkaniu, lecz ono niczego nie dało. Zupełnie niczego. W dodatku miał nienaganną przeszłość. - W jego oczach widzę smutek i zniechęcenie. - Nie mogłem mu niczego udowodnić. I nie było następnych zabójstw. Po jakimś czasie wyjechał stąd. Znowu powróciły moje koszmary. Niekiedy śniły mi się dzieci, najczęściej jednak Renee.

Nikt w tym pokoju nie czuje teraz pogardy dla zapijaczzonego detektywa. Wiemy, że dla każdego istnieje ten jeden punkt, punkt, od którego nie można się dłużej zginać, by się nie złamać. Uznajemy go za kogoś, kto stał się kolejną ofiarą niekończącej się wojny, której uczestnikami jesteśmy my wszyscy.

Kimkolwiek był autor powiedzenia: „czas leczy wszelkie rany”, z pewnością nie był policjantem.

- Powodem, dla którego się tu zjawiliśmy - mówię w ciszy, która zapadła po jego ostatnich słowach - jest to, że VICAP skojarzył sposób działania naszego seryjnego zabójcy z niewyjaśnioną

sprawą Renee Parker. On znowu zabija. - Pochyliam się do przodu. - Teraz mam już pewność, że nasz i pański zabójca to ten sam człowiek.

Rawlings wpatruje się w moją twarz jak ktoś, kto nie dowierza, że jego nadzieje mogą się spełnić.

- Mielście więcej szczęścia niż ja? - pyta.

- Nie, jeśli brać pod uwagę materialne dowody, ale odkryliśmy coś, co łączy te sprawy i może nas doprowadzić do ich rozwiązania.

- Co to takiego?

Opowiadam mu w skrócie o Jacku Juniorze, o zawartości słoika. Wyraz jego twarzy zmienia się stopniowo, sarkazm ustępuje miejsca podnieceniu.

- Więc mówi pani, że temu facetowi wpojono przekonanie, iż jest pra-praprawnukiem, czy jakoś tak, Jacka Rippera i że to się zaczęło we wczesnej młodości?

- Dokładnie tak.

Rawlings odchyła się na oparcie krzesła. Sprawia wrażenie oszołomionego.

- O rany! O rany! Nie miałem wtedy żadnego powodu, by sprawdzać jego matkę. Ojciec nie żył już od dawna. - Don jest w szoku, ręce zaciska na blacie biurka. Opanowuje się w końcu i puka palcami w plastikową teczkę, którą ze sobą przywiózł. - Wszystko było tu przez cały czas. Kim jest jego matka i gdzie wtedy mieszkała.

- Więc to tam teraz jedziemy - mówię.

- Czy... - Rawlings robi głęboki wdech, prostuje się. - Ja wiem, że jestem teraz do niczego. Jestem stary, piję. Ale jeśli pozwolicie mi jechać z wami i zobaczyć się z tą kobietą, przyrzekam, że nic nie popsuję.

Zaskakuje mnie niespotykana pokora w jego głosie.

- Nie mogłabym w żaden sposób postąpić inaczej, Don - odpowiadam.

- Czas, żebyś mógł wreszcie swoją sprawę doprowadzić do końca.



Concord leży na północ od Berkeley w rejonie zatoki. Jedziemy tam, żeby zobaczyć się z matką Petera Conolly'ego, kobietą o imieniu Patricia. Z prawa jazdy odnotowanego w aktach sprawy Renee Parker wynika, że ma ona obecnie sześćdziesiąt cztery lata. Uznaliśmy, że będzie lepiej, jeśli pojawimy się pod jej drzwiami niespodziewanie, niż gdybyśmy uprzedzili ją telegraficznie o zamierzonej wizycie lub naszych podejrzeniach. Zdarzało się już, że to matki nakłaniały synów do mordowania. Kto wie, jak było w tym przypadku?

Jestem teraz w tej szczególnej i dobrze mi znanej strefie, do której wkraczam, gdy zbliża się koniec łowów. Kiedy mam już pierwsze dowody na to, że zwierzyna jest osaczona. Wszystkie zmysły napięte niemal do bólu i czuję się, jakbym biegła najszybciej, jak potrafię, po linie rozciągniętej nad otchłanią. Sprawna, zwinna, niezwycięzona, nie obawiając się wcale, że mogę spaść w dół.

Spoglądam na Dona Rawlingsa i widzę w jego oczach przeblęski czegoś podobnego, choć jest tam chyba więcej desperacji. Odważył się mieć znowu nadzieję. Jeśli nam się teraz nie powiedzie, dla niego to nie będzie zwykłe rozczarowanie. To mogłoby oznaczać jego koniec. Ale na razie wygląda, jakby odmłodził o dziesięć lat. Oczy ma bystre i skupione, tak musiał wyglądać, gdy był jeszcze w pełni formy.

My wszyscy w tym zespole jesteśmy uzależnieni od wykonywanej pracy jak od narkotyku. Brniemy przez kałuże krwi, w odorze rozkładających się ciał i zgnilizny. Przewracamy się z boku na bok dręczeni sennymi koszmarami, których źródłem są rzeczy tak straszne, że umysł nie chce ich ogarnąć. Wyładujemy nasze napięcie na sobie nawzajem, na rodzinach i przyjaciółach lub na wszystkich wokoło, ale potem sprawy zaczynają zmierzać do finału. Docieramy do tej właśnie strefy. Stanu euforii, w jakim się wtedy znajdujemy, nie da się porównać z niczym. Wtedy zapominamy o krwi, smrodzie, koszmarach i horrorach. A kiedy mamy już to za sobą, gotowi jesteśmy robić to samo od nowa.

Oczywiście wszystko może się skończyć inaczej. Może się nie udać schwytywanie zabójcy. Smród pozostanie smrodem, ale nie będzie tej nagrody sprawiającej, że znika on bez śladu. Mimo to ci z nas, którzy nie zrezygnują z tej roboty, chcą nadal podejmować ryzyko.

W naszym zawodzie balansuje się stale na brzegu przepaści. Toteż statystyki wykazują wysoki procent samobójstw, jak zresztą w każdej profesji, w której niepowodzenie niesie ze sobą tak straszny ciężar odpowiedzialności.

Rozmyślałam o tym, ale się tym teraz nie martwię. Żadna z moich blizn nie ma znaczenia. Jestem w tej strefie. Zawsze fascynowały mnie książki i filmy o seryjnych zabójcach. Pisarze i scenarzyści bardzo często są jakby niezłomnie przekonani, że muszą koniecznie stworzyć dla swoich bohaterów baśniową dróżkę, wysypaną okruszkami chleba, którą będą kroczyć przez cały czas. Jakiś uszeregowany zbiór logicznych wniosków i wskazówek, które w końcu w oślepiającym blasku doprowadzą ich do kryjówki potwora.

Czasami tak bywa naprawdę. Jednak najczęściej jest zupełnie inaczej. Pamiętam pewną sprawę, która doprowadzała nas do szaleństwa. Ktoś mordował dzieci i po trzech miesiącach śledztwa nie mieliśmy niczego. Żadnej wskazówki, choćby jednego solidnego tropu. Pewnego ranka dostałam telefon z komisariatu policji Los Angeles. Drań przyszedł tam sam i dobrowolnie oddał się w ręce policji. Sprawa zamknięta.

W wypadku Jacka Juniora wyczerpaliśmy całą gamę możliwości, jakie stwarzają materialne dowody i poszukiwania w tajemnych regionach Internetu. Działał w przebraniu, założył podsłuchy i namierzacz. Zwerbował współników. Był rzeczywiście znakomity. A w końcu rozwiązanie całej sprawy będziemy zawdzięczali dwóm elementom: kawałkowi bydłęcego ciała i niewyjaśnionej od dwudziestu pięciu lat sprawie, pokrywanej się kurzem w VICAP-ie.

Nauczyłam się jednej prawdy i ona gwarantuje mi tyle wewnętrznego ładu, ile potrzebuję. Schwytyany przestępca jest schwytanym przestępcą. A dobry przestępca jest przestępcą schwytanym. Kropka.

Dzwoni komórka Alana.

- Tak - mówi. Przymyka oczy i od razu ogarnia mnie lęk, ale on znowu otwiera oczy i na twarzy ma wyraz ulgi. - Dzięki, Leo. Jestem bardzo wdzięczny, że zadzwoniłeś. - Rozłącza się i relacjonuje: - Jeszcze się nie obudziła, ale jej stan uległ poprawie. Już nie jest krytyczny, tylko stabilny. Wciąż jest na intensywnej terapii, lecz chirurg powiedział Leowi wyraźnie, że jej życie nie jest zagrożone, o ile nie wydarzy się coś naprawdę nieoczekiwanego.

- Callie się wylize. Jest cholernie twarda i pełna sił witalnych - mówię.

James nie odzywa się ani słowem i w aucie zapada cisza. Jedziemy dalej.

- To tu - szepcze Jenny.

Dom jest stary i trochę podniszczony. Podwórze zaniedbane, ale jeszcze nie zapomniano o nim całkiem. Wszystko tu sprawia takie wrażenie, że już odchodzi, lecz jeszcze nie zniknęło.

Wysiadamy z samochodu i podchodzimy do drzwi. Otwierają się, zanim zdążyliśmy zapukać.

Patricia Conolly wygląda staro i na twarzy ma wypisane zmęczenie. Mimo to jej oczy nie są senne. Dostrzegam w nich strach.

- Musicie być z policji - mówi.

- Tak, proszę pani. Policja i FBI. - Pokazuję jej swój identyfikator, przedstawiam siebie i pozostałych. - Czy możemy wejść?

- Zapraszam do środka - otwiera szeroko drzwi.

Wnętrze domu jest schludne, ale pozbawione indywidualnego wyrazu. Jakby dbano o nie tylko z nawyku i bardzo powierzchownie. Patricia Conolly wprowadza nas do salonu i prosi, żebyśmy usiedli.

- Czy ktoś może napije się czegoś? - pyta. - Mam tylko wodę i kawę, ale jeśli macie chęć na jedno lub drugie, zaraz przyniosę.

Patrzę na swój zespół. Wszyscy kręcą przecząco głowami.

- Nie, dziękuję - odpowiadam za nich. - Proszę się nie fatygować, pani Conolly.

Kiwa głową, patrząc na swoje dłonie.

- Może pani mi powie, czemu zawdzięczam tę wizytę?

Wciąż patrzy na swoje ręce, unikając mojego wzroku. Postanawiam iść za głosem instynktu.

- A może to pani nam powie, dlaczego tu jesteśmy, pani Conolly, o co nam może chodzić.

Podnosi raptownie głowę i już wiem, że miałam rację. Jej oczy zdradzają poczucie winy. Jednak jest jeszcze za wcześnie na to, żeby zaczęła mówić.

- Ja nie mam pojęcia.

- Kłamie pani. - Jestem zaskoczona ostrym tonem mojego głosu. Dostrzegam zdziwienie na twarzy Alana. Nie mogę się powstrzymać. Mam dosyć tego wszystkiego. Gniew, który wzbierał we mnie, wypełnił mnie po brzegi i teraz się przelewa. Pochyliam się do przodu i wychwytyuję jej wzrok. Wymierzam w nią palec. - Chodzi nam o pani syna, pani Conolly. Chodzi o pewną matkę, moją przyjaciółkę, zgwałconą i wypatroszoną jak upolowane zwierzę. Chodzi nam o jej córkę przywiązaną przez trzy dni do ciała matki. - Mówię coraz głośniejszym głosem. - Zawdzięcza pani naszą wizytę mężczyźnie, który torturuje kobiety, i sprawie agentki, innej mojej przyjaciółki, która leży w szpitalu i być może zostanie kaleką na resztę życia. Jesteśmy...

Patricia Conolly podrywa się i chwyta rękami za głowę.

- Przestań! - krzyczy. Ręce opadają jej na boki. Podrywa głowę. - Niech pani już przestanie.

Tak samo nagle jak wybuchła, raptownie gaśnie. Jakbym patrzyła na balon opadający ku ziemi. Siada z powrotem.

Jej długie, ciężkie westchnienie uwalnia ją od czegoś z odległej przeszłości i najwyraźniej nie dotyczy chwili obecnej.

- Myśli pani, że wie, dlaczego tu jesteście - kieruje do mnie słowa.

- Myśli pani, że tu chodzi o te nieszczęsne kobiety. - Spogląda na Dona Rawlingsa. - Albo o tę biedną panienkę. O to, co się stało dwadzieścia kilka lat temu. One są częścią tego, ale sprawa dotyczy czegoś znacznie wcześniejszego.

Mogłam jej przerwać, powiedzieć o zawartości słoika i Jacku Juniorze, lecz coś podpowiada mi, żeby pozwolić jej mówić we własnym tempie.

- To dziwne, jak często nie dostrzegamy tego, co jest w ludziach najważniejsze. Nawet w ludziach, których kochamy. Nie wydaje mi się, żeby to było w porządku. Jeśli mężczyzna jest okrutny, kimś, kto zmieni się w dręczyciela żony lub kogoś jeszcze gorszego, powinno być coś, co można wcześniej dostrzec i co by zapowiadało te zmiany. Nie sądzi pani?

- Myślałam tak samo wiele razy, proszę pani - odpowiadam. - W mojej pracy.

- Pewnie myślała pani o tym naprawdę - mówi Patricia. - A zatem wie pani, że świat wcale tak nie jest urządony. Zupełnie nie tak. Tak naprawdę jest wręcz przeciwnie. Najbrzydsi ludzie mogą być najlepsi. Ktoś czarujący może być zabójcą. - Wzrusza ramionami. - Powierzchność niewiele mówi. Nie świadczy naprawdę o niczym. Oczywiście, gdy jesteśmy młodzi, nie zaprzędamy sobie głowy takimi rzeczami. Poznałam mojego męża Keitha, gdy miałam osiemnaście lat. On miał dwadzieścia pięć i był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu spotkałam. To nie młodzieńcza przesada. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu, ciemne włosy, twarz aktora filmowego. Kiedy zdejmował koszulę... no cóż, powiem tylko, że jego ciało dorównywało twarzy. - Uśmiecha się smutno. - Kiedy zainteresował się mną, byłam oczarowana od początku i dumna jak paw. Jak wielu młodych ludzi uważałam swoje życie za nudne. A tu trafia mi się chłopak przystojny i fascynujący. Dokładnie tego mi było trzeba!

Przerywa swoją opowieść, jakby chciała odetchnąć, przygląda się nam wszystkim po kolei.

- Działo się to w Teksasie, nawiasem mówiąc. Nie pochodzę z Kalifornii. - Jej oczy są wpatrzone gdzieś w przestrzeń. - Teksas. Nijaki, gorący i strasznie nudny. Keith kręcił się ciągle wokół mnie. Te jego zaloty to nie był jakiś maraton, raczej sprint. Trwały dokładnie tyle, by upewnił się, że jestem całkowicie uległa. Od początku orientował się, że mnie zdobył. Dostosował się do sytuacji, zachowywał pozory, ponieważ go to bawiło. Mógł mnie porwać albo kazać mi wyjechać ze sobą natychmiast, a ja zgodziłabym się bez chwili wahania. Wiedział o tym, ale umawiał się ze mną na randki mimo wszystko, zgodnie ze zwyczajem. Umiał świetnie udawać. Był dżentelmeński, romantyczny. Uosabiał wszystko to, co widywałam w kinie i o czym czytałam w książkach. Miły, uprzejmy, romantyczny i diablo przystojny, myślałam, że znalazłam swojego księcia z bajki. - Jej głos i uśmiech są pełne gorzkości. - Muszę przyznać, że w domu miałam niełatwe życie. Mój ojciec obdarzony był wybuchowym charakterem. Nie to, żeby bił matkę codziennie albo raz w tygodniu, ale nie było miesiąca, by się to nie zdarzyło. Odkąd sięgam pamięcią, widywałam, jak bił ją na odlew lub walił pięścią. Mnie nigdy nie tknął, ale gdy podrosłam, zrozumiałam, że gdyby to zrobił, to byłoby z całkiem innego powodu. Rozumie pani, co mam na myśli?

Rozumiem ją, niestety.

- Tak - odpowiadam.

- Jestem pewna, że Keith też to rozumiał. Pewnej nocy, dokładnie miesiąc po tym, jak się poznaliśmy, poprosił mnie, żebym została jego żoną.

- Wzdycha, przypominając to sobie. - Wybrał na to idealny czas. Była pełnia, powietrze orzeźwiające, ale nie zimne. Piękna noc. Przyniósł mi różę. Powiedział, że wyjeżdża do Kalifornii i chciałby, żebym z nim pojechała. Powiedział wtedy, że wie, iż muszę uciec od ojca, że mnie kocha i że to jest nasza wielka szansa. Oczywiście, powiedziałam „tak”.

Patricia zamyka oczy i siedzi w milczeniu dłuższą chwilę. Przychodzi mi do głowy, że przypomina sobie tę noc jak punkt zwrotny, w którym dokonała fatalnego wyboru i pogrążyła się na zawsze w mroku.

- Wyjechaliśmy cztery dni później, potajemnie. Nie pożegnałam się z rodzicami. Spakowałam te trochę rzeczy, które miałam, i wymknęłam się z domu w środku nocy. Nigdy więcej już nie zobaczyłam ani matki, ani ojca. To był dla mnie fascynujący okres. Czułam się wolna. Wydawało mi się, że życie zaczyna się toczyć zgodnie z moimi marzeniami. Miałam przystojnego mężczyznę, który chciał się ze mną ożenić. Wymknęłam się ze ślepego zaułka, na który skazał mnie los już w chwili narodzin. Byłam młoda, przyszłość rysowała się kolorowo i wspaniale. - Jej głos staje się jednostajny. - Po pięciu dniach dotarliśmy do Kalifornii. Dwa dni później wzięliśmy ślub. W noc poślubną odkryłam, że ta przyszłość to jeden z mrocznych kręgów piekła.

Twarz Patricii się zmienia. Jest teraz pozbawiona wszelkiego wyrazu.

- Zobaczyłam odwrotność Halloween. Keith nie był człowiekiem w masce potwora, ale potworem w ludzkiej masce. - Wzdryga się na to wspomnienie. - Byłam dziewczcą, a on pozostał słodki i uroczy do momentu, gdy przeniósł mnie przez próg pokoju w tanim hotelu. Gdy tylko drzwi się za nami zamknęły, maska spadła. Nigdy nie zapomnę tego uśmiechu. Tak mógł się uśmiechać Hitler, rozmyślając o Żydach konających w którymś z jego strasznych obozów. Keith zaśmiał się, a potem uderzył mnie na odlew w twarz. Z całej siły. Cios sprawił, że okręciłam się dookoła, z nosa pociekła mi krew. Upadłam na łóżko twarzą w dół. Przed oczami wirowały mi gwiazdy, a ja jeszcze próbowałam przekonać samą siebie, że to zły sen, z którego zaraz się obudzę. - Zaciska wargi. - To nie był sen. Nocny koszmar, może... „Wyjaśnijmy sobie parę rzeczy”, powiedział do mnie, zdzierając mi suknię. „Jesteś moją własnością. Kimś, kto ma rodzić mi dzieci. Klaczą rozplodową. Tym dla mnie jesteś. Niczym więcej”. Bardziej niż to, co robił, przeraził mnie jego głos. Spokojny, beznamiętny i... normalny. Nie pasował zupełnie do jego zachowania. Zmusił mnie do uległości i... nie można by powiedzieć, że współżyliśmy ze sobą. Nie. To nie ma znaczenia, że byliśmy małżeństwem. Wziął mnie siłą. Zakneblował mi usta, żeby nie było słycać moich krzyków, kiedy mnie gwałcił. Przez cały czas nie przestawał mówić tym spokojnym głosem: „Spędzimy tutaj parę dni, żebyś poznała, jakie jest twoje miejsce, kobyło. Nauczysz się robić, co ci

każę, bez wahania i jakichkolwiek pytań. Karą za nieposłuszeństwo, choćby najdrobniejsze, będzie ból większy, niż możesz znieść”.

Patricia przerywa i milczy wyczerpana. Czekamy, nie przerywając ciszy, która zapadła. Nie spieszy mi się, jestem zupełnie pewna, że doprowadzi nas do tego, czego chcemy się dowiedzieć. Kiedy zaczyna znów mówić, niemal szepcze.

- Potrzebował trzech dni, żeby mnie złamać. Nacinał mi ciało nożem, przypalał papierosami. Bił mnie. Pod koniec robiłam już wszystko, co mi kazał, bez względu na to, jak odrażające lub poniżające to było. - Jej usta wykrzywia nienawiść do samej siebie. - Potem odsłoniło się ostatnie oszustwo. Zabrał mnie z hotelu do tego domu. - Kiwa głową. - Tak, miał go przez cały czas. Nie mieszkał w Teksasie. Pojechał tam na polowanie. Polowanie na kogoś, kto nada się do urodzenia mu dziecka.

- Peter - stwierdzam.

- Tak - mówi Patricia. - Mój mały, słodki chłopiec. - Nadaje słowu „słodki” nosowe sardoniczne brzmienie. - Keith wiązał mnie na noc, żebym nie spróbowała uciec od niego. Bił mnie, wykorzystywał, zmuszał do robienia wstrętnych rzeczy. W końcu zaszłam w ciążę. Był to jedyny okres spokoju, jakiego zaznałam od dnia ślubu. Gdy byłam w ciąży, nie bił mnie w ogóle. Byłam dla niego ważna, nosiłam w sobie jego potomka. - Przykłada dłoń do czoła. - Kiedyś dziękowałam Bogu, że to nie dziewczynka. Zabiłby ją zaraz po urodzeniu. Teraz już wiem, że to, iż urodziłam syna, było czymś równie złym na swój sposób.

Przez chwilę układa sobie dawne zdarzenia, potem kontynuuje swoją historię.

- Zmusił mnie, bym urodziła dziecko w domu, oczywiście. Sam odebrał poród. Podał mi szmatę, żebym się wytarła, gdy on przemawiał pieszczotliwie do małego Petera i zachwycał się nim. Kiedy się ogarnęłam i zdrzemnęłam trochę, oddał mi syna. I wtedy przedstawił mi ultimatum. - Patricia pociera nerwowo jedną dłoń o drugą. - Powiedział, że daje mi możliwość wyboru. Może mnie zabić i wychować Petera samodzielnie albo też zostanę przy nim i wychowamy syna wspólnie. Obiecował, że jeżeli z nim zostanę, już nigdy nie podniesie na mnie ręki. Będzie nawet spał osobno. Ale jeśli zostanę, a potem ucieknę... zapowiedział, że mnie odnajdzie, a wtedy będę umierała powolną śmiercią. - Jej dłonie zaciskają się jedna na drugiej. - Wierzyłam mu. Powinnam się zgodzić i potem zabić siebie i Petera, tak byłoby lepiej. Ale ciągle miałam nadzieję, że coś się jeszcze może zmienić.

Jej oczy i usta są pełne goryczy.

- Więc się zgodziłam. Dotrzymał słowa. Nigdy już mnie nie uderzył. Spał w swoim pokoju, ja w swoim. Peter, oczywiście, dzielił pokój z nim, co miało zagwarantować, że go nie wykradnę którejś nocy. Keith był chytry i tak ostrożny. Peter rósł, miał już pięć lat, a ja prawie zaczęłam myśleć, że wszystko uległo poprawie. Życie było normalne. Nie wspaniałe, ale znośne. Jakaż głupia

byłam wtedy. Bardzo szybko wszystko zaczęło się psuć. Chociaż on się nade mną nie zęcał, zaczął robić znacznie gorsze rzeczy. - Przerywa swoją opowieść, uśmiecha się do mnie słabo. - Przepraszam, ale muszę się napić kawy, zanim zacznę mówić dalej. Może jednak ktoś z was też się napije?

Sądzę, że to pozwoli jej się poczuć swobodniej.

- Ja chętnie - mówię i uśmiecham się do niej.

Jenny i Don przyłączają się do mnie. Alan prosi o szklanekę wody. Tylko James się nie odzywa.

Patricia wychodzi do kuchni.

- Wierzysz w to wszystko? - szepcze do mnie Alan.

- Raczej tak - mówię po chwili namysłu. - Tak, wierzę.

Patricia wraca z napojami na tacy. Spogląda na Alana.

- Słyszałam, co pan powiedział.

Alan wygląda na zaskoczonego i podenerwowanego. Jedno i drugie to u niego rzadkość.

- Przepraszam, pani Conolly. Nie chciałem pani obrazić, na pewno.

Patricia uśmiecha się do niego.

- Toteż ja się wcale nie obraziłam, panie Washington. Jedno, co się zyskuje, przeżywszy życie ze złym człowiekiem, to umiejętność rozpoznania człowieka dobrego. Pan jest dobrym człowiekiem. Zresztą to pytanie było słuszne. - Odwraca się na krześle tak, że siedzi teraz bokiem do nas. - Czy mogłaby pani rozpiąć mi suwak na plecach, agentko Barrett? Wystarczy tylko do połowy.

Marszczę brwi, wstaję, waham się.

- Proszę się nie krępować i zrobić to.

Opuszczam suwak w dół. Widzę coś, co sprawia, że muszę zamknąć na chwilę oczy.

- Niezły widok, prawda? - mówi Patricia. - Jeszcze niżej, niech wszyscy to zobaczą.

Obszar pleców Patricii, który się odsłonił, jest trwale oszpecony mnóstwem starych blizn. Mimo przerażenia dostrzegam, że musiano je spowodować w różny sposób, przez wiele lat. Niektóre to okrągłe ślady po przypalaniu papierosem, inne są długie i wąskie. Cięcia. Domyślam się, że wiele pochodzi od uderzenia biczem. Wszyscy się im przyglądamy, nikt nie odwraca głowy. To są dowody na prawdziwość słów Patricii, nadają trójwymiarowość jej historii. Zamykam suwak z powrotem. Cisza, która zapada teraz, jest ponura i niezręczna. Przerywa ją Alan:

- Bardzo mi przykro, że to pani zrobiono. I przepraszam za moje wątpliwości.

Patricia Conolly uśmiecha się do niego. Ten uśmiech wskazuje, że przywykła do tych blizn.

- Doceniam pańską uprzejmość, panie Washington. - Splata ręce na brzuchu i przez moment się marszczy. - Chcę, żebyście zrozumieli, że długo nie wiedziałam, co on robi. Dopiero po

pewnym czasie się dowiedziałam. Wtedy było już za późno. Keith zaczął w nocy spędzać z Peterem całe godziny w piwnicy. Zawsze zamykał drzwi na klucz. Początkowo Peter wracał stamtąd jakby zapłakany. Nie minął rok, a zaczął wychodzić z piwnicy uśmiechnięty. Rok później niczego po nim nie mogłam poznać, tylko jego oczy... spojrzenie miał takie jakieś wyzywające. Zanim skończył dziesięć lat, ta arogancja znikła. Wyglądał jak normalny dziesięcioletek. Umiejący się cieszyć i rozbawiać innych.

Kręci głową.

- Tak to wszystko widzę, z perspektywy czasu oczywiście. Wówczas nie zdawałam sobie w pełni sprawy, jakie zmiany zachodzą w dziecku. Chociaż tkwiło to w mojej podświadomości i narastało we mnie. Przez te wszystkie lata Keith rzeczywiście dotrzymywał danego słowa. Nie dotknął mnie ani razu. Nie próbował sypiać ze mną. Jakbym w ogóle dla niego nie istniała. Powinnam być z tego bardzo zadowolona, ale...

Emocje pojawiają się na jej twarzy nagle, jak burza z piorunami, z deszczem łez.

- Ale on tylko, dlatego zostawił mnie w spokoju, bo całą uwagę skupił na Peterze. A ja nigdy tego nie zakwestionowałam i nie próbowałam niczego zmienić. Po prostu oddałam syna w jego ręce. - Głos Patricii jest pełen nienawiści do samej siebie. - Boże, jakąż ja byłam matką?

Burza mija, Patricia ociera oczy wierzchem dłoni.

- Kiedy sięgam pamięcią wstecz, uświadamiam sobie, że widziałam zmiany w moim synu. Widziałam na jego twarzy uśmiech. Ten uśmiech jego ojca, jaki poznałam wiele lat wcześniej w pokoju hotelowym w naszą noc poślubną. Wyczuwałam w nim ten chłód. - Patricia znowu milknie, wzdycha głęboko. - To się stało, gdy miał piętnaście lat. - Jej oczy ponownie odbiegają w przeszłość. - Lata spokoju, gdy nie byłam bita ani gwałcona. Miałam czas, by zajrzeć dogłębnie w swoje wnętrze. Żyłam jak uwięziona w wieży, ale ta izolacja pozwoliła mi odnaleźć własne ja. Więc się zdecydowałam. Zaczęłam obmyślać plan z całą determinacją, bo czułam, że nadszedł czas, żeby uwolnić siebie i syna. Od pewnego momentu smutek we mnie zaczął się zmieniać w gniew. Plany się skonkretyzowały. Wiedziałam, że zabiję Keitha, musiałam tylko obmyślić jak.

Twarz Patricii wyraża pustkę.

- Postanowiłam to przeprowadzić w prosty sposób. Zaskoczę go, zaproszę do swojego łóżka. Pozwolę mu, by robił ze mną, co zechce. Pod poduszką ukryję nóż. Zabiję go, a potem wraz z synem opuszczę ten dom i wrócę do Teksasu. Tam zacznie się prawdziwe życie. - Spogląda na mnie ze smutkiem w oczach. - Są ludzie, którzy są dobrzy w zabijaniu, i tacy, którzy dobrzy nie są. Może zresztą rzecz nie w tym, że byłam kiepska w zabijaniu, to on był w tym bardzo, bardzo dobry. Wkrótce miałam się o tym przekonać.

Dotyka palcem złotego łańcuszka na szyi.



- Był rzeczywiście zaskoczony. Powiedziałam mu, że mi go brakuje w łóżku. Widziałam, jak w jego oczach zapala się ogień pożądania. Byłam przygotowana na jego brutalność, bo w inny sposób nie mógł osiągnąć zaspokojenia. Zdarł ubranie z mojego ciała, gdy zabrał mnie do mojej sypialni. - Nadal dotyka złotego łańcuszka. - Pozwoliłam mu się niezłe zabawić. Było to tak samo straszne jak dawniej, ale czym były te godziny wobec perspektywy wyzwolenia się na zawsze. - Kiwa głową. - Staralam się, żeby był zadowolony i zmęczony. Zanim to nastąpiło, jedno z moich oczu okolił czarny siniak, miałam opuchniętą wargę i rozkrwawiony nos. Zsunął wreszcie ze mnie swoje spocone ciało, opadł na plecy, zamknął oczy i dyszał z satysfakcją.

Oczy Patricii rozszerzają się mocno, gdy mówi o tym, co potem nastąpiło.

- Któż mógłby się spodziewać, że istota ludzka może być tak niezwykle szybka? Być może on nie był istotą ludzką. W momencie, gdy zamknął oczy, wsunęłam rękę pod poduszkę i chwyciłam nóż. Nie mogło minąć więcej czasu niż sekunda, gdy ostrze już sunęło ku jego gardłu. - Kręci głową, jakby nie mogła jeszcze dziś tego zrozumieć. - Złapał mnie za przegub, zanim ostrze zdążyło zagłębić się w jego ciele. Chwycił i unieruchomił moją rękę. Był zawsze tak silny. Silniejszy niż ktokolwiek ze znanych mi ludzi. Ścisnął mój przegub, uśmiechał się tym swoim uśmiechem i kręcił głową. „Kiepski pomysł, Patricio - powiedział. - Obawiam się, że będziesz musiała odejść”. - Jej ręce lekko drżą. - Byłam bardzo przestraszona, a on odrzucił nóż i uderzył mnie. Bił mnie długo i solidnie. Wybił mi kilka zębów, złamał nos i szczękę. Zaczęłam tracić przytomność, wtedy on pochylił się nade mną i szepnął mi do ucha: „Przygotuj się na śmierć, kobyło”. Potem wszystko stało się ciemnością.

Zalega cisza. Jestem zahipnotyzowana ruchami złotego łańcuszka kołysanego w przód i w tył.

- Ocknęłam się w szpitalu. Cierpiałam bardzo, ale nie przejmowałam się tym. Wiedziałam, bowiem jedno: jeśli ja nadal żyję, to znaczy, że on jest już martwy. Otwarłam oczy i zobaczyłam, że przy łóżku siedzi Pater. Gdy zauważył, że się ocknęłam, ujął moją dłoń i tak siedzieliśmy z godzinę, nie mówiąc ani słowa. Parę godzin później szeryf powiedział mi, co się wydarzyło w naszym domu. - Łzy napływają jej do oczu. - To był Peter. Usłyszał moje krzyki i wpadł do pokoju w momencie, gdy Keith zaczynał podrzynać mi gardło. Zabił go. Zabił własnego ojca, by uratować mnie.

Patricia sprawia wrażenie zagubionej.

- Czy wyobrażacie sobie, co czułam w tamtej chwili? Po tych wszystkich latach ulga była wręcz trudna do zniesienia, obezwładniała mnie. Do tego okazało się, że naprawdę mam syna, że ostatecznie wybrał mnie, a nie ojca. Okazało się, że jestem dla niego kimś naprawdę ważnym. - Łzy toczą się po jej policzkach. - Byłam przekonana, że utraciłam go już na zawsze. Przepraszam na chwilę.

Wstaje i chwiejnym krokiem podchodzi do półki, skąd bierze paczkę chusteczek higienicznych. Siada na powrót i wyciera oczy.

- Przepraszam, że tak się rozkleiłam.

- Niech pani nie przeprasza - odpowiadam szczerze.

To, przez co przeszła ta kobieta, trudno sobie właściwie wyobrazić. Ktoś mógłby spojrzeć na nią z pogardą, że tak długo znosiła to wszystko, nie była dość silna. Uważam, może niesłusznie, że jestem mądrzejsza od takiego kogoś. Patricia przeciera oczy chusteczką i wyciąga z paczki następną.

- Moje rany się zagoiły i wróciłam do domu. Nastaly dobre dni. Peter dowiedział, że mnie kocha. Pora obiadów nie była już jak dotąd czasem milczenia. Byliśmy... - Głos się jej załamuje. - Byliśmy rodziną. Nie trwało to długo.

Jej twarz smutnieje, gorycz i zniechęcenie przesłaniają ją, niczym czarna maska. Ręka znowu dotyka złotego łańcuszka, skręca go i szarpie.

- Peter nadal schodził do piwnicy każdej nocy. Przesiadywał tam godzinami. Mnie zabronił tam wchodzić i nie wiedziałam, co robił na dole. Bałam się, bo to musiało być coś, co robił ze swoim ojcem i w głębi duszy wiedziałam, że nic dobrego nie może z tego wyniknąć. Mijały miesiące, wciąż niepokoiłam się tą piwnicą, ale nie robiłam nic w tej sprawie. Ignorowałam prawdę, bo nie chciałam, by to była prawda. Czy można mnie za to winić? Keith, mój życiowy koszmar, nie żył. Miałam znowu syna. Życie było dobre. - Pociera dłonią czoło. - Ale najwidoczniej gdzieś w głębi hartowałam się na tej samotnej drodze. Zbyt wiele czasu upłynęło i zbyt wiele było takich nocy, gdy nie mogłam przestać myśleć o piwnicy. Pewnego dnia, kiedy Peter był w szkole, uznałam, że przyszła pora, by zejść na dół i rozejrzeć się tam. Keith zawsze trzymał swój klucz od tego pomieszczenia pod lampą w ich sypialni. Myślał, że nie wiem o tym, ale się mylił. Więc tego dnia wzięłam klucz Keitha, zeszłam na dół i otwarałam zakazane drzwi. Stałam i stałam na szczycie schodów, patrząc w mrok pode mną. Walczyłam ze sobą, wreszcie zapaliłam światło i zeszłam po schodach.

Patricia milknie. Tym razem przerwa trwa bardzo długo i zaczynam się obawiać, że całkiem straciła poczucie czasu, uwięziona w przeszłości. Już prawie wyciągam rękę, by dotknąć jej ramienia, gdy zaczyna mówić:

- Czekałam na jego powrót ze szkoły. Kiedy tylko stanął w drzwiach, powiedziałam mu, że byłam w piwnicy. I co tam znalazłam. Powiedziałam mu, że ocalił mi życie, obdarzył mnie wolnością i że zawsze będzie moim synem, więc nie powiem nikomu o tym wszystkim. Ale nie mogę pozwolić, by przebywał dłużej pod moim dachem. Nie byłam pewna, czy mi uwierzy - o tym, że nie zdradzę go przed nikim. Do dziś jednak myślę, że w gruncie rzeczy kochał mnie na swój sposób. Nie wiem, czy dlatego że byłam jego matką, czy raczej potrzebował czegoś, co by jakiejś

jego częście przypominało, że wciąż jeszcze jest istotą ludzką. Jakakolwiek była prawda, nie odezwał się na to ani słowem. Spakował się, zgarnął trochę rzeczy z piwnicy, pocałował mnie w policzek, powiedział, że mnie kocha i rozumie i odszedł. Od tamtej pory nie widziałam go więcej. Minęło prawie trzydzieści lat. - Płacze. Spogląda przez łzy na Dona Rawlingsa. - Gdy przeczytałam o tej biednej dziewczynie i dowiedziałam się, że jednym z podejrzanych jest Peter, wiedziałam, że to musiał zrobić on. Wszystko pasowało do tego, co znalazłam w piwnicy. - Zaczęła wykręcać palce. - Wiem, że powinnam wtedy coś zrobić. Ale on był wciąż moim synem, ocalił mi życie. Zdaję sobie sprawę, że ani jedno, ani drugie nie usprawiedliwia mojego milczenia, wtedy jednak wydawało mi się to słuszne. Teraz... - Wzdycha i to westchnienie jest tak ciężkie, jakby zawierało dziesiątki lat udręczenia. - Teraz jestem stara i zmęczona tym całym bólem, tajemnicami i nocnymi koszmarami.

- Co pani znalazła w tej piwnicy, Patricio? - pytam.

Patrzy mi prosto w oczy, bawiąc się łańcuszkiem.

- Niech pani pójdzie i sama zobaczy. Nie otwierałam tych drzwi nigdy więcej. Czas, żeby to zrobić.

Zdejmuje przez głowę złoty łańcuszek, którym się bawiła podczas rozmowy, na jego końcu wisi klucz. Wręcza mi go.

- Proszę, niech pani otworzy piwnicę, czas, żeby to ujrzało światło dzienne.

Wierzę Patricii Conolly, że nikt nie wchodził tu od dawna. Zamek stawia opór, nie był prawdopodobnie otwierany od prawie trzydziestu lat. Alan zмага się z nim, na przemian klnąc jak szewc i koncentrując się jak włamywacz.

- Oho! - mówi w końcu. Słysząc szcęknięcie zapadki. - Udało się!

Unosi ręce i otwiera drzwi na oścież.

Widzę drewniane schody, prowadzące w ciemność. Teraz dopiero nasuwa mi się pytanie:

- Patricio, to jest Kalifornia. Domów się nie podpiwniczają. Czy to Keith dobudował to pomieszczenie?

- Jego dziad. - Pokazuje miejsce na lewo od drzwi. - Widzi pani? Żółta, jaśniejsza plama na ścianie. Keith mówił, że półka na zawiasach służyła zamaskowaniu drzwi. Nie wiem, dlaczego kiedyś ją zdjął. - Patricia stoi tyłem do drzwi, jest przestraszona. - Zobacz pani, że to wejście prowadzi do rodzaju pasażu. Piwnica w rzeczywistości nie znajduje się dokładnie pod budynkiem. Keith twierdził, że jego dziadek zbudował ją tak celowo. Chodziło o trzęsienia ziemi.

- Była tam pani po trzęsieniu w dziewięćdziesiątym pierwszym?

- Nie. Nie byłam na dole od tamtego dnia. Kontakt jest po prawej. Niech pani będzie ostrożna.

Oddala się szybkim krokiem, niemal biegnie. Jenny spogląda na mnie spod uniesionych brwi.

- To niedobrze, Smoky. Jest powód, dla którego nie mamy piwnic w Kalifornii. Ten powód to ruchy sejsmiczne. Tam na dole może być niebezpiecznie.

Zastanawiam się nad jej słowami, ale tylko przez moment.

- Nie mogę czekać, Jenny. Muszę zobaczyć, co jest w tej piwnicy. Kiwa głową.

- Okay, ja też. Ale ty idziesz pierwsza.

Ruszam schodami w dół, za mną pozostali. Odgłos naszych kroków cichnie, im dalej schodzimy. Przypuszczam, że to sprawa grubej warstwy kurzu na wszystkim wokoło. Na dole jest cicho, czuć chłód i odizolowanie od zewnętrznego świata.

Jest tak, jak mówiła Patricia. Schody kończą się betonowym korytarzem. Po przejściu mniej więcej sześciu metrów widzę zarys drzwi. Zabiera mi tylko chwilę dotarcie do nich. Włączam światło i wszyscy wchodzimy do środka.

- No! No! - mówi James. - Obejrzyjmy sobie to wszystko.

Znajdujemy się w wielkim pomieszczeniu. Ma chyba ponad sto pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Nie ma tu żadnych ozdób ani też nic się nie wyróżnia. Goły beton, surowe oświetlenie, podstawowe umeblowanie. Tym, co przykuło uwagę Jamesa, było to, co zobaczył na ścianie na wprost wejścia.

Ruszam w tamtą stronę zdumiona. Ściana jest pokryta od sufitu do podłogi profesjonalnymi diagramami ludzkiego ciała w naturalnej wielkości. Wszystkie precyzyjnie opisane. Zaczyna się od obrazu pełnego ciała. Dalej jest obnażony układ mięśniowy. Potem kilka diagramów przedstawiających szczegółowo organy wewnętrzne. Podchodzę bliżej i wtedy dostrzegam sąsiednią ścianę, która jest słabo oświetlona i prawie tonie w mroku. To, co zdołałam mimo wszystko zobaczyć, wywołuje we mnie totalny wstrząs.

- Chodźcie tu i popatrzcie - wołam.

Ta ściana jest pomalowana na biało, żeby podkreślić czerni liter wypisanych na niej.  
PRZYKAZANIA RIPPERA

1. WIĘKSZOŚĆ LUDZI TO BYDŁO. TY POCODZISZ OD PREDATORÓW. AUTENTYCZNYCH PIERWOTNYCH ŁOWCÓW. NIGDY NIE POZWÓL, BY MORALNOŚĆ BYDŁA POWSTRZYMAŁA CIĘ OD SPEŁNIENIA MISJI.

2. W ŻADNYM WYPADKU NIE JEST GRZECEM ZABIĆ DZIWKĘ. ONE SĄ SKRZEKIEM SZATANA I CZYRAKAMI NA SKÓRZE SPOŁECZEŃSTWA.

3. KIEDY ZABIJASZ KURWĘ I WYCHODZISZ Z MROKU, ZABIJ JĄ W MOŻLIWIE NAJPOTWORNIEJSZY SPOSÓB. NIECH TO BĘDZIE LEKCJA DLA JEJ KUMPELEK.

4. NIE POCZUWAJ SIĘ DO ŻADNEJ WINY, JEŚLI ELIMINOWANIE DZIWIEK SPRAWIA CI RADOŚĆ. POCODZISZ Z PRADAWNEGO RODU I JESTEŚ MIĘSOŻERNY. TWOJA ŻĄDZA KRWI JEST CZYMŚ NATURALNYM.

5. WSZYSTKIE KOBIETY TO W GRUNCIE RZECZY DZIWKI. WEŹ KOBIETĘ TYLKO PO TO, BY PRZEDŁUŻYĆ NASZ RÓD. NIGDY NIE POZWÓL, ŻEBY ZAMĄCIŁA TWOJE UCZUCIA ALBO TWÓJ ROZUM. TO SĄ KLACZE ROZPŁODOWE I NIC WIĘCEJ.

6. NIE WOLNO CI PRZEKAZAĆ SWOJEJ WIEDZY CÓRCIE. MOŻESZ NAUCZAĆ WYŁĄCZNIE SYNA.

7. KAŻDY RIPPER MUSI ZNALEŹĆ SWOJEGO ABBERLINE'A. MUSISZ BYĆ ŚCIGANY, JEŚLI MASZ ZACHOWAĆ ZMYSŁY W NAJWYŻSZYM STOPNIU WYOSTRZONE, SPRAWNOŚĆ I TALENT DOSKONAŁE.

8. DOPÓKI NIE ZNAJDZIESZ SWEGO ABERLINE'A, TWOJE DZIEŁO MUSI POZOSTAĆ UKRYTE PRZED LUDZKIM WZROKIEM. NIKT NIE POWINIEN WIEDZIEĆ O TWOIM POWOŁANIU I CZYNACH.

9. UMRZYJ RACZEJ, NIŻ MIAŁBYŚ SIĘ DAĆ ZAMKNAĆ W KLATCE.

10. POTOMKOWIE CZŁOWIEKA MROKU SĄ NIEUSTRASZENI, ZASPOKAJAJĄ SWE ŻĄDZE BEZ SKRUPUŁÓW. ZAWSZE BĄDŹ TEGO PRZYKŁADEM. SZUKAJ DOBRZE WYKALKULOWANEGO RYZYKA, PRZEDSIĘWZIĘĆ, KTÓRE SPRAWIAJĄ, ŻE TWOJA KREW BĘDZIE BUZOWAĆ W ŻYŁACH.

11. NIGDY NIE ZAPOMINAJ, ŻE JESTEŚ POTOMKIEM CZŁOWIEKA MROKU.

- Niech to szlag - szepcze Don. Jestem skłonna się z nim zgodzić.

- Popatrzcie tam - wskazuje Alan.

W pomieszczeniu są trzy rzędy regałów.

- Kolejna lekcja anatomii. Teksty wszelkiego rodzaju na temat Jacka

Ripperera. - Alan zagląda z bliska i wyciąga coś z półki. - Tak myślałem.

- Spogląda na mnie. - Dziennik.

Przerzuca strony, zatrzymuje się w pewnym miejscu, podsuwa mi, żebym też mogła to zobaczyć. Widzę wyklejkę z czarno-białych fotografii, zajmujących kilka najbliższych stron. Przedstawiają młodą kobietę przywiązaną do stołu i zakneblowaną. Ściany wydają się znajome. Zatrzymuję się na moment, okrążam regały.

- Alan, popatrz. - Podchodzi do mnie, pokazując mi stół na wprost nas i fotografię.

- Cholera! - twarz mu się ściąga. - To jest robione tutaj.

Seria zdjęć ukazuje sceny gwałtu, tortur i wypatroszenia młodej kobiety. Wszystkie mają przerażający charakter zdjęć instruktażowych. Jakby zamaskowany mężczyzna prowadził seminarium z zadawania cierpienia i amoralnych czynów.

- Boże - wzdygam. - Ile jest tych zdjęć?

- Blisko setki, jak sądzę.

Przerzucam stronie i trafiam na zapisaną kartkę.

*Peter, jak się okazuje, ma świetne zadatki. Przyglądał się, jak zabijam dziwkę, robił zdjęcia i zadawał przez cały czas inteligentne pytania. Szczególnie interesował go proces wycinania wnętrzości. Jestem zadowolony, że problem z wymiotowaniem, który męczył go przez rok, mamy już za sobą.*

Przechodzę do innego zapisu.

*Tym razem zabrałem Petera na łowy. To była noc szkoleniowa. Chciałem, żeby się bardziej zaangażował osobiście. W końcu ma dziesięć lat. Byłem zadowolony, widząc, jak bardzo jest utalentowany.*

*Na marginesie, był zakłopotany, kiedy rozebrałem dziwkę, a on spostrzegł, że penis mu stwardniał. Wyjaśniłem mu, dlaczego tak się dzieje i zmusiłem dziwkę, by go zadowolila ręką. Był zafascynowany tym, co się z nim dzieje i wyglądało na to, że sprawiłem mu tym radość. Podziękował mi potem.*

I następny fragment.

*Peter zapytał mnie dzisiaj, ile miałem lat, kiedy zabiłem swoją pierwszą dziwkę. Wahałem się, czy powiedzieć mu całą prawdę. Jest tak pełen siły naszej linii, że bałem się odsłonić przed nim słabość mojego ojca. Obawiałem się, że może zważyć w szlachetność naszej krwi. W końcu wyjawiałem mu wszystko. Jak mój ojciec ukrył przede mną sekret pochodzenia. Jak sam odkryłem prawdę, badając genealogię rodu. O słabym zapieraniu się ojca, gdy konfrontowałem go z moimi odkryciami. Jak on i moja matka starali się wmówić mi, że jestem szalony. Nie musiałem się martwić o Petera. Jego spojrzenie pełne uwielbienia, wzrok, jakim mnie obdarzał, kiedy opowiedziałem mu historię o mojej wytrwałości w poszukiwaniu prawdy, o zemście, jaką wymierzyłem ojcu, będę pielęgnował w sobie na zawsze.*

- Chryste Panie - szepcze Alan. - Jest dokładnie tak, jak powiedziała Conolly. Zaczął wypaczać chłopca od małego.

- Nigdy nie miał szansy - zauważa James. - Zresztą to jest już bez znaczenia. On nie ma odwrotu.

Nie odpowiadam. W moich uszach narasta huk przyprawiający mnie o zawroty głowy. Przez moje ciało przelatuje elektryczny wstrząs. Zajrzałam na ostatnią stronicę dziennika. Podpis, jaki tam zobaczyłam, sprawia, że mózg mam rozedrgany przerażeniem, wściekłością, niedowierzaniem,

wstydem i poczuciem, że zostałam zdradzona, oszukana i obnażona. Może to tylko zbieg okoliczności, myślę.

Ale wiem, że tak nie jest.

Spoglądam raz jeszcze na przykazania wymalowane na ścianie i odczytuję ponownie siódme z nich: Każdy ripper musi...

- Smoky? - głos Alana jest ostry, zaniepokojony. - O co chodzi?

Nie mówię nic. Pokazuję mu tylko dziennik, wskazując na podpis: KEITH HILLSTEAD. Hillstead. Syn Peter.

Wiem, kim jest Jack Junior. On także mnie zna! Zna bardzo dobrze.



Potwory noszą ludzkie maski i umieją perfekcyjnie grać swoje role. Peter Hillstead oszukał wszystkich, a mnie chyba najbardziej. Co gorsza, był przy mnie, kiedy byłam zupełnie bezbronna. Ale jest coś nawet jeszcze bardziej przerażającego, coś, co budzi we mnie chęć wymiotów, gdy to sobie uświadamiam. On nie tylko mnie oszukał, wykorzystał, naruszył moją prywatność, on także mi pomógł. Zrobił to dla własnych celów, to prawda, jednak... Na myśl, że poprawę mojego zdrowia psychicznego zawdzięczam w znacznym stopniu właśnie jemu, chce mi się krzyknąć, rzygać i nie wychodzić przez rok spod prysznic.

- Wiem, kim on jest - odpowiadam na pytanie Alana.

Ogólne zaskoczenie, inni milkną, a potem wszyscy zaczynają mówić jednocześnie. Alan ucisza ten gwar.

- O czym ty mówisz?

Wskazuję ponownie na podpis pod notatkami dziennika.

- Keith Hillstead. Jego syn ma na imię Peter. Mój psychoterapeuta nazywa się Peter Hillstead.

Alan ma niepewną minę. Widzę wyraz powątpiewania w jego oczach.

- To może być czysty zbieg okoliczności.

- Nie. I będę miała sto procent pewności, jeśli zobaczę fotografie Keitha i Petera Hillsteadów. Wiek się zgadza.

- Do ciężkiej cholery - odzywa się James.

Ruszam w kierunku schodów.

- Chodźmy stąd.

Patricia czeka na nas w salonie.

- Pani Conolly? Czy ma pani jakąś fotografię Keitha Hillsteda i swojego syna?

Patricia przekrzywia głowę i patrzy mi w oczy.

- Znalazła pani coś, prawda?

- Tak. Ale potrzebne mi są te zdjęcia.

Podnosi się z krzesła.

- Po tym jak Peter odszedł, zauważyłam, że zabrał wszystkie swoje fotografie. Mam tylko jedno zdjęcie Keitha. Przechowuję je na dnie szuflady, by przypominało mi, czym jest zło. Proszę chwilę zaczekać.

Rusza w kierunku swojej sypialni i zaraz wraca ze zdjęciem.

- Proszę, to on - mówi, podając mi je. - Diabelnie przystojny. I chyba nic w tym dziwnego, bo łączyła go z diabłem bliska zażyłość.

Spoglądam na zdjęcie i przechodzi mi po grzbiecie zimny dreszcz. Resztki jakiegokolwiek wątpliwości znikają natychmiast. Widzę te jaskrawo-niebieskie oczy, tak porażające, piękne i wyraziste jak prawdziwe. Oczy Petera.

- Wyglądają prawie zupełnie tak samo. - Kiwam głową w stronę Jamesa. - Jestem absolutnie pewna. Doktor Hillstead to syn Keitha.

- To znaczy, że wiemy, kim jest mężczyzna, który zabił Renee?

Pytanie pada z ust Dona Rawlingsa. W jego oczach świta nadzieja, ale on próbuje powstrzymać jej narastanie. Mimo że wszystko we mnie wrze, udaje mi się uśmiechnąć do niego.

- Wiemy.

Wydaje się znacznie młodszy, niż wtedy, gdy przyjechał do nas. Oczy mu płoną silnym blaskiem, twarz ma pełną determinacji.

- Co powinienem teraz zrobić?

- Chcę, żebyście ty i Jenny zajęli się piwnicą. I domem. Jeśli uda nam się znaleźć odciski palców, które będą pasowały do odcisków Petera...

Nie muszę nic dodawać, oboje rozumieją.

Wiemy, kim jest Jack Junior, ale wiedzieć coś, a udowodnić to przed sądem, to dwie różne rzeczy.

- Zaraz się do tego bierzemy - odpowiada Jenny. - A wy, co zamierzacie robić?

- Wracamy do Los Angeles, dorwać drania.

Czuję czyjś dotyk na ramieniu. W tym całym podnieceniu prawie zapomniałam, że jest tutaj Patricia Conolly.

- Czy może mi pani coś obiecać, agentko Barrett?

- Jeśli będą mogła.

- Wiem, że Peter jest bardzo złym człowiekiem. Chyba był na to skazany od chwili, gdy jego ojciec zaprowadził go po raz pierwszy do tej piwnicy. Ale gdyby musiała go pani zabić... czy może mi pani obiecać, że zrobi to pani szybko?

Patrzę na nią i uświadamiam sobie, co mogłoby się stać ze mną, gdybym nadal przesiadywała całymi godzinami w mojej sypialni przed lustrem, wpatrując się w swoje blizny. Gdybym nie sięgnęła po broń, mogłabym się zmienić w takie jak ona widmo, utworzone z dymu wspomnień, skute pamięcią własnych cierpień, czekające na silny podmuch wiatru, który rozwiałby je w nicość.

- Jeśli do tego dojdzie, Patricio, zrobię, co będę mogła.

Patricia Conolly raz jeszcze dotyka mojego ramienia, w niemym podziękowaniu i siada z powrotem na krześle.

Wyobrażam sobie, że któregoś dnia znajdą ją martwą w tym miejscu, zaśnie na tym krześle i już się nigdy nie obudzi.

- Mogłabyś nas podzucić na lotnisko, Jenny?

- Jasne.

Spoglądam na Jamesa i Alana.

- Jedźmy i kończmy to.

Nasz odrzutowiec przewozi nas z powrotem do Los Angeles, jesteśmy już w połowie drogi, rozmawiam przez telefon z Leem.

- Mówisz poważnie?

Przed chwilą poinformowałam go, co znaleźliśmy w domu w Concord.

- Niestety. Chcę, żebyś zaczął przygotowywać wniosek o nakaz przeszukania. Powinien dotyczyć zarówno gabinetu, jak i jego domu. Opracuj go wstępnie, a ja uzupełnię szczegóły.

- Dobra.

- Zdobądź koniecznie jakieś zdjęcie Hillsteda, porównaj go z fotografiami z seksparty.

- Już się robi.

- W porządku. Przekaż wszystkim, co się stało, ja dzwonię do zastępcy dyrektora Jonesa. Będziemy za jakąś godzinę.

- Na razie, szefowo.

Rozłączam się i wybieram numer centrali. Łączą mnie z Shirley.

- Muszę z nim mówić, Shirley. Gdziekolwiek jest, cokolwiek robi. To bardzo ważne.

Shirley o nic nie pyta ani nie próbuje się spierać. Wie, że nie zwykłam wszczynać fałszywych alarmów. Nie mija trzydzieści sekund, a już słyszę głos Jonesa.

- Co się dzieje? - pyta.

Opowiadam mu o wszystkim. Concord. Keith Hillstead. Piwnica, co w niej znaleźliśmy. Kończę rewelacją o Peterze.

Cisza. Zatkąło go widocznie. Potem muszę odsunąć telefon od ucha, gdy zaczyna ciskać gromy i kłać.

- Więc nasz główny, w ostatnich dziesięciu latach, psychoanalityk, człowiek, który zajmował się naszymi agentami, jest seryjnym mordercą?! Czy tak mam rozumieć to, co powiedziałaś?

- Tak, proszę pana. Dokładnie tak powinien pan to rozumieć.

Znów chwila ciszy, a potem rzeczowe pytanie:

- Jaki masz plan?

Eksploduje wygasły. Teraz czas zająć się sprawą.

- Wydział zabójstw policji San Francisco bada dom i piwnicę. Mam nadzieję, że znajdą tam odciski palców Petera.

- Odciski palców? Po trzydziestu latach?

- Oczywiście. Znam przypadek, kiedy odciski palców zostały zdjęte z porowatego papieru po czterdziestu latach. Poleciałam też Leowi, żeby zajął się wnioskiem o nakaz przeszukania jego domu i gabinetu. Uzupełnię go zaraz po powrocie. Gdy tylko zdobędziemy nakaz, pełną parą rozpoczniemy rewizję.

- A co chcesz zrobić z Hillsteadem?

Rozumiem jego pytanie. Nie mamy wystarczających dowodów, by go aresztować, a tym bardziej uznać za winnego przed sądem.

- Muszę go zatrzymać i przesłuchać, kiedy będziemy dokonywali przeszukań. Działając wspólnie z tymi z San Francisco, powinniśmy znaleźć coś, co pozwoli przedstawić mu zarzuty i aresztować go w majestacie prawa.

- Prześlij mi wniosek o nakaz rewizji, kiedy tylko będzie gotowy. Chcę go przejrzeć osobiście.

- Tak jest, proszę pana.

Rozłącza się. Zwracam się do Jamesa i Alana: - Wszystko gra. Teraz już potrzebujemy tylko jednego, żeby ten cholerny samolot leciał jak najszybciej.

Po wylądowaniu wyskakujemy błyskawicznie na płytę lotniska. Dziesięć minut później pędzimy autostradą 405. Dzwonię znowu do Lea.

- Jedziemy już do biura, czy przygotowałeś dla mnie ten wniosek?

- Musisz jeszcze tylko wpisać parę szczegółów, wydrukować i gotowe.

- Dobrze.

Zatrzymujemy się przed budynkiem FBI i w tym momencie dzwoni moja komórka.

- Słucham, agentka Barrett.

- Pozdrowienia, agentko Barrett.

Głos jest wyraźny i tym razem niezniekształcony elektronicznie. Daję znak wszystkim, żeby zachowali ciszę.

- Dzień dobry, doktorze Hillstead.

- Brawa dla ciebie, Smoky. Brawo. Muszę przyznać, że zastanawiałem się, czy Renee Parker mogłaby powrócić kiedykolwiek z zaświatów, by mnie prześladować. Złamałem przez nią jedno z przykazań. Jeszcze ciebie nie znałem, ale pochwaliłem się moim dziełem, mimo wszystko. Po prostu nie mogłem się temu oprzeć. Sądziłem, że po dwudziestu pięciu latach... eh, cóż... nawet najlepiej obmyślane plany... I to że dałem Streetowi medalion i książkę... Ha, tak błagał, bym mu coś dał na pamiątkę. Naprawdę zasługiwał na mały dowód wdzięczności, był takim dobrym uczniem. Niezwykle gorliwym. - Hillstead chichocze. - Oczywiście zamierzałem obarczyć go winą za morderstwo, ale znalazłaś to. Trudno...

Głos mu się nie zmienił, lecz mówi innym tonem, jest w nim coś niepoważnego, dziwna nuta, jaka nigdy nie pojawiała się w czasie naszych rozmów w jego gabinecie.

- Więc już pan wie?

- Oczywiście, że wiem. Dopiero, co powiedziałem, że zastanawiałem się nad sprawą Renee, czyż nie? Byłoby nierozważne z mojej strony zastanawiać się, ale nie przygotować się na podobną ewentualność. To jednak całkowicie zmienia zasady naszej gry.

- Słucham? Czy dobrze słyszałam?

- No, jak to? - odkryłaś moją tożsamość, a skoro wiesz, kim jestem, to oznacza mój koniec. Ja i moi przodkowie zawsze żyliśmy w mroku, agentko Barrett. My nie dążymy do światła, a ono wręcz nam nie służy. No cóż, wielka szkoda. Czy wiesz, ile lat musiałem wysiadywać, słuchając jęków waszych ludzi, żeby trafić na swojego Abberline'a? Te niekończące się godziny, gdy trzeba było udawać, że interesuję się losem tych słabych i załamanych robaków i troszczyć się o nie. Najgorsze było to, że naprawdę im pomagałem, by móc kontynuować moje poszukiwania. - Wzdycha. - Wreszcie znalazłem ciebie i być może nawet trafiłem zbyt dobrze.

- Dalszy ciąg nie musi się ułożyć po pana myśli. Mogę pana doprowadzić na przesłuchanie. Znów chichocze.

- Nie sądzę, Smoky. Pomówimy sobie o tym za chwilę. Najpierw muszę ci się do czegoś przyznać. Pamiętasz swoją noc z Josephem Sandsem?

Udaje mi się zachować spokój. Jego słowa nie budzą we mnie gniewu.

- Wiesz dobrze, że pamiętam, Peter.

- Czy kiedykolwiek czytałaś akta tej sprawy? Dokładnie całą zawartość teczki? Łącznie z uwagami na temat tego, jak przestępca dostał się do twojego domu?

- Czytałam wszystko, oprócz raportu balistycznego, oczywiście, który ty stamtąd usunęłaś. Po co do tego wracasz?

Chwila ciszy. Mam uczucie, jakbym słyszała, że się złośliwie uśmiecha.

- Pamiętasz może, czy były jakieś ślady włamania?

Mam ochotę powiedzieć mu, że mnie znudził, że chcę się tylko dowiedzieć, gdzie teraz jest. Ale coś mnie przed tym powstrzymuje. Myślę o tym, co powiedział i sięgam pamięcią do raportów. Już wiem.

- Nie było żadnych śladów włamania.

- Właśnie, a chciałabyś wiedzieć, dlaczego nie było?

Nie odpowiadam. Teraz myślę o Ronniem Barnesie i zbieżności dat. Barnes zginął dziewiętnastego, Sands zamordował moich bliskich również dziewiętnastego.

- Powód był niesłychanie prosty, Smoky. On miał klucz. Po co wylaamywać zamki, jeśli możesz sobie zwyczajnie otworzyć drzwi? – Śmieje się. - Spróbuj zgadnąć, skąd miał ten klucz, agentko. - Doktor milknie dla lepszego efektu. - Jak to, nie wiesz? Ode mnie, najdroższa. Ode mnie.

Oczy Jamesa i Alana mówią mi, jaka jest moja reakcja na te słowa. Alan odsuwa się ode mnie przezornie. Wcale mu się nie dziwię. Nie mogę wydusić z siebie słowa, bo obezwładnia mnie pragnienie mordy, które zdaje się wypełniać teraz moje żyły zamiast krwi.

W głowie rozbrzmiewa mi huk pistoletowych wystrzałów. Oczy mi płoną wściekłością. To ta sama wściekłość, jaką czułam, leżąc przywiązana do łóżka, w czasie, gdy Joseph Sands ranił i wykańczał mojego Matta.

Mój Matt i moja Alexa, dwie miłości mojego życia. Te blizny, które oszpeciły mi twarz i ciało, rany, od których pękało moje serce i które niemal zniszczyły mi duszę. Miesiące sennych koszmarów, budzenia się z krzykiem w środku nocy, oceanów łez. Pogrzeby i nagrobki, zapach cmentarnej ziemi. Papierosy i rozpacz, litość obcych ludzi.

Ten potwór, uśmiechający się na drugim końcu linii, pozostawiał w spadku ruiny. Don Rawlings. Ja. Bonnie. Zmiażdżył nasze nadzieje w swoich łapach jak chleb i nakarmił okruchami istoty, które przemykają się chyłkiem w mroku. Karmił się naszym bólem jak ghul otwierający groby.

Nie jest całym złem tego świata, wiem o tym. Ale jest źródłem zła, jakiego i ja zaznałam. Zgwałcenie mnie, krzyki Matta, moje zdumienie, gdy pocisk przeze mnie wystrzelony ugodził Alexę - to wszystko on. Przez niego Donowi śnią się martwe dzieci, Callie walczy o życie w szpitalu. On winien jest śmierci mojej ukochanej przyjaciółki i temu, że jego matka, zrozpaczona i wyczerpana, więdnie i usycha w samotności jak stara róża.

- Gdzie się ukryłeś? - szepczę.

Znowu się śmieje.

- Trafiłem w czułe miejsce? Bardzo dobrze. To był twój ostatni test, Smoky. Jeśli potrafiłaś przetrwać wyczyny Sandsa, okazałaś się moim prawdziwym Abberline'em. - Jego głos brzmi teraz niemal łagodnie.

Jest w nim jakaś tęsknota i smutek.

- Gdzie jesteś? - pytam ponownie.

On się śmieje.

- Powiem ci, gdzie jestem, ale najpierw muszę ci kogoś przedstawić. Powiedz dzień dobry agentce Barrett.

Słyszę szmery w telefonie.

- S-smoky?

Doznaję wstrząsu, jak od elektrycznego impulsu.

Elaine. Wszystko toczyło się tak szybko, nikt nie wyznaczył ochrony na miejsce Keenana i Shantza. Przeklinam samą siebie. Idiotka, idiotka, idiotka!

- Jest tutaj ze mną, Smoky. Jest też ktoś jeszcze z nami, ktoś mały. Ktoś, kto nie może nic powiedzieć do telefonu, bo nie może mówić w ogóle. - Rechocze. - Czy to nie deja vu?

Tonę. Otacza mnie powietrze, ale nie jestem w stanie oddychać. Czas płynie teraz rytmem wyznaczanym przez łomot mojego serca, długie powolne buch-babach, buch-babach, jedno po drugim.

To, co czuję, nie jest strachem, ale przerażeniem. Mrozącym krew, skręcającym wnętrzności, histerycznym, panicznym przerażeniem. Aż się dziwię, że kiedy zaczynam mówić, mój głos brzmi tak spokojnie.

- Gdzie jesteś, Peter? Powiedz mi tylko to, a zaraz będę u ciebie.

Nie proszę go, by nie robił im krzywdy. Gdyby mi to obiecał i tak nie mogłabym mu wierzyć.

- Nowe reguły gry będą takie, Smoky. Jestem w swoim domu. Elaine leży przywiązana do łóżka, naga. Małą Bonnie trzymam w ramionach. Coś ci to przypomina? Jeśli nie zjawisz się tutaj w ciągu dwudziestu pięciu minut, zabiję Elaine, a to, co zrobię z Bonnie, będzie czymś już ci dobrze znanym, prawdę mówiąc. Jeżeli zobaczę jakichś policjantów albo ludzi z brygady terrorystycznej lub choćby będę podejrzewał, że są w pobliżu, zabiję je obie. Możesz tu przyprowadzić swój zespół, ale tylko tyle. Wszystko musi się rozegrać między tobą a mną. Rozumiesz?

- Tak.

- Dobrze. Od tego momentu zaczynam odliczać czas - już. Rozłącza się.

- Co się dzieje, do cholery? - pyta Alan.

Nie odpowiadam, patrzę mu w oczy. Widzę skupienie, niepokój, gotowość do działania i niesienia pomocy. Alan zawsze był gotowy, by spieszyć z pomocą, zwłaszcza, gdy chodziło o przyjaciół. Czuję własny oddech, nabieram powietrza i wypuszczam je, nabieram i wypuszczam.

Splywa na mnie ogromny, nieadekwatny do tej sytuacji spokój. Jestem sama na plaży, przyciskam morską muszlę do ucha. Słyszę ten słaby, niepowtarzalny szum. Czy jestem w szoku? Nie, nie sądzę. To jest Hillstead, który osiągnął wreszcie to, co chciał uzyskać od początku. A ja tak jak on jestem gotowa mordować bez zastanowienia, żalu czy jakiegokolwiek moralnej rozterki. Zdolna zabić z takim nastawieniem, jakbym wyrywała chwast.

Kładę dłonie na ramionach Alana, podnoszę wzrok.

- Posłuchaj, Alan. To, co ci powiem, jest straszne, przygotuj się na to, żebyś mógł to przetrzymać. Ja się tym zajmę.

Nie mówi nic. Odpowiedź ma w oczach, zaczyna się bać, zaczyna rozumieć.

- On ma Elaine i Bonnie - mówię.



Moje dłonie wciąż jeszcze dotykają jego ramion i czuję, jak kurczą mu się mięśnie, czuję, jak potężny dreszcz wstrząsa jego ciałem.

- Ma je, ale chce mnie. I pojedziemy tam, gdzie je trzyma. Jak tylko tam dotrzemy, cokolwiek się będzie działo, zabijemy go i je uwolnimy.

- Chwytam go mocniej za ramiona, wbijam w nie dosłownie palce. – Czy rozumiesz, co powiedziałam? Ja się tym zajmę.

Milczy. James jest spokojny, czeka.

- On będzie próbował wydostać się stamtąd i zabrać cię ze sobą - mówi Alan.

Kiwam głową.

- Wiem. Będę musiała być szybsza od niego.

Wyciąga ręce, zamyka moje dłonie w swoich i trzyma tak przez chwilę. Boże, te jego ręce są takie wielkie i twarde, a mimo to ich dotyk jest tak delikatny.

- Bądź szybsza, Smoky - mówi i głos mu się łamie.

Odchodzi na bok, wyciąga pistolet i sprawdza magazynek. Rusza do samochodu.

- Chodźmy - woła.

Gnie się, ale nie łamie.

Czy uda nam się złamać tamtego, pyta smok. Zmiażdżymy mu kości? To retoryczne pytanie, nie muszę mu odpowiadać.

W drodze dzwonię do Tommy'ego.

- Wciąż jeszcze jedziesz za mną? - pytam.

- Taak.

- Sytuacja uległa zmianie. - Informuję go pokrótce, co się wydarzyło.

- Co mam robić?

- Jedź pod ten adres i przyczaj się tam. Jeśli zobaczysz, że wychodzi sam, to będzie znaczyło, iż zdołał się nam wymknąć.

- I?...

- Jeżeli tak się stanie, chcę, żebyś go zlikwidował.

Długie milczenie, potem odpowiedź w jego normalnym stylu.

- Masz to jak w banku.

- Dzięki, Tommy.

- Hej, Smoky, nie daj się zastrzelić... Wciąż jestem ciekaw, czy nas to do czegoś doprowadzi.

Rozłączamy się.

Zbliżamy się do podjazdu. Wszystko wokół wygląda normalnie. Miłe, spokojne przedmieście. Gdy biorę zakręt, dzwoni mój telefon.

- Barrett.

- Jesteś przed czasem, Smoky. Tak się cieszę! Teraz krótka instrukcja. Wejdiesz tu głównymi drzwiami. Twoi przyjaciele pozostaną na zewnątrz. Jeżeli te dwa warunki nie zostaną spełnione, zabiję Elaine i małą Bonnie. Jasne?

- Jasne.

- Dobrze, więc wchodź!

Sygnal się urywa. Wyciągam pistolet, sprawdzam go, pozwalam, by przyłgął do mojej dłoni. Lśniący, stalowy ptak śmierci. Niemal słyszę szum jego skrzydeł.

- Ja wchodzę, wy zostajecie przed domem. Takie są jego warunki.

- Nawet nie chcę tego słuchać - mówi Alan. W jego głosie słyszę nutę rozpacz.

Spoglądam na niego wymownie.

- Ja to załatwię, Alan. - Pozwalam mu zobaczyć smoka, usłyszeć go. Podnoszę pistolet. - Nie chybię.

Patrzy na broń. Zwilża językiem wargi. Wyraz twarzy ma ponury i bezradny zarazem, daremna wewnętrzna walka, gniew wywołany lękiem. W końcu jednak przełyka ślinę i kiwa głową. Zerkam na Jamesa, on także potakuje.

Co można jeszcze powiedzieć? Odwracam się od nich i trzymając pistolet przy boku, ruszam ścieżką w stronę głównego wejścia do domu Hillsteda. Kładę dłoń na gałce i ją przekręcam. Serce wali mi w piersiach, krew tętni w żyłach. Bardzo się boję, ale jednocześnie jestem podniecona i przepelnia mnie dziwna radość. Wchodzę do tego domu i zamykam za sobą drzwi.

- Zapraszam na górę, droga Smoky - słyszę głos Hillsteda. Dobiega z pierwszego piętra.

Wchodzę powoli po schodach. Po szyi ścieka mi pot. Docieram do szczytu schodów.

- Jestem tutaj, agentko Barrett.

Z pistoletem uniesionym w dłoni wchodzę do sypialni. To, co widzę, wywiera na mnie takie wrażenie, jakie zgodnie z jego kalkulacjami wyrzucić miało: zamieram z przerażenia.

Elaine jest przywiązana do łóżka. Naga, ręce i stopy ma związane. Żółć wzbiera mi w gardle, gdy spostrzegam, że już ją pociął. Na skórze brzucha wyróżnął grę w kółko i krzyżyk, naciął też linię nad jej piersiami. Ale to, co widzę w jej oczach, sprawia, że odczuwam pewną ulgę. Jest przerażona, lecz patrzy wyzywająco, a to oznacza, że Hillstead nie zabrał się do niej jeszcze tak naprawdę, jak potrafi. Jeszcze jej nie złamał.

Peter siedzi przy końcu łóżka na wyściełanym krześle. Ma na kolanach Bonnie, trzyma nóż przytknięty do jej tętnicy szyjnej. Ona także ma wyzwanie w oczach, ale jest w nich coś więcej,

czego nie ma u Elaine. To nienawiść. Gdyby mogła zamordować tego człowieka, który zabił jej matkę, zrobiłaby to bez mrugnięcia okiem.

- Deja vu, czy nie tak, agentko Barrett? Zauważ, że jeszcze nie tknąłem jej buźki. - Chichocze. - Pomyślałem, że mógłbym wprowadzić tutaj różne elementy twojego własnego bólu i psychozy. Mam na myśli zniszczenie czegoś pięknego, powracający zespół problemów, które cię wciąż dręczą, jak mi się zdaje. Mamy tu okaleczenie i zeszpecenie. I na koniec to, co być może jest najlepsze ze wszystkiego, mamy twoją córkę Alexę w roli tarczy.

Podnoszę pistolet, ale on przesuwa głowę Bonnie i osłania nią swoją głowę. Przyciska mocniej koniuszek noża i na jej szyi pojawia się kropelka krwi.

- Nie spieszmy się za bardzo - mówi. - Mam przygotowane krzesło również dla ciebie. Siadaj, proszę. Będzie jak kiedyś w moim gabinecie, zabawne prawda?

Zmiażdż mu kości, warczy smok. Cicho bądź, odpowiadam na to, muszę się skoncentrować.

Rozglądam się, krzesło, które mi wskazał, stoi na wprost niego. Tak jak powiedział - jak kiedyś. Robię parę kroków i siadam.

- Zamierzasz znowu poddać mnie psychoanalizie, Peter? - pytam.

Śmieje się i kręci głową.

- To oboje mamy już za sobą. Nie mam nic nowego do przekazania na twój temat.

- Więc czego chcesz?

W jego oczach pojawia się błysk i w tych okolicznościach jest to odrażające.

- Chcę z tobą porozmawiać, Smoky. I bardzo jestem ciekaw, jak to się skończy.

Patrzę na jego kolana. Mogłabym mu je przestrzelić w mgnieniu oka. Podnieść pistolet, bach-bach i zakończyć to strzałem w głowę. Tylko wdech i wydech, trzy naciśnięcia spustu, baj, baj, Peter.

Już w momencie, gdy o tym myślę, rozpoczynam ten ruch. Lufa pistoletu się unosi. Wiem, że jest ustawiony właściwie, to instynkt. Mam zakodowane w podświadomości, z jaką siłą muszę nacisnąć spust, o ile centymetrów będę musiała przesunąć lufę po pierwszym strzale, by odstrzelić drugie kolano. Nie myślę o tym, to rozgrywa się w mojej podświadomości.

Tylko, że nic z tego nie będzie, ponieważ ręka, w której trzymam pistolet, drży.

Co więcej, nie drży, ona się wręcz trzęsie.

Przymykam oczy, opuszczam rękę. Peter wybucha głośnym śmiechem.

- Smoky! Może pospieszyłem się z diagnozą. Być może musimy jeszcze kontynuować terapię!

Czuję nadciągającą panikę.

Zbliża się nieuchronnie, powoli, jak ciemna fala nocą na plaży. Za chwilę mnie zaleje. Patrzę na twarz Bonnie, zaskakuje mnie, z jaką ufnością spogląda wprost w moje oczy.

Przymykam powieki, otwieram je, obraz twarzy Bonnie rozmazuje mi się nieco. Ponownie przymykam je i otwieram. Na kolanach Petera siedzi Alexa.

W jej oczach płonie gniew. Nie ma w nich śladu ufności.

Alexa wie przecież najlepiej.

Słyszę teraz w uszach słabe brzęczenie. Brzęczenie? Nie... Przechyliłam głowę, nasłuchuję. To czyjś głos, daleki i słaby. Z trudem rozróżniam słowa.

- Smoky? Jesteś tu z nami?

Głos Hillsteda powoduje, że znowu widzę przed sobą twarz Bonnie.

Z przerażeniem zdaję sobie sprawę, że tracę zdolność myślenia i kontrolę nad sobą. Właśnie tutaj! Właśnie teraz! Teraz, gdy potrzebują mnie najbardziej.

Boże święty.

Przełykam ślinę i zmuszam się do mówienia.

- Powiedziałeś... powiedziałeś, że chcesz porozmawiać, więc rozmawiajmy.

Nie są to właściwe słowa, ale przynajmniej brzmią normalnie. Jestem złana potem. Hillstead milczy.

- Myślisz może - zaczyna - iż żałuję, że znalazłem się w takiej sytuacji. Jeżeli tak sądzisz, jesteś w błędzie. Ojciec nauczył mnie przestrzegania pewnych zasad. Jednym z jego ulubionych powiedzeń było: „Nie jest ważne, jak długo będziesz żył. Ważne, jak doskonale zabijałeś, dopóki żyłeś”.

- Patrzy na mnie spod zmrużonych powiek. - Czy coś z tego rozumiesz? Być wiernym swemu dziedzictwu, brać naprawdę wzór z Jacka Rippera - to nie znaczy tylko zabijać dziwki i drwić sobie z FBI. To wymaga pewnej... klasy. Chodzi o sposób, w jaki się dokonuje morderstwa, nie o sam akt jako taki. - W jego głosie brzmi duma. - Tniemy was, używając najszlachetniejszych ostrzy, pijemy waszą krew z kryształów będących dziełem wielkich artystów. Ubrani w garnitury od Armaniego dusimy was za pomocą jedwabnych szali. - Zerka na mnie zza Bonnie. - Zabić potrafi każdy dureń. Moi przodkowie i ja - my tworzymy historię. Stajemy się nieśmiertelni.

Staraj się zyskać na czasie, myślę, bo znowu gdzieś w sobie słyszę ten głos i wiem, wiem na pewno, że cokolwiek on powie, to będzie coś ważnego.

- Nie masz dzieci - mówię. - Więc na tobie się to skończy. I tyle będzie tej nieśmiertelności.

Wzrusza ramionami.

- Te geny pojawią się znowu. Kto może mieć pewność, że nie zostawił swojego nasienia gdzieś w jakimś miejscu? Kto może powiedzieć, że ja go gdzieś nie pozostawiłem? - Usta wykrzywia mu uśmiech. - Nie byłem pierwszym i nie będę ostatnim. Nasza rasa przetrwa.

Nagle poraża mnie straszna myśl. Czy to możliwe, że ja nie chcę tak naprawdę uratować Bonnie? Że jakaś częśćka mojego mózgu uważa, że to byłoby nie w porządku wobec Alexy?!

Ręka, w której ściskam kolbę pistoletu, ciągle drży.

Ten cień myśli we mnie jest wciąż słaby, ale zaczyna mnie ponaglać.

Spoglądam na Hillsteda, marszcząc brwi.

- Rasa? Co za rasa?

- Pierwotnych łowców. Dwunożnych predatorów.

- Aha, no tak. Te twoje bzdury.

Zapiera mi dech, gdy widzę, jak jego palce zaciskają się mocniej na rękojeści noża wymierzonego w szyję Bonnie. Ale zaraz rozluźnia chwyt i śmieje się gardłowo.

- Najważniejsze w tym wszystkim, moja Smoky, jest to: nie ma znaczenia fakt, że mnie dopadłaś. W ostatecznym rozrachunku liczy się to, że byłem wierny naszym zasadom. Znacznie bardziej niż mój ojciec, bo on nigdy nie odnalazł swojego Abberline'a. A moi uczniowie?

Mam wrażenie, jakbym miała przed sobą napuszonego ptaka, który czyści sobie pióra, dumny i zadowolony z siebie. On znowu zerka w moją stronę.

- Poza tym mam dla ciebie pewną propozycję, a nawet dwie. Odrobina rozrywki na koniec.

Po raz pierwszy odkąd zadrżała mi ręka, w której trzymam pistolet, ten głos rozbrzmiewający gdzieś we mnie milknie. Ogarnia mnie niepokój.

- Jaką propozycję?

- Kilka szram za życie. Chcę pozostawić ślad po mnie na tobie i w zamian coś ci dać.

- O czym ty mówisz, do cholery?

- Gdybym tak ci powiedział: weź swój pistolet i zastrzel się, a ja puszcze Elaine i Bonnie, czybyś mi uwierzyła?

- Na pewno nie.

- No tak. Ale... jeśli ci powiem: weź nóż i potnij sobie twarz, a ja pozwolę im odejść...

Mój niepokój się wzmacnia. Pocę się jeszcze mocniej.

- Aaaach... widzisz? To jest ta śmieszna strona gier o najwyższe stawki, Smoky. Musisz to sobie przemyśleć, prawda? - Śmieje się. - Jest mnóstwo możliwości. Nie robić nic, zachowywać się jak dotychczas, może wyciągniesz je z tego, a może obie zginą. Potniesz siebie, może ja kłamię i ich nie uratujesz... ale przecież masz tylko pociąć siebie. To nie jest gorsze od śmierci, prawda? Lub: potniesz siebie i ja być może pozwolę jej odejść. A skoro jest szansa, że tak może się stać, scenariusz numer dwa wart jest rozważenia. Jeszcze gorsza jest dla ciebie możliwość, że mówię prawdę. Jest rzeczą prawdopodobną, że zechcę wymienić Elaine za radość, jaką mi sprawi to, że cię zmuszę, żebyś się sama okaleczyła i zdobyła nowe blizny na twarzy, czyż nie? Zwłaszcza, kiedy trzymam tę małą ślicznotkę jako tarczę.

Nie odpowiadam. Niepokój przechodzi w uczucie mdłości, coś porusza mi się w żołądku, jakiś pająk łaskocze. On się nie myli. Mogłabym to rozważyć. Hillstead proponuje stawkę

porażającą, ale byłabym ją w stanie znieść. Jak w każdej grze, mogę przegrać, ale nagroda, jeśli wygram, jest warta, by wykonać ruch.

Prawdopodobnie tak.

Nie, nie, nie, krzyczy smok. Zmiażdż mu kości! Zamknij się, uciszam go.

Tamten głos wciąż się odzywa. Jest obecny, ale się nie zbliża. Czeka.

- Proponujesz mi to naprawdę, Peter?

- Oczywiście. Tu jest nóż, pomiędzy poduszką i poręczą krzesła.

Kładę pistolet na kolanach, wyciągam rękę i przesuwam palce wzdłuż brzegu poduszki.

Czuję go. Zimną stal. Macam przez chwilę, odnajduję rączkę, chwytam ją i wyciągam nóż.

- Przyjrzyj mu się, Smoky.

Przyglądam się. Jest to nóż myśliwski. Przeznaczony do rozbierania zwierzyny.

- Blizny - mruczy Hillstead. - Pamiątki. Jak... słoje na drzewie, znaczące mijające lata.

Jedno jego oko wзира z za Bonnie i już nie odrywa go ode mnie. Widzę, jak się porusza, prawie przykleja do mojej twarzy, jest jakby miękka dłoń gładząca moje szramy. Uświadamiam sobie, że on kocha je w jakiś sposób.

- Chcę pozostawić swój ślad na tobie, droga Abberline. Chcę, żebyś widziała mnie, kiedy spojrzysz w lustro. Już zawsze.

- A jeśli to zrobię?

- Pozwolę ci wtedy tym nożem rozciąć więzy Elaine i ją uwolnić. Cokolwiek potem się zdarzy, ona wyjdzie stąd żywa.

Elaine usiłuje coś powiedzieć przez wetknięty w usta knebel. Przenoszę wzrok na nią. Nie, mówią jej oczy. Nie, nie, nie...

Mam w ręku nóż. Moja twarz jest mapą bólu. Oznacza utratę wszystkiego. Tego właśnie przypomnieniem są moje blizny. Być może blizna, której on zażąda, będzie pamiątką ocalenia Elaine. Może będzie to po prostu kolejna szrama. Być może wszystkie tutaj umrzemy i zostanę pochowana z niezagojoną raną.

A gdybym przyłożyła pistolet do głowy i nacisnęła spust, czy moja ręka zadrżałaby wtedy? Gdybym to do siebie chciała strzelić?

Wszystko wokół mnie wiruje. Bonnie zmienia się w Alexę, Alexa w Bon-nie. W głowie huczy mi ocean. Jestem śmiertelnie spokojna i przerażona zarazem. Tracę chyba rozum, ale tak. Zgodzę się.

Odwracam wzrok od oczu Elaine.

- W którym miejscu? - pytam.

To pełzające po mojej twarzy oko się rozszerza. Widzę fałdę przy jego brzegu. Hillstead się uśmiecha.

- Proste żądanie, moja Smoky. Zachowajmy jedną stronę bez okaleczeń. Lubię myśleć o tobie, że masz jedną połowę twarzy piękną, a drugą potworną. No, więc po lewej stronie. Jedna pojedyncza linia, spod oka do kącika tych pięknych ust.

- I jeśli to zrobię, mogę uwolnić Elaine z więzów?

- Tak jak powiedziałem. - Wzrusza ramionami. - Mogłem skłamać, oczywiście.

Waham się jeszcze, ale podnoszę nóż. Nie dał mi innej możliwości. Po co więc zwlekać?

Przykładam czubek noża pod moim lewym okiem, czuję jego chłód. To dziwne, myślę. Nic nie wydaje się tak bardzo zimne i tak zupełnie nieczułe, jak nóż, gdy jego krawędź opiera się o twoje ciało. Nóż jest jedynym w swoim rodzaju żołnierzem, wykona każdy rozkaz i dopóki tnie, nie obchodzi go w ogóle, do jakiego celu został użyty.

- Upewnij się, że wszedł głęboko. Chcę zobaczyć kość, gdy już to zrobisz.

Joseph Sands chciał, żebym dotknęła jego twarzy. Peter Hillstead chce, żebym dotknęła własnej. Robię to. Tnę głęboko i ruchem zdecydowanym. Ból jest dotkliwy. Nóż jest ostry jak brzytwa. Otwiera mi skórę, znudzony

- to nie jest żaden fachowy lifting. Tworzy się długa krwawa linia, krwi jest mnóstwo, spływa mi po twarzy. Strużka dociera do warg, czuję jej smak.

Smok ryczy.

Hillstead jest urzeczony. Widzę to jego szeroko rozwarte oko. Chłonie ten widok, pije go łapczywie. Zaspokaja pragnienia.

Daję mu jeszcze chwilę, by się nasycił. Kieruję nóż w jego stronę.

- No, więc? Mogę uwolnić Elaine?

Jego oko jest wciąż szeroko rozwarte. Znowu przykleja je do krwi spływającej z mojego podbródka.

- Jakie to piękne - cedzi.

Kap, kap, kap. Jest zauroczony tym purpurowym strumykiem.

- Peter. - Odrywa niechętnie wzrok od widoku krwi. - Mogę przeciąć jej więzy?

Mruży oczy. Uśmiecha się.

- Ech, cóż... - mówi, przedłużając celowo tę chwilę. - Nie. Myślę, że... nie.

Przepelnia mnie jednocześnie rozpacz i pogarda.

- Jesteś taki przewidywalny - mówię. - Gdybyś chciał postąpić w sposób oryginalny, pozwoliłbyś Elaine odejść. Nie pozwalasz, tego się właśnie po tobie spodziewałam.

Wzrusza ramionami.

- Nigdy nie można zadowolić wszystkich.

- Mnie możesz jeszcze zadowolić.

- Jak?

- Umierając, Peter. Umierając.

Zuchwałe słowa, myślę, ale nadal boję się mojego pistoletu. Wybuchają śmiechem.

- Masz rację, Smoky. A teraz weźmy się naprawdę do roboty. – Jedną ręką chwyta Bonnie za szyję. W drugiej ciągle trzyma nóż przytknięty do jej tętnicy. - Dałaś mi to, czego chciałem. Czas kończyć.

Upuszczam nóż. Hillstead odprowadza go wzrokiem, kiedy spada z brzękiem na podłogę. Ja także śledzę to spadanie, zahipnotyzowana jego połyskiem i plamami mojej krwi na jego ostrej krawędzi.

Mrużę oczy. Przekrzywiam głowę na bok. Tamten głos powraca. Brzmi teraz wyraźniej.

- Jak to się skończy Peter? - pytam, nie patrząc na niego.

- Nie wiesz? Tylko tak jak się może skończyć. Możliwe są dwa sposoby.

Rzucam na niego szybkie spojrzenie. Jestem teraz podzielona na dwie części. Jedna patrzy na Hillsteada, słucha go, odpowiada. Druga uporczywie wyęcza słuch, chce, by dotarło do niej to, co mówi tamten głos.

- Jakie sposoby?

Hillstead mruży oko.

- Poderżnę Bonnie gardło, Smoky. Będę liczył do dziesięciu, a potem rozetnę ją od ucha do ucha, uśmiechnie się naprawdę szeroko, chociaż będzie to uśmiech przez łzy. Jeśli wcześniej mnie nie zabijesz, oczywiście.

- Nóż kołysze się w jego ręku. - I tak w końcu do mnie strzelisz, jestem tego pewien, i umrę. Jeden sposób? Zastrzelisz mnie, zanim doliczę do dziesięciu, Bonnie ocaleje. A drugi? - Kieruje oko na broń w mojej dłoni.

- Powtórka ze sceny z Alexą. Bonnie umiera, następna córka stracona. Zabijesz mnie tak czy inaczej, ale za późno, za późno.

Teraz słyszę ten głos wyraźnie. „Mamusiu”.

- Musisz zrobić tylko jedno, moja Smoky. - Jego głowa się wynurza. Do twarzy ma przyklejony uśmiech. - Pozwolić, żebym ci pomógł po raz ostatni.

„Mamusiu, posłuchaj mnie. Możesz to zrobić. Wszystko jest w porządku”. Nieruchomieję wewnątrz. Uciszam się, uciszam, uciszam.

- Pieprzę cię!

- Nie sądzę, Smoky. - Uśmiecha się jeszcze szerzej. - Nie możesz sobie pozwolić na żaden błąd. Dam ci dziesięć sekund, a potem ją zabiję. Przycisnę nóż i rozetnę jej ładną szyjkę, otworzę jej gardło na oścież. Ma tylko jedną szansę - twój celny strzał. Możesz też chybić i zabić ją tak, jak to się stało z Alexą. Możesz zamordować następnego dziecko strzałem z pistoletu.

Krew kapie mi z twarzy. Patrzę teraz w oczy Bonnie. Ale myślę o Alexie.



Wszystko, co było piękne w niej, pojawia się przede mną jednocześnie. Każda chwila, w której widziałam jej uśmiech, trzymałam w objęciach, czułam zapach jej włosów. Każda jej łza, jaką kiedykolwiek starłam z jej twarzy, każdy anielski pocałunek, którym mnie kiedykolwiek obdarzyła. To prawda, wspomnienia o niej powracały do mnie ostatnio wiele razy. Te jednak są dziesięć tysięcy razy żywsze, wyraźniejsze. Milion razy silniejsze.

Wszystko odeszło, odeszło na zawsze.

- No dalej, agentko specjalna Barrett. Zaczynam liczyć do dziesięciu.

Płynę przez ocean łez, nie widać nic na horyzoncie.

Więc znowu to pytanie, czy zadrzy mi ręka, gdy skieruję lufę pistoletu ku sobie? Mogłabym zakończyć wszystko w trzeci sposób. Szybko, łatwo położyć kres wspomnieniom. Tego pragnę najbardziej - nie pamiętać mojej przeszłości.

- Byłaś moim Abberlaine'em, Smoky. Powinnaś być dumna, jesteś najlepsza spośród najlepszych. Nikomu nigdy nie udało się schwytać żadnego z nas, jeśli prześledzić wstecz całą drogę do mojego przodka. Podziwiam twoją sztuczkę z ciałem w słoiku. To jawne kłamstwo, ale przyznam, rozzłościłaś mnie. A schwytanie Roberta, no cóż... był nieudolny, więc nie nazwę tego genialnym wyczynem z twojej strony. Ale masz talent, Smoky. Byłaś naprawdę świetna.

Prawie go nie słyszę. W moich uszach rozbrzmiewa tak głośny ryk, że jeszcze chwila, a zagłuszy cały świat. To ja, która walę pięściami w siebie, aż pokrywają się krwią. Ja, która wyję i umieram...

„Mamusi!”

Ryk ustaje. Jaka cisza.

Widzę ją kątem oka, ale nie mogę na nią spojrzeć. Nie. Za bardzo się wstydę.

„Jest w porządku, mamusi. Jest dobrze. Musisz tylko pamiętać o jednej rzeczy”.

O czym? Że zawiodłam ciebie? Że cię zabiłam? Że ja żyję, a ty umarłaś? Że - i to jest najgorsze ze wszystkiego - życie potoczyło się dalej. Zalewa mnie wstyd, ryje swym pyskiem we mnie, draży moje wnętrze. To jest ból, absolutny i bezgraniczny.

W końcu dotarłam, myślę. Nieodwracalnie, do punktu, w którym na dobre tracę rozum. Zapadam się w ciemność.

Zaczyna mnie opuszczać świadomość.

Ale nagle Alexa się uśmiecha.

Widzę przed sobą oślepiające słońce. Żłote, niszczące każdy mrok światło.

„Nie, mamusi. Pamiętaj o miłości”.

To jest tak, jakby ktoś nacisnął przycisk „Pauza”. Wszystek ból, cały wstyd znikają. Zostają zawieszony.

Teraz króluje spokój.

Niemal widzę, jak ta chwila przepływa. Puk, odzywa się moje serce, a potem słyszę ciche buch.

Na wprost mnie stoi Alexa. Nie jest to już rozmazany, niewyraźny obraz, cień ani krótki moment w czasie snu. Moja piękna Alexa jaśniejąca blaskiem.

- Cześć, mamusiu - mówi.

- Cześć, kochanie - szepczę.

Wiem, że tak naprawdę to jej nie ma, ale wiem także, że jest tu w taki sposób, jak może.

- Musisz wybrać, mamusiu - mówi cichym głosem. - Ostatecznie.

- Co masz na myśli, dziecinko?

Pochyliła się do przodu i zamyka moje dłonie w swoich. Jest pełna czułości i tak piękna, że serce ściska mi się z bólu.

- Że będziesz żyć, mamusiu.

Prawda, jak wiem z doświadczenia, pojawia się bez fanfar, ale gdy się pojawi, zmienia wszystko na zawsze. Prawda jest zawsze prosta.

Ta także jest taka.

Wybór pomiędzy życiem i śmiercią to wybór pomiędzy Alexą i Hillsteadem.

Pomiędzy Mattem i Sandsem.

Alexa uśmiecha się na pożegnanie... i znika.

Właśnie tak, wystarcza tylko jedno uderzenie serca i jestem już normalna, bez śladu szaleństwa.

Czas znowu zaczyna płynąć.

Hillstead nie przestaje coś paplać, ale nie słyszę tego, co mówi. Znajduję się w komnacie wypełnionej ciszą. W świecie, gdzie wszystko inne porusza się z normalną prędkością, ale mój umysł jest odmieniony, pogrążony w marzeniach, jakbym wykonywała tai chi na dnie basenu.

Bonnie nie spuszcza ze mnie wzroku od czasu, gdy weszłam do tego pokoju. Oczy ma pełne strachu, ale i ufności. Teraz, uwolniona od szaleństwa, widzę ją naprawdę.

„Ona jest piękna, mamó”.

- Tak, jest rzeczywiście piękna, kochanie - szepczę.

Oczy Hillsteda się zwięzają. Już go słyszę.

- Z kim ty rozmawiasz, droga Smoky? Odjęło ci rozum na dobre? Lepiej weź się w garść. Zostały ci trzy sekundy, potem mała Bonnie zacznie się uśmiechać poniżej podbródka.

Strzał, który muszę oddać, by ją uratować, będzie trudny. Widoczna jest tylko w przybliżeniu jedna czwarta głowy Hillsteda. Resztę ukrywa za Bonnie.

Zaczynam w myślach wykonywać niezbędne obliczenia, zaczynam wolno. Kończę z narastającą szybkością.

Smok wyczuwa, że czas jego uczy nadchodzi i już mruczy.

Znów dociera do mnie głos Alexy, słyszę go wyraźnie:

„Nie denerwuj się. Po prostu zawierz temu, co czujesz. Musisz temu zaufać”.

Nie wiem, Alexo. Pięć centymetrów, cztery centymetry. No, nie wiem, mogłabym ją zabić.

Ramię ducha obejmuje mnie z tyłu. Jedna jego dłoń sięga w górę i dotyka mojego serca.

„To jest tu, mamó. Przestałaś temu ufać, ale jesteś jej teraz potrzebna. I wierz mi, wcale nie jest mi przykro, że ty jej potrzebujesz. Pytałaś mnie o to w swoim śnie, lecz obudziłaś się, zanim mogłam ci odpowiedzieć. Kochaj ją mamusiu, nie będzie mnie to bolało”.

Wyobrażam sobie twarz Alexy: brązowe oczy Matta, uśmiech chochlika, dołeczki listonosza. Teraz już nie boję się na nią patrzeć. Odrywa ode mnie ręce i czuję, że się oddala. Przed odejściem szepcze jeszcze:

„Rozumiesz, mamusiu? Nie jesteś doskonała. Postępuj po prostu zgodnie z tym, co czujesz. A gdy zrobisz wszystko, na co cię stać, nie musisz robić niczego więcej”.

Smok warczy. Obliczenia, które przeprowadzam w myśli, przechodzą nagle w krzyk płonącego kolibra wzbierający we mnie, narastający do krzyku jastrzębia, potem orła, a potem...

Moja dłoń przestaje drżeć.

Podnoszę pistolet i naciskam spust, nie myśląc o tym, co robię.

Nie słyszę wystrzału. Jakbym zachowała tylko zmysł wzroku. Widzę, jak głowa Bonnie odchyła się gwałtownie, gdy czaszka Hillsteda pęka, nóż wypada mu z ręki i wiem, że zabiłam i ją, i jego.

Otwieram usta do krzyku, podnoszę ręce do skroni, ale w tym momencie Bonnie rusza w moją stronę, podskakując na związanych nogach.

Odwraca się do mnie lewym profilem i widzę Hillsteda na podłodze z dziurą od kuli w oku. Już rozumiem.

Strzeliłam. Pocisk drasnął policzek Bonnie, ale spisał się jak należy. Jej nic się nie stało. On zginął.

Chowam pistolet do kabury. James i Alan pędzą po schodach na górę, za nimi biegnie Tommy. Alan płacząc, rozwiązuje Elaine i okrywa ją troskliwie kocem. James i Tommy pytają mnie, czy jestem ranna. Nie odpowiadam.

Patrzę na leżącego na podłodze Hillsteda. To on umożliwił Sandsowi wejście do mojego domu, a więc był odpowiedzialny za śmierć moich najbliższych, za blizny na mojej twarzy. Myślę o zniwie śmierci i zniszczeniach, jakie pozostawił za sobą.

Ostatecznie dowiódł, że miał rację tylko, co do jednego.

Śmierć jest zawsze blisko, o krok od nas.

Ale wiem, że równie blisko jest życie i są ci wszyscy, którzy go bronią.

Callie prosiła, żeby były przy tym obecne trzy osoby. Ja, Marilyn i Elaine. Bonnie znalazła się tutaj, bo nikt przeciwko temu nie zaprotestował, a Callie wydaje się nawet zadowolona z jej obecności.

Dwa dni po tym, jak załatwiłam Petera Hillsteda, Callie odzyskała przytomność. Minęły kolejne dwa dni i doktor zamierza przeprowadzić badanie wrażliwości jej stóp. Callie stara się to ukryć, ale wiem, że jest przerażona możliwym wynikiem.

Wygląda strasznie. Jest blada, wycieńczona, ale żyje. Teraz się okaże, czy będzie mogła chodzić.

Doktor trzyma w dłoni jeden z tych przyrządów, który każdy z nas kiedyś widział, ale nie znamy jego nazwy. Rodzaj obrotowej ostrogi osadzonej na rączce. Za chwilę zacznie przesuwac ostrą część przyrządu wzdłuż podeszwy stopy Callie.

- Gotowa? - pyta.

Elaine ujmuje jej rękę z jednej strony łóżka, ja z przeciwnej. Marilyn zastygła na lewo od Elaine. Bonnie obserwuje wszystko z wyrazem niepokoju na buzi.

- Niech pan łaskocze, złotko.

Doktor prowadzi „ostrogę” po spodniej części jej stopy. Pyta:

- Czuje pani coś?

W jej oczach pojawia się strach.

- Nie - odpowiada cichutko.

- Nie ma powodu do paniki - usiłuje ją uspokoić doktor. Wiem, że to nie skutkuje, bo jej palce wpijają się w moją dłoń. - Spróbujemy z drugą stopą. - Prowadzi swoje narzędzie pomału, czekamy w napięciu... Nagle, jest drgnięcie. Duży palec się porusza. Callie wstrzymuje oddech.

- Czuje to pani? - znów pyta doktor.

- Nie jestem pewna...

- Świetnie. Ruch dużego palca to znakomity znak. - Przesuwa „ostrogę” jeszcze raz. Tym razem duży palec drga natychmiast.

- Czuję, czuję to! - krzyczy Callie. - Niezbyt mocno, ale czuję.

- To bardzo, bardzo, bardzo dobrze, Callie - mówi doktor kojącym tonem. - A teraz chciałbym, żebyś zrobiła coś dla mnie. Spróbuj poruszyć tym palcem.

Callie ma mokre ręce, czuję ich leciutkie drżenie.

- No, zaczynaj - mówi Elaine. - Próbuj. Możesz to zrobić.

Callie spogląda na swoją nogę. Widzę w jej oczach taki stopień koncentracji, jaki jest chyba nieosiągalny nawet dla olimpijskiego biegacza. Odczuwam napięcie jej nerwów jak coś niemal namacalnego.

Palec się porusza.

- Tym razem czułam coś naprawdę! - mówi Callie podniecona. – Jakby więcej... łączności. Czy to, co mówię, ma jakiś sens?

Doktor się uśmiecha. Jest to szczery, szeroki uśmiech. Nikt z nas nie ośmiela się jeszcze odetchnąć z ulgą, ale ta możliwość wydaje się bliska. Czekamy na słowa, które padną z jego ust jak na wyrocznię.

- Tak. To ma wiele sensu. I jest to bardzo dobra wiadomość. Istnieje tylko około pięciu procent prawdopodobieństwa, że przez pewien czas będziesz trochę upośledzona ruchowo. Nie jest to nic takiego, z czym nie moglibyśmy sobie poradzić, więc nie zamartwiaj się tym, proszę. W najgorszym razie będziemy cię rehabilitować, tak by usprawnić przekazywanie sygnałów z mózgu do twojego ciała i odwrotnie. - Przerzywa na moment. - Ale z całym przekonaniem mogę powiedzieć jedno: nie jesteś sparaliżowana.

Głowa Callie opada na poduszkę, zamyka oczy. W pokoju rozlega się chóralne: „Dzięki Bogu”. To już nie powiew, ale wicher ulgi.

I nagle milkniemy, ponieważ do naszych uszu dociera jakieś dziwne zawodzenie. Odgłos, jakby ktoś zrzucił z siebie przygniatający, ogromny ciężar.

To Bonnie. Mała Bonnie stoi pod drzwiami pokoju Callie. Ma czerwoną twarz. Łzy dosłownie tryskają z jej oczu, usta zasłania pięścią. Próbuje powstrzymać erupcję lawy, która domaga się uwolnienia.

Jestem tak wstrząśnięta, że nie mogę wykrztusić ani słowa. Czuję się tak, jakby ktoś przecinał na pół moje serce ostrą brzytwą.

Bonnie najbardziej z nas wszystkich bała się o Callie, ale nikt o tym nie pomyślał, dlatego jej reakcja tak mną wstrząsnęła. Dociera do mnie coś jeszcze. Gdyby Callie została sparaliżowana, byłoby to w odczuciu Bonnie jego zwycięstwo. Opłakuje mamę, mnie, Elaine, Callie i siebie.

Powietrze przecina delikatna strzała głosu Callie.

- Podejź do mnie, złotko - mówi tonem tak łagodnym, że nogi uginają się pode mną.

Bonnie podbiega do łóżka. Chwyta dłoń Callie, zamyka oczy, ale wciąż jeszcze zalewa się łzami i raz po raz ociera palcami brodę. Troszcząc się o Callie, jednocześnie opłakuje swój własny zrujnowany świat.

Callie przemawia do niej cicho, właściwie ledwie mruczy, bez słów. My przyglądamy się im w milczeniu. Nie mogliśmy znaleźć słów, żeby coś powiedzieć.

Callie poprosiła mnie potem, żebym została z nią sam na sam przez parę minut.

- A więc - mówi - jak przypuszczam, wszyscy już wiedzą o mnie i Marilyn?

Uśmiecham się szeroko.

- Prawie wszyscy.

Wzdycha, ale nie ma w tym westchnieniu żalu.

- No i dobrze. Wiesz, ona mnie kocha.

- Wiem.

- Ale to nie dlatego chciałam z tobą zostać sama.

- Nie? A dlaczego?

- Jest coś, czego bardzo pragnę w tej chwili i... no cóż, Marilyn... nie jestem jeszcze na to gotowa. I może nigdy nie będę... wobec niej. Potrzebuję...

Patrzę na nią zaintrygowana.

- Czego?

Daje mi znak ruchem ręki, żebym podeszła bliżej. Siadam na brzegu jej łóżka.

- Przysuń się trochę.

Spełniam jej życzenie. Wyciąga ręce, delikatnie ujmuje mnie za ramiona i przyciąga do siebie, a potem zamyka w uścisku.

Wystarcza mi tylko chwila, żeby zrozumieć, a wtedy przymykam oczy i przytulam ją mocno. Callie szlocha, bez słów, jakby chciała wypłakać całą siebie.

Więc ją tulę, nie przerywając tego płaczu. Nie czuję smutku.

Bo to nie jest ten rodzaj łez.

Jest piąta po południu i w biurze zostaliśmy tylko my dwoje: James i ja. Nadeszła chwila, która rzadko nam się zdarza. Wszystkie potwory narazie śpią. Możemy się nie troszczyć o harmonogram działań. Zamierzam to wykorzystać.

Patrzę, jak drukuje się mój raport. Jeszcze tylko ostatnia strona i ten pojedynczy kawałek papieru będzie oznaczał koniec sprawy Jacka Juniora. Cała krew i cierpienie odpłyną w nicość, nazbyt szybko.

Ale to nie jest w pełni prawdą. Jego czyny i wpływ, jaki wywarły na nas i innych ludzi, będą do nas wracały, będą pobrzmiwać echem jeszcze przez lata. On ciął nożem na oślep i głęboko. Tkanki blizn mogą być pozbawione czucia, ale zniekształcenia są widoczne i czasami w godzinach przed świtem będzie się czuło w nich mrowienie jak w fantomowej, urojonej kończynie.

Keenan i Shantz. To nie tylko mrowienie, ale dotkliwy ból.

- To jest mój raport - mówi James. Drgnęłam mimo woli, gdy rzucił go na biurko.

- Dzięki. Ja też już prawie skończyłam.

Staje obok i przygląda się drukarce. To inny rzadki moment, rozkoszujemy się wspólnie miłą ciszą.

- Sądzę, że nigdy się tego nie dowiemy - oznajmia James.

- Też tak myślę.

Jeździmy razem ciemnym pociągami, więc dochodzimy do tych samych wniosków, których nie musimy ubierać w słowa.

Czy był ktoś przed ojcem Petera Hillsteda? Czy istniał jakiś jego straszny, szerzący śmierć przodek?

Gdyby tak można się było cofnąć do tych lat, kiedy nie było prawdziwej medycyny sądowej i opatrzonych licznymi odsyłaczami danych komputerowych, czy wtedy należałoby się wybrać w podróż za ocean i krążyć po oświetlonych gazowymi lampami, wybrukowanych kocimi łbami uliczkach? Uciekać przed bezimiennym mężczyzną, który miałby w dłoni lśniąca brzytwę, a na głowie czarny cylinder?

Czy dałoby się w końcu ustalić, kim był legendarny morderca?

Prawdopodobnie nie. Ale nigdy nie będziemy mieli, co do tego pewności.

To właśnie zdolność pozostawienia podobnych pytań bez odpowiedzi, odchodzenia od nich bez oglądania się za siebie, pozwala nam zachować równowagę psychiczną, broni nas przed szaleństwem.

Ostatnia strona jest już wydrukowana.



# Epilog

Pochowałam Annie obok Matta i Alexy. W ten sposób Bonnie i ja możemy razem odwiedzać groby najbliższych.

Jest piękny dzień. Świeci pełnym blaskiem kalifornijskie słońce. Ulubione słońce mojego ojca. Ale nie jest zbyt gorąco, bo wieje chłodna bryza.

Trawa na cmentarzu nie była przycinana jeszcze w tym tygodniu i faluje na wietrze gęsta, lśniąca, zielona. Gdy patrzę na równinę cmentarza, gdzie tablice nagrobkowe ciągną się dalej niż sięga wzrok, wydaje mi się, że widzę dno oceanu, porośnięte morskimi wodorostami, na którym spoczywają rzędy zatopionych, widmowych statków.

Widzę też innych ludzi, młodych i starych. Stoją przy grobach samotnie lub w grupkach. Przyszli odwiedzić swoje matki, żony, córki, siostry lub ojców, mężów, synów i braci. Niektórzy umarli w spokoju, inni gwałtowną śmiercią. Niektórym dodawano otuchy, kiedy odchodzili, inni pomarli samotnie.

Są groby, których nikt nie odwiedza. Postarzały się, pozapadały, zapomniane, opuszczone.

Cmentarz emanuje spokojem, chociaż jest miejscem nawiedzonym przez duchy i wspomnienia. Poza tym jest wspaniały dzień.

Bonnie sadi kwiatki na grobie Annie. Właśnie wyrównała ziemię wokół ostatniej sadzonki, wstaje i otrzepuje ręce.

- Skończyłaś już, kochanie? - pytam.

Podnosi na mnie wzrok, kiwa głową i się uśmiecha.

Elaine rozpoczęła chemioterapię. Alan przychodzi normalnie do pracy. Pogodziłam się z faktem, że nie mam wpływu ani na wyniki jej kuracji, ani na to, co on robi. Mogę jedynie być dla nich kochającą przyjaciółką.

James pochował ponownie ciało siostry. Leo kupił sobie nowego psa, szczeniaka labradora, i opowiada o nim całymi godzinami. Callie wraca do zdrowia, coraz częściej i coraz głośniej narzeka, że wciąż nie może opuścić szpitalnego łóżka - a to dobry znak. Jej córka odwiedza ją regularnie i wygląda na to, że Callie po pewnych oporach pogodziła się z faktem, że jest babcią. Nie wydaje się już tym zbyt zmartwiona.

Spotkałam się kilka razy z Tommym. Bonnie go lubi. Oboje spokojnie podchodzimy do tego, co jest między nami i czekamy, do czego nas to doprowadzi.

Okazało się, że Peter Hillstead był odpowiedzialny za śmierć, co najmniej dwunastu kobiet. W większości były to zbrodnie doskonałe. Prawdę mówiąc, wiemy o nich tylko dzięki zapisom w

jego dzienniku. Prowadził skrupulatną ewidencję podobnie jak jego ojciec. I podobnie jak ojciec niszczył szczątki swych ofiar. Nie było żadnych dowodów, jedynie domysły. Nadal nie mamy pojęcia, z jakimi potworami utrzymywał kontakty, kogo nakłaniał do zabójstw, poza tymi, o których już wcześniej się dowiedzieliśmy. Czy w ogóle miał jakieś kontakty oprócz tych. Pogodziłam się z tym, że i na to nie mam wpływu, nic na to nie poradzę. Jeśli któryś z nich wypełźnie ze swojej nory, będę gotowa i przycisnę go odpowiednio.

Wyszło na jaw, że Robert Street znał Hillsteda od prawie trzech lat. Brał udział nie tylko w tych dwóch ostatnich zbrodniach. Szczerze mówiąc, niewiele mnie to obchodzi. Hillstead nie żyje, zniknął raz na zawsze, a Street wkrótce ustawi się w kolejce do śmierci.

Hillstead wykorzystał swoją pozycję doktora i autorytet terapeuty agentów FBI, by mieć dostęp do danych osobowych, a to, na przykład, pozwoliło mu odnaleźć córkę Callie. Biuro badało dokładnie przeszłość każdego agenta, istnienie Marilyn nie umknęło ich uwagi.

Wydawał nam się w tamtych dniach wszechmocny, gdy chodzi o zdolność docierania do szczegółowych informacji o nas. A był jedynie sprytny.

My okazaliśmy się sprytniejsi i odczuwam ciągle gorzki tryumf z tego powodu. Zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie to niesie ze sobą. Nie mogę sobie pozwolić na arogancję; jeśli nie zachowam nad nią kontroli, może za którymś razem skończyć się to katastrofą. Na razie pozwalam, by jej ciemny pociąg sunął dalej.

Smoki to dumne stworzenia.

Hillsteadowie wprawili specjalistów od portretów psychologicznych w niesamowitą ekscytację. Poznali coś, o czym nikt dotąd nie słyszał, w przypadkach seryjnych morderców.

Ja osobiście nie uważam, żeby Peter różnił się zbytnio od innych morderców, których ściagałam i chwytalam. Popęłił błąd tak samo jak oni. Jakkolwiek bardzo by się starał o doskonałość, Renee Parker, jego pierwsza ofiara, dosięgła go zza grobu i pociągnęła za sobą. Ta myśl sprawia mi ogromną satysfakcję. Prawdziwymi duchami tego świata są tylko te, o których myślałam wiele razy: to konsekwencje naszych czynów. Odciski stóp zmian, jakie pozostawiamy na naszej drodze przez czas.

Konsekwencje. Mogą nas dręczyć, mogą niszczyć. Mogą przynieść nam sławę i być źródłem pociechy nocą. Nie wszystkie duchy wyją lub płaczą. Niektóre tylko się uśmiechają.

Bonnie nie zaczęła jeszcze mówić. Nie krzyczy każdej nocy przez sen, ale też nie śpi każdej nocy spokojnie. Jest pięknym dzieckiem, mądrym, szczodrym w okazywaniu miłości. Ma również zdolności malarskie. Produkuje masowo obrazy, piękne i mroczne. To zastępuje jej słowa.

Przyjęliśmy pewien sposób bycia. Nie całkiem matka-córka, na razie nie. Ale robimy postępy i już nie czuję przerażenia. Jestem zadowolona. Obowiązuje pierwsza zasada mamy; jeśli tylko zajdzie potrzeba, będę gotowa.

Duchy Matta i Alexy odwiedzają mnie w snach. To dobrze. Nie dręczą mnie już senne koszmary.

- Możemy już wracać?

Bonnie bierze mnie za rękę i to jest jej odpowiedź.

Ona jest niema, ja jestem oszpecona, ale dzień jest piękny i przyszłość nie przeraża. Ja mam ją, a ona ma mnie i z tego wyrasta miłość.

A z miłości - życie.

Opuszczamy cmentarz, trzymając się za ręce, a duchy naszych bliskich odprowadzają nas wzrokiem.

Czuję, że się uśmiechają.